





W. W. W. W.

W. W. W. W.

W. W. W. W.

M. ILNICKA



KALENDARZ

ILLUSTROWANY

NA ROK

1866.

i

1867.

WARSZAWA
WAKŁADEM A. DZWONKOWSKIEGO

<http://pau.pl>

Przemyslowy w Srobie

Ryso

NOWOROCZNIK

(KALENDARZ)

ILLUSTROWANY

NA ROK

1866 i 1867.

ROK szósty i siódmy.

WARSZAWA.

Nakładem KSIĘGARNI POLSKIEJ ADAMA DZWONKOWSKIEGO
przy ulicy Miodowej Nr. 482 (nowy 4).

w Drukarni Alexandra Ginsa.

—
1867.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 14/26 Listopada 1866 r.

Starszy Cenzor, *Lachmanowicz.*



P. I 694

KILKA SŁÓW.

Jako objaśnienie do portretu Maryi Ilnickiej.

P. Marya Ilnicka, obecnie redaktorka pisma dla kobiet *Bluszcz*, której ricinę tu podajemy rozpoczęła literacki swój zawód w 1855 r.

Z prac jej ważniejszych wyszło na widok publiczny.

Przekład poematu Walter Skota **Pan dwóchset wysp**, pierwsza praca drukowana w Bibliotece Warszawskiej 1855.

Paproć poemacik drukowany tamże — jest do tego obraz Gierdziejowskiego **Lirnik**.

Miecz ojcowski poemacik drukowany w *Gazecie codziennój* w 1859 r.

Alchemik dramat czteroaktowy drukowany w Kronicie wiadomości krajowych i zagranicznych w 1860 r.

Przekłady Ossyanna rozpoczęte drukować w Bibliotece Warszawskiej 1861 r.

Skarbczyk historii Polskiej wydany nakładem Nowoleckiego w 1861 r.

Kto winien dwuaktowy obrazek dramatyczny drukowany w tygodniku Illu: w 1862.

Grób i róża obrazek dramatyczny drukowany w 1862 w Kółku Domowém.

Druga Edycja Skarbczyka nakładem Nowoleckiego w 1862 r.

KTO WINIEN.

Obrazek dramatyczny w dwóch Aktach,

Maryi Ilnickiej.

O s o b y.

Pułkownikowa.

HELENA jego córka.

MAJOR DOBIESZA chrzestny ojciec Heleny.

KAZMIERZ młody urzędnik, przyjaciel majora.

RADCA.

ZOSIA pokojówka.

JAKUB dawny żołnierz i stary sługa pułkownikowej.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w pomieszkaniu pułkownikowej.

AKT PIERWSZY.

Salon przygotowany na przyjęcie gości, pajak i świeczniki zapalone. Po prawej stronie widzów zwierciadło stojące, obok mały stoliczek. Drzwi główne i dwoje pobocznych.

Scena I.

JAKUB, potem HELENA i ZOSIA.

HELENA (*przesuwa krzesła, poprawia świeczniki, wreszcie ogląda się w okolo z zadowoleniem*).

No, już wszystko gotowe — ale cóż z paradą
 Goście koło północa zapewne się zjadą...
 Ha! co głowa to rozum — widać że panowie
 Doszli, rozumem w pańskiej mieszczącym się głowie,
 Że w dzień lepiej się sypia, a w nocy tańczy.

HELENA (*w białym podwłosniku wchodzi drzwiami z lewej strony i przechodzi scenę ku zwierciadłu, za nią ZOSIA z papierowym pudelkiem pełnym kwiatów*).

ZOSIA.

Przysięgam, że panienka wszystkich oczaruje,
 Tak prześlicznie ma dzisiaj uczesane włosy.
 Czy dać melanz paryzki, czy te złote kłosa?...

HELENA (*wskazując stoliczek*).

Zostaw wszystko i odejdz, z kolei przymierzę:
 Niezawsze strój, choć piękny, pięknie nas przybierze:
 Za myślą lice, kwiatek za licem się zmieni...

ZOSIA (*spoglądając ukradkiem w zwierciadło*).

Mnie zawsze jednakowo, najlepiej w czerwieni!..

(*Zadowolona podbiega ku drzwiom, i zawracając się od proga*)

Ale, ale, Jakubie! W pokoju zielonym
 Firanka krzywo jednym opada festonem...
 Trzeba zaraz poprawić...

JAKUB (*ruszając ramionami*).

A jakże inaczej:
Moja rzecz jest poprawić, co panna psuć raczy....

(*wychodzą*).

HELENA (*przed zwierciadłem*).

Prawda, dobrze mi dzisiaj w splotach tych warkoczy;
Lecz znać tańczę za wiele, zmęczone mam oczy...
Biedne oczy! jak żywym błyskałyście wzrokiem,
Kiedy z szesnastoletniej nadziei urokiem
Spojrzałam w to zwierciadło. Ileż to mar wdzięcznych,
Ile snów niedośnionych wśród nocy miesięcznych
Przesunęło się odtąd przed duszą dziewczyny?
Dwudziesto-pięć lat moje urodziny!...
Ha! czas biegnąć — jak motylek puszczony o wiośnie;
Blaskami krasy mojej ciesząc się radośnie,
Unosiłam się w świetle i woni salonów,
Rachując lata życia na liczbę sezonów.
Ale wiosna i młodość równie krótko świeci:
I cóż robią motyle, gdy złoty pył zleci
Z ich znużonych skrzydełek?... Co robią motyle?...

(*Po chwili milczenia*)

Coraz to częściej takich smutnych dumań chwile
Napadają mnie biedną, i choć śmiech na twarzy,
Serce coraz głośniejszą tęsknotą się skarży.

(*Pułkownikowa wchodzi*).

Scena II.

PULKOWNIKOWA i HELENA.

PULKOWNIKOWA.

A dla Boga Helenko! jeszcześ nie ubrana?

HELENA.

Dość będzie na to czasu, dość mamó kochana.

PUŁKOWNIKOWA.

Ale to widzisz jutro urodziny twoje;
Ktoś może przyjść dziś wcześniej, i bardzo się boję,
Żeby radca nie czekał..

HELENA.

Zkąd radca koniecznie?

PUŁKOWNIKOWA.

Tak mi się jakoś zdaje. Byłoby niegrzecznie
Nie wyjść zaraz po dobre przyjaciół życzenia.

HELENA (*z uśmiechem*).

Mama zręczny generał i taktykę zmienia
Wedle potrzeb swęj armii idącęj do boju:
Za każdy rok, godzina jedna dłużej stroju...

PUŁKOWNIKOWA (*wzruszając ramionami*).

Co tóż tobie czasami do głowy przychodzi...

HELENA (*z lekką goryczą w głosie*).

Nie zawsze zwięść się można, choć się drugich zwodzi.
Tak mamó, trudna rada, ale nie na żarty
Czas płynie — dzisiaj kończę rok dwudziesty czwarty!...

PUŁKOWNIKOWA.

I cóż ztąd? w twoim wieku byłam taka hoża,
Taka pusta, wesoła, jak ptaszyna boża.

HELENA (*żywięj*).

Tak mamó, lecz ty w pełni uczucia i życia,
 Lata twoje liczyłaś na serdeczne bicia ;
 Ty już z świętęj miłości koroną na czole,
 Czulaś w piersi twęj siłę na trosk ziemskich bole.
 Tyś kochana, kochając, stała już u celu,
 W obowiązków poważném choć cichém weselu,
 A ja ?

PUŁKOWNIKOWA (*niepokojnie*).

Dziecko najdroższe, z kąd tobie ta mowa ?

HELENA.

Czy mama może myśli, że mi to rzecz nowa
 Wejrzyć tak okiem prawdy w moje położenie ?
 To nie jest żadna rozpacz, żadne rozdrażnienie.
 Ja wiem, że m jeszcze piękna i jeszcze lat kilka
 Przejśćby mogło jak jedna słodka szalu chwilka.
 Lecz co bawiło dziecię, cięży dziś niewieście :
 To życie czczego gwaru znużyło mnie wreszcie.
 Serce chciałoby w piersiach goręcęj uderzyć,
 Chciałoby coś ukochać i czemuś uwierzyć
 Wiarę całego życia. Matko ! ja nieboga
 Takem w skarby najdroższe kobiécie uboga,
 Ze nieraz mi się płakać chce samęj nad sobą.
 Cóż z tego, że dziewiczej krasy męj ozdoba
 Ciagnę spojrzenia tłumów ? cóż że biegną ku mnie
 Z takich próżnych słów dźwiękiem, że smutno i dumnie
 Muszę iść dalej, biédna królowa mar sennych,
 Które ścigam daremnie w blasku światel dziennych...

PUŁKOWNIKOWA (*z boleścią*).

Co to za czasy teraz?... mój Boże ! mój Boże !
 Tyś widział, że m zrobiła wszystko, to co może

Zrobić matka, by dziecku szczęście przygotować.
 Któż mógł córkę staranniej i lepiej wychować?
 Jest uczucie, nauka, talenta w dodatku,
 Ojciec poczciwe imię zostawił jój w spadku,
 Bóg dał urodę. Czegóż trzeba więc kobiecie,
 Aby sobie skarb szczęścia znalazła na świecie?
 I to jest wiek postępny?... O! niech Bóg uchowa
 Ludzkość od tego dobra. Młodzież postępową
 Nie raczy już przy świętém ognisku rodziny
 Ogrzać swych serc wystygłych...

HELENA.

Lecz mamó, czyż winy
 W nich tylko szukać trzeba? nieraz to pytanie
 Zadawałam już sobie...

PUŁKOWNIKOWA.

Mówię ci kochanie,
 Że dawniej, byle panna skromna a przystojna,
 Szła w świat o swoje szczęście i przyszłość spokojna.
 Nikt tak córek nie woził, nie stroił, nie zdobył,
 Balów dla nich nie dawał, wysileń nie robił,
 A przecież każda sobie znalazła bogdana,
 I stara panna była rzecz niemal nieznaną.
 Ja na przykład, nie miałam nawet i połowy
 Twój piękności, talentów, twój wdzięcznej wymowy,
 A ledwo szesnastego doczekawszy roku,
 Kupiłam sobie męża jedną łezką w oku!...
 Tak moje dziecko, kiedy ojciec twój do domu
 Wrócił z długiej wędrowki, z krwawych walk rozgromu,
 Ja miałam lat szesnaście, i gdzieś go była
 Na zebraniu w sąsiedzkim domu zobaczyła.
 Młody jeszcze i piękny kresą, co mu czoło
 Upromieniła z blasków najświetniejszych koło,
 Opowiadał przygody dalekiej wyprawy;
 A ja na te obrazy walk, zwycięstw i sławy
 Czułam jak serce w drżącym uderza mi łonie,
 Jak się czoło podnosi i lice mi płonie.

IX

Długo jeszcze gwarzyli i młodzi i starzy
Lecz on umilkł z wlepioném w lica moje okiem,
A ja pod tego wzroku męskiego urokiem
Uczułam się od razu tak dziwnie szczęśliwa,
Jak ten, któremu nagle jakiś skarb przybywa.
Nazajutrz pan pułkownik był u nas z wizytą,
I ze czcią rodzicielskiej władzy należytą
Zapytał mego ojca, czy mu będzie wolno
Nieść paunie Katarzynie swą służbę powolną ;
A w trzy miesiące potém już w obliczu Boga
Przysiągł mi, że nam razem pójdzie życia droga.

HELENA (*smutnie*).

Masz słuszość mamó: dobre, dobre czasy były,
Kiedy serca tak żywo, tak gorąco były,
Że po łzie lub uśmiechu poznając się wzajem,
Ludzie unieli sobie ziemię zrobić rajem...

Scena III.

CIŻ i JAKUB.

JAKUB (*wchodząc*).

Pan radca przysłał. Wojciech na odpowiedź czeka.

(*Oddaje pułkownikowej list i pudełko safranowe*).

PULKOWNIKOWA (*żywo, drąc kopertę*).

Podaj światło, nie mogę dojrzyć tak z daleka ;
Lecz nie — pismo wyraźne,

(*do Heleny z wesołym uśmiechem*)

Zbliźże się kochanie,
Mam nadzieję że miłe spotka cię wiązanie.

Scena IV.

PUŁKOWNIKOWA i HELENA.

PUŁKOWNIKOWA (*czyta*).

Szanowna pani!

Chociaż szron zimy na skroni,
 Serce się od gorętszych uczuć nie obroni,
 A złożywszy w nich całe szczęście swego życia,
 Raz wreszcie musi na jaw wydać je z ukrycia.
 Dziś na mnie przyszła taka stanowcza godzina,
 I kiedy zewsząd wiernych przyjaciół drużyna
 Pospiesza córce twojej nieść życzenia swoje,
 Ja, co milczeć nie mogę, a mówić się boję,
 Tobie pani śmiem tajnie uczuć mych otworzyć
 I na twe ręce proszę — nie — modlitwę złożyć,
 Aby to twoje dobre, piękne, lube dziecię,
 Któremu wszystko szczęściem winno być na świecie,
 Młodego swego życia straż chciało mi zwierzyć.

(przerywając sobie radośnie).

Widzisz, widzisz kochanie! jak to trzeba wierzyć
 Przeczuciom macierzyńskim: ja nawet na chwilę
 Nie wątpiłam w niezłomnej przekonania sile,
 Że świat musi cię wreszcie ocenić inaczej.

HELENA (*szydersko*).

I siwy starzec miłość swoją dać mi raczy.

PUŁKOWNIKOWA.

Jak też ty dzisiaj wszystko z dziwnej widzisz strony!
 Człowiek taki przyjemny, powszechnie ceniony;
 Wreszcie jego majątek... lecz pozwól mi skończyć.

(czyta)

Wiem ja, że wiosna z zimą nie rada się łączyć,
 Że smutnym dziewczostębem zwykł bywać włos biały;
 Ale powiedz jęj pani, że żywot mój cały,
 Że wszystko mienie moje pod jęj stopy złożę;
 Że ona będzie dla mnie jak to światło boże,
 Co sływa ku nam smutnym dni jesiennych mrokiem.
 Lecz z jakimkolwiek przyjdzie spotkać się wyrokiem,
 Cokolwiek niebądź ona i los mi przeznaczy,
 Niech w zwykłej swęj dobroci pogardzić nie raczy
 Wiązaniem życzliwego zawsze przyjaciela,
 Co w nięj nadzieję szczęścia złożyć się ośmiela.

PUŁKOWNIKOWA (*wesoło*).

No, cóżty teraz na to?

HELENA (*spokojnie*).

Nic, kochana mamó;
 Twoje serce kóbięce niech odpowie samo.

PUŁKOWNIKOWA.

Prawdziwie, jesteś dzisiaj jak kapryśne dziecię!

(*otwiera pudełko*)

Kolie, brosza, kolczyki! no spojrzjże przecie,
 Jaki blask, jaki ogień, co za czystość wody,
 Jak to dobrze przypada do twojęj urody,
 Do twojęj płci śnieżystęj a ciemnych warkoczy!..

(*przymierza jęj kolczyki do uszu*)

HELENA (*spojrzawszy przelotnie w zwierciadło*).

Tém niebezpiecznięj, mamó, nęcić sobie oczy,
 Bo to dar za bogaty dla mnie na wiązanie...

PULKOWNIKOWA (*niespokojnie*).

Jak to?... co ty chcesz przez to powiedzieć kochanie?

HELENA (*z uśmiechem*).

Ze trzeba do pudełka do pokusy schować,
A kiedy ja do siebie pójde się sznurować,
Mama odpisze radcy, że jakkolwiek cenię
Jego dobre, a dla mnie zaszczytne życzenie,
Pójść za niego nie mogę...

PULKOWNIKOWA (*niesmiało*).

Drogie dziecko moje,
Ja ciebie nie przymuszam i zranić się boję;
Ale jakieś mówiła sama w tej godzinie,
Lata szybko uchodzą... rok za rokiem płynie...
A z czasem...

HELENA (*żartobliwie*).

Przyjdzie zmarszczek kompania złowroga.
Ale żarty na stronę, — ja wiem, matko droga,
Ze słowa twoje płyną z troski o me szczęście,
Lecz powiedz, czy je może dać takie zamęście?
Ten biedny, siwy starzec, któremuby trzeba
Kłamać w obliczu świata, bluźniąc w imię nieba,
Dałby mi jasne płatki, brylantowe stroje;
Ale moje sny młode, ale serce moje,
Coby poczęło w wiecznej próżni i tęsknocie?
Nie matko! ja nie mogę sprzedać się za krocie!
I chociaż może próżną nazwali mnie ludzie,
Chociaż wśród wiru świata, w jego mar ułudzie,
Wydawałam się lekką jak ta balu szata,
Strojna w kwiatki z papieru i szychem bogata,
W piersi mój drgała zawsze tajemna tęsknota
Za jakimś innym, szerszym gościńcem żywota,
I nieraz w szale balu ja, jego królowa,
Gdy mnie pochlebstw namiętne upajały słowa,

XIII

Schylałam skroń gorącą i w smutnej zadumie
Pytałam sama siebie: czy w tym całym tłumie
Choć jedno serce kiedy szczerze mnie ukocha?
A wtedy... matko moja! ja, wietrznica płocha,
Z jakąż rozkoszą razem dumną i pokorną,
Zrzuciłabym tę szatę Nessusa wytworną,
By z świętym skarbem moim pójść cicho przez życie...

PULKOWNIKOWA.

O moje ukochane, moje biedne dziecię,
Czyliż ja innej doli chciałabym dla ciebie?
I niech mi dusza ojca twego świadczy w niebie,
Że do rady nie ciągną mnie jego dostatki.
Ale nikt w świecie, chyba drugie serce matki,
Nie pojmie moich nocy, moich dni męczarnie,
Gdy patrzę jak kwiat życia twego schodzi marnie.
Wreszcie nikt tu na świecie nie wieczny, kochanie,
A jakież ciężkie, straszne miałabym konanie,
Czując że dziecko moje zostaje się samo!..

HELENA.

Nie mów, o nie mów do mnie tak raz drugi mammo!
Bo jest wzrok w twoich oczach, w twoich ustach słowa,
Dla których wszystkom zrobić, wszystkom dać gotowa.
Ale czyż mnie o szczęściu już nie wolno marzyć?
Czyż dla mnie już się w życiu nic nie może zdarzyć,
Coby ziściło słodkie moje sny dziewczęce?
Jeszcze im rok, rok tylko jeden im poświęcę
A potem niech się ze mną dzieje wola Boga!....

(mocno wzruszona chodzi po pokoju)

PULKOWNIKOWA *(smutnie)*.

Nie zawiodła mnie tajna przeczucie mnich trwoga
I Bóg snadź w Niebie mego nie słyszał pacierza...

(zachodząc drogę córce)

Heleno, dziecko moje! ty kochasz Kaźmierza

HELENA (*chwilę stoi zapłonią, nagle rzucając się do kolan matki*).

Tak, kocham! kocham matko! on piękny, on młody,
 Czyż nie wart tój najświętszej na ziemi nagrody,
 Czyż on nie wart miłości?... Jego mężkie oko,
 Co na świat tak ogląda jasno i szeroko,
 Cóż dziwnego, że serce przenikło kobiecie?
 Kiedy za myśli jego dumnym prądem leczę,
 To czuję, że jak mała ta gołąbka drżąca,
 Tylko za orłem moim zaleczę — do słońca!...

PULKOWNIKOWA.

Uspokój się kochanko, uspokój na chwilę,
 Tyleś miała dziś wzruszeń, niepokojów tyle...

(*usiłując ją podnieść, siada na tuż stojącej kanapce*)

HELENA.

Nie mam, tu u kolan twoich niech wypowiem,
 Że on jest mojem światłem, mem szczęściem, mem zdrowiem,
 Tak, że dać się innemu, byłoby zabiciem
 Wszystkiego, co w mój piersi drga ciepłem i życiem.

PULKOWNIKOWA.

Lecz słuchaj moje dziecko: Kaźmierz ma niewiele,
 A mała nasza wioska, z bratem twym w podziale,
 Nie stanowi majątku — pobyt zaś w Warszawie
 Mój posażny kapitał tak wyczerpał prawie,
 Żebym ci nic nie mogła dać oprócz wyprawy.
 A pomyśl tylko sobie, co to za los krwawy
 Liczyć się z każdym groszem, z każdym swem życzeniem.
 Jeszcze ty, dziecko moje, z twojem nawykniem,
 Z twem delikatnem zdrowiem...

HELENA.

Szczęścia mego siła
Od razu by mnie mocną, wytrwałą zrobiła.

(pieszczotliwie)

A przytém mama nie wie, jak to ja w potrzebie
Zabiegliwą gosposię stworzyłabym z siebie:
Jakbym się do roboty zrywała ze słońkiem,
Jakbym sobie piosenki nuciła z skowronkiem,
Warząc, smażąc i prażąc — a jakie to stroje
Wymyślałabym sobie...

PUŁKOWNIKOWA.

Biędne dziecko moje!
Gdy się tak twoje serce złudom mar powierza,
Jestżeś ty pewną chociaż?...

HELENA *(zrywając się)*.

Miłości Kazimierza!...
O mamó, droga mamó, jest jakieś przeczucie,
Jest coś w ruchu, spojrzeniu, w słów zwyczajnych nucie,
Co serca kobięcego nigdy nie omyli...

PUŁKOWNIKOWA.

Dziecko moje kochane, ja wiem że w tój chwili
Słowy memi boleśnie w pierś twoję uderzę,
Lecz ja w dzisiejszą młodzież, w ich serca — nie wierzę.

HELENA *(jakby proszącyu głosem)*.

Mamó! on taki zacny... on taki szlachetny...
Ja wiem że on mnie kocha...

PUŁKOWNIKOWA.

Tak, twój płci blask świetny,
 Oka twojego błękit, głosu twego brzmienie
 Ciągnie mu mimowoli serce i spojrzenie.
 Ale przypomnij sobie, ilu to ich było,
 Którym serce gorąco na twój widok biło,
 A cóż z tego?... I Kaźmierz znów zrobi to samo,
 Popatrzy w piękne oczy...

HELENA.

Mamo, droga mamo!
 Może to wina moja, może jest coś we mnie
 Co ich miłość, ich serca odpycha tajemnie?

PUŁKOWNIKOWA.

Dziecko! złota ci braknie. Twojém całym wianem
 Jest słodki wdzięk niewieści z sercem rozkochaném,
 Lecz tego już niedosyć na te czasy złote.
 A pamiętasz — biedaczko, jak w przeszłą sobotę
 Obok ciebie, tak pięknej, rozumnej i świetnej,
 Twój pan Kaźmierz, tak bardzo mądry i szlachetny,
 Manią, tą wiejską gąską, zajął się w tej chwili?
 Jak o kwiatkach, o grządkach rozprawy toczyli,
 Jak jój sukienkę w kratki znajdował prześliczną,
 Bo za nią, jak w pryzmacie, widział — wieś dziedziczną...

HELENA (*przesuwając ręką po czole*).

Mania ma lat szesnaście... Mania taka świeża...

S c e n a V.

CIŻ i JAKUB.

JAKUB (*wznosząc krzak róży z kwitnącym kwiatem*).

Wiązanie dla panienci od pana Kaźmirza!

XVII

HELENA (*podbiegając żywo*).

O śliczny, śliczny kwiatek!

JAKUB (*konfidencyjalnie*).

A jaki pachnący...
Rychtyg jak dla parienki...

(*podnosi ku niej doniczkę*).

HELENA.

Ust oddech gorący
Może te cudne, drobne listeczki powarzyć.

(*stawia doniczkę na stoliku*)

Jakubie, trzeba czémciś pościańca obdarzyć.

JAKUB.

Uczęstuję panienko, tego učzęstuję,
Lecz tam i Wojciech czeka...

HELENA (*żywo*).

Mama odpisuję,
To jest zaraz odpisze... Mateczko kochana,
Czy dać papier i pióro?...

PULKOWNIKOWA.

Nadtom zmordowana,
A wreszcie niema teraz czasu do pisania.
Jakubie, niech się Wojciech panu radcy kłania
I prosi go na wieczór.

B

JAKUB.

I pana Kaźmierza
Także też prosić trzeba...

(wychodzi)

S c e n a VI.

PUŁKOWIKOWA i HELENA.

HELENA *(przyglądając się róży)*.

Jaka pełna, świeża,
Jak cudnie w pół rozwita. Ach mamó! patrz... biały,
Skruty zwitek papieru, raczêj listek mały...

(czyta)

Gdy z góry strzelił ciepły blask słońca,
Różyczka krasą wstydu płonąca,
Wonna pierś swoją rozwiła.
Ale dziewicy czy dość jêj kwiata,
Ażeby darem jego bogata,
Słodkim snem szczęścia zaśniła?
Bo ona piękna jak anioł z nieba:
Może jêj innych blasków potrzeba,
Korony pereł i złota?
Lecz czyż ich ciężar w dumania chwili
Śnieżnego czoło na dół nie schyli,
Gdy pierś podniesie tęsknota?
Weź więc, dziewico, weź kwiatek róży;
Kochanka słońca może wywróży
Szczęście tak skromne jak ona.
I w tajemniczêj jakiej godzinie
Pak wpół zbudzony w kwiat się rozwinie,

Przy drżącym rąbku u łona...

(do matki)

Widzisz, o widzisz mamó! on mnie kocha szczerze,
 On wiarę we mnie znalazł w serca swego wierze,
 I z tego świata fałszu, pozoru i mary,
 Woła mnie w świat miłości, prawdy i ofiary;
 W świat szczęścia i nadziei za sobą mnie wzywa.
 O mój Boże! ja dzisiaj zanadto szczęśliwa,
 Zanadto mi tu dobrze... Ach! jak mi twarz płonie;
 Chce mi się śmiać i płakać. Mamó, w twoje dłonie
 Utul mi trochę czoło, pocałuj mnie mamó,
 I powiedz, czy i z tobą działo się tak samo
 W podobnej jak ta chwili?

PUŁKOWNIKOWA (całując ją w czoło)

Drogie dziecko moje,
 Niech cię Bóg błogosławi!

HELENA (żywo)

W co ja się ustroję?
 W co ja się dziś ubiorę?... Chcę być bardzo piękną,
 Niechaj zdziwione tłumy u stóp moich kłękną,
 A ja tylko dla niego uśmiech mego lica,
 Dla niego wzrok mieć będę... Lecz wiem: czarownica
 Wnet oto na rusałki, służki moje, klasnę,
 Niechaj mi z głębi gajów przyniosą mgły jasne,
 I w wszystkie spadające gwiazdki je usicją,
 A będę mieć sukienki...

PUŁKOWNIKOWA (z uśmiechem).

Gdyby tak koleją
 Twoje rusałki wszystko przynosić ci chciały,
 Toby mi nieraz z głowy spadł kłopot niemały.
 Lecz wracając do rzeczy, czy ty chcesz, kochanie,
 Wziąć tę suknię gazową ze srebrem?

HELENA.

Ubranie
 Tak jasne, tak przejrzyste, jak dziś myśli moje.
 Mateczko! ja do szczęścia swojego się stroję...

PUŁKOWNIKOWA.

Tak... lecz to toaleta za zbyt świetna może,
 I za droga na dzisiaj...

HELENA (*jakby do siebie*).

Z tych pączków ułożę
 Wianek sobie na czoło. Lecz nie, pod ich wonią
 Nuż mi się nagle oczy srebrną łzą zasłonią,
 Nuż mi serce za żywo uderzy wśród łona,
 I zanadto szczęśliwa, nadto rozmarzona,
 Powiem mu głośno: kocham! Wreszcie ten tłum cały,
 Wszystkie ich oczy zimnym wzrokiemby padały
 Na te szczęścia mojego relikwie święcone.
 Nie, nie! gdybym z nich wzięła na czoło koronę,
 Jużbym w serca mojego świętości czy dumie,
 Nie umiała w bezdusznym obojętnych tłumie
 Uśmiechać się, i kłaniać, i kłamać z kolei.
 O kwiatku mój woniący! mój kwiatku nadziei!
 Wiem ja gdzie cię zaniosę: tam gdzie modły moje,
 Gdzie nieraz popłynęły cichych łez mych zdroje,
 Tam cię przed Matki Boskiej postawię obrazkiem.
 A gdy ja ludziom pójdę sztucznym lśnić się blaskiem,
 Ty się módl, kwiatku mały, za kobiece serce.
 Co się rwie w wiecznej z sobą i światem rozterce.

PUŁKOWNIKOWA.

Ale kochanie moje, ósma już dochodzi...

HELENA.

Ósma... jak to niekiedy czas szybko uchodzi,
A ja jeszcze nic nie wiem co włożyć na głowę?

PUŁKOWNIKOWA (*wskazując pudełko*)

Masz widzę złote kłosa, masz fuksje pąsowe.

Oj nie, nie, moja mamó. Wiem w owę Sobotę
Miałam wstążkę pąsową, miałam szpilki złote...
Wreszcie w téj serca mego świątecznej niedzieli,
Chciałabym błysnąć przed nim w takiej jasnej bieli,
Aby mu wszystkie inne zgasły przed oczyma.
Mateczko, wszakże Jakub nic już robić niéma?

PUŁKOWNIKOWA.

Zapewne, o téj porze... lecz cóż chcesz kochanie?

HELENA (*pieszczotliwie*).

Mamo. kwiatek kameliï daj mi na wiązanie,
Kwiatek biały i świeży, co swój wdzięk uroczy
Żywychem blasków odbiciem i na mnie roztoczy.

PUŁKOWNIKOWA (*niechętnie*).

Ale to już tak późno, Jakub nie pospieszy...

HELENA (*prosząc*).

Mamo, to nie zalotna próżność we mnie grzeszy,
I dzisiaj... dzisiaj tylko!... Mamo, ja zazdrosna!
A Manię stroić będzie lat szesnastu wiosna...

PUŁKOWNIKOWA.

Dziecko moje kochane, drogie moje życie,
Zaraz, zaraz posyłam; tylko należycie

Rozpowiedz Jakubowi — lecz nie, powiem sama,
A ty idź się ubierać.

HELENA (*całując ręce matki*).

Dobra, droga mama!
Ze swoją jedynaczką ma tyle kłopotów.

PULKOWNIKOWA.

Idź już, idź moje dziecko. Jeśli Jakób gotów,
Niechaj zaraz tu przyjdzie.

HELENA (*biorąc doniczkę*).

Chodź, mój gościu wdzięczny,
Gdzie cię cisza i promyk powita miśnieczny.

S c e n a VII.

PULKOWNIKOWA, potem JAKUB.

PULKOWNIKOWA (*patrząc smutnie za odchodzącą*).

Biędna moja dziecino! ty o szczęściu roisz,
Gonisz marę miłości i w kwiatki się stroisz;
Aż zawód pierś ci złamie, aż z rozdartém łonem
W uścisk starca upadniesz z sercem zakrwawioném,
A wtedy świat szyderstwa powita cię śmiechem
I w łzawe oczy rzuci zaprzędania grzéchem!...

JAKUB (*wchodząc*).

Już czekam, proszę pani.

PULKOWNIKOWA.

Mój dobry Jakubie,
Weź sanki i pręciutko, jak to wiesz ja lubię,

Przywieź od ogrodnika sześć kamelii kwiatów.

JAKUB (*kręcąc głową*).

Figiel będzie kosztował z jakie sześć dukatów.
Albo to już panienska nie ma dość tych strojów?
Raz po raz pudło jakie niosę do pokojów,
I jest tam tego chyba, jest pełno jak siana.
A przecież to za życia nieboszczyka pana
I pani była młoda, bywało się w świecie,
A jednak tyle grosza nie szło na rupiecie.

PULKOWNIKOWA.

Dziś widzisz inne czasy, inne obyczaje.

JAKUB.

Mnie się tak, proszę pani, na mój rozum zdaje,
Że każdy zastawiając się temi czasami,
Ciągnie się tylko marnie i sam siebie mami.
A gdyby tak, naprzykład dając, proszę pani,
Panienska dziś przypięła listeczek geranii,
Jak bywało za dawniej staropolskiej mody.
Czybyto, prawdę mówiąc, ubyłó urody,
Alboby téż kto mądry rzekł na to co złego?
Gdzie tam, jeszczeby w serce tknęło niejednego,
Że rozsądnie chowana i statecznie czyni,
Więc z czasem będzie w domu dobra gospodyni;
Bo to nikt, proszę pani, serca nie rozkraje,
A świat sądzi, jak człowiek na sąd się podaje.

PULKOWNIKOWA.

Może ty masz i słuszność, wierny słuگو stary.
Cóż mi przyniosły wszystkie troski i oflary?
Te kłopoty codzienne, te szpilkowe ranki,
Co po nocach biesiadnych truły mi poranki,
Ważąc dni upłynionych korzyści i straty?
Lecz nie czas teraz myśleć. Idź stary po kwiaty!...

(Jakub wychodzi, pułkownikowa zamysłona siada na kanapce. Po chwili milczenia wchodzi radca, wysoki i szlachetnej postawy, ale już na pół siwy starzec).

S c e n a VIII.

PUŁKOWNIKOWA, RADCA.

RADCA.

Wybacz pani, że dzisiaj przed wszystkimi spieszę.

PUŁKOWNIKOWA *(wstając żywo)*.

Właśnie, kochany radco, niezmiernie się cieszę,
Że nam się zdarza wolna chwila do rozmowy,
Bo mam ci wiele mówić...

RADCA *(biorąc ją za rękę)*.

Czy gorycz odmowy
Chcesz pani odziać w słodkie dobroci twój słowa?

PUŁKOWNIKOWA *(zakłopotana)*.

Nie radco, nie wiem sama czy to jest odmowa...
Bo chociaż się Helenka waha, ja od siebie
Proszę cię o czas zwłoki...

RADCA *(żywo)*.

O przez Boga w niebie!
Niech ją nic nie popycha, nie nagli w wyborze.
Może co w sercu... jaka słodka mara może?...

PUŁKOWNIKOWA.

A któreż dziewczę, radco, choć trocha nie marzy?
 Ale matczyne serce stoi tam na straży,
 I biędne dziecko swoje od upiorów broni.

RADCA.

I jestże tarcza na to?

PUŁKOWNIKOWA.

Już slysze ktoś dzwoni,
 Chodźmy ztąd, radco, przy twym zacnym charakterze,
 Mogę z tobą pomówić otwarcie i szczerze.

*(Wychodzą na prawo, po chwili major i Kaźmierz wchodzą
 głównemi drzwiami).*

S c e n a IX.

MAJOR i KAŻMIERZ.

KAŻMIERZ.

Mówiłem że zawcześnie, mówiłem majorze,

MAJOR.

A któż tam slyszał fioki stroić o téj porze!...

KAŻMIRZ.

Nota bene, gdy z funtem karmelków różowych
 Major przynosi tuzin życzeń już gotowych...

MAJOR.

A za to wszystko razem czeka na całusa.
 No cóż chłopcze, ten całus kaduczna pokusa,
 Bo usta jak koralki. Ale żart na stronę,
 Pocziwości dziewczyna, i po taką żonę
 Można w waszmości wieku pójść choćby przez morze.
 No cóż? stoim i milczym!...

KAŻMIERZ.

Słucham cię majorze.

MAJOR (*niecierpliwie*).

Słuchasz! słuchasz! nie można wiecznie słuchać bratku,
 I raz przecież przemówić trzeba na ostatku!...

(*wzruszając ramionami*)

Dalibóg, nie rozumiem tój dzisiejszój młodzi:
 Część fircyków, część głowy pospuszczawszy chodzi,
 Jakby im w żyłach nie krew płynęła, lecz woda.
 Dla takich bernardynów i młodości szkoda!

KAŻMIERZ.

Pan major nas biédaków niełaskawie sądzi.

MAJOR.

Bo sam przyznaj, mój Kaziu, kto z was dziś się rządzi
 Tym, z wiekową mądrością zrosłym obyczajem,
 Na którym stał kraj cały, a on snadź stał krajem?
 Ty na przykład: pocziwy chłopak co się zowie,
 Ciepło masz w męzkiej piersi, jasno w młodej głowie,
 A powiedz, czy wiek młody marnie ci nie płynie?
 Nie mógłbyś to już ojcem stać w zacnej rodzinie?

Nie mógłbyś to przez mężkiej duszy twój przymioty
 Stworzyć ogniska czystej, staropolskiej cnoty,
 Co roznosząc w cichości ożywcze swe ciepło,
 Ogrzałoby niejedno serce co dziś skrzepło?
 I gdzie ty sam, gdy zawód mężką pierś przełamie,
 Gdy w pracy bezowocnej utrudzi się ramię,
 Zaczerpnąłbyś sił nowych na to walki pole.

KAŻMIERZ.

Majorze!

MAJOR (*zapalając się coraz więcej*).

Słuchaj chłopcze, pocziwa kobieta
 To nie nowy trud w życiu, lecz hart i podnieta:
 Ona ci tarczę wiary da na losów burze,
 Ona z miękkiej swój piersi zbuduje przedmurze,
 By cię codziennej troski nie raniły szpilki,
 I jak w dzień letni białe, małe te motylki,
 Jasna i cicha płynąć będzie twoim śladem.

KAŻMIERZ (*z uśmiechem*).

Najwymowniej to pono każe się przykładem...

MAJOR (*kładąc mu rękę na ramieniu*).

Chłopcze! nie ten ksiądz tylko co chodzi w habicie.
 A przecież słuchaj: tu, w tej piersi przestrzelonej,
 Budzi się czasem taki żal niewysłowiony,
 Taka nieopisana dźwiękiem słów tęsknota...

(*machnąwszy ręką*).

Ale co tam... dębowe nie daleko wrota!...

KAŻMIERZ.

Przepraszam cię, przepraszam za mój żart, majorze!

MAJOR.

Nie mój chłopcze, mnie raczej w rozprawy ferworze
 Prysnęło za gorące na starego słowo.
 Lecz do naszej materyi wracając na nowo,
 Przyznaj, że to nie próżna zrzędy gadanina.
 I gdyby tak poczciwa jaka dziewczynina,
 Tak naprzykład Helenka?.. Cóż, spłoniony stoisz?
 Powiedz prawdę, jeżeli w ogień iść się boisz,
 Służę waści z pomocą, i ot, w imię Boże,
 Dziś w wieczór jeszcze wszystko ułożyć się może...

KAŻMIERZ.

Majorze! gdybyś wiedział co się dzieje we mnie...

MAJOR.

Wiem już, wiem — drzysz i pałasz, a wszystko tajemnie
 Ten twój sekret i ślepy dojrzałby, kochanku,
 Inaczéj takbym przecieź nie napadł cię z flanku,
 Biorąc gwałtem za kołnier; chociaż, mówiąc szczerze,
 Nie dla ciebie to czynię, mości kawalerze,
 Tylko żal mi dziewczyny: sercem lgnie nieboże...

KAŻMIERZ (*żywo*).

Sercem!... o gdybym tego pewny był majorze,
 Że ta postać uroczą, z spojrzeniem anioła.
 Ma w białej piersi serce, które kochać zdoła,
 Gdybym tego był pewny... mój Boże! mój Boże!
 Kiedy ją widzę czasem, jak w cichéj pokorze
 Składa dłoń do modlitwy, gdy pod mém spojrzeniem
 Słodkich jakichś uroków rozbłyska promieniem,

Gdy z srebrną łożką w oku starój pieśni słucha,
 Lub na śnieżystych skrzydłach niewieściego ducha
 Uczuciem tam dolata. gdzie siłą rozumu
 Ledwo się umysł mężki zdoła wzbić z nad tłumu:
 Zdaje mi się, że pęknie pierś szczęściem wezbrana,
 Że do jój nówek małych padnę na kolana.

MAJOR (*niecierpliwie*).

No, to czemuż nie padasz ?

KAŻMIERZ (*smutnie*).

Bo w téj samój chwili
 Dziewica polska w sztuczną lalkę się przesili,
 I płatkami błyszcząca, a blaskom tym rada,
 Tak jakoś lekka, do ich lekkości przypada,
 Ze już nie mam odwagi powiedzieć: chodź ze mną,
 Odtąd bogaci tylko miłością wzajemną,
 W pracy i walce będziem iść drogą ofiary:
 To co w tyle zostawiasz, to blichtry i mary...

MAJOR.

A przecież jestem pewny... pewny jak Bóg żywy!
 Bo to i dziecko dobre, i ród już poczciwy...

(*Chodzi wzruszony po pokoju; tymczasem Jakub, trzymając w ręku opięte w bibule kwiaty, zagląda przez drzwi główne*).

Scena X.

Ciż i JAKUB.

MAJOR.

A kolego!...

JAKUB (*prostuje się, salutując po wojskowemu*).

Do usług panu majorowi!

MAJOR.

Cóż tam słyhać na świecie? Iębscyśmy i zdrowi?
Gdy tak czasem z nienacka spojrzę się na wasze,
Zmartwychwstają mi nagle stare czasy nasze.

JAKUB (*usmiechając się*).

Wieczory biwakowe, stójki na widecie;
Mnie się to często gęsto wszystko bez sen plecie,
Rychtyg jakby na jawie, — niedaléj jak wczora
Skradłem Hiszpance kurę dla pana majora...

MAJOR (*wstrząsając go za rękę*).

Dziękujecie ci kolego — jeśli tłusta aby...
Bo wiesz co, lepiej było kraść u polskiej baby.
Ale cóż tam u licha piastujesz tak czule?
Może to owa kura schowana w bibule?

JAKUB (*cofając kwiaty*).

Aj! aj! panie majorze — kwiaty dla panienki!

(*uchylając papier*).

Na to się patrzeć tyło, a nie tknąć do ręki,
Takie te figle kruche — a kosztują panie,
Chłopskie dziecko rok cały chlébby jadło za nie.

MAJOR (gniewnie).

Bajesz, stary gaduło, bajesz jak na męce!

JAKUB.

Jużciż że baję, a tam spieszy się panience.

(wychodzi).

Scena XI.

MAJOR i KAŻMIERZ.

KAŻMIERZ.

Cóż majorze? słyszałeś co ten wiarus stary
 Powiedział, w swoim prostém poczuciu ofiary,
 O owych pięknych kwiatkach, któremi się stroi
 Wpół-francuzkich salonach skroń polskiej dziewoi?
 To był chleb dla głodnego chłopskiego dziecięcia,
 To ta kropla nauki, co do wniebowzięcia
 Przebudziłaby może duszyczki uspione!...
 I to niewiasty nasze, majorze, to one!

MAJOR *(zakłopotany)*.

No tak... ale bo widzisz, trudno to dziewczynie...

KAŻMIERZ.

Myśleć o takich fraszkach w balowej godzinie...
 Wiem, wiem o tém majorze-- żądałem za wiele,
 Już więcój się do takich rojeń nie ośmielę,
 I zamknąwszy je w piersiach, pójdę drogą moją.
 Niech nam panie tańczą, niech się pięknie stroją,
 A świat krzyczy, że młodzież zimna i zepsuta.

MAJOR.

Tfu, mój chłopcze! cóż znowu za szyderska nuta.

KAŻMIERZ.

Majorze! ja co teraz tak gorzko się śmieje,
 Przed chwilą, gdy mnie słodkie uniosły nadzieje,
 Zapłakałem jak dziecko łzą świętą i czystą,
 A łza gdy na kwiat rosą opadła srebrzystą,
 Posłałem jój go w darze, ten różany kwiatek.
 Ale to był za skromny, za ubogi datek,
 Bo paniom naszym trzeba świetniejszej korony,
 Niż kwiat domowy, ręką miłości spleciony!..

MAJOR.

Ależ bo konsekwencye ciagniesz jak jurysta.

KAŻMIRZ.

Nie majorze, rzecz smutna, ale oczywista,
 Że gdy bezmyślna lekkość, gdy próżność czy pycha
 Kobięty torem zbytku grzesznego popycha,
 Młodzież, która przed sobą świętsze widzi cele,
 Niżli garnięcie złota na szalu wesele,
 Młodzież ta dziś na mężów dla nich za uboga...
 A choć ciężko, samotnie pójdzie nasza droga,
 Ha! cóż robić?... miłości naszój im za mało...
 Widziałeś — na balowy wieniec jój nie stało!..

(W czasie ostatnich słów Kaźmirza, Helena w przejrzystej, srebrnemi gwiazdami usianej sukni, z bukietem kamelij we włosach i u piersi, wchodzi z lewej strony).

Scena XII.

Ciż i HELENA.

HELENA *(weselo podbiegając ku majorowi).*

Pan major dziś wyczekał się kochanki swojój.

MAJOR (*markotnie*).

Bo kochanka godzinę przed zwierciadłem stoi..

HELENA (*pieszczotliwie*).

Proszę, proszę mnie dzisiaj nie łajać majorze.

Ja dla pana majora chcę być piękną może.

MAJOR.

Oj, na ten raz, filutko, pewno ci uwierzę...

HELENA.

No, no, niechaj pan major tylko serca strzeże...
Bo to dziś wielkie, bardzo wielkie święto moje,
I we wszystkie godowe bogactwa się stroję...

KAŻMIERZ (*z cicha*).

W suknię z szychowych blaszek, skarby widać tanie,
Lecz nie — szczęście żywota można sprzedać za nie...

HELENA (*obracając się wesoto*).

Co? co, panie Kaźmierzu?

(*podając mu rękę*).

Dobry wieczór panu!

Czy pan jak Turek szepczesz sobie więrsz koranu,
Czy też życzenia dla mnie powtarzasz, jak wnoszę?..
Ja dziś bardzo szczęśliwa — winszować mi proszę...

C

KAŻMIERZ (*zimno*).

Pani! ja nie wiem czego życzyć ci wypada.

HELENA (*z smutnym podziwieniem*).

Pan nie wiesz? samo przecież w dźwięki się układa,
Co drży w piersiach, co w serca świętości się chowa.

(*Każmierz milczy*).

HELENA (*niespokojnie*).

Panie Kaźmierzu! kiedy w ustach milkną słowa,
Czasem... czasem wzrok dobre wypowieć życzenie...

KAŻMIERZ (*z głębokim ukłonem*).

Pani! mnie nazbyt świetne olśniły promienie...

HELENA (*patrząc mu przenikliwie w oczy*).

Prawda!... Pan masz wzrok słaby...

(*wstrząsa się*).

Dzisiaj mróz majorze...

MAJOR (*z pomieszaniem*).

Owszem, śnieg nieco pruszy, odwilż będzie może...

HELENA (*uśmiechając się z wysileniem*).

Odwilż! to bardzo pięknie...

(*przesuwa ręką po czole*).

Com ja mówić chciała?

Że śnieg pada — o sanna, to rzecz doskonała!
Można się ślizgać, ślizgać

(obrywa bukiet u piersi)

Można lecieć sobie...

MAJOR *(patrząc na nią z poh towaniem)*.

Dzięcię, kwiatów ci szkoda....

HELENA *(smutnie)*.

Prawda! co ja robię?...

Popsułam sobie bukiet...

(z coraz mocniejszym rozrzewnieniem)

Biędny kwiatku biały!
Twe listki jak marzenia młode obleciały,
Opadły jak nadzieje, jak sny nieziszczone!
Biędny! zawcześnie śnieżną wzięto ci koronę...

(Chwiejąc się siada i zastania twarz rękami).

MAJOR *(niespokojnie)*.

Co ci, co ci to, dzięcię? może wody? może...

HELENA *(zrywając się nagle)*.

A wybornie! wybornie! myślałeś, majorze,
Że ja płaczę po kwiatku? Oj głowa też, głowa!
Cóż to, boleść czy zawód kobiecie rzecz nowa?
I chcieć mnie wodą trzeźwić... tego już za wiele!...
Ale, ale, zapraszam panów na wesele,
Tylko niech się przybiore...

*

(Chwyta leżące na stolyczku kolie i usiłując zapiąć trzęsącemi rękami, szarpie je przy szyi, śmiejąc się spazmatycznie).

Ha! ha! jak się stroję!
Ha! ha! jak mi wesoło!...

PUŁKOWNIKOWA *(wpadając z prawej strony).*

Dziecię! dziecię moje!

(Helena pada na ręce podbiegającego Kaźmierza, który unosi ją drzwiami na lewo.

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Salon jak w pierwszym akcie, po lewej stronie stolik z papierami major Kaźmierz wchodzi.

Scena I.

MAJOR i KAŻMIERZ.

KAŻMIERZ.

Po coś tu mnie sprowadził? po co mnie majorze
Narażasz na jój widok, jój wzrok, uśmiech może?..

MAJOR.

No mój chłopcze, raz musisz zobaczyć ją przecie,
A lepiej tu, jak indziej między ludźmi w świecie.

KAŻMIERZ.

Lecz dzisiaj! dzisiaj właśnie! Nie,—szaleństwo robię;
 Bo miesiąc, to niedosyć by przetrawić w sobie
 Wszystko, co serce próżno zapomnieć się sili.
 Majorze! com ja uczuł w tej nieszczęsnej chwili,
 Gdy padła na me ręce jak kwiatek podcięty!..
 A gdy w jej pokoiku, pod obrazkiem świętej,
 Zobaczyłem nieszczęsnej onęj róży kwiecie,
 Wszystkom zrozumiał nagle, wszystkom pojał..

MAJOR.

Przecie....

Mądry Polak po szkodzie!...

KAŻMIERZ.

Majorze! majorze!
 Któż serce wyjąć z piersi i czytać w niem może?
 Któż na tkance domysłów szczęście swe bezpieczy,
 Kiedy loika czynów otwarcie im przeczy?

MAJOR.

Już to, Bogiem a prawdą, jest tu trochę winy,
 Najpierwéj pani matki, a potém dziewczyny,
 Że żyjąc tak z dnia na dzień za innych przykładem,
 Nie myślały gdzie mogą zajść tym owczym śladem.
 Lecz co tu próżno gadać, gdy rzecz już skończona!..
 Mężczyzn nieraz gubiła duma obrażona,
 A cóż serce niewieście tknięte tak boleśnie..

KAŻMIERZ (*gorzko*).

Zgoiło się majorze, zgoiło dość wcześnie..
 Ile radca zapisał?

MAJOR (*prostodusznie*).

A... już to wiesz o tém:
 Na spilki tysiąc czątych obrączkowém złotem,

A trzykroć sto tysięcy przy ślubnej umowie.
Słuchaj:

(czyta leżącą na stoliku intercyzę)

Na Żabiój Wólce, Borkach, Odrzynowie...

KAZMIERZ.

A majorze! cóż to mnie biédaka obchodzi,
Ile pani radczyni da radca dobrodziej?
Co mnie obchodzi?

MAJOR.

Sumka niezła na te czasy...

KAŻMIERZ *(niecierpliwie)*.

Wiem, wiem: będą koronki, brylanty, atłasy...

(W czasie ostatnich słów Kaźmierza, Helena w białym ślubnym stroju wchodzi głównemi drzwiami i słucha).

S c e n a II.

Ciż i HELENA.

HELENA *(szyderczo wesolym tonem)*.

Jak to pan wyśmienicie zgadłeś co ja lubię!...
Ponieważ do Paryża wyjeżdżam po ślubie,
Zrobię piękny zapasik przez wspomnienie pana...

(do majora przerzucającego papiéry)

A niedobry majorze! od samego rana
Czekam cię i wyglądam na ważną naradę:

Czy do kościoła, memi siwkami pojedę,
 Czy lepiej uprządz rady gniadosze wspaniałe?
 A kareta — widziałeś? cóż, pieścido całe!..

(do Kazmierza).

Wewnątrz wybita białym ljońskim aksamitem,
 Na wierzchu wszędzie złoto mięsza się z błękitem,
 Prawda, że te prześlicznie?

KAŻMIERZ.

Tak pani, przez życie
 Najgustowniej na białym jechać aksamicie.

HELENA.

Jak my dziś budująco zgodne mamy zdanie..

KAŻMIERZ (*kłaniając się*).

O! są rzeczy, na które nasze piękne panie
 Zawsze godzić się raczą..

HELENA.

Zwłaszcza doświadczone,
 Co już złudzeń czarowną rozdały załone,
 Ażeby w koło siebie spojrzeć prawdy okiem.
 Mój Boże! pod jak świętym nadziei urokiem
 Idzie na świat dziewczyna — z rumieńcem na twarzy
 I z cichą lezką w oku... O czém ona marzy?
 Co jej szepczą w snach czystych drgań serdecznych bicia?
 Co ona chce dać życiu?... co chce wziąć od życia?..

KAŻMIERZ.

Karetę z aksamitem, kozetkę w salonie;
 A jeżeli tam, broń Boże, zkąd ciepło zawionie,
 Aby rumieniec w gminne nie przekraśniał błyski,
 Flakon rzeźwiących perfum i wachlarz paryzki..

HELENA.

A... pan jeszcze przypuszczasz potrzebę wachlarza?..
Lecz to chyba młodziutkim dziewczątkom się zdarza,
Bo świat prędko nas chłodzi atmosferą swoją...

KAŻMIERZ (*smutnie*).

Prawda!.. Panie w gazowe sukienki się stroją...
A szkoda, szkoda przecież świętej iskry onej,
Ręką bożą w niewieścich piersiach roznieconej!
Szkoda téj ojców naszych staréj, dobrej doli,
Gdzie połowa tych cierpień, co dziś w piersiach boli,
Koiła się przy jasnym ognisku rodzinném...

HELENA (*żywo*).

O, wtedy inni ludzie i ten świat był innym:
Wtedy mężczyzna kochał, więc i w miłość wierzył...

KAŻMIERZ.

I jak do swego portu z ufnością doń mierzyl,
Bo mu była pomocą życia, a nie trudem.
Przezeń słomiana strzecha w niebo rosła cudem,
Aż dworek modrzewiowy wziął kształty świątnicy,
Gdzie pośród ścian bielonych czystej tajemnicy,
Pełniła się ofiara zacnego żywota.
A miłość, jak cudowna jakaś smuga złota,
Tak spromieniła wszystko żywém światłem swoim,
Ze szara nić domowa cudów lśniła strojem.

HELENA.

O tak, to było szczęście! szczęście takie święte,
Ze dzięki za nie, w ziemskie słowa nieujęte,
Stała niewiasta Bogu modłą drżącój lezki...

(*ukradkiem łzę ociera*).

XLI

KAŻMIERZ (*przybliżając się ku niej*).

Pani! perłę zgubiłaś z skarbonki niebieskiej....

HELENA (*z smutnym uśmiechem*).

O mam już dosyć pereł — zimne, chociaż lśniące...
To była raczej rosa... Dziecko ja marzące,
Tak mnie rozkołysały tych kilku słów czary,
Żem widziała przed sobą nawet dworek stary,
Nawet lipę zieloną ze świętym obrazkiem;
A pod lipą, przed zbytnim słońcącą się blaskiem,
Modliła się niewiasta — dziękowała Bogu,
Że jęj tak dobrze, cicho w domowym jęj progu,
Że jęj tak wonno, jasno w domowym jęj sadzie.
Nieboga! aż na serce obie ręce kładzie,
Aż łzy sznurkiem się toczą — Ach! bo teraz ona
Słodkie słowa szepnęła — teraz rozrzewniona
Prosi Boga, by z białym swym rąbkiem nad czołem
Była zawsze tęj cichęj zagrody aniołem;
By strzegła to co drogie, co słabnie podniosła,
W cieniu gwiazdką świeciła, w skwarze cieniem rosła.

KAŻMIERZ.

O! Bógby ją wysłuchał, wysłuchał był pewnie,
I te pióra anielskie, któremi powiewnie
Można lecieć ku niebu, nie zbiegłszy z swęj ziemi,
Bógby je dał niewieście.
O czemuż! czemuż skrzydła wybrała motyle,
I tylko nad poziomem już niemi migota,
I musi biędna szukać dla nich — pyłu złota?..

HELENA (*przyciskając ręce do czoła*).

Nie wiem... w cieniu gdzieś tęczy malowanka przysła!

KAŻMIERZ (*pochylając się ku niej*).

Jeszcze, jeszcze drży łezka co na rzęsach zwiśla,
 I może jeszcze dawne błysnie w niej widzenie?
 Może niewiasta w niebo podniosła spojrzenie?
 Może tęsknotą chmurki zdjęły ją srebrzyste?
 I zawołały na nią dawném jéj imieniem;
 Aż padła na tę ziemię z córki uściśnieniem
 I drżącemi ustami wysała z niej ciepło,
 A serce, co pod zimnem rogówki zakrzepło,
 Może drgnęło nareszcie?

HELENA (*ledwo wstrzymując łzy*).

Nie wiem panie Kaźmierzu! nie już nie wiem biedna!

MAJOR (*wstając od stolika, gdzie dotąd czytał*).

Coś jak radcy kareta stuknęło u bramy...

HELENA (*opamiętywając się*).

Mamo! dlaczegóż dotąd jeszcze niema mamy?

MAJOR.

Poproszę jéj tu zaraz, a za jedną drogą
 Wyrzrę na dół, lub raczêj posłê wyrzréc kogo.

(*wychodzi*).

S c e n a III.

HELENA i KAŻMIERZ.

(Chwila milczenia: Helena pomieszana bawi się zastoną ślubną, Kaźmierz staje przy oknie i przyciska czoło do szyby).

HELENA *(niesmiało)*.

Kto przyjechał?...

KAŻMIERZ.

Kto? nie wiem... wpatrzyłem się właśnie
Jak dziś słońce posępnie za chmurami gaśnie.

HELENA.

Jutro rankiem zaświeci...

KAŻMIERZ.

Jutro blaski nowe.
Od zachodu do wschodu czasem na połowę
Tak się rozłamie życie, że już niema siły,
Któraby te dwa brzegi, jak brzegi mogiły,
Zdołała spoić z sobą...

HELENA *(smutnie)*.

Prawda!.. jutro rano
Już moje dni dawniejsze w tym kątku nie wstaną,
Jutro już mnie świat nowy otoczy dokoła:
Nikt na mnie po imieniu dawném nie zawoła,
Dawnemi życzeniami nikt mnie nie powita.
I zanim znów to słońce na niebie zaświta,
Już wszystko inne, nowe muszę mieć nieboga,
Nawet dla snów marzenia i pacierz dla Boga!..

KAŻMIERZ (*z wyrzutem*).

A ja pani? cóż jutro zostawić mi może?
Chyba boleść wspomnienia...

HELENA.

Wspomnienia... mój Boże!
Ja biędna nawet tego z sobą wziąć nie mogę!..
Panie Kaźmierzu! na tę nową życia drogę
Wszystko dzisiaj pożegnać muszę po kolei:
Od tych cichych ścian starych, do łyzy, do nadziei,
Wszystko... Panie Kaźmierzu! podajmy dłoń sobie
Bez gniewu, bez goryczy, — jutro o tój dobie...

KAŻMIERZ (*chwytając ją za rękę*)

Ta dłoń będzie innego... jutro obcy ludzie
Uklonimy się sobie, gdy w salonów nudzie
Zejdziemy się, z świątecznym na ustach uśmiechem,
A jeżeli drgną nam serca — ten dreszcz będzie grzéchem!
Grzéchem będzie, gdy oczy zbiegną się ukradkiem,
Grzéchem ciche życzenie, ażeby przypadkiem
Spotkać się na ulicy... przejść około siebie...

HELENA.

Nie mów! nie mów pan dłużej! jest mój anioł w niebie..
Anioł-stróż serc niewieścich! Co wieczór, co rano
Będę się modlić biędna...

KAŻMIERZ.

Z twarzą zapłakaną
Co dzień będziesz wołała, aby Pan Bóg w tobie
Zabił to, co jest życiem. Czemu raczej w grobie,
Czemu się raczej w trumnę nie położyć żywa?

HELENA (*z płaczem*).

Cóż więc mam robić? co mam począć, nieszczęśliwa?..

KAZMIERZ (*gorzko*).

Nie wiem... Może się stroić w te pajęczę tkanki,
Z papieru cięte kwiatki, złożone gałganki,
Co na drodze niewieściej tak się świecą jasne,
Że biegnąc ku nim biędna, zdepcze szczęście własne,
Zdepcze serce kochane. i nie wie, niestety,
Czy ma się martwą lalką stać z żywej kobiety...
Ale ty płaczesz? Pani! Heleno! mój Boże!
Daruj mi... ja szaleniec! ja sam winien może!
Ja... świat... losy... czy ludzie... nie wiem kto rozrywa
Przez Boga i przyrodę związane ogniwa.
Nie wiem... cierpienie miota nazbyt gorzkie słowa,
Ukochana! stracona! bądź zdrowa! bądź zdrowa!..

HELENA.

Bądź zdrow!.. Czemużeś w serce kobiety nie wierzył?
Czemuś w nie iskrą ducha swego nie uderzył?
Czemuś mnie gwałtem twojej nie porwał potęgi
I z błękitów słonecznej nie rzucił mi wstęgi,
Abym za marnych cacek nie tęskna ozdoba,
Jak Beatrycza twoja w kraj światła szła z tobą?
Czemu, czemu Kaźmierzu? Wszak Bóg stworzył dwoje,
Aby szło przez żywota radości czy boję.

A ja kochałam przecież? O biada nam! biada!
 I temu co nie podniósł, i tój co upada;
 Biada nam! dzisiaj nasze rozchodzą się drogi
 Bądź zdrów, mój ideale piękny! śnie mój błogi!
 Bądź zdrów! bądź zdrów Kaźmierzu!.. Lecz nie! nie! nie
 Słowa tego wypłakać! Ratuj mnie niebogę! [moge
 Ratuj! z czoła mi zerwij piętno zaprzedanęj,
 Widzisz! widzisz! ja słaba!... ratuj ukochany!

KAŻMIERZ.

Tak! tak! o droga moja! we mnie moc i siła,
 We mnie dzielność być musi, by dwoje zbawiła.
 Tak! o moje pierś wsparta, mężtwem mojem zbrojna,
 Piękna bo kochająca, jasna i dostojna,
 Chodź ze mną w życie nowe, walk, pracy i trudu.

(chwytą ją w objęcia).

(W czasie ostatnich słów Kaźmierza, major staje we drzwiach głównych, za nim pułkownikowa).

Scena IV.

Ciż, MAJOR i PUŁKOWNIKOWA.

MAJOR *(z filuternym uśmiechem).*

A... pan radca troszeczkę zapóźnił się może,
 Cóż mościa dobrodziejko?..

PUŁKOWNIKOWA *(zakłopotana).*

Helenko! mój Boże!...

XLVII

HELENA.

Matko! o matko moja! daruj, ja szczęśliwa
Jak niewolnica, która nagle jarzmo zrywa,
Jak niewolnica, która zrzuca płaszcz sromoty,
Zrzuca kajdany swoje... Tak, pękł łańcuch złoty
Co mnie więził nieszczęsną w złud i próżni kole.
Matko moja! dłoń twoję połóż mi na czole,
Pobłogosław mi matko!

KAŻMIERZ.

Błogosław nas dwoje,
I krzyż zakresł nad nami—bo ja dziecko twoje
Biorę z sobą na życie pracy i ofiary,
Na życie obowiązku. Duch przeszłości starój
Niech się z ust twych odezwie tój tradycyi słowem,
Co strażnicą na progu siadała domowym,
I córkom ziemi naszej nie sztuczny blask kwiatku,
Nie koronę szychową podawała w spadku,
Ale wiarę i miłość, pracę i wytrwanie.
Tak, błogosław nas matko!..

MAJOR.

Amen! niech się stanie..
Niech się stanie, mój chłopcze: z cichój lzy chryzmatem
Matka już wam krzyż dała—idźcie bożym światem,
Idźcie młodzi i silni, a w tę drogę pono
Nie trzeba wam karety ze złotą koroną,
I aksamitem słanych poduszek nie trzeba.
Stary wiarus za wami wzniesie wzrok do nieba
I powie, szczęść im Boże... Lecz tfu! człowiek ino
Gotów tu zbabić z wami! (*ociera łzę*) Bukietów dziewczyno

XLVIII

Przecież ja družba jestem... No, śmiało i żwawo!..
Radcę biorę na siebie. Potem marsz i w prawo
Do kościoła, przed ołtarz. Mościa dobrodziejko!
Choć na to weselisko ruszym moją bryką,
Jeszcze to, Bogu chwała, nie tak źle się dzieje,
Dopóki serca dzieci naszych miłość grzeje.

Zaśłona spada.

KONIEC.

DNI GALOWE W CESARSTWIE ROSSYJSKIM I KRÓLESTWIE POLSKIM.

PIERWSZEGO RZĘDU.

Styczeń.

Dnia 13 (1), NOWY ROK Ruski, oraz Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Heleny Pawłówny*, i J. C. W. W. X. *Aleksieja Aleksandrowicza*.

Marzec.

Dnia 3 (19 Lutego), Pamiątka Wstąpienia na Tron Jego Ces. Kr. Mości N. ALEXANDRA II MIKOŁAJEWICZA.

Dnia 10 (26 Lutego), Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. ALEXANDRA ALEXANDROWICZA Następcy Tronu.

Kwiecień.

Dnia 29 (17), Rocznica Urodzin Jego Ces. Kr. Mości N. ALEXANDRA II MIKOŁAJEWICZA, i J. C. W. W. X. *Mikotaja Michatowicza*.

Sierpień.

Dnia 3 (22 Lipca), Imieniny Jój Ces. Kr. Mości N. MARJI ALEXANDRÓWNEJ, i J. C. W. W. X. *Marii Alexandrownej*, Córki Ich Ces. Kr. Mości, tudzież J. C. W. W. X. *Marii Mikotajewnej*, Wdowy po J. C. W. W. X. *Maksymiljanie Leuchtenberskim*.

Dnia 3 (22 Lipca) Dzień Imienin J. C. W. Cesarzewiczowej i Wielkiej Xiężny *Marii Teodorówny*.

Dnia 8 (27 Lipca), Rocznica Urodzin Jej Ces. Król. Mości N. MARJI ALEXANDRÓWNEJ, tudzież Rocznica Urodzin i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikotaja Mikotajewicza Starszego*, i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikotaja Mikotajewicza Młodszego*.

Wrzesień.

Dnia 7 (26 Sierpnia), Rocznica Koronacji Jego Ces. Kr. Mości N. ALEXANDRA II MIKOŁAJEWICZA, i Jój Ces. Kr. Mości N. MARJI ALEXANDRÓWNEJ. Dnia 11 (30 Sierpnia), Imieniny Jego Ces. Kr. Mości N. ALEXANDRA II MIKOŁAJEWICZA, i J. C. W. W. X. ALEXANDRA ALEXANDROWICZA, Następcy Tronu, oraz Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Olgi Mikotajewnej*, Małż. J. K. M. Króla Wirtembergskiego, i Święto orderu S. Aleksandra Newskiego.

Listopad.

Dnia 26 (14 Listopada) Dzień Urodzin J. C. W. Cesarzewiczowej i Wielkiej Xiężny *Marii Teodorówny*.

DRUGIEGO RZĘDU.

Styczeń.

Dnia 3 (22 Grudnia), Imieniny J. C. W. W. X. *Anastazji Michatówny*.

Luty.

Dnia 15 (3), Rocznica Uro. J. C. W. W. X. *Mikotaja Konstantynowicza*, oraz święto orderu Św. Anny.

Dnia 16 (4), Roczn. Uro. J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynówny*.

Kwiecień.

Dnia 15 (1) Kwietnia Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Alexandra Michatowicza*.

Dnia 22 (10), Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza*.

Maj.

Dnia 5 (23 Kwietnia), Imieniny J. C. W. W. X. *Alexandry Józefówny*, Małżonki J. C. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza*, i J. C. W. W. X. *Alexandry Petrówny*, Małż. J. C. W. W. X. *Mikotaja Mikotajewicza*.

Dnia 11 (29 Kwietnia), Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Sergjusza Alexandrowicza*.

Czerwiec.

Dnia 1 (20 Maja), Imieniny J. C. W. W. X. *Aleksieja Aleksandrowicza*.

Dnia 2 (21 Maja), Imieniny J. C. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza*, J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza*, i J. C. W. W. X. *Heleny Pawłówny*, oraz Roczn. Uro. J. C. W. W. X. *Alexandry Petrówny*.

włówny, oraz Roczn. Uro. J. C. W. W. X. *Alexandry Petrówny*.

Lipiec.

Dnia 1 (19 Czerwca), Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

Dnia 8 (26 Czerwca), Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Alexandry Józefówny*, Małżonki J. C. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza*, i Imieniny J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

Dnia 11 (29 Czerwca), Imieniny J. C. W. W. X. *Paula Alexandrowicza* i *Piotra Mikotajewicza*.

Dnia 13 (1), Rocznica Urodz. J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza*.

Dnia 17 (5), Imieniny J. C. W. W. X. *Sergjusza Alexandrowicza*.

Dnia 23 (11), Imieniny J. C. W. W. X. *Olgi Mikotajewnej*, Małżonki J. K. M. Króla Wirtembergskiego, J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynówny*, i J. C. W. W. X. *Olgi Fedorówny*.

Dnia 27 (15), Imieniny J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza*, i Roczn. Uro. J. C. W. W. X. *Anastazji Michatówny*.

Sierpień.

Dnia 18 (6), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Marii Mikotajewnej*, Wdowy po J. C. W. W. X. *Maksymiljanie Leuchtenberskim*.

Dnia 22 (10), Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza*.

Dnia 23 (11), Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Jerzego Michatowicza*.

Dnia 28 (16), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Katarzyny Michatówny*.

Wrzesień.

Dnia 3 (22 Sierpnia), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynówny*.

Dnia 20 (8), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Olgi Fedorówny*.

Dnia 21 (9), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Konstantyny Mikotajewicza*.

Dnia 23 (17), Imieniny J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynówny*.

Październik.

Dnia 3 (21 Września), Roczn. Urodzin J. C. W. W. X. *Paula Alexandrowicza*, i Imieniny J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

Dnia 4 (22 Września), Święto orderu Św. Równo Apostolskiego X. Włodzimierza.

Dnia 10 (28 Września), Imieniny J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza*.

Dnia 17 (5), Rocznica Urodz. J. C. W. W. X. *Marii Alexandrownej*, córki Ich Ces. Kr. Mości i J. C. W. W. X. *Michała Michatowicza*.

Dnia 25 (13), Rocznica Urodzin J. C. W. W. X. *Michała Mikotajewicza*, i Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Michała Michatowicza*.

Listopad.

Dnia 18 (6), Roczn. Urodz. J. C. W. W. X. *Mikotaja Mikotajewicza Młodszego*.

Dnia 20 (8), Imieniny J. C. W. W. X. *Michała Mikotajewicza*, i J. C. W. W. X. *Michała Michatowicza*, tudzież Święto wszystkich CESARSKO-Rossyjskich Orderów.

Grudzień.

Dnia 6 (24 List.), Im. J. C. W. W. X. *Katarzyny Michatówny*, i Św. Orderu Ś. Katarzyny W. Męcz.

Dnia 8 (26 List.), Święto Ord. Ś. Jerzego W. Męcz. i Imieniny W. X. *Jerzego Michatowicza*.

Dnia 12 (30 List.), Święto Ord. Ś. Andrzeja Ap.

Dnia 18 (6), Imieniny J. C. W. W. X. *Mikotaja Konstantynowicza*, i J. C. W. W. X. *Mikotaja Michatowicza*.

Święta Ruchome na Rok 1867.

Rzymsko-Katolickie.

Niedziela Starozapustna . . .	17 Lutego
Niedziela Mięsozapustna . . .	24 Lutego
Niedziela Zapustna	3 Marca
Popielec	6 Marca
Wielkanoc	21 Kwietnia
Krzyżowe dni	27, 28 i 29 Maja
Wniebowstąpienie Pańskie .	30 Maja
Zielone Świątki	9 Czerwca
Świętej Trójcy	16 Czerwca
Boże Ciało	20 Czerwca
Niedziela 1 Adwentu	1 Grudnia

Kościół-Wschodniego.

Niedziela Mytara i Farisicja.	5 Febrała
Niedziela Mięsozapustna . . .	19 Febrała
Niedziela Syropostnaia	26 Febrała
Niedziela Werbnaia	9 April
Woskresenie Christ	16 April
Woznoszenie Hosp	25 Maia
Soszes. S. Ducha	4 Juni
1 Petrowa Posta	12 Juni

Mięsozapustu rachując od Nowego Roku do Popielca tygodni 9 i dni 2.

Suche dni.

Pierwsze 13, 15 i 16 Marca, drugie 12, 14 i 15 Czerwca, trzecie 18, 20 i 21 Września, czwarte 18, 20 i 21 Grudnia.

Cztery pory roku astronomiczne.

Wiosna zaczyna się	21 Marca	o godzinie	3,	minut	45	rano.
Lato	" "	22 Czerwca	"	0,	"	17 wieczór.
Jesień	" "	23 Września	"	2,	"	32 wieczór.
Zima	" "	22 Grudnia	"	8,	"	21 rano.

Z a ć m i e n i a.

W roku 1867 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa księżycy, z tych tylko pierwsze zaćmienie słońca i drugie księżycy u nas widzialne będą.

I. Zaćmienie słońca cząstkowe dnia 6 marca widzialne w ogóle w całej Europie. Dla Warszawy początek zaćmienia nastąpi o godzinie 9 minut 56 sekund 33 rano, koniec o godzinie 12 minut 44 sekund 17 rano; wielkość zaćmienia 11 cali.

II. Zaćmienie słońca całkowite dnia 29 Sierpnia widzialne w większej części południowej Ameryki i w bardzo małej części południowej Afryki.

I. Zaćmienie cząstkowe księżycy dnia 20 Marca widzialne w Ameryce a przy końcu swego trwania i w Australii.

II. Zaćmienie księżycy cząstkowe dnia 14 Września widzialne przez całe trwanie w Europie. Dla Warszawy początek zaćmienia nastąpi o godzinie 0 minut 21 rano, koniec o godzinie 3 minut 19 rano.



STYCZEŃ (JANWAR) ma dni XXXI.

Dzień	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
W. 1	Nowy Rok 1867. Fulgen	20 DEK. 1866. Ichnatia	20 GRUD. 1866. Teofila M.
S. 2	Makarego Opata	21 Julianii M.	21 Tomasza Apost.
C. 3	Daniela M. i Genowefy	22 Anastasii Wel. M.	22 Zenona i Flawia. MM.
P. 4	Tytus B.	23 Feođuła M.	23 Wiktoryi Panny
S. 5	† Telesfora P. i Emiliany	24 Ewhenii M.	24 <i>Wigilia</i> Adama i Ewy
N. 6	Trzech Króli	25 Rozdestwo Chryst.	25 Narodzenie Ch. P.
P. 7	Lucyana i Emiliana	26 Sobor Pr. Bohor.	26 Szczepana 1 Męcz.
W. 8	Seweryna Opata	27 Stefana 1 Mucz.	27 Jana Ewangelisty
S. 9	Marcjanny P. i M.	28 SS. 20,000 MM.	28 Młodzainków
C. 10	Agatona P. i Wilhelma	29 SS. 14,000 MM.	29 Tomasza Kantuaryjs.
P. 11	Higina P.	30 Anisii M.	30 Eugeniusza B. i Daw. K.
S. 12	Arkadyusza N. i Honor.	31 Melanii P. S. M.	31 Sylwestra P.
N. 13	<i>Ipo 3 K.</i> Weroniki P. i Golf.	1 JAN. 1867 Ob. Hosp.	1 Stycz. 1867 Nowy R.
P. 14	Hilarego B. i Felixa M.	2 Silwestra Papy	2 Makarego Op. i Marc.
W. 15	Pawła 1-go Pustelnika	3 Małachii Prorok.	3 Daniela M. i Genow. P.
S. 16	Marcela P. i Ottona	4 Sobor SS. 70 Apost.	4 Tytusa i Grzegorza BB.
C. 17	Antoniego Opata	5 † Naw. Boh. Fteopem	5 † Telesfora P. i Emili.
P. 18	Kated. S. Piotra w Rzym.	6 Bohai Hospodnie	6 Trzy Króle
S. 19	Henryka B. M. i Kanuty	7 Sobor S. Joanna Pred.	7 Lucyana M. Teodora
N. 20	<i>2 po 3 K.</i> Im. Jezusa Fab. Sab.	8 <i>N. po Boh.</i> Heorhia P.	8 <i>Ipo 3 K.</i> Seweryna Op.
P. 21	Agnieszki P. i M.	9 Poliewkta S. M.	9 Marcjanny P. i M.
W. 22	Wincentego i Anastazego	10 S. Hrihorja Ep.	10 Jana Dobrego i Wil. B.
S. 23	<i>Zaślubienie N. M. P. Ildef.</i>	11 Fteodosia Wel.	11 Higina i Teodozyu. W
C. 24	Tymoteusza i Felcyana BB	12 Tatiany S. M.	12 Ąrkadyusza i Hono.
P. 25	Nawrócenie S. Pawła	13 Jermiła M.	13 Weroniki P. i Godfri. B
S. 26	Polikarpa B. M.	14 SS. Otecz. w Sinaj.	14 Hilarego B. i Felixa M.
N. 27	<i>3 po 3 K.</i> Jana Chryzost.	15 <i>N. 30 po S.</i> Pawła Prop.	15 <i>2 po 3 K.</i> Im. Jezusa i Paw.
P. 28	Karola W. Czes.	16 Werichii S. Petra.	16 Marcellego P. i Otto. P.
W. 29	Franciszka Salezego	17 Antonia Welik.	17 Antoniego Opata
S. 30	Martyny P. M.	18 Afanasia i Kirilla	18 Katedry S. Piotra w R.
C. 31	Piotra Nolaski W.	19 Makaria Ehip. Prep.	19 Kanuta Kr. i Hen. B. M

Dnia	Wschód słońca	Zachód słońca	Długość dnia	Przyby- to dnia
	Godziny i Minuty			
1	8 12	3 56	7 44	0 6
5	8 11	4 0	7 49	0 11
10	8 9	4 7	7 58	0 20
15	8 5	4 15	8 10	0 32
20	8 0	4 23	8 23	0 45
25	7 54	4 32	8 38	1 0
30	7 47	4 41	8 54	1 16

Odmiany Księżyca.

☾ Nów d. 6 o g. 1 m. 54 r. wiatr mroźny z pogodą.
☽ Piér. kwa. d. 13 o g. 5 m. 58 w. pogodnie i mroźne dni.

☾ Pełnia d. 20 o g. 9 m. 0 r. mroźne i wilgotne dni.
☽ Ostat. kwa. d. 27 o g. 4 m. 11 w. wiatr i później pogoda.

Święta Żydowskie.

Dnia 5, 12 i 19 Szabas, d. 21 Chamyszusar, d. 26 Szabas.



LUTY (FEWRAL) ma dni XXVIII.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
P. 1	† Ignacego B. M.	20 JAN. Emfimia	20 Stycz. Fab. i Seb. MM.
Ś. 2	Oczyszczenie N. M. P.	21 Maxima Ispow.	21 Agnieszki P. M.
W. 3	4 po 3 K. Błażeja B. M	22 <i>N. 31 po S.</i> Timofeja Ap	22 3 po 3 K. Wincen. i Ana.
P. 4	Answarego i And. BB.	23 Klimenta Ep.	23 <i>Zasłub.</i> N. M. P. Ild. M.
W. 5	Agaty P. M	24 Xenii Pr.	24 Tymoteusza B. M.
S. 6	Doroty P. M. i Teofila	25 Hrihoria Boh.	25 Nawrócenie S. Pawła
C. 7	Romualda Opata	26 Xenofonta Prep.	26 Polikarpa B. M. i Pa. W.
P. 8	Jana z Matty	27 Joanna Złotou.	27 Jana Chryzost. B. O. K.
S. 9	Apolonii P. M.	28 Jefrema Prep.	28 Karola i W. i Rajmunda
N. 10	5 po 3 K. Scholastyki P.	29 <i>N. 32 po S.</i> Ihnatia	29 4 po 3 K. Franciszka Sal.
P. 11	Eufrozyny P. i Lucina	30 Trech Światł	30 Martyny P. M.
W. 12	Gaudentego B. W.	31 Kira i Joanna Cz.	31 Piotra Nolaska W.
S. 13	Juliana i Jordana MM.	1 FEWRAL. Trifona	1 † Lutego, Ignace. B.
C. 14	Walentego Kap. M.	2 Srietenie Hosp.	2 Oczyszcze. N. M. P.
P. 15	Faustyna M.	3 Simeona i Anny	3 Błażeja B. M.
S. 16	Julianny P. M.	4 Isidora Pił.	4 Weroniki Panny
W. 17	<i>Starozapustna</i> Syl. B. i Don.	5 <i>N. Myt. i Far.</i> Ahafił M.	5 5 po 3 N. Agaty Panny
P. 18	Kanstantego	6 Wukoła Episk.	6 Doroty P. i Teofila M.
W. 19	Konrada W.	7 Parfenia Prep.	7 Romualda Opata
S. 20	Eucharjusza i Leona	8 Fteodora Strat.	8 Jana z Matty W. i Mar.
C. 21	Eleonory P.	9 Nikifora Mucz.	9 Apolonii P. M.
P. 22	Katedry S. Piotra w Ant.	10 Charalampia M.	10 Scholastyki Panny
S. 23	Romany P.	11 Własia i Wsiewoł. S. M.	11 Hippolita i Eufrozyna
N. 24	<i>Mięsopustna</i> Macieja Ap.	12 <i>N. Błud.</i> Meleta A. i Ale.	12 <i>Starozap.</i> Gauden. i Mo.
P. 25	Leonarda	13 Martiniana Prep.	13 Juliana M. i Katarzy. P.
W. 26	Alexandra B. i Fort.	14 Awksentia Prep.	14 Walentego Kap. M.
S. 27	Anastazyi P. i Leona	15 Onisima Ap.	15 Faustyny i Jowity MM.
C. 28	Romana Opata	16 Pamfła i Potfinia	16 Julianny Panny

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Przyby- to dnia	
	1	2	3	4	5	6	7	8
	Godziny i Minuty							
1	7	45	4	45	9	1	1	23
5	7	37	4	52	9	15	1	37
10	7	28	5	2	9	34	1	56
15	7	18	5	11	9	53	2	13
20	7	8	5	20	10	12	2	34
25	6	58	5	30	10	32	2	54
28	6	51	5	35	10	44	3	6

Odmiany księżycza.

- ☾ Nów d. 4 o g. 7 m. 40 w. wiatry nocne na odmianie
- ☾ Piér. kwa. d. 12 o g. 3 m. 4 r. niestała pogoda deszcz i mgła.
- ☾ Pełniad. 18 o g. 9 m. 5 w. wyjaśnia się na pogodę.
- ☾ Ostat. kwa. d. 26 o g. 0 m. 55 w. zawierucha z śniegiem.

Święta Żydowskie.

Dnia 5 Roschodes, d. 6 I Ador, d. 9, 16 i 23 Szabas.



MARZEC (MART) ma dni XXXI.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic podług starego Kalenda.
P. 1	Albina B.	17 FEWRAL. Fteodora	17 LUTY. Sab. B. i Sylwi
S. 2	Heleny Ces. i Amelii	18 Lwa Papy. Rim.	18 Konstancyi P. i Sym. M.
N. 3	Zapustna. Kuneg. Ces.	19 N Miasopust. Archi. A.	19 Mięso-pust. Konrada W.
P. 4	Kazimierza Królewicza	20 Lwa Ep. Katan.	20 Leona Pap.
W. 5	Teofila B. i Frider. Op.	21 Timofeja Prep.	21 Eleonory Panny
S. 6	† Popielec. Wiktora M.	22 Petra Prep. Mist.	22 Kated. S. Piotra, w Ant.
C. 7	Tomasza z Akwinu W.	23 Polikarpa S. M.	23 Florente. W. i Dama. B.
P. 8	Jana Bożego	24 Obr. Hl. S. Joanna	24 Macieja Apostoła
S. 9	Franciszka Rz. Cyryla	25 Tarasia Ar. Kona.	25 Sygryda B. M.
N. 10	Wstępna. 40 SS. Męczen.	26 N. Staropust Porfiria	26 Zapustna. Alexand. M.
P. 11	Eulogiusza Kap. i Kon.	27 Prekopia Prep.	27 Anastazego P. i Leon. B.
W. 12	Grzegorza Papierza	28 Wasilia Prep.	28 Romana Opata
S. 13	† Nicefora B. i Modesty	1 MART. Ewdokii	1 MARZEC. Popiel. Alb. B.
C. 14	Matyldy Król. Wd.	2 Feodota S. M.	2 Heleny Cesarzowy
P. 15	† Longina	3 Ewtropia M.	3 Kunegundy Kr.
S. 16	† Cyryak i Dyaka	4 Herasima Prep.	4 Kazimierza Królew.
N. 17	Sucha. Gertrudy P.	5 N. I. Posta. Konona S. M.	5 I. t. Wstępna. Frydery.
P. 18	Gabryela Arch.	6 SS. 42 Mucz.	6 Wikora i Wiktoryna
W. 19	Józefa Oblubieńca N. M. P.	7 Wasilia S. M.	7 Tomasz z Akwiau W.
S. 20	Archipa W.	8 Feofilakta Prep.	8 † Jana Bożego
C. 21	Benedykta Opata	9 SS. 40 Mucz.	9 Franciszki Raymian.
P. 22	Pawła B.	10 Kodrata Mucz.	10 † 40 Męczenników
S. 23	† Katarzyny Kr. Szwedz.	11 Sofronia Pat. J.	11 † Konstancya W.
N. 24	Głucha. Mar. i Tym. MM.	12 N. 2 Posta. Feofana Pr	12 2 P. Sucha. Grzego. P.
P. 25	Zwiasutowanie N. M. P.	13 Nikofoza Patr.	13 Nicefora B. i Krysty. P.
W. 26	Ludgiera Bis.	14 Wenedikta Prep.	14 Zacharyasza i Mat. M.
S. 27	Rupert a i N. M. P. Bolesny	15 Ahapia S. M.	15 Izabeli i Leontyny
C. 28	Syxta III P. i Doroty	16 Sawina S. M.	16 Cyryaka i Tacyana M.
P. 29	Cyryla Dyak.	17 Alexia Czel. Bożyja	17 Gertrudy Panny
S. 30	Kwiryna M. i Angieli	18 Kirilla Patr. Jeo.	18 Gabryela Archaniola
N. 31	Srodopust. Bal. i Kor. MM.	19 N 3 Posta. Chisanfa	19 3 P. Głu. Józ. Ob. NMP

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Przyby- to dnia
	1	2	3	4	5	6	
	Godziny i Minuty						
1	6	49	5	37	10	48	3 10
5	6	40	5	44	11	4	3 26
10	6	29	5	53	11	24	3 46
15	6	17	6	2	11	45	4 7
20	6	5	6	11	12	6	4 28
25	5	54	6	19	12	25	4 47
30	5	42	6	27	12	45	5 7

Odmiany Księżyca.

- ☉ Now d. 6 o g. 11 m. 2 r. wiatr ostry i zimny.
- ☽ Piér. kwa. d 13 o g. 10 m. 11 r. niestałe powiet.
- ☾ Pełnia d. 20 o g. 10 m. 19 r. mroźno i śnieg.
- ☽ Ost. kwa. d. 28 o g. 9 m. 10 r. pogoda i zimno.

Święta Żydowskie.

Dnia 2 Szabas, d. 7 Roschodesz, d. 8 i Wzader, d. 9 i 16 Szabas, d. 20 Post Estery d. 21 Pury m pamiętkę list Hamana, d. 22 Suszan Puri m d. 23 i 30 Szabas.



KWIECIEŃ (APREL) ma dni XXX.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic podług starego Kalendra
P.	1 Hugona B. i Teodory	20 MART. PP. Otec.	20 MARZEC. Eufemii M.
W.	2 Franciszka a Paulo	21 Jakowa Prep.	21 Benedykta Opata
S.	3 Ryszarda i Pankracego	22 Wasilia S. M.	22 Pawła i Oktawijana
C.	4 Izydora B.	23 Nikona Prep. M.	23 Katarzyny Kr. Szwedz.
P.	5 Wincentego	24 Zacharii Prep.	24 † Marka i Tymoteu.
S.	6 Celestyna Pap.	25 Błah. Pr. Boh.	25 Zwiastowa. N.M.P.
N.	7 <i>Biała.</i> Epifaniasza B.	26 <i>N. 4</i> Posta Sobor Arch.	26 <i>4 P. Srodo postna</i> Teod.
P.	8 Dyonizego B.	27 S. Matrony Seł.	27 Jana Pust. i Ruperta B.
W.	9 Maryi Kleofy	28 Itariona Pr.	28 Syxta Pap.
S.	10 Ezechiela Pror.	29 Marka Prep.	29 Eustachego i Cyrylla
C.	11 Leona Pap.	30 Joanna Prep.	30 Kwiryne M.
P.	12 Juliusza Pap.	31 Ipatia Prep.	31 Kornelii M. i Balbiny P.
S.	13 Hermenegilda	1 APREL. Marii i Ehip.	1 KWIECIEŃ. Teodory M.
N.	14 <i>Kwietnia.</i> Tybur. i Waler.	2 <i>N. 5</i> Posta Tita Prep.	2 <i>5 P. Biała.</i> Francisz. a P.
P.	15 Bazyljusa i Anastazyi	3 Nikity Ispow.	3 Ryszarda Bis.
W.	16 Lamberta M.	4 Jodifa Piesnop.	4 Izydora Bis.
S.	17 Rudolfa B.	5 Feodula S. M.	5 Wincentego Fereryu.
C.	18 <i>Wielki.</i> Apolonjusza M.	6 S. Ewtichia Ar.	6 Wilhelma Op. i Celesty.
P.	19 <i>Wielki.</i> Hermogenesa M.	7 Heorhia Prep.	7 <i>N.M.P. Bolesnej</i> Epifa.
S.	20 <i>Wielka.</i> Sulpicyusza.	8 Irodiona Ap.	8 Dyonizego Bis.
N.	21 Wielkanoc. Anzelma B.	9 <i>N. Werb.</i> Ewpsichia S.	9 <i>6 P. Kwietnia</i> Maryi Eg.
P.	22 Wielkanoc. Sotera i Ka.	10 Terentia S. M.	10 Ezechiela Proroka
W.	23 Wojciecha B. i Jerzego	11 Antypy S. M.	11 Leona Papieža
S.	24 Bony P. i Fidelisa K.	12 Wasilia Ep.	12 Juliusza Pap. i Kon.
C.	25 Marka Ewangelisty	13 <i>Cz. Welik.</i> Artemona S.	13 <i>Wiecz. Pańska</i> Justyna
P.	26 Marcelina	14 <i>Piat. Welik.</i> Martina	14 <i>Wielki</i> Walerego M.
S.	27 Teofila B.	15 <i>Sab. Welik.</i> Aristar. Ap.	15 <i>Wielka</i> Anastazego
N.	28 <i>Przewodnia.</i> Witalisa M.	16 Woskr. Christ. Ahi.	16 Zmart. Pań. Lamb.
P.	29 Piotra M.	17 Pon Swietly Sim. P.	17 Wielkanocny Rud.
W.	30 Katarzyny Seneń. P.	18 Wt. Swietly Joan. P.	18 Apoloniusza M.

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Przybyło dnia		
	1	5	6	31	12	54	5	16	
	5	5	28	6	38	13	10	5	32
10	5	17	6	47	13	30	5	52	
15	5	5	6	56	13	51	6	13	
20	4	55	7	4	14	9	6	31	
25	4	44	7	13	14	29	6	51	
30	4	34	7	21	14	47	7	9	

Odmiany Księżyca.

- ☉ Nów d. 4 o g. 11 m. 28 w. wiatr z deszczem.
- ☽ Piér. kwa. d. 11 o g. 3 m. 33 w. zimno i pogoda.
- ☾ Pełnia d. 19 o g. 0 m. 30 r. niestała pogoda.
- ☾ Ost. kwa. d. 27 o g. 3 m. 26 r. zimny wiatr i deszcz.

Święta Żydowskie.

Dnia 6 i Nison i Szabas, d. 13 Szabas, d. 20 i 21 Ś-ta Wielkanocne, d. 22, 23, 24 i 25 Chahamoet czyli Wolne Święta, d. 26 i 27 Ostatnie Ś-ta Wielkanocne.



MAJ (MAJ) ma dni XXXI.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
S.	1 Filipa i Jakóba Ap.	19 APRIL. Pr. Joanna	19 KWIECIEŃ. Wenera
C.	2 Anastazego B. i Zygma.	20 Prep. Feodora	20 Symplicyusza i Agn.
P.	3 Znalezienie Śgo Krzyża	21 Jannuaria M.	21 Anzelma Bisk.
S.	4 Floryjana M. i Moniki	22 Prep. Feodora	22 Sotera i Kaja MM.
N.	5 2 po W. Piusa V Pap.	23 N. Flomy Heorh. W. M.	23 Przewod. Wojcie. B. M.
P.	6 Jana w Oleju	24 Sawwy Stratil.	24 Fidelisa z Sygmaryn.
W.	7 Domiceli P.	25 Marka Ap. i Ewan.	25 Marka Ewangelisty
S.	8 S-go Stanisława	26 Wasilia Ep. i Am.	26 Marcellego i Kleta P.
C.	9 Grzegorza B. M.	27 Simeona S. M.	27 Anastazego i Feofi. M.
P.	10 Izydora	28 Jasona Ap.	28 Witalisa M.
S.	11 Mamerta B.	29 SS. 9 Mucz. w Kiz	29 Piotra M.
N.	12 3po W. Pankr. M. Op. ś. Józ.	30 N. Miron. Jakowa Ap	30 2po W. Grobu Chr. Kata.
P.	13 Serwacego Bis.	1 MAJ. Iremii Pro.	1 MAJ. Filipa i Jakób. O.
W.	14 Bonifacego M.	2 S. Afanasia W.	2 Atanazego B. Oj. Kon.
S.	15 Zofii z 3 córkami	3 Timofeja S. Mucz.	3 Znalezienie S. Krzyża
C.	16 Jana Nepomucena i Ubal.	4 Pełahii Prep. M.	4 Floryjana M. i Moniki W.
P.	17 Paschalisa	5 Iriny Mucz.	5 Piusa V. P. i Gotarda B.
S.	18 Eryha Kr. i Felixa!	6 S. Jowa Mnohost.	6 Jana w Oleju
N.	19 4po W. Piotra Celesty. Pap.	7 N. Razst. Znam Kresdt.	7 3po W. Opieki S. Józefa
P.	20 Bernarda Senen.	8 S. A. Joanna Boh.	8 S-go Stanisława
W.	21 Donata i Wiktora MM.	9 Nikolaja Czud.	9 Grzegorza Wiel. B.
S.	22 Julii P. M.	10 Simona Zilota Ap.	10 Izydora Oracza i Anto.
C.	23 Dezyderyusza	11 Mokia S. M. Kirilla	11 Beatryxy P. i Mamer. B.
P.	24 Joanny	12 Epifania	12 Pankracego M. i Nere.
S.	25 Grzegorza VII.	13 Hlikierii S. M.	13 Serwacego B.
N.	26 5 po W. Filipa Nereyusza	14 N. Samar. Isidora S. M.	14 4po W. N. M. P. Łaskaw.
P.	27 † Magdaleny i Bedy.	15 Pachomia Wielik.	15 Zofii z 3 córkami
W.	28 † Germana Bis.	16 Feodora Oświasz.	16 Jana Nepomucena M.
S.	29 † Teodozy M.	17 Andronika Ap.	17 Paschalisa W. i Weron.
C.	30 Wniebowski: Pańs. Feli.	18 Feodota S. M.	18 Felixa Kap. i Eryka Kr.
P.	31 Petronoli P.	19 Patrikia S. M.	19 Piotra Celestyna

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Przyby- to dnia	
	Godziny i Minuty							
1	4	32	7	23	14	51	7	13
5	4	25	7	29	15	4	7	26
10	4	16	7	38	15	22	7	44
15	4	8	7	45	15	37	7	59
20	4	0	7	53	15	53	8	15
25	3	54	8	16	6	8	8	28
30	3	49	8	6	16	17	8	39

Odmiany Księżyca.

- ☉ Now d. 4 o g. 9 m. 4 r. wilgotne powietrze.
- ☽ Piér. kwa. d. 10 o g. 11 m. 28 w. czas pogodny.
- ☾ Pełnia d. 18 o g. 3 m. 15 w. deszcz i chłodno.
- ☿ Ost. kwa. d. 26 o g. 6 m. 45 w. deszcz lecz w końcu się ociepla.

Święta Żydowskie.

Dnia 4 Szabas, d. 5 Roschodesz d. 6 1 Jior d
11 i 18 Szabas d. 23 Lagbeomer dzień radosny
d. 25 Szabas.



CZERWIEC (JUNJI) ma dni XXX.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda
S. 1	Fortunata Kap. Pror.	20 MAJ. Alexia	20 MAJ. Bernardyna S.
N. 2	6 po W. Blandyn P. M.	21 N. Słiep. S. Konstantica	21 5 po W. Donata i Wik.
P. 3	Erazma B. M. i Klotyl.	22 Wasilisha S. M.	22 † Julii P. M.
W. 4	Opat Saturnina	23 Michaila Prep	23 † Dezyderyusza B.
S. 5	Bonifacego B. i Wal. M.	24 Simeona Prep.	24 † Joanny Wdowy
C. 6	Norberta B.	25 Woz. Hosp. Ob. H.S.	25 Wniebos. Pańskie
P. 7	Roberta Ap.	26 Karpa Ap.	26 Filipa Nercusza
S. 8	† Maximina i Medarta	27 Feraponta S. M.	27 Magdaleny z Paców
N. 9	Zesłanie Ducha S. Pry.	28 N. Nikity Pr. SS. Otec.	28 6 po W. Germana Bis.
P. 10	Świąteczny Małgorz. K.	29 Feodosii Mucz.	29 Maxymiliana B. i Teo.
W. 11	Barnaby Opat	30 Isaaki Prep.	30 Felixa Pap. i Ferdyn. K.
S. 12	† Onufrego Pust. i Ser. Pl.	31 Ermia Ap.	31 Petronelli Panny
C. 13	Antoniego z Padwy	1 JUNJI. Justina	1 CZERWIEC. Nikodema
P. 14	† Bazylego Bis.	2 Nikifora	2 Erazma B. M. i Bland. P.
S. 15	† Wita i Modesta M. M.	3 Lukiliana M.	3 † Klotyldy Kr.
N. 16	S. Trójcy Benona B. i Just.	4 Sos. S. D. Mitrofona	4 Zesłanie Ducha S.
P. 17	Maryana M. i Adolfa	5 Pop. S. Ducha Dor.	5 Świąteczny Flor. P.
W. 18	Marka i Marcel. MM.	6 Wissariona	6 Norberta Wyz.
S. 19	Gerwazego i Protaz MM.	7 Feodota Mucz.	7 † Roberta Bis.
C. 20	Boże Ciało Sylw. P. i Flor.	8 Feodora Str.	8 Medarda Bis.
P. 21	Aloizego Gonzagi	9 Kirylla	9 † Pryma i Felicyana
S. 22	Paulina B.	10 Timofeja Ep.	10 † Małgorzaty Kr. Sz.
N. 23	2 po S. Agrypiny P. M.	11 N. 1 po S. Warfołap.	11 S. Trójcy Barnaby O.
P. 24	S. Jana Chrzciciela	12 Onufrii P. 1 dzień Posta	12 Onufrego Pustelnika
W. 25	Prospera B. i Febron.	13 Akiliny S. M.	13 Antoniego z Padwy
S. 26	Jana i Pawła MM.	14 Eliscia Prop.	14 Bazylego Bis.
C. 27	Władysława Kr. Węgier.	15 Amosa Pror.	15 Boże Ciało Witai Mo.
P. 28	† Ireneusza B.	16 Tychona Czud.	16 Benona W. i Justyny P.
S. 29	Piotra i Pawła Ap.	17 Manuila S. M.	17 Adolfa W. i Justyny P.
N. 30	3 po S. Emilii i Lucyny PP.	18 N. 2 po S. Leontia S. M.	18 2 po S. Marka i Marce.

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Przyby- to dnia	
	h	m	h	m	h	m	h	m
Godziny i Minuty								
1	3	47	8	9	16	22	8	44
5	3	44	8	13	16	29	8	51
10	3	41	8	17	16	36	8	58
15	3	40	8	20	16	40	9	2
20	3	40	8	22	16	42	9	5
25	3	41	8	23	16	42	ubyło	
30	3	43	8	22	16	39	0	4

Odmiany Księżyc.

- ☾ Nów d. 2 o g. 4 m. 35 w. pogodne dnie.
- ☽ Piér. kwa. d. 9 o g. 8 m. 1 r. pogoda i deszcz.
- ☾ Pełnia d. 17 o g. 6 m. 19 r. pogoda burzą grozi.
- ☾ Ost. kwa. d. 25 o g. 6 m. 52 r. deszcz z grzmotami

Święta Żydowskie.

Dnia 1 Szabas, d. 4 i Siwan, d. 8 Szabas, d. 9 i 10 Zielone Świątki uroczyste odebrania 10 Bożego Przykazania na Górze Synaj, d. 15, 22 i 29 Sabas.



LIPIEC (JULJI) ma dni XXXI.

Dnio	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
P.	1 Teodoryka Kap.	19 JUNJI. Judy Ap.	19 Czerwiec. Gerwazego
W.	2 <i>Nawiedzenie N. M. P.</i>	20 Mefodia S. M.	20 Reginy P. i Flor. P.
S.	3 Heliodora i Anatoli B.	21 Juliana S. M.	21 Aloizego Gonzagi W.
C.	4 Józefa Kalasantego W.	22 Ewsewia S. M.	22 Paulina Bis.
P.	5 Filomeny Panny	23 Ahripiny S.	23 <i>Serca Jezusowego Agry.</i>
S.	6 Dominiki P. M.	24 Roż. S. Joanna.	24 Narodzenie S. Jana
N.	7 <i>4 po S. Apoloniusza Bis.</i>	25 <i>N. 3 po S. Fewronii Pr.</i>	25 <i>3 po S. Prospera i Wilhe.</i>
P.	8 Elzbiety Wdowy	26 Dawida Prep.	26 Jana i Pawła MM.
W.	9 Cyryla B. i Anatoli	27 Samsona Str.	27 Władysława Kr. Węg.
S.	10 7 Braci Męcz. syn. Felic.	28 Kira i Joanna	28 † Leona Pap.
C.	11 Sabina W. Pelagii P.	29 SS. Petra i Pawła	29 Piotra i Pawła Ap.
P.	12 Jana z Dukli	30 Sobor SS. 12 Apost.	30 Emilii i Lucyny PP.
S.	13 Małgorzaty P.	1 JULJI. Kosmy i Dam.	1 Lipca. Teodoryka W.
N.	14 <i>5 po S. Bonawentury B.</i>	2 <i>N. 4 po S. Polż. Ryz. Bo.</i>	2 <i>4 po S. Nawie. N. M. P.</i>
P.	15 Rozesłanie Ap. i Henryka C	3 Jakinfa S. M.	3 Heliodora i Anato. B.
W.	16 <i>N. M. P. Szkaplerznej</i>	4 Andreia Arch.	4 Józefa Kelasantego W.
S.	17 Alexoga W. i Berty P.	5 Afanasia Afons.	5 Karoliny i Filomeny P.
C.	18 Szymona z Lipnicy	6 Sisoja Prep.	6 Dominiki P. M. i Izaj. P.
P.	19 Wincentego a Paulo	7 Ftomy Prep.	7 Eustolii P. i Apoloni. B.
S.	20 Eliasza Pr. i Czesława W.	8 Prokopia W. M.	8 Elzbiety W. i Chilia. B.
N.	21 <i>6 po S. Praxedy P. i Daniela</i>	9 <i>N. 5 po S. Pankratia S. M.</i>	9 <i>5 po S. Jana z Dukli</i>
P.	22 Maryi Magdaleny	10 SS. 45 Muczen.	10 7 Braci Męcz. i Am. P.
W.	23 Apolinara B. M.	11 S. Ewfmii Olgi	11 Sabina W. i Pelagii P. M.
S.	24 Krystyny P. M.	12 Prokla i Iaria	12 Jana Gwalberta Op.
C.	25 Jakóba Ap. i Krzyszto.	13 Sobor Arhang. Hawry.	13 Małgorzaty P.
P.	26 <i>Anny Matki N. M. P.</i>	14 Akily Ap.	14 Bonawentury Bis.
S.	27 Natalii P. M. i Patał.	15 Kiryka S. M.	15 Rozesłanie Ap. i Hen. C.
N.	28 <i>7 po S. Inocentego Pap.</i>	16 <i>N. 6 po S. Afinohena S.</i>	16 <i>6 po S. N. M. P. Szkaple.</i>
P.	29 Marty i Serafiny PP.	17 Mariny W. M.	17 Alexego W. i Berty P.
W.	30 Abdona, Seneny i Julii	18 Jukinfa S. M.	18 Szymona z Lipnicy W.
S.	31 Ignacego Lojoli W.	19 Makriny Prep	19 Wincentego a Paulo W.

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia	Ubyło dnia
	h	m	h	m		
Godziny i Minuty						
1	3	44	8	22	16	38 0 5
5	3	47	8	21	16	34 0 6
10	3	52	8	17	16	25 0 18
15	3	57	8	15	16	16 0 27
20	4	4	8	8	16	4 0 39
25	4	11	8	4	15	50 0 53
30	4	18	7	53	15	35 1 8

Odmiany Księżyca.

- ☉ Now d. 1 o g. 11 m. 12 w. niestała pogoda.
- ☽ Piér. kwa. d. 8 o g. 3 m. 56 w. pięknę powietrze.
- ☾ Pełnia d. 16 o g. 9 m. 20 r. wiatr na odmianę.
- ☾ Ost. kwa. d. 24 o g. 3 m. 56 w. ma się na deszcz.
- ☾ Now d. 31 o g. 6 m. 8 r. upały noce chłodne.

Święta Żydowskie.

Dnia 3 Rozchodesz, d. 4 1 Tamus, d. 6, 13 i 20 Szabas, d. 21 post obłężenia Jerzolimy, d. 27 Szabas.



SIERPIEŃ (AWGUST) ma dni XXXI.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
C. 1	Piotra w Okowach	20 JULJI, Ilii Pror.	20 LIPIEC. Czesława W.
P. 2	<i>N. M. P. Anielskiej</i>	21 Simeona Prep.	21 Daniela Pror. i Prax.
S. 3	Znalezienie S. Szczepana	22 Marii Mahdaliny	22 Maryi Magdaleny
N. 4	<i>8 po S. Dominika Wyz.</i>	23 <i>N. 7po S. Trofima S.M.</i>	23 <i>7po S. Apolinare. B.M.</i>
P. 5	<i>N. M. P. Śnieżnej</i>	24 Borisa i Hleba.	24 Krystyny Panny
W. 6	<i>Przemienienie Pańskie</i>	25 Uspicenie Ś. Anny	25 Jakóba Ap. i Kryszt. M.
S. 7	Kajetana Wyz.	26 Ermołaja S. M.	26 Anny Matki N. M. P.
C. 8	Cyryaka i Larga	27 Panteleimona W. M.	27 Kuneundy Król.
P. 9	Romana M.	28 Prochora Ap	28 Innocentego Pap.
S. 10	Wawrzyńca M.	29 Kalinika S. M.	29 Marty i Serafiny PP.
N. 11	<i>9po S. Zuzanny i Dygny P.</i>	30 <i>N. 8po S. Siły i Siłwana</i>	30 <i>8 po S. Abdona</i>
P. 12	Klary P.	31 Ewdokima	31 Ignacego Lojoli Wyz
W. 13	Hipolita i Kassjana	1 Awgust. Makkaw.	1 SIERPIEŃ. Piotra w Ok.
S. 14	† Euzebiusza Kap. W.	2 Stefana Archid.	2 <i>N. M. P. Anielskiej i Gu.</i>
C. 15	Wniebowzię. N. M. P.	3 Isaaka Prep.	3 Znalezienie S. Szczepana
P. 16	Rocha W.	4 7 Otrok w Efez.	4 Dominika Wyz.
S. 17	Anastazyusza B.	5 Ewsignija S. M.	5 <i>N. M. P. Śnieżnej i Grze.</i>
N. 18	<i>10 po S. Agapita M.</i>	6 <i>N. 9po S. Preob. Hos.</i>	6 <i>9po S. Przemienie Pańs.</i>
P. 19	Rufin W. i Benigny P.	7 Dometia Prep.	7 Kajetana Wyz.
W. 20	Bernarda Opata	8 Emiliana Isp.	8 Cyryaka, Larga i Sma.
S. 21	Joanny Fremiot W.	9 Matfija Ap.	9 Romualda i Kamilla
C. 22	Symfonyana i Tymoteusza	10 S. Lawrentia	10 Wawrzyńca Męcz.
P. 23	Filipa Benicjusza W.	11 Ewfla M.	11 Zuzanny i Dyanny PP.
S. 24	Bartłomieja A.	12 Fotia S. M.	12 Klary Panny
N. 25	<i>11 po S. Ludwika Kr.</i>	13 <i>N. 10po S. Maxima Pre.</i>	13 <i>10po S. Hipolita i Kasz.</i>
P. 26	Zefryna Pap. M.	14 Micheia Pror.	14 † Euzebiusza Męcz.
W. 27	Cezaryusza Bis.	15 Usp. Pr. Bohorodi.	15 Wniebowz. N. M. P.
S. 28	Angustyna Bis.	16 Nerukotw Obr. Diomi.	16 Rocha Wyz.
C. 29	Ściegie S. Jana Chrzc.	17 Mirona S. M.	17 Anastazego B. i Mir. M.
P. 30	Róży P.	18 Flora i Ławra M.	18 Heleny W. i Agap. M.
S. 31	Rajmunda W. Rufina	19 Andreia Str.	19 Sebalda W. i Rufina

Odmiany Księżycy.

Dnia	Wschód	Zachód	Długość	Ubytek	
	śłońca	śłońca	dnia	dnia	
Godziny i Minuty					
1	4 21	7 50	15 29	1 14	
5	4 37	7 43	15 16	1 27	
10	4 35	7 34	14 59	1 44	
15	4 43	7 24	14 41	2 2	
20	4 52	7 14	14 22	2 21	
25	5 0	7 3	14 3	2 40	
30	5 8	6 52	13 44	2 59	

☽ Pier. kwa. d. 7 o g. 7 m. 33 w. deszcz z grzmotami.
 ☽ Pelnia d. 15 o g. 0 m. 1 w. pogoda niestała.
 ☽ Ost. kwa. d. 22 o g. 10 m. 46 w. upały.
 ☽ Nów d. 29 o g. 2 m. 19 w. ma się na deszcz.

Święta Żydowskie.

Dnia 2 1 Aw. Mięsopest przez dni 10 d. 3 i 10 Szabas, d. 11 post zburze. Jerozolimy d. 16 Chamuszusnr dzień radosny, d. 17 i 24 Szabas, d. 31 Roschodesz i Szabas.



WRZESIEŃ (SENTIABR) ma dni XXX.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko Katolic. podług starego Kalenda.
N. 1	12 po S. Idziego Opata	20 N. 11 po S. Sanuila	20 SIERPIEŃ 11 po S. Jacka
P. 2	Stefana Kr. Węgiers.	21 Faddcja Ap.	21 Joanny Fremiot W.
W. 3	Izabeli Kr i Eufrozyny	22 Ahafonika S. M.	22 Symforyana i Tymot.
S. 4	Rozalii Panormit P.	23 Euppa S. M.	23 Zacharyasza B. i Fil.
C. 5	Justyniana B. i Wawrz.	24 Ewticha S. M.	24 Bartłomieja Ap.
P. 6	Zacharyasza	25 Warfolomia Ap.	25 Ludwika Kr. Fran.
S. 7	† Reginy P. M.	26 Adriana i Natalii	26 Zefiryna Pap. i Ale.
N. 8	13 po S. Narodz. N.M.P.	27 N. 12 po S. Pimena Prep.	27 12 po S. Przenies. S. Ka.
P. 9	Im. Maryi i Adryana Gor.	28 Moisesa Murina	28 Augustyna B.
W. 10	Mikołaja z Tolend. W.	29 Usiek. Ht. Joanna	29 Ściegie S. Jana Chr.
S. 11	Emiliana B. i Prota	30 Alexandra New.	30 Joachima i Róży P.
C. 12	Waleryana i Salezego	31 Położ. Poiassa Boh.	31 Rajmunda W. i Rufi.
P. 13	Maurylusza M.	1 SENTIABR. Simeoua S.	1 WRZESIEŃ Idziego Op.
S. 14	Podwyższenie S. Krzyża	2 Mawanta S. M	2 Stefana Kr. Węg.
N. 15	14 po S. Nikodema Kap.	3 N. 13 po S. Anfima S.	3 13 po S. Pocziesz. N.M.P.
P. 16	Cypryana Eufa. M.	4 Wawily S. M.	4 Rozalii Panor. P.
W. 17	Justyna M.	5 Zacharii Pror.	5 Wawrzyńca Justynia.
S. 18	† Józefa z Kopertynu	6 Wos. Cz. Ar. Michaiła.	6 Zacharyasza Pror.
C. 19	Januariusza B. M.	7 Sononta S. M.	7 † Reginy P. M.
P. 20	† Eustachusza	8 Rożdes. Bochorod.	8 Narodzenie N.M.P.
S. 21	† Mateusz Ap. Ewan.	9 Joakima i Anny	9 Adryana i Gorgo. MM.
N. 22	15 po S. Maurycyego M.	10 N. 14 po W. Minodorys.	10 14 po S. Imienia Maryi
P. 23	Tekli P. M.	11 Feodory Prep.	11 Emila i Jacka MM.
W. 24	Gerarda i N. M. P.	12 Awtonoma S. M.	12 Waleryana i Tobiasza.
S. 25	Cypryana i Justyny M.	13 Kornilia S. M.	13 Maurylusza i Anali.
C. 26	Józefata B.	14 Wozd Czes. Kresta.	14 Podwyższenie S. Krzyża
P. 27	Kosmy i Damiana	15 Nikity W. M.	15 Nikodema Męcz.
S. 28	Wacława Kr. Czes.	16 Ewfimii W. M.	16 Cypryana i Eufemii M.
N. 29	16 po S. Michała Archan.	17 N. 15 po S. Sofii S. M	17 16 po S. Piętna S. Fran.
P. 30	Hieronima Doktora	18 Ewmenia Prep.	18 Józefa z Kopertynu

Odmiany Księżyca.

- ☾ Piér. kwa. d. 6 o g. 0 m. 55 r. deszcz z wiatrem
- ☽ Pełnia d. 14 o g. 1 m. 57 r. dni jasne.
- ☾ Ost. kwa. d. 21 o g. 4 m. 33 r. stała pogoda.
- ☽ Now. d. 28 o g. 1 m. 6 r. wiatr czasami deszcz.

Święta Żydowskie. †

Dnia 1 i Ełul, d. 7, 14 i 21 Szabas, d. 22 i 23 Szabas, d. 28 Szabas, d. 30 Święta Trąbki czyli Nowy rok 5628 od stworzenia Świata.

Dnia	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia	Ubytek dnia		
	Godziny	i	Minuty	Minuty	Minuty	Minuty		
1	5	11	6	47	13	36	3	7
5	5	18	6	38	13	20	3	23
10	5	26	6	27	13	1	3	42
15	5	35	6	13	12	40	4	5
20	5	43	6	3	12	20	4	23
25	5	51	5	51	12	0	4	43
30	6	0	5	40	11	46	5	3



PAŹDZIERNIK (OKTIABR) ma dni XXXI.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
W.	1 Remigiusza Bis.	19 SENTIABR. Trofima.	19 WRZESIEŃ Konstancy.
S.	2 Aniołów Stróżów	20 Ewstafia W. M.	20 † Eustachiusza M.
C.	3 Kandyda M. i Ludom.	21 Kodrata Apost.	21 Mateusza Ap. Ewor.
P.	4 Franciszka Seraf.	22 Foki S. M.	22 † Maurycego M.
S.	5 Placyda W. i Flaw. P.	23 Zacz. S. Joanna.	23 † Tekli Panny
N.	6 17po S. N. M. P. Róż. Bru.	24 N. 16 po S. Tekły S. M.	24 16 po S. Władysława
P.	7 Justyny P. M.	25 Ewfrosinii Pr.	25 Eusebii P. i Kleofesa
W.	8 Brygidy W.	26 Joanna Bohośl.	26 Jozefata B.
S.	9 Dyonizego B. M.	27 Kalistrata S. M.	27 Przenies. Ś. Stanisła.
C.	10 Franciszka Borgiasza	28 Charitona Pr.	28 Wacława Kr. Czes.
P.	11 Placydy P.	29 Kiriaka Prep.	29 Michała Archaniola
S.	12 Maksymiliana B.	30 Irihoria S. M.	30 Hieronima Dok. i Kos.
N.	13 18po S. Edwarda Kr. Ang.	1 N. 17po S. Ok. Po. P. W.	1 Paź. 17po S. N. M. P. R.
P.	14 Kalixta Pap. M.	2 Kipoiانا S. M.	2 Aniołów Stróżów
W.	15 Jadwigi Wd. i Teres. P.	3 Dionizija S. M.	3 Kandyda i Ludomiła
S.	16 Florentyna B.	4 Jerofeja 3. M.	4 Franciszka Serafickie.
C.	17 Wiktora B. i Lucyny	5 Charitiny Mucz.	5 Placyda i Flawianny
P.	18 Łukasza Ewangelisty	6 Pomy Apost.	6 Brunona Wyzn.
S.	19 Piotra z Alkantary	7 Serhia S. M.	7 Justyny Panny
N.	20 19 po S. Irany P.	8 N. 18 po S. Pelahii P	8 18po S. Wincentego Ka.
P.	21 Urszuli P.	9 S. Ap. Jakowa	9 Dyonizego Areopagit.
W.	22 Korduli P. M i Alfon.	10 Ewłampia S. M.	10 Zwycięstwo Chocimskie
S.	23 Jana Kapistrana W	11 Fillipa Apost.	11 Teodory i Prota
C.	24 Rafała Arch.	12 Prowa S. M.	12 Muxymiliana Bis.
P.	25 Kryspa i Kryspina	13 Karpa M. i Papily	13 Edwarda Kr. Angiel.
S.	26 Ewarysta Pap. M.	14 Nazarija S. M.	14 Kalixta Pap.
N.	27 20 po S. Sabiny Męcz.	15 N. 19po S. Ewfirmia Pr.	15 19po S. Jadwigi i Teres.
P.	28 Szymona, Judy i Tad. A.	16 Lonkina S. M.	16 Gawła Op. i Floren.
W.	29 Narcyza B. i Euzebii	17 Osii Pror.	17 Wiktora Bis. i Lucy.
S.	30 Zenobiusza B. M.	18 Łuki Apost.	18 Łukasza Ewangelisty
C.	31 † Wolfganga Bis.	19 Ioila Pror.	19 Piotra z Alkantary

Dnie	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Ubyto dnia	
	h	m	h	m	h	m	h	m
	Godziny i Minuty							
1	6	1	5	37	11	36	5	7
5	6	8	5	28	11	20	5	23
10	6	27	4	16	10	59	5	44
15	6	26	5	5	10	39	6	4
20	6	34	4	55	10	21	6	22
25	6	43	4	44	10	1	6	42
30	6	53	4	34	9	41	7	2

☾	Pier. kwa. d. 5 o g. 7 m. 42 w. pochurno i zimno.
☽	Pełnia d. 13 o g. 2 m. 43 w. dni pogodne.
☁	Ost. kwa. d. 20 o g. 10 m. 41 r. ma się na deszcz.
☀	Nów d. 27 o g. 2 m. 27 w. wilgotne powietrze.
Święta Żydowskie.	
	D. 1 dr. dz. Ś. Trąb. d. 2 post Gdalia, d. 5 Szab. d. 9
	Sąd. dz. czy. Jum Kipir post i Ś. Uro. d. 12 Sab. d.
	14 i 15 S. Kuczki Palma, d. 16, 17 i 18 Wol. Ś. cz.
	Chalhamoed, d. 19 Sab. d. 20 Hoszano rabu d. 21
	i 22 Ost. d. S. Pal. d. 26 Sab. d. 29 Ros. d. 30 p. M.



LISTOPAD (NOJABR) ma dni XXX.

Dzień	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda.
P. 1	Wszystkich SS.	20 OKTYABR Artemia W.	20 PAŹDZIER. Prze.S. Woj.
S. 2	<i>Dzień Zaduszny</i> Wiktor.	21 Hariona W.	21 Urszuli P. M.
N. 3	<i>21 po S.</i> Huberta B.	22 <i>N. 20 po S.</i> Kaz. Bo M.	22 <i>20 po S.</i> Jana Kantego
P. 4	Karola Boromeusza	23 Jakowa Apost.	23 Jana Kapistrana
W. 5	Emeryka Kr.	24 Arefy S. M.	24 Rafała Archaniola
S. 6	Leonarda Wyz.	25 Markiana Mucz.	25 Kryspina i Kryspin.
C. 7	Willibarda B.	26 Dymitria W. M.	26 Ewarysta Papieża.
P. 8	Opieki N. M. P.	27 Nestora M.	27 Sabiny Męcz.
S. 9	Teodora M.	28 Teretia S. M.	28 Szymona Judy i Ta.
N. 10	<i>22 po S.</i> Andrzeja z A.	29 <i>N. 21 po S.</i> Anastazii Ri.	29 <i>21 po S.</i> Narcyza B.
P. 11	Marcina Bis.	30 Zinowia i Zino.	30 Zenobii i Marcellego
W. 12	5 Braci Polaków MM.	31 Stachjia Apost.	31 † Wolfganga B
S. 13	Dydaka Wyz.	1 NOJABR. Kosmy.	1 Listop Wszyst. SS.
C. 14	Serapiona i Klem.	2 Akindina W. M.	2 <i>Dzień Zaduszny</i> Wik
P. 15	Leopolda	3 Akepsimy M.	3 Humberta E.
S. 16	Edmunda B.	4 Joannikia Pr.	4 Karola Boromeusza W.
N. 17	<i>23 po S.</i> Salomei P.	5 <i>N. 22 po S.</i> Hałaktiona	5 <i>22 po S.</i> Zacharyasza
P. 18	Maxyma Bis.	6 Pawła Patr.	6 Leonarda Wyz.
W. 19	Elzbiety Kr. Węg.	7 SS. 33 Mucz.	7 Willibarda i Engel.
S. 20	Felixa Walezjusza	8 Sob. S. Michaiła	8 4 Koronatów i God.
C. 21	<i>Ofiarowanie N. M. P.</i>	9 Onisifora S. M	9 Teodora M.
P. 22	Cecylii P. M.	10 Erazta i Olimp. Ap.	10 Andrzeja z Awelinu
S. 23	Klemensa Pap.	11 Miny S. M. Wiktor.	11 Marcina Bis
N. 24	<i>24 po S.</i> Jana od Krzy.	12 <i>N. 21 po S.</i> Joanna Mi.	12 <i>23 po S.</i> <i>Opieki N.M.P</i>
P. 25	Katarzyny P. M.	13 Joanna Złotoa.	13 Dydaka Wyz.
W. 26	Piotra Alexandra	14 Filippa Apost.	14 Serapiona i Klemen.
S. 27	Józefata Pustelnika	15 Huria Mucz.	15 Leopolda W. i Gert
C. 28	Mansweta B. i Rufa	16 Matfieja Apost.	16 Edmunda Bis.
P. 29	Saturnina M.	17 Hrihoria Neok.	17 Salomei Panny
S. 30	Andrzeja Ap.	18 Płatona i Romana.	18 Poświęcenie Koś Rz.

Dzień	Wschód słońca		Zachód słońca		Długość dnia		Uchył dnia		
	1	6	56	4	30	9	34	7	9
5	7	4	4	23	9	12	7	24	
10	7	13	4	15	9	2	7	41	
15	7	22	4	7	8	45	7	58	
20	7	30	4	0	8	26	8	19	
25	7	39	3	55	8	16	8	27	
30	7	47	3	50	8	3	8	40	

Odmiany Księżyca.

- ☾ Pier. kwa. d. 4 o g. 3 m. 51 wypogadza się jednak czas chłodny.
 - ☽ Pełnia d. 12 o g. 2 m 34 r. zimno i deszcz.
 - ☾ Ost. kwa. d. 18 o g. 6 m. 30 wiatr ostry czasem śnieg.
 - ☾ Now d. 26 o g. 6 m. 35 r. dni mgliste
- Święta Żydowskie.

Dnia 2, 9, 16 i 28 Szabas, d. 28 i Kisław d. 30 Szabas.



GRUDZIEŃ (DEKABR) ma dni XXXI.

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Wschodnio-Katolickiego	Święta Rzymsko-Katolic. podług starego Kalenda
N. 1	<i>1 Ad.</i> Eligijusza B.	19 <i>N. 24 po S.</i> Awdija Pr.	19 Listop. Elzbiety Wd.
P. 2	Bibiany P.	20 Hhrihoria Dek.	20 Felixa de Valois W.
W. 3	Franciszka Xawerego	21 <i>W. Ch. Pz.</i> Bohorod.	21 <i>Ofiarowanie N. M. P.</i>
S. 4	Barbary P. M.	22 Filimona Apost.	22 Cecylii P. M.
C. 5	Sabby Op. i Piotra C.	23 Amfilochia Ep.	23 Klemensa Pap.
P. 6	Mikołaja B. M.	24 Ehateryny W. M.	24 Jana od Krzyż.
S. 7	† Ambrożego B. Dokt.	25 Klimenta Papy.	25 Katarzyny P. M.
N. 8	<i>2 Ad.</i> Niepokal. N.M.P.	26 <i>N. 25 po S.</i> Heorhia W.	26 <i>25 po S.</i> Piotra Alexand.
P. 9	Leokadyi P. M.	27 Jakowa Pers.	27 Balaama i Józefata
W. 10	<i>N. M. P.</i> <i>Loretański</i>	28 Stefana Perw. M.	28 Mansweta i Rufa M.
S. 11	Damazego Pap.	29 Paramona M.	29 Saturnina M.
C. 12	Synezyusza M.	30 Andreja Apost.	30 Andrzeja Apost.
P. 13	Łucyi P. M.	1 DEKABR Nauma Pror.	1 GRUDZIEŃ Eligijusza B.
S. 14	Spiridiona B. W.	2 Awakuma Pror.	2 Bibianny P. M.
N. 15	<i>3 Ad.</i> Ireneusza B. M.	3 <i>N 26 po S.</i> Sofoma Pre.	3 <i>1 Ad.</i> Franciszka Ksaw.
P. 16	Euzebiusza B. M.	4 Warwary W. M.	4 Barbary P. M.
W. 17	Łazarza B. M.	5 Sawwy Otw.	5 Piotra Chryzologa
S. 18	† Gracyana Bis.	6 Nikołaja Czud.	6 Mikołaja B.
C. 19	Faustyny Wd.	7 Amwrosija Ep.	7 † Ambrożego B. Dok. K.
P. 20	† Teofila M.	8 Patapija P.	8 Niepokala. N. M. P.
S. 21	† Tomasza Ap.	9 Zaczą. Bohor.	9 Leokadyi i Waleryi P.
N. 22	<i>4 Ad.</i> Zenona i Flaw. M.	10 <i>27 po S.</i> Miny S. M	10 <i>2 Ad. N. M. P.</i> <i>Loretańs</i>
P. 23	Wiktoryi P. M.	11 Daniila Prep.	11 Damazego Pap.
W. 24	<i>Wigilia</i> Adama i Ewy	12 Spiridona Czud.	12 Alexego i Pawła
S. 25	Narodzenie Chr. Pana	13 Ewstratia M.	13 Łucyi P. M. i Ottylii P.
C. 26	Szczepana 1 Męcz.	14 Tirsza S. M	14 Spiridyona B.
P. 27	Jana Ewangelisty	15 Elewteria S. M.	15 Ireneusza M.
S. 28	Młodzianków.	16 N. S. Praotec i Ah.	16 Euzebiusza B. i Ade.
N. 29	Tomasza Kautuaryi	17 <i>N 28 po S.</i> Daniila Pro.	17 <i>3 Ad.</i> Łazarza B.
P. 30	Eugieniusza B.	18 Sewastiana S. M.	18 <i>Oczekiwanie N. M. P.</i>
W. 31	Sylwestra Pa.	19 Wonifatia S. M.	19 Faustyny i Nemezyu

Dnie	wschód słońca		zachód słońca		Długość dnia		Ubyło dnia	
	1	2	3	4	5	6	7	8
	Godziny i Minuty							
1	7	48	3	50	8	2	8	41
5	7	54	3	47	7	54	8	50
10	8	0	3	46	7	46	8	57
15	8	5	3	45	7	40	9	3
20	8	9	3	47	7	38	przy- było	
25	8	11	3	49	7	38		
30	8	12	3	54	7	42		

Odmiany Księżyca.

- ☾ Piér. kwa. d. 4 o g. 11 m. 45 r. zimno i deszcz.
- ☽ Pełnia d. 11 o g. 1 m. 34 w. śnieg z deszczem.
- ☾ Ost. kwa. d. 18 o g. 4 m. 58 r. pogoda mroźna.
- ☽ Now d. 26 o g. 1 m. 3 r. niestateczne mroźne powietrze.

Święta Żydowskie.

Dnia 7, 14 i 21 Szabas, d. 22 rozpoczynają się gody pamiątki zwycięstwa Machabeuszów trwają dni 8, d. 27 i 1 Tewas, d. 28 Szabas.

NIEKTÓRE ŚWIĘTA RUCHOME PRZYPADAJĄCE W ROKU 1867.

8 Marca	Pięciu ran Chrystusa Pana
29 Marca	Cierniowej korony Pana
12 Kwietnia	Siedmiu boleści N. M. P.
5 Maja	N. M. P. Łaskawej
17 Czerwca	Krwi Śtej Pana Jezusa
28 Czerwca	N. Serca Pana Jezusa
7 Lipca	Ś. Jana z Dukli
28 Lipca	Ś. Kunegundy Kr.
18 Sierpnia	Ś. Jacka
1 Września	Ś. Joachima
15 Września	Imienia N. M. P.
21 Września	Ś. Ładysława z Gielniowa
29 Września	N. M. P. Różańcowej
6 Października	Ś. Wincentego Kadłubka
20 Października	Ś. Jana Kantego
10 Listopada	Opieki N. M. P.
17 Listopada	Ś. Stanisława Kostki

WYKAZ ALFABETYCZNY ŚWIĘTYCH I ŚWIĄT

na rok 1867.

Abdona Męcz. 30 lipca.	Alexandra M. w Rzym. 27 lut.	Anastazego Męcz. 22 stycz.
Adama 24 grudnia.	Alexandra Pap. 3 maja.	Anastazego Pap. 28 lut.
Adelajdy 10 grudnia.	Alexandra M. w Alex. 12 gru.	Anastazego Wyz. 29 marca.
Adolfa Biskupa 17 czerwca.	Aleksego Wyz. 17 lipca.	Anastazji Panny 27 lut.
Adryana Męcz. 9 września.	Alfonsa 22 paździer.	Anastazji Rzym. 26 paźdz.
Agapita Męcz. 18 sierpnia.	Alfreda 3 lipca.	Anatolji Męcz. 9 lipca.
Agatona Pap. 10 stycz.	Alodyi Pan. Męcz. 22 paźdz.	Andrzeja Polaka P. 6 maja.
Agaty Panny Męcz. 5 lut.	Aloizego Gonz. 21 czerw.	Andrzeja z Krety 7 paźdz.
Agnieszki P. i M. 21 stycz.	Amelii Księżnej 10 lipca.	Angeli 30 marca.
Agrypiny 23 czerwca.	Ambrożego Bisk. 7 grud.	Anny Matki N. M. P. 26 lip.
Albiny Panny 16 grudnia.	Amalji Panny 2 marca.	Aniołów Str. 2 paźdz.
	Anastazego Bisk. 2 maja.	Ansgarego Bisk. 4 lut.

Antoniego Op. 17 stycz.
 Antoniego Padew. 13 czerw.
 Antonina Arcyb. 10 maja.
 Antoniny 16 grudnia.
 Anzelma 22 kwietnia.
 Apolinarego Bisk. 23 lipca.
 Apolonji Pan. Męcz. 9 lut.
 Apolonjusza Męcz. 18 kwiet.
 Arkadiusza Męcz. 12 stycz.
 Arsenjusza Bisk. 19 lipca.
 Atanazego Bisk. 2 maja.
 Augusta Wyzn. 3 sierp.
 Augustyna Bisk. 28 sierp.
 Aurelji Panny 25 wrześ.
 Awita Męcz. 12 stycz.

Balbiny Panny 31 marca.
 Barlaama 27 listopada.
 Barbary Pan. 4 grudnia.
 Barnaby Apost. 11 czerw.
 Bartłomieja Apost. 24 sierp.
 Bazylego Bisk. 14 czerwca.
 Beaty Panny 8 marca
 Bedy Kapłana 27 maja.
 Benedykta Op. 21 marca.
 Benigny Panny 19 sierp.
 Benona Bisk. 16 czerw.
 Bernarda Op. 20 sierp.
 Bernarda Seneń. 30 maja.
 Bibjanny Panny 2 grudnia.
 Błażeja Bisk. 7 lutego.
 Bogumiła 10 czerwca.
 Bonifacego B. Foren. 30 maja.
 Bonifacego Bisk. 5 czerw
 Bonawentury Kard. 14 lipca.
 Bony Panny 22 kwietnia.
 BOŻE CIAŁO 20 czerwca.
 Bronisławy 19 sierpnia.
 Brunona Wyz. 6 paźdz.
 Brygidy Panny 1 lutego.
 Brygidy Wdowy 8 paźdz.

Cecylii Pan. Męcz. 22 list.
 Celestynn 6 kwietnia.
 Celsa Męcz. 28 lipca.
 Cezarjusza Bisk. 27 sierp.
 Cyprjana Bisk. 16 wrześ.
 Cyprjana Męcz. 26 wrześ.
 Cyrylla Bisk. 9 lipca.
 Cyrjaka Kapł. 16 marca.
 Cyrjaka Męcz. 8 sierpnia.
 Cyrylla Dyak. 22 marca.
 Czesława wyzn. 20 lipca.

Czterdziestu Męcz. 10 marca.
 Czterech Koron. 8 listop.

Damazego Pap. 11 grud.
 Damjana Męcz. 27 wrześ.
 Daniela Męcz. 3 stycz.
 Daniela Pror 21 lipca.
 Dawida króla 30 grudnia.
 Dezyderjusza Bisk. 23 maja.
 Domicelli Panny 7 maja.
 Dominika Wyzn 4 sierp.
 Dominiki Panny 6 lipca.
 Donata Pust. 17 lutego.
 Doroteusza Męcz 28 marca.
 Doroty Panny 6 lutego.
 Dydaka Wyzn. 12 listopada.
 Dygny 11 sierpnia.
 Dionizego Męcz. 9 paźdz.
 Dzień Zaduszny 2 listopada.

Edmunda Bisk. 16 list.
 Edyty Królew. 15 grud.
 Edwarda Króla 13 paźdz.
 Eleonory Panny 21 lut.
 Eljasza Pror. 20 lipca.
 Eligjusza Bisk. 1 grud.
 Elizeusza Pror. 2 paźdz.
 Elzbiety Wd 8 lipca.
 Elzbiety Pan. 5 list.
 Elzbiety Król. 19 list.
 Emeryka Król. 5 list.
 Emiljana Bisk. 11 wrześ.
 Emiljany 5 stycz.
 Emilji Panny 30 czerw.
 Engelberta 7 listop.
 Epifanjusza Bisk 7 kwiet.
 Erazma Bisk. 2 czerwca.
 Estery Król. 18 list.
 Eucharjusza Bisk. 20 lutego
 Eudoxjusza Męcz. 5 wrześ.
 Eufemji Pan. 16 wrześ.
 Eufrozyny Męcz 3 wrześ.
 Eufrozyny Pan. 11 lut.
 Eugenji P. i M. 24 grud.
 Eugenjusza Męcz. 14 sierp.
 Eugenjusza 18 list.
 Eulalji Panny 10 grud.
 Eustachjusza M. 20 wrześ.
 Euzebjji P. M. 29 paźdz.
 Euzebusza Bisk 16 grud.
 Ewarysta Pap. 26 paźdz.

Ewy 24 grud.
 Ezechjasza Król. 30 paźdz.
 Ezechiela Pror. 10 kwiet.

Fabjana 20 stycz.
 Faustyny Męcz. 15 lut.
 Faustyny Wd. 19 grud.
 Felicjana Bisk. 24 stycz.
 Felicjana Męcz. 9 czerw.
 Felixa Kap. 18 maja.
 Felixa z Noli 18 maja.
 Felixa Męcz. 30 sierp.
 Felixa Walez. 20 list.
 Ferdynanda Króla 30 maja.
 Filipa Apost. 1 maja.
 Filipa Nerjusza 26 maja.
 Filipa Benicjusza 23 sierp.
 Filomeny P. M. 5 lipca.
 Flawjana Męcz. 26 lutego.
 Flawji Panny 5 paźdz.
 Florentyna B. 16 paźdz.
 Florentyna Męcz. 4 maja.
 Florjana Męcz. 17 paźdz.
 Fortunata Męcz. 16 lut.
 Franciszka Borg. 10 paźdz.
 Franciszka Salez. 29 stycz.
 Franciszka z Paulo 2 kwiet.
 Franciszka Seraf. 4 paźdz.
 Franciszka Ksaw. W. 3 gr.
 Franciszki Wd. 9 marca.
 Fryderyka Opata 6 marca.
 Fulgentego Bisk. 1 stycz.

Gabryela Arch. 18 marca.
 Gaudencji Panny 30 sierp.
 Gaudentego Bisk. 12 lut.
 Gawła Opata 16 paźdz.
 Gedeona Sędz. 18 czerw.
 Genowefy Panny 3 stycz.
 Gerarda Bisk. 24 wrześ.
 Germana Bisk. 28 maja.
 Getrudy Panny 17 marca
 Gerwazego 19 czerwca.
 Gotfryda 13 stycznia.
 Gotfryda Bisk. 8 list.
 Gracjana Bisk. 18 grud.
 Grobu Chrystusa 5 maja.
 Grzegorza Bisk. 4 stycz.
 Grzegorza Pap. 12 marca.
 Grzegorza Nazyanień. 9 maja.
 Grzegorza Cudot. 18 list.
 Gustawa 2 sierp.
 Gwidona Wyz. 12 wrześ.

Heleny Cesarz. 2 marca.
 Heleny królowej 21 maja.
 Heliodora 3 lipca.
 Henryka Cesarza 15 lipca.
 Henryka 19 stycznia.
 Hermenegilda M. 13 kwiet.
 Hermogenesa 19 kwiet.
 Hiacyny Panny 30 stycz.
 Higina Pap. 11 stycz.
 Hilarego 14 stycz.
 Hieronima Dokt. koś. 30 wrz.
 Hipolita 13 sierpnia.
 Honoraty Panny 12 stycz.
 Huberta Bisk. 3 list
 Hugona 1 kwietnia.

Idy Panny 13 kwietnia.
 Idziego Opat 1 września.
 Ignacego Bisk. 1 lutego.
 Ignacego Lojoli wyz. 31 lip.
 Ildefonsa 23 stycznia.
Imienia Jezus 20 stycznia.
Imienia Marji 15 września.
 Inocentego Pap. 28 lipca.
 Ireneusza Smyreń. 25 mar.
 Ireneusza Męcz. 15 grud.
 Ireny Panny 20 paźdz.
 Iwona Wyz. 19 maja
 Izabeli Król. 3 wrześ.
 Izajasza Pror. 6 lipca.
 Izydora Bisk. 4 kwiet
 Izydora Oracza 10 maja.

Joba Wyzn. 20 sierp.
 Jacka 18 sierp.
 Jadvigi Wd. 15 paźdz.
 Jakóba Apost. 1 maja.
 Jakóba Apost. 25 lipca.
 Jakóba Patryar. 21 kwiet.
 Jakóba z Nizybu 15 lipca.
 Jakóba Pust. 17 lutego.
 Jana Jalmuż. 23 stycz
 Jana Chryzost. 27 stycz.
 Jana Francisz. 16 czerw.
 Jana z Matty Wyz. 8 lut.
 Jana Bożego 8 marca.
 Jana w Oleju 6 maja.
 Jana Nepom. 16 maja.
 Jana Papieża 27 maja.
 Jana Chrzciiciela 24 czerw.
 Jana Gwalberta 12 lipca.
 Jana Kantego 20 paźdz.

Jana z Dukli 18 sierp.
 Jana Kapist. Wyz. 23 paźd.
 Jana od Krzyża 24 list.
 Jana Ewang. 27 grud.
 Januarjusza B. M. 19 wrześ.
 Jerzego Męcz. 24 kwiet
Joachima Ojca N. M. P. 1 wrz.
 Joanny Wd. 24 maja.
 Joanny Fremiot 21 sierp.
 Jordana Wyzn. 13 lutego.
 Jowity Męcz. 15 lutego.
 Józefata 27 listopada.
Józefa Obl. N. M. P. 19 mar.
 Józefa Kalas. Wyz. 4 lipca
 Józefa z Kopert. 18 wrześ.
 Judy Tadeusza Ap 28 paźdz.
 Judyty Wd. 16 listop
 Juliana Męcz. 13 lutego.
 Juljanny Panny 16 lutego.
 Julji Panny Męcz. 22 maja.
 Juljusza Pap. 12 kwiet.
 Julity Pan. Męcz 30 lipca.
 Justa Bisk. 2 września.
 Justyna Męcz. 17 wrześ.
 Justyniana Bisk. 5 wrześ.
 Justyny Pan. Męcz. 7 paźdz
 Juwencjusza Męcz. 1 czerw.

Kaja Męcz. 22 kwiet.
 Kajetana Wyz. 7 sierp.
 Kalixta Pap. 14 paźdz.
 Kamilla Wyz. 18 lipca.
 Kandyda Męcz. 9 paźdz.
 Kanuta Króla 19 stycznia.
 Karola Wielk. Ces. 28 stycz.
 Karola Boromeusza 4 list.
 Karoliny 5 lipca.
 Kassjana Męcz. 13 sierp.
 Kasyldy 15 kwietnia.
 Katarzyny Szwed. 23 marca.
 Katarzyny Senef. 30 kwiet.
 Katarzyny Pan. Męcz. 25 list.
 Kat. ś. Piotra w Rzy. 18 sty.
 Kat. ś. Pawła w Anty. 22 lut.
 Kazimierza Królew. 4 marca.
 Kiljana Bisk. 8 lipca.
 Klary panny 12 sierpnia.
 Kleta Pap. 23 listopada.
 Klemensa B. M. 13 lutego.
 Klemensa Pap. 23 listop.
 Kleofana Męcz. 25 wrześ.
 Klotyldy Król. 3 czerwca.
 Kolety Panny 6 marca.

Konstancji P. M. 18 lutego.
 Konstancyzna Wyz. 11 marca.
 Konrada Wyz. 19 lutego.
 Konrada Bisk. 26 listop.
 Korduli Panny 22 paźdz.
 Kornelji Męcz. 31 marca.
 Koźmy Męcz. 27 wrześ.
 Kryspina i Kryspiny 15 paźdz.
 Krystyny Panny 24 lipca.
 Krzysztofa Męcz. 25 lipca.
 Kunegundy Cesarz. 3 mar.
Kunegundy Kr. Pol. 28 lipca.
 Kwiryna Męcz. 20 marca.

Lamberta 16 kwietnia.
 Larga Męcz. 8 sierpnia.
 Leandra Bisk. Wyz. 28 lut.
 Leokadji Panny 9 grud.
 Leona I Pap. 11 kwiet.
 Leona XI pap. 28 czerw.
 Leonarda Wyzn. 5 list.
 Leoniti P. M. 17 stycz.
 Leontyny Panny 15 marca.
 Leopolda Magrab. 15 list.
 Longina Męcz. 15 marca.
 Lucjana Męcz. 7 stycz.
 Lucyny Panny 30 czerwca.
 Lucyny Męcz. 17 paźdz.
 Ludgardy P. M. 16 czerw.
 Ludgera Bisk. 26 marca.
 Ludomira 3 paźdz.
 Ludwika Wyz. 12 lut.
 Ludwika Królew. Syc. 19 sierp.
 Ludwika Króla 25 sierp.
 Ludwiki Panny 15 kwiet.

Ladysława z Gieln. 21 wrześ.
 Łazarza Bisk. 17 grud.
 Łucji Panny 13 grudnia.
 Łukasza Ewang. 18 paźdz.

Macieja Apost. 25 lutego.
 Magdaleny 25 maja i 22 lip.
 Makarego Opat 2 stycznia.
 Makryny Męcz. 21 lipca.
 Małgorzaty Kr. Węg. 13 lip.
 Małgorzaty Kr. Szw. 10 czer.
 Małgorzaty P. i M. 20 lipca.
 Mamerta Bisk. 11 maja.
 Mansweta Bisk. 28 list.
 Marcella Pap. 16 stycznia.
 Marcelli Wdowy 31 stycz.
 Marcellana Pap. 18 czerw.

Marcellina Pap. 26 kwiet.
 Marcina Bisk. 11 listop.
 Marcina Pap. 12 listop.
 Marcjana Męcz. 17 kwiet.
 Marcjanny P. i M. 9 stycz.
 Marka Ewang. 30 stycz.
 Marka Męcz. 24 marca.
 Marka z Rzy. M. 18 czerw.
 Marty Pan. 30 stycz. i 29 lip.
 Marty Męcz. 19 stycz.
 Marji Egipc. 10 kwiet
 Marji z Engji 23 czerw.
 Marji Kleofy 9 kwiet.
 Marji Magd. we Fl. 31 maja.
 Marji Magd. w Jeroz. 22 lip.
 Marjusza 19 stycz.
 Mateusza Apost. 21 wrześ.
 Matyldy Król. 14 marca.
 Maurycjusza 22 wrześ.
 Maurycego 13 września.
 Maxymiljana Bisk. 12 paźdz.
 Maxymina Bisk. 8 czerw.
 Medarda Bisk. 3 czerwca.
 Melanji Pan. Męcz. 18 lut.
 Metodogo 9 marca.
 Michała Arch. 20 wrześ.
 Mikołaja z Tolent. 10 wrz.
 Mikołaja Bisk. 6 grud.
 Mirona Męcz. 17 sierp.
 Młodzianków 28 grudnia.
 Modesty Panny 15 czerw.
 Moniki Wdowy 4 maja.

Narcysa Bisk. 20 paźdz.
 NARODZ. CHR. P. 25 gr.
 NARODZ. N. M. P. 8 wrześ
 Natalji Panny 27 lipca.
 Nawróc. ś. Pawła 25 stycz.
 N. M. P. Anielskiej 2 sierp.
 N. M. P. *Bolesnej* 12 kwiet.
 N. M. P. od wyz. niew. 24 wrz.
 N. M. P. Loretań. 10 gr.
 N. M. P. *Laskawej* 5 maja.
 N. M. P. *Różańcowej* 29 wrz.
 N. M. P. *Snieżnej* 5 sierp.
 N. M. P. *Szkaplerznej* 16 lip.
 Nawiedzenie N. M. P. 2 lip.
 Nemezjusza Męcz. 19 grud.
 Nicefora Bisk. 13 marca.
 NIEPOK. P. N. M. P. 8 gr.
 Nikodema Męcz. 15 wrześ.
 Norberta Bisk. 6 czerwca.

OCZYSZ. N. M. P. 2 lut.
 Ofiarowanie N. M. P. 21 list.
 Oktawiana Męcz. 22 marca.
 Olimpji 26 marca.
 Onufrego Pust. 12 czerwca.
Opieli św. Józefa 12 maja.
Opieki N. M. P. 10 list.
 Opata Bisk. 4 czerwca.
 Ottona Bisk. 2 lipca.
 Ottona Męcz. 16 stycz.
 Otylji P. i M. 13 grud.

Pafnucego Męcz. 19 kwiet.
 Pankracego 12 maja.
 Pantaleona Męcz. 27 lipca.
 Paschalisa 17 maja.
 Paschazego Bisk. 22 lutego.
 Patrycji Męcz. 13 marca.
 Paulina Bisk. 22 czerwca.
 Pauliny Wdowy 26 stycz.
 Pawła Bisk. 22 marca.
 Pawła Męcz. 26 czerwca.
 Pawła 1 Pustel. 15 stycz.
 Pawła Apost. 29 czerwca.
 Pelagji Panny 11 lipca.
 Pelagji Pokut. 12 paźdz.
 Petronelli 31 maja.
 Pięciu Br. Pol. M. 12 list.
 Pięciu ran ś. Fran. 17 wrześ.
 Piotra Chryzologa 5 grud.
 Piotra Eksorcysty 2 kwiet.
 Piotra Nolaski 31 stycz.
 Piotra Męcz. 29 kwiet.
 Piotra Celestyna 19 maja.
 Piotra z Werony M. 20 kw.
 PIOTRA I PAWŁA 29 czer.
 Piotra w okowach 1 sierp.
 Piotra z Alkantary 19 paźd.
 Piusa Papieża 5 maja.
 Placydy Męcz. 5 paźdz.
 Placydy Panny 11 paźdz.
 Podwyż. św. Krzyża 14 wrz.
 Polieukta Męcz. 21 maja.
 Polikarpa B. M. 26 stycz.
Popielec 6 marca.
 Praxedy Panny 2 lipca.
 Prokopa Męcz. 4 lipca.
 Prokula Męcz. 1 czerwca.
 Prospera Bisk. 25 czerwca.
 Prota Męcz. 11 września.
 Protazego 19 czerwca.
 Pryma Męcz. 9 czerwca.
 Pryski Panny 18 stycz.
 Przemienienie Pańskie 6 sierp.

Przenies. ś. Kazim. 27 sierp.
 Przenies. ś. Wojc. 20 paźdz.
 Pulcherji Męcz. 7 lipca.
 Pulcherji Panny 10 wrześ.

Rafała Arch. 24 paźdz.
 Rajmunda 28 stycznia.
 Rajmunda Kardyn. 31. sierp.
 Reginy Panny 7 wrześ.
 Remigjusza Bisk. 1 paźdz.
 Roberta Opata 7 czerwca.
 Rocha Wyzn. 16 sierpnia.
 Romana Opata 29 lutego.
 Romana Męcz. 9 sierp.
 Romany Panny 23 lutego.
 Romualda Opata 7 lutego.
 Rozalji Panny 4 wrześ.
 Rozesłanie Apost. 15 lipca.
 Róży Panny 26 sierpnia.
 Rudolfa 17 kwietnia.
 Ruffy Męcz. 23 list.
 Rufina Wyzn. 19 sierp.
 Rufiny Panny 31 sierp.
 Ruperta Bisk. 27 marca.
 Ryszarda Bisk. 27 kwiet.

Sabby Opata 5 grudnia.
 Sabina Wyzn. 11 lipca.
 Saby Męcz. 27 paźdz.
 Selezego Męcz. 12 siep.
 Salomei Panny 17 listop.
 Salwiana 14 marca.
 Saturnina Męcz. 29 list.
 Saturniny P. i M. 4 marca.
 Scholastyki Pan. 10 lutego.
 Ścięcia ś. Jana Chrz. 29 sierp.
 Serapiona W. M. 14 list.
Serca Pana Jezusa 28 czerw.
 Sęrgjusza Męcz. 24 lutego.
 Serwacego Bisk. 13 maja.
 Serwiljana Męcz. 20 kwiet.
 Seweryna Opata 8 stycz.
 Siedmiu braci śpiąc. 10 maja.
 Sebastjana 20 stycznia.
 Sonnena Męcz. 30 lipca.
 Sotera Papieża 22 kwiet.
 Spirydona Bisk. 14 grud.
 STANISŁAWA Bisk. 8 maja.
Stanisława Kostki 17 list.
 Stefana Kr. Węg. 2 wrześ.
 Sulpicjusza Męcz. 20 kwiet.
 Sygfyryda Bisk. Męcz. 26 lut.
 Sylwerjusza 20 czerwca.

Sylwestra Pap. 31 grudnia.
 Sylwiana Bisk. 17 lutego.
 Symforjana Męcz. 22 sierp.
 Synezjusza Męcz. 12 grud.
 Syxta Papieża 28 marca.
 SZCZEPANA I M. 26 grud.
 Szczepana Pap. 2 sierpnia.
 Szymona z Lipny 28 lipca.
 Szymona Apost. 28 paźdz.
 Szymona z Edesy 5 lipca.

Tacjana Męcz. 16 marca.
 Tadeusza Apost. 28 paźdz.
 Tarsylji Panny 24 grud.
 Tekli Panny 23 września.
 Telesfora Pap. Męcz. 5 stycz.
 Teobalda Pust. 1 lipca.
 Teodora Męcz. 9 listopada.
 Teodora Zakon. 7 stycz.
 Teodory Męcz. 1 kwiet.
 Teodory Pokut. 11 wrześ.
 Teodozji P. i M. 29 maja.
 Teodozjusza Wyzn. 11 stycz.
 Teodoryka 1 lipca.
 Teofila Bisk. 27 kwiet.
 Teofila Męcz. 20 grud.
 Teresy Pan. 15 paźdz.
 Tomasza z Willan. 18 wrześ.
 Tomasza Ap. 21 grudnia.
 Tomasza Kantuar. 29 grud.
 TRÓJCY ŚŚ. 16 czerwca.

TRZECH KRÓLI 6 stycz.
 Tyburcjusza 14 kwiet.
 Tymoteusza Bisk. 21 stycz.
 Tymoteusza Męcz. 21 mar.
 Tytura Bisk. 4 stycz.

Ubalda Bisk. 16 maja.
 Urbana 25 maja.
 Urszuli Panny 21 paźdz.

Wacława Króla 18 wrześ.
 Walentego K. M. 14 lutego.
 Walerego Bisk. 12 grudnia.
 Walerego Męcz. 13 wrześ.
 Walerji Męcz. 5 czerwca.
 Walerji Pan. 9 grudnia.
 Walerjana Męcz. 14 marca.
 Wawrzyńca Męcz. 10 sier.
 Wenantego Męcz. 18 maja.
 Wenefrydy Pan. 3 listop.
 Weroniki Pan. 13 stycz.
 Weroniki Pan. 4 lutego.
 WIELKANOC 21 kwiet.
 Wiktora 1 września.
 Wiktorji Pan. 23 grudnia.
 Wiktoryna Męcz. 6 marca.
 Wiktoryna Bisk. 5 wrześ.
 Wiktora B. M. 2 list.
 Wilhelma Arcyb. 10 stycz.

Wilhelma Opata 6 kwiet.
 Wilhelma Księcia 28 maja.
 Wilibalda Bisk. 7 lipca.
 Wilibranda Bisk. 7 listop.
 Wincentego Bisk. 20 marca.
 Wincentego Męcz. 22 stycz.
 Wincentego Fer. W. 5 kwiet.
 Wincentego à Paulo 19 lipca.
 Wincentego Kadłubka 6 paźdz.
 Wita 15 czerwca.
 Witalisa Męcz. 28 kwiet.
 Władysława Króla 27 czerw.
 WNIEBOWS. PAŃ 30 maja.
 WNIEBOWZ. N. M. P. 15 sier.
 Wojciecha B. M. 23 kwiet.
 Wolfganga Bisk. 31 paźdz.
 WSZYST. ŚWIĘT. 1 list.

Zacharjasza Pror. 6 wrześ.
 Zacharjasza Pap. 5 listop.
 Zasłużenie N. M. P. 23 sty.
 Zefiryra Pap. 26 sierp.
 Zenobji Pan. 30 paźdz.
 Zenobjusza 30 paźdz.
 Zenona Żołn. 22 grud.
 ZESŁ. DUCHA Ś. 9 czerwca.
 Znależ. św. Krzyża 3 maja.
 Zofji i 3 córek 15 maja.
 Zuzanny P. i M. 11 sierp.
 ZWIAST. N. M. P. 25 marca.
 Zygmunta Króla 2 maja.

ZNACZNIEJSZE JARMARKI.

W Królestwie Polskiem.

W gubernii Warszawskiej. **Warszawa**, jarmark na weinę od 15 Czerwca trwający 4 dni, nazwany Śto-Jańskim. **Łowicz**, jarmarków 6, w poniedziałek po Niedzieli Starozapustnej, we wtorek po Niedzieli Kwietniej, na św. Jan Chrzciciel trzy dni trwać mający, w Poniedziałek po Wniebowzięciu N. M. Panny, na św. Mateusz ośm dni trwać mający, w poniedziałek po św. Andrzeju. Największe: na św. Jan i na św. Mateusz, na których sprzedają bydło, konie, owce, narzędzia rolnicze, powozy, bryczki, wozy, kożuchy i t. d. **Kalisz**, jarmarków 6, w poniedziałek po Oczyszczeniu N. M. Panny, w Poniedziałek przed św. Idzim, po św. Jadwidze i po św. Marcinie. **Widawa**, jarmarków 6, w Poniedziałek po Niedzieli Zapustnej, w poniedziałek po 3-iej Niedzieli Postu, sześć dni trwać mający, szczególniej na konie, bydło, owce i trzodę chlewną; we Wtorek po Zielonych Świątkach, w poniedziałki: po św. Małgorzacie, po św. Marcinie, po 3-iej Niedzieli Adwentu.

W gubernii Radomskiej. **Radom**, jarmarków dwa: na św. Jan Chrzciciel trwający dni 5, i od dnia 9 Września także dni 5. **Skaryszew**, jarmarków 6, w poniedziałki: po Niedzieli wstępnej, trzy dni trwający, szczególniej na konie, po Niedzieli Przewodniej, po św. Jakóbie Apostole, po św. Bartłomieju, przed św. Szymonem i Judą, przed św. Tomaszem Apostofem. **Jędrzejów**, jarmarków 6, we czwartki: po Trzech Królach, po św. Kazimierzu, we Środę po św. Wojciechu, w Piątek po Bożem Ciele, trwa dni ośm, na św. Franciszek Seraficki, trwa dni ośm, we czwartek po św. Katarzynie. **Zarki**, jarmarków 6, we Wtorki: po Trzech Królach, po niedzieli Suchej, po św. Stanisławie od 1 do 8 Maja, po św. Piotrze i Pawle, przed św. Idzim po wszystkich Świętych.

W gubernii Lubelskiej. **Łęczna**, jarmark. 6, w poniedziałek po Trzech Królach, we wtorek po św. Józefie, w piątek po Bożem Ciele, ośm dni trwający, szczególniej na towary z Cesarstwa, konie i bydło rogate, w Poniedziałek po św. Magdalenie, na św. Idzi dziesięć dni trwający, w poniedziałek przed ś. Mikołajem. **Włodawa**, jarmarków 4, we Wtorki podług starego kalendarza: po Zielonych Świątkach po św. Janie Chrzcicielu, po wniebowzięciu N. M. Panny, na Opiekę Matki Boskiej, siedm dni trwający, na bydło.

W gubernii Płockiej. **Płońsk**, jarm. 6, we Wtorki: po Niedzieli Kwietniej po Ziel. Świąt. po św. Piotrze i Pawle, po św. Bartłomieju, po wszystkich Św. po Niep. Począ. N. M. P. wszystkie po większej części na bydło i konie. **Płock**, jarm. dwa: we wtorki: przed św. Janem Chrzcici. i po św. Michale. **Wyszogród**, jarmarków 6, we Wtorki: po św. Józefie, po wniebowstąpieniu Pańskiem, po Bożem Ciele, po św. Jakóbie, po św. Michale, po ś. Łucji. **Ciechanów**, jarmarków 6, we Środy: po ś. Weronice, po Niedz. Środopostnej, po ś. Stanisławie, po św. Magdalenie, po Narodzeniu N. M. Panny, po św. Marcinie. **Mława**, jarmarków 6 we Wtorki: po ś. Macieju, przed ś. Filipem i Jakóbem, po ś. Trójcy, po ś. Piotrze i Pawle po ś. Michale, przed ś. Mikołajem. **Przasnysz**, jarmarków 6, we Środy: po Oczyszczeniu N. M. Panny, po Niedzieli Kwietniej, po Wniebowstąpieniu Pańskiem, po ś. Jakóbie, po Narodzeniu

N. M. Panny, po ś. Katarzynie. **Pułtusk**, jarmarków 6, we Wtorki: po Trzech Królach, po ś. Józefie, po Zielonych Świątkach, po Narodzeniu N. M. Panny, po ś. Jadwidze, po ś. Elżbiecie. **Myszyniec**, jarmarków 6, we Środy: po Trzech Królach, po Zwiastowaniu N. M. Panny, po ś. Trójcy, po Wniebowzięciu N. M. Panny, po ś. Michale, po ś. Marcynie, na konie i bydło, oraz miód i wosk. **Ostrołęka**, jarmarków 6, we Środy: po ś. Walentym, po ś. Józefie, po Nawiedzeniu N. M. Panny, po Podwyższeniu ś. Krzyża, po wszystkich Świętych, po Niepokalaném Poczęciu N. M. Panny.

W gubernii Augustowskiej. **Ciechanowiec**, jarmarków 6, w Poniedziałki: po Oczyszczeniu N. M. Panny, na ś. Wojciech, po Bożem Ciele, przed ś. Wawrzyńcem, po ś. Mateuszu, po ś. Andrzeju, na jarmarki te najwięcej doprowadzają bydła.

W GUBERNIACH ZACHODNICH CESARSTWA ROSSYJSKIEGO.

Białystok, jarmark na św. Jan Chrzciciel. **Brześć-Litewski**, jarmark na św. Agnieszkę. **Grodno**, jarmark na Podwyższenie św. Krzyża. **Janiszki**, (na Zmudzi) jarmarków 3, na Najświętszą Pannę Gromniczną, na Środoposieie i na Boże Ciało. **Krasław** (w witebskiem) jarmarków 2, od Niedzieli Mięso-pustnej do wielkiego Postu i na ś. Donata t. j. w pierwszą niedzielę po ś. Piotrze. **Lubówiec**, jarmarków 2, na Trzy Króle i w dzień ś. Piotra i Pawła. **Nieśwież**, jarmark na 1 Lipca, trwający przez trzy tygodnie. **Smorgen**, jarmark na Środoposieie. **Swiśłocz**, jarmarków 2, ta dzień 1 Maja trwający dni 5, i na ś. Bartłomiej. **Uciana**, jarmarków 4, na Najświętszą Pannę Gromniczną, na Wniebowstąpienie Pańskie, na Boże Ciało i na Aniołów Stróżów, trwający dwa tygodnie. **Wilno**, jarmark od 23 Kwietnia do 15 Maja, podług starego Kalendarza, na bydło, zboże i porządki gospodarskie.

Berdyczew, jarmarków 5, z tych najgłówniejsze: na św. Onufry (13 Czerwca) i na Wniebowzięcie, podług starego Kalendarza, szczególniej sprzedaż bydła i stepowych koni. **Bałta** (na Podolu) jarmarków 2, od 25 Maja do 1 Czerwca i na śś. Piotra i Pawła. **Dubno**, jarmarków 2, 1-szy na śś. Piotra i Pawła, trwa trzy tygodnie, drugi na Trzy Króle ruskie, na którym sławne Dubieńskie odbywają się kontrakty, przez ciąg czterech tygodni. **Dunajowce** (na Podolu) jarmarków 2, na Nowy Rok i na św. Jan Chrzciciel, każdy trwa po tygodniu i na nich wszelkiego rodzaju towarów, bydła i koni nabyć można. **Grudek** (na Podolu), jarmarków 5, od 13 do 19 Czerwca, od 26 Lipca do 2 Sierpnia, od 16 do 22 Sierpnia, od 4 do 10 Października i od 6 do 12 Grudnia. Każdy jarmark trwa tydzień. **Jarmolińce** (na Podolu) jarmarków 3, na Przewodnią Niedziele, 27 Czerwca i na św. Mikołaj, gdzie sprzedają się różne towary, konie i bydło. **Kijów**, kontrakty na Trzy Króle i jarmark od 15 Czerwca do 1 Lipca. **Kalezyń** (na wołyniu), jarmarków 5, na Przewodnią Niedziele i na Wniebowstąpienie przez cały tydzień, a na śś. Piotra i Pawła, na Pantaleona i na 40-stu Męczenników po trzy dni. **Poczajów** (na Wołyniu), jarmarków 2, na Zielone Świątki obrządku ruskiego i na Uśpienie N. M. Panny, obadwa trwają przez cztery tygodnie. **Wiszniovec** (na Wołyniu), jarmarków 6, na N. M. P. Gromniczną, na św. Jerzego, na św. Jana Chrzciciela, na św. Eljasza, na św. Dymitra, dnia 22 Października.

W GALICJI.

Brody, jarmarków 2, we Środe przed Trzema Królami i na św. Łukasz. **Bochnia**, jarmarków 19, 2 Stycznia, w Poniedziałek po Niedzieli Mięso-pustnej,

w Poniedziałek po 3 Niedzieli Postu, potem jarmark we Czwartek każdego tygodnia aż do Piątku po Wniebowstąpieniu Pańskim, w Piątek po Bożem Ciele, 24 i 30 Czerwca, 22 Lipca, 10 Sierpnia, w Poniedziałek po Podwyższeniu św. Krzyża, w Poniedziałek po Różańcu, 11 i 25 Listopada. Na jarmarki te doprowadzane, są szczególniej woły robocze krowy i konie. **Jaśliśka** (nad samą granicą węgierską), jarmark na św. Łucję, na konie i bydło węgierskie. **Jędrychów**, jarmarków 4, 19 Marca, 24 Czerwca, 24 Sierpnia, 21 Grudnia, głównie na drelichy, pestrę i bieliznę stołową krajowego wyrobu. **Kraków**, jarmarki 2 czternasto-dniowe na bydło i weinę, 16 Maja i 16 września. **Lwów**, jarmarków 3, 4 Maja przez 4 tygodnie, 12 Października przez 2 tygodnie, i jarmark na weinę od 1 do 8 Lipca. **Przemysł**, jarmarki dwa czternastodniowe: na św. Piotra i Pawła i na św. Michał. **Rzeszów**, jarmarków 7, 19 Marca, 23 Kwietnia, na św. Trójce, 2 Lipca, 21 Września, 2 Listopada i 21 Grudnia, najgłówniejszy na konie na św. Wojciech, trwa tydzień. **Stryi**, jarmarków 4, na św. Stanisław przez dni 8 na bydło, na Wniebowzięcie N. M. P. przez dni 8 na bydło, dnia 7 Sierpnia przez dni 14 na bydło, na św. Mikołaj przez 8 dni jarmark roczny i na bydło. **Tarnów**, jarmarków 4, 3 Lutego, w Poniedziałek po 4-ój Niedzieli po wielkiénocy, 22 Lipca i 14 Września, szczególniej na wyroby tkackie. **Zaleszczyki**, jarmarków 5, 6 Stycznia star. kal., 21 Marca, na wielkanoc obrządku ruskiego, 4 Października i 20 Listopada, mianowicie na opasy.

W W. KS. POZNAŃSKIEM.

Kórnik, jarmarków 4 12 Marca, 25 Czerwca, 24 września i 20 Grudnia, na bydło i Kramne towary. **Mielżyn**, jarmarków 4, 14 Lutego, na św. Zofię, 21 Sierpnia i 16 Października, na konie, bydło i towary kramne. **Odolanów**, jarmarków 4, 6 Lutego, 11 Czerwca, 3 Września i 12 Listopada, na bydło i towary kramne. **Poznań**, jarmarków 9, 26 Marca na kramarszczyznę, 30 Marca na bydło, 12 Czerwca na weinę, 25 Czerwca na towary kramne. 5 Lipca na konie i bydło, 24 Września na towary kramne, 28 Wrześ. na bydło, 16 Grudnia na towary kramne, 21 Grudnia na bydło.

W PRUSACH WSCHODNICH.

Elbląg, jarmarków 7, 7 Maja i 12 Listopada na towary kramne, 4 Czerwca i 15 Października na bydło i konie, 5 Czerwca i 16 Października na bydło, 22 Czerwca na weinę. **Gdańsk**, jarmarków 2, 27 Czerwca na weinę i 5 Sierpnia na konie i towary kramne. **Grudziądz**, jarmarków 4, 16 Kwietnia, 25 Czerwca; 27 Sierpnia, 12 Listopada na konie, bydło i towary kramne. **Toruń**, jarmarków 3, 2 Stycznia, 4 Czerwca i 29 Października, na bydło, konie i towary kramne.

W SZLĄZKU.

Wrocław, na konie i bydło jarmarków 5, i tak: dnia 14 Marca 16 Kwiet. 25 Czerwca, 16 Lipca i 19 Listop. Na weinę jarmar. 2, 7 Czerwca i 2 Października. **Brzeg**, na weinę jarmark. 2, 31 Maja i 27 Września. Na bydło i konie pięc: 28 Lutego, 4 Czerwca, 23 Lipca, 3 Września i 3 Grudnia.

SŁÓWKO O TEATRZE.

Gdy do wspaniale oświetlonéj sali, połyskującej złotem, błyszczącej wytwornemi ozdobami, okrytej obrazami, wchodzi niemniej strojna kobiéta, z ramiony obnażonemi, z bukietem w ręku, z uśmiechem zadowolenia z siebie na ustach, witana tysiącem zwracających się zewsząd na nią szkiełek i oczów; gdy w białych rękawiczkach, z lornetką w oku, wyfryzowany lew zasiada w wygodnym fotelu aksamitnym pod orkiestrą; gdy z oszczędzonego grosika kupuje sobie na paradyz skromny bilet wnijsčia pracowity robotnik lub uwolniona na kilka godzin służąca; wszystko to przychodzi w myśli aby się tylko zabawić i rozerwać. Muzyka, światła, obrazy, sztuka sama, przeznaczone się być zdają tylko na zajęcie kilku godzin pustych, na odciążenie człowieka od przykréj, nużącej rzeczywistości. Teatr téż współczesny zanadto się dosłownie przywiązał do tego celu zabawiania; pomiędzy nim, a cyrkiem, w którym konie i słonie grają główne role, różnica codzień jest mniejsza, z wielu nawet względów teatru końskie lepsze są od ludzkich.

A jedne i drugie powszechnie są uważane tylko za zabawkę.

Lecz jak pokarmy, które człowiek spożywa dla przyjemnego ich smaku a nie koniecznie dla posiłku, nie są bez działania na jego zdrowie, siły i życie, tak téż zabawa nie jest bez wpływu na wykształcenie społeczeństwa. Począwszy od Rzymian, ich cyrków, amfiteatrów, ruimów i teatrów, aż do wodewilu francuzkiego, robionego na zakaz w fabryce, po tyle franków od aktu, który bulwarową publikę rozwesela — nic nie jest obojętnem, wszystko zna czy, waży, wpływa, psuje lub naprawia. Teatr może być zarówno silnem lekarstwem i potężną trucizną. W najobojętniejszych na pozór sztuczках, jest jakaś pruszyńska która działa na człowieka, a im tę odrobinę częściej powtarzana przyjmują massy, tém więk szy naturalnie skutek być musi. Prawdy te nieulegają wątpliwo ści. Teatr, jak wszelka czynność ludzka, świadczy o stanie społec-

czeństwa, o stopniu jego wykształcenia, o smaku, o dążnościach panujących, jest historją narodów które doń przyszły i historją także tych co go nie mają—bo brak teatru ma też znaczenie wielkie, a nie mniejsze upadek jego, zepsucie, spodlenie. Teatr, jak to nieraz powiedziano, jest jedną ze szkół narodowych, a wpływ jego tém większy, im zrozumialszym, ponętniejszym przemawia językiem.

Z tego powodu, rzut oka na dzisiejszy stan teatru w Europie, byłby zajmującą kartą historii współczesnej, mógłby on nam pokazać i tę społeczność którą zaspokaja, która nic innego nie pragnie i nie lubi, w pewnym względzie popychającą nawet przedsiębiorców — i wpływ cywilizowanych narodów jednych na drugie, i poziom moralny na którym dziś stojemy.

Pod względem sztuki, może pod względem sztuczności, niezawodnie teatr nigdy nie stał wyżej, ale wszystkich środków sztuki i sztuczki ku czemu użyto — to wielkie pytanie? jakimi obrazami, językiem, sytuacjami działa ona na ludzi, ku czemu ich prowadzi? jakie obudza uczucia?

Przebiegłszy sceny europejskie, zostaje nam po nich wrażenie jedno: wszystko co się na nich widzi poważniejszego, znakomitszego, potężniejszego, pochodzi z zabytków przeszłości; to co tworzy wiek na obraz i podobieństwo swoje, jest niedołęzne, liche, bezmyślne. Arcydzieła które wydały lata ostatnie, postawione przy prawdziwie mistrzowskich utworach dawniejszych, dziwnie maleją. Często w tamtych forma jest naiwna, dziecinnie niezręczna, myśl wielka i potężna; w tych znowu kunszt ogromny, idea maluczka lub żadna. Samo odwzorowanie człowieka... tamto go podnosi, dzisiejsze poniża; tam wzięty on jest jako istota walcząca o to aby się stała doskonałą, tu jako niedołęzne stworzenie, które smętna rzeczywistość zwyciężko przygniata.

Człowiek Eschyleśa, Sofoklesa, Shakespeara, Calderona, wreszcie Goethego i Schillera, jakże olbrzymim się wydaje przy człowieczkach nowych dramatów francuzkich i niemieckich! Miałyżby się tak samo różnić wieki co te ideały i karykatury wydały? Tak jest niezawodnie. Teatr karciał dawniej niecnotę, dziś się tylko namśmiewa z niepraktyczności człowieka; wszystko, nawet występek zszedł do tego tylko, że się wydaje już nie ohydny w sobie, ale niezręcznym, a wedle wyrażenia wieku, niepraktycznym. Oczywiście, zmysł moralny ogółu został zwichnionym, zwrot wielki dopełnia się w społeczeństwie, wszystko znamionuje, że ono w nic, nawet w siebie nie wierzy, ściele sobie łożę wygodne do uczyty życia, nic więcéj.

Teatr wyśmiewa — niezręcznych, głosząc tryumf dobrze urządzonych społeczności, z którą walczyć nie można, bo ona zawsze zwycięża — nie w imię idei, ale w imię własnego bezpieczeństwa.

Możnaby śmiało powiedzieć, że moralność teatralna stała się niemoralną, sam sposób w jaki nawraca się do dobrego, jest wstrętliwy, — idzie po prostu o to, aby wszyscy byli bezpieczni; blask i piękność cnoty znikły, dowodzi się tylko jej bezpośredniego użytku. Cnota procentuje, wedle wyrażenia wieku, ale już jak dawniej nie świeci, występki rujnuje choć w gruncie jest obojętnym, zowie się on złą rachubą.

Świat rozpoetyzowany zewsząd, miłość nawet wygląda dziko, śmiesznie, prawie jak stary przesąd, niedogarek głupich czasów rycerskich; wszelkie poświęcenie zawsze zlekka choć z uszanowaniem bywa wyśmiane — ogólny więc ton teatru zgodny jest z ogólnym usposobieniem wieku.

Smutny to stan choć nierozpaczliwy, widocznie dochodzimy do przesilenia w chorobie, po której musi nastąpić konwalescencja, odrodzenie, ale wprzód dojdziemy jeszcze do ostatecznego kresu złego.

Tymczasem teatr wypotrzebowuje namiętnostki (bo namiętności wielkie znikły) — fantazje, śmieszności, dogadza, pochlebia, przymla się, bawi, współubiega z pajacami i akrobatami, naostatek przywabia plugastwy, rachuje na bezwstydy, pokusza tytułami dwuznacznymi, robi wystawy nagości moralnych i cielesnych — jednym słowem, spodła się dla zarobkowania. W najlepszym razie, autorowie dramatyczni najczystszy ubiegają się za powodzeniami raczej niż za ideałami i ideałami. Teatr upada i upadł mimo swęj świetności pozornęj, a wielkie sukcessa otrzymują w nim ludzie i rzeczy najmnęj ich godne. Historja dzisiejszęj sceny europejskięj będzie smutnym rysem w dziejach spółczesnych, Uznają to zresztą wszyscy zgodnie, poradzić na to nie jest w mocy ludzkięj, bo wszelka sztuka jest tym kwiatem koniecznym, który rozwija się z rośliny wedle przemożności jej, rodzaju, wzrostu, klimatu, słońca które dogrzewa i rosy co ją skrapia.

Kwiat ten musi być takim jakim go uczyni roślina co go wy-daje, upadkowi sceny może zaradzić tylko podźwignięcie się społeczeństwa.

Tak w literaturze całej jak w dramacie, społeczność gra stanowczą rolę, ale literatura i dramat nawzajem oddziaływają na nią. Inicjatywa tego działania przychodzi często, gdy z łona nadgniętego społeczeństwa poczną wyradzać się ludzie, co wyprzedzając wiek

swój, czując potrzebę reformy, pierwsi się na nią ważą, z wiarą głęboką, z talentem silnym, z wolą niewzruszoną. Ale w dzisiejszym stanie nauki organizmu społeczeństw, trudno, raczej niepodobna oznaczyć, kiedy i jak ci ludzie przyjść mają; w rzeczy samej nie ma na to prawidła; rodzą się ci wodzowie przyszłości, gdy zło przechodzi wszelkie granice, chwytają sztandar i wiodą ludzką drogami nowemi. Genjusz odegrywa tu też samą rolę przeważną, jaka mu się należy w innych sferach czynu.

Gdyby przyszło ocenić moralny wpływ Shakespeara na społeczność europejską, znaleźlibyśmy w nim pewnie równie wielkiego moralistę i cywilizatora, jak poetę. Toż samo z innemi umysły potężniejszymi. Molier nawet w najlżejszej ze swych komedyjek jest nauczycielem, jest mistrzem obyczajów, choć zdaje się zabawnie tylko z nich naśmiewać. Nasz Fredro uczy i podnosi, nawet gdy słabości maluje i wiernością obrazu zasmuca, jak w *Mąż i żona* na przykład. Jest to własnością genjuszu, że musi być wielostronnym, że nie tylko jest pięknym, ale zarazem pożytecznym i posilnym. To go odróżnia od talentu, który formę mu odkraść potrafi, zdobyć się nawet może na swoją własną, ale w nim głębiny braknąć będzie. Genjusz nawet jednostronnie i wyłączenie się przedstawiający, jest całością pełną, ma zawsze znaczenie wielostronne, często samemu sobie niedostrzeżone odrazu, mimowolne — wydaje się dziwnym, ale zwycięża gdy mu się przypatrzym. Dzieło genjuszu dostarcza treści i materiału najróżnorodniejszej nań się zapatrującym, talent wyczerpuje się najlżejszem badaniem, dno i próżnię widać w nim natychmiast. Pomimo to, dzieła talentu które dogadzają zwykle upodobaniom tłumu, ale nie wiodą go za sobą, często w pierwszych chwilach budzą zapal wielki i więcej podobają się niż surowsze twory genjuszu. Ludzie potrzebują czasu, by tę strawę przeżuć i z nią się oswoić, drażni ona zrazu podniebienie, odstręcza ostrością swoją, czas dopiero całą jej wartość odkrywa. Gdy dzieła talentu wyschły już i zwiędły, genjusz dopiero kwitnąć i jaśnieć poczyna.

W literaturze dramatycznej mało jest tych gwiazd wielkich, pierwszorzędných, a nasz wiek i bliższe nam lata szczególnie nie dostarczają ich wcale. Tego co tworzy poetę nam braknie — wiary i boleści; zwątpienie, ostygłość, nędzne cierpienia cielesne nie są w stanie stworzyć wieszczą. Wiek nasz doskonale handluje, spekuluje wybornie, frymarczy zręcznie, ale śmieje się z tego co się nie daje pochwyć, przerachować, sprowadzić do cyfr, schować do kieszeni; lekceważy też wpływ moralny teatru na społeczeństwo, a jedyna tylko polityka używa go, bo się posługuje wszystkim co jej

się zda dogodnym. Strącony z wielkiego stanowiska jakie zajmował niegdyś, z kapłańskiego obrzędu stał się dziecinną rozrywką, umiera też i zemrze z rozpusty.

Dawniej owi odarci, biedni, zgłodniali Scarronowi artyści, słuchani byli z poszanowaniem, jak żebrak ślepiec Homer—dziś bogaci, dobrze płatni, przyjmowani w towarzystwie, w istocie są lekceważeni — bawią tylko.

Może też tam właśnie, gdzie teatr niedoszedł do zgubnego stanowiska świetnej spekulacji, coś by o jego odrodzeniu pomyśleć należało. Niepotrzeba na to ani wielkich nakładów, ani nadzwyczajnych pomocy, ale poświęcenia ze strony pisarzy, pojęcia misji swęj ze strony artystów, namaszczenia, przejęcia się ważnością celu który jest do dopięcia.

Widzowie w teatrze z każdego przedstawienia jakąś odrobinę pożytku duchownego wynieść powinni; nie stoi to na przeszkodzie ani piękności formy, ani interesowi sztuki, ani uczciwej zabawie; lekarstwo powinno się, że tak powiem, wdychać niepostrzeżone. Nic mniej skutecznego nad dramata z tendencją umyślną, z góry narzucaną, pisane dla moralizowania; gdy pisarz, by być moralnym, potrzebuje się do tego przygotowywać, myśleć o tém, starać się o to, już to dowód, że w głębi duszy moralnym nie jest. Z człowieka prawego rzecz prawa tylko wypłynąć może, chociaż bardzo wielu prawych i cnotliwych pisarzy którym brak talentu, równie nic wpływowego stworzyć nie potrafią. Ale i ci co dziś piszą najenotliwsze deklamacje, jutro najsromotniejsze dziwolągi, także na ogół mimo talentu działać nie potrafią. W dziełach ich nie będzie, nie może być tego zaraźliwego ducha cnoty—jest jęj udawanie, które nie działa i nie przenika.

Ze wszystkimi słabościami i niedoleżnościami swemi, człowiek przekonań głębokich, szczęry, będzie miał wpływ na ludzi, bo posiada w sobie ducha — gdy najzręczniejszy sztukmistrz ułudzi chwilowo, ale nie nawróci nigdy — bo mu go braknie.

Nic zręcznieję zbudowanego nad dzisiejsze dramata, na niczem im nie zbywa, oprócz tego tchu co życie daje. Obmyślenie charakterów, ustawienie ich obok siebie, wynalezienie sytuacji, powikłanie interesów, niespodzianki, dowcip, osnucie scen zręczne, stopniowanie umiejętne — mają wszystko, a mimo to słuchacz z nich zimnym odchodzi. Tego jednego słowa wielkiego, ludzkiego, przejętego, którym chwytą Eschyles, Sofokles, Shakespeare, Calderon, Molière — w nich nie ma. W niejednym z tych starych pisarzów, co jak Shakespeare w *Romeo i Juljecie*, wzięli wprost tkankę powieści lu-

dowój i rozłożyli ją na akty, czasem się spotyka najnaiwniejsze niezręczności, najdziecinniej popłatane wypadki, a jednak jest tam człowiek, dola ludzka, jakaś prawda wielka, jest duch co słowo ożywia. Nowe twory są to istne arcydzieła budowy, stylu, sztuki, ale jak piękne owoce woskowe, nie mają ani smaku, ani woni.

Tragedja stała się wprost niepodobieństwem, musiała się przemieszczać w krwawy melodramat bulwarowy, w szereg obrazów przerażających i odrażających; komedja nie umie się śmiać, bo w nic nie wierzy, bo gotowa tolerować wszystko, bo się nie oburza na nic, chyba na niezręczne wypotrzebowywanie życia.

Zeszliśmy tak nisko zaprawdę, że realizm obrazów stanowi dla nas całą ich piękność, po nad nią nic nie widzimy, nie pojmujemy, nie pożądamy innej.

W chwili gdy człowiek przestał wierzyć w lepszy świat inny, nadziemski, a ograniczył się tym w którym żyje, źródło poezji i natchnienia wyschło. Wiek, dla którego materjalne powodzenie jest wszystkim, tylko nauki zręcznego szalbierstwa dawać może, a te ani teatru, ani poezji podnieść nie potrafią. Kwestja więc teatru, jakieśmy to z początku powiedzieli, rozwiązana być nie może, nie dotykając innych, daleko nad nią ważniejszych.

Nie idzie za tēm, abyśmy o niej myśleć nie mieli i nie starali się coś uczynić, gdy nie można wszystkiego. Pierwszym środkiem odrodzenia sceny jest powrót do arcydzieł uznanych dawniejszych epok, obfitszych nad naszą w natchnienie i genjusze. Nie mogąc stworzyć z siebie nic wielkiego, musimy je czerpać tam, gdzie je czujemy. Chociażby zepsuty smak słuchaczy wołał lichoty społeczne, potrzeba mu podawać to co ma istotną i niezaprzeczoną wartość estetyczną i moralną.

Mówiliśmy już, że one chodzą nierozłącznie razem—co jest piękne, dobrem być musi. Można być pewnym, że wielkie dzieło sztuki ma w sobie ideę moralną, choćby nie od razu jasną — ona jest duchem co je stworzył. Nad wyroby zręczne naszych rzemieślników dramatycznych, przenosić należy nawet mniej udolne klasyczne utwory. Z tych zawsze tryska myśl wielka, żywiąca, zdrowa, a nie tak nie kształci średnich zwłaszcza klas społeczeństwa, jak podobne sztuki.

W każdym narodzie prawie, reprezentowane są klassami różne wieki przeżyte, które ukazać i rozeznać w nim można. Żyjemy w wieku XIX-tym, ale byśmy i X-ty może nawet około siebie poszukawszy znaleźć mogli. Są więc warstwy społeczne, do których Eschyles, Sofokles, Shakespeare, Calderon, przemówią ich językiem,

wyobrażeniami, ich wiekiem. Dla bardzo wielu widzów naszego kraju, Shakespeare naprzykład zrozumialszym będzie nad V. Hugo, nad Schillera; dla ludu, pewni jesteśmy, dramat grecki byłby najprzystępniejszym.

Może się to zdawać paradoxem, jest wszakże istotną prawdą. Ktokolwiek zbliża przypatrywał się ludowi, dojrzał w nim pewnie niestartych cech pierwotnego bytu, którego najszczytniejszym wyrazem jest dramat grecki. To co dla mieszkańca miasta na pół ucylizowanego, niesmaczném się wydać może i niepojętem, dzikiem, prawie barbarzyńskim, dla ludu wiejskiego karmionego rodzimą poezją prastarą, nierozczarowanego połowiczną ogładą, będzie właśnie pokarmem najwłaściwszym.

Dramat współczesny zgubny wpływ wywiera na klasę średnią, odbierając jej resztę wiary, poezji i rozczarowując ostatecznie. Tam gdzie panowała i panuje komedia nowa i wodewil francuzki, wszędzie skutki ich są widoczne, poezja znikła, rzeczywistość nabrała wyłącznego znaczenia i przewagi — człowiek ustąpił miejsca kółku temu w machinie społecznej zarabiającemu na chleb, które się zowie istotą cywilizowaną.

Zabawne te sztuczki, miłuchne, zręczne, zawsze jeden szepczą sens moralny — pamiętaj na chleb powszedni... bądź ostrożnym, nie czyn złego, bo społeczeństwo jest silne, bo występek rujnuje człowieka... Tu siła jest zawsze poszanowaną nadewszystko, groź wszędzie zwyciężca, zręczność triumfuje, powodzenie uniewinnia, cnota ukazuje się jako granica, po za którą dla tego tylko przejść nie wypada, że dalej idąc można się darennie zabłocić i połamać nogi; namiętność gani się jako pozbawiająca rozumu, nie zaś jako upodlająca człowieka, — jest to zły przewodnik, bo ślepy. W ogóle, nic ziemniejszego, nic boleśniej ostudzającego nad dramat nowy, nad jego ideały, u których szczytu stoi bankier bogaty, dobrze utrzymujący rachunki i z wysokości zwyciężkich milionów dający światu nauki jak się rządzić potrzeba. Nagroda cnoty przychodzi w postaci banknotów i akcji które poszły w górę... kara zjawia się w łańchmanach i wiedzie do szpitala — po za tym ciasnym horyzontem próżnia i czczość.

Naturalnie, słuchacz wychodzący codziennie z widowiska które mu jedną myśl upostaciowuje i przedstawia na różne sposoby, wkońcu przejąć się nią musi. Wszystko co by go rozgrzać mogło, podnieść, uszlachetnić, najstaranniej się unika, bo nierozważne poświęcenie psuje harmonję życia, niepokoï, odrywa od starania o chleb powszedni, a dziś jedynym obowiązkiem człowieka jest mieć co jeść,

aby na miłosierdzie i braterstwo nie rachować. Dowiedziono bowiem, że miłosierdzie jest społeczeństwu szkodliwem, a braterstwo niedorzecznym przesądem, który już wcale nie obowiązuje ludów cywilizowanych.

Sztuki które chcą być gwałtownie moralnemi, do tój się moralności chleba powszedniego ograniczają, a paradyz wynosi z nich naukę, że można pana okraść, ale czynić to potrzeba w formie, któraby się pochwycić i wykwalifikować na złodziejstwo nie dała, ukradzione zaś potrzeba skrzętnie zachować i umieścić tak aby procentowało.

Dramat jest niemożliwym gdzie nie ma uczucia, a gdzież dziś na nie miejsce w życiu? Najświętsze i największe z uczuć religijnych, jest formą, czemś dodatkowem, niebardzo obowiązującym; nie wiedząc w co wierzyć, tymczasowo w nic nie wierzym. Miłość nie istnieje, społeczność postawiona cała na stosunku interesów i wzajemnych potrzeb, poświęcenie uznano szaleństwem i anachronizmem, wychwalono chłód przywoity, katechizmem jest tabliczka Pytagoresa—pozostała więc przywoitość względem ogółu, a w miejscu miłości kobiety, chuć i rozpusta krótko trwała, ubrana wykwintnie i modnie.

Pomiędzy ideałami wdzięku, dowcipu, poetyczności, naprzeciw bankiera, stoi na piedestale odpowiednim kobieta, ale nie inna, jak Aspazja lub Fryne. Nie ma dramatu, w którymby najpiękniejsza rola jój się nie należała; ona panuje, ona ma siłę atrakcyjną, a uczciwa niewiasta o tyle tylko, o ile jest do niej podobną. Nie dziw też, że pod wpływem tój apoteozy, Francja szczególniej przepełniona jest istotami, które z desek teatralnych zeszyły do społeczności. Na ten ideał dramatu kształcą się mnogie kandydatki, a rola ich w życiu rzeczywistem stała się ogromną. Jest niezaprzeczonem, że literatura i teatr mocno się do tego przyczyniły; obyczaj wprawdzie wydał istotę niedołązną, ale wykształciły ją, podniosły, uzupełniły romanse i dramata... Z nich potem nauczyły się Aspazje czem być mają, aby panowały światu; poezja z nich stworzyła bóstwa tajemnicze, zagadkowe, mieszaninę dziwacznej ambrozji z błotem, woni i kału, cnoty i występku, czułości i rachuby, rozsądku i spodlenia.

Mniej jest może oryginalności w charakterach dramatu nowego francuzkiego, niż się na pozór zdaje, pomimo usiłowań wyjścia z zaczarowanego koła tradycyjnych postaci teatru dawnego, wszyst-

kie stworzone dziś dają się wedle starych rubryk rozkategoryzować. *Père noble*, matka, kochanka, kochanek, subretka, służący, czarne charaktery, zyskały może nieco cech rzeczywistości, trochę brodawek i piegów, które je naturalniejszymi czynić mają, ale nad to nic podobno więcej. Dowcipni są wszyscy aż do zbytku, aż do znużenia, tak dalece, że ci nawet coby niemi być niepowinni, są niemi niby przypadkiem. Dowcip to dosyć pospolity, ale żywy, ostry, zgrzyliwy i zjadły.

Żadną postacią nową zupełnie teatr pochwalić się nie może, oprócz spekulatora, giełdzysty, który w różnych przemianach w każdej sztuce wychodzi, bo i na świecie też go dosyć. Gdybyśmy mieli czas i miejsce do rozważenia sytuacji teatralnych, do rozbioru pomysłów, łatwo by wykazać ich ubóstwo, jednostajność lub bezmyślny realizm. Jak w innych gałęziach sztuki i tu rzeczywistość skłaniała szlachetny popęd ku ideałom, ustąpiły one jako niemożliwe ze sceny lub dziwnie zmałyły. Technika dramatyczna wyrosła, dramat upadł.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że chorobliwy stan dzisiejszy zmienić się musi i polepszyć, że odskoczy w drugą ostateczność, gdy wielka jakaś idea, gorące uczucie, potrząśnie odrętwionym światem, ale któż przewidzieć potrafi kiedy to nastąpi. Żaden dziś kometą na opustoszałym niebie nie przepowiada zmian wielkich mających na kuli ziemskiej nastąpić, żaden Mathieu de la Drôme nie odważy się prorokować tego kataklyzmu, który nowe wleje życie, niszcząc starego szczątki... ale niepotrzeba być wieszczem by zgadnąć, że to co jest, ostatecznym być nie może, przejściowym być musi.

Zawsze zwykli uskarżać się ludzie, ale jest tu wielka w narzekaniach na stan obecny różnica, że narzekania na coś czynnego, przetwarzającego, działającego, najczęściej są niesprawiedliwym głosem bólu przy operacji, gdy wołania o odrętwiałość, zziębnięcie, negacją, mają w sobie niemal zawsze słuszość. Tak jest dziś właśnie: nie skarżym się na robotę społeczną, ale na jej powstrzymanie, na niedołęztwo, z którego po chwili spoczynku, jak zwykle, ludzkość na drogi nowe wyjść musi; teatr też odbije natychmiast ten zwrot, który mógłby przygotować gdyby był samoistniejszym, gdyby zabawą być przestał, gdyby mógł nie być rachubą, gdyby potrafił uznać się posłannictwem, lub co lepiej, spełniał swą misję instynktowo, nie mówiąc nawet i nie myśląc o niej. Zkąd duch nań powonie... trudno odgadnąć... Może pilnuje przed jakim teatrem

jeśli nie koni, to latarni, jaki biedak, może przedaje kontramarki dzisiaj, ten, który ma być naszego wieku Shakespearem... daj Boże, aby wyrosł i dojrzał co prędzej.

Drezno, 4 Maja 1865 roku.

J. I. Kraszewski.

DO ODDALONÉJ.

(z Heinego).

Więc cię, jedyna! już na wieki
Tracę, w poranku schmurzonym.
Jeszcze mi śpiew twój brzmi daleki,
Jak pomnisz, tam pod jesionem....

Jak ów wędrowiec biegnąc świtem,
Daremnie okiem w dal goni,
Gdzie skryty w górze pod błękitem
Skowronek piosnki swe dzwoni;

Tak ma źrenica mknie po niebie,
Goni polami zbłąkana,
I pieśń za pieśnią wzywa ciebie,
O, powróć, powróć, kochana!

J. G.

KILKA SŁÓW O SŁOWENCACH

I ICH PIŚMIENICTWIE.

Czasowe piśmiennictwo nasze tak mało w ogólności zajmuje się przedmiotami słowiańskimi, że skutkiem tego i czytająca publiczność, mniej niżby się godziło, wie o niejednym z tych pobratymczych plemion, których języka i obyczajów poznanie nieraz by światło pożądane w badania własnych naszych rzeczy wniesć mogło. Żadne jednak plemię nie pozostało podobno tak zupełnie dotąd nam nieznanem, jak Słowenci. O Serbach, Chorwatach, Bułgarach, Czarnogórcach i Bośniakach, każdy czytelnik musiał nabyć lepszego lub gorszego pojęcia ze samych już tylko częstych dziennikarstwa politycznego o nich wzmianek. O Czechach i Słowakach wiemy wszyscy mniej lub więcej z powodu bliskiego sąsiedztwa. Szczupła nawet garstka łużyckich Serbów, dzięki swemu położeniu na wielkiej zachodniej drodze, po tylekroć na kartach pism naszych wspomnianą była, że już nam obcą być przestała. Ale oddalone i ciche plemię słoweńskie tak dotąd mało zwróciło na się uwagi, że wątpię abym się omylił twierdząc, iż na stu niniejszego czytelników, dziewięćdziesięciu dziewięciu nie przypomni sobie, czyli się już poprzednio chociażby z nazwą jego samą spotkać znaleźli sposobność. Z tego powodu, kilka następujących o Słowencach i piśmiennictwie ich wiadomości, pomimo całej pobieżności i urywkowości swojej, dzięki samej nowości przedmiotu, nie całkiem może bez interesu dla publiczności czytającej pozostanie.

Słowenci — czyli jak się w miękkim swym języku sami nazywają: *Słowenci* — zamieszkują po nad samym najgłębszym Adrjatyckiego morza zakątkiem, dotykając do niego wązkim klinem, pomiędzy weneckie posiadłości Austrii a Dalmacją się wciskającym. Od zachodu mają za sąsiadów Włochów, od północy Niemców i po części Madziarów, ale za to od wschodu i południa, opierają się szeroką granicą o pobratymczych Chorwatów i dalmackich Serbów. Licz-

ba ich wynosi dzisiaj około półtora miliona dusz; przestrzeń zajmowanego przez nich kraju około czterystu mil kwadratowych — a jak tego mnogie nazwy w ziemczalnych już całkiem ościennych okolicach dowodzą, siedziby ich kiedyś daleko sięgały po za dzisiejsze języka ich granice. I liczbą więc, i obszernością swych dzierżaw, plemię słoweńskie nie należało do najpośledniejszych w wielkiej słowiańskiej rodzinie; mimo to przecież żadne może w dziejach tak lichęj i mało znaczącej jak Słoweńcy nie odegrało roli. Inne ludy słowiańskie wyginęły walcząc uparcie, lub przynajmniej po nieskończonych uległy wysileniach; Słoweńcy tak dawno i snadnie przeszli pod obce panowanie, że historia zaledwie jakiegokolwiek zachowała przejścia tego ślady.

Już na początku dziewiątego wieku znajdujemy ich pod silnie utwierdzonym władztwem Franków. W 819 roku wielki żupan chorwacki Liudewit, zadarłszy z Niemcami i zajmawszy Dalmacją, wciągnął na chwilę Słoweńców do działania we wspólnej sprawie. Ale zaledwie w następującym roku naciągnęły niemieckie wojska, zmienili ci sprzymierzeńcy opuścili go pośpiesznie, powracając z pokorą pod panowanie dawniejszych swych panów. Odtąd też pozostali pod niem nieprzerwanie, dzieleni dowolnie, odstępowani sobie lub wydzierani nawzajem przez różnych margrabiów, książąt i hrabiów niemieckiego państwa; aż w końcu znaleźli się złączonymi pod władzą Habsburgskiego domu, pod którą też i dotąd jeszcze pozostają.

Obecnie zamieszkują Słoweńcy następujące prowincje: całą Krainę (Karniolien), część Styryi (Stäiermarck), część Chorutany (Karintia), część hrabstwa Gorycji (Görtz), i tak zwanego Przymorza (Küstenland). W obwodzie ich języka leży słynny port handlowy Tryjest (po słoweńsku Terst), który jednak nie słoweńskim, lecz włoskim jest miastem. Inne, w głębi lądu położone, znaczniejsze miasta, jak Liubliana (Laibach) i Celowac (Klagenfurt) mają przeważnie niemiecki charakter. W ogólności język słoweński zaledwie się dziś nieco otrząsać poczyna z poniżenia, w jakim przez długie zostawał wieki, i niemało jeszcze czasu i pracy potrzebować będzie, zanim stać się zdoła odpowiedniem wyższej oświaty i wykształcenia narzędziem. Oto krótki pogląd na dotychczasowe losy i rozwój jego.

Systematycznego tępienia język ten po przejściu Słoweńców pod panowanie niemieckie, zdaje się że nigdy nie doznawał. Spokojna uległość tego plemienia nie wyzywała jego panów do użycia tak radykalnego środka. Ale zostawszy wyłącznie samego tylko gminu

mową, popadł w najzupełniejsze zaniechanie i zdżiczenie, w którym aż do czasu reformacji pozostał.

Wtedy to dopiero, dla łatwiejszego nowój nauki pomiędzy ludem rozkrzewienia, rzucono się do podawania mu jęj w rodzinnym języku. Pierwsze tego rodzaju próby podjął duchowny kraiński Primus Truber, drukując religijne dziełka po słoweńsku, naprzód gockimi, potem łacińskimi charakterami, brak niektórych dźwięków starając się zastąpić w nich złożonemi z kilku liter kombinacjami. Przykład jego stał się zachętą i wskazówką dla innych; tak, że w krótkiej epoce od 1550 do 1612 roku nietylko wyszło mnóstwo słoweńskich katechizmów, traktatów, książek do nabożeństwa i tym podobnych ulotnych wydań, ale nawet przekład biblii całej, przez Jerzego Dalmatina dokonany, a w Wittenbergu wytłoczony. Ogólniej zaś dążności i potrzeby posługiwania się słoweńskim językiem, najlepszy dowód okazał się w wydanej w tych czasach pierwszej jego gramatyce, przez Adama Bochoriça ułożonej.

Po roku 1612 partja katolicka znowu wzięła w stronach tych górę i ziarno protestantyzmu z całą zaciętością tępić się zabrała. Wszelkie w przeciagu minionej połowy wieku rozsiane druki, skrzętnie poszukiwanemi i palonemi zostały, tak, że dzisiaj niektóre z nich ledwie jako niepospolita zachowały się rzadkość. Szczęściem przeciw reakcja ta nieobróciła się na szkodę słoweńskiego języka. Przeciwnie, najgorliwszy jęj przywódzca, biskup lubliński Kroen, dla wytepienia rzuconych w owczarni swojej protestantyzmu zarodów, począł pilnie pracować nad rozszerzeniem druków słoweńskich, katolickim tchnących duchem, a nawet sam przetłómaczył w tym celu ewangelje na dni niedzielne i świąteczne. Za jego przykładem kanonik Mikić wydał katechizm z obrazkami; Schöuleben przełożył ewangelje i listy apostołskie; Kastelić pisał książki do nabożeństwa i nauki duchowne. W pracach ich język słoweński już bez porównania okazał się czystszy, niż w pełnych germanizmów protestanckich drukach, nabywając obok tego coraz to więcej giętkości i zdolności wyrażania wszelkiego rodzaju myśli i uczuć.

Tak pożądanym w kształceniu się języka postęp, zwichnął na czas niejaki mnich Marcus, grammatyką w 1765 roku ogłoszoną. Nieznając dobrze mowy, dla której przepisy układać się ośmielał, uprawnił on napowrót wprowadzenie do niej wszystkich germanizmów, z których zaledwie otrząść się była zdołała. Ze zaś w braku innėj grammatyki (po wytepieniu pierwszej Bohoriça, jako z czasów protestanckich i z pod pióra protestanta pochodzącėj), nędzna jego ramota aż w dwóch rozeszła się wkrótce wydaniach, oczy-

wiście nie pozostała bez wpływu na skażenie mowy i pomniejszych druków słoweńskich, pod koniec ósmnastego stulecia ogłaszanych.

Wkrótce po ukazaniu się niefortunnej grammatyki Marcusa, pojawił się pierwszy słownik słoweński, przez Gutsmana ułożony; dzieło, jak na owe czasy, niepospolitą dokładnością i znajomością przedmiotu się zalecające. W téjże również porze ukazały się pierwsze próby w dramatycznej formie. Linhardt, autor wydanej po niemiecku historii Krainy, przełożywszy kilka komedji z francuzkiego i niemieckiego, doświadczał się następnie w oryginalnych tego rodzaju utworach, które, równie jak i przekłady jego, lud słoweński z wielką chwycił chciwością.

Żywszy przeciw piśmiennictwa rozkwit, podobnie jak u tylu innych słowiańskich ludów, poczyna się i tu dopiero wraz z nastaniem bieżącego wieku. Do obudzenia silniejszego, głębiej sięgającego i lepiej skierowanego ruchu, przyczynili się głównie dwaj mężowie niepospolitych zdolności i gorącej miłości ludu swego: Wodnik i Kopitar.

Wodnik, jakkolwiek prace filologiczne nie były głównem jego zadaniem, dla położenia tamy błędem przez dzieło Marcusa szerzonym, rozpoczął swoją działalność od napisania grammatyki, która, jakkolwiek wolna od wad poprzednika, nie odznaczała się przeciw dość gruntowném w duch języka narodowego wnknieniem. Polem, na którém zdolności jego i wpływ najsilniej się rozwinęły, była poezja, dla której on pierwszy w języku swoim wyrobił wdzięczne i swobodne formy. Utwory jego tchną szlachetnością uczucia, a zarazem jasnym i wesołym na świat poglądem, które charakter jego znamionowały. Przyjazna i życzliwość wzbudzająca osobistość Wodnika zapewniała mu obok literackiego, znakomity wpływ żywym słowem na umysły, którego téż na rozbudzenie narodowego poczucia używać gorliwie nie zaniedbał. Główna działalności jego pora przypadła pomiędzy 1810 a 1814 rokiem, podczas zajęcia Krainy przez Francuzów.

Kopitar, umysł bystry i wysoce ukształcony, a nadto dokładną znajomością wszystkich słowiańskich narzeczy się zalecający, wziął sobie za cel szczególnież oczyszczenie języka rodzinnego i nadanie mu raz na zawsze właściwego duchowi jego kierunku. Zabrał się zatem do napisania pierwszej prawdziwie gruntownej grammatyki słoweńskiej, która jednak niestety niedokończoną pozostać musiała. Powołanemu do wiedeńskiej cesarskiej biblioteki, zabrakło już następnie czasu do dokończenia rozpoczętego dzieła. Niemniej przeciw praca jego bezużyteczną nie pozostała. Na rzuconych przez

niego zasadach i z uwzględnieniem systemu czeskiego gramatyka Dobrowskiego, wydał w 1820 roku Metelko nową języka słoweńskiego grammatykę, która prawie za niezostawiającą nic do życzenia poczytaną być może.

Po roku 1830 młodzież słoweńska zawiązała się w towarzystwo, celem wydawania zbiorowego pisma pod tytułem: *Czebelica*, którego pięć wyszło tomików. W liczbie młodocianych prób w niem umieszczanych, zwrócił na się szczególniejszą uwagę poczymi swemi Preszern, który i w dalszym ciągu swego zawodu, nie zawiódł wzbudzonych o sobie nadziei. Obok niego, jeśli nie poetycznym natchnieniem, to przynajmniej wyrobioną formą wiersza i łatwością języka odznaczyli się Kastelić i Župan.

Pierwsze pismo czasowe słoweńskie pojawiło się w 1843 roku. Były to dotąd pod redakcją założyciela, Dra Bleiweisa, w Liublianie wydawane *Nowice*, wyborne pismo ludowe, które na tém polu oddało i oddaje nieocenione sprawie narodowości przysługi i któremu piśmiennictwo słoweńskie zawdzięcza wychowanie licznego już dziś czytelników koła. Kolejno wszyscy najzdolniejsi pisarze brali w niem udział. W liczbie ich odznaczyli się szczególniej: Koséski, któremu język słoweński udatne przekłady Dziewicy Orleańskiej, Narzeczonej z Messyny i ballad Szyllera zawdzięcza; tudzież Wertowec, autor chemji i popularnej historii powszechniej, które jako dodatek do *Nowic* wychodziły.

Wkrótce po założeniu *Nowic*, ksiądz Slomszek (późniejszy biskup) w Styrii począł wydawać pismo *Drobtince*, szczególniej religijnym poświęcone rzeczom. W ślad zaś za niem, w 1847 roku pojawił się w Liublianie czysto-religijny czasopis *Zgodnia Danica*, którego Pogaczar był założycielem, a które przez następnych lat kilkanaście użytecznej nie przestało rozwijać działalności.

Rok 1848, jak dla wszystkich austrijackich poddanych, tak i dla Słoweńców stał się bardzo ważną epoką. Wypowiedziana głośno zasada równouprawnienia — jakkolwiek tam zresztą gdzie z wykonaniem jęj być może — tchnęła jak wszędzie tak i tutaj nową w serca otuchę, do nowego popchnęła życia i usiłowań, chociaż takowe tu oczywiście na polu piśmiennictwa i ukształcenia się narodowego obracać się tylko mogły. Młodzież z podwojonym zapałem rzuciła się do nauki i pracy. Pod przewodnictwem najznakomitszego z żyjących dziś Słoweńców, a zarazem najznakomitszego niewątpliwie sławisty, Miklosića, wielu młodych ludzi wykształciło się w tym czasie w znajomości języków słowiańskich, ażeby tém lepiej i pewniej nad własnym mózdz pracować. Z pomiędzy nich odznaczyli

się szczególnie następnii: Cigale, redaktor wydawanego przez czas jakiś pisma *Slovenja*; Janežić, autor grammatyki i słownika, tudzież czynny dotąd publicysta; Nawratil, zdolny filolog i redaktor w swoim czasie pisma dla młodzieży, pod tytułem: *Wedež*.

Uczniowie na trzech gimnazjach, w Liublanie, Celowcu i Celje (Cilly), zniosłszy się z sobą, poczęli wydawać w rękopiśmie rodzaj zbiorowego pisma *Slavja*, które wkrótce za przewodem Janežica zamieniło się w rzeczywisty czasopis beletrystyczny, pod tytułem *Slovenska Bežela* w Celowcu przez lat kilka wychodzący. W rędzie współpracowników ostatniego odznaczyła się zwłaszcza Józefina Turnogradzka, później zamężna Toman, jako autorka dość zdarzonych poezji i romansów. Mąż tej autorki, Toman, dał się również dość zaszczytnie poznać poezjami swemi, których pierwsze próby w burzliwym 1848 pojawiły się roku. Krytycy słoweńscy zarzucali mu wszakże niewykończenie formy i brak dostatecznej nad językiem władzy.

Po wymienionych, wzbogacili jeszcze z kolei piśmiennictwo słoweńskie: Terdina, historycznemi i rymowanemi pracami; Swetić i Jerisza ulotnemi poezjami i powieściami; Waliawec, poezjami na ton pieśni ludowych dość szczęśliwie nastrojonemi; szczególnie zaś Lewstik, poeta nie wysokiego wprawdzie (jak i wszyscy poeci słoweńscy), ale bardzo wdzięcznego talentu i mistrzowsko wyrobionej formy. Ten ostatni, nietylko w tak ubogiem jak słoweńskie, ale nawet i w naszym piśmiennictwie miały prawo poczesne zająć miejsce.

W roku 1863, do którego miałem sposobność śledzić ruch tego piśmiennictwa, wychodziło w języku słoweńskim sześć czasopisów następujących:

1. *Nowice*, o których już wspominałem, pod redakcją Bleiweisa, tygodniowo wydawane i najbardziej rozszerzone, a we wzmiankowanym roku dwudziesty istnienia liczące.

2. *Zgodnia Danica*, pismo religijne katolickie, co dziesięć dni się pojawiające, szesnasty rok istnienia liczące. Redaktorem był ksiądz Luka Jeran.

3. *Uczitelški Towarš*, miesięcznik pedagogiczny, rok trzeci pod redakcją A. Paprotnika wydawany.

4. *Naprej*, świeżo założony polityczny dziennik, dwa razy na tydzień wychodzący.

5. *Slovenski Glasnik*, pismo beletrystyczno-naukowe, pod redakcją Janežica; istniało rok szósty.

6. *Slovenski Prijatelj*, pismo podobnegoż co poprzednie rodzaju, rok dwunasty przez profesora Einszpilera redagowane.

Cztery pierwsze z wymienionych publikacji istniały w Liublianie, stolicy Krainy, ostatnie dwa w Celowcu, głównem mieście Styrii. W tém ostatniem wychodził nadto w takich zeszytach wybór dzieł oryginalnych i tłómaczonych, pod tytułem: *Cvetie iz domacih in tuijh logow*, w którym obok innych znalazły miejsce powieści: Pan Podstoli i Palec Boży, z naszego języka przełożone.

Język słoweński, pomimo szczupłości mówiącego nim ludu, jest językiem tak udzielnym jak polski, czeski, serbski lub rossyjski. Najbardziejziej zbliża się w budowie i brzmieniu do serbskiego, a zwłaszcza do chorwackiego narzecza; podobieństwo to przecież i łatwość wzajemnego zrozumienia się, nie są większe jak naprzykład pomiędzy polskim a czeskim językiem. Dla dania wyobrażenia o jego budowie i dźwięku, przytoczę tu dość wierny przekład sonetu Mićkiewicza: *Żegluga*.

WOŹNIA PO MORI.

Szum weczi, goszcze morske wstajajo straszila,
Mornar na lestwo zleze: bodi vsak na preži!
Zleze, se stegne, wisi w newidliwi mreži,
Ko pajek, kadar czaka da bi se zgenila.

Pisz — pisz — pisz! — ladia suje, da bi se zberzdita.
Prewalia se, topi se w pene, wrat si ježi,
Wali tepta, w podnebie let je ne beteži,
Oblake z czelom reze, wetru grabi w krila.

Moj duh se tudi dwiga z jamborinim begom,
Kakor teh jader kodri w mislih poletuje;
Note z weselo družbo moram krik deliti.

Stegowam roke, ladi se na persi wlegam,
Zdi se, da moje nedro let ji ponagluje;
Kak lahko, liubo! — wem zdaj, kaj je tica biti!

Tak w tej próbce, jak i w całym artykule, dla dogodności czytelników użyłem na wyrażenie dźwięków słoweńskiego języka

naszej pisowni. Słoweńcy sami używają zbliżonej do czeskiej, zastępując nasze *sz, cz, rz*, dodawanemi nad głoskami haczykami i t. d. R. Z.

SEPERACJA

monodram w jednym akcie

ORYGINALNIE NAPISANY

przez

Aleksandra Ładnowskiego.

O S O B Y:

WANDA, młoda mężatka.

ZOSIA, jej garderobianna.

Scena w Warszawie.

(Salon gustownie umebłowany — drzwi w środku i po bokach — okno po lewej, wielkie lustro po prawej stronie — kapelusz i mantyla na krześle).

SCENA I.

WANDA (sama, siedzi w fotelu, ubrana jak na wizytę, rozdąsana)

Nie — to nie do zniesienia! to nad moje siły!
 Mój mąż zawsze tak dobry, uprzejmy i miły,
 Od niejakiego czasu przybiera ton pana;
 Za słabo się wyrażam — srogiego tyrana!

Najmniejszej przyjemności wzbrania absolutnie;
 To niegodnie — bezwstydnie — a nawet okrutnie!
 Mojaż wina, że jakiś młody zapaleniec
 Ściąga mnie nieustannie? zwyczajnie szaleniec —
 Jakich w każdej stolicy liczą na tuziny,
 Z cygarem i lornetką, szuka heroiny!...

(wstaje)

Ja się na nią nie piszę, daremne staranie!
 Szkoda twoich przymileń, mój rozkoszny panie!
 Mam męża — na tém dosyć — uczciwa kobieta
 Nie pobiłdzi płochością — złudzeń się nie chwyta.
 Lecz mój mąż nie zna widzę jeszcze serca mego,
 Kiedy się mógł dopuścić czynu tak zdrożnego.
 Wczoraj pani Milecka, wdowa po prezesie,
 Której mąż straszny kutwa, jak nam fama niesie,
 Zmarł tknięty apopleksją, przegrawszy w ekartę —
 Mając dom dla przyjaciół i serce otwarte,
 Zaprosiła mnie z mężem na wieczór muzyczny;
 Cel zabawy niewinny, nawet estetyczny.
 Małe grono dam zacnych, z wyborem młodzieży,
 Bawiło się wesoło, uprzejmie, najszczerzej,
 Wtém lokaj anonsuje hrabięgo Waclawa;
 Jakby uciał — wnet miła przerwana zabawa.
 Pan hrabia ma renomę młodego wietrznika —
 Co każde towarzystwo postrachem przenika;
 Zwykł wpadać do salonu chociaż nieproszony,
 Szastać się jak szaleniec — i prawie androny;
 A ufny że w Paryżu uczył się na szpady,
 Szuka między młodzieżą zaczepki i zwady;
 Już kilka pojedynków miał podobno skrycie,
 Ztąd go młodzież unika, dbając o swe życie.
 Prezesowa zmieszana tak dziwną wizytą,
 Grzecznie go zapytuje — choć z niechęcią skrytą,
 Jakiemu przypadkowi przypisywać może
 Odwiedziny hrabięgo, o tak późnej porze?
 On, z zwykłą efronterją na to odpowiada,
 Że wszędzie chętnie gości, gdzie jaka biesiada;
 Odpowiedź tak naiwna, jednych rozśmieszyła,
 Drugich przeciw hrabiemu mocno oburzyła!
 Powstały ciche szepty, dwuznaczne spojrzenia,
 Lecz pan hrabia bynajmniej roli nie odmienia,

Podług swego zwyczaju, damy lornetuje,
 Młodzież mierzy z ukosa, a z mężów żartuje;
 I na domiar trzpiotostwa i lekkomyślności,
 Do mnie zawraca oczy i prawi grzeczności.
 Mój małżonek, co zawsze gorąco kapany,
 Tą śmiałością młodzika mocno rozgniewany,
 Rzekł z naciskiem: „Mój panie! zwracaj w inną stronę
 Swoją modną lornetkę, nie na moją żonę!“
 I niewiele myślący żegna Prezesową,
 Mnie zaś podaje rękę i tak obcesowo
 Wyprowadza z salonu tą zazdrosna dusza,
 Żem nie zdążyła nawet włożyć kapelusza.
 Obrażona tą akcją rubaszną nad miarę,
 Wyrzekłam mu przez drogę prawdy słówek parę.
 Pan mąż w powozie milczał — ale za to w domu...
 Nie życzę takiej burzy doświadczać nikomu!
 Uderzył na mnie z całą swych podejrzeń siłą,
 Wmawiał to, o czém mi się nigdy ani śniło;
 A nawet śmiał powiedzieć w chwili uniesienia,
 Żem ja była przyczyną całego zdarzenia!
 Że moją kokieteryją hrabia ośmielony,
 Wpadł jak bomba na wieczór, wcale nieproszony.
 Ten zarzut dotknął silnie biedne serce moje,
 Gniew i żal niewymowny wywołał też zdroje,
 A chcąc położyć koniec memu udręczeniu,
 Rzekłam bez myśli parę słów o rozłączeniu.
 Jak piorunem rażony, lub kulą wśród boju,
 Pan mąż pobladł, zachwiał się i wyszedł z pokoju;
 Żał mi się go zrobiło — już przeprosić chciałam —
 Lecz byłam tak znużoną tém co doznawałam,
 Żem w kilka minut potem na piękne zasnęła.
 I tak burza małżeńska wraz z snem przeminęła.
 Dziś on musi przepraszać — ja nie myślę wcale —
 Dość już téj uległości — tak, mój ideale —
 Za wczorajsze wyrzuty, hałasy, wywody,
 Musisz pięknie przeprosić, jeżeli pragniesz zgody.
 O! panowie mężowie! to jak dzikie koty!
 Gdy słabość żon poczują — straszne czynią psoty!
 Dajcie ich moje panie na nauczkę do mnie...
 Poznają, jak to trzeba żyć grzecznie i skromnie.

(patrzy na zegarek)
 Wszak to już po dziesiątej—w sam czas do kościoła!
 Zosiu! Zosiu! pewno śpi! kto się jój dowoła.

SCENA II.

WANDA (dzwoni). ZOSIA (z listem).

WANDA.

Znowu drzymiesz!? ty nigdy wyspać się nie możesz!
 Pojadę do kościoła — płaszcz mi wdziać pomożesz...
 Cóż to za list masz w ręku?

ZOSIA (smutno).

Ej! to list od pana!

WANDA.

Dla czegoś taka smutna?... nawet zapłakana!?
 Mów, czy jaki przypadek?

ZOSIA.

Niech pani przeczyta!—
 My jesteśmy zamknięte — w więzieniu i kwita!

WANDA.

W więzieniu? nierozumiem! (czyta)

„Moja pani żono!“
 (mówi) Cóż za ton osobliwszy!? (czyta) „Wczoraj rzekłaś sama
 „Że pragniesz żyć odemnie zdala odłączoną —
 „Zgadzam się — lecz niech pierwój przyjedzie twa mama;
 „Już telegrafowałem — dzisiaj ją powitasz;
 „Ale, od chwili, w której Pani ten list czytasz,
 „Nie możesz wyjść ni krokiem z twojego salonu
 „Aż do przybycia matki. Jój sługa do zgonu!“

(z wybuchem łez pada w krzesło).

Ah! tego już zawiele! o, ja nieszczęśliwa!
 Zdrajca! z taką łatwością święte śluby zrywa!?

On mnie nigdy nie kochał! Ah! ten przeniwierca!
 To nie mąż, ale tyran, okrutnik bez serca!...
 Zartem słowo wyrzekłam dla poparcia racji,
 On już telegrafuje — że chce separacji.
 I co matka pomyśli o tój całej sprawie!?
 A co to plotek teraz będzie po Warszawie!
 O! niegodny Gustawie! za tyle miłości,
 Odplacasz mi dziś wzgardą! o, węzu chytrości!
 Serce mi pęka z żalu!... tego nie przeżyję!
 Jestże nad moje większe gdzie meszczęście czyje?
 Gdybym choć tego zdrajcy nie kochała tyle,
 Znośniejsze by mi były rozłączenia chwile;
 Lecz jam w nim całą moją duszę utopiła!
 (szlocha) A on... zgrozilo... chce bym z nim w seperacji żyła?

ZOSIA (płacząc).

O pani! droga pani! jeszcze zachoruje!

WANDA.

Owszem, ja chcę być chorą, niech ten wąż uczuje,
 Jaki cios zadał sercu, co go tak kochało!
 Nie — nie — niechcę choroby — to wszystko zamało!
 Pragnę śmierci; tak, śmierci w okropnem cierpieniu!
 Niech dźwiga wieczny wyrzut na swoim sumieniu!

(słychać dzwonek)

Ktoś dzwoni — może to on — Zosiu idź się dowiedz!
 Jeżeli by kto obcy — „nie ma Pani!“ powiedz.

(Zosia odchodzi, Wanda idzie do toalety, ociera chustką oczy i twarz)

Mój Boże, jakżem blada — oczy zapłakane —
 Jeżeli Gustaw wejdzie i ujrzy tę zmianę,
 Może się cieszyć będzie, tryumfować skrycie,
 Ze mi zadał cios srogi i zatrul mi życie!

SCENA III.

WANDA. ZOSIA (z nowym listem).

ZOSIA.

Od pani Zalotnickiej (oddaje).

WANDA.

Zkądże owa łaska?

Cóż może pisać do mnie ta chodząca maska,
 Co zdaleka już trwoży wszystkich swém bielidłem...
 I dwóch słów nie mówiłam nigdy z tém straszidłem!
 (czyta) „Aniołku! wybac proszę moją nedorzeczność,
 „Że sama nie przybywam — może to niegrzeczność
 „Zbyt wielka z mojej strony — ale mi wybaczysz,
 „Gdy mój bilet przeczytać i zrozumieć raczysz.
 „Wydaję dzisiaj wieczór — tańczącą kawę —
 „Mnóstwo osób sproszonych mam na tę zabawę;
 „Będzie Książę — pan baron świeżo kreowany,
 „Hrabina Małomiejska i Markiz ci znany;
 „Słowem, że towarzystwo świetne jakich mało;
 „Tylko nam do kompletu ciebie brakowało.
 „Przyjedź, jeśli mnie kochasz — cudowna zabawa!
 „Spodziewam się mieć nawet hrabiego Wacława,
 „Twojego wielbiciela; na niebios sklepienia
 „Zaklinam cię, przybywaj — adieu, do widzenia!“

(siada i pisze)

„Przepraszam, nie byliśmy z sobą w zażyłości,
 „Byś mnie pani liczyła w poczet swoich gości;
 „Nie ubliżam nikomu — lecz jej zaproszenie
 „Obraża mnie i męża — kłaniam uniżenie!“

(pieczętuje i oddaje Zosi)

Oddaj to lokajowi! (Zosia odchodzi)
 to śmiałość bez granic,
 Dobre imię kobiety, jej sławę mieć za nic?

(drze list)

Pisać podobne rzeczy, to do zadziwienia,

Szczęściem, Gustaw nie widział tego zaproszenia,
 Mógłby sądzić, że żyję z tą panią w przyjaźni;
 Ah, wszystko mnie dziś nęka, oburza i drażni.
 Jak dziwna czasem bywa w pożyciu przemiana!
 Dotąd byłam szczęśliwa, czczona, poważana —
 Dziś fatalném zdarzeniem, jedno poróżnienie
 Zstrąca mnie z szczytu szczęścia w smutne poniżenie;
 Kobięta ledwie znana — którą gardzę w duszy,
 Dorzuca jawnych obelg do moich katuszy!
 O, Gustawie! Gustawie! jakżeś ty okrutny!
 Godziło się twój żonie zrządzić los tak smutny?

(po chwili)

Gdybym téż napisała bilecik do niego,
 Tłómacząc się z wyrazu tyle nieszczęsnego?...
 On ma tak czułe serce — onby mi darował —

(z westchnieniem)

Ah! za późno! po matkę już telegrafował!
 Prawdziwie, to niegodnie, mściwie z jego strony,
 Żeby tak srogo karać jeden wyraz żony;
 Przecież on jest mym mężem, mógł oddać wet za wet,
 Mógł mnie złać, wykrzyczeć, mógł szturchnąć nawet.
 Niktby mu nie zabronił — ma prawo do żony,
 Byłabym popłakała i proces skończony;
 Nie jak student — w milczeniu zagryść mściwe wargi
 I dalejże przed matką rozpościerać skargi!
 O! stokroć są szczęśliwsze żony gminnych ludzi,
 Ich miłości drobnostka żadna nie ostudzi,
 Choć się czasem pokłóca, podrapią, wyczubią,
 To wkrótce się przeproszą — i znowu się lubią;
 A nasi wykształceni, panowie mężowie,
 Jeśli się który zgniewa i słowa nie powie,
 Lecz woła Adwokata -- żąda Seperacji!

(grozi i tupie nogą)

Oj, trzeba by tym panom porządnej kuracji!

SCENA IV i OSTATNIA.

WANDA. ZOSIA (z listem).

ZOSIA.

Michał odźwierny oddał nowy list do pani.

WANDA (biorąc).

Od Gustawa! (ociera oczy)

Ach! tyran! jak mi serce rani!

(czyta) „Kochana, droga Wando“

(całuje list z rozrzewnieniem)

Mężu mój kochany!

(czyta) „O poprawie i żalu twoim przekonany,
 „Nie chcę cię dłużej dręczyć i prawdę wyjawię —
 „Twoja matka od rana już gości w Warszawie,
 „Nie w skutek telegrafu, bo ten był zmyślony —
 „Przyjechała po prostu do córki stęsknionej —
 „Stoi w Saskim hotelu, na uściski czeka;
 „Niechże pani małżonka i chwili nie zwleka,
 „Ubiera się copędzaj, konie już gotowe,
 „O jedynastej przyjdę po moją królową —
 „Seperacji nie będzie — to wszystko udanie,
 „Jest to figiel za twoje wczorajsze dąsanie!
 „List pani Zalotnickiej także dziełem mojem,
 „Musiałem cię za mój ból skarać niepokojem;
 „Twój najczulszy małżonek!“ (mówi)

O łotrze! filucie!

Na taką straszną próbę narażać me czucie?
 Poczekaj panie mężu! za tego psikusa.
 Musisz mnie długo dzisiaj prosić o całusa!
 Zosiu! czegóż ty stoisz i dumasz daremnie?
 Jedynasta dochodzi — a ubieraj-że mnie.

ZOSIA.

Czy pani płaszczyk wdziewe?

WANDA.

Nie widzisz mantyli?

ZOSIA.

Tak dziś chłodno na dworze!

WANDA.

Nie trać próżno chwili;
Ona prawi o zimnie, a jam w ogniach cała!

(idzie do lustra, ociera twarz chustką)

Ani śladu na twarzy, żem dzisiaj płakała!

(Zosia podaje kapelusz i mantylę, ona się ubiera
przed lustrem).

O, poczekaj lamparcie! tak mnie irytować,
Jegomość za ten figiel musisz pokutować.
Kapelusz zakurzony! (otrząpuje) Na nic nie uważasz!
Zamiast żonkę przeprosić—podstępem obrażasz?
Nie myśl panie Gustawie, że ci to daruję—
Ja cię przed moją mamą pięknie odmaluję.
Dawaj prędkiej mantylę! — ah, jakżeś niezgrabna!
Śpiesz się! do seperacji? intryga powabna!
Poczekaj nicdobrego! dam ci rozłączenie!
Przecież ja ładną jestem — może powiesz że nie?
Dziś chciałabym się całej podobać Warszawie!

ZOSIA.

Pani! pani! pan idzie!

WANDA (biegnie w środek, jakby w objęcia)

Kochany Gustawie!

(Zasłona spada).

MULACI

obrazek z życia Amerykanów.

Kilka mil od miasta Saint-Pierre, u stóp wygasłych wulkanów, zwanych przez krajowców *cyple Karbetu*, była niegdyś osada najpiękniejsza i najznaczniejsza w całej Martynice. Dochody z tej obszerniej posiadłości daleko były większe jak dochody z dóbr szlacheckich, mających zamek warowny, strzelnice i zwodzone mosty; — tutaj był tylko dom prostej budowy i bardzo skromny z powierzchowności, z dachem czerwonym, który pięknie odbijał przy zielonych gałęziach daktyli leśnych i drzew mangowych. Kilka wielkich wysmukłych kokosów użyczało mu gościnnego cienia, a obszerne zabudowania tworzyły wokoło jakby wioskę, podzieloną długim szeregiem lepianek niziutkich, bez okien, podobnych do ulów, a zamieszkałych przez murzynów.

Laski i sawany, niby ramy, obejmowały te rozległe i dobrze uprawne pola, za granicami których rozciągały się w dal błonia niezmierzone okiem, strojne kwieciami i roślinnością, tak przepyszną i różnaitą, na jaką tylko południowa ziemia zdobyć się może. Ku południo-wschodowi, między głębokimi parowami, z których wypływa rzeczka *Karbet*, o milę od osady *La Rebelière*, była druga posiadłość, tak samo prawie rozległa, zwana *Les Mornes*, której pola zasiane trzciną cukrową i kartoflami, dotykały łańcucha szarych gór *Karbetu*.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1720 roku, trzy osoby siedziały wieczorem w galerji mieszkania *La Rebelière*. Kilka grubych, jarzących świec woskowych, w wysokich kandelabrach, oświecały ten pokój umeblowany z dziwną mieszaniną zbytku, prostoty i wytworności. W oknach nie było firanek, lecz spuszczone kameo-

we story, broniąc wstępu niezliczonym rojom much jadowitych, przepuszczały wietrzyk nocny, którego łagodny powiew odświeżał skwarne powietrze.

Niewolnicy tylko co wynieśli stół obciążony przepyszną i bogatą zastawą srebrną, a podali kawę na pięknym gierydonie, prawdziwym arcydziele, godnym zdobić raczêj gabinet królowej, jak tę wielką salę bieloną wapnem, z ceglana podłogą, zazwyczaj używaną w kuchniach.

Trzy osoby zgromadzone koło gierydonu, tak były niepodobne do siebie z rysów i wyrazu fizjonomji, że na pierwszy rzut oka odgadnąć można było, iż nie są ani krewnymi, ani też nawet rodakami.

Pani de la Rebelière była typem kreolki, z ułożeniem dumnym, ruchami zgrabnymi. Figura jêj niknęła prawie w szerokiej, fałdzistej sukni białej, zadnym nie obciśniętej paskiem, lecz jeszcze wśród tych zwojów cienkiego jak mgła muslinu, znać było że jest szczupłą i wiotką. Rysy miała regularne, włosy czarne, płeć delikatną, bladą, tą dziwną, księżycową że się tak wyrażę bladością, właściwą kreolkom, i wielkie ciemne oczy. Mąż têtj prawdziwie pięknej kobiety, pan de la Rebelière, był jeszcze dość młodym człowiekiem, lecz skwarne klimaty Antyllów przedwcześnie zrobił go grzybiałym. Pochodził z Belgji, lecz przybywszy dzieckiem do Martyniki, uległ wpływowi klimatu, do którego nie był stworzonym. Włosy ciemno-blond rzadkie lecz długie, okalały brunatną twarz jêgo, na której obok trwożliwości jakiejś, malujący się wyraz dumy i despotyzmu, znamionował człowieka przywykłego rozkazywać i widzieć natychmiast spełniane najdrobniejsze swoje skinienia. Z ruchów i całej powierzchowności widocznem było, że to człowiek trwożliwy, słabêj woli, lecz uparty i dający powodować się gwałtownym namiętnościami.

Młoda dziewczyna siedząca pomiędzy państwem de la Rebelière, świeża i piękna jak rozkwitający kwiatek, miała twarzyczkę dziwnie łagodną i spokojną, która pociągała i zachwycała wszystkich, co na nią raz tylko spojrzeli. Na licach jêj kwitły rumieńce, odbijające cudownie przy czarnych włosach i oczach ciemno-szafirowych. Ubrana była według francuzkiej mody, skromnie lecz z elegancją i starannością. Zgrabny staniczek obcisnął szczupłą kibić, a cienka batystowa krzyżówka osłaniała cudnych kształtów ramiona i śnieżnej białości szyję. Z zajęciem haftowała kolorowemi włóczkami, a świeżo zerwany bukiet za wzór jêj służył.

— Muszę koniecznie zwrócić pańską uwagę, jak niewłaściwie postąpiłeś, nie zabierając mnie z sobą do Fort-Royal — powiedziała pani de la Rebellière, ziewając i zagłębiając się w lekki bambusowy fotel, na którym siedziała.

Pan de la Rebellière wstrząsnął głową i odpowiedział łagodnie:

— Moja droga przyjaciółko, upewniam cię, żebyś się tam wcale nie zabawiła. Gdyby nie to, że z obowiązku przepędzić muszę święta u pana de Fenquières, byłbym chętnie tę podróż odłożył na kiedy indziej. Lecz w ważnych interesach muszę porozumieć się z naszym kuzynem Gubernatorem, którego zawsze mam o coś zapytać się. Zresztą, wiesz dobrze przecie, z jaką przykrością cię opuszczam...

— Trzeba było przynajmniej zostawić mnie w Saint-Pierre, — niecierpliwie przerwała młoda kobieta.

— Sądzę, że w czasie mojej nieobecności, daleko ci tutaj będzie wygodniej, a nadewszystko przyzwoić się.

— Byłoby nieprzyzwoicie, gdybym ciebie oczekiwała w naszym domu w Saint-Pierre? Wiem, że tam jak i tutaj nie przyjąłabym żadnej wizyty, nie przemówiła do żywej duszy, lecz przynajmniej widziałabym świat przez okno. To w każdym razie zabawniej, jak wiecznie z po za tych storów oglądać na murzynów, pracujących w cukrowni i w innych zakładach.

— Dziecko z ciebie, moja Eleonoro — odpowiedział spokojnie pan de la Rebellière, — potrzeba wszakże, abyś raz zgodziła się z przeznaczeniem i przyzwyczaiła do tego wszystkiego, ponieważ tutaj rok cały mieszkać będziemy. Powietrze tutejsze służy mojemu zdrowiu, gdy tymczasem w Saint-Pierre...

— Od trzynastu lat pierwszy raz to spostrzegasz. Zanim pobraliśmy się, nie myślałeś nawet o wyjeździe z miasta.

— Ponieważ będąc kawalerem nudziłem się tutaj sam jeden, lecz z tobą droga moja Eleonoro pobyt tu nadzwyczaj mi się podoba. I ty się przyzwyczaisz, polubisz miejsce, gdzie wszechwładnie rozkazywać możesz, gdzie masz wolność zupełną.

— To najmniejsza, sądę. Wszakże będę korzystała z pozwolenia, aby nie pozostać tutaj. Najprzód, jutro wyjeżdżam do *Wód gorących* i jeśli mi tam dobrze będzie, przepędzę ośm, dziesięć dni, dwa tygodnie, cały czas twojej nieobecności.

— Do *Wód gorących*? Ależ to cały dzień podróży, drogi okropne, kraj odludny, schronienie i koczowisko zbiegłych murzynów. Prócz opustoszałej chaty, innego u *Wód gorących* nie ma mieszka-

nia. Jestem gotów komukolwiek ustąpić chatę i grunt, zbyt oddalony, by mi jakiegokolwiek przynosił korzyści.

— Zaczekaj przynajmniej aż ztamtąd powrócę.

— Lecz podróż ta jest niebezpieczna...

— Mniejsza o to! nudzę się, trzeba mi ruchu. Albożes mi przed chwilą nie powiedział, że tutaj mam wolność zupełną?

— Mój Boże! tak. Jednakże kiedy chodzi o twoje bezpieczeństwo, o życie może?...

— Czy chcesz mnie straszyć? Eh! i czegoż się mam obawiać? Nie jestem sama. Cecylja pojedzie ze mną; sądzę, że otrzyma także twoje pozwolenie?

— Nie będę zabraniał wychowawicy tego, co pozwałam żonie mojej.

— Jutro rano, jednocześnie z tobą wyjeżdżamy. Nieprawdaż Cecyljo, że jesteś zadowolnioną z tej podróży, i że ty także nudzisz się tutaj śmiertelnie?

Młoda dziewczyna odpowiedziała uśmiechem przyzwolenia i gestem przeczącym, później rozkładając swój haft, zawołała z ukontentowaniem:

— Patrzcież państwo, jakie to świeże, jakie świetne! Czy dobrze naśladowałam ten kwiat tak podobny do lilji? A ten piękny jaśmin różowy? Dopieroż to zadziwią się moje przyjaciółki z Saint-Cyr, zobaczywszy te cudne kwiaty. Takich nie ma w naszej Francji.

— Mój Boże — przerwała pani de Rebellière, — ta niespodzianka wiele cię bardzo trudów kosztowała: od dwóch miesięcy gorliwie pracujesz, aby posłać twój prezent tym pannom. Moja droga, nierozumiem dla czego nie kazałaś haftować Temi, ona tak zręczna jak wieszczka.

— A cóż ja bym wówczas robiła, droga przyjaciółko?

— Nic a nic, jak ja.

— Tak, ale wówczas jak ty nudziłabym się śmiertelnie.

— Ah! to bardzo prawdopodobne — odrzekła pani de Rebellière ziewając.

Potem wstała raptownie i zawołała:

— Teraz mówmy o naszej podróży. Ja natychmiast wydam rozkazy. Podróż odbędziemy w hamakach. Weźmiemy z sobą dziesięciu niewolników i dwa muły obciążone żywnością.

— Radzę ci, weź teźże dużo, jeżeli niechcesz umrzeć z głodu — przerwał pan de la Rebellière. — Serjo, ta podróż jest szaleństwem. Gdybyście też spotkały zbiegłych murzynów...

— Wiesz, że za naszém zbliżeniem, skryliby się jak najspieszniej.

— Otóż to nierozsądna spokojność kreolów! Pomimo tylu strasznych przykładów, jeszcze ufają murzynom.

Pani de la Rebellière ruszyła ramionami, a Cecylja słuchała z pewną trwogą. W czasie pobytu swego w Martynice, widząc ucisk niewolników, pytała się w duchu, czyli czterystu murzynów w osadzie de la Rebellière, niepowstaną kiedy przeciwko panu, którego kij nielitościwy, nawet chwilowo nie odpoczywał. Pan de la Rebellière obejrzał się wkoło, potem mówić zaczął:

— Odkąd zbiegł Palem, ciągle jestem niespokojny.

— Szkoda go. Wart był przeszło tysiąc dwieście liwrów.

— Kto? ten biały niewolnik? — zapytała Cecylja.

— Nie ma wcale białych niewolników, — odpowiedział żywo pan de la Rebellière. — Palem jest mulatem, urodzonym z matki indjanki lub karaibki. Tak się mieszają teraz te rasy, że sam djabeł nawet nie rozpozna ich dzieci.

— Palem wszakże jest białym, jak dozorca naszej osady pan Mathieu.

— Mniejsza o to, to mulat, łądak mulat, którego zanadto oszczędziałem.

— Jednakże często był bitym — odrzekła pani de la Rebellière. — Twoja wina jeżeli teraz masz kłopot; mówiłam ci ze sto razy, byś nie kupował mulatów, oni zawsze wkońcu uciekną.

— Eleonora ma słuszność, za żadną cenę nie trzeba kupować mulatów; życie koczujące, jakie przez lat wiele prowadzą, zepsuło ich. Wszyscy wdychają do wolności, nienawidzą posłuszeństwa, ukarani zaś, mszczą się, mszczą okrutnie.

— Mój Boże! czy téż zawsze będziesz się pan obawiał, — przerwała szyderskim tonem pani de la Rebellière. — Oddawna się już boisz, chociaż ani włoski z twój głowy nie spadł. Twój murzyni tak są w rygorze trzymani, że nie ruszyliby się ztąd nawet w dzień Sądu ostatecznego. Jednakże gdyby domyślili się w jakich wieczystych trwogach żyjesz...

— Ależ ja się wcale nie boję — przerwał pan de la Rebellière prostując się. — Jestem przekonany, że ani jeden z tych nędzników nie ośmieliłby się podnieść ręki na mnie. Nie, ja się niczego nie obawiam.

Milczano. Pan de la Rebellière przechadzał się z rękami w tył założonemi, żona jego rozpostarta w fotelu bawiła się bukietem, który upuściła Cecylja. Młoda dziewczyna posmutniała, te wyobra-

zenia, ten sposób do życia, do którego ją wychowanie nie usposobiło, przykre na nią czyniły wrażenie. Dusza jej oburzała się na widok surowych kar, co chwila wymierzanych nieszczęśliwym murzynom. A jednakże ona sama miała także niewolników, którym kazano ciężko pracować, których surowo karano. Było ich trzystu, w wielkiej osadzie *Les Mornes*, którą testamentem zapisał jej daleki krewny.

— Jeżeli pobyt pański w Fort-Royal — rzekła nagle pani de la Rebellière, — potrwa mniej jak dwa tygodnie, to u Wód gorących będę cię oczekiwała. Dużo tam będę miała zajęcia. Najprzód każę przebudować chatkę, wokoło zasiać kwiatów i drzew nasadzić. Mówią, że położenie jest zachwycające i powietrze bardzo zdrowe. Twoja stara pokojówka Temi, cudownie ci to miejsce opisywała. Nieprawdaż, Cecyljo?

— Tak; opowiada, że gdy była młodą, Karaibowie przychodzili tam wymieniać piękne bawełniane hamaki na wódkę. Lecz biedni ludzie oddawna już zniknęli.

— Bo też bardzo surowo obchodzono się z niemi — odpowiedział pan de la Rebellière. — Którego dnia opowiem wam to; jakkolwiek wówczas byłem dzieckiem jeszcze, jednak wszystko dobrze pamiętam.

Młoda kobieta powstała, przez story popatrzyła na uśpioną ziemię i pogodne niebo iskrzące się gwiazdami.

— Już późno — powiedziała, — jeżeli jutro o świcie chcemy być gotowi, trzeba iść spać. Panie, życzymy sobie wzajemnie szczęśliwej podróży. Nie przebaczam ci, że mnie nie chcesz wziąć do Fort-Royal. Byłby czas jeszcze...

— Moja droga Eleonoro, jeżeli koniecznie chcesz jechać do Wód gorących, nie sprzeciwiam się temu, lecz bądź rozważną, błagam cię. Nie puszczaj się w zbyt gęste lasy i strzeż się murzynów, jadowitych węzów, zwierząt drapieżnych. Zamiast dziesięciu, weź dwudziestu niewolników; wiesz jak cię kocham; byłbym w rozpacz, gdyby cię jakie spotkało nieszczęście.

Ucałował ręce żony. Ona nieśmiała usunąć się, lecz uśmiech szyderczy i syknące niecierpliwe objawiało uczucie, z jakim pani de la Rebellière przyjmowała te oznaki czułości. Od trzech lat znosiła dowody tej miłości egoistycznej, zazdrośnej, niepokonanей. Nie nawidziła męża, nieprzynajmniej się do tego, nawet przed sobą — lecz przez bojaźń, mimo wstrętu, słuchała go ślepo, niepróbowwała walczyć przeciw jego woli, chociaż często drwiła z niego, uległa jeżeli nie zrezygnowana, aby zawsze wieść życie, do którego nie była

stworzoną, martwiła się i nudziła zarazem. Byle tylko żyła oddaloną od świata, pan de la Rebellière darowywał jej wszystkie fantazje; była wszechwładną panią w rodzaju więzienia, gdzie bez granic zazdrość męża ją zatrzymywała, to też często bardzo nadużywała udzielonej jej wolności. Tak i teraz uparła się koniecznie jechać do Wód gorących, mimo niebezpieczeństwa podróżowania w odludnych stepach i lasach, jedynie aby zmienić miejsce pobytu i przerwać smutną jednostajność życia. W podobnych okolicznościach otrząsała się ze zwykłego próżniactwa i gnuśności, stawiała się czynną, niezmordowaną.

II.

Nazajutrz ku wieczorowi niebo pochmurne zwiastowało burzę, wiatr duszący powiewał od strony morza, mgły gęste zasłaniały cyple Karbetu, a czarne chmury pokrywały całe niebo lazurowe i po godne przed chwilą. Ostatnie promienie zachodzącego słońca, krwawym blaskiem oświecały lasy, z których dochodził szmer szumiący i nieustający, sprawiony przez wezbrane potoki z hałasem spadające z gór.

— Halt! — zawołała pani de la Rebellière, odsuwając franki hamaku i natychmiast zatrzymał się orszak cały.

Widok tej karawany rzeczywiście był ciekawym i zajmującym. Przewodnik prowadził awangardę złożoną z pięciu czy sześciu murzynów olbrzymiego wzrostu, uzbrojonych w siekiery i fuzje, następnie panią de la Rebellière niosło w hamakach czterech silnych niewolników, — pokojówki mulatki i kilku murzynów prowadzących muły, kończyło pochód.

Dzień miał się już ku schyłkowi, a karawana znajdowała się u stóp Cyplów Karbetu, w ciasnej dolinie, ze wszech stron otoczonej gęstym lasem. Droga zasłana kamykami i zeschłą trawą, widocznie była wyschłym łożyskiem strumienia; głęboka cisza panowała w tych pustyniach, które zbliżające się ciemności miały jeszcze okropniejszymi uczynić.

— Dalekoż jesteśmy od Wód gorących? — zapytała z niepokojem pani de la Rebellière.

— Kwadrans drogi, pani — odrzekł przewodnik. — lecz deszcz pada za Cyplami Karbetu, strumienie wezbrane będą szerokie jak morze i prąd wody łatwo nas unieść może, gdy przebywać będziemy potok spadający z gór...

— Więc musim przebywać potok?

— Tak; strumyk, w którym w dniu pogodne jest wody ledwie po kostki, ale który dziś wieczór może unosić będzie wielkie drzewa i ogromne kamienie.

— Więc musim noc przebyć z téj strony, a jutro przybędziemy do Wód gorących.

— Jutro? — zawołała Cecylja, — a gdzie będziemy spały téj nocy?

— Zawieszą na drzewach nasze hamaki — odpowiedziała pani de la Rebellière, usiłując okazać się zupełnie spokojną. Jednakże w głębi duszy żałowała, że naraziła się na tyle niebezpieczeństw, i obawiała się bardzo przepędzać noc pod gołym niebem wśród tych niezmiernych pustyni.

— Pani — zaczął przewodnik tym samym tonem pokornym i obojętnym, — zapewne niedobrze zrobim zatrzymując się tutaj; las bardzo w tym miejscu gęsty, w nim węże jadowite, a jeżeli wody wzbiorą, niezawodnie zaleją tę drogę. Trzeba iść jeszcze, trochę dalej jest mieszkanie...

— Ach, dobrze, niech i tak będzie, chodźmy! — przerwała pani de la Rebellière, — czemużes tego niepowiedział, głupcze! Dalej, droga Cecyljo, nabierz odwagi, skoro tu jest osada, w której nas przyjmą z otwartą, szczerą gościnnością kreolską.

— Znasz więc tych ludzi? — zapytała młoda dziewczyna.

— Zupełnie nieznam, ale cóż to szkodzi? przyjmą nas i tak z otwartym sercem. Podróżni zawsze są pożądanymi gośćmi u osadników. Rzecz to bardzo prosta w kraju gdzie nie ma wcale oberży.

Przewodnik powiedział prawdę; w przeciwnym krańcu dolinki, na małym wzgórk, nad którym panowały niedostępne szczyty gór niebotycznych, na ciemnym tle lasu rysowały się białe mury, niewielkiego domu. Dzień zniknął z ostatnim promieniem słońca, bo w tym klimacie wcale nie ma zmroku; światło i ciemności natychmiast po sobie następują. Podróżni wstępowali zwolna na tę pochylność, wzdłuż której wielkie drzewa symetrycznie zasadzono. Płomić zabłysnął nagle na końcu alei.

— Przybyliśmy — zawołała pani de la Rebellière.

— Niech Pan Bóg błogosławi tym dobrym ludziom — odpowiedziała radośnie Cecylja. — Ah! bardzo się obawiałam.

Przewodnik zapukał do drzwi zamkniętych prostą drewnianą zasuwką i natychmiast ukazała się stara murzynka. Pani de la Rebelière wyszła z hamaku.

— Gdzie pan? — zapytała wchodząc.

Murzynka otworzyła drzwi i palcem wskazała galerję. Pani de la Rebelière szła naprzód, za nią Cecylja — i obiedwie zatrzymały się na widok człowieka, który wyszedł na ich spotkanie. Młoda kobieta zatrzymała się w połowie zgrabnego ukłonu, a szybkim rzutem oka objąwszy całą postać gospodarza, zarumieniła się i rzekła:

— Jestem panią de la Rebelière; jadę do Wód gorących, burza zaskoczyła nas w drodze i proszę pana o gościnność na noc dzisiejszą.

Na tę prośbę zwięzłą i treściwą, uczynioną w narzeczu kreolskim, młody człowiek skłonił się z uszanowaniem i odpowiedział dobrą francuzczyzną:

— Jestem zbyt szczęśliwy, że mogę pani ofiarować schronienie; wszystko tutaj jest na jej rozkazy. Racz pani usiąść, zapewne jesteście zmęczone.

Natychmiast kazał podać stołki i wydał rozkazy aby przyjęto służbę, która została na dworzu. Młoda kobieta była zdumioną; usiadła milcząc, ale Cecylja zawołała wesoło:

— Ah, panie, jakżeśmy szczęśliwe, znalazłszy tutaj schronienie.

Pani de la Rebelière lekko trąciła ją łokciem i spojrzała, jakby ostrzegając, że odezwała się niestosownie; Cecylja umilkła zdziwiona, niespokojnie powiodła okiem w około, lecz wszystko miało postać spokojną i powabną nawet. Była to godzina wieczery. Stół nakryty na jedną osobę, zastawiony był ze zbytkiem rzadkim w podobnych osadach; zdobiły go karafki, szklanki kryształowe, piękne porcelanowe talerze i noże srebrne. Galerja zaś nadzwyczaj skromnie była umeblowana; pochodnie oświecały ją czerwonawem i migotliwem światłem, rośliny zaszuszone, wypchane ptaki, skóry zwierzęce wisiały na ścianach, a pośród tego dziwaczego obicia, dwa piękne portrety mężczyzn ubranych po francuzku à la Louis XIV, zdawały się patrzeć z uśmiechem na obecnych.

— Mam nadzieję, że pani zje lekką kolację, jaką jej natychmiast podadzą — powiedział gospodarz dając znak murzynce, która wniosła ryż i banany pieczone, by postawiła drugie nakrycie, na przeciw tego, które już było na stole.

— Tak, bardzo chętnie, jeść mi się chce — odpowiedziała pa-

ni de la Rebelière, dziękując skinieniem głowy. — I ty także biedna moja Cecyljo, jesteś prawie na czczo. Ale jak szkaradnie jest teraz na dworze.

W rzeczy saméj burza wybuchła; deszcz ulewny uderzał w szyby, echa w górach nieustannie powtarzały straszny huk grzmotów.

— Uspokój się — powiedziała pani de la Rebelière, śmiejąc się z przestachu swojej młodej towarzyski, która drżąc cała, tuliła się do niej. — Jesteśmy teraz w bezpieczném miejscu. No! droga Cecyljo, jedźmy spokojnie kolację.

— Murzynki pani są w oddzielnej chacie. Trzebaż ich zawołać, aby jéj usługiwały? — zapytał osadnik.

— Dziękuję, ślicznie dziękuję — odrzekła pani de la Rebelière, zdziwiona taką grzecznością i wytworném obejściem. — Mój Boże! ileż ambarasu zrobiliśmy panu, tylu ludzi mamy z sobą.

— Już są umieszczeni w chacie, która obecnie nie była zajęta. Nie troszcz się pani, ja sam będę czuwał, aby ich dobrze przyjęto.

Wyszedł.

— Moja droga — rzekła szybko pani de la Rebelière, odpowiadając na pytanie, które od kwandransa Cecylja zadawała jéj wzrokiem, — jesteś u mulata.

— Jakto u mulata?

— Tak, postrzegłam od pierwszego rzutu oka, że nie jest białym. Moja droga przyjaciółko, nie trzeba go nazywać panem.

— Człowiek tak grzeczny, tak dystygowany z powierczowności i obejścia! I jakże chcesz bym go nazywała?

— Po imieniu po prostu. Gdybyś go nazywała panem, jakże dla odróżnienia tytułowałabyś białego, chyba: Wasza Książęca, albo Królewska Mość?

— Czyż człowiek ten tak bardzo od nas się różni stanowiskiem?

— Bez wątpienia, on to czuje dobrze; widzisz, nie usiadzie z nami do stołu — są tylko dwa nakrycia.

— To rzecz dziwna jednakże — powiedziała zastanawiając się Cecylja; — teraz niechętnie, z przykrością przyjmuję jego gościnność; wyobrażam sobie, że jest upokorzonym swoim położeniem względem nas.

Weszły murzynki by usługiwać, kobiety usiadły do stołu, gospodarz się nie pokazał. To zachowanie się dumne i trafne zachwyciło panią de la Rebelière.

— Spodziewam się, że zanim udamy się na spoczynek, powie-

my dobranoc właścicielowi mieszkania — powiedziała głośno. — Trzeba abym mu podziękowała, a tak śpiesznie nas opuścił, że nawet nie miałam czasu zapytać o jego imię.

— Nazywa się Domicjan — odrzekła stara Femi; — to do bry pan.

— Zkądże już wiész o tém wszystkim?

— Mówiono mi to w chacie.

— Jego mieszkanie zdaje mi się obszerne, musi być bogaty.

Wieluż ma murzynów?

Murzynka podniosła otwarte ręce.

— Tyle, ile mam palców — powiedziała, — ni mniej ni więcej rachując wszystkich, ale że chętnie pracują, pan wyżyć może.

Milcząc, dwie kobiety skończyły kolację. Jak tylko stół wyniesiono, osadnik wszedł do galerji. Pani de la Rebellière podziękowała mu serdecznie za tak gościnne przyjęcie i zwracając oczy na krzesło próżne stojące pomiędzy nią a Cecylją, zapytała:

— Nie posiedzisz pan trochę z nami?

Stał ciągle, jedną ręką oparty o grzbiet krzesła.

— Pani — powiedział żywo, — chętnie nadużyję waszego pozwolenia. Obecność pań w mojej samotni, jest tak wielkiem, tak ważnem dla mnie zdarzeniem! Trzeba żyć bardzo długo pozbawionym wszelkich stosunków ze światem ucywilizowanym, aby poznać co ja czuję, słysząc panie mówiące po francuzku.

Podczas gdy wyrażał się jak człowiek dobrze wychowany i najczystszy mówił akcentem, Cecylja i pani de la Rebellière przyglądały mu się ze szczególnem zdziwieniem. Z pierwszego wejrzenia uderzone tylko były mezką pięknoscją jego twarzy, ale słuchając go, dobór wyrażeń i obejście zdziwiło ich zupełnie w inny sposób; był to pod każdym względem najdystygowańszy człowiek, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkały. Wyglądał na lat dwadzieścia ośm lub trzydzieści; wzrost wysoki, giętki i szczupły znamionował siłę, rysy dziwnie regularne przypominały piękne starożytne typy i znamionowały spokój duszy i głębokie zrozumienie godności osobistej; włosy czarne, gładkie, świecące, z koloru tylko podobne były do włosów murzynów; cera jego była białą, ale lekkie cienie brunatne od skroni rozciągały się po nad czołem, a wargi wązkie okalała obwódka brunatna. Ubrany był jak kreol w szerokich spodniach białych i kaftaniku flanelowym w kratkę.

— Ależ usiądźże pan, proszę — nalegała pani de la Rebellière — i niech najprzód powtórnie przeproszę pana, za cały ambasarski jakiśmu mu zadały.

— Chętnie wypełniasz pan obowiązki gościnności i niemniej jestem mu wdzięczną. Dawno pan mieszka tutaj?

— Blisko rok, pani.

— Znać od razu, że pan nie w téj pustyni się wychowałeś i żyłeś.

Na to pytanie, które uchodzić mogło za komplement, Domicjan odpowiedział tylko ukłonem.

— Otóż to piękne obrazy — zawołała pani de la Rebelière, spoglądając na ścianę. Jezus! te twarze są żyjące, zdaje się, że chcą wyjść z ram swoich, aby porozmawiać z nami. Czy to są portrety? Co za prześliczne fizjonomie! Ten szczególnie z lewéj strony wygląda tak szlachetnie.

— Pani — odrzekł Domicjan wzruszony, — rzeczywiście to byli zacni ludzie, szlachetne dusze!

— Znałeś ich pan? czy byli kreole?

— Czterdzieści lat temu obydwaj urodzili się w tém mieszkaniu. Wówczas rodzina ich podupadła, lecz pamiętam jeszcze nazwisko d'Enambuc-du Parquet, który, bogatszy jak wielu panujących, posiadał wyłącznie Guadelupę, Martynikę i jeszcze kilka wyseppek. Ten niezmierny majątek rozszedł się po śmierci tego który go zdobył mieczem i handlem, a ci dwaj ludzie, jego wnukowie, odziedziczyli tylko tę posiadłość, i dwadzieścia lat temu udali się do Francji. Jeden z nich umarł tam wkrótce, drugi wiele zaszczytnych, lecz mało dochodu przynoszących urzędów posiadał. Był słabowitego zdrowia, a gdy trochę podstarzał, doktorzy radzili mu powietrze ojczyznie; wrócił i umarł tutaj przed kilku miesiącami...

— I to on bezwątpienia wychował pana, z nim jeździłeś do Francji — zapytała z ciekawością pani de la Rebelière.

— Tak, pani.

— Pan wracasz z Francji, — zawołała Cecylja. — Cudny téż to kraj ta Francja!

— Przepędziłem tam dwadzieścia lat, bezwątpienia najpiękniejszych, najszczęśliwszych w mojem życiu — odpowiedział z głębokim smutkiem.

Pani de la Rebelière utworzyła naprędce kilka przypuszczeń prawdopodobnych; myślała, że Domicjan był synem pana d'Enambuc i jakiej niewolnicy. Ten domysł ani upokorzył, ani podniósł go w jéj szacunku: chociażby się urodził następcą tronu królewskiego, jedna kropla krwi murzyńskiej płynąca w jego żyłach, stawiała go niżej od białego wyrobnika. Cecylję nie zajmowały takie myśli; znajdując kogoś wracającego z Francji, z Paryża, prawie rodaka,

doznała radości wygnańca słyszącego jakby echo z oddalanej ojczyzny.

— Francja — powtarzała. — Mieszkałeś pan we Francji! Byłeś w Paryżu! Zwiedziłeś Wersal? Słyszałeś o zakładzie edukacyjnym w Saint-Cyr?

— Tak, pani, zamieszkiwałem całe lato domek w lasku Satory; widziałem zdaleka tę piękną ustron Saint-Cyr, byłem tam w chwili śmierci jego założycielki.

— Pani margraby de Maintenon! Oh! jakże była wspaniałą. Mam jeszcze przed oczyma jej twarz szlachetną, jej strój żałobny. Zdaje mi się, że ją widzę wśród nas. Król nieboszczyk był chory śmiertelnie; płakałyśmy wszystkie, ona była spokojną, ale z po za tej rezygnacji głęboka wyczierała boleść. Kazała przerwać lekcje; posłaliśmy za nią do chóru odmówić modlitwy za konających. Nazajutrz uczennice przywdziały żałobę; król umarł, a pani de Maintenon nie opuściła już nigdy Saint-Cyr. W dzień mego odjazdu chciała mnie widzieć. Uściskała mnie, a gdy mój powiedział że odjeżdżam do Ameryki, przypomniała sobie tę część świata, przesunęła ręką po czole i rzekła: „Mnie także bardzo już dawno wywieziono do Ameryki, na wyspę prawie odludną, gdzie o mało nie była zjedzona przez węże.“ Włosy mi stanęły słysząc ją tak mówiącą. Oh! bardzo się bałam wstępując na tę ziemię, i gdybym nie znalazła domu gdzie mnie tak dobrze przyjęto, a nadewszystko gdyby nie taka dobra przyjaciółka.....

— Byłabyś natychmiast odjechała, nieprawdaż, egzaltowana główko bretońska? — przerwała pani de la Rebellière pieścąc słiczne włosy Cecylji. — Dziecko, myśli tylko i mówi o Francji. Jesteż to więc najszczęśliwszy kraj na kuli ziemskiej?

— Ktokolwiek tam mieszkał, niezapomni jej nigdy — odrzekł Domicjan z westchnieniem. — Tutaj życie upływa lekko i słodko, w nasyceniu wszystkich materialnych potrzeb i uciech, tam się żyje za pomocą wszystkich władz umysłu i serca.

Pani de la Rebellière niezrozumiała wcale tej odpowiedzi; ona nie rozbiierała tak swoich wrażeń.

— Niewiem — powiedziała — jak można żyć szczęśliwym w kraju gdzie jest zimno, gdzie połowę roku nie ma ani kwiatów, ani owoców, ani liści na drzewach. Drzę kiedy Cecylja opowiada mi swoje przechadzki, gdy niebo szare a ziemia pokryta śniegiem. Zdaje mi się, żebym umarła w tak surowym klimacie.

Przy tych słowach zagłębiła się w fotelu, a Cecylja sama prowadziła dalszą rozmowę z osadnikiem. Mówili tak dobrze i długo

o cudach Paryża, Wersalu, że pani de la Rebellière sądziła że słyszy bajkę cudowną. Zresztą szczególnie zajęła ją gładka i kwiecista wymowa mulata. Pan de la Rebellière nigdy nieprzemawiał do niej w ten sposób; zdawało jej się więc, że po raz pierwszy słyszy mówiącego rozumnego człowieka. I w tém miała zupełną słusność.

Bezwątpienia dosiedzieliby tak do dnia, ale o północy gdy kogut zapiał, Domicjan powstał śpiesznie.

— Ostrzegam panie, — zawołał, — że nadużyję pozwolenia. Odchodzę. Zawieszę tutaj hamaki pań; jest to pokój najwygodniejszy w całym domu. Może panie chcą jeszcze rozkazać mi co?

— Nie, dziękujemy; przyślij pan nasze murzynki -- odpowiedziała pani de la Rebellière, kłaniając się z wdziękiem. — Nam tak-że ten wieczór ubiegł szybko. Dobra noc. Do widzenia, jutro.

W kwadrans potem, piękna Eleonora kazała się rozbierać, była ożywiona i roztargniona razem.

— Mój Boże — mówiła do niej Cecylja — jeszcze go panem nazywała. Ale nie mogłam inaczej; człowiek tak miły, tak dobrze wychowany; żaden z naszych panów kreolów nie może się z nim porównać.

— Tak, to rzecz dziwna — odpowiedziała zamyślona pani de la Rebellière.

III.

Eleonora znalazła dom swój u Wód gorących daleko mniej zniszczonym, niżeli jej mąż zapowiadał; mało trzeba było pracy, aby zrobić z niego prześliczną rezydencję. Dom ten leżał na małym wzgórzu, otoczonym z południowej strony wawozem, w głębi którego płynął strumyk, i ze wszech stron obsadzony był olbrzymiemi kokosami. Za tymi zielonemi kępami rozciągała się dolina, przetrzięta źródłem Wód gorących, wypływającym ze skał szarych. Od strony zachodniej zasłaniała dom olbrzymia góra z dwoma ostro zakończonemi wierzchołkami, jak gdyby zakłębieniem wieszczki

stworzonemi. Bluszcze ciemno-zielone rozrzuciły swe wiotkie gałązki, a bogata roślinność utworzyła niby frendzlę zieloną, przepysśnie odbijającą na szarém tle gór.

W dali widać było dach mieszkania Domicjana. Był on bliskim sąsiadem pani de la Rebellière, lecz przepaść ich dzieliła i aby dojść z jednej osady do drugiej, trzeba było dalekie obchodzić ścieżki.

Kończył się tydzień pobytu w tój pustyni, i pani de la Rebellière oświadczyła że wyjedzie wkrótce, lecz nazajutrz zdecydowała się zostać. Szczególniejszą czynnością zastąpiła swą gnuśność naturalną. Codziennie długie z Cecylją odbywały przechadzki. Domicjan ani razu ich nie odwiedził, lecz kobiety spotykały go często, i w towarzystwie jego zwiedzały prześliczne ale dzikie okolice.

Pewnego razu pani de la Rebellière i Cecylja obszedłszy w koło rozległy wzgórek na szczycie którego było mieszkanie Domicjana, znalazły się u stóp góry Fontenay. Niepodobna jest opisać cudowne, malownicze położenie tego zakątka ziemi, którego ludzka stopa prawie nie dotknęła. Wyschłe łożysko strumienia tworzyło drogę między wielkimi drzewami. Wysmukłe palmy i rozłożyste kokosy, spuszczały do ziemi zielone gałęzie w kształcie wachlarzy, pokryte kwieciami różowem i białem. Obie kobiety szły wolno milcząc, nagle Cecylja zatrzymała się.

— Tam jest ktoś — zawołała z trwogą.

Rzeczywiście, mężczyzna jakiś siedział nad brzegiem strumienia i nie ruszył się nawet widząc że się ku niemu zbliżały. Kilka szmat kolorowego płócienka składały całe jego ubranie, żyłaste ręce i szerokie ramiona wysmarowane olejem palmowym, świeciły przy zachodzącém słońcu jak metal czerwonawy. Twarz jego była nieruchoma jak martwy kamień, oczy bez żadnego wyrazu. Pani de la Rebellière przypatrywała mu się zdziwiona i rzekła do Cecylji półgłosem :

— To Palem, ten mulat zbiegły; cóż on tu robi?

Zawahała się chwilkę, zdawało się jój że niewarto wracać, i bez trwogi zbliżała się ku zbiegłemu niewolnikowi, udając że go niepozna. Palem nie podniósł nawet głowy, cofnął się tylko o kilka kroków, aby przepuścić kobiety. W tём miejscu, w środku strumienia wznosiła się ogromna skała las gęsty nieprzejrany otaczał płaszczynę zasadzoną kartoflami, w oddali widać było szałas. Na widok tego szałasu i śladów ogniska, pani de la Rebellière domyśliła się, że to była posiadłość Palema.

— Biedny człowiek — rzekła Cecylja, — tak samotny, tak o-

puszczony. Zapewne żyje tutaj tak skromnie, jak św. Antoni, który jadał tylko korzonki. Droga przyjaciółko, nie trzeba mówić panu de la Rebellière, żeśmy spotkały jego niewolnika.

— Tak, nie mu nie powiem, ale chodźmy ztąd.

— Pani! — rzekł Palem w narzeczu kreolskim, — nie raczysz ze odpocząć tutaj. Nie bądź pani tak dumną i wejdz do mojego szałas.

Te proste słowa były takiem zuchwalstwem w ustach niewolnika, że pani de la Rebellière pobladła z zadziwienia i trwogi.

— Noc już zapada, nie mamy czasu zatrzymywać się, — odpowiedziała spokojnie, — niechaj Bóg cię strzeże, dzisiejszej nocy i po wszystkie dni życia twego; przyjdź kiedy do nas, dadzą ci tytoniu i wódki.

— Mam przyjść do Wód gorących, do mieszkania pana de la Rebellière! Niechcesz-że mnie pani poznać? — zawołał szyderczo. — Oh! oh! ja zaś panią poznaję, jesteś żoną mego dobrego pana. Byłem waszym niewolnikiem; patrz pani, jeszcze tego mam na sobie znaki.

Przy tych słowach pokazał ramiona, pokryte zagojeniami ranami.

— Jeżeli więc jestem twoją panią, słuchaj mnie i puść — przerwała odważnie pani de la Rebellière, idąc ku niemu z podniesioną głową i dumnym spojrzeniem.

Cofnął się o parę kroków, lecz zatrzymując się natychmiast, rzekł obojętnie:

— Nie, nie, pani zostaniesz tu, ze mną. Boisz się pani? Lecz czego? Nie jestem uzbrojony, a zresztą uspokój się pani, nie zabiłbym kobiety. No, usiądźcież, koniecznie, mówię.

Pani de Rebellière drżała.

— Czegóż on chce od nas? — zapytała Cecylja, która niezrozumiała dokładnie tej całej rozmowy, w narzeczu kreolskim prowadzonej.

— Niewiem — odpowiedziała po francuzku pani de la Rebellière, — lecz chciałabym ztąd być bardzo daleko.

Palem zrozumiał ją dobrze i rozśmiał się z wyrazem wewnętrznego zadowolenia:

— Jutro — powiedział — jutro, pójdziesz opowiedzieć memu dobremu panu, że Palem tej nocy zatrzymał cię w swoim szałasie. Ach, jakaż prześliczna zemsta, nieprawdaż? Przekona się, że niezapomniałem czterech słupów, do których twarzą ku ziemi tak często kazał mnie przywiązywać.

Pani de la Rebelière udawała że się śmieje i nierozumie zupełnego znaczenia tych słów. Cecylja zaś z niepokojem i ciekawością wpatrywała się w nieruchomą, niezmienną twarz Palema.

— Chcesz pani jeść? — zapytał odgrzebuając z popiołów wygasłego ogniska kilka pieczonych kartofli.

Podziękowała gestem pogardliwym. Cecylja uspokojona rzekła:

— Ten człowiek widocznie nie ma zamiaru zrobić nam nic złego; lecz pragnie nas zatrzymać, byśmy o nim nie powiedziały panu de la Rebelière. Nie możesz go przekonać, że go zostawimy w pokoju?

Pani de la Rebelière nie odpowiedziała wcale, spojrzała tylko w około z trwogą i gniewem. Palem spokojnie pożywał swoje kartofle. Milczano. Eleonora usiadła, schyliła głowę, usiłując pokryć swoje wzruszenie. Cecylja czekała, nierozumiejąc położenia. Na wystrzał zupełnie niespodziewany, obie kobiety zadrzały i zawołały jednocześnie:

— Domicjan!....

Rzeczywiście — Domicjan wąską ścieżką schodził ze stromej i pochylonej góry; śliczny pies gończy, przywieziony z Francji, biegł naprzód, a zobaczywszy znajome kobiety, zaszczekał radośnie. Palem skoczył na spotkanie mulata, lecz zatrzymał się nagle, usłyszawszy iż ten wołał zdaleka:

— Zbłądziłyście panie!.... słońce zachodzi, jesteście bardzo daleko od waszego mieszkania, pozwólcie że was odprowadzę.

Pobiegły do niego, a Palem milcząc usiadł przed swoim szalosem i pozwolił im odejść. Cecylja wołała odchodząc:

— Bądź zdrów, dobry człowieku, i bądź spokojnym, pani de la Rebelière nie powie mężowi żeśmy cię spotkały.

Młoda kobieta oparła się na ramieniu mulata.

— Domicjanie — rzekła cicho, — to dziecko nie zrozumiało naszego niebezpieczeństwa; ale ty ocaliłeś nam więcej jak życie!...

Zadrzał.

— O Boże — zawołał — traf zawiódł mnie w tę stronę.... Miałem przecucie, że panie jesteście w niebezpieczeństwie, szukałem was.... cóżście zrobiły złego temu człowiekowi?

Wtedy pani de la Rebelière opowiedziała mu krótko, że Palem był ich niewolnikiem i dla czego uciekł.

— Prawda, — dodała z głębokim westchnieniem, — mąż mój jest panem okrutnym, a ten nieszczęśliwy zapewne nas nienawidzi.

Tego samego wieczoru Palem zwrócił się do Domicjana, wra-

cającego do swojej osady. Ludzie ci znają się dobrze, dobroć i łaskawość pierwszego, nędza drugiego, utrwaliła ich stosunki.

— Słuchaj, rzekł Domicjan przywitawszy się z mulatem. Dziś wieczór o mało nie zdarzyło się wielkie nieszczęście; gdybyś się tylko dotknął tych kobiet, które spotkałem przed twoim szałasem, byłbym ci głowę — tą fuzją roztrzaskał.

Palem wzruszył ramionami i odpowiedział.

— Dosyć — Zawsze byłeś dobrym dla mnie, żywiłeś mnie gdym chorował, nie zapomnę o tem. Skoro protegujesz te kobiety, są zupełnie bezpieczne, odwrócę się, jeśli je spotkam. Dle ciebie wyrzekam się mojej zemsty.

— Wiem, że tobie można zaufać i liczę na twą obietnicę. Bądź zdrow, wracaj do twego szałas, a jeśli pójdziesz w tamtą stronę góry, strzeż się — wczoraj kilku murzynów zbiegłych spotkało oddział policyi.

— Wiem o tem, ja tam byłem.

— Ujmą cię wreszcie w czasie twych wycieczek — Palem! lepiej byś zrobił uprawiając kilkanaście zagonów, któreby ci dostarczyły żywności. Jeśli ci potrzeba narzędzi i nasion przyjdź do mnie. Do widzenia. pamiętaj o twój obietnicy.

Palem go zatrzymał.

— Słuchaj, rzekł, zanim się rozstaniem. muszę Ci opowiedzieć krótką historyjkę: Tam — daleko w lesie — piękny gołąb znalazł w swoim gniazdzie dwa jajka białe jak kwiat liljowy. Ogrzewał je jakby swoje własne, ale z nich wyszły dwa węże, które pożarły ślicznego gołębia.

— Bądź zdrow Palemie — powiedział Domicjan, oddalając się z pośpiechem.

Od dnia tego, Domicjan we wszystkich przechadzkach towarzyszył Cecylii i pani de la Rebellière. Zwykle spotykały go na płaszczynie, i często bardzo dopiero późnym wieczorem odprowadzał je do mieszkania, którego progu nie przestąpił nigdy. Ten nowy sposób życia potężnie oddziaływał na młodą kobietę; chwilami była dziecinnie roztrzepaną i wesołą, to znów w głębszą zapadała melancholję. Ożywiona i czynna nagle wracała do dawniej gnuśności i próżniactwa. Cecylja często bywała zamyśloną, lecz jej pogodne wejście nie zdradzało wewnętrznego smutku i zgrzyoty. Życie płynęło cudnie, uroczo, dla młodych kobiet — pierwszy raz, bowiem pokochoły. Te tajemnice ukrywały głęboko w sercu, nieodgadując się nawzajem, i bez wyrzutów i pamięci na przeszłość, ciesząc się wewnętrznem szczęściem.

Pani de la Rebellière odgadła, czego dotąd brakowało jój życiu, i prędzej od Cecylii poznała, że kocha, gwałtowną, pierwszą, niepokonaną miłością. Ale duma nie pozwoliła jój okazywać uczucia, i młoda kobieta kochała, jedynie dla przyjemności, dla szczęścia kochania.

Cecylja przeciwnie, w prostocie i niewinności serca, oddała się najśłodszeemu z uczuć, jakich doświadczyła dotąd; była to jednocześnie miłość, przyjaźń, uwielbienie i litość, gdyż lepiej od pani de la Rebellière rozumiała, że Domicjan nie był szczęśliwym. Zresztą te przesady kastowe, które w duszy dunněj kreolki obudzały często wstyd i przerażenie, nie zakłócały spokoju młodej dziewczyny, wychowanej we Francyi. Ona nierozumiała tak drobiazgowych odróżnień, które z człowieka prawie białego czynią murzyna; ona odróżniała tylko zbyt rażące kolory, lełkich odcieniów nie widziała wcale.

Między temi trzema osobami istniał milczący układ, widywany się codzienne. Ież miłych i słodkich godzin upłynęło im w tój dzikiój, bezludnej okolicy, gdzie z każdym krokiem znajdowali coś nowego. Już to wspaniały krzak lilij rozkwitłych nad brzegiem strumienia. Już gniazdo ptasie, lub jak owoc nieznan. Często zatrzymywali się pod cieniem kwitnących drzew cytrynowych, nad którymi wznosiły się stada kolibrów, strojnych w barwiste piórka tęczowe. Domicjan opowiadał im różne zdarzenia, wyczytane z książek— podróże swoje i pobyt w krajach zamorskich. Był szczęśliwym wówczas; jego wejrzenie spoczywało na twarzach tych dwóch kobiet, słuchających z najwyższem zajęciem i uwagą, zachwyconych. Ale jeśli serce jego biło już dla jednej z nich, jeżeli niezdołał oprzeć się wpływowi tój atmosfery przejętej miłością, musiał także ukrywać wrazenia, swoje szczęście, gorzkie, zatrute, godne zazdrości i politowania. W tych długich rozmowach, nie wspominał nigdy o swoim pochodzeniu i swoim dzieciństwie; powiedział tylko, że urodził się w Martynice.

W końcu miesiąca, pani de la Rebellière nie myślała jeszcze opuszczać *Wód gorących*—mąż chętnie pozwolił jój na dłuższy pobyt w tój samotni. Najprzód pisał do niój z Fort-Royal, donosząc, że trzy tygodnie zabawi u swego kuzyna gubernatora; następnie w liście datowanym z *du Rebellière*, oznajmiał młodej kobiecie, że kilku oficerów są chwilowo jego gośćmi, lecz nie potrzeba, aby wracała robić honory domu. W każdej innėj okoliczności pani de la Rebellière nie byłaby tak posłuszną, tą razą jednak odpisała, że chętnie zostanie u *Wód gorących*, dopóki goście będą w jój domu.

Od téj chwili zdawało się, że już nigdy ztąd nie odjedzie, tworzył projekta, jakby na życie całe. Również Domicjan jak i Cecylja nie myśleli, że to się kiedykolwiek, nawet może prędko bardzo skończy.

Wszakże, pewnego wieczora pan de la Rebellière przyjechał. Eleonora i Cecylja tylko co wróciły z przechadzki, obiedwie pobladły zobaczywszy go. Uprzedzająco był greczny, niezwykle uprzejmy, ponieważ spodziewał się usłyszeć wyrzekania i skargi.

— Moja droga przyjaciółko — rzekł — jakem ci wdzięczny, żeś się tu ukryła, podczas, gdy przyjmowałem w La Rebellière tych młodych szaleńców; niewłaścive to znajomości dla kobiety w twoim wieku — dzięki ci żeś to zrozumiała. Ważne powody pozbawiały mnie przyjemności widzenia cie — nareszcie jestem wolny. Jakżeś przepędzała czas w téj pustyni?

— Bardzo przyjemnie i spokojnie, odpowiedziała pani de la Rebellière, słabym głosem, ze śmiertcią w sercu.

— W roku przyszłym jeśli będziesz chciała, mozem wrócić tutaj; lecz kto wie, czy w téj moją śliczną pupilka towarzyszyć ci będzie. Pełnoletność jęj się zbliża, tracę moje prawa, jako opiekun. Daruj — kochana Cecylko, zem dotąd nie zapytał, jak się miewasz; ale byłem uszczęśliwiony ujrzawszy panią de la Rebellière tak piękną, tak dobrą i łagomą. Wicie, wcale innego oczekiwałem przyjęcia?

— Widzisz więc, że czasami się mylisz, odrzekła Eleonora z wymuszonym uśmiechem.

— Ale nie będę nadużywał takięj powolności, nie będziesz dłużęj wygnaną, po jutrze jedniemy.

— Nie oczekujesz już żadnej wizyty w *La Rebellière*?

— Nie — dzięki Bogu! to już skończone.

— Tym gorzëj. Najchętniej byłabym tutaj została jeszcze czas jakiś. Świeże, czysto góskie powietrze zbawiennie działa na moje zdrowie. Lubię tę samoność!

— Jeśli chcesz koniecznie, gotów jestem przepędzić tutaj z tobą jeszcze ze dwa lub trzy tygodnie. Okolica śliczna, zwiedzimy ją.

— Nie — nie — trzeba jchać zawołała pani de la Rebellière, dla której każde słowo męża, bolesnym było sercu.

Cecylja siedziała nieruchoma, z trudnoścją ły wstrzymując, ale nikt nie zauważył jęj smutku. Ten dręcący przymus trwał przez całą kolację, po której pan de la Rebellière wyszedł na chwilę.

— Moja dobra Cecyljo — powiedziała szybko młoda kobieta, nie trzeba opowiadać mojemu mężowi, żeśmy nocowały w mieszka-

niu Domicjana, i żeśmy odtąd często widywały. Mogłoby się to niepodobać panu de la Rebellière, gotów zrobić mu jaką niegrzeczność. Gdybyś wiedziała co to są te przesady kastowe!

— Lecz gdyby mu to powiedział który z niewolników?

— Każę im milczyć. Bądź spokojna, usłuchaj mnie. Ach droga Cecyljo trzeba już rozstać się ze szczęściem, jakie tu znalazłam. Upadam pod jarzmem; gdybyś wiedziała co to za męczarnia żyć z panem de la Rebellière!

Zaczęła gorzko płakać, kończąc te słowa. Cecylja zarzuciła jej ręce na szyję, i także łez wstrzymać nie mogła. Skoro pan de la Rebellière powrócił, od razu poznał, że żona jego płakała. Nie zapytał się o nic, lecz tysiące natarczywych podejrzeń zrodziło się w jego umyśle. Wśród czechy i leniwo wlokącej się rozmowy, którą wszystko troje starali się podtrzymywać, zapytał nagle patrząc prosto w oczy Cecylii?

— Przed sześć tygodni, nikt was nieodwiedził?

— Nikt — rzekła z jezuicką szczerością, gdyż szczęściem pytanie zadane było w ten sposób, że tę odpowiedź czyniło literalnie prawdziwą.

Nazajutrz rano, pan de la Rebellière, zbliżył się do żony przechadzającej się po płaszczyźnie. Chodzili długo, niemówiąc do siebie. Widok dachu czerwonego rysującego się na urwisku skał, obudził chaos obaw i podejrzeń w umyśle pana de la Rebellière—teraz zdawało mu się, że odgadł powód niewytłomaczonej zmiany w obejściu swojej żony. Wyobraźnia jego tworzyła pewniki i przypuszczenia najrozmaitsze. Wzburzony, wściekły w głębi duszy, ale zawsze pan siebie, robił domysły przeszło godzinę. Nakoniec zatrzymując się nagle przed młodą kobietą, zapytał ją tonem spokojnym:

— Cóż to za chata nowa, tam na tej górze? Nie mówiłaś mi droga Eleonoro, że mamy sąsiada — jakże się nazywa?

— To mulat — imieniem Domicjan, rzekła obojętnie.

Na te słowa, zniknęły podejrzania pana de la Rebellière; nie przyszło mu nawet na myśl, aby jego żona mogła spojrzeć na podobnego człowieka.

— Mulat powtarzał, z długim westchnieniem, jak człowiek, któremu nagle ogromny ciężar spadł z piersi—mulat. Dawniej w tej okolicy byli tylko murzyni i biali — dziś ta przeklęta rasa zmieszana jest wszędzie.

Dnia tego Cecylja wyszła o zwykłej godzinie. Od czasu, jak co wieczór przechadzała się z panią de la Rebellière, murzynki nie chodziły za nią. Nikt więc nie zwrócił uwagi, że sama szła do

doliny. W inném usposobieniu umysłu byłaby się obawiała. Milczenie głębokie panowało wokoło, ptaki kryły się w gałęziach drzew, niesłyszała nawet szelestu swych kroków, niknął w ruchomym piasku. Było jeszcze dość wczesnie i chodziła długo, niespokawszy Domicjana. Wówczas zdawało jęj się, że zabłądziła, chociaż przed sobą widziała górę *Fontenay*, a dalej ku północy Cyple Karbetu. Nakoniec zmęczona i niespokojna usiadła na wzgórcu, z kąd postrzegąła w oddali mieszkanie Domicjana. Odwiązała słomiany kapelusz, i patrzyła w około siebie, przyciskając ręką serce, które z trwogi zaczynało bić gwałtownie. Spokojna i wesoła powierzchność tych miejsc uspokoiła ją cokolwiek. Mały strumyczek płynął niedaleko, a świeższa roślinność oznaczała bieg jego. Na brzegach rosła wysoka trawa, i kilka drzew wielkich tworzyło wstęgę zieloną, rzuconą między skały szare i wapienne.

Młoda dziewczyna zatrzymała się na kilka kroków od wielkiego drzewa, którego giętkie gałązki mokły w strumyku— z pomiędzy ciemnych liści wyglądały jabłuszka szkarłatne. Zdawało się, że to drzewo jest królem tych brzegów, gdzie było jedynem ze swego rodzaju, i gdzie tysiące skromnych roślin czołgało się pod cieniem jego czarném, jak nic burzliwa. Grube konary otaczały pień olbrzymi, a szerokie liście drżały pod lekkim technieniem wiatru.

Cecylja wstała, aby urwać kilka z tych pięknych owoców, potem znowu usiadła smutna. Tak czekała jeszcze dość długo. Słońce już schylało się ku zachodowi, gdy ukazał się Domicjan, zmęczony, bez tchu prawie. Krzyknął zbliżając się ku młodej dziewczynie, i wyrwijając jęj owoc, który trzymała w rękę, zapytał z przeżeniem:

Jadłaś to pani?

— Nie — odrzekła przełęczniona jego gościem i spojrzeniem.

— Ach! zawołał zasiadając przy niej, widziałem panią z daleka i drżałem.... Jakżeś tu pani przyszła sama jedna po te okropne owoce?.... One są trucizną, na którą niema lekarstwa.... Nigdyżes pani nie słyszała o drzewie manselinowém?.... O Boże! pani byłaś tak blisko drzewa, którego cień nawet jest zabijającym..... Mogłaś pani skosztować tych owoców przeklętych, a ja widziałem cię z daleka spokojną, w obec tak straszego niebezpieczeństwa.... Potrzebowałem kwadransa, wieku całego, trwogi i konania, aby przybyć tutaj!.... Och! chodź — chodź pani, oddałem się ztąd....

Uściskała konwulsyjnie rękę, którą jęj podał i płakała zmieszana, nie z trwogi, lecz z nieokreślonego jakiegoś uczucia.

— Niestety! — Panie — rzekła nakoniec, dziś wieczór pożegnam pana od siebie i Eleonory. Jutro wracamy do *La Rebellière*.

— Jutro! powtarzał schylając głowę, zmieszany; jutro! i ja nie ujrę pani więcej!

— Zatrzymali się milcząc. Cecylja widziała jasno co się działo w jej własnem sercu, i w sercu tego człowieka, i natychmiast powzięła pewne postanowienie. Miała ona duszę silną i cierpliwą, której żadna nie zrażała przeszkoda, i która ku spełnieniu woli swojej dąży powoli, lecz z niezachwianą stałością.

— Nie będziesz pan mógł żyć długo w tej pustyni, bez towarzystwa ludzkiego, rzekła łagodnie; trzeba tę samotnią porzucić.

— Niestety! pani — wiész — odpowiedział z goryczą, jakie przesady dzielą mnie od kasty, do której należysz wychowaniem i wyobrażeniami.

— Tak, tutaj, ale we Francyi? pan we Francyi zamieszkaż — nieprawdaż?

Wstrząsnął głową i odrzekł:

To najgorętsze moje życzenia, najpiękniejsze marzenia moje; ale czuję, że i tam nie byłbym szczęśliwy.

— Mój Boże! Dla czegoż rozpaczać tak o przyszłości i o wszystkich nadziejach szczęścia, jakie przedstawia życie! Ja więcej mam odwagi i silnej woli do pana. Interesa majątkowe zmusiły mnie przyjechać tu. Pan de la Rebellière mój opiekun powołał mnie, musiałam być posłuszną; lecz pełnoletność moja się zbliża, zdecydowaną jestem odjechać, i odjadę. Wiész pan co? Chętnie przypomnielibyśmy sobie we Francyi naszą znajomość, w tym kraju dzi kim zrobioną. Nieprawdaż — pan odwiedziż mnie w Paryżu?

W chwili rozstania przyrzeknij mi to pan solennie.

Wszystko powiedziała z takim wyrazem przyjaźni szczeręj i prawdziwój, że Domicjan zawołał ujmując rękę, którą podała mu młoda dziewczyna.

— Tak, w Paryżu za rok może. Tą nadzieją tylko żyć będę.

W kilka chwil potem rozstali się, on smutny, ona z sercem nadziei pełnem.

— Pan de la Rebellière cały ten dzień przepędził z żoną. Wieczorem poprowadził ją na przechadzkę ku osadzie Domicjana; zatrzymał się ze starym murzynom, rąbiącym drzewo na granicy dwóch posiadłości, i wypytywał go bardzo długo.

Wieczorem przy kolacji, pan de la Rebellière pośród tysiąca fra szek, powiedział następujące wyrazy, nieprzywiązując do nich żadnego znaczenia.

Wiem co to jest ta sąsiednia osada. Niegdyś dobrze była utrzymywana, lecz teraz potrzebaby ze stu murzynów, aby przynosiła jakie dochody. Dostała się temu mulatowi, który zapewne nie ma legalnego prawa posiadania jęj. Wiem co on za jeden — rząd nie dość czuwa nad takimi ludźmi.

Ach! dobry Boże! panie! przerwała Cecylja, skoro nie szkodzą nikomu, można ich zostawić w pokoju.

Eleonora nie odpowiedziała — obecność męża, który jak cień jęj nieopuszczał, przyprowadziła ją do rozpacz, lecz bała się go i potrafiła ukrywać swoje uczucia. Cecylja była zamyśloną, ale spokojną.

— Kiedy jedziemy panie? zapytała swego opiekuna.

— Jutro wieczór, księżyc świeci, podróżować będziemy w nocy.

Wieczór zeszedł smutno, rozeszli się wczesnie.

Skoro pani de la Rebellière została sama z mężem w sypialni, powiedziała:

— Nic mi się spać nie chce, poczytam trochę.

— Wszedł z nią do pokoiku obok sypialni, niemającego drugiego wejścia.

— Nie warto czuwać po nocy, rzekł — rozchorujesz się drogą duszko, dziś w wieczór znajduję cię bardzo mizerną. Dbaj też więcej o swoje zdrowie.

— Pocałował ją w rękę — ona zaś skinieniem głowy życzyła mu dobrej nocy. W kwadrans potem spał już na dobre. Skoro młoda kobieta została sama — odetchnęła, płakała. Ileż łkań wy dobyło się z jęj piersi, ile słów tkliwych, słów miłości wymówiły jęj usta! Napawała się łzami swojemi, tysiąc razy wołała Domicyjana; wyczerpała boleść swoją, przez gwałtowność swoich uniesień. Następnie próbowała pisać, aby tylko ulżyć sercu, ale trudność wyrażenia myśli zatrzymała ją na pierwszym słowie. Jak w ogóle wszystkim kreolki, Eleonora zaledwie pióro trzymać umiała.

Trochę przededniem, pan de la Rebellière, obudziwszy się zająztał do sypialni żony i postrzegł, że się jeszcze nie położyła. Wówczas został cichutko, aby zobaczyć co robi. Eleonora usnęła z głową opartą na stole. Ręka jęj trzymająca pióro spoczywała na wielkim arkuszu papieru, zagryzionym cyframi, sercami, w których imię Domicyjana dwadzieścia razy było napisane. Pan de la Rebellière widział to wszystko przez ramię żony, przy świetle gasnącej lampy.

Blady, z oczyma obłąkanemi, zaciśniętymi zębami, machinalnie sięgnął po nóż, który zawsze u boku nosił, lecz który

zdział rozbierając się. Nagle zabłysła mu myśl innej straszliwszej zemsty.

— Och! wyszeptał wracając do łóżka, ten człowiek jest mulatem! Mogę go kupić i zabić w jej oczach, pod batami dozorey.

IV.

Nazajutrz pan de la Rebellière, z żoną i wychowanicą opuścił Wody gorące, a odprowadziwszy je tylko do mieszkania, pod błahym jakimś pozorem wyjechał do Fort-Royal. Młoda kobieta sądziła, że chodziło o jaki ważny administracyjny interes — i nie zdziwiła się wcale tym nagłym odjazdem męża. Jeneralny gubernator wysp Antylskich, pan de Fenquières poślubił bliską krewną pana de la Rebellière, stosunki ich były serdeczne, przyjacielskie, a zgodność charakterów i wspólność interesów, jeszcze ściślej tych dwóch ludzi łączyła. Nie cofali się przed żadną zbrodnią, nie wybierali środków, skoro chodziło o utrzymanie się przy władzy i pozbycie jakiego nieprzyjaciela. Pan de la Rebellière właściciel milionowego majątku, jakkolwiek niskiego bardzo pochodzenia, przez ożenienie spokrewnił się z najznakomitszemi rodzinami w Martynice. Był szefem gminy Karbetu, w której leżały jego posiadłości, urząd ten dawał mu bezpośrednio, nieograniczoną władzę; wszelkie nadużycia bezkarnie, chociaż pokrzywdzeni apelowali do rady uchodziły mu zostając pod zwierzchnictwem gubernatora.

Czas nieobecności męża był dla Eleonory czasem wytchnienia; mogła przynajmniej płakać swobodnie; nikt nie wypytywał jej o powody smutku, bezsenności, szczególnego sposobu życia, jakie teraz wiodła. Nic nie mogło ją wyrwać z odrętwienia, w jakie popadła; cały dzień leżała w hamaku, z zamkniętymi oczyma, zaciśniętymi dłońmi, nieruchoma i milcząca jak posąg; z nadejściem nocy, skoro wietrzyk pachący i świeży — powiewał od strony pomarańczowego lasku, wychodziła na taras, i często przesiadywała tam aż do rana.

Cecylja do pewnego stopnia podzielała to życie nudne, bezczynne, smutne i pełne goryczy, lecz — ona przynajmniej mając

przed sobą przyszłość, swobodną, niezmienną, pełną nadziei i projektów, marzyła o niej, podczas gdy młodą kobietę trawiły nudy i rozpacze.

Obie zajęte głębokiem uczuciem, nie zważały na siebie wzajemnie, i nie zdradziły tajemnicy swojej. Jedna żywa i namiętua, nauczyła się ukrywać uczucia i wrażenia swoje przed badawczem nieufnym okiem męża; druga czysta i dumna — milczała, gdyż starała się pozyskać jej zaufanie.

Pierwszego dnia wszakże, gdy same były w galerji, Cecylja zbliżyła się cicho do pani de la Rebellière, bladłej, z czołem opartem na dłoni, — podobnej do jednego z tych posągów, które stawiają na grobach.

— Moja droga Eleonoro — rzekła, od dzisiejszego poranku jesteś jak osoba nie należąca już do tego świata! Mój Boże! cóż ci jest takiego.

Zły były odpowiedzią pani de la Rebellière, która nie mogąc udawać spokoju dłużej, ukryła twarz swoją w objęciach Cecylii, i zawołała łkając:

— Gdybyś wiedziała ile cierpię!..... Mój Boże co za życie! co za okropne wiodę życie.

— Nie mów tak! nie mów, odpowiedziała młoda dziewczyna, przyciskając do piersi tę śliczną głowę z rozpuszczonymi włosami, przesadzasz, do olbrzymiej potęgi podnosisz twoje nieszczęście, moja biedna przyjaciółko; prawda, że pan de la Rebellière szczególniejszym sposobem cię kocha, że nadużywa często swojej władzy — przyznaję, ale spodziewam się, że pozyskasz jego zaufanie cierpliwością i łagodnością. Zrozumie wreszcie, że jesteś kobietą rozumną, niezdolną zapomnieć o raz przyjętych obowiązkach, że nie potrzebujesz być strzeżoną jego zazdrością — i pozwoli ci uczęszczać w towarzystwach. Miej odwagę i w dobrą przyszłość nadzieję.

Te słowa proste i rozsądne onieśmieliły panią de la Rebellière, która już miała wyznać Cecylii swoje uczucia — upadła na miękkie adamaszkowe poduszki i odpowiedziała trochę spokojniej.

— Moja dobra Cecyljo, cierpię, jestem chora, i dla tego płaczę; smutne mnie dręczą przeczucia, i zdaje mi się, że wkrótce umrę — oto moja moja tajemnica — oto jedyna przyczyna smutku, w którym mnie widzisz pogrążoną.

— Ach! ja widzę, chorą jesteś z nudów moja droga Eleonoro — Trzeba, żeby pan de la Rebellière sprowadził doktora gubernatora? Napiszę do niego w tej chwili.

— Niechę — niechę — on nic mi nie poradzi. Czas tylko jeden może mnie uzdrowić.

— Gdyby przynajmniej pan de la Rebellière powrócił. Znalazłszy cię tak smutną i cierpiącą, bezwątpienia zawiózłby cię do Saint Pierre. Tam rozerwałabyś się i ożyła trochę.

Pani de la Rebellière wstrząsnęła głową.

— Dziwna rzecz jednakże..... rzekła po chwili namysłu, nie-pojmuję co zatrzymuje tak długo męża mego w Fort-Royal — ważne i pilne interesa wymagają jego obecności tutaj; po jutrze będziesz pełnoletnią droga Cecylko, musi ci zdać rachunek z opieki.

— Och! ja się nie śpieszę korzystać z mojej pełnoletności — bąde czekała, póki tylko zechce.

— Wié o tem, i zapewne dla tego nie śpieszy się z powrotem. Dla czegoż nas nie zostawił u Wód gorących?! Ja zdrową tam byłam i ty także droga Cecylko. Uważam, żeś bardzo pobla-dła od naszego powrotu.

— Prawda, daleko nam przyjemniej tam czas ubiegał, — odpowiedziała młoda dziewczyna — siadając przed krosienkami i schylając się nad haftem, aby ukryć rumieńce, które na jej białych przed chwilą licach, jak dwie krwawe plamy się rysowały.

Jednakże w końcu tygodnia, pani de la Rebellière naprawdę się dziwiła, że mąż jej nie daje nawet znaku życia; nie przypuszczała, aby ją odgadł, i do tego stopnia potrafił gniew swój ukryć — pokazać się spokojnym i wesołym, żegnając ją. Zresztą pragnąc, aby nieobecność męża potrwała jak tylko można najdłużej, nie pi-sała nawet do niego — aby śpieszył się z wowrotem.

Nakoniec dziesiątego dnia w wieczór pan de la Rebellière przyjechał podczas kolacyi; z łoskotem wbiegł do galeryi, rzucił szpic-różgę i kapelusz i witał żonę z radością i pośpiechem.

— Przyjechałeś nakoniec rzekła wstając, ze źle udanem ukontentowaniem. Dobry Boże! gdzieżeś to był tak długo? Tysiące przypuszczeń robiliśmy z Cecylją co do twojej nieobecności.

Usiadł pomiędzy dwiema kobietami, i uśmiechał się z tak dziwnym wyrazem, że spoglądały na siebie zdziwione, nieśmiejąc go zapytać. Po chwili milczenia pan de la Rebellière rzekł wolno.

— Zrobiłem wyprawę, która, mam nadzieję, wielce będzie korzystną dla spokojności całej osady kolonii. Niestety władza nie czuwa nad tem co się dzieje w posiadłościach odleglejszych; to też tracimy coraz więcej naszych przywilejów.

Po tym wstępie, kobiety zrozumiały, że się coś nadzwyczajnego stało; wiedziały z jaką surowością i okrucieństwem karano

za najmniejszą niesubordynację, najmniejszy domniemany nawet bunt, niewolników.

— Na imię Boga! panie nie mówmy o tém, rzekła Eleonora, nie lubię takich opowiadań, trwoga i boleścią zawsze mnie przejmują. Wiem, że potrzeba karać winnych, ale niechęć słuchać okropnych szczegółów, od których włosy na głowie powstają.

— Ta razą niema nic takiego, coby dotknęło czule two serce, nie chodzi tu ani o szubienicę, ani o stos gorejący, odpowiedział zimno pan de la Rebellière; trzeba tylko było ująć kilku nędzników, którzy błakali się bez pana, i mogli wielkie szkody wyrządzać w sąsiednich posiadłościach. To mnie interesowało, szczególnie przez wzgląd na dom, który posiadamy u Wód gorących: skoro ci się pobyt tam bardzo podoba, chciałem, abys zupełnie bezpieczną i spokojną była w téj pustyni. W tym celu trzeba cię było uwolnić od niebezpiecznego sąsiedztwa: osada *d'Enambuc* była schronieniem zbiegłych murzynów, mulatów — czy podobna tolerować dłużej tych zbrodniarzy.

Pani de la Rebellière zbladła śmiertelnie, oparła się na stole, ściskając czoło rozpalonemi rękoma. Cecylja zadrżała, lecz miała dość siły, by zapanować nad sobą, i zapytać zupełnie spokojnym i obojętnym głosem.

— Cóż się tam stało? Naprawdę, zdaje mi się, że pańskie obawy są przesadzone. W czasie pobytu naszego u Wód gorących, wszystko było spokojnie w okolicach, również mieszkańcy osady *d'Enambuc* zachowywali się ciągle uczciwie bardzo i porządnie.

— Ponieważ nie zdarzyła im się dogodna sposobność do rozpoczęcia złodziejstw i łupieztw — szczęściem zapobiegliśmy tym nieszczęściom. Gubernator porozumiał się zenną, w celu ujęcia tych nędzników, ja zaś, jako szef gminy Karbetu kierowałem tą wyprawą. Wszystko odbyło się legalnie. Ponieważ ostatni z właścicieli osady *Enambuc* umarł bezpotomnie, wyrokiem sądu posiadłość jego ogłoszono wakującą. Bez zwłoki udałem się na miejsce, z komornikiem, który miał zająć meble, sprzęty i niewolników.

Wzięliśmy z sobą pięćdziesięciu milicjantów — aby ci, w razie potrzeby, zbrojnej nam udzielili pomocy, gdyż wiedzieliśmy, że jest w osadzie kilkudziesięciu murzynów i jeden mulat, który nie jest ich panem, lecz wodzem. Ty słyszałaś o nim droga Eleonoro. Na imię mu Domicjan.

Odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

— I cóż — i cóż dalej się zrobiło — wyjąkała Cecylja.

Ah! to cała historia. Pochód nie trwał długo, śpieszyliśmy się — trzeba przyznać. Raniutko przybyliśmy do Wód gorących, a gdy ludzie jedli i wypoczywali, poszedłem na rekonesans. Koło godziny dziewiątej, w jedną z najciemniejszych nocy, dom był otoczony — w towarzystwie komornika i woźnego zapukałem do drzwi, rozkazując w imieniu króla i prawa, aby otworzono natychmiast. Natychmiast wyszedł mulat, a za nim murzyni. Kazałem mu przeczytać rozkaz gubernatora i wyrok sądowy, i aresztować wszystkich tych nędzników. Opierali się z razu. Wówczas rozpoczęła się bitwa, strzelaliśmy z fuzyj, murzyni się poddali, ale mulat bronił się z rozpaczliwą wściekłością, sądziłem, że nie ujmiemy go żywym. Nareszcie związano go.....

Ale ten człowiek nie jest niewolnikiem, któż ma prawo do niego, przerwała Cecylja.

Jakie prawo?..... Prawo zapytania się co on za jeden, dla czego mieni się wodzem, jakie przywileje? A ponieważ nie ma żadnych praw — przywilejów żadnych, sprzedać go jak niewolnika. Takie jest prawo. O! kodex czarny dokładnym jest — Rozumiesz teraz Cecylko?

Młoda dziewczyna schyliła głowę, aby ukryć swoje oburzenie i rozpacz; pan de la Rebeltere znowu mówić zaczął.

W przyszlą Niedzielę po summie ten człowiek sprzedanym będzie przez licytację, przed kościołem w Saint - Pierre; dostanie się najwięcej dającemu.

— A tymczasem cóż pan z nim zrobisz? Gdzie jest? pytała Cecylja.

— Jest tutaj w kazamacie. To człowiek zuchwały, gotów na wszystko. Nie powierzył bym go zwyczajnym stróżom więziennym. To zbójca.....

— Ponieważ jest do sprzedania, mam chęć go kupić, rzekła po chwili namysłu Cecylja — tym sposobem oszczędziłabym panu kosztów licytacji — dodała, jakby nieprzywiązując do téj propozycji wielkiego znaczenia. Recz już ułożona — ten mulat do mnie należy.

— Moja śliczna pupilko, to być nie może, odparł żywo pan de la Rebelliere, przeciwiwam się temu.

O! rzekła, zmuszając się do śmiechu, gdybym jednakże chciała koniecznie? Jestem pełnoletnią — już mi pan nie możesz powiedzieć przeciwiwam się temu.

— Zartujesz.

— Ale nie — ja nie żartuję, przysięgam panu!

— Mówmy serjo — cóż byś robiła z tym mulatem. To łajdak, głupiec, zanadto jesteś dobrą, abyś go mogła poskromić. On mnie znieważył, chcę go ukarać — muszę, tak muszę go ukarać — i odwracając się do żony, rzekł z przyciskiem:

— Przysięgłem, że umrze pod batami dozorczy!

Eleonora zadrżała, na czoło jej wystąpił pot zimny, bliska była omdlenia, albowiem w téj chwili zrozumiała, że mąż ją odgadł, że się wszystkiego domyślił.

— Sądziłem, mówił spokojnie i wolno, że w podróży ten nędznik odbierze sobie życie — usiłował zruć się z konia, do którego go przywiązano, okropnie jest poraniony. Ci ludzie nie boją się Boga, ani wieczności — gotowi są wszystko, nawet odebrać życie.

— Mówisz pan o bojaźni Boga! odparła żywo Cecylja — gdy byś jęj miał chociaż troszeczkę w sercu, obchodziłbyś się lepiej z tym nieszczęśliwym, stworzonym na obraz i podobieństwo jego!

— Otóż to zamorskie przesady! Pozbędziesz się ich po kilku latach pobytu z nami, i dowodnie przekonasz się, że murzyni są bydlęta. Eleonora pod tym względem daleko jest rozsądniejszą od ciebie, nieprawdaz droga Eleonoro, że mam słusność?

— Przepraszam pana, nie wiem — niesłyszałam waszjéj rozmowy, okropną cierpię migrenę. Opuściła głowę na piersi — pan de la Rebelière powstał śpiesznie.

— Jesteś zmęczoną droga przyjaciółko, rzekł, kładąc rękę na ramieniu żony, chodź się położyć.

Wstała, i wolnym chwiejącym krokiem powlekła się ku drzewom. Już w progu obróciła się do Cecylii, która blada i zmieszana siedziała jeszcze przy stole — obie zamieniły spojrzenia pełne trwogi i litości. Pan de la Rebelière podał rękę żonie i wprowadził ją mówiąc:

— Chodźmy — droga Eleonoro — oprzyj się na mnie, taka jesteś bledziutka. Widząc ciebie tak mizerną, z niczego się nie cieszę.

Pani de la Rebelière uśmiechnęła się gorzko, i odeszła ze spuszczoną głową, zaciśniętymi dłońmi, jak ofiara skazana na śmierć. Domniemywała się, że mąż jakimś fatalnym trafem, dowiedział się o jęj stosunkach z mulatem, że odgadł namiętność, którą nosiła głęboko ukrytą w sercu; ale wiedziała, że zabiłby w jęj oczach Domicjana, nieuczyniwszy jęj ani jednéj wymówki. nieodkrywszy jęj powodu téj okrutnéj zemsty. I ona także ukryła swoją nienawiść, jak ukrywała swoją miłość, i zamknęła w najskrytszych tajnikach duszy łyzy swoje, przekleństwa i trwogi.

Cecylja wyszła na taras — potrzebowała świeżego powietrza. Obróciła twarz swoją ku stronie, z której chłodny wiatr powiewał, odetchnęła swobodniej, bo mogła płakać nareszcie. Stopniowo uspokoiła się trochę, i poczęła rozważać, czliby niemogła zaradzić téj smutnej ostateczności. Była już północ: księżyc, którego ostatnie białawe promienie oświecały horyzont, tylko co zniknął za górami; wielkie chmury pędzone wiatrem zbierały się nad Cyplami Karbetu, z których niekiedy wytryskały ogniste smugi czerwonego światła. Wszyscy spali w domu, w lepiankach murzynów, w polach i lasach. Noc stawała się coraz ciemniejszą, jednak rozróżnić można było w pośród alei palmowej mały kwadratowy budynek, dotykający jedną ścianą młyna, drugą cukrowni.

On tam jest! szeptała Cecylja — sam jeden, opuszczony, zgnębiony, pogrążony w rozpacz. Cóż zrobić!... Jak mu poradzę — O mój Boże! jak go ocalę. On umrze ze wstydu i z boleści!...

Płakała długo, oparta o kamienną balustradę, nieodwracając oczów od tego straszego więzienia, gdzie zwykle pan de la Rebellière kazał zamykać niewolników, odważnych, energicznych, przywiedzionych do rozpacz, której skutków obawiał się.

— Pani — rzekła stara Femi, pokojówka Cecylji, zarzucając mantylkę na jéj ramiona — przyjemnie jest tutaj, ale chłód po dniu tak parnym, że psy niechciały zostawać na dworze, szkodliwym jest bardzo na zdrowie. Sądzę, że rozsądniej będzie wrócić do pokoju.

— Wiesz co się stało, przerwała młoda dziewczyna. Pan de la Rebellière uwięził kilku mulatów, chce ich sprzedawać, a pomiędzy nimi jest ten kolonista, który tak gościnnie przyjął nas u siebie, gdyśmy do Wód gorących jechały. Zaciągnęłyśmy względem niego wielkie długie wdzięczności. Gdybym nam nie otworzył swojej chaty, byliśmy przepędzili noc nad brzegiem strumienia, którego fale mogły nas unieść; albo w lesie z jadowitymi węzami, ze zwierzętami dzikimi. Ach! byłabym wtedy umarła ze strachu. Lecz ja nie zapominam nigdy przysług, które mi oddano. Femi! ja chcę ocalić tego człowieka.

— Dałby Bóg, aby jeszcze było na to dość czasu! zawołała murzynka.

— Jakto! przerwała z przerażeniem Cecylja, pan de la Rebellière mnie zwodził? Dziś wieczór powiedział mi, że Domicjan będzie sprzedany w Niedzielę.

— Tak, jeśli dożyje — ale kóżto zaręczy?.... Widziałam jak przyjechał. Zdjęto go z konia sztywnego jak trup; w drodze powtarzał ciągle, że raczej odbierze sobie życie, a nie da się sprzedać.

— Słuchaj Femi — przerwała Cecylja — trzeba, abym dziś w nocy, dziś w nocy koniecznie widziała Domicjana.

— Panie Jezu! a to jakim sposobem, dobra moja pani?

— Pójdę do jego więzienia.

— Ale klucze?... Są w pokoju pana de la Rebelière-

— Pójdę po nie.

— Nie da ich pani.

— A więc! sama je wezmę.

— O Boże! Boże! Pani! wołała przerażona murzynka, klucze są na gierydonie przy łożku, a pan de la Rebelière śpiąc, otwarte ma oczy.

— To nic nie szkodzi, czekaj na mnie tutaj rzekła Cecylja, pójdę po klucze.

— Murzynka wzniosła ręce ku niebu, i cicho odmawiała wszystkie modlitwy, jakich ją tylko nauczono. W pięć minut Cecylja wróciła.

— Chodźmy — rzekła cicho — chodźmy Temi.

— Oddychała z trudnością; w rękach zimnych i drżących trzymała klucze na łańcuszku żelaznym— siły ją opuszczały, lecz nie odwaga. Oparta na ramieniu murzynki, przebiegła szybko ogród, i plac rozległy, w głębi którego była cukrownia. Dozorca i kilku niewolników strzegło tego budynku. Przed północą obchodzili wszystkie zabudowania, potem mogli już spać do świtu; lecz za najmniejszym szelestem obowiązani byli wstawać i wychodzić z nabitemi fuzjami. Cecylja wiedziała, że niepodobna rachować na ich sen twardy, to też zapukała lekko do drzwi, wołając półgłosem.

— Otwórz Michale, to ja, panna de Kerbrau.

Odsunięto zasuwę, wysoki murzyn z latarnią uchylił drzwi i zawołał zdziwiony. Pani tutaj! o tej godzinie....

— Tak, to ja — widzisz przecie dobrze; że to ja jestem z Temi. Oto masz talara dla siebie. Nie rób hałasu; a pożycz mi na kwadransik latarni— i na duszę twoją nie mów przed nikim żem tutaj była dziś w nocy.

Murzyn wziął talara, przypatrując mu się zdziwiony. Temi tymczasem wyjęła mu z rąk latarkę.

— Ty się nie ryzykujesz wcale, mówiła, bądź spokojnym, ja tutaj postoję na straży.

Kazamata w osadzie de la Reebelière była rodzajem dołu, po nad którym wybudowano drugie więzienie, mniej okropne jak dolne, bo przynajmniej powietrze i światło dochodziło doń wąskim okienkiem. Obydwa więzienia rzadko kiedy były próżne, i nigdy nie

zdarzyło się, aby ktokolwiek z nich uciekł; to też pan de la Rebellière ufał więcej grubym murom, mocnym i skomplikowanym zamkom, jak czujności straży.

— Zostań tu, rzekła Cecylja do swojej murzynki, zatrzymując się na progu, zostań i uważaj, aby dozorca nie przyszedł zobaczyć gdzie jestem.

Wzięła latarnię i pewną otworzyła ręką. Nikogo nie było w górnym więzieniu. Cecylja zszedłszy z kilku schodków, zobaczyła drugie drzwi żelazem okute. Potrzeba było z dziesięć minut, zanim otworzyła te straszne zamki i kłódki, nakoniec zardzewiałe zawiasy skrzypnęły, i młoda dziewczyna, blada ze znużenia i trwogi, weszła do komnaty. Domicjan był tutaj, grubemi sznurami przywiązany do słupa podtrzymującego sklepienie. Podniósł głowę i wydał krzyk przytłumiony, poznawszy Cecylję. Ona schyliła się ku niemu, dotknęła się tych grubych sznurów, których ściśnięte węzły kaleczyły go, a rzuciwszy okiem na jego obnażone ramiona, pokryte ranami — zawołała z boleścią:

— O Boże! ci ludzie go bili.

Widok ran zadanych kulą, sztyletem, nie tyle byłby ją przeraził, zasmucił, gdyż rozumiała i pojęła, że nad sromotą, nad zniewagami wyrządzonemi, najwięcej bolała dusza nieszczęsnego więźnia. Ujrawszy tyle nieszczęścia, tyle poniżenia — w sercu jej obudziło się większe, świętsze, wznioślejsze uczucie, jak miłość, uczucie sprawiedliwości i szlachetności. Przysięgła sobie w duszy, bronić tego biedaka, stanąć pomiędzy nim a katem, wydrżać go z rąk nielitościwych, które go znieważyły. Uklękła przy Domicjanie i płakała długo nad jego ranami, jakby płakała nad słabem, opuszczonym dzieckiem, nad biedną, chorą kobietą. A on nieprzytomny, prawie omdlewający, zwracał ku niej twarz zalaną łzami i szeptał:

— A więc to panią — panią ujrzałem przed śmiercią. Och! niespodziewałem się tego szczęścia!

Zaiste — dziwną była ta scena. Młoda dziewczyna tak piękna, tak szlachetna, tak bogata, klęcząca na wilgotnej podłodze tej obrzydliwej kazamaty, przy nieszczęśliwym, którego głowa skłaniała się na jej ręce białe. To wszystko podobnym było do snu, do wizji jakiejś.

Mulat prawie tracił przytomność.

— Mój Boże! mój Boże! wołał — ja panią widzę — pani na mnie patrzysz — a jednakże jeszcze watpię.... Mów pani do mnie, niech się upewnię, niech się przekonam, że to ty naprawdę obok mnie jesteś. Och! to szczęście wielkie — a potem — śmierć.

— Nie — rzekła, ocierając chustką zimne i wilgotne czoło mulata — nie, ty nie umrzesz Domicjanie, ja nie dla tego przyszłam tutaj, aby ci dozwolić umierać. Słuchaj jeszcze, tylko chwilę tu pozostanę, i nie będę mogła powrócić. Zanim się rozstaniem, trzeba, abyś mi przyrzekł — przysiągł — że nie będziesz godził na twoje życie, że poddasz się swemu losowi.

Odsunął się i zawołał z głuchym jękiem :

— Losowi niewolnika!

— Tak — ale ja tam będę, ja ciebie ocale. Chcesz mi powierzyć twoje życie Domicjanie?

— Tak, moje życie, moją duszę, honor mój — wszystko!

— A więc — w Niedzielę, bez oporu pozwolisz się zaprowadzić do Saint - Pierre, pozwolisz się sprzedać.....

Zrozumiał ją i odwrócił oczy. Nadzieja, którą powziął, zmieszana była z uczuciem niewypowiedzianego wstydu i wdzięczności.

— To jedyny sposób ocalenia cię, zaczęła znowu Cecylja — nie podobna ztąd uciekać, niechybnie byłbyś ujętym; a może.....

— Ani od niesławy! przerwał z rozpaczą.

Niesława, spada na tych, którzy popełniają takie nieprawości — których nienawidzę..... którymi pogardzam! Ale ty Domicjanie w moich oczach jesteś zawsze tym samym czem byłeś, kilka dni temu nad brzegiem strumienia, przy drzewach manselisowych, kiedy wymogła na tobie obietnicę, że mnie odwiedzisz we Francji. Bóg mi świadkiem, że dziś, jak i wtedy, widzę w tobie przyjaciela, najdroższego może na całej ziemi. Widzisz przyszłam umyślnie, aby ci to powiedzieć.

Swemi skrepowanemi rękami uścisnęła delikatne ręce Cecylji i odpowiedział z głębokim wzruszeniem :

— Rozządzaj mną, losem moim. Od téj chwili jestem prawdziwym twoim niewolnikiem.

— Przysięgasz mi więc, że spokojny przebędziesz tę straszną scenę. Pan de la Rebellière tam będzie, nie drażnij wyrzutami, pogroźkami....

— Ale jakimże sposobem ściągnąłem na siebie dziką nienawiść tego człowieka? Dla czego te prześladowania, te nieprawości, których stałem się ofiarą? Któż go przeciwko mnie podburza.

— Bojaźń — bojaźń egoistyczna, okrutna. Pan de la Rebellière chce tylko widzieć w kolonjach panów i niewolników. W tobie widział człowieka niebezpiecznego. Mój Boże! cóż się to stało, że żadnem prawem wolności nie mogłeś się usprawiedliwić?

— Ależ ja wolnym, pewnie wolnym jestem — przez ten przywilej, który udarowywa każdego, który był we Francyi, gdzie nikt nie jest niewolnikiem. Protestowałem głośno przeciw nielegalności mego uwięzienia. Lecz do kogóż mam apelować przeciw temu okropnemu nadużyciu władzy? Do Rady? Do gubernatora? Nie obronią przeciw panu de la Rebelière.

— Ja — ja ciebie ocaleę, a teraz bądź zdrów, bądź zdrów Domicjanie!

Umilkła nagle i z przestraczem obejrzała się na wszystkie strony, gdyż zdawało jej się, że słyszy jakieś lekkie tarcie. Lecz widziała tylko mur czerniały, na który latarka słabe rzucała światło. Zdawałoby się jednak, jakoby świeższe powietrze wpłynęło do podziemia, przez okienko okrągłe opatrzone czterema żelaznymi kratami. Ten ciasny otwór przepuszczał zaledwie tyle powietrza, aby więzień się nieudusił, a wychodził na ściek, gdzie nie dochodził ani jeden promyczek światła.

— To nic, rzekła uspokojona, wiatr tylko zawiął. Straszna zbiera się burza. Trzeba, abym wracała, abym wracała natychmiast. Gdybyś wiedział na com się odważyła, aby przyjść do ciebie!... Zostawiam cię spokojnym, pocieszonym, nieprawdaż Domicjanie?

Popatrzył na nią — nieokreślony jakiś wyraz ożywił tę twarz szlachetną: uśmiech, odbłysek radości przebiegł po drżących jego ustach — i pocałował ręce, które Cecylja wyciągnęła ku niemu. W minutę potem, widzenie znikło.

Cecylja śpiesznie wracała do domu. Burza już miała wybuchnąć, błyskawice wskazywały jej drogę. Drżąca i przerażona weszła do pokoju pana de la Rebelière. Lampka nocna rzucała blade migotliwe światło. Młoda dziewczyna położyła klucze na stoliku, przy lampce. W tej chwili piorun zatrzęsł domem całym. Pan de la Rebelière nagle się zbudził, a widząc cień rysujący się na murze, zawołał przelekniomy.

— Kto tu?

— To ja, odpowiedziała zbliżając się Cecylja. Grzmi — boje się bardzo. Przyszłam prosić Eleonory o relikwje, świętego Fulgentego.

— Które nie przeszkadzały piorunowi dwa razy w dom nasz uderzyć — mruczał pan de la Rebelière, niczego się niedomyślając.

Eleonora wstała, wylekła, drżąca; zdjęła małe ramki wiszące na ścianie, i oddając je Cecylji zawołała:

— Cóż za czas! Najświętsza panno! Czy to już koniec świata. Trzeba się modlić.

Młoda dziewczyna odeszła, a pani de la Rébelière uklękła za gazowemi frankami łóżka, i tak nieruchoma, w białźnie tylko, przekłęczała do rana.

V.

Po odejściu Cecylji, Domicjan był jak człowiek, który miał widzenie z innego świata. Słyszał jeszcze ten głos dźwięczny, melodyjnie szepejący słowa współczucia pociechy; uściśnienie tych rąk delikatnych, goiło jego poranione ręce, a czyste tchnienie chłodziło rozpalone czoło.

Boże mój! wołał z uniesieniem — Boże mój! jakżem szczęśliwy.

— Niktby jednakże niechciał być na twojem miejscu — odrzekł z cicha głos jakiś.

— Co to jest? Kto tu? zapytał zdziwiony.

— Palem — odpowiedział głos — panie! przychodzę cię ocalić. Och. Och! zatrzymałem się trochę, gdyż nie sam tu byłeś, tylko co —

— Zkąd przychodzisz? Gdzie jesteś?

Kraty okienka jedne za drugimi wypadły i Palem wszedł czołgając.

— Oto jestem. Chcę z panem pomówić, lecz najprzód trzeba, aby widno było. Sądziłem, że przynajmniej zostawią panu latarkę.

Cicho, cicho, przerwał mulat, i na duszę twojego ojca — nie mów nigdy co tu słyszałeś. Lecz jakimże cudem dostałeś się tutaj?

Palem rozniecił ogień z suchych gałązek, które przyniósł z sobą, i usiadł w kucki przed Domicjanem:

— Michał dozorca — rzekł — śpi dzisiaj jak zabity, nie obawiamy się więc, aby usłyszał — największy hałas nawet.

— Ale jakże przyszedłeś tutaj?

— Piwnicą najprzód, potem ściękiem. Znam dobrze drogę. Pewnego razu długo siedziałem w tój kazamacie, przepiłowałem wówczas kraty żelazne, aby się ocalić. Ty będziesz z tego korzystał....

— I tędy uciekłeś Palemie? przerwał Domicjan.

— Eh nie! jakże to możesz przypuszczać panie? Gdybymył uciekł z tego więzienia, byliby naprawili kraty, zanim cię tu wprowadzili. Lecz o to teraz chodzi — najprzód rozetnę krepujące cię sznury, a następnie cichuteńko wyjdziemy tędy.

— Dzięki Palemie! dzięki za dobre twoje chęci, lecz nie mogę uciekać ztąd — to niepodobna.

— Niepodobna! dla czego?

— Ponieważ w krótcie ujętoby nas. Milicja, straż marszałkowska, natychmiast puściłaby się w pogoń za nami.

— Ach! skoro tylko uciekać będziesz z Palemem, nie złapią cię; ja zaręczam. Widzisz, od Wód gorących aż dotąd ciągle szedłem za Tobą — nieraz o sto kroków tylko byłem od milicji. I cóż! czy mnie ujęto, czy aby jedna kula pana de la Rebelière dotknęła mnie. Mam wielu przyjaciół w tój osadzie, ukryjemy się w polu zasadzoném trzciną cukrową, przyniosą nam jeść, a jutro po zachodzie księżycy, dostaniemy się w góry.

— Dałby Bóg, abyś do nich powrócił, zdrów i cały jak przyszedłeś mój biedny Palemie, lecz mówię ci raz jeszcze, strażę są baczne.

— To i cóż szkodzi... mam dwa noże: tobie dam jeden, przynajmniej nie wezmą nas na żywych. Cóż to wielkiego umierać!

— Cierpienia moje wkrótce się skończą, mam błogą nadzieję.

— O! dobry mój panie! pan de la Rebelière jest nieubłagany, serce jego niezna litości.

— Ja też nie w nim pokładam nadzieję.

Palem wrzucił ramionami, i po chwili milczenia rzekł.

— Nie chcesz więc uciekać? Rozumiem, powiedziano ci: zostań tutaj! i ty zostajesz. Lecz szalonym jest ten, kto ufa słowom kobiety białej....

— Odejdź Palemie, i niechaj Bóg opiekuje się tobą! Zapewne dzień już niedaleko — odejdź, odejdź jaknajśpieszniej....

— Nic mnie nie nagli. Ale ty chcesz tu pozostać? Jakie zaślepienie! Wieszże jak biali dotrzymują słowa! Lecz ja powrócę... jeżeli cię oszukano, jeśli pod dozorem Michała pracować będziesz w plantacjach trzciny cukrowej; wtedy.... och wtedy! nie będziesz potrzebował żądać mojej pomocy; wiem co zrobię wówczas — trzeci-

ny są suche, i rzuciwszy kawałek zapalonéj gałązki... śliczny wyprawie fajerwerk mieszkańcom osady de la Rebelière!

— Zabraniam ci najsurowiej zrobić to Palemie. Co za zemsta! Dotknęłaby ona najwięcej biednych murzynów; kazano by im dniem i nocą pracować, aby odzyskać stracone zbiory.

— A więc — mogę jeszcze tak zrobić, aby wszyscy biali w osadzie pomarli jednej nocy, zjadłszy razem kolacją....

— Na duszę twoją zaklinam cię, nie myśl o tych strasznych zbrodniach Palemie! Gdybym spotkał pana de la Rebelière, uzbrojonego, w lesie, nie wiem — być może, nie wyszedłby więcéj z niego.... Tak! zabiłbym go z pewnością,.... Ale te kobiety..... niech przeklętym będzie ten, któryby śmiał im szkodzić. Uważałbym go za śmiertelnego nieprzyjaciela.

— Tak, więc nic nie mogę zrobić dla ciebie, rzekł smutnie Palem. W takim razie uciekam, uciekam daleko, w góry: Bądź zdrów dobry panie! zapewne nie ujrzem się więcéj....

Umilkł, i zagasił swoją palącą się gałązkę, aby w ciemności Domicjan nie dostrzegł łez, obficie płynących po brunatnych jego policzkach.

— Niechaj Bóg opiekuje się tobą, mój poczciwy Palemie! rzekł więzién z głębi serca.

— Raz jeszcze bądź zdrów.

Nazajutrz rano, pan de la Rebelière wstał w uroczystym humorze, jakaś radość, na którą aż przykro było patrzeć, zajaśniała w szarych, maleńkich jego oczach.

Zdawał się niepostrzegać smutku żony, lecz nietracąc jéj z oczu, z pewnym rodzajem przesady siadał zawsze pomiędzy nią, a Cecylją.

— Moja piękna! rzekł przy śniadaniu, w Niedzielę zawiozę cię do Saint - Pierre. Będziemy razem na téj licytacji — wiesz? Kupię kilku tych mulatów. Cecylii nie proponuję, aby nam towarzyszyła, gdyż obawiam się, aby zanadto na moją szkodę nie posuwała licytacji — wiem, że ma chęć wielką kupić tego mulata.

Wszystko to powiedzianém było toném dobroduszno - szyderskim.

— Mój Boże! rzekła Cecylja obojętnie, ja nie koniecznie przy swoim obstaję. Jeśli masz pan chęć kupić, kup go, chociażby nawet za darmo.

— Naprawdę, za tysiąc dwieście liwrów będzie przepłaconym. Gdyż potrzeba bić go bardzo i długo, zanim przyzwyczai się do pracy.

W tój chwili pani de la Rebellière załżała się łzami. Nie mogła już wytrzymać dłużej — serce pękało jęj z bólu.

— Cóż ci to droga duszko? zapytał pan de la Rebellière — płaczesz jak Magdalena. Napij się wody.

— Boże mój! zawołała Cecylja, zbliżając się do młodej kobiety, cierpisz, jesteś chorą! cóż zrobić, aby ci pomódz.

— Nic — nic droga Cecyljo, odpowiedziała, starając się uspokoić. Chorą, tak, bardzo chorą jestem.

— Patrz, rzekł pan de la Rebellière, zbliżając się ku tarasowi — oto nadchodzi ktoś, który rozproszy twoje smutne myśli — Pelagja — z całym swoim kramem. Moja droga przyjaciołko! zapewne kupisz co u nięj!

Wysoka murzynka, dość dobrze ubrana, ukazała się na progu, z kuferkiem w jednęj, a dużą paczką w drugięj ręce. Była to jedna z tych handlujących, które chodziły od osady do osady, roznosząc swoje towary.

— Panie! rzekła, mam piękne madrasy, śliczne kitajki, mam klejnoty złote i srebrne, cudne różańce i rękawiczki z hiszpańskięj skórki.

— Wejdz! zawołał pan de la Rebellière, zobaczemy te piękne rzeczy.

Murzynka rozłożyła swoje towary. Przychodziła tutaj często, a zawsze pani de la Rebellière przyjmowała ją z radością próżnego dziecka, któremu pozwalają zaspokoić najdziwaczniejsze fantazje i zachcenia. Ale tą razą, młoda kobieta była smutną i obojętną na widok tych pięknych gałganków.

— Patrzcież panie, rzekła Pelagja, klękając na macie przed dwiema kobietami — oto prawdziwie śliczne i gustowne rzeczy. I zaczęła wychwalać swoje towary, wyliczając zalety każdego. Cecylja zaraz odeszła, pani de la Rebellière niby słuchała z uwagą.

— Dobrze Pelagjo. rzekła nagle, jakby obudziła się ze snu: przysuń trochę twoje pudełko z biżuterjami, chcę wszystko widziēć, a wiele kupować.

— Kupuj pani wszystko co się jęj podoba, rzekł pan de la Rebellière. Chcę, abyś w Niedzielę ukazała się w Saint - Pierre piękna i wystrojona. Nie należę do tych mężów skąpych, którzy gniewają się na kupcowe.

— Zobaczmy, czy kolor tęj materji zgodzi się z kolorem mojego szmaragdowego naszyjnika, powiedziała młoda kobieta wstając, aby przynieść mały palisandrowy kufeczek. Otworzyła go,

i rozłożyła na kolanach przepyszna mięszaninę, biżuterji złotych i drogich kamieni.

— Święta Marjo! co za bogactwa! zawołała olśniona murzynka.

— Nieprawdaż, że ten jasno-różowy kolor, ślicznie odbija przy zielonych kamieniach? zapytała pani de la Rebelière. Biorę także tę chustkę z koronek Alensońskich, i te kokardy atlasowe. Zechciej mi pan dać pieniędzy, dużo pieniędzy, mam chęć kupować wiele — i korzystać z pańskiéj hojności.

— Dobrze! dobrze odrzekł pan de la Rebelière, trochę nie kontent z téj obojętności i próżności żony.

Wyszedł, aby przynieść pieniędzy z okutego kufra, którego nikt prócz niego nie otwierał.

— Słuchaj Pelagjo, zaczęła szybko pani de la Rebelière, czy chcesz mi oddać przysługę.

— Dwie, trzy, ile pani żądasz.

— A więc, w Niedzielę, w Saint - Pierre, sprzedawać będą przez licytację mulata, nazwiskiem Domicjan, kup go za jaką bądź cenę.....

Wybrała naszyjnik z pereł, i rzucając go murzynce, dodała:

— Masz, naszyjnik ten wart pięć tysięcy talarów, zapłacisz po licytacji, reszta dla ciebie. Zrozumiałaś?

— Tak, rzekła murzynka, chowając za gors naszyjnik.

Tegoż samego dnia, gdy stróż więzienny zaniósł Domicjanowi dzbanek wody i kawał czarnego chleba, zastał go bez przytomności, w gorączce — tyle cierpien trudów i wrzuseń uczyniły go prawie szalonym.

Wtedy pan de la Rebelière zdrzął, aby śmierć zawczasie nie wyrwała mu ofiary jego zemsty. Rozkazał, aby natychmiast przeniesiono niewolnika do chaty, służącej za szpital murzynom z osady. Zostawiono mu tylko kajdany na nogach, i pielęgowano go z nadzwyczajną troskliwością. Trzeba było śpiesznie go leczyć, gdyż pojutrze na licytacji miał być sprzedanym. Wszystko to działo się otwarcie. Pan de la Rebelière kazał sobie zdać sprawę z tych szczegółów, w obecności żony, ponieważ nie odstępował jej ani na chwilę. Cecylja działała ze swojej strony — napisała do dozorcej posiadłości *Les Mornes*, rozkazując mu kupić mulata, chociażby nawet dwadzieścia tysięcy liwrów kosztował. Jakkolwiek przystęp do więzienia teraz bardzo był łatwym, nie śmiała jednak odwiedzić go w szpitalu, ani nawet posłać do niego starą murzynkę Femi, z obawy wzbudzenia podejrzeń pana de la Rebelière. Nie

objawiła chęci jechania do Saint - Pierre, i zdawało się, że zapomniała już o zamiarze kupienia mulata.

Byłaby zwierzyła się przed Eleonorą, gdyby argus, który ustawicznie czuwał nad niemi, zostawił im chociaż jedną chwilkę swobodną. Lecz nie było sposobu oszukania jego czujności. Cecylja dorozumiewała się, że ich obie obchodził los biednego Domicjana, z którym tyle pięknych odbyły przechadzek, lecz nie odgadła tej miłości. tej zazdrości niepokonanej, tej nienawiści okropnej, która pragnęła wyrzucić mulatowi wolność, a nawet życie. Pani de la Rebelière zdawała się obojętną na wszystko, co się w koło niej działo — nic ją nie mogło rozruszać, ożywić, rozweselić.

Te dwa dni przymusu, skrytej walki i bolesnego oczekiwania, szybko ubiegły. Wieczorem po kolacji, pan de la Rebelière rzekł do żony.

— Moja piękna, dzisiaj położymy się wcześniej, gdyż o północy musimy wyjechać, jeżeli pragniesz korzystać z chłodu. Przybywszy do Saint - Pierre, możemy się położyć i spać, jeżeli ci się podobają; dosyć będzie, gdy na ostatnią mszę się ubierzesz. Czy wiesz, że licytacja odbędzie się zaraz po mszy?

— Wiem panie, odpowiedziała obojętnie; pojedziemy kiedy zechcesz.

— Teraz połóż się jeszcze droga Eleonoro; znajduję cię bardzo mizerną, byłabyś chorą?

— Nie panie — nie — zupełnie zdrową jestem. Nie troszcz się tak o moje zdrowie, nigdy w lepszym jak teraz nie była stanie.

Pani de la Rebelière pocałowała w czoło Cecylję.

— Bądź zdrowa — jeżeli Bóg pozwoli, zobaczymy się pojutrze; dobranoc moje serce, smutno mi, że cię tu samą zostawiam. Nie chcesz więc jechać z nami?

— Nie — droga moja Eleonoro, odpowiedziała po chwili wahania; wolę tutaj czekać na ciebie.

Cecylja została sama w galeryi. Była wtedy dziesiąta godzina — wszyscy domownicy, prócz tych, którzy czynili przygotowania do podróży, już spali. Femi siedząca za drzwiami w kuchni, czekała na swoją panią, odmawiając różańce. Młoda dziewczyna była smutną i wzruszoną; w tej chwili jedno tylko miała pragnienie, do jednego tylko dążyła celu, to jest do uwolnienia Domicjana; nie umiała powiedzieć co zrobi potem, nie wiedziała czy kocha tego człowieka, którego chciała kupić, który miał być jej niewolnikiem. Jej niewolnikiem! znaczenie literalne tego wyrazu przejmowało ją

trwogą. Przesady światowe i tkliwie pełne poświęcenia serce, upartą w niej toczyły walkę, lecz święta i szlachetna litość przewyższała inne uczucia. Niepokoiło ją to szczególnie, że nie przesłała nawet Domicjanowi kilka słów pociechy i nadziei.

— Femi! zawołała na swoją murzynkę — cóż się tam dzieje?

— Nic — droga pani — przewodnicy i służby nie śpią, oczekując północy w ogrodzie — stary Leon opowiada im bajki. Jest także dwóch ludzi ze straży marszałkowskiej, którzy poprowadzą mulata, tak jakby trzeba było strzedz z nabitą bronią tego biednego człowieka.

— Czy odjedzie razem z państwem de la Rebellière?

— Nie pani, dopiero o świcie, gdyż obawiają się, aby im nie uciekł. Przybędą do Saint - Pierre w dzień jasny, w samo południe, przed licytacją.

— Panie! Boże mój! co za okrucieństwo! wyszeptwała Cecylja; nieszczęśliwy wychyli ten kielich goryczy i upokorzenie, aż do dna.

— Ale pani przyrzekłaś ocalić go.

— Tak Femi, tak, ja go ocalę, ale któż wie, czy będzie miał siłę przenieść te cierpienia! Któż wie, czy nie rozpacza teraz o swoim uwolnieniu. Gdybyż to można iść mu powiedzieć, żeby miał dobrą nadzieję. Słuchaj Femi! mogła byś iść do niego. Cóż to szkodzi teraz? Pan de la Rebellière nie dowiędzie się o tym przed swoim wyjazdem. Idź do tego biedaka, powiedz mu niech mi zaufa, powiedz, że jutro los jego tylko odemnie będzie zależał. Idź prędko Femi. Mój Boże! jakto godziny się wloką, w trwodze takiej i niepokoju! Otóż i północ. Chodzą na górze — już odjeżdżają.... Śpiesz się Femi, będę ciebie oczekiwała w moim pokoju.

Chata, w której był szpital — leżała dość daleko od domu. Stara murzynka była infirmerką, a dwóch murzynów nie mogących już pracować, pod jej dozorem pielęgowali chorych, i kolejno co noc czuwali.

— Dobry wieczór mój stary Jakóbie! rzekła Femi uchylając drzwi. I cóż, dużo masz chorych?

— Ach to ty Femi! cóż tu robisz o tej godzinie.

— Moja pani mnie przysłała, abym się widziała z chorym, którego onegdaj przywieziono z kazamaty. Może zażyjesz tabaki i przyjmiesz talara na wódkę? Gdzie jest ten nieszczęśliwy?

— Tam — przy murze, odrzekł stary murzyn schylając się nad ogniskiem, przy którym gotowała się jakaś czarna cuchnąca miksura, którą leczono ukąszenia jadowitych węzów. Femi zbliżyła się ku macie, na której leżał Domicjan. Kajdany, które miał na

nogach, były mocno przytwierdzone żelaznym łańcuszkiem, do kółka białego w mur. Drzymał, błąd — z głową w tył odrzuconą, z rękami ściśniętymi nad czołem. Murzynka przypatrywała się chwilę tej szlachetnej twarzy, nacechowanej niewysłowionymi cierpieniami, następnie oczy jej padły na ręce jego obnażone i drżące, przy czerwonym świetle lampy. Panie Jezu! krzyknęła zdziwiona, spostrzegłszy cyfrę tatuowaną, jaką mulat nosił na prawym ramieniu.

Ten wykrzyk obudził Domicjana.

— Cóż to jest? Czego żądasz odemnie? zapytał cofając się przed tą głową schyloną nad nim.

— Jestem pokojówką panny de Kerbran, odpowiedziała żywo Femi, przyszłam powiedzieć panu od niej, abys miał jutro odwagę. Lecz najprzód pokaż mi pan ramię, abym się lepiej przypatrzyła; tak — moje słabe oczy nie mylą się. Oto litera R. a nad nią korona hrabiowska — zupełnie jak u mnie.

Podniosłszy rękaw, tartanowego w kratę kaftana, pokazała na ramieniu tę samą cyfrę, w tym samym miejscu utatuowaną.

— Z pewnością należeliśmy do jednego pana. To jest cyfra hrabiego de Rethel. Urodziłeś się pan w jednej z licznych jego posiadłości, albo może cię kupił; powiedz pan — wiesz co o tym?

Domicjan upadł na małą matę, czyniąc gest przeczący.

— Mniejsza o to! mówiła dalej Femi. Pan hrabia miał dwa mieszkania. *Casanova* i *Les Mornes*, zapewne tam się pan urodziłeś? Ale jakże się to stało, że pan o niczem nie pamiętasz? Zapewne bardzo młodym wprowadzono i sprzedano pana? Jezus! Cóż to za odkrycie.

Murzynka wzięła lampę, i zbliżyła ją do bladej twarzy Domicjana.

— Ach! zawołała, przypominam sobie, teraz poznaję pana; poznaję krew krążącą w żyłach twoich — Matka twoja była Karabką, zwała się *Beconya*.....

— Moja matka! znałaś moją matkę! przerwał Domicjan z wielkim wzruszeniem. Niestety! raz pierwszy w życiu słyszę o niej. Ci — którzy mnie wychowali, nie wiedzieli nawet jej nazwiska..... *Beconya* — och! przypominam ją sobie..... widzę ją jeszcze.... A wiesz ty? I ona była tylko — niewolnicą?...

— Tak, odpowiedziała ze wzruszeniem dobra murzynka. Była to piękna niewolnica. Nie wątpię, że pan jesteś dzieckiem, z którym uciekła w góry Karbetu. Ona urodziła się nie daleko Wód gorących, w wielkiej chacie, spalonej później przez białych. Ale to już

dawno, bardzo dawno.... Ojciec pana de la Rebellière, prosty najemnik, bił się wówczas tak dobrze, że dano mu część niewolników, pomiędzy niemi Beconyę, którą następnie sprzedał hrabiemu. Często wspominała mi o swojej chacie, a gdy uciekła, sądziłam, że ku tej stronie skierowała swoje kroki, lecz nie znalazła tam ani chaty, ani żywności.... nie.

— Niestety! wówczas byłem maleńki, ale dobrze wszystko zapamiętałem. Często bardzo nam się jeść chciało. Och jakąż zносиłiśmy nędzę. Niewiem jak długo trwało to życie. Pewnego razu matka położyła się u stóp palmy — i nie powstała więcej. Długo siedziałem przy niej.... w końcu trwogą zdjęty — uciekłem.... Niewiem ile dni szedłem, ślepy kierowany trafem. Umierającego z głodu i utrudzenia, spotkali mnie myśliwi, zaprowadzili mnie do osady d'Enambuc, i odtąd.... Ale czego zmusiłaś mnie do wywołania tych wspomnień okropnych. Ach mój Boże! potrzebaż umrzeć, jak się urodziłem — niewolnikiem?

— Święta Matko Boga! nie rozpaczaj pan. Panua de Kerbran, najlepsze ma chęci dla pana. Jest to osoba litościwa i rozsądna, ona poleca panu, abys jęj ufał, i był spokojnym.

— Będę jęj posłuszny: chce abym żył, żyć będę, odpowiedział Domicjan z ponurą rezygnacją; tak — będę żył, dopóki wola boża nie powoła mnie z tego świata. Przybywszy tutaj, spodziewałem się, że to wkrótce nastąpi.

Femi już nie słuchała, pogrążoną będąc w głębokiej zadumie.

— Dowidzenia, dobranoc i szczęśliwej podróży, rzekła powstając żywo — zdaje mi się, że to wszystko ułoży się inaczej, niżeli oczekują.

Rzuciła jeszcze okiem, na ten znak wieczno-trwały, który miał Domicjan na ramieniu, i wybiegła jak tylko mogła najprędzej.

— Pani — rzekła, wchodząc do pokoju Cecylji, cóż mi dasz za dobrą nowinę, którą ci przynoszę? Już nie potrzeba kupować mulata, on do pani od urodzenia należy....

— Jakto? przerwała zdziwiona.

— Należy, do pani, ponieważ urodził się w jęj posiadłości — i ma jęj cyfrę.

Wówczas murzynka opowiedziała, jakim sposobem uczyniła odkrycie.

— Należy do pani, mówiła dalej, a dowód wypisany jest na ego, jak i na mojem ramieniu, jak na ramionach wszystkich niewolników hrabiego Rethel, którego pani jesteś dziedziczką; Domicjan

tém samém jest co ja, z tą różnicą, że ani jednej kropki krwi białych w żyłach moich nie ma.

— Czy to podobna — czy to podobna, powtarzała Cecylja. Ale ty musisz wiedzieć.... Musisz o nim, o matce jego pamiętać?

— Tak, tak, bezwątpienia, pamiętam. Nie wiem wiele to już lat temu, bo my niewolnicy nigdy lat nie liczymy; ale bardzo dawno, gdy Beconya mieszkała w osadzie Casanova. Była to śliczna dziewczyna, trochę smutna, bardzo uległa, prawdziwa karaibka. Zawsze pracowała w domu, i widywałam na niéj, koszule z cienkiego płótna, piękne spodnice w kraty, a nawet trzewiki. Urodził jéj się chłopiec, prawie biały, z którego nadzwyczajnie się pyszniła. Pewnego razu wszakże pan o coś się na nią rozgniewał; kazał ją więc przywiązać do czterech słupów i dać jéj dwadzieścia dziewięć batów. Ani jednego jéj nieujęto. Lecz nazajutrz w nocy uciekła z dzieckiem — i odtąd jéj nie widziano. Wszystko to musi być zapisane w książce dozorcey, pana Mathieu.

— Lecz któż był ojcem Domicjana? zapytała Cecylja.

— Ojcem jego? W osadzie wtenczas jeden tylko był biały, pan hrabia de Rethel — mój pan — odrzekła Femi naiwnie.

Młoda dziewczyna ukryła w dłoniach swoją twarz zarumienioną.

— Mój Boże! zawołała po chwilce namysłu, cóż robić teraz. Zdaje mi się, że słyszała od pana de la Rebellière, że skoro mulat jest już sprzedany, dawny właściciel już do niego nie ma prawa. Femi! trzeba natychmiast udać się do osady Les Mornes, tam zaradzić się dozorcey — on mi odpowie w tym interesie. Dalej, dalej na koń! z *Kodexem* czarzym w rękę, i w towarzystwie mego plenipotenta, upomnę się o prawa swoje. Ale trzeba się śpieszyć. Dałby Bóg, aby można przeprawić się przez rzekę Karbet, i przyjechać na czas do Saint - Pierre!....

VI.

Katedra w Saint - Pierre jest budynkiem prostéj architektury, należącym niegdyś do zakonu *braci Kaznodziejów*; przed frontonem było ogrodzenie, obsadzone wokoło drzewami pomarańczowemi,

gdzie znakomitsze familje miały swoje groby rodzinne. Nizki mur z żelazną kratą, zamykał cmentarz od strony ulicy. I za tym murem właśnie odbywały się publiczne licytacje.

Pan de la Rebellière wydał rozkazy, aby sprzedaż rozpoczęła się natychmiast po mszy.

Deska położona na dwóch beczkach, tworzyła estradę, na której wystawiano biednych niewolników na widok publiczny. Trochę dalej, w głębi, stał woźny, a za nim czterech, czy pięciu murzynów oczekiwało, siedząc na ławkach. Zdjęto im kajdany, lecz pilnowała ich straż marszałkowska. Tłum zebrał się wzdłuż ulicy, a kupujący i ciekawi spierali się o lepsze miejsca.

Dom pana de la Rebellière był wprost kościoła — z okien dobrze widzieć można było, lecz story były spuszczone, a drzwi hermetycznie zamknięte. Pani de la Rébellière przybywszy do Saint-Pierre, była na prymarji. Wróciwszy z nabożeństwa, położyła się, udając niezmiernie znużoną; ale nie spała wcale, i gdyby mąż był podniósł batystową husteczkę, którą sobie twarz przykryła, byłby ją widział zalaną łzami.

Pan de la Rebellière przechadzał się po pokoju, w ubiorze jedwabnym, ze szpadą u boku, z twarzą promieniejącą okrutną radością. Kiedy niekiedy zatrzymywał się przed łóżkiem i uśmiechał, oglądając na żonę.

— Moje serce — rzekł nakoniec — trzeba, ażebyś już wstała, licytacja rozpocznie się za kwadrans — już towar przyprawdzono.

Młoda kobieta podniosła się szybko, mówiąc:

— Dobrze — chodźmy, chodźmy, widzisz pan — jestem gotową.

Murzynki ubierały ją pośpiesznie, a ona wyglądała tymczasem przez okno. Serce jęj biło gwałtownie, gdy mąż zapytał, biorąc ją za rękę.

— Widzisz?

Pokazywał jęj Domicjana. Nieszczęśliwy siedział na ławce, w grubym, czarnym, płóciennym kaftanie, z twarzą ukrytą w dłoniach, z nogami bosemi, jak w ogóle niewolnicy.

— Tak, wiem dobrze, że to mulat, którego chcesz kupić, odpowiedziała obojętnie, najpiękniejszy to człowiek, jakiego w życiu mojem widziałam:

Pan de la Rebellière zbladł z wściekłości, i podał żonie rękę, mówiąc:

— Każę mu nosić mój hamak — duszyczko!

Zeszli na dół; za nimi dwóch murzynów niosło parasole. Tłum się rozstał, aby im wolne zostawić przejście, a woźny ukazał im krzesła przy stole postawić. Domicjan zarumielił się ujrzawszy młodą kobietę. Ona nie spojrzała nawet ku niemu, ale oparłszy się na stole, lekko skinęła głową Pelagji. Nikogo niezadziwiła jej obecność. Przyszła tutaj, jakby chodziło o kupienie koni, lub jakich sprzętów kosztownych. Dziwne obyczaje kraju pozwały na to.

Stary murzyn, pierwszy wszedł na estradę. Podczas licytacji, pan de la Rebelière zbliżył się do ławki, na której siedzieli niewolnicy. Gdy stanął przed Domicjanem, rzekł cierpkim głosem:

— Wstań! — chcę zobaczyć jak chodzisz.

Mulat ani się poruszył.

— Wstań! powtórzył głośniej. jeżeli nie chcesz poznać, co znaczy nowy rzemień na końcu bambusowej trzciny.

— Otóż — to podła i okrutna pogróżka, odpowiedział Domicjan głosem ponurym, z zaiskrzonym wzrokiem — nadużywasz pan swego położenia....

— Milcz! milcz nędzny niewolniku!

Domicjan powstał.

— Tak, zawołał, jestem niewolnikiem, ale to stało się bezprawnie. Odbierasz pan człowiekowi nierównie więcej wartemu od ciebie, stanowisko, wolność — życie.... I ty, ty śmiesz jeszcze mówić o hańbie, o podłości? Ty syn najemnika, który trzy lata pracował pod batem dozorczy, ty, który zebrawszy majątek za pomocą nieprawości i zbrodni, wyparłeś się nazwiska ojca! On nazywał się Rebel, bednarz. Ty przezwąłeś się panem de la Rebelière. Zaiste, szczególnie szlachectwo! Moje pochodzenie w niczem nieustępuje twojemu — i sądzę, że daleko zaszczytniej jest być takim jak ja niewolnikiem, aniżeli takim szlachcicem jak ty!

Pan de la Rebelière zsiniały i drżący z gniewu, cofnął się o kilka kroków, i podniósł laskę, aby uderzyć mulata. Lecz w tej chwili Domicjan skoczył, a wrywając mu z rąk bambusową trzcinę ze złotą gałką, złamał ją i rzucił pod stół. Widząc tę niesłychaną zuchwałość, straż marszałkowska pochwyciła go, a z tłumu wznosił się jeden, długi okrzyk.

Spodziewano się nadzwyczaj surowej i natychmiast wymierzonej kary. Pani de la Rebelière rzuciła się naprzeciw męża, sądząc, że ten, chyba zabije mulata. Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Pan de la Rebelière oparty o stół, rzucał na wszystkie

strony chmurne i gniewliwe spojrzenia. Znano go — i nienawidzono powszechnie — wszyscy obawiali się o Domicjana.

Nakoniec pan de la Rebellière, opamiętał się, zapanował nad sobą. Wziął żonę za rękę, i odprowadzając ją na dawne miejsce, rzekł głosem spokojnym i obojętnym.

— Prowadźcie dalej licytacją. Teraz kolęj na mulata Domicjana.

Żołnierze marszałkowski zawlekli go na estradę, a woźny zawołał:

— Panowie. Za dwieście liwrów mulat.

Pięćset, — tysiąc. Tysiąc dwieście. Tysiąc pięćset. Dwa tysiące, wołano z tłumu.

Licytanci zatrzymali się krótką chwilę.

— Dwa tysiące dwieście liwrów — za mulata, powtórzył woźny.

— Trzy tysiące, rzekł wtedy pan de la Rebellière.

— Trzy tysiące pięćset, krzyczała Pelagja, wysuwając się z tłumu, aby pokazać swoje piękne bransolety złote i żółty fularowy turban.

— Czy ona chce kupić sobie męża, rzekł jeden z obecnych, któremu murzynka dała znak jakiś — dosyć, nie trzeba licytować przeciwko niej.

— Trzy tysiące liwrów wołał woźny — po raz pierwszy.....
Po raz drugi.....

— Cztery tysiące, powiedział pan de la Rebellière.

— Pięć tysięcy, krzyczała głośno murzynka, sięgając po naszyjnik z pereł, ukryty w haftowanej kieszeni....

— Sześć tysięcy. Siedm tysięcy. Ośm. Dziesięć. Dwanaście tysięcy liwrów, zawołał powstając pan de la Rebellière.

Pelagja cofnęła się trochę. Tłum zdziwiony milczał; była taka cisza, że słyszanoby lot kolibra.

— Dwanaście tysięcy liwrów, przerwał milczenie woźny.
Po raz pierwszy..... Po raz drugi..... Nikt już nie daje więcej?

Pani de la Rebellière lekko skinęła głową. Pelagja rzekła odważnie.

— Dwanaście tysięcy — pięćset liwrów.

W téj chwili dał się słyszeć tentent galopujących koni. Tłum zdziwiony i przelękły począł się usuwać, a Cecylja, w towarzystwie dozorczy swojej osady i plenipotent, stanęła tuż przy stole.

— Panowie! rzekł plenipotent, Panna de Kerbran sprzeciwia się sprzedaży tego niewolnika, który do niej należy, jak to dowiedzimy natychmiast. Wstrzymajcie licytację.

Jakto? cóżto znaczy, zawołał żywo pan de la Rebelière, rachując w myśli, czyli to zdarzenie nie oszczędzi mu kilkunastu tysięcy liwrów.

Domicjan był nieruchomy, jak człowiek, który wątpi o tém co słyszy. Cecylja zsiadła z konia.

— Chciéj mi wymierzyć sprawiedliwość, rzekła, zwracając się do swego opiekuna. Ten mulat do mnie należy. Ci panowie wytłomaczą jakim sposobem.

— Dobrze, słuchamy.

Wtedy dozorca opowiedział znane nam już fakta. W przywiezionych książkach pokazał datę urodzenia Domicjana, imię jego matki — później odkrył i pokazał obecnym znak wytatuowany na ramieniu mulata.

Plenipotencja otworzył *Kodex czarny*, i zabierał się do czytania całego paragrafu.

— Dosyć, panowie. Dostatecznie poinformowaliście mnie w tym wypadku. Jako szef gminy Karbetu, z obowiązku wystawiłem go na licytację. Teraz oddaję go, komu się prawnie należy.

— Czy podobna? szeptwała Eleonora, ściskając rękę Cecylji.

Odprowadzono Domicjana na jego ławkę, a pan de la Rebelière, odprowadzając na bok Cecylję, rzekł:

— Słuchaj! Chcę, abyś natychmiast doskonały zrobiła interes: sprzedaj mi tego niewolnika, daję ci za niego trzy tysiące liwrów, daleko więcej, aniżeli wart; spytaj się o to dozorca. Nieprawdaż panie Mathieu, że za drogo płacę? Ale to moja fantazja, zachcenie. Przystajesz na trzy tysiące liwrów w złocie, oto jest zadatek.

— Nie — panie, odpowiedziała głośno Cecylja, nie mam zamiaru sprzedawać tego niewolnika. Chcę, przeciwnie, od dzisiaj uczynić go wolnym.

— Tego zrobić nie możesz, przerwał pan de la Rebelière, jego los nie zupełnie i nie wyłącznie od ciebie zależy. Trzeba, aby gubernator udzielił mu patent wolności, a tego on nigdy nie otrzyma, nigdy! Chociaż go oswobodzisz, w obliczu prawa będzie zawsze niewolnikiem. Powoływałaś się na *Kodex czarny* — zobacz, przeczytaj paragraf który.....

Cecylja zmieszana, spoglądała na swego plenipotencja — ten odpowiedział jéj giestem twierdzącym.

— A więc jakże? sprzedasz mi tego człowieka? zapytał po raz wtóry pan de la Rebelière.

— Nie panie, odrzekła, przyglądając się z wyrazem niewysłowionéj litości, nieszczęśliwemu Domicjanowi, pochylonemu, i omłdłałemu prawie pod wpływem tylu wrażeń — każę go odprowadzić do osady *Les Mornes*.

— Tak, przerwał z wściekłością pan de la Rebellière, każesz go odprowadzić, ale wprzód ulegnie karze, od której żaden niewolnik wyprosić się nie może... skoro znieważył człowieka białego wolnego. Niewolnik Domicjan znieważył mnie giestem i słowami, wszyscy obecni mogą to zaświadczyć. Żądam, aby tutaj natychmiast był przywiązany do słupa, i aby wyliczono mu dwadzieścia dziewięć batów. Dalej panowie ze straży marszałkowskiéj, spełnijcie wasz obowiązek.

Cecylja stanęła przed Domicjanem. Była bladą, ale z podniesioném czołem i pogodném wejrzeniem. To okropne położenie natchnęło ją, odwagą, przytomnością, poświęceniem i krwią zimną. Zwracając się ku panu de la Rebellière, rzekła głosem śmiałym i pewnym.

— Nie — nie będziecie bili tego człowieka, gdyż od téj chwili jest wolnym, albowiem ja, Cecylja de Kerbran oświadczam, że go poślubię.... Czytajcie, czytajcie paragraf *Kodeksu czarnego*, który brzmi, jak następuje: „Każdy niewolnik poślubiający kobietę białą, jest wolnym w obliczu prawa.“

Żaden cud nie czyniłby takiego wrażenia, na tym tłumie ciekawym i milczącym, jak te słowa kobiety wolnéj, białéj, ze znakomitęj pochodzącéj rodziny, majątnéj, oświadczającéj, że niewolnika wybrała sobie na męża. Każdy był jakby skamieniałym ze zdziwienia.

— Panie! rzekła Cecylja, z wielką godnością i powagą z wracając się ku mulatowi — odejdzmy. Chciéj pan podać mi rękę.

Domicjan wstał, słowa nie odpowiedziałwszy. Są w życiu wrażenia takie, których język ludzki wypowiedzieć nie może. Panna de Kerbrau oparła się na jego ramieniu, i wolno — nie oglądając się, odeszli.

Pani de la Rebellière oniemiała z podziwienia. Nie pojmowała, co się działo w jéj duszy; lecz wkrótce, szlachetne uczucie sprawiedliwości zapanowało w niéj nad miłością. Czuła się prawdziwie szczęśliwą, że ten, którego kochała, uniknął strasznej zemsty jéj męża. Pan de la Rebellière zawstydzony i wściekły, byłby się jednak uspokoił i pocieszył, gdyby dostrzegł łzy w oczach żony; tymczasem przekonał się, że miłość jéj dla Domicjana była tylko prawdziwą, wielką przyjaźnią, skoro z radością patrzyć mogła, jak go

ocaliła i pokochała inna. Ta chwila zemściła Eleonorę, za wszystkie zadane jej boleści i cierpienia.

— I cóż panie! rzekła szyderczo, zwracając się do męża. Mulat poślubia pannę de Kerbran... pomimo, że ty przysiągłeś, iż umrze pod batami dozorczy!

Zdarzenie to jest autentyczne: czerpiemy je z pism pani Reyband, która niedawno miała sposobność poznać w Paryżu — prawniczkę Domicjana — i od niej właśnie dowiedziała się tych wszystkich szczegółów, które opowiedzieliśmy.

E. K.

BRATKI.

Według podania Białoruskiego.

W Połockiej ziemi nad Dźwiną,
Żeni się chłopiec z dziewczyną ;
Gęźba im grała, aż miło!
Poszło w tan wszystko, co żyło.

Żeni się chłopiec z dziewczyną, —
Zeszli się razem nad Dźwiną;
Zeszli się jakoś z różnych chat,
Rodziną był im cały świat.

Prześlizna para to była :
 Ona jak róża nęciła, —
 On chłopiec dziarski i złoty ;
 Oboje byli sieroty.

Oboje przyszli z różnych stron.
 Ona uboga, biedny on ;
 Nikt nie wie, kto tam ich rodzi, —
 Ot, byli dobrzy i młodzi.

Weselni goście z pod strzechy,
 Dla słodszej latem uciechy,
 Zasiedli w cieniu lipiny ;
 Gra skrzypka, nucą dziewczyny....

Wtém wchodzi starzec zgarbiony :
 Włos z czoła spływa zbielony —
 Oparł o kostur swe dłonie,
 I stał za tłumem, na stronie....

— Witajcie, dziadku, witajcie,
 Z nami pod lipą siadajcie.
 Czegóż tak smutnie patrzycie ?
 Pójdźcie prześpiewać to życie.

— O! moi dobrzy i mili,
 Jak wam zazdrosezę tój chwili....
 Takie tu wkoło wesele,
 Jak na Pasterce w kościele....

I jam miał chłopca i donię....
 Dziś, Bóg wie, w której są stronie,

Biedne dzieci! Przed laty
 Żyłem ja z nimi bogaty.

Żyłem bogaty starosta,
 Aż na świat spadła ta chłosta,
 Strasznej napaści Tatara,
 A z półksiężycem ich wiara.

Zamek mój z ziemią zrównali,
 Mnie związanego zabrali;
 Tylko mi donię i syna
 Skryła przed śmiercią drużyna.

W niewoli, w stepach Urała,
 Żyłem samotnie tak zdala!
 Tak zdala żyłem, aż przecie
 Znów jestem w ojców mych świecie.

O! moi dobrzy i mili,
 Jak wam zazdroszczę tej chwili....
 Mnie potąd słońce nie świeci,
 Aż nie odzyskam swych dzieci....

Tu młoda — para dążąca
 Tłumy weselne rostrąca,
 I każde woła z osobna:
 — Co słyszę! — Czyż to podobna?

— To głos mojego rodzica!
 — I mego! woła dziewica.
 — Drżące me serce odgada....
 — I mnie to łza ma powiada....

— O, Doniu! Synu! me dzieci!
 Dziś dla mnie słońce znów świeci.
 Szczęśliwe, dziwne zrządzenie:
 Rzućcież swe ślubne pierścienie.

Tu *brat* i *siostra* zdrętwieli —
 Smutnie po sobie spojrzeli;
 Łez potok z oczu im płynie.
 Płynie z ocz chłopcu, dziewczynie.

Poszli za ojcem, bez wieści,
 Łzy uroniwszy boleści;
 A w miejscu, gdzie łzy padały,
 Wyrosł prześliczny kwiat mały.

Kwiat drobny w letniej zieleni
 Podwójną barwą się mieni:
 Pół listka barwy fioletowej,
 A żółta drugiej połowy.

Ztąd *bratkiem* zowią na świecie
 Z łez bratnich wzrosło to kwiecie;
 Drudzy, co wspólnie płakali,
Kwiatem go *placzu* nazwali.

Józef Grajner.

R O D Z I N A.

przez

Eleonorę Ziemięcką.

PIERWSZA RODZINA.

L I S T I.

Opuściłam cię, kochana siostró, opuściłam nasze miłe, ciche, w starym grodzie Krakowskim ustronie, gdzie lat kilka po śmierci ukochanego męża, przy tobie przeżyłam. Ciężko mi było porzucić to zacisze, ale obowiązek wzywał, nie mogłam się wahać. Obowiązek podwójny — ze stratą bowiem towarzysza życia, odpowiedzialność za szczęście drogich naszych dzieci, spadła na mnie. Postanowiłam więc objechać te ukochane gronka, te rodziny, w których każda istotka tak ściśle z sercem mojem złączona, wyjechałam odwiedzić córki i synów moich. Chcąc jednak chociaż cokolwiek, dzisiejsze moje pełne wrażeń i zajęcia życie, połączyć z cichą naszą ustronią, zamierzyłam zdawać ci sprawę z moich czynności w listach, które będą niejako materyałem do rachunku sumienia przed Bogiem — a zarazem ciągłym węzłem uczucia między nami. I nietylko uczucia — tobie bowiem winnam także rachunek z myśli moich: tyś je ożywiła, podniosła w chwili, kiedy straszny cios odebrał mi wszelką na dalsze życie odwagę. Ach nie zapomnę nigdy tych starań delikatnych, tych napomnień słodkich, a stanowczych,

które mi dzwignęłaś z wolna duszę moją, czyniąc ją zdolną do pełnienia dalej swoich obowiązków.

Otóż zaczynam dziś od przybycia mego do Juliana, od niego bowiem jak wiesz, postanowiłam zacząć mój macierzyński objazd. Ciężka to była próba, trudny zamiar dla mego serca. Julian odziedziczył wioskę, w której lat dwadzieścia z ukochanym mężem przeżyliśmy; każdy kątek naznaczony tam jest dla mnie wspomnieniem, każdy drogi, a więc i bolesny zarazem. Ja mam pod względem pamiętek szczególne usposobienie: nie lubię ich wcale, nawet portretu znieść nie mogę długo po stracie ukochanej osoby, może dla tego, że zbyt głąbo czuję.... Mnie potrzeba owszem całej mocy duszy, aby złagodzić wspomnienie, które za żywo stoi w pamięci, i takim tylko sposobem zdołam wytrzymać stratę najdroższych. Pieścić się i lubować z pamiątkami nie umiem, uważałabym to za śmiałość, i wyzywanie Opatrzności, która tą, a nie inną drogą przychodzi w pomoc mojej słabej istocie.

Trzeba jednak było zwyciężyć to usposobienie, a nawet z pełną swobodą ujrzyć na nowo zagrodę pełną wspomnień. Bo jakbym mogła do powitania dzieci moich, mieszać łyżki tak gorzkie! Ani serce, ani rozum tego nie dozwalały: serce żeby ich nie zasnąć, rozum dla tego, iż wie z doświadczenia, że młodość nie może czuć czuciem starszych, bo ona jeszcze nie walczyła na śmierć z rozpaczą, jeszcze nie spotkała się z tą straszną rzeczywistością, na którą już na ziemi ratunku niema!

Powitałam więc Julianów wesoło, jedną tylko zachowując ostrożność, to jest, nie rozpatrując się bardzo w szczegółach, nie zatrzymując przy żadnym sprzecz, lub miejscu, bez koniecznej potrzeby. Dla dzieci, tu jestem, a więc dla nich postanowiłam poświęcić każdą chwilę. I w istocie, znalazło się pole do ważnych i pożytecznych zajęć, tak nawet, iż codziennie rośnie we mnie to przekonanie, że tu byłam potrzebna.

Ale nie chcę uprzedzać wypadków. wolę raczej wszystko porządkiem ci opowiadać, aby jak mówiłam ciągle zachować się z sobą, a tobie, droga siostrze, wierny obraz mego życia w oddaleniu od ciebie nakreślić. Długo, długo jeszcze będziemy rozłączone; sądząc po tém, co tu mi się następuje, myślę, że u każdego dziecka znajdzie się wiele do zrobienia, a do zrobienia cicho, nieznacznie, nie opanowując nikogo, nie mieszając się do praw cudzych. Tak, droga moja Maryniu, ja każde moje dziecko, skoro tylko dorosło, uważam za osobną, wolną istotę, która o tyle tylko ulegać może moim radom, o ile to się zgadza z jej własnym przekonaniem,

a lubo wiem, że rady te z serca płyną, lubo nikt lepiej nad przywiązaną matkę radzić nie zdoła. uważałabym to przecież za zupełne skrzywienie rodzicielskiej drogi, żeby wpływ mój miał uciskać samodzielność i wolność, którą każdy człowiek mieć powinien. Ci cho więc i nieznacznie staram się być użyteczną czaladce mojej, a sposób ten postępowania, tysiączne właśnie nastęrcza mi do tego okazyje. bo nie obudzam obawy, bo nie czują we mnie władzy, bo otwierają serca chętnie i swobodnie.

L I S T II.

Dziś przystępuję do opisania ci, pożycia Julianów, bez tego bowiem niezrozumiałabyś, ani moich obaw, ani nadziei, a jedne i drugie, od czasu jak tu przybyłam, kolejno napełniają moje serce. Oh! bo serce matki nigdy nadziei pozbyć się nie może; jakkolwiek trudne są położenia, ona zawsze spodziewa się, że potrafi im zaradzić, próbuje, i w końcu rzadko się zdarza, żeby szczęśliwy skutek nie uwieńczył jój usiłowań. Czy tak będzie i tym razem, nie wiem, ale to wiem, że wielkie zadanie stoi przedemną. Julian droga Maryniu, nie jest szczęśliwy— przewidywałam to w pierwszych chwilach ich małżeństwa, teraz znalazłam gorzej, niż mogłam przewidzieć. Wiesz, że wybór jego nie podobał mi się odrazu, przybył do nas na krótko po skończeniu nauk, z zamiarem wyjazdu za granicę, i niespodziewanie poznał w sąsiedztwie naszém, prześliczną osobę, która go tak żywo zajęła, iż zaniechał wszelkich innych planów. Ojciec jój, był przyjacielem mego męża, od dawna żyli jak bracia z sobą, niepodobna więc było się sprzeciwić — mąż mój nie byłby pozwolił na to, życzliwość nawet jego dla całej rodziny, nie dozwalała mu dostrzedz niewłaściwości tego wyboru, który ja osądziłam odrazu.... Dziś widzę, że mnie sąd mój nie mylił. A jednak, Anna nie jest złą żoną, owszem, posiada wszystkie przymioty uczciwej i cnotliwej niewiasty, ale dla Juliana to nie wystarczy. On, z bystrym rozumem, z wysokim wykształceniem, potrzebował nierównie wznioślejszej towarzyszki, a mianowicie mającej zamiłowanie zajęć umysłowych. Tego nie ma wcale w Annie, nadzwyczajna

piękność lśniła długo jego oko, dziś, zaczyna to pojmować i cierpi, widocznie cierpi. Lata bowiem zamiast zmniejszyć tę niestosowność, powiększyły ją owszem; pospolity umysł, i do codziennych zatrudnień przywykły, zatopił się w drobiazgach domowych i macierzyńskich, które jęj do reszty odbierają urok pierwotny w oczach męża; jest jeszcze dziś ładną, ale czémże są wdzięki w domowém pożyciu, kiedy nie ma żadnych innych żywiólów szczęścia. Otoczona pięciorgiem małych dzieci, Anna stała się ich mamką i niańką zarazem, zdrobniała w ciągłych troskach i obawach, a charakter żony ustąpił całkiem miejsca matce, a raczėj bonie i gospodyni. Nie umie niestety, zachować tėj moralnej perspektywy życia rodzinnego, za pomocą którėj, można stopniować zajęcia, i rozłożyć tak obowiązki domowe, żeby każdy znalazł właściwe miejsce; u nięj wszystko leży na jednym planie, najmniejszy szczegół równe ma znaczenie jak największy, a całe pole życia zasiane drobiazgami, które pochłaniają wszelką jęj czynność.

Nie uwierzysz, kochana siostró, jak mi było bolesno, kiedy spostrzegłam, że Anna poszła tak fałszywą drogą; baczne moje oko nie mogło nie dostrzedz znudzenia Juliana, i tego chłodu, jaki między niemi panuje. Dni całe schodzą im osobno, on jakby umyślnie zatapia się w gospodarstwie, rzadko powraca do domu, a krótkie chwile swego wypoczynku, poświęca samotnemu czytaniu, lub jakiejś smętnęj zadumie, z którėj nawet przybycie matki wyrwać go dotąd nie zdołało. Wszystko dowodzi, iż tu nie ma szczęścia, nie ma nawet nadziei, a kobieta nierozważna idzie dalej fałszywą drogą, nie widzi swego niebezpieczeństwa. Cóż mam czynić, na kogo działać? czy ją zbudzić ze snu szkodliwego, podnieść i ugodnić w jęj charakterze moralnym, czy jego umocnić w raz powiętym obowiązku, nie wiem—módl się za mnie, droga siostró, bo tu głównie natchnienia potrzeba, rozum w takich zadaniach nie wystarcza. Ogólnie mówiąc o ludziach, można odnosić się do zasad stałych, ale w praktyce, w rzeczywistości każdy charakter ma inne prawa, każda dusza innego sposobu działania wymaga. Któż odgadnie te drogi? któż się na nich zawsze utrzyma? Jednakże powtarzam jeszcze, obowiązek woła, a więc znajdują się siły.

L I S T III.

List wczorajszy zakończyłam zapytaniem: na kogo działać, kogo podnieść najpierw — rozsądek odpowiedział na oboje jedno-

cześnie. Ale dzieło to trudne, zwolna tylko dokonaném być może. Czyż nawet dokonywać je trzeba? O nie, piękne ich natury pójdą same, powinny iść same, skoro tylko główne przeszkody usunięte zostaną. Ale jakież są główne? Oto naprzód co do Juliana, odwrócenie uwagi umysłu męzkiego od tego chaosu, tój drobiazswości, która go otacza, zalewa; jego więc naprzód podnieść potrzeba, zając jakim ważnym, rzeczywistym celem, aby tymczasem zwolna i swobodnie mózg pokierować umysłem Anny. I tak uczyłam. Zainteresowałam go ważną familijną sprawą, zasięgałam jego rady co do procesu, który pozostał do ukończenia po ojcu, obudziłam uśpioną bystrość i trafność jego sądu, a to tym bardziej, że tu nie szło o niego osobiście, gdyż jako starszy otrzymał całą schedę swoją od razu, bez kłopotu. Tak zeszyły pierwsze dwa tygodnie, kilkogodzinna rozmowa dawała wątek do namysłu — piękne strony jego, synowskich i braterskich uczuć, pobudzały do myślenia.

Ale to nie wyczerpywało jego uwagi; za mało w tén żywiołu dla duszy, a przytem interes ten w przyszłości dopiero zagraża, nie dając pola do bezpośredniej pracy. Potrzeba było czegoś umysłowego, wzniosłego — a zarazem pociągającego serce, aby wszystkie władze znalazły zajęcie, i niejako pokrzepienie. Taki to przedmiot nastreczył się sam — taki wskazałam Julianowi, rozsnuwając przed nim pracę, długą i zajmującą, prosząc go o pomoc w porządkowaniu papierów po moim mężu, a jego ojcu. Było to w istocie naglące zadanie; boleść, przed którą uciekłam do ciebie, droga siostró, po śmierci Stanisława, nie dozwoliła mi wówczas zając się tą powinnością, wszystko pozostało zamknięte w wielkiej jego szafie, która jest składem pism, notatek i badań rozmaitego rodzaju. Ilez tam ważnych rzeczy, ile głębokich rozpraw? Julian porwany został obfitością prac ojca, zachwycał się bogactwem pozostałych rękopismów, i tak tonęliśmy w zajęciu dni całe, nie spstrzegając nawet, jak nam czas schodzi. On wyjmował papiery, przeglądał, a ja układałam podług numerów, lub podług przecucia, do jakiego mię znajomość metody ukochanego pracownika usposobiła; wprawdzie widok tych drogich pamiątek, rozdzierał mi serce, ale przetrwałam mężnie do końca, bo tak wskazywał obowiązek — podwójny obowiązek. Stanisław, mój mąż, jak ci wiadomo, był człowiekiem głęboko uczonym, posiadał wykształcenie wszechstronne i znakomite; dwa szczególnie przedmioty zajmowały jego uwagę, to jest, historia i prawo, w tych naukach lubił zagłębiać się niezmiernie, znał wszystko, co tylko o nich napisano, i zostawił nawet liczne rozprawy starannie napisane w kwestyjach,

kóre tych nauk dotyczą. Nad dziejami naszymi zastanawiał się wiele, a prace jego w tym przedmiocie, mogą stanowić osobne kompletne dzieła; niektóre ustępy z nich przepiszę ci, i przywiozę z sobą, abyśmy je razem przeczytać mogli, nigdy bowiem współczucie i zrozumienie, nie jest droższe, jak kiedy idzie o pojęcie zasług ukochanej osoby.

Przedłużałam umyślnie nasze zajęcia, nie ograniczając się na samém porządkowaniu, lecz czytając razem z Julianem najważniejsze części studjów ukochanego męża; potrzeba było przeciągnąć to serce na wyższy przedmiot. wstrząsnąć wyższą myślą, aby uczucie zniechęcenia domowego, ustąpiło miejsca szlachetniejszym usposobieniom. I sędzę, że mi się udało. W tych pamiątkach tkwi jakaś świętość. Julian to czuje, widać to w jego twarzy, coraz więcej wypogodzonej, to téż uspokojona tém przekonaniem, zamknęłam nakoniec szafę do szczęśliwszej chwili, w której wszystkie te rękopisma na użytek kraju wydać będziemy mogli.

Już trzy dni, jak ukończyliśmy nasze dzieła, i dziwna rzecz, nie czuję się nawet zmęczoną, tém, tak długim obcowaniem z pamiątkami, ja, co najlżejszej nawet unikać muszę! Ah! bo wielki cel daje siłę do wszystkiego, a przytém z wielu wspomnień po drogich osobach. te mi są najłatwiejsze do zniesienia, które uwielbienie dla nich budzą; wtedy bowiem cześć równoważy uczucie, i zdaje się, że śmierć miała prawo wziąć to, co tak zbliżone było do nieba za życia.

L I S T IV.

Podczas, kiedy jedno dźwigałam, drugie niespodzianie zatrwożyło moje serce. Anna zachorowała. Oddana nieustannie macierzyńskim staraniom, wyczerpała siły zwykle słabe i wstrząśnione; widziałam mocne przerażenie w moim pocziwym chłopcu... choroba ta nawet stała się początkiem niezmiernej zmiany w ich pożyciu. Anna leżała kilka tygodni na gastryczną gorączkę, nerwy jęj nie znosiły żadnego hałasu, musiałam ją zupełnie oddzielić od dzieci — na mnie więc padły starania około nich, mnie ona powierzyła

je z ufnością. Pojmujesz, droga siostrzo, jak korzystałam z tego zaufania, jak się zajęłam troskliwie, nie żeby karać lub przymuszać, bo to nigdy nie było w moim charakterze; nie żeby zasmucać surowością te małe i niewinne nawet win swoich istotki, ale żeby uporządkować ich życie, i zaprowadzić jakąś regułę w ich wychowanie, któraby im samym większą swobodę i stalsze zdrowie zapewniła. Powiodło mi się w moich zamiarach: dzieci karmione jednostajnie, zajęte po kolei różnemi robotami i zabawami, odwykły od łakomstwa i od płaczu, a przez to nabrały świeżości i cery, jakiej w nich nigdy nie spostrzegałam. Tak łatwo niewinnemi duszami kierować, tak łatwo podejść serca nie znające żadnego podejrzenia, i obrócić na ich korzyść to, co im się pozornie ujmuje, że udział matki w tój pracy, zdaje się niejako naprzód przez Stwórcę obmyślany, i tylko grzeszna słabość naszego serca, nie dozwala dostrzedz tój drogi, na której władza macierzyńska cuda zdziałać może.

Ale to dopiero były początki— z powrotem do sił, Anna coraz częściej przywoływała dzieci do siebie, coraz więcej pobłażała im w ich żądaniach, dawne przywyknienia zaczęły odzywać się w pieśczęszkach, postanowiłam więc stanowczo zabezpieczyć od powrotu do złego. Pod pozorem, że sama tak ciągle czuwać nie mogę, sprowadziłam z Warszawy osobę bardzo godną, która wszystkie dzieci moje wraz ze mną wychowała, namówiwszy Annę, aby jęj powierzyła dziatwę w opiekę. Już więc najgłówniejsza rzecz zrobiona, już jest podstawa domowego szczęścia, bo będzie pokój i porządek w domu. Ogół dozoru powinien zawsze zostać przy matce, ale bez takiej wyręczycielki, bez takiej światłej opiekunki i pomocniczki, żadna obejść się nie może. Fałszywie sądzą niektórzy rodzice, iż na takie miejsce najwłaściwiej jest wybierać cudzoziemki; ja myślę, że przedewszystkiem trzeba czuwać nad moralném prowadzeniem, a obca bona nie zdoła nigdy pojąć tak naszych żądań, zwyczajów i potrzeb, aby kierownictwo jęj odpowiedziało ogólnemu usposobieniu domu i rodziny; są pewne odcienia narodowe, które się zatrzeć nie dają, a przytem tak młode dzieci, jeszcze nawet dobrze swoim językiem nie mówią, jakże można wyłamywać ich mowę cudzoziemskimi wyrazami.

Rzucam ci tu, kochana Maryniu, te uboczne uwagi, bo one są streszczeniem długich rozmów moich z Anną, a zatem jakby rachunkiem przed tobą z mojęj nowęj, a ciężkięj pracy macierzyńskięj; zwycięstwo jednak, jak rzekłam, przy mnie zostało, a zostało tak łatwo, tak nieznacznie, iż przekonana w końcu zdawała się

przekonywającą... Anna sama napisała list do Joanny, aby ją jak najprędzej stanowczo zdecydować... Od kilku dni jest u nas— uradowała się widokiem drogich miejsc i osób, cieszy się z nami jak z rodziną, a Julian widzi w jej przybyciu rękojmią spokojności domowej i zdrowia żony. Oh bo to jeszcze z dawnego świata osoba, że tak powiem. ona nigdy nie zapomina o warunkach swego położenia, nigdy nie narzuca swój woli rodzicom, tylko miłością i poświęceniem umie tak wmówić w nich swoje chęci i zamiary, że niepodobna się oprzeć jej słodkiej perswazyi. Czy pamiętasz Maryniu ową Ewusię, która nas wychowała, to drugi egzemplarz tej doskonałej pomocnicy. tej wspólnej opiekunki nad maleńką dziatwą; takie typy żyją, jakby na wzór teraźniejszemu pokoleniu, a nasza Ewusia, czyli panna Ewa, jak ją nazywałyśmy, staruszczenka zawsze w czerstwem zdrowiu, bawi przy mojej starszej córce, i doniosę ci o niej, jak tam pojedę. Tymczasem do przyszłej naszej rozmowy.

L I S T V.

Nie omyliłam się w mych nadziejach, skutki przeszły nawet moje oczekiwania. Joanna umiała tak zręcznie wyperswadować moją synowój, że ją we wszystkim zastąpić potrafi, iż powoli coraz mniej bywa w pokoju dziecinnym, coraz spokojniejsze przepędza noce, nie przerywając ich, jak zwykle wstawaniem do płaczących i upartych malców, które z przywyknienia o jednej budzą się jeszcze godzinie i matki wołają. Rady doktora, potrzeba wypoczynku, przyszły nam tu w pomoc, tak, iż nakoniec nie stawiając się nigdy w charakterze powagi, nie przybierając nakażnej postaci matki, nie zdradziwszy nawet moich najżywszych życzeń, ujrzałam się u ich celu, wydzwignęłam Annę z drobiazgowości, i nadzieja szczęśliwszego pożycia syna zajaśniała przedemną! Ale to dopiero nadzieja, wiele, bardzo wiele jeszcze pozostaje do czynienia. Odsunęłam od Anny okazyję do jednej wyłączości, lecz czyż będzie to odsunięcie stanowczem, czyż się nie znajdą inne pokusy, które przy słabem rozwinięciu umysłowem, przy miernej bardzo ochocie do wyższych

zająć, mogą znów zagarnąć życie — a przytem, jestże to już towarzysza odpowiednia Julianowi, czyż brak zajęcia nie uczyni ją nudniejszą jeszcze.

Takie to myśli dręczyły mię po kolei, a na wszystkie jedna znajdowała się odpowiedź: próbuj, działaj, pracuj, i sprobowałam. Doktor kazał Annie często używać przechadzki, lubo bardzo jeszcze powolnej i przerywanej spoczynkiem, siadywałyśmy więc godzinami na ławce w ogrodzie. a ja czytałam jej coraz nowych polskich powieścio-pisarzy: na każdym miejscu ważniejszem zatrzymując się, jakby od niechcienia, rozważając charaktery i porównując do rzeczywistości. Tak przeszliśmy ulubione mi utwory Kaczkowskiego. Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Sztyrmera, czytając po kolei Jermołę, Grób Nieuczujów, Annuncjatę, Sodalis Maryanus, Szczęście za górami i t. p.

Wymieniam tę ostatnią na końcu, bo ona mi jest najpodobniejszą i najwięcej posłużyła do spełnienia mego celu; ta rodzina, to zacisze domowe, ten wdzięk, jaki właśnie na to zacisze rozlewają kobiety, wszystko to zachwyciło Annę, nasłuchać się nie mogła; wiele ustępów powtarzałyśmy kilkokrotnie, a kiedy zresztem naprowadziłam myśl jej na stosunek tego obrazu do rzeczywistości, kiedy napomknęłam, jak szczęśliwą jest kobieta, która połączyła los swój z człowiekiem umiejącym oceniać jej poświęcenie, wtedy widziałam, że łzy zabłyły jej w oczach, i spojrzała z miłością na nadchodzącego właśnie ku nam Juliana.

Obudziłam więc zapał, obudziłam zajęcie w tej uśpionej duszy: ciekawość jej rosła z każdą kartką, nieraz nie mogła doczekać naszego zejścia, i sama kończyła zaczęta książkę. O jakże wówczas uznawałam ważność tego rodzaju literatury, jak błahemi okazały mi się zarzuty robione przez pedantów, przeciw pisaniu powieści; dzieła poważne i głębokie, nie byłyby nigdy wywarły takiego wpływu na umysł mojej synowej. Nie na każdego można działać przez myśl, serce jest drogą daleko powszechniejszą i pewniejszą. Mieli więc głębokie poczucie potrzeb i charakteru narodu ci, co się tak sumiennie wzięli do uprawy powieści u nas, dążąc do podniesienia obyczajów i oświaty ogólnej, a to tym skuteczniej, że chociaż obudzają życie, nie egzaltują jednak zbyt. Śmiało też używałam tego środka, nie lękając się rozkołysania uczuć w mojej Annie — pokój tam jest, zasady tam są, a że łza wytryśnie, że serce mocniej zabije, że myśl się wzniesie, czyż to występpek, czyż to niebezpieczeństwo? Nie jestże to raczej norma, do której zwyczajne życie zdążać powinno; czyż troszkę tych iluzji niejaskrawych, nie-

gwałtownych, ale poetycznych zawsze. poezją cnoty i wykształcenia będących, czyż trochę, mówię, tych iluzyj życie spełnić nie może, czyż ich nie urzeczywistni nigdy!

Obrazy te widocznie rozpromieniają bladą jeszcze twarz Anny, nadają jej wyraz głębszy i myślący; czasami nawet wznosi się do uwag i sądów bardzo trafnych: i tak na przykład w tém *Szczęściu za górami*, które dwa razy przeczytałyśmy, osądziła, że autor nierównie piękniej i staranniej obrobił część pierwszą, niż przeciwną jej część drugą, która przedstawia szczęście wśród świata, a raczej urok jego niezwyczężony. To obłąkanie młodzieńca nie ma żadnej podstawy, prawie żadnego celu, i niczém usprawiedliwione być nie może, chyba niemocą i podłością charakteru. Są w istocie widoki śmielsze, są straszne pragnienia geniuszu, które domowém szczęściem zadowolili się nie mogą, ale tych nie było w duszy bohatera téj powieści; zepsuł on raj ziemski, jaki mu zgotowało anielskie serce dziewicy, dla próżnych marzeń wyobraźni, co gorsza dla najpospolitszych pasyj; nie ma więc całości, nie ma antithezy w tym pomysle, którego połowa jest tak piękna i więcej jeszcze może wykończona, niż wszystkie inne utwory tego pisarza.

Tak to pracowałam powoli, pomagając tylko umysłowi Anny, kierując myśl jej niespostrzeżenie, niewyraźnie. I w tém właśnie leżał dla mnie cały wdzięk téj roboty, życie rosło w moich oczach, jak pod ciepłym słońcem wychodzi trawka zielona, chociaż słońce jej nie dotknie, nie poruszy; serce matki było tém ciepłem, ono zgadywało co czynić potrzeba, jakie strony ogrzać, rozmiękczyć. Pierwszy to zarys dopiero, pierwsza podstawa, ale już i to wiele, bo ujrzała świat idealny, bo zateśkniła za nim, bo ma miarę od-tąd, która jej wszelką poziomość właściwie ocenić dozwoli. Dziwna jest rozmaitość potrzeb duszy człowieka; są kobiety, które raczej odrywać trzeba od ideału, sprowadzać na drogę rzeczywistego życia, podczas kiedy inne toną w nim zupełnie. Mnie się jednak zdaje, że taka idealność, która praktyczności szkodzi, nie jest prawdziwą idealnością, prawdziwą poezją duszy; kto kocha piękno, znajdzie go wszędzie, szuka go wszędzie, a szukając, pragnie wypełniać i zastosować, a więc tworzy, spełnia dobro, aby było piękno; jedno i drugie tak się wówczas łączy w sercu, że ich rozerwać niepodobna. Perspektywa tylko moralna, o której wyżej mówiłam, nigdy z przed oka ginąć nie powinna; są rzeczy większe i mniejsze, są ogólne strony w praktycznym życiu, których zawsze dotykać potrzeba, aby całość brzmiała zgodnie, ale są kółka w machinie, które innym pracownikom zostawić powinniśmy, żeby i oni z godno-

ścią i swobodą działalność swoją rozwijać mogli, a my ku wyższemu celom mieli czas zdążać. To ja chciałabym wpoić niejako w Annę, to napomykam jej codziennie w ubocznych niewyraźnych, a przecież dobrze zastosowanych uwagach, już to chwając jej postępowanie dzisiejsze, jużto zwracając jej uwagę na inne podobne przykłady, jużto nakoniec zapewniając, że tak zawsze myślał Julian, że taki sposób postępowania będzie mu najmilszy. I nie oddaliłam się w tém od prawdy: ojciec bowiem jego, a drogi mój Stanisław, jak we wszystkim, tak i w tém miał wyższe, niepospolite pojęcie. Nieraz w rozmowie towarzyskiej ktoś utrzymywał, że edukacja kobiet polskich pod względem praktyczności jest niezmiernie zaniedbaną, on stawał w naszej obronie, mówiąc, że z tą kwestyją dzieje się coś podobnego, jak z naszą historyją. Zarzucają przodkom naszym, że nie umieli naginać się dosyć do porządku, a ja bym powiedział, dodawał on, że oni tylko nie umieli równoważyć wysokim swoich idei, uznaniem pewnych konieczności państwowych, bez których byt narodu, choćby najbardziej rozwiniętego utrzymać się nie może. Tak samo dzieje się z niepraktycznością kobiet polskich, one pojęły, i lepiej, niż kobiety wszystkich innych krajów, że materialne zajęcia nie powinny pochłaniać duchowego życia, ale tego nie pojęły, a przynajmniej nie wszystkie, że nie przechodząc do obyczajów niemieckich, pod tym względem, (czegobym ja wcale stosunkowo do nas, postepem nie nazwał.) można jednak uznać pewne konieczności bytu materialnego, pewne prace niezbędne — i z góry mądrze kierować całą machiną domowego zarządu, na zasadzie téj perspektywy moralnej, o której wyżej mówiłam.

Oto są zdania, które słyshał Julian od dzieciństwa, i które ja starałam się zastosowywać, podług wskazań mego drogiego przewodnika. Nie jestem wcale przeciwna praktyczności, nie lubię egzaltacyi, przeciwnie, byłabym za tém, żeby kobiety nasze nietylko później w zastosowaniu, ale nawet wcześniej, w czasie nauk, uczyły się gospodarstwa, równie jak rachunków — ale wraz z moim Stanisławem kładę na pierwszym rzędzie, ugodnienie duchowe, pracę umysłową, słowem wszystko to, co kobietę czyni prawdziwą towarzyszką wykształconego męża. Lecz odstąpiłam cokolwiek od przedmiotu, a to dla tego jedynie, abyś nie myślała, kochana siostrze, że nadaję zbyt oderwany, idealny kierunek charakterowi mojej synowej. Naprzód, byłoby to niepodobiestwem w obec jej usposobienia; powtóre, widzisz ze słów moich, że uniem uwzględnić tę ważną i piękną stronę, którą nazywają praktycznością w kobiecie, tylko nie chciałabym, żeby ona w pospolitosc i pozio-

mość nas wprowadzała. Dodajmy tu jeszcze, (co też starałam się wpoić w Annę), że dobry podział czasu, wszystkiemu najlepiej zaradzić potrafi. Zbyttnia systematyczność jest szkodliwą, ale pewne, stałe podzielenie zatrudnień, równie godzi się z potrzebami rzeczywistości, jak z dążeniem wyższego umysłu. Lecz i podział ten znów, tak samo jak ustopniowanie zatrudnień, wynika jedynie z rozwinięcia umysłowego w kobiecie. Powtarzam więc, Anna wszystko zyskała, skoro obudziła się w niej refleksyja i gust do pożytecznego czytania, i poczucia ideału.

Na uwieńczenie pracy naszej zostawiłam przesłiczną powieść, która więcej jeszcze, jak *Szczęście za górami*, odpowiadała zamiarom moim względem Anny. Znasz zapewne siostrę *Kłopoty starego komendanta* przez Wilczyńskiego. Nie wiem dla czego powieść ta nie ma takiego rozgłosu, na jaki zasługuje równie w całości, jak w pięknych szczegółach swoich. O całość jednak mi nie szło, nie była to chwila, w której zacna postać starego komendanta mogła być przez moją czytelniczkę właściwie ocenioną — mnie zajmowały przedewszystkiem doskonale typy dwóch niewiast, matki i córki, skreślone z niepospolitym talentem, i na nie zwróciłam uwagę Anny. Ta żona pełna uczucia, taktu i rozumu, pozornie zawojowana, a zawsze zawsze rządząca; ta cicha władczyni wypadków i woli męża, a spełniająca swoje władztwo z takim poświęceniem, z taką miłością, że cienia osobistości zarzucić jej nie można; to wszystko, mówię, dziwne budzi uwielbienie, i dziwnie działa na charakter kobiety. Przez jakież to tysiączne okoliczności, a zwyczajne, a pospolite, a naturalne, przeprowadził autor te przymioty żony i matki? zdaje się, że kreślił ten obraz z natury, chociaż rzeczywiście musiał pozbierać z wielu wzorów, aby taki obraz utworzyć. Na tém zakończyliśmy nasze czytanie. Nie chciałam zacierać wrażenia, jakie ta powieść zostawiła w Annie, nowym przedmiotem — chciałam, żeby rysy główne, stawionej tam niewiasty, wcieliły się niejako w synowę moją, a tymczasem inne bardziej naglące zajmą mnie trudności.

L I S T VI.

O tak są, i będą jeszcze trudności. Julian znów mi był posmutniał, czoło jego na chwilkę wypogodzone, pochmurzyło się. Za

długo był smutnym i samotnym, zanadto zwątpił o szczęściu domowém, aby te pierwsze usiłowania moje, mogły go stanowczo orzeźwić. Jeszcze potrzeba odwracać jego uwagę, jeszcze zajmować go innemi przedmiotami, póki umysł Anny, podniesiony cokolwiek wyższemi myślami, nie wznowi jęj tego uroku, jakim jaśniała dla niego w pierwszych chwilach. Konieczność tę widziałam jasno, ale sposób nie nastreczał się żaden, kiedy nowa okoliczność zastąpiła niejako moje usiłowanie, spełniając moje zamiary stokroć szczęśliwiej, niżbym to sama uczynić mogła. Karol W. towarzysz kilkoletniej podróży Juliana za granicą, zacny i szlachetny młodzieniec, przyjechał umyślnie, aby kilka miesięcy spędzić w towarzystwie mego syna, i zarazem z jego pomocą poszukać sobie wioski, na własność, w naszej okolicy. Znałam go jeszcze dzieckiem. Dziś, jestto mężczyzna pełen zalet i prawdziwej wyższości; a jaki zapał, jaka miłość wszystkiego, co ważne dla ogółu. Sądzę, że zapał ten udzieli się Julianowi. Karol dużo podróżował, a podróżował z pożytkiem, poświęcając się wszędzie poznaniu najważniejszych stron życia społecznego. Pamięta jeszcze, jak przed wyjazdem jego za granicę, mąż mój, który szczególniej był mu życzliwym, przygotowywał go po ojcowsku na tę podróż, aby ona odbyła się wedle myśli jego, to jest z pożytkiem kraju i wyrobieniem charakteru. Spełnił we wszystkim rady doświadczonego przyjaciela, a dziś, dzieli się owocem swych badań z synem jego. Lecz nie myśl, że czyni to z rozmysłem, z jakimś nastrojem pedagogicznym; zbyt on jest skromny, aby przybierał charakter mistrza, tak niewłaściwy młodemu człowiekowi. Nauczycielstwo to spełnia się mimowolnie, bo słuchając go, niepodobna się nie zająć, nie ożywić i nie uczuć chęci do działania pożytecznego. Widzę, że dobre to ziarno padło już w duszę Juliana; mierzy ono się i pasuje z chwastem marnym rozczarowań i tęsknot, które je otaczają – ale zwycięży, jestem tego pewna. i zakwitnie kwiatem nadziei i energii moralnej. Nie odrazu dźwiga się dusza: tysiące przechodzi odmian; wszystkie po kolei są jednostronne, aż ostatnie dopiero przejście, rozpromieni czoło człowieka pokojem i zdrowiem.

Od czasu więc, jak tu bawi Karol, uważam się już za mniej potrzebną Julianowi. Przyjaźń i żywy udział w życiu publiczném, w zadaniach społecznych, to dwa żywioły tak potężne, dźwignie tak wielkie dla młodego, że więcej istotnie nie potrzeba. Pozostawiając więc im dokonanie dzieła, zwróciłam jeszcze uwagę na Annę, aby ustalić skutek mego działania i rozwinąć jeżeli można rzucone podstawy. Dziwny ku temu obrałam środek, powiem ci o nim

w przyszłym liście, a teraz jeszcze słówko o małej dziatwie, która tak niespostrzeżenie uległa zmianom w ogólnym trybie życia, Joanna całe wieczory spędza z nami; dzieci bowiem o dziewiątej kładą się spać, a ja korzystam z tego czasu, aby jęj rzucić niektóre uwagi o pierwotném ich wychowaniu. Myśli moje w tym względzie, na dwóch szczególnie opierają się zasadach, a raczj na jednej, gdyż wszystko pod jedną można podciągnąć nazwę.... Oto pragnę, żeby było *uszanowanie*, uszanowanie dla rodziców, dla starszych, dla guwernantki lub bony, nawet dla służących — a z drugiej strony chcę, żeby *szanowano dziecko*, żeby szanowano w niem *charakter człowieka*. Nie mogę nigdy zapomnieć prześlicznych w tym względzie uwag, w dziele biskupa Dupanloup, o *Edukacji*. Rozdział noszący tytuł: „*uszanowanie dla dziecka*“ jest głębokim pomysłem, najwymowniejszym wyrazem potrzeb wieku naszego, który wszędzie i we wszystkim dąży do usunięcia przemocy. Uszanowanie to, powinno objawiać się nieznacznie, wcielić niejako w postępowanie, przewodniczyć przełożonym, bez wiedzy dziecięcia, ale przewodniczyć nieustannie, w każdym najdrobniejszym czynie. Niepodobna mi tu wyrazić, jak ta zasada rozwija się w praktyce, jak żywotną okazuje się w tysiącznych wypadkach; powiem ci tylko, iż doświadczałam jęj na moich dzieciach, i zawsze okazało się, że to jest najlepsza droga do obudzenia miłości, do rozwinięcia wszystkich władz i do wyrobienia charakteru. Zaufać trzeba duszy ludzkiej, podnieść ją odrazu szacunkiem, a ona sama enda zrobić potrafi. Tak się powinno wychowywać i prowadzić wszelkich maluczkich, tak i jedynie.... Nie idzie zatem, żeby karność zaniedbać: nie, to *druga* niejako podstawa, łącząca się ściśle z pierwszą. Bo na czémże oparte uszanowanie, jeżeli nie na *pojęciu dobra*, które stopniowo powinniśmy rozwijać w dziecku — a na czémże znów powinna się oprzeć władza, powaga, jeżeli nie na témże samém *pojęciu dobra*, którego ona pilnuje, które spełniać uczy, ale nie z dowolnych pobudek, lecz z obowiązku.... Uszanowanie więc, *wzajemne* przełożonych i podwładnych, *uszanowanie*, to podstawa wychowania, to może podstawa społeczeństwa.... Ale tak daleko nie idę, zatrzymując się na moich małych wnuczkach: na miłym Michasiu, milutkięj i grzecznej teraz jak aniołek Julci, na Kaziu i Mani, które nie wiedząc jeszcze, co to jest godność i szacunek, doznają skutków tych zasad w obejściu się z niemi, pełném taktu, powagi i delikatności, panny Joanny.

Nie mogę się nacieszyć, że to Polka; panuje też między nami najzupełniejsze porozumienie i zaufanie, takie, jakiego z cudzoziemką,

choć najświetlejszą, mieć nigdy niepodobna — zawsze bowiem łączy się wtedy jakaś obawa, jakieś mimowolne żenowanie, jakaś troska o to, żeby zwyczaje nasze i charaktery, fałszywie ocenione i zrozumiane nie były. Czemuż to tego tak nie rozumie ogół, czemu nie ma u nas bon polskich, nawet nazwiska na ten rodzaj zawodu — a jednak w tym byłoby tyle dogodności, a takby się to łatwo dało zrobić. Bo wieleż to jest właśnie osób, niekształconych na guvernantkę, ale przedstawiających rękojmią szlachetnego postępowania, rozsądku, a zarazem obznajmionych z początkami nauk. Więcej nie trzeba; światła matka potrafi uzupełnić resztę, do lat kilkunastu. A potem, poznanie reguł języków obcych, przy rozwiniętej już inteligencji, więcej przyniesie korzyści, niż to wczesne paplanie bez rozmysłu, które się tak prędko zapomina, jak nabywa — w każdym zaś razie, jest tylko pozorną biegłością. Wieleż to razy zdarzyło mi się widzieć tak chowane panienki, które nawet listu poprawnie napisać nie mogły. Dawne wieki nie znały tego sposobu, uczenia języków przez wprawę, to też wówczas, nabytek obcej mowy, był w istocie nabytkiem myśli i mówiono nieraz ze słusznością, że ile języków, tyle rozumów człowiek posiada. Dziś, czyż możnaby to wyrzec? *)

L I S T VII.

Obiecałam ci powiedzieć, kochana siostró, jakiego sposobu użyłam do ustalenia w Annie chęci do zajęć umysłowych; jestto ostatnia moja praca u Julianów, a zatem rozciągnę się nad nią co-

*) Chcąc zachować tę biegłość i wymowę francuską nabytą w dzieciństwie, trzeba by ciągle zostawać w towarzystwie cudzoziemców, wśród biegu nauk — co jest niepodobniestwem — albo zatracić w rodzinie zwyczaj mówienia po polsku, co byłoby ciężką winą, inaczej zapomni się wiele. Kiedy przeciwnie, nabywana stopniowo i zasadniczo nauka języków, nigdy się niezapomina — a z pomocą cudzoziemca lub cudzoziemki wykształconej, w końcu nauk, można dojść nawet do piękności i biegłości dostatecznej.

kolwiek. Posiadają oni bogatą bibliotekę po mężu moim, który ją wyłącznie starszemu przekazał synowi, a która dotąd niebyła ułożoną systematycznie. Gromadząc nowe dzieła, Julian pomieszał ład i porządek, w jakim utrzymywał ją mój drogi Stanisław. Otóż ja zajęłam się tą pracą, namówiwszy pierwój Annę, żeby mi w tém pomogła. Rozłożyłyśmy na dużych stołach wszystkie książki; ja klasyfikowałam, a ona spisywała — i znalazła się przy téj pracy tysiączna sposobność do poważnej rozmowy, do ocenienia dzieł obcych i swoich. Jużto rzucając własne zdanie, jakby od niechcienia, jużto cytując sądy Stanisława o książkach spisywanych, starałam się obudzać ciekawość Anny, zbogacać jój umysł wszechstronnemi wiadomościami, słowem dokonywać tego dzieła rozbudzenia, które tak szczęśliwie rozpoczęły nasze *powieści*. I one téż stały się szczególnym przedmiotem naszej troskliwości w téj pracy.

Wszystkie, jakie tylko znajdowały się w bibliotece, ułożyłyśmy w osobnej szafie, a szafę tę umieściłam w gabinecie Anny, aby miała pod ręką ulubionych sobie autorów. Do tego dołączyłyśmy naszych wielkich poetów, oraz co tylko w obcym języku znalazło się właściwem na domowe czytanie. Powieści angielskie, chociaż w przekładzie francuzkim, zaleciłam szczególniej Annie, bo uważam w nich obfite źródło najpiękniejszych natchnień dla rodzinnego życia, i chciałabym, aby jaknajprędzej nastąpiła chwila, w której autorki nasze wezmą się do tego rodzaju. Robota nasza trwała przeszło tydzień, odbywałyśmy ją powoli i sumiennie, a jakże ona była różną od téj, jaką spełniłam niedawno z Julianem. Tam miałam przed sobą duszę zbolełą, syna, tu zaś stała młoda kobieta, pełna nadziei, swobody i ufności, przywiązana do męża z zaślepieniem prawie i coraz godniejsza wzajemnego uczucia. Oby Bóg spełnił te jój nadzieje, oby rozwinęły się te wszystkie zarody, które tak pięknie pojawiają się w jój duszy, oby serce mężczyzny nie zniweczyło téj swobody, która z niczem porównać się nie da. Tego ja pragnę, o to się modłę gorąco do Boga, ogarniając jednem uczuciem syna i synowę — a teraz uspokojona cokolwiek o nich, zamierzam zakończyć mój długi pobyt, i zapewne już nie od Julianów, ale z domu Anielki, młodziej córki mojej, odbierzesz list następny.

DRUGA RODZINA.

L I S T I.

Jestem więc u Anieli. Wiesz siostró kochana, że dziecko to najwięcej mię łez kosztowało, największe obawy zawsze budziło — i nie myliło się w tém uczucie mego serca! Oddana wcześniej pod dozór siostry mego męża, Hrabiny W., odebrała zupełnie różne wychowanie od reszty moich dzieci. Długo sprzeciwiałam się temu, ale Stanisław kochał siostrę niezmiernie; ona żądała tego poświęcenia od nas, dla pociechy swojej starości, a majątek jój stawił widoki wielkiego losu dla naszego dziewczęcia. Mąż mój nie chciał tracić takiej sposobności uszczęśliwienia córki, kiedy wiedział zarazem, że jój tam żadne zgorszenie nie grozi. Musiałam więc uleść jego woli, ale jakże niechętnie! Nie było zgorszenia, nie było najmniejszej lekkości i niebezpieczeństwa dla obyczajów — ale był świat, świat zwany wielkim, była próżność, słowem była próżnia życia, którój ja się zarówno lękam jak zepsucia, bo to tło przyjazne do wszelkiego obrazu, do wszelkich znudzeń i namiętności, jakie tylko rozkołysana dusza nakreślić zamierzy. Szczęściem, że Aniela nie miała charakteru usposabiającego do przyjmowania tych szkodliwych wpływów. Jestto istota cicha, nie rozbudzona, jakaś nawpółsenna, około którój wszystko może przejść niespostrzeżenie; ma wiele cnót, ale nie wie, że je posiada, bo z niczego sobie sprawy nie zdaje. Powolna i łagodna, z wdzięków swoich nawet nie umiała nigdy korzystać, tak, jakby to uczyniła na jój miejscu kobieta więcej myśląca i samodzielna. Poznawszy te usposobienia w córce mojej, mniej zaczęłam lękać się o nią. W istocie pierwsza część jój pobytu u ciotki, zesłała dość szczęśliwie i spokojnie: pracowała nad ukończeniem edukacyi, kształciła się w talentach, nabrała poluru i układu, o któryj najwięcej szło jój opiekunce. Ale w drugiej połowie roku, po ukończeniu tych przygotowawczych ćwiczeń, siostra nasza wprowadziła ją w świat, otworzyła salon dla młodzieży, która znęcona nadzieją majątku i wdziękami Anieli,

tłumnie otaczać ją zaczęła. Nie wpłynęło to bynajmniej na obudzenie jęj umysłu; jakaś apatyja przyrodzona, niczem pokonać się niedająca, czyniła wszystkie te ich zabiegi prawie obojętnymi. Jeżeli czego obawiać się można było, to jedynie braku woli i samodzielności w wyborze: śpiąca bowiem ta dusza, naturalnie garnęła się pod rozkazy ciotki, i jęj wolą żyła we wszystkim. Dziwném jednak, a opatrzniém zrządzeniem Nieba, Aniela uległa tylko być mogła co do losu; światowość zaś i lekkomyślność ją otaczająca, zarówno rozbijały się o jęj apatyję, jak hołdy otaczających ją wielbicieli. Obojętna na wszystkich i na wszystko, żyła w senném odurzeniu i niepodobna było przypuścić, aby kiedy do wyboru jęj dołączyło się żywe uczucie — ale wszystko nakazywało sądzić, że wybór ciotki będzie stanowczym. Tak się téż stało. W salonie arystokratycznym. siostry naszej, było wielu młodych ludzi, którzy po młodości w zbytkach przepędzonej, szukali ratunku dla swęj pozycyi, w bogatem małżeństwie. Jeden z takich, książę W., wczesnie zobojętniały na wszystko, umiejący jednak grać rolę zakochanego, kiedy tego okoliczności wymagały, potrafił zyskać życzliwość opiekunki Aniela, a więc i jęj miłość. Miłość, nie tę, jaką my pojmujemy. wielką, samowiedną, wzniosłą, ale miłość składającą się z pociągu towarzyskiego, z uroku wielkiego imienia i wdzięczności za uwielbienie, które się w tysiączny sposób i tak zręcznie objawiało. Biedne dziewczę moje, uchwycone zostało w tę sieć sztucznie połączonych ponęt, i zanim ja zdołałam przyjść na jęj ratunek, już rzeczy były postanowione, skończone. Odwołano się do nas po ostateczną sankcyją, ale rzeczywiście tylko dla formy. Hrabina bowiem pewną była zezwolenia brata, a mój głos, jakkolwiek we wszystkim szanowany przez męża, w tém jedniém musiał zamilknąć. Przyznać téż należy, że pozory dość były zachęcające: mówiono powszechnie, że książę W. opuścił zupełnie życie rozpustne, że postanowił odmienić tryb postępowania, i ojcu swemu najuroczystsze pod tym względem złożył przyrzeczenie. Była także rekojmia w słodyczy i łagodności jego charakteru — przymioty te bowiem ogólnie mu były przyznawane, i w całej epoce jego młodzięńczych zbroceń, nie było ani jednego rysu, któryby zdradzał zły charakter, lub złośliwe usposobienie. Przystaliśmy więc — a siostra uszczęśliwiona z tego, wynagrodziła naszą uległość zapisem całego majątku Aniela. U nięj téż odbył się ślub, ze świetnością godną jęj położenia, i natychmiast potem książę wywiózł Anielkę do dóbr swoich. Odtąd niewidziałam jęj wcale. Pisywała tylko do nas, a choroba męża i śmierć niespodziana, tak okropnie wstrzą-

snęły mojem życiem, że zapomniałam o troskach i obawach codziennych. Podczas pobytu przy tobie nawet, kochana siostró, mało mogłam dowiedzieć się o poźyciu Anielki — w listach bowiem zawsze malowała się ta sama apatyja i senna moralna, która dla mnie równie uspokojenia, jak smutku była źródłem. Przekonaasz się, droga Maryniu, że dobrze uczynił Bóg, dając jój takie usposobienie; dla każdej bowiem innej osoby położenie, w jakim ją zastałam, byłoby do niezniesienia. Mieszkają w dobrach rodzinnych na Wołyniu; obszar niezmierny włości ich otacza, a lubo stan majątku nie jest tak kwitnący, jakby mógł być przy dobrem urządzeniu, z pomocą jednak ogromnego kapitału, którego im ciotka Anieli użyczyła, obfitują w zamożność prawdziwie magnacką. Ale moralna strona jój losu nie odpowiada bynajmniej materyalnej. Książę w kilka miesięcy po ślubie wrócił do dawnego sposobu życia: prześiaduje ciągle w Warszawie; a lubo cicha i niepodejrzliwa Anielka nie zna jeszcze dobrze swego opuszczenia, istotnie jednak powiedzieć można, że jest zupełnie opuszczoną. Mieszka tu ze starym księciem, ojcem męża, człowiekiem pełnym zalet towarzyskich i uprzejmości dla synowej, ale bez żadnego wpływu na syna. Oboje, żona i ojciec, uwiedzeni są swobodą i pozorną szczerością młodego księcia, który w częstych listach przedstawia konieczność pobytu swego w stolicy, dla interesów prawnych, w najtkliwszych wyrazach malując im swoją tęsknotę. Jestto jeszcze zawsze coś, kochana siostró; ludzie jego pozycyi, błędzą bez uniewinnienia się nawet, bez żadnej uwagi na zadane cierpienia. To też nie otwierałam wcale oczu, ani ojcu, ani żonie odurzonej, chociaż, z wiarogodnych źródeł, mam najdokładniejsze doniesienia o prowadzeniu się księcia. O! czemuż odśłaniać, co sam Bóg zakrywa; czemuż ranić serce kobiety, która i tak dość naciierpi się w życiu. W przyszłym liście doniosę ci, jakie będą dalsze moje spostrzeżenia i ciche jak zawsze macierzyńskie starania.

L I S T II.

Wspomniałam w ostatnim liście o ojcu młodego księcia. Miły ten, łagodny staruszek, obudził całą moją sympatyją. Niepodobna

nawet przypuścić, aby z tak wielkiem doświadczeniem i rozumem nie domyślał się prawdy, co do postępowania syna, tym bardziej, że już nieraz miał sposobność poznać jego usposobienie — ale widocznie odurza się dobrowolnie, może dla tego właśnie, aby oddać wszelkie podejrzenie, i nie zakłócić niczem młodej synowej, którą kocha prawdziwie ojcowskim uczuciem. Jestto wielki lubownik sztuk pięknych; posiada ogromną galeryą obrazów; oprócz tego ma bogatą bibliotekę, która mianowicie pod względem rękopismów, zawiera niezrównane skarby. Przechodząc się po tym wspaniałym zamku, zdaje mi się czasem, że żyję w średnich wiekach, albo przynajmniej jestem w tém arystokratycznym schronieniu, które tak wspaniale opisał Zygmunt Krasincki, w swojej Nieboskiej Komedji. Ta wieża wspaniała, na którą się wstępuje licznymi a wężkimi schodkami, a w niej znów ta zbrojownia, gdzie pamiątki rycerstwa przodków obficie zebrane, wszystko to robi dziwne wrażenie na człowieku dziewiętnastego stulecia, który przywykł do rękojmy praw i swobód społecznych. Krążę téż po tym gmachu od rana do wieczora; zwiedzam, rozważam, a wszędzie towarzyszy mi niezmordowany książę, który jest najwymowniejszym *cicerone* swoich skarbów. On rad, że znalazł amatora, dzielącego jego zamiłowanie. Dawno już nie miał téj pociechy: syn bowiem, lubo wykształcony, zobojętniał na wszystko, wśród rozpustnego życia, Aniela zaś, z charakterem, jaki ci opisałam, niezdolną jest podzielać takiego zapału. Na szczęście, on się tego niedomyśla; słodycz i dobroć jęj zasłoniły przed nim uboższe strony jęj natury, a przytem obojętność ta, usprawiedliwia się stokrotnie trwogą o życie dziecięcia, trzechletniej córeczki, która dotąd jeszcze chodzić nie może. Książę pojmuje całą jęj boleść, i wraz z nami ciągle przemyśla, jakimby sposobem wzmocnić siły téj drogięj istotki. Widocznie jestto choroba skryfaliczna, która grozi ważnemi następstwami, jeżeli jęj wcześniej rozsądna kuracyja nie potłumi. Dla tego téż, po długiej naradzie z księciem, osądziłyśmy, iż trzeba wszystko opisać memu zięciowi Władysławowi, który jest mężem mojęj starszjęj córki, a zarazem bardzo znakomitym lekarzem. Oczekiwać będziem jego odpowiedzi, a tymczasem troskliwe oko matki poszuka dróg nieznaných, aby sprowadzić szczęście i pokój, w tak bardzo już zachwiane pożycie córki.

L I S T III.

Szukam dróg tych, droga Maryniu, ale ich znaleźć nie mogę. List do Władysława, wysłany; dziecko, w skutek rad moich i doświadczonych starań, zaczyna być czerstwiejsze — ale o zięciu coraz smutniejsze wieści. Mówią, że przegrał znaczne summy, które grożą zupełnem obdłużeniem dóbr, spokojnie przez moją biedną biedną córkę zamieszkiwanych! Wieści te, tym bardziej są zatrważające, że cały posag Anielki oddany został do rąk księcia, którego delikatności siostra nasza pozostawiła późniejsze tój summy za hipotekowanie. Umarła ona, jak wiiesz, w przeszłym roku, a śmierć jej niszczy wszelki ślad tego długu, na którym cała przyszłość dziecka mego jest oparta. Jedyne ratunek widzę w zgłoszeniu się do stryja mego zięcia, księcia Stefana, który lubo bawi ciągle w Paryżu, na ślubie synowca był jednak obecnym, i okazał się prawdziwie szlachetnym człowiekiem. Usilną wolą jego wówczas było, zapewnienie posagu Anielki na dobrach księcia — i gdyby nie słabość hrabiny, prawna ta rękojmia byłaby przyszła niezawodnie do skutku. On więc pojmie moją obawę; on pośpieszy z radą i pomocą, a jako młodszy znacznie od brata i pełen energii w charakterze, obmyśli jakiś stanowczy środek, na uchronienie synowca od nieochybnój zguby.

Nie mówiłam ci nie jeszcze o jednym bawiącym tu gościu, który jednostajność dni naszych bardzo mile urozmaica. Jest to młdy artysta — malarz, którego książę sprowadził dla uporządkowania swojej bogatej galerii. Zrazu był tak zatrudniony swoją pracą, iż mało udzielał się towarzystwu, śpiesząc ze spisywaniem licznego zbioru — od kilku dni już jest wolniejszy, porządkowanie zbliża się do końca, mamy więc sposobność widywać go często, mianowicie wieczorem przy herbacie. Jestto młodzieniec pełen zapału i czucia artystycznego; podróżował wiele i z prawdziwym pożytkiem, pragnie nawet jeszcze przepędzić lat kilka we Włoszech, a następnie w Paryżu, aby talent swój udoskonalić — należy on bowiem do rzędu tych ludzi, którzy wysoko pojęli cel sztuki, i dążą do raz pojętego ideału, wszelkimi siłami. Pojmujesz, droga Maryniu, jak przyjemną jest rozmowa z takim człowiekiem, mianowicie w starym, ponurym zamku, w zupełnem prawie zamknięciu. Książę umie oceniać wartość takiego towarzystwa, i coraz więcej

przekonywam się o wysokiem jego wykształceniu, patrząc na pełne szlachetności obejście z tym młodym człowiekiem. Nie ma tu cienia pychy; wszelkie konwencyje arystokratyczne znikają w obec zasługi i talentu; jest równość i szacunek, a delikatne i wytworne formy obcowania, ustępują miejsca szczerój i pocziwój poufności. Przyznaj Maryniu, że to jest rys rzadki w charakterze człowieka, który wiekiem sięga dalekiej przeszłości, a świetnem imieniem równa się pierwszym magnatom w kraju. Ta swoboda, jaką książę zaprowadził, dziwnie wpływa na ożywienie całego naszego towarzystwa; każdy mówi, co mu przyjdzie do myśli; massa wzajemnych wiadomości, spostrzeżeń, głębokich poglądów, krąży co wieczór w naszym małym kółku, tak, że można je nazwać prawdziwie wybranem. Nawet Aniela moja ożywiła się cokolwiek; w głosie jęj jest uczucie, którego dawniej nie spostrzegałam; wyraz twarzy nabrał wdzięku nieporównanego, i sędzę, że gdyby tak dłużej potrwalo, przemieniłaby się cała istota.... Ale czy pragnąć tego potrzeba, czy dozwolić na to?... Och! kochana Maryniu, dziwna to walka serca matki. Widzę, jak budzi się człowiek, jak kształci się dusza, jak ożywia czucie, które pod ręką moją ożyć nie chciało — a ja lękam się tęg przemiany; ja ją może zatrzymam w najpiękniejszym rozwoju... bo po cóż dążenia, kiedy ich zadowolnić nie można; po co zapał, kiedy życie tak ubogie. O czemuż to w życiu domowem tak mało ludzie znajdują szczęścia, czemu tak mało weń składają ze skarbów ducha i serca! A jakby one tam wzrastały pięknie, jakby zdobiły zakres domowy! tak, że każdy dający, odbierałby stokrotnie w darach wspólnych. Ale kiedyż to kółko domowe w taki sposób pojętem będzie!

L I S T IV.

Ostatni list odbierasz ztąd, kochana siostró. Jutro wyjeżdżamy do Władysławów. Odebraliśmy list od niego, pełen życzeń i rad najważniejszych — ale ja wolę spełnić je pod okiem tak biegłego doktora. W chorobie zadawnionej więćj znaczy pokierowanie hygieniczne, niż leczenie; a możnaż odgadnąć wszystkie od-

cienia wpływów dobroczynnych lub szkodliwych, bez tój znajomości organizmu człowieka, jaką posiada znakomity lekarz.

Wyjedziemy więc. Żal mi tylko staruszka, który tak był z nami szczęśliwy; ale on sam się pociesza nadzieją wyleczenia wnuczki, która jest jego najdroższą pieszczotą; a przytém zostanie mu towarzystwo malarza, gdyż właśnie nowe polecił mu roboty, to jest przekopiowanie kilku obrazów mistrzów włoskich, które są brata jego własnością. Do powitania więc u Władysławów. A teraz załączam jeszcze obiecany dawniej ustęp z prac Stanisława, męża mego, który wolnym czasem przepisałam tu dla ciebie. Są to jego uwagi nad historią Polską, jakby *pomysły do filozofii dziejów*; wiem, jak lubisz ten przedmiot, postanowiłam więc nie czekać powrotu mego, aby ci to pismo zakomunikować.

Myśli o dziejach naszych.

Wiele rozmaitych uczyniono zarzutów naszój przeszłości. Jedne są słuszne, drugie przesadzone; wszystkie zaś podług mnie, dadzą się odnieść do jednej głównej winy, o którój jednak dotąd nikt nie mówił — owszem, zdaje się, że wszystkie rozumowania wskazują powody złego, właśnie w przeciwnym źródle. Mówią nam, żeśmy nie byli praktyczni, żeśmy warunków bytu państwowego nie zachowali. Zgadzam się na ostatnie, ale bynajmniej nie na pierwsze; zapoznaliśmy je właśnie dla tego, żeśmy byli za praktyczni, a nie dość racjonalni. Czyn jest podziałem ludu naszego, cechą słowiańszczyzny naszój; myśl nie urosła jeszcze u nas do energii czynu — i ztąd wszystko złe, które nas spotkało. Teorya nie wskazywała nas nigdy; pomysły nasze były zawsze okolicznościowe, co właśnie nam mniej, niż innym narodom było właściwe. Zachodnie ludy w oprawie feudalizmu i całej państwowej budowy, jaką przyjęły od Rzymian, miały myśl odrazu wcieloną niejako w instytucje; istniały jakby w ramach naprzód przygotowanych, kiedy nam ludom, sielskim i nowym, trzeba było samodzielności, rozmyśla, teoryi własnej. Myśmy szli osobnemi drogami; nasza tradycja nie była tradycją feudalną. A jednak, te ludy nieubezpieczając się na tój narzuconój oprawie, uprawiały myśl bez-

względnie od potrzeb czasowych, i miejscowych wydawały myślicieli, polityków, statystów, których dzieła stały się nauką dla całego świata. W tém ich wyższość nad nami, i w tém tajemnica ich wzrostu. Bakon, Monteskiusz, Machiawel Vico, Grocius, Leibnitz, Kartezjusz więcej przyczynili się do zachowania swoich ludów, jak wszelkie zwycięstwa na polu walki, jak przebiegłości i zabiegi dyplomatyczne. Myśmy pogardzali temi ostatnimi — i to nam zaszczyt czyni; ale obojętność na teorię, niechęć do umiejętności oderwanych, brak ludzi samotnie służących nauce dla niej samej, niewyrobienie w łonie narodu żywiołów czysto-duchowych, filozoficznych, to są strony *ujemne*, których nie mogły zastąpić rycerskie przymioty naszych przodków. ani ich energia w zajmowaniu się sprawą publiczną, a nawet poświęcenie bez granic, jakiego dali dowody *). Wszystko co skupia ducha, daje zarazem siły, mnoży je stokrotnie; a jedno takie ognisko rzuca promienie na rozległą przestrzeń; wszelkie drogi praktyczne rozwidniają się przy tém świetle. Nie myślmy, żeby badania uczone nie miały związku z życiem publiczném; wszystko się trzyma w duchowej sferze, a sama już chwała i powaga naukowa, jaka wynika z takich badań, czyż nie stanowi osłony dla społeczeństw, mogących się poszczycić myślicielami! Nic nie skupia tak ducha narodowego, jak zapracowana wiedza. Myśmy o tém zapomnieli; idąc za popędem natury naszej, żyliśmy głównie czynem. Czyn ten bywał wielki, świetny, często niezrównany, ale wynikał prawie zawsze z luźnych pomysłów, że tak powiem, nie miał podstawy jednolitej, i tak marnowały się niekiedy największe skarby heroizmu, pracy i męztwa. Empiryzm nie zbawia narodów, a mianowicie narodów, których słowem dziejowém jest samodzielność; które przeznaczone są ze swój natury, wyrabiać sobie kształty politycznej budowy własnym usiłowaniem. Oto patrzę w tój chwili na dzieło leżące przedemną „*Prawo polityczne narodu Polskiego*“ Skrzetuskiego. Widzę tam budynek wspinały — duch narodu działał tu silnie, wieki ułożyły zarys harmonijny. Czemuż nikt nie miał tajemnicy tego słowa, nikt nie spisał prac ducha dziejowego w filozoficznym porządku, nikt nie odniósł ich do ogólnych zasad filozoficznego pojęcia prawa, na którym wszelkie prawa ludzkie powinny być oparte. Tamby się były znalazły wskazania, jak dalej działać, jak prowadzić budowę, którą rozpoczął duch narodowy, jak połączyć tradycję z prawdą bezwzględną, jak prostować pierwszą przez drugą, a modyfikować drugą przez pierwszą (co jest zadaniem konieczném każdego ludu).

Myśmy szli szlakiem tradycyi, słuchaliśmy jój głosu i nauki ojców, aby z niej tworzyć pieśń życia, która miała mieć moc zaklęcia wszelkich potęg przeciwnych... Tak, miała ona tę moc, ale dopóty, dopóki potrzeby narodu nie rozrosły się tak szeroko, iż cud pieśni i tradycyi objąć ich nie mógł, iż zadanie narodowe przeszło sferę poezyi i bezpośrednich natchnień, a wkroczyło w sferę myśli, rozmysłu, teoryi.

Taką chwilę każdy myślący człowiek zdoła oznaczyć w życiu narodu. Jestto właśnie epoka, w której przestają działać potęgi natury: nie brzmi już pieśń ludowa, nie mnożą się wielkie czyny bohaterów, bo ich nie budzi już tak, niebezpieczeństwo zewnętrzne. Na wewnątrz obraca się cała żywotność i tu to tłumaczy się znaczenie Słowa narodowego. Żyje ono zawsze, ale z początku działa samo, niesie na swych rękach niejako kolebkę ludu, dopiero kiedy dziecię — lud wyrosnie na męża, mąż ten myślą samodzielną wspierać powinien Słowo, czyli ten pewny zbiór sił wewnętrznych i warunków zewnętrznych, dany narodowi na rozwój i wzrost osobny w rodzinie ludów. Mąż — lud, to wiedza narodowa, nabyta, o której mówiłem wyżej, a która w tysiączne rozwijając się konary pnia, jednak głównie pilnować powinna myśli zasadniczej rodzimiej. Tu już wykrzyknie może czytelnik zdumiony, tu on mnie czekał, tu właśnie on chciał mi wskazać wielkie utwory poetów naszych, olbrzymie siły poezyi spadłe na naszą ziemię. Czyż one nie staną za wszystkie czcze badania, czy nie więcej w nich życia, jak w martwych rozumowaniach? Tak mówi do mnie instynkt narodowy, poetyczny, ale nie lubiący medytować, bystry i genialny w czynach, ale nie pracowity, nie filozoficzny. Ja mu odpowiadam: pieśń natchnień dana nam w nowych czasach, jest istotnie cudownym darem nieba, ona wiele zastąpić może, ona jest tak wysoką, że prawie wiedzą nazwać ją można, ona orzekła cudownie przeszłość, wskazała nowe drogi. Ale jój działanie, to znów działanie bezwiedne, natchnione, ona nie chce mierzyć się z zasadami ogólnemi, jak farys leci w przestrzenie, o warunki rzeczywiste nie pyta, bo był jój duchowy, nieśmiertelny, nie zna tych warunków.

Myśl dopiero wydobywa z niej skarby ukryte, i wynosi je na widownię, myśl tylko daje życie, prawdę i siłę.

„Życie narodu zależy na ideach, których rozwój powierzyła mu światem kierująca Opatrzność. Idee te jako myśl Opatrzności są wieczne, a powierzone są narodowi celem wypielegnowania i urzeczywistnienia ich na widowni świata. Naród nie pojmuje ich od-

razu — ale jest duch, który je może i ma rozwinać. Zrazu naród postępuje instynktowo, aż doszedłszy do samowiedzy, staje się godnym tychże idei reprezentantem. Drogę tę wiodącą do samowiedzy, nazywamy *postępem narodu*. Więc idee są źródłem życia narodu, idee stanowią istotę jego historycznego bytu, i one pokrzepiają i wspierają naród żywotnością swoją, tchnieniem bożem, na drodze pracowitego, a ciernistego nieraz postępu; a naród im dokładniej poznaje źródło swego życia, źródło życiodawcze i zachowawcze, tém więcej szlachetniej umysł jego, tém wyższe zajmie stanowisko w szeregu narodów dziejowych.

Formy szajwyższe, w które duch się przyobleka, są idee *dobra, piękna i prawdy*. Duch pojedynczego człowieka posiada trzy władze, za pomocą których dąży do rzeczonych ideałów; władze te są: wola, uczucie — myśl.

Wola kierująca się podług zrozumianej idei *dobra*, manifestuje się jako *religia*.

Uczucie dążące do urzeczywistnienia *piękna* objawia się na zewnątrz, jako *sztuka*.

Myśl odbijająca się w zwierciadle *prawdy*, tworzy *umiejętności*.

Więc téż idea narodu — naród trzema temi szlakami — trzema głównymi drogami dobija się w świat czasowy — w świat historyczny.

Im więc naród działał choć w jednym z wymienionych kierunków, im więc przyczynił się tą pracą do ogólnego rozwoju ducha czyli postępu; tém większe sobie zdobył znaczenie historyczne, tém szczytniejsze zostawił po sobie w dziejach imię; a imienia tego, które sobie zjednał pracą ducha — pracą cywilizacyjną, nikt nie zdoła wymazać *). Wielkie są zaprawdę zasługi naszego narodu — żaden tak wczesnie i tak wysoko nie rozwinął idei przedstawicielstwa, żaden nie przeniknął tak (pomimo pozornego oporu) do ideału władzy — która tworząc taką sprzeczność z ideą Zachodu ówczesnego, niemniej jednak była szczytną prawdą **). Brakło nam tylko naukowego teoretycznego wypowiedzenia naszych intuicji politycznych, które to wypowiedzenie byłoby zarazem praktyce nadało pewność i siłę, jakiej nie miało, i w dziejach świata zabrzmiało niepożyтым rozgłosem.

*) Mierzyński, Prelekcja o Filologii.

**) Patrz Studja moje nad kursami Mickiewicza, w Studjach mianowicie uwagi nad Stefanem Batorym; i panowanie tegoż w Koronowiczu.

TRZECIA ROZDZIAŁA.

L I S T I.

Oh! tu mi dobrze, tu moja sfera, moje życie i moje szczęście. Tak szczęście, bo cóż może być droższego nad widok pomyślność własnego dziecka, a Elżbieta jest szczęśliwą, to muszę wyznać i radością moją z tobą, kochana siostrze, się podzielić. Przy wydaniu jej za męża, nie byłam bez obawy — obok wielu przymiotów i warunków szczęśliwego pożycia, zdawało mi się jednak, że brakuje jednego, to jest stosunkowej równości wieku. Władysław bowiem znacznie starszy od Elżbiety, ona miała lat ośmnaście, on trzydzieści sześć, ale jakże próżne były moje obawy, jakże wynagrodzoną jestem za zw ciężstwo, jakie odniosłam nad tą błahą uwagą.

Wiek tu nic nie znaczy, idzie o młodość duszy, o młodzieńczość bezinteresownych uczuć, słowem o charakter. Na którymby lata nie wypiętnowały egoizmu, ale owszem nadały więcej siły i dojrzałości zasadom. Takim widziałam Władysława, i takim jest rzeczywiście; kocha on żonę z zapałem prawdziwie młodym, a szanuje ją i uszczęśliwia jak człowiek, którego rozum doświadczony umie oceniać istotne zalety w kobiecie. Wszystko też razem złożyło się na zapewnienie ich szczęścia. Kiedy się zenił z nią, był znakomitym i bardzo wziętym doktorem, dziś po dwudziestu latach pracy w pięćdziesiątym roku, kiedy siły jego zaczęły upadać, postanowił poprzestać na zebranych majątku, i osiadł na wsi na zawsze. Nauka nie przestała mu być drogą, rady i pomocy udziela znajomym i przyjaciółom, a mianowicie ubogiemu ludowi, który codziennie tłumami dom jego otacza, ale to się dzieje już swobodnie, bez wyczerpywania sił jego i odrywania od domu. Wystaw sobie, kochana Maryniu, śliczny dworek wiejski, w którym oprócz wygodnego mieszkania, są pokoje przeznaczane na aptekę, na laboratorium chemiczne, na wspaniałą bibliotekę i na zbiory sztuk pięknych, wszędzie gust łączy się z nauką, a pokój i swoboda, jakie w tém zaczarowanym zaciszu panują, mówią ci głośno, że to prawdziwego mędrca mieszkanie, O! bo mędrcom jest ten, który wolny od ambicji i próżnych dążeń, służy dobru bliźnich na szerokiém polu

ogólnego poświęcenia, a zarazem ma serce bogate w czułość i delikatność, dla domowego pożycia; mędrcom jest zacny obywatel i wzorowy mąż, a takim uznać muszę, takim każdy uznaje Władysława. Bóg nie dał im dziatka, ale jani jedno, ani drugie tém się nie smuci, zgadzają się zupełnie z wolą Boga; ta święta wola tak ich obdarzyła, że istotnie więcej żądać, byłoby występkiem. Patrząc na ich pożycie, przypatrując się tej delikatności mężczyzny, nietylko mam już pociechę jako matka, ale jeszcze uważam to za przedmiot godzien zastanowienia i rozbioru, aby był przykładem dla innych. Władysław wie wszystko, co się tycze Anieli, dla niego nie miałam nigdy żadnej skrytości, owszem w najtrudniejszych położeniach zasięgałam zawsze jego rady, i nigdy się na charakterze, ani na rozumie nie zawiodła. To też chciałabym, żebyś widziała, droga Maryniu, jak on się stara wraz z żoną nas rozweselić, pocieszyć, a nawet podnieść moralnie, i nie trudno mu to przychodzi: głęboka znajomość duszy ludzkiej obok dobrego serca, czyni go zdolnym do wniknięcia w najskrytsze tajniki boleści—nic nie ujdzie przed jego okiem, chociaż powiedziała byś, że nie widzi, nie obserwuje tak wyłącznie drogiemi osobami zajęty, tak o poświęceniu siebie dla nich myślący. Ranki przepędza u siebie w gabinecie, przerywając głęboką naukę, ciągłemi radami dla biednych, którzy, jak powiadam, zbiegają się z okolic do niego. Na samej radzie nigdy się nie kończy, dołącza do tego lekarstwo w własnej aptece zrobione, i zawsze dar jakiś pieniężny na życie zdrowsze i wygodniejsze podczas choroby; po obiedzie, lubo nigdy nie oddała przybywających, siedzi już jednak ciągle z nami aż do późnego wieczora, bo podług niego życie w wielkiej części należy się rodzinie, a czas tylko wiąże na ziemi. Trzeba wyznać, że Elżbieta dziwnie się podniosła i wykształciła w jego towarzystwie; nie ma takiej myśli, takiego celu, tak wzniosłego widoku i zamiaru, którego by on z żoną nie podzielił, w którémby nawet rady jej nie zasięgnął; zbliża się do niej wykładem swoich myśli, ale ufa równości jej dążeń i sądów, wyższym jest rzeczywście przez rozległość wiedzy, ale byłoby to dla niego największą boleścią, gdyby mu kto

*) Opis ten wzięty jest z natury. Franciszek Lessel mieszkający niedługo w Pilicy — był takim ideałem doktora-lubownika. Światłe jego cnoty i poświęcenie, znane były powszechnie.

chciał dowodzić, że jest wyższym pod względem ogólnych przekonań i wyobrażeń. Tam to podług niego ludzie się schodzą, spotykają, równają, a bieda małżeństwu, które się w tej ogólnej sferze znaleźć nie może. Obok tego jest to człowiek pełen prostoty i wesołości, oboje tak są szczęśliwi, tak przyjemni, że się chce żyć z nimi, śmiać, bawić, zapomnieć o wszystkim, co smuci. Zapomniałyśmy też obie z Anielą, wiosna się zaczęła, prześliczna zieloność pokrywa pola, listki wraz z kwiatem rozwijają się na drzewach owocowych, jabłonie jak krepą bladuróżową pokryte, odbijają od rozwijających się liści lip i topoli, wszystko jaśnieje życiem i wdziękiem, a mianowicie tym ciepłym wiosennym, które w takiej harmonii zostaje tu z tą gorącością dusz zamieszkujących to ustroenie. Bawimy po całych dniach w ogrodzie, Olesia wzmocniona lekami Władysława, próbuje sił swoich: to się czołga, to przy drzewie stawa, to siada na ciepłym piasku, który umyślnie dla niej na tarasie jest przygotowany, bo kąpiel piaskowa stanowi najgłówniejszy warunek jej kuracyi. Aniela uszczęśliwiona tym postępem w zdrowiu swęj jedynaczki, nabiera cery, której w zamku swoim nie miała, a czułość jej i myśl rozwinięte, jak mówiłam, w ostatnich czasach, nabierają tej harmonii i tego tonu właściwego, który stanowi prawdziwie piękną indywidualność kobiecą. Tak więc dobrze zrobiłam, kochana Maryniu, że ją tu przywiozłam, pod każdym względem będzie to wpływ dobroczynny, a może też Bóg dozwoli, że stryj mego zięcia wynajdzie jaki środek na uporządkowanie jego życia, i zanim Aniela zdoła spostrzedz smutną rzeczywistość, on już będzie poprawiony; mam w tym jakieś błogie przeczucie. Tymczasem i dla mnie samęj wypoczynek ten był potrzebny. O jakże miło matce, kiedy nie ma nic do zrobienia, kiedy tylko cieszyć się szczęściem dzieci potrzebuje! Troski, jakie ja przeżyłam u Juljanów i Anieli, nie przechodzą bezkarnie, nie mogą nie zostawić śladu na zdrowiu. a dodaj jeszcze do tego, że nie można okazać tych wzruszeń, że trzeba działać niespostrzeżenie, że trzeba było zachować swobodę, gdzie serce pękało z obawy.

L I S T II.

Wypoczynek u Władysławów podwoił niejako moje siły fizyczne i moralne, to też chodzę, oglądam wszystko, przypatruję

się, uczyć, nieraz obecne jesteśmy wszystkie, doświadczeniom rozmaitym w laboratorium naszego ukochanego doktora, nieraz idziemy z nim na łąkę, aby zbierać potrzebne rośliny lekarskie, a czasem nawet jedziemy w górzyste okolice, boć to jest Krakowskie, i wspaniałe krajobrazy wiją się około nas, dodając jeszcze majestatyczności temu całemu urządzeniu domu, temu szczęściu rodzinnemu. A to rodzina moja, to dziecko moje, pojmujeszże siostrę, z jaką ja radością te wyrazy powtarzam—ten zięć, co tak uszczęśliwia żonę swoją, to zięć mój, a jakże mało takich! Przez całe życie wśród tak licznych doświadczeń i stosunków, ledwiebym kilku zbliżonych do tego naliczyć mogła. I dla czegoż to tak jest, mówiłam sobie, a że tu zawsze mogę myśleć głośno, więc zapytałam raz Władysława, żeby mi tę kwestję rozwiązał, dla czego tak mało szczęśliwych małżeństw, a mianowicie szczęśliwych kobiet?

Jestto, rzekł, przedmiot, nad którym długo się zastanawiałem, i mógłbym wiele o tém powiedzieć, a to tém śmiej, że racyzs w dobroci swojej uznawać, iż umiałem cokolwiek w praktyce rozwiązać tę kwestję, ale wszystkie moje uwagi streszczają się w jedną, główną, jedyną: mało jest szczęśliwych małżeństw, bo mało kobiet kochanych, kochanych jak być powinny. Wiele mówiono o wychowaniu kobiety, o podniesieniu władz rozumu, napisano uczone dzieła w tym przedmiocie, i dzięki wymowie ich autorów prawdy te zaczynają już wnikać w ogół, przemawiać powszechnie do przekonania. Niepodobna zaprzeczyć słuszności tych dążeń, idzie o podniesienie godności w kobiecie, o wyrobienie w niej charakteru, sądu, siły moralnej, ale to wszystko nie pomoże, póki świętość miłości, świętość uczucia, nie zostanie wysoko pojętą przez mężczyznę.

— Wiele żadasz Władysławie, rzekłam, wiek nasz owszem zupełnie jest przeciwny twoim zasadom, on zarzuca dzisiajszej kobiecie zbytek czułości, on chciałby ją widzieć obojętniejszą, i wyznam ci, iż po długich zastanowieniach i ja doszłam do tego rezultatu, że kobieta mniej powinna oddawać się uczuciom, więcej szukać szczęścia w sobie, w własnej godności, pracy, a mianowicie w obowiązkach.

— Jestto tylko jedna strona prawdy, odpowiedział Władysław, taki sposób uważania rzeczy może w istocie potłumić niezbędną egzaltację i tę pieściwość serca, która zupełnie jest różną od prawdziwego uczucia, ale najszlachetniejsza, najmężniejsza i najbardziej pod względem charakteru wyrobiona kobieta potrzebuje być kochaną, tego nie wyrwiemy z jej duszy, tak

ją Bóg stworzył, a wiek nasz, który dąży we wszystkim do prawdy życia i sprawiedliwości, powinienby raz uznać tę prawdę; kobieta bez delikatnej i prawdziwej miłości szczęśliwą być nie może, a bez szczęścia w pożyciu małżeńskim, ona doskonałą nigdy nie będzie, bo jej zbraknie siły, bo upadnie pod ciężarem powinności. Mało więc szczęśliwych małżeństw, bo mało szczęśliwych kobiet. Religija, moc duszy, przychodzą tu w pomoc, widzimy wiele przykładów poświęcenia, wytrwałości i pracy nad sobą, ale czemu byłyby te istoty, gdyby ich słabej siły podniosło szczęście, podniosła prawdziwa miłość!

Tak sądzi Władysław, a ja zaczynam zupełnie myśli jego podzielać. cieszę się, że one mi przysły od niego, że się mogę w tém oprzeć na mężkim rozumie, jestto bowiem przedmiot tak rozległy, że myśl ginie w jego obszarach, a tak delikatny, że człowiek mimowolnie rachuje się z każdym słowem, które o nim wyrzeknie.

Kochany zięć mój nietylko sam w życiu zastosowuje swoje zasady, ale jeszcze wpaja je we wszystkich znajomych, mam tego dowód na jego synowcu, który tu przy nim bawi, i właśnie zabiera się do stanu małżeńskiego, ale z jakimże wyrobieniem charakteru, z jakim pojęciem obowiązków dobrego męża. Lecz o tém później, jest to bowiem przedmiot, do którego wrócę jeszcze, a teraz żegnaj cię do przysłego listu.

L I S T III.

Masz już, kochana siostró, obraz moralny Władysława, ale do tego obrazu brakuje jeszcze rzeczywistej podstawy, muszę ci opisać jego życie praktyczne, jako mieszkańca wiejskiego, jako właściciela wsi. Nie gospodaruje w niej, ale wypuścił ją dzierżawą bardzo uczciwemu i porządnemu obywatelowi na lat kilkanaście. I w tém także maluje się rozsądek mego kochanego zięcia, on nie jest usposobiony do gospodarstwa, lubo wyższy jego umysł wszędzieby sobie poradził, a nawet na nowe i pożądane trafił drogi—ale nie chciał opuszczać raz obranego kierunku, zbyt kocha naukę, zbyt się lubi poświęcać cierpiącej ludzkości, aby zdołał życie swoje

oddać pracy, zapewne zaszczytniej, ale do innej sfery bardziej niejako materialnej zastosowanej. Szukał więc obywatela, któryby pojmując jego widoki, jako zamożniejszego właściciela, spełniając wszystko, co tylko spełnić można dla drugich bez narażenia własnego bytu, umiał korzystać z pozycji bardzo przyjaznej — i znalazł właśnie takie w panu R. który, jak mówiłam, wziął w dzierżawę jego dobra. Mieszkają razem w jednej wsi, Władysław w tak nazwanym dworku, pan R. w oficynie, która w niczem prawie nie różni się od tamtego, zgodni we wszystkim, kochający się szczerze, żyją jak bracia. Pod względem szczegółów gospodarstwa Władysław nie miesza się do niczego, nawet w udzieleniu rady jest niezmiernie ostrożny i delikatny, ale pod względem stosunków z wieśniakami, pod względem moralnego kierunku śmiało bierze inicjatywę, i nawet uważa to za pewien warunek wzajemnych zobowiązań; do niego należy szkółka, którą prowadzi miejscowy organista, sprowadzony umyślnie na ten cel z Warszawy przez Władysława, chciał on bowiem zarazem mieć piękną muzykę kościelną i porządnego przewodnika dla młodzieży wiejskiej, oprócz tego Władysław utrzymuje jeszcze własnym kosztem salę ochrony prawdziwie wzorową, i w oryginalny sposób urządzoną. Ale co głównie jest przedmiotem jego starań, to szpital jak zgadujesz Marynii, a obok niego obszerna infirmerija, gdzie mieszkają długo konwalescenci, żeby niewłaściwe pożywienie w chacie nie sprowadzało powrotu choroby. Tam także mieszczą się kaleki, starce i osoby nieuleczoną dotknięte chorobą. Szpital i dom przytułku jednem słowem, a to tak rozległy, tak wspaniale urządzone i we wszystko zaopatrzone, że nietylko miejscowi chorzy i nieszczęśliwi, ale i wiele osób z okolicy znajduje tam pomieszczenie. Jestto moje dziecko ukochane, mówił mi niedawno Władysław, widać nie dał mi Bóg własnego, abym lepiej dla drugich poświęcić się umiał, któż wie bowiem, czy wzgląd na przyszłość dzieci nie wstrzymałby mnie nieraz od pomysłów, które uważam dziś za święty mój obowiązek.

— Nie mów tak Władysławie, rzekłam zasmucona, cała słodycz bowiem i uciecha z tego co widzę, znikłaby dla mnie, gdybym sądzić musiała, że przykład twój nie może być powszechnie zastosowany, że względy i uczucia rodzicielskie, muszą koniecznie tamować w człowieku szlachetne chęci i zamiary dla ogółu.

— Niezupełnie, droga matko, odrzekł poważnie, ale jednak w wielkiej części tak być musi, i to znów jest opatrzniem w społeczeństwie zrządzeniem, bo interes rodzinny dobrze zrozumiany jest wielką podstawą szczęścia ogólnego, broń mię Boże jednak, abym

sądził, że staranny i przezorny ojciec rodziny nie poza zakresem swoich bezpośrednich obowiązków zrobić nie może i nie powinien, to byłoby egoizmem, który potępiam.

— Bóg by to dał, rzekłam, kiedy rozmowę moję, prowadzoną właśnie przy zwiedzaniu szpitala, przerwało przybycie osóбки bardzo miłej; o której ci jeszcze nie mówiłam, Zofii R. córki dzierżawcy; niosła ona cytryny i różne wiktuały dla chorych, a mianowicie dla konwalescentów, aby ich w ważnej chwili powrotu do zdrowia orzeźwić, i wracający apetyt smaczniejszym pokarmem zaostriżyć. Władysław powitał ją uprzejmie, a wskazawszy gdzie i dla kogo najważniejszej dary jej użyte być mogą, skoro odeszła, tak dalej kończył przerwana rozmowę.

— Oto właśnie sposób, jakim ludzie mniej zamożni lub bliższymi obowiązkami związani, dopomagać mogą uboższym i nieszczęśliwym. Pan R. i jego zacna rodzina są pod tym względem najdoskonalszym wzorem, codziennie jakaś część ich obiadu przybywa do szpitala, od czasu do czasu kilkanaście łokci płótna domowej ich roboty dostajemy na sienniki, a mój poczciwy współnik pan R. lubo gotówki nie daje chłopom w kształcie daru, jak się to czasem zdarza mojej żonie, (która niejedną starą sprzężaj odnowiła gospodarzowi, lub chatę zaopatrzyła w dojną krowę, tam, gdzie mleka najbardziej było potrzeba) nie dając, mówię, takich darów, pan R. jest dobroczyńcą, bo pożycza zboża na przedwoku tym, którzy go nie mają, bo czeka cierpliwie na odrodek, za tę pożyczkę, nie zmuszając chłopca do opuszczenia swej roli, kiedy chwila najważniejsza do pracy przychodzi, bo nakoniec dni za pieniądze płaci regularnie co tydzień gotówką, pamiętając o tém, że człowiek niebogaty żyć musi pracą swoją z dnia na dzień, i że kazać mu czekać na jego własność jest występkiem; Ah! sumienie, dodał, sprawiedliwość i prawość, to podstawa wszelkiego dobra, samą sprawiedliwością można już być dobroczynnym, i więcej od ogółu nie żądamy.

Wypisałam ci tu, droga siostrze, wierne słowa Władysława, bo mi się zdają niezmiernie ważne i interesujące, ale zapominam, że ty w samotności nietyle już może masz współczucia dla kwestyj społecznych, a myśl twoja może goni za piękną Zosią, otóż w nagrodę za to, opowiem ci o niej wiele zajmujących rzeczy w przyszłym liście.

L I S T IV.

A więc naprzód o Zosi, jak obiecałam. Jestto śliczne ośmnaścieletnie dziewczę, wychowane pod okiem poczciwej i bogobojnej matki, a następnie w jednej z najlepszych pensyi w stolicy. Zdziwiłabyś się, jak ta młoda osóbką, tu w zaciszy wiejskiej żyjąca, umie zająć się pożytecznie, a nawet w sposób zupełnie nie pospolity. Posiada ona muzykę w wysokim stopniu, nauki wszystkie przyjęła tak pięknie, że edukacyi jej nie powstydziliby się najbogatsza dziewczyczka, owszem sądzę, że mało jest domów bogatych i tak zwanych pańskich, w którychby równie gruntownie dawano wychowanie. Rozpatrując się w wykształceniu Zosi, powzięłam to miłe i pocieszające przekonanie, że pensyje nasze nie stoją wcale nisko, i że owszem nauki tam udzielane obejmują wszystko, co tylko młoda osoba umieć powinna. Zosia zna język polski doskonale, a biegłością tą swoją najwięcej mi sprawiła radości, gdyż zna go podług metody nam obudwom ukochanego mistrza, Stanisława Jachowicza, którego niezmordowana i święta działalność objęła kilka pokoleń; obok tego, posiada kilka innych języków wcale dobrze, mówi nimi i pisze bez błędu, a co najwięcej, że elementarne te nauki obudziły w niej pragnienie dalszego kształcenia, że nie przestaje dalej wzbogacać się wiadomościami tak pod względem historii, jak literatury, mając dobrą podstawę w gruntownym wykładzie tych przedmiotów, których słuchała na pensyi. Musi tam być i dozór wzorowy, i prowadzenie prawdziwie moralne i wyższe, bo takim tchnie całe postępowanie Zosi, a lubo w domu rodziców mogła ona nabyć najszlachetniejszych zasad, wątpię jednak, żeby bez współudziału ochmistrzyni, przy której przebyła lat pięć, mogły się te zasady tak pięknie rozwinąć.

Pojmujesz, kochana siostrze, jakiem towarzystwem dla mojej Elżbiety jest taka dziewczica, i taka rodzina, jakiem przyjemniem

byłoby to sąsiedztwo dla niej, gdyby ona potrzebowała uprzyjemnienia i rozrywki. Ale ty już wiesz, że tak nie jest, ty wiesz, że dla nich nie ma jednej chwili zbytcej, ani jednej godziny, w którejby potrzebowali tęsknić za czémś obcym, zewnętrznym; owszem oni odrywają się od siebie, aby innym uprzyjemnić życie, a mianowicie słodzić troski. To też kiedy choroba i smutek się zjawia, Elżbieta i Władysław przebywają tam dni całe, bo oprócz tej starszej córki, jest jeszcze druga dorosła i pięcioro pomniejszych dzieci dość wątłych, a i matka nie zupełnie dobrego jest zdrowia, nieraz ciężką obawą o drogie te istotki strwożona. Przytem znajdują się też i kłopoty, zamysły, projekta, w których zawsze Władysław głównym jest doradcą, a w delikatniejszych odcieniach głos Elżbiety zawsze z uszanowaniem bywa słuchany.

Zapewne domyślasz się, że ta śliczna Zosia jest przedmiotem zajęcia synowca Władysława, o którym ci wspomniałam, mają się oni wkrótce pobrać, a zięć mój silnie nastaje na przyspieszenie tej chwili. On dziwne ma wyobrażenie w tym względzie, a zdaje mi się, że i tu słusność jest za nim; podług jego zdania nie trzeba rozpieszcać serca, rozburzać tęsknotą i trudnościami, wtedy ono bowiem przechodzi w istotny romans, który później w rzeczywistości, nie znajduje dla siebie dość szerokiego miejsca. Trzeba ukłócić szczęściem uczucie, trzeba ułagodzić namiętność spokojnym układem życia, albo raczej nie dać ję się całkiem pojawić. Przekonania te swoje starał się udzielić panu R. i udało mu się w końcu — nie było to jednak bez trudności, a nawet zrazu stanęło na drodze jego zamiarów zupełnie niepodobieństwo..... Młody Karol wybrał sobie zawód aptekarza: ukończywszy więc w tym celu nauki, z pomocą Władysława, odkupił w pobliskim miasteczku aptekę od starego już kolegi, i w tym małym a skromnym zawodzie ograniczył całą swoją przyszłość. Czy uwierzysz, kochana sestro, że pan R. pomimo swojej szlachetności i szacunku dla cnót młodzieńca, nie mógł w sobie pokonać wstrętu do takiego wyboru córki; szlachecka, a raczej obywatelska duma przeważała tu nad rozumem, i zaledwie wpływ Władysława, a mianowicie ufność, jaką pokładają w jego zdaniu, potrafiły zwyciężyć ten przesąd. Zasmucił mię mocno cień ten padający na charakter człowieka, którego szczerze polubiłam i nie mogłam się wstrzymać od wyrażenia mojego smutku Władysławowi.

— Nie trzeba sądzić ludzi tak surowo, kochana matko, odpowiedział ze zwykłą sobie wyrozumiałością, są pewne przywyknienia obywatelskie, jest pewien kwiat szlachectwa, który się może nazwać

prawdziwym jego herbem, a którego materyalny herb był tylko wyrazem; dziś może kwiat ten więdnąć, niekiedy poczyna, a natomiast przenosi się do innych warstw narodu, — ale ci co go pielęgnują jeszcze w swój klasie, wiedzą, co on znaczył i troszczą się słusznie, czy nowo przybyłe z rzędu warsztwy, odpowiedzą warunkom prawdziwego szlachectwa.... Ta troska nic nie szkodzi, pod jej wpływem rozwijają się prawdziwie szlacheckie, a raczej szlachetne cnoty w ogóle, a tak duma staje się tu pomocą postępowi i daje niejako inicjatywę równości.... Przytem opór pana R. nie był wcale trwałym, ani trudnym do pokonania, jemu tylko było potrzeba słowa, jednego słowa i prawy rozum zwyciężył. Muszę też jeszcze dodać, mówił dalej Władysław, że jest często wiele konsekwencyi w tych wyobrażeniach starszlacheckich. Niedawno groziła Zosi inna zupełnie ostateczność: bogaty hrabia K. bawiąc w naszych stronach dla polowania, zajął się był Zosią, a że jest niezależny i niezmiernie gwałtownych uczuć, szybko oświadczył się z chęćiami swojemi rodzicom. Tu nie było już wahania jak względem Karola, wręcz i śmiało odmówił ubogi dzierżawca takiego zaszczytu, bo podług niego wszelka nierówność jest poniżającą, i łatwiejby pewnie przycisnął do swego serca prostego wieśniaka, niż zniósł dumne powitanie możnego zięcia.

Tak to we wszystkiem, co mówi Władysław, pokazuje się rozum, sprawiedliwość i szlachetność. Nie skończyłabym może nigdy listu tego, gdybym ci chciała opisywać wszystkie piękne rysy charakteru jego, wolę raczej zostawić twojemu domysłowi, bo wiem jak łatwo twoja wyobraźnia umie pracować na danej podstawie, a zarazem i to wiem, że nigdy w marzeniach swoich prawdy tu nie prześcigniesz. Dodam kilka słów jeszcze o jednej szczególniej osobce, którą znałaś dobrze dawniej, a która teraz bawi przy Elżbiecie, osobą tą jest panna Ewa, dawna panna służąca jeszcze naszej matki, która potem wraz ze mną wychowała wszystkie moje dzieci, a nie mogąc rozdzielić się z najstarszą moją córką, najulubieńszą jej pieszcotką, postanowiła już przy niej życie zakończyć. Jest tu więc moja Ewusia, mój klejnot, najdroższa pamiątka z domu rodzicielskiego, a dziś droga mi podwójnie przez poświęcenie jej dla mego dziecka, boć nie mogę inaczej nazwać tej służby, jeżeli wolno tém mianem poniżać nieustanne czyny miłości. To zawsze ta sama panna Ewa, jaką znałyśmy w naszych młodych latach, pełna uszanowania dla państwa, a przecież zbliżona do nich tak bardzo swoim przywiązaniem, że najzupełniej należy do rodziny. Wszystko jej wolno, ale ona nie wszystkiego używa: niestrzeżona

rachuje się, nie odbierając rozkazów, słucho, proszona o radę długo milczy, a kiedy się odezwie, w jej serdecznym a mądrym słowie widzisz zawsze pamięć na położenie swoje, „bo tak Bóg przykazał, mówi ona, bo musi być chrześcijańskie starszeństwo na świecie.“ Z nią nie ma obawy o nadużycie dobroci, ona nie przejdzie nigdy granic, a przecież tak jest swobodną, szczerą i otwartą, jak gdyby żyła w rodzinie; dawny to typ służącej polskiej, który ginie już niepowrotnie, i w nim to może moglibyśmy odgadnąć tajemnice dawnych obyczajów.

Nie są to żadne gwarancje prawne, ani też pycha stanów, tylko pojęcie stosunków społecznych podług zakonu bożego, obok miłości, która wszystko równa i uszlachetnia. Dla mnie szczególnie to usposobienie drogiej mojej Ewusi było zawsze niezmiernie przyjemne, tak bowiem jestem skłonna do poufałości z podwładnymi, że ci tylko, którzy jak ona umieją zachować zawsze niezmiernie uszanowanie, odpowiadają memu charakterowi; to też używam w całej rozległości tej swobody, długie godziny spędzam ze starszką, zatapiając się w moich drogich wspomnieniach. Ona znała całą moją rodzinę, przy każdym prawie z drogich nam osób była w godzinę śmierci, każdemu zawarła powieki, każdemu ostatnią oddała przysługę; ona wie na pamięć dzień ich zejścia i obchodzi go uroczystym nabożeństwem. A moją Elżbietę jakże ona kocha, jak zgaduje każde jej życzenie, w niej to najlepiej odbija się szczęście żony Władysława, przez nią widzę, że się nie mylę, bo w tym sercu poświęconem, odbiłaby się każda skaza, każdy cień lub niedostatek tego szczęścia. Teraz już kończę list ten długi, wybieramy się bowiem z Anielą do Kazimierza, drugiego syna mego, ona tylko dni kilka tam zabawi, i pojedzie z dziewczynką do wód w bliskości będących, podług przepisu Władysława, ja zaś zostanę u dzieci moich, aby spełnić w zupełności moje zadanie, i zobaczyć czy im nie będę w czem użyteczna. Sądzę, że tam dojdzie mnie list od stryja księcia Karola. a męża Anielki, z którego będę mogła wnosić, jak dalece o los jej wolno mi być spokojną. A więc do przyszłej rozmowy.

CZWARTA RODZINA.

LIST I.

Z dzieci naszych Kazimierz najmniej zawsze obiecywał w przyszłości—pełen rozsądku i praktycznego zmysłu, od dzieciństwa wybrał sobie działalność rzeczywistą, i tej się zupełnie poświęcił; nauki nawet jego miały zawsze ten cel praktyczny, który niedozwala zatrzymywać się w teorii, lecz szybko pochwyca drogi zastosowania. Nie zadawaliśmy też gwałtu tym dążeniom, ale owszem, zgadzając się z wolą boską, kształciliśmy w nim prawego i czynnego ziemianina. Takim dziś jest mój Kazimierz, a przyjęty w swoim charakterze, nic w istocie nie zostawia do życzenia. Rozmaitość usposobień moralnych i umysłowych, to prawdziwa estetyka boska w świecie duchowym, trzeba ją cenić i szanować jak wszystko w stworzeniu.

Idzie tylko o to, w jakim położeniu i w jakim otoczeniu znajdzie się dalej dany charakter.... otóż tu właśnie zaczynała się dla mnie troska, którą rzeczywistość powiększyła jeszcze. Wybrał on sobie bowiem żonę bez naszej wiedzy i rady, zupełnie niestosowną dla niego; pełną szlachetności i zalet wszelakich, przywiązana szczerze do niego, Helena obdarzona jest jednak tak wysokimi zdolnościami, ma umysł tak wzniosły i myślący, że żadnym sposobem przez Kazimierza pojętą być nie może. Dobroć jej serca nie czuje tego jeszcze dzisiaj, może nie uczuje nigdy jasno, ale dziś jak zawsze czuć musi, że jej to położenie nie wystarcza, że jej brakuje tego zrozumienia i podziału myśli, który jest warunkiem szczęścia domowego. Pojmujesz, droga Maryniu, że nie chciałybym jej odkryć rzeczywistego powodu jej smutku, dotąd nawet, choć często bywali u nas za życia męża, nie miałam sposobności poznać jej tak gruntownie, ale teraz w codziennym przebywaniu razem, wszyst-

kie te różnice dwojga, że tak powiem, dzieci moich, stanęły mi przed oczami i coraz więcej mnie smuca.

Wystaw sobie szczególne pożycie, w którym małżeństwo prawie się nie widuje—bo mąż ciągle oddany gospodarstwu, przez dzień cały w polu konno lub pieszo obiegający łany swoje, a wieczór otoczony oficjyalistami do najpóźniejszej pory; żona młoda jeszcze, piękna, pełna czucia, zostawiona zawsze sobie, bez rozmowy, bez pociechy. — Nawet sąsiedztwo rzadko ich odwiedza, bo Kazimierz nie ma, jak mówi, czasu na wizyty, niekiedy tylko jaki podobny jemu sąsiad gospodarz, przyjeżdża na wzajemną poradę. Słowem Kazimierz jest to druga Anna, tylko w innym rodzaju, on także zapominał o obowiązkach, lubo zawsze słyszeć go możesz, że pracuje dla żony i dzieci. I tak jest w istocie, on się w tém nie myli, ale gdyby nawet ich nie miał, on żyłby tak samo. A obok tego jest on prawym obywatelem, prawdziwym ojcem dla ludu, cóż więc mu na to odpowiedzieć, możnaż go wyrwać ze spokoju sumienia, w jakim zostaje. Nie, ja sądzę, że to było równie niesprawiedliwem jak niepodobnem, dla Heleny tylko trzeba szukać drogi, Helenę tylko mieć na uwadze, ją podnieść, a mianowicie dać stały żywioł jej umysłowi, do tego dążyć, to postanowiłam spełnić.

L I S T II.

W tym tygodniu zajmowała mnie wyłącznie Aniela, wyprawiłam ją do wód, sposobiłam do kierowania kuracją Olesi bez mojej pomocy, słowem budziłam samodzielność, której tak bardzo potrzebuję, samodzielność praktyczną.

Kazimierz pomagał mi w tém czynnie, on myślał o przyborach siostry na drogę, on ją wyprawił swoim powozem i z ludźmi znanymi mu z troskliwości i wierności. Uczucie to braterskie żywo mnie w nim zajęło, jakże się gniewać na niego, jak tu wyciągać więcej od téj poczciwej natury, która tyle daje; zajęcie téż to okolo Anieli, o ile mnie oderwało, od mojego celu względem Heleny, który sobie już oddawna zamierzyłam, o tyle znów dając mi sposobność rozpatrzenia się w przymiotach mego syna, wskazywało

właściwsze środki, w pracy około jego domowego szczęścia. Zaczęłam więc rozpatrywać się lepiej w życiu Heleny. Jestto istotny anioł, rzekłabyś, że jęj nic nie brakuje, że w zajęciach swoich znalazła wszystko, czego tylko dusza jęj pragnąć może, a jednak coraz większa bladość osiada na licach, i coraz mniej siły w tym wątłym organizmie. Mają dwie dziewczynki, Helena trudni się ich wychowaniem, nie dodatkowo, ale całkiem, jak bona, jak guwernantka, ona widocznie w tém szuka celu życia, spotrzebowania tego zasobu myśli i wiadomości, które tak obficie posiada. Mówi, że jęj nie tęskno do niczego, jakoż w istocie poważna ta główka nie może tęsknić do światowych rozrywek, nie ma w nięj cieniu próżności, ani lekkości w niczem, a jednak smętną jest mimowoli i rzadko kiedy uśmiech przebiegnie po ustach. Wszystko spełnia, co tylko spełnić powinna zacna niewiasta, jest doskonała we wszystkich swoich obowiązkach, uszczęśliwia otaczających swoją dobrocią, chciałyby nawet rozweselić ich swoją wesołością, ale to już przechodzi jęj siły. Tu się zatrzymuje jęj moc nad sobą, tu się zdradza jęj ucisk wewnętrzny, z którego sobie sama sprawy nie daje. Śledząc bacznie tę śliczną niewieścią postać, śledząc okiem matki, dostrzegłam z pociechą, iż dotąd najmniejszy cień nieukontentowania, najłżejsze poczucie smutnych stron swęj pozycyi, nie pojawiło się w jęj sercu; wszystko co mnie w nięj uderza i zasmuca, jest mimowolne i bez jęj wiedzy. A więc jeszcze czas działać i działać skutecznie, a więc nie o cnotę tu idzie, ale o szczęście. Szczęście budować! powiedz droga Maryniu, to trudnięj stokroć niż wszystko inne! I z czego, z jakich żywiołów? z tego ubóstwa domowych węzłów, z tęj zimnęj, twardęj rzeczywistości, z tego życia wyłącznie pozytywnego, które otacza, zatapia młodą kobietę?! Nie, nie z tych żywiołów, ale obok nich, pomimo nich, z sił ducha, jedynie ducha.

Posłuchaj mię tylko, powiedziałam ci, że Helena zajmuje się sama wychowaniem swych córek. Są to dziewczynki już podrosłe, jedna dziesięcio, druga jedenastoletnia, uczyć ich można wiele, bo pojętne i pracowite, pochwalam więc to zajęcie Heleny i bynajmniej nie przeszkadzam mu w niczém. Ale ono nie spotrzebuje wszystkich sił jęj umysłu, ono jest zbyt elementarne i jednostajne, aby ją ożywić i podnieść mogło, postanowiłam więc szukać innego celu dla jęj wyższych zdolności.... Helena, droga Maryniu, ma zasoby prawdziwego talentu, czy uwierzysz, ona jest poetką; nie jest to wcale złndzenie macierzyńskie, śliczne próby jęj pióra oceniłam odrazu, i one to właśnie wskazały mi cały plan postępowania. Tu dojrzałam zawód tak mało pojęty, tak przez niektórych potępiany, a tak

lekkio wybierany niekiedy; *zawód autorki* stawił mi się przed oczy. Pisać, pisać dla ogółu, z pożytkiem kraju, to jest cel, który powinna sobie upodobać Helena, obok swoich domowych zajęć, to jedynie może ją uszczęśliwić i przynieść radość tej duszy, tak bardzo dobra i prawdy pragnącej, a która o tych pięknych pragnieniach swoich z nikim w domu pomówić nie może. Autorkę więc postanowiłam wykształcić w niej, a bardziej *myślącą kobietę*, któraby talentu swego z rozumem i rozwagą używać mogła. Poezya sama by tu nie wystarczyła, ona obłąkać i rozegzaltować mogłaby młodą osobę; natchnieniu samemu ufać nie można, kiedy z talentu chcemy zrobić dźwignię moralną, a z dzieł jego, pożytek ogółu. Zwolna więc, nie przesądzając sprawy, nie obudzając nierozważnie nadziei, których możeby rzeczywistość nie spełniła, zabiorę się do sumienniej pracy około ukształcenia Heleny, na prawdziwie myślącą i wyższą kobietę.

L I S T III.

Dotąd listy moje zapełnione były więcej wypadkami niż rozumowaniem, teraz musisz przyjąć wyłącznie to ostatnie, praca moja bowiem u Heleny jest dziełem myśli, jedynie myśli; w tém zaś więcej jeszcze może, niż w działaniu na zdarzenia i charaktery — udziału i rady twojej potrzebuje. Posłuchaj więc z uwagą, jak działałam i w skutku jakich przekonań — nie miałyśmy bowiem nigdy dotąd sposobności pomówić o tym przedmiocie obszernie. Helena odebrała staranną edukację, ale to nie jest dosyć dla zawodu, jaki jej obieram, nie jest nawet dosyć w ogóle dla kobiety według mego zdania, ja bowiem, jestem pod tym względem niezmiernie wymagająca, i ze wszystkich piszących kobiet o wychowaniu naszem, jedna tylko przypadła mi do gustu, jedna tylko wyraziła prawdę sumiennie, nie rzucając się nigdy ani w paradoksa, ani w dziwaczne zachcenia emancypacyi. (Pani Necker de Saussure *). Rozumu

*) *Myśli o wychowaniu* oparte są zupełnie na zasadach tej autorki.

nam potrzeba, rozumu, nauki, wiedzy rozległej i głębokiej, a potrafimy oprzeć się trudnościom, jakie na nas padły w podziale — mówiąc to nie mam jeszcze bynajmniej w myśli samego przeznaczenia kobiety, jako żony i matki, lecz naprzód jej przeznaczenie, jako człowieka, jako istoty obdarzonej duszą rozumną. Wzgląd ten ogólny zbyt często był zapomniany, i ząd niemoc nasza pomimo świetnej edukacji, jaką niekiedy odbieramy.

W tém leży całe złe naszego położenia, wszystkie inne przy czyny są mniejsze, wszystkie radykalne przemiany, uważam za ułudną utopiją, to tylko spełnić potrzeba, zrównać się w prawach moralnych i umysłowych, a wszystko zwolna przyjdzie do równowagi, o ile przyjść może i powinno po chrześcijańsku... Ale zamiast silić się na dowiedzenie ci tej prawdy, własnymi wyrazami, pozwól, że ci zacytuję rozdział powyżej wspomnianej autorki, w którym ona wszystkie prawdy tyżące się naszego położenia i wychowania objęła. Trzeba żebyś to poznała, bez tego bowiem nie zrozumiesz moich zamiarów względem Heleny.

„Jedną z najgłówniejszych przyczyn, mówi ona, wielkiej surowości, z jaką postępowanie kobiet bywa zwykle sądzone, jest właśnie ta wysoka doskonałość, do jakiej niewiasta zdaje się być przeznaczoną. Rzechy można, że jakieś widzenie cudne, niustannie obecném jest przed myślą człowieka, jakiś obraz idealny czyli pierwowzór kobiety, a wszystko, co się nie zbliża do tego typu, nigdy rzeczywiście zachwycić go nie może.

I przyznajmy w istocie, że ideał kobiety jest szczytnym, że to dzieło Boga takie, jakie istniało w jego myśli twórczej, jest cudnym pomysłem. Ież wdzięku i czystości zawiera się w istocie, która przez swoją słabość właśnie, zasłonią jest od passyi nienawistnych, podczas kiedy szlachetna duma i wrodzona skromność pozostają na straży jej serca. Sliczną jest ta istota, przedstawiająca się pod kształtem gracyi, z wyrazem twarzy niewinnym, a przecież tak ruchomym, że zdaje się być tylko przezroczystą zasłoną duszy czulej na wszystkie wzruszenia, podobnej do harfy eolskiej, z której każdy powiew wiatru nowe dźwięki wyprowadza. A ta istota obdarzona jest prawdziwą i doskonałą czułością, żyje samemi uczuciami prawie, poświęcenie jej niekiedy heroiczne, jest zawsze najzupełniej bezinteresowne, bo przedmiotem jego bywa najczęściej niemowlę, niemogące niczem odplacić miłości. Dodajmy do tego jeszcze, że ta istota, posiada inteligencyją żywą, bystrą, która zdaje się wyprzedzać słowa i nie potrzebować ich pomocy — a nie będziemy

mogli powiedzieć, że ona jest stworzona na uzupełnienie obrazu bóstwa na ziemi.

I jak na czole wyniosłem mężczyzny, maluje się boska wspałałość, tak miłość powszechna, pełna litości, oraz łaska niebieska przenikająca duszę swoją potęgą, zdaje się objawiać w spojrzeniu i w tkliwych rysach kobiety.

Ale dla czegoż, dla czegoż ten ideał tak rzadko się urzeczywistnia, dla czegoż śni o nim wyobraźnia, nie mogąc go jednak uchwycić w rzeczywistości, czemu tyle wad i błędów kazi często te wielkie rysy ręką samego Boga w naturze niewiasty nakreślone! Czemu, ah! odważmy się tutaj powiedzieć prawdę, przyczyną tego jest jarzmo służebnictwa, które tak długo ciążyło nad kobietą. I musi to być w istocie potężna przyczyna, kiedy pomimo przemiany, jaką zdziałał chrześcjanizm, pomimo wyzwolenia stopniowego, do jakiego on doprowadził kobietę, skutki jednak tego stanu pozostały w obyczajach, w opinii, a mianowicie w zasadach i przekonaniach, które kieują wychowaniem niewiasty, utrzymując jęj po-niżenie.

r

Zawsze mężczyzna zachowuje uczucie przewagi, zawsze myśli, że kobieta jest stworzona dla niego, zawsze uważa ją jak swoją własność, a siebie jak jęj władcę; nigdy nie przyszło mu do myśli uważać coś więcej w kobiecie jak małżonkę; młoda dziewica jest tylko w oczach jego przyszlą żoną, wszystkie władze, zdolności, przymioty nawet, które nie były w związku bezpośrednim z jego interesem, nie miały żadnej wartości dla niego, a jednak jakże dużo jest darów w kobiecie, obcych jęj przeznaczeniu jako małżonki. Ta to cząstka natury ogólnoludzkiej, ta cząstka, którą edukacja winna się starać podnieść w nięj i uwydatnić, uchodziła zupełnie uwagi mężczyzny, miał on tylko na celu swoje prawa, a nawet zamykał oczy, dobrowolnie na to, co kładło granicę tym prawom.

A więc kobieta zapytują nas może — nie jest stworzona dla mężczyzny? nie mamy bynajmniej takiej myśli, wierzymy tylko, że ona nie do niego jedynie należy. Wyprowadzona z nicości na chwalebę Boga, równie jak całe stworzenie otrzymała w podziale kształt słabęj istoty, niższęj przeto materyalnie od mężczyzny i podległęj jemu w małżeństwie, ale ta ziemską osłona narzucona chwilowo duszy nieśmiertelnęj, nie może jęj odebrać przeświadczenia o swęj niezależności. Dusza czuje się na ziemi w stanie przejścia, oświecona oprócz tego światłem objawienia, przyjmuje chętnie uległość czasową; wszak ma Zbawcę w niebie, a i tu nawet docześnie obiecano

jój pomoc i siłę w religii. W nadziei zatem łask i pociech, z góry chrześcianka przyjmuje przeznaczenie swoje z ufnością.

Dwie natury różne, ale ściśle połączone z sobą przenikają się wzajemnie w kobiecie; w czynach swoich, w postępowaniu całego życia, nie przestaje ona czuć się i uznawać kobietą, chociaż nawet niepołączyła się węzłem małżeńskim, sądzi, że jest stworzoną do uległości, prawo wskazane w małżeństwie, zdaje jój się ogarniać tym samym cieniem los płci całej, jakiś obowiązek nieokreślony uciska ją całą tajemniczymi więzami, ale poczucie to mimowolne równoważone jest w niej wyższym poglądem i tak samo jak wznosząc się do idei swego przeznaczenia niebieskiego, pozostaje wierną swoim ziemskim uczuciom, tak samo, mówię, spełniając najuległej swoje obowiązki, nie traci ona uczucia swój niepodległości.

Ta sama Ewangelija, która mówi jój: żony niechaj będą podane mężom swym, (do Efezów roz. V. wiersz 22) naucza ją zarazem, że przed Bogiem nie ma nierówności pomiędzy stworzeniami ludzkimi, skoro mówi: „Jesteście wszyscy dziećmi Boga przez wiarę w Jezusa Chrystusa, nie ma już ani niewolników, ani wolnych, ani mężczyzn, ani kobiet, bo wszyscy jesteście jednym w Chrystusie.“

Otóż o tém zapomniał mężczyzna, pomny jedynie na jedną część świętej nauki, która mu zapewniała przewagę i słusne przełożenie.... Ile razy tylko kierował edukacją kobiety, zawsze zostawał pod wpływem osobistości, chciał, żeby ją wychowywano, już to w celu rozwinięcia namiętności, już to w celu służenia interesom jego, próżności lub gospodarstwu. W wieku naszym rozszerzyły się cokolwiek pojęcia pod tym względem, uznano, że kobiety mogą być dobrym czynnikiem edukacji, i starają się z nich zrobić zdane nauczycielki, ale duch egoizmu przewodniczy zawsze temu działaniu; rzekłbyś, że połowa rodu ludzkiego niewarta jest, żeby ją doskonalono dla niej samej, nie widzą w kobiecie dzieła boskiego, z którym wypada się obchodzić stosownie do jego natury, podnosząc do stopnia godności moralnej i szczęścia. do jakiego dojść może tu na ziemi. Naprzód już oznaczają jój pewną rolę i sposobią ją do niej, a ona sama, ona kobieta — człowiek, nie rachuje się wcale w tém usiłowaniu....

I my też zaprawdę nie chcemy, żeby cel jój był wyłącznie w niej, nie chcemy, żeby kobieta poświęcała się dla szczęścia drugich, ale sądzimy, że to również jest obowiązkiem mężczyzny, podług nas bowiem żadne stworzenie ludzkie nie znajdzie poza zakresem poświęcenia, ani doskonałości, ani szczęścia dla siebie.

Ale poświęcenie narzucone jedynie przez tych, którzy z niego korzystają, a narzucone bez wzajemnego poświęcenia, zdaje nam się niegodnym tej świętej nazwy, a przez to nawet nie zawsze szczerém. A jeżeliby się jeszcze okazało, że dla utrzymania tego stanu, starano się potłumić stronę umysłową, raniono istotę nieśmiertelną w jej godności i w jej uczuciach, o! wówczas powiedzmy śmiało, stan ten byłby niesprawiedliwością, względem stworzenia boskiego. Takie to dziedzictwo pozostało nam jeszcze z poganizmu, taką to częstkę łańcucha ciągle dźwiga dotąd kobieta, a niekiedy dźwiga nawet z upodobaniem. Chcąc widzieć ten egoizm mężczyzny w całej pełni, posłuchajmy, co mówi Rousseau, Rousseau, co tak wiele zrobił dla wolności w ogóle, dla godności ludzkiego rodu. „Cała edukacja kobiet, mówi on, powinna być uważana względnie do mężczyzn, podobać się im, stać się im użytecznymi, obudzić ich przywiązanie i szacunek, wychowywać ich za młodu, otaczać staraniami w wieku dojrzałym, radzić, pocieszać, czynić ich życie przyjemnym i słodkim, oto są obowiązki niewiast po wszystkie czasy i tego to uczyć ich potrzeba od dzieciństwa. Gdyby Rousseau był powiedział przynajmniej, że cała edukacja kobiet powinna być uważaną względnie do ich otoczenia, względnie do istot, które natura lub uczucia związały z ich przeznaczeniem, nie mielibyśmy nic przeciwko tej prawdzie, ale dla czegoż mówić wyłącznie o mężczyznach, dla czegoż tak ograniczać ogólny obowiązek pełnienia dobra, dla czegoż zacierać w kobiecie pojęcie jej przeznaczenia jako człowieka, jako istoty obdarzonej duszą rozumną i nieśmiertelną!

„Na cóż się przyda, mówią zwykle, ta lub owa zdolność, ta lub owa nauka wyższa w kobiecie“ co innymi wyrazami znaczy, na co to się przyda jej mężowi. Ale czyż małżeństwo jest jedynym przeznaczeniem kobiety, czyż ono jest i może być podziałem wszystkich, a i w małżeństwie nawet czyż ona będzie tém, czém ją Bóg chciał widzieć, kiedy ją rozwiniemy jedynie na to jej szczególne przeznaczenie. Tak jednak stało się powtarzam w naukach, w moralności, w całym wychowaniu, we wszystkich nabytkach wiedzy—ona poznaje tylko prawdy zakryte, ściśnione, zastosowane sztucznie do celów naprzód oznaczonych, a systemat ten w ostatecznych skutkach obraca się wyłącznie przeciw swemu twórcy, przeciw mężczyźnie. Dopóki on nie przestanie szukać wyłącznie swojej korzyści w kierunku, jaki nadaje edukacji kobiety, dopóty znajdzie tylko zawód i nie otrzyma szczęścia, do którego dąży, napróżno będzie przemieniać po sto razy swoją teorię, napróżno będzie szukać kolejno w wychowaniu, to odaliski, to gospodyni, to artystki, nie

znajdzie w takiej teorii towarzyszeki życia, nie znajdzie istoty, która by prawdziwie mogła osładzać i uszczęśliwiać dni jego, bo nie znajdzie człowieka kształconego w duchu swego bezwzględego przeznaczenia.“

Otóż wielka prawda wyrażona śmiało i rozlegle, a jednak z jaką oględnością na święte zasady porządku rodzinnego, w tym duchu ja chcę pracować, podług tej myśli kierować się w wyższej edukacji Heleny. Nie udzielię jej nauk skróconych, zastosowanych, jak mówi pani Necker de Saussure, lecz prawdziwych i gruntownych, aby była myślącym, światłym człowiekiem, a przez to prawdziwie wyższą kobietą.

L I S T IV.

Korrespondencyja nasza teraz musi być cała zapełniona przedmiotem, jaki mię zajmuje, musisz wysłuchać, jak sobie poczynam w trudnym dziele. Aby działać porządkiem, nakreśliłam sobie plan systematyczny, podzieliłam na części i stopnie naszą drogę. Naprzód idzie mi o wyrobienie uwagi, o uzdolnienie mojej dorosłej uczennicy do poważnego czytania; o jakże mało kobiet może się tém pochlubić, że umie czytać z korzyścią dzieła ważne, głębokie, nie działające ani na czucie, ani na wyobraźnię, lecz wprost na rozum. Z Heleną łatwo mi to przyjdzie, jest ona bowiem zawsze z natury swojej zebraną i myślącą, ale usposobienie przyrodzone tu nie wystarczy, trzeba, wprawdy, ćwiczenia, trzeba przewodnika, któryby odkrył urok nieznaną, urok, jaki ma myśl sama w sobie — ukazał wartość prawdy niezależną od sztucznej osłony stylu lub wymowy.

Trzeba, ażeby kobiety pojęły, że poważni pisarze pracują nie dla rozrywki i zabawy, ale dla dowiedzenia zasad świętych, dla ustalenia dobra na świecie.

Kto dobro i prawdę ukochał, ten już w pracy naukowej znajdzie słodycz, ten wyszedł z zakresu elementarnej edukacji lub samej literatury, a przeszedł w krainę myśli, wiedzy prawdziwej. Aby dojść do tego celu, obrałam odrazu dzieło trudne i obejmujące

w sobie, jakby w ziarnie, wszystkie prawdy najwyższej wagi dla człowieka, dzieło, które przez myślicieli uznane jest za arcydzieło: *O poznaniu siebie i Boga*, przez Bossueta. Czytamy powoli, zatrzymujemy się nad każdym ważniejszym ustępem, nad ogółem myśli, bo jedna taka książka dobrze zrozumiana objąć może całą wiedzę ludzką, mianowicie w zakresie nauk moralnych. Pamiętasz kochana Maryniu, jak kiedyś, dawnymi czasy, zajął nas był pomysł jednego Belgijczyka nazwiskiem Jacotot, który jedną książkę czynił podstawą całej edukacji elementarnej. W Telemaku uczyło się dziecko czytać, pisać, gramatyki, składni, historii, jeografii etc. Miał ten pomysł wiele głębokości w sobie, ale w elementarnej instrukcyi trudny był do zastosowania i dla tego upadł, zostawiwszy po sobie jednak ślad ważny, jak wszelki wyłączny systemat: to jest podniesienie znaczenia rozważy w edukacyi.

Otóż ja myślę, że do wyższych nauk systemat ten może być bardzo szczęśliwie zastosowany i próbuję go na Bossuecie. W chwili kiedy to piszę, jesteście jeszcze w ciągu pracy. Helena nie posiada się z radości, nowy horyzont przedstawił się przed jej myślą, widzę jasno, że odgadłam potrzebę tej pięknej duszy. Praktyczne jednak życie idzie ciągle swoim trybem, wolne tylko chwile poświęcone są czytaniu, nikt nie spostrzega tego nowego żywiołu, który wszedł w istnienie Heleny, ona sama nie zgaduje głównego celu, widząc z jaką przyjemnością jej słucham. Kazimierz zawsze zadowolony i szczęśliwy, kocha ją swoją zwykłą, szczerą miłością, znajdując w zamian zawsze tę samą swobodę i tę samą czułość. To mi jest najbardziej potrzebne, tego ja najpilniej strzegę, — kobieta nieszczęśliwa, a mianowicie znająca się w swoim nieszczęściu, to ofiara umarła dla wszelkiej energii, to grób bez żadnej już nadziei na ziemi. Kto chce się zająć domowem życiem młodych ludzi, kto chce wpłynąć na ich przyszłość, jak ja właśnie pragnę, ten musi ich wziąć w chwili, kiedy jeszcze nie pojmują, czego im brakuje, kiedy jeszcze nie ma między nimi odczarowania, a przyznać trzeba, że tam, gdzie serce głównym jest kierownikiem jak u Heleny, odczarowanie to nie przychodzi prędko, może nawet nigdy nie przyjdzie w zupełności. Ona tak umie niewinnie błędy drogich osób, tak ich tylko ze strony dobrej uważa, że szkodna w niej samą wyrabia się przekonanie niezmiernie im przyjazne i droga do rozczarowania, całkiem się zamyka. Ale smutek pozostaje, smutek mimowolny, niszczący, otóż na niego ja chcę wpłynąć, jego usunąć stanowczo, próżnią zapełnić, którą czują wyższe zdolności, pozbawione właściwego żywiołu. A jakże mi miło, że taką

mogłam obrać drogę. Działanie wprost na uczucie byłoby nierównie trudniejsze; uczucie, to potęga tajemnicza, to ocean niezmierny, to jak owa chmurka mała na niebie, która dla biegłych żeglarczy kryje straszną burzę. Młodość mieni miłość królową świata, ale wiek późniejszy inną potęgę mieści na tronie, potęgę dobra. Któż jednak młodość przekona, trzeba raczej podejść ją jak dziecko, rozszerzyć uczucie, połączyć je z rozumem, zawiązać między nimi stałe stosunki, trzeba dodać coś sercu, aby dało... innym władzom. Wszak tą drogą postępuje właśnie religija; chrystyanizm nie wysiła się na potępienie uczuć, nie zaczyna od dowodzenia, że one uszczęśliwić nie mogą, ale zwolna i cicho sprowadza uczucia na wyższe cele, Boga kochać uczy nad wszystko. Wielka ta droga, ta królewska metoda chrześcianizmu, że tak powiem, pozostanie na zawsze podstawą wychowania kobiety; obok niej i na wzór jej można działać na nią, na zrównoważenie sił jej przez wskazanie szlachetnych zajęć rozumowi.

Ponieważ praca, jakąśmy z Heleną odbyły nad dziełem filozoficznym Bossueta, będzie stanowiła podstawę jej wyższego rozwinięcia, wypiszę tu ci kochana siostrze kilka głównych punktów z treści, jakąśmy ułożyły razem z moją pojętną uczennicą, z tej nieporównanej książki. Może i tobie nie będzie nieprzyjemnem, a nawet bez korzyści, uprzytomnić sobie w skróconym obrazie wszystkie te wielkie prawdy, ja przynajmniej znalazłam w tej pracy wdzięk niewymowny, lubo przerywany bolesnym wspomnieniem, dzieło to bowiem czytałam ostatnim razem z ukochanym Stanisławem.“ Zaczęliśmy od własnych słów Bossueta, któremi on charakteryzuje swoją pracę, zdając sprawę z nauk, jakich udzielał swemu królewskiemu uczniowi:

„Dowiodłszy mówi, że filozofija zasadza się głównie na zebraniu niejako ducha w sobie samym, aby następnie wzniósł się stopniowo aż do Boga samego, zaczęliśmy wykład nasz właśnie od tej podstawy osobistej, gdyż ona jest najgruntowniejszą i najużyteczniejszą. Aby stać się prawdziwym filozofem, człowiek tylko potrzebuje badać *siebie samego*; nie wartując wiele książek, nie czyniąc mozolnych poszukiwań, nie goniąc za odległemi doświadczeniami, *potrzebuje tylko poznać swoje istotę, a przez to pozna i Stwórcę*. Dla tego też oparliśmy plan nasz na tym przepisie Ewangelii: *badaście uważnie sami siebie* *) na tych słowach Dawida: *dziwną się*

*) Łukasz XXI — 34.

stała znajomość twoja ze strony mojej: wzmocniła się, i nie będę mógł od niej *). Opiérając się na tych dwóch ustępach, nakreśliłmy traktat: *O poznaniu siebie samego*, w którym wyłożyliśmy równie układ ciała ludzkiego jak umysłu za pomocą faktów, aby sposobem dowieść, że człowiek, który umie uobecnić siebie, sobie samemu, czuje Boga więcéj obecnym duchowi swemu, niż wszystkie inne rzeczy, bez niego bowiem nie miałby ani ruchu, ani myśli, ani życia, ani rozumu, stosownie do tych słów prawdziwie filozoficznych Apostoła nauczającego w Atenach, to jest w ojczyźnie filozofii: „w nim żyjemy, i ruszamy się i jesteśmy **), a dalej jeszcze: gdyż sam dawa wszystkim żywot i dech i wszystko ***). Na wzór więc świętego Pawła, który używa tej prawdy, jako znanéj filozofom, ażeby ich za jéj pomocą podnieść wyżej, postanowiliśmy obudzić przez samo rozważanie nas samych, to poczucie bóstwa, które złożone zostało w naszych duszach, razem z ich utworzeniem, ażeby z tego wynikło jasno, iż ci, którzy nie uznają, że są posiadaczami potęgi duchowej, wielkiéj i rozumnéj, uważani być powinni za ludzi najzupełniéj zaślepionych.“ Tak oznaczywszy założenie swoje, Bossuet kreśli w następujący sposób plan i podział tego traktatu. „Mądrość, mówi on, prawdziwa zależy na poznaniu Boga i siebie samego; poznanie nas samych powinno nas wznieść do poznania Boga. Aby dobrze poznać człowieka trzeba wiedzieć, iż złożony jest z dwóch części: z duszy i ciała. W dziele tém więc będziemy rozważać trzy te rzeczy, naprzód duszę osobno, potem ciało osobno, a następnie związek ich obojga, oraz wzajemne ich na siebie oddziaływanie.“

Będzie to więc jak widzimy *filozofia, psychologia i antropologia* razem, ale będzie i *metafizyka*. Bossuet bowiem, nieznacznie i postępując drogą jedynie eksperymentalną, idzie, jak to zobaczymy, do téj najwyższéj sfery, w którój mieszczą się zasady pewności rozumowéj, a od nich, od praw niezmiennych i koniecznych, przechodzi do Boga i skreśli jednym rzutem podstawy religii naturalnéj, służącój niejako za przysionek do religii objawionéj. Opuścimy tu część fizjologiczną, lubo ona bogatą jest w postrzeżenia i nie wiele ustępuje dzisiejszym traktatom; w części poświęconéj duszy,

*) Psalm CXXXVIII — 6.

***) Dzieje Apost. XVII — 27 — 28.

****) Ibit — 25.

mówi naprzód, iż my nie możemy jęj pojąć inaczej jak przez jęj działania, śledzi ją więc w działaniach zmysłowych, rozbiera mianowicie pięć zmysłów, ich własności i naturę; następnie rozważa działanie imaginacyi, rozwijając w kilku rozdziałach przedmiot ten coraz obszerniej i szczegółowiej, zakończy zaś wyliczeniem passyi, jako odnoszących się do tęg części. Dalej sposobem zawsze psychologicznym przechodzi do działań umysłowych, do *intelligencyi* samej, której zbadańie jest najgłówniejszém zadaniem tęg pracy, przedmiotem najulubieńszym Bossueta, polem, na którym geniusz jego rozwija nieporównane dowody. Działania duchowe podług niego są dwojakie: działania rozumu i działanie woli; „intelligencyja, mówi on, jest światłem daném od Boga dla przewodniczenia nam. Najwyższą cechą człowieka rozróżniającą go od zwierząt jest rozum; naturalne jego usposobienie wiedzie go do zdawania sobie sprawy ze wszystkiego cokolwiek czyni, im doskonalszą więc sprawę zdać sobie może, tym doskonalszym jest człowiekiem. Rozum dany nam jest na to, abyśmy się wznosili ponad zmysły i ponad wyobraźnię; rozum, który im podlega, jest rozumem wrzekomym i niezastługującym już na to miano. Przez to określenie poznaję intelligencyją i jęj różnicę od zmysłów; te ostatnie są materyałami do poznania prawdy ale nie przez nich to ją poznaję. Kiedy rozważam drzewa w długiej alei, które chociaż równe sobie dla oka mego, coraz się zmniejszają z powodu oddalenia; kiedy oko przedstawia mi gładkim, polerowanym przedmiot który w mikroskopie widzę nierównym i chropowatym; i kiedy kij zanurzony w wodzie ukazuje mi się złamanym, chociaż jest prostym; kiedy płynąc w łódce, widzę siebie nieruchomym podczas kiedy woda rzeczywiście nieruchoma zdaje się uciekać odemnie tak, że ruch mój przenosi się na rzekę nieruchomą a jęj nieruchomość na mnie, który się nie ruszam; wtedy i w tysiącu innych wypadkach widzę jasno, że zmysły moje potrzebują jakiegoś probierza któryby ich złudzenia wykrył i wtedy przekonywam się, że jest inna władza, za pomocą której widzę prawdę i odróżniam ją od błędu. Tą właśnie władzą jest *rozum* a wszyscy filozofowie zgadzają się, iż on tylko może poznać prawdę i odróżnić ją od fałszu. On to jeszcze jedynie umie rozważać naturę rzeczy, wzrok naprzykład pokazuje nam, co jest rozciągłe lub co jest w ruchu ale rozum tylko bada i pojmuje, co jest przestrzeń i co jest ruch.

Tak zarysowawszy naturę intelligencyi, rozbiera jeszcze z nadzwyczajnym talentem psychologicznym, *stosunek imaginacyi do intelligencyi i wzajemnie* w rozdziałach napełnionych spostrzeżeniami pełnemi trafności i gruntowności. Potem już śmielęj bo oszańco-

wany doświadczalnymi dowodami — rzuca się po raz drugi na to ulubione mu zadanie, *iż rozum jest ponad wszystko, w człowieku iż jest obdarzony zasadami* na których rozwija się to cudowne działanie, które ludzie nazywają *rozumowaniem*. Jestto ustęp najważniejszy i zasadniczy w tém dziele, dla tego powtórzyłam go kilkakrotnie z Heleną, zatrzymując ją nad każdym twierdzeniem, mnożąc przykłady i zastosowania, tak jak uczynił ze mną Stanisław. Oto jest ten ustęp: „Rozumowanie może być albo prawdopodobne, możliwe i przypuszczalne albo pewne i udowodnione. Pierwsze ma miejsce w przedmiocie wątpliwym, szczególnym i dowolnym, drugie w przedmiocie pewnym, powszechnym i koniecznym. Owocem udowodnienia czyli demonstracyi jest umiejętność, wszystko co w ten sposób jest wykazane, nie może być inaczej, jak jest wykazaniem. Wszelka więc prawda taka jest konieczną, wieczną i niezmienną, w jakimkolwiek bowiem punkcie albo chwili wieczności przypuściliśmy umysł człowieka, zawsze on będzie zdolny ją rozumieć. A ponieważ rozum nasz nie tworzy jęj ale ją uznaje, ztąd jasno się pokazuje, że prawda jest wieczną i niezależną od wszelkiego rozumu stworzonego.

Trzeba starannie zauważyć, iż są twierdzenia, które się rozumieją same przez się, to jest, które nie potrzebują żadnych dowodów. W matematyce np. twierdzenia takie: że całość jest większa od swoich części, że dwie linije równoległe, nie spotkają się nigdy, jakkolwiekbyśmy je przeciągnąć chcieli, że z każdego punktu danego można prowadzić liniję do innego punktu. W moralności znów twierdzenia podobne jak: że trzeba zawsze iść za rozumem, że porządek wart więcej niż nieład ect. Takie pewniki są jasne same przez się, bo kto tylko ich rozważy i zrozumie słowa, któremi są wyrażone, nie może im odmówić przyznania.

Nie szukamy więc dla nich dowodów ale owszem służą one nam za dowód innych twierdzeń, mniej jasnych. Naprzykład z tego że porządek jest lepszy niż nieład, wnoszę, iż najlepszą rzeczą dla człowieka jest być rządzonem podług praw a przeciwnie, że nie ma nic straszniejszego jak anarchija.

Prawdy te jasne i zrozumiałe same przez się a których używamy dla wykazania prawdy innych twierdzeń, nazywają się axiomatami czyli pierwszemi zasadami. Są one wiecznej prawdziwości, bo jak już powiedzieliśmy powyżej wszelka prawda pewna w materji powszechniej jest wieczną a ponieważ prawdy wykazane i udowodnione są takimi, to tym bardziej te, które służą za podstawę demonstracyi czyli udowodnieniu są wiecznemi.“

Możnaż treściwiej i wzniosłej, określić godność poznania ludzkiego! mój Stanisław czytając ze mną to dzieło zatrzymał się długo nad tym ustępem, sądził on bowiem, iż od takiego zrozumienia wiedzy ludzkiej, zależy cały charakter człowieka, bo kto raz pojął, że *prawda i dobro nie są dowolnymi twierdzeniami, ten już nie zapomni ich przepisów.*

Prawdy te a mianowicie pewniki czyli axiomata są jakby nitką Aryadny w labiryncie poznania, abyśmy na tej podstawie oparli wszystkie umiejętności. Oto treść pierwszej części naszego czytania, oto co wyłożyłam Helenie, co rozwijałam przed nią w tysięczny sposób, przerywając czytanie żywém słowem lub czytając ustępy z innych autorów, odpowiednie temu przedmiotowi. I tak z pięknego dzieła Mareta przeczytałam jej następujące słowa:

„Poznanie prawd niezmiennych rozum uprowadzi nas do ocenienia psychologicznego nauki ludzkiej. Nauczyciel podaje uczniowi zasadę logiczną, moralną, metafizyczną lub twierdzenie geometryczne. Uczeń ma już w umyśle idee, które się zawierają w tych zasadach. Czyż nauki racjonalne są czém inném jak uchwytniem stosunków między ideami? Metafizyka, moralność, geometryja, czyż nie są pojęciem stosunków istniejących pomiędzy naszymi ideami wielkości? Nauczyciel wykłada tylko stosunki, uczeń powinien je pojąć, zrozumieć; a dopóki ich nie pojmie i nie zrozumie, nie ma jeszcze światła, nauka nie istnieje dla niego. W naukach racjonalnych, nauczyciel nie nakazuje nic swoją powagą, nie odwołuje się wcale do łatwości on chce wyzwąć rozum, pobudzić go, rozwinać; ustanawia go sędzią pomiędzy uczniem a sobą i do tego to światła ciągle go odsyła. A to światło, które błyszczy w oczach nauczyciela, *jest światłem wiecznej, boskiej prawdy.* Mówiąc to, tłómaczę tylko myśli świętego Augustyna i świętego Tomasza.

„Nauka ludzka mówi pierwszy (*) jest konieczna do rozwinięcia inteligencji, ale nauka będzie zawsze tylko warunkiem, okazyją do tego rozwinięcia. Nauczyciele są tylko *pobudzielcami—prawda, światło boskie uczą nas wewnątrz.*

„Skoro nauczyciel wyłożył za pośrednictwem mowy wszystkie umiejętności, których powołaniem jego jest nauczać a nawet umiejętność enoty i mądrości — ci których nazywają uczniami jego, roz-

(*) Il Magistro.

trząsają *sami w sobie*, czy to co on powiedział, jest prawdziwém, radząc się owęj *prawdy wewnętrznej w sobie*, o ile są do tego zdolni.

„Wtenczas to oni uczą się: a skoro wewnętrznie odkryją że to, co im powiedział nauczyciel, jest prawdziwém, czują że mniej mają w nim nauczyciela jak raczej współucznią *prawdy*, jeżeli tylko jest nim prawdziwie.

„Tym to sposobem człowiek może uczyć człowieka drugiego; wskazuje on swojemu uczniowi za pośrednictwem znaków, ten *pochód naturalny rozumu* który sam odbył; temi to środkami rozum przyrodzony ucznia, idąc za linią, która mu się wskazuje jako pewne prawidło, przychodzi do poznania nieznanéj prawdy. . . . I w takim sensie trzeba pojmować twierdzenie, że nauczyciel tworzy w rozumie ucznia umiejętność. Otóż to właśnie nazywa się nauczaniem; i dla tego mówią powszechnie że człowiek naucza drugiego i że jest jego nauczycielem. Lecz jeżeli nauczyciel naucza swojego ucznia jakiej propozycji, która nie jest zawarta w zasadach znanych *samę przez się*, albo jeżeli uczeń nie widzi, że jest w nich zawarta, wtedy *umiejętność nie utworzy się* w uczniu. Co najwięcej, będzie on miał tylko jakąś opinią lub wierzenie; a i tu jeszcze skutek będzie tylko wpływem dzielności zasad naturalnych. Przy światłości tych zasad jasnych same przez się, uczeń spostrzeżga i sądzi, że wszystko co wynika koniecznie z tych zasad, powinno być uważane za pewne; że wszystko co im jest przeciwne, musi być bezwarunkowo zaprzeczone. Co się zaś tycze téj światłości rozumu, który nam daje poznać te principia naturalne, światłość ta dana nam jest od Boga samego, jakby obraz prawdy niestworzonéj, która się w nas odbija. Z tego wynika, że ponieważ żadne nauczanie ludzkie nie może mieć skutku, tylko mocą téj światłości, oczywiście jest przeto, że to *Bóg sam wewnętrznie naucza. On jest głównym nauczycielem.*“

Nie było czasu zatrzymywać się na drobiazgowych spostrzeżeniach psychologicznych, strona wieczna, niezmienna intelligencji była przedmiotem moich wykładów a Helena bystrym swoim umysłem i wzniosłą duszą pojmowała wszystko cudownie. Czysta dusza jęj podnosiła się wyraz pięknej twarzy niewieściej nabierał wdzięku i energii nieznanéj. Wszystko dowodziło mi że właściwą znalazłam drogę że dotknęłam strony najbardziej zaniedbauej w wychowaniu kobiety. Czućie, wola, kształcone są innemi naukami, religija chrześcijańska przytem ogarnia tę władze, tak iż ją prawie religiją woli nazwać można ale rozum, rozum w swéj wiecznéj i zasadniczéj części, jakże mało jest ceniony, jakże mało znany! Strony jego poziome czysto ludzkie jak: zrozumienie, pojętność, uwaga to co francuzi nazywają

esprit, dowcip, powszechne ma poważanie, ale to co tworzy pryncypia, bez czego człowiek nie byłby człowiekiem, a umiejętność prawdziwa niepodobną, to mówię, czyż dla wielu umysłów nietylko niewieściach ale i mężkich, ma znaczenie jakie mieć powinno? Więc tę próżnię, ten brak zapelni praca moja w umyśle Heleny a z rozwinięcia tój strony podwójna dla niój wypłynie korzyść, bo pobożność nową niewstrząśnioną zyska podstawę. Dla tego nie tracąc wątku tój nauki przeniosłam ją szybko do najpiękniejszego ustępu z dzieła Bossueta, stanowiącego jakby Theodyceę który ci w całości przesyłam.

Ciąg dalszy treści z Bossueta.

„Nic tak nie uzdalnia do wznoszenia się ku Twórcy, jak ta znajomość siebie samego i swoich działań szczytnych, które uważaliśmy duchowo umysłowemi, zasadniczemi.

Powiedzieliśmy, że umysł w zakresie swoim obejmuje prawdy wieczne; prawidła np. proporcyci za pomocą których mierzymy wszystko, są wieczne i niezienne: poznajemy jasno, że wszystko w świecie spełnia się przez stosunek czegoś większego do mniejszego, czegoś mocniejszego do słabszego a z tego cośmy powiedzieli, wiemy już dobrze, iż te proporcycje czyli stosunki, odnoszą się do zasad mających wieczną prawdziwość.

Wszystko co jest dowiedzione w matematyce i jakiegokolwiek innój umiejętności jest to właśnie skutek demonstracyi, bo ona wykazuje, iż rzecz nie może być inszą, niż jest wykazaną. Tak więc aby zrozumieć naturę i własności rzeczy, które znam, np. trójkąta, czworoboku albo koła, lub też proporcycje tych lub owych kształtów, nie potrzebuje wiedzieć czy takie istnieją w naturze, owszem mogą być pewnym, zem nigdy ani widział, ani nakreślił doskonałych. Nie potrzebuje też przypominać sobie, abym pojął naturę ruchu lub też naturę linii, jakie wszelki ruch tworzy i owe ukryte proporcycje, podług których on się rozwija. Skoro tylko powziąłem pojęcie tych rzeczy, już uznaje, że czy one istnieją obecnie, lub nie takimi jednak być muszą i jest rzeczą niepodobną, aby były innój natury lub tworzyły się w inny sposób.

A zwracając się do rzeczy bliżej nas obchodzących, pojmuję za pomocą tych zasad wiecznie prawdziwych, że gdyby nawet żaden człowiek nie istniał, ani ja także, zawsze pozostałoby w zasadzie obowiązkiem niezmiennym człowieka, dla tego że jest zdolnym do rozumowania, żyć podług rozumu i szukać swego Twórcy, aby Mu nie uchybić niewdzięcznością, gdyby nie szukając Go, nie poznał jego istnienia.

Wszystkie te prawdy i wszystkie, które z tych wywnioskowujemy porządnym rozumowaniem, istnieją niezależnie od wszelkiego czasu, w jakimkolwiek bowiem momencie stawilibym umysł ludzki, uzna on je. Ale uznając przyjmie je tylko za prawdy już gotowe, nie przez niego utworzone, gdyż nie nasze to poznanie tworzy je. One istniały przed wszelkimi wiekami, zanim pojawił się jakikolwiek umysł ludzki i gdyby wszystko, co się spełnia podług prawideł proporcji czyli wszystko, co ja widzę w naturze, zostało zniszczone oprócz mnie, prawidła te zachowałyby się w mojej myśli i widziałbym jasno, iż one pozostaną zawsze dobrami i prawdziwymi, chociażbym ja przestał istnieć razem ze wszystkim.

A teraz kiedy badam, gdzie prawdy te wieczne i niezmiennie istnieją, muszę przypuścić istotę, w której prawda jest wiecznie istniejącą i wiecznie rozumianą a istota ta musi być prawdą samą i od niej to wszelka prawda pochodzi, istniejąca we wszystkiem co jest i co rozumie po za nią.

W niej to więc sposobem, którego nie pojmuję, w niej widzę te prawdy wieczne a widzieć je i znać, to znaczy to samo, co zwrócić się do Tego, który jest niezmiennie wszelką prawdą i przyjmować od Niego światło. Przedmiot ten wieczny, to Bóg wiecznie istniejący, wiecznie prawdziwy, wiecznie prawda sama.

Jakoż w istocie, pomiędzy prawdami wiecznymi, które znam, nie ma doskonalszej i prawdziwszej nad tę: że jest coś na świecie, co istnieje samo przez się a zatem co jest wieczne i niezmiennie. Gdyby mogła być taka chwila, w którejby nic nie było, byłaby wiecznie nicość a ztąd nicość stałaby się prawdą i nicby nie było tylko nicość; rzecz najzupełniej przeciwna rozumowi. A więc jest koniecznie coś, co istniało przed wszelkim czasem i od wieków i w tém to wiecznym istnieją te prawdy wieczne, o których mówiliśmy; tam to ja je widzę i wszyscy ludzie widzą je ze mną i wszyscy widzimy, że one poprzedziły nas, gdyż my wiemy, żeśmy zaczęli kiedyś istnieć i wiemy zarazem, że te prawdy istniały zawsze. Widzimy więc je w jakimś świetle wyższem od nas, niezależnym od nas i w tém to świetle zarazem widzimy, czy robimy dobrze lub nie, to jest, czy postępujemy lub nie, podług prawideł zasadniczych naszej istoty. Tam to więc widzimy że wszystkimi innymi prawdami, zasady niezmiennie naszych obyczajów i poznajemy, że są pewne obowiązki konieczne a pod względem czynów obojętnych widzimy, iż najwłaściwszą drogą jest stosować się do największego dobra społeczeństwa. Wychodząc z téj prawdy człowiek uczciwy w rzeczach drobnych, w kroju sukni np. stosuje się chętnie do zwyczaju ale w głębi su-

mienia swego słucha niezmiennego prawa, które mu mówi, że nie trzeba czynić przykrości nikomu i że lepiej jest znieść takową od drugich, niż być komukolwiek przyczyną cierpienia. Człowiek, który widzi te prawdy i tym podobne, sądzi się sam niemi i potępia się, kiedy od nich zbacza albo raczej one to go sądzą, gdyż nie one skłaniają się do sądów ludzkich ale sądy ludzkie stosują się do nich.

A człowiek sprawiedliwie czyni, kiedy uważając zmienność swoich sądów, daje im za podstawę te prawdy niezienne.

Prawdy te wieczne, które każdemu umysłowi przedstawiają się zawsze jedne i te same, podług których rządzi się wszelki rozum, są niezawodnie czemś Boskiem, niejako Bogiem samym. Wszystkie one bowiem są w gruncie jedną tylko prawdą; jakoż w istocie, w samym czynie rozumowania spostrzegam, iż te prawdy ściśle z sobą się wiążą; ta sama prawda, która mi ukazuje, iż wszelki ruch opiera się na pewnych zasadach, ta sama, mówię, przekonywa mię, iż czyny mojej woli, muszą także podlegać prawom a te dwie prawdy widzę znów w tej jednej wspólnej, która mi mówi iż wszelka rzecz ma swoje prawo, swój porządek a więc prawda jest jedną w sobie. My znamy ją częściowo, widzimy ich wiele ale kto by je widział doskonale, ujrzałby tylko jedną...

Otóż wynika ztąd, iż prawda musi być gdzieś doskonale zrozumianą i człowiek znajduje tego niezaprzeczone w sobie dowody. Czy bowiem rozważa ją w sobie, czy spogląda na wszechświat go otaczający, widzi on, iż wszystko podlega prawom stałym i prawidłom niezmiennym, czuje, że rozumie te prawa przynajmniej w części, on który nie stworzył ani siebie, ani żadnej cząsteczki stworzenia choćby najmniejszej i widzi, że nic nie byłoby powstało, gdyby gdzieś te prawa nie były doskonale rozumiane i czuje, iż zmuszonym jest uznać mądrość wieczną, w której wszelkie prawo, wszelki porządek, wszelka miara ma swoje źródło pierwotne, gdyż byłoby rzeczą najzupełniej przeciwną rozumowi, żeby zachodził taki związek między prawdami, żeby było tyle doskonałych proporcji w rzeczach, tak doskonała ekonomija w całym ich układzie czyli świecie i żeby zarazem ten związek, ta proporcja, to dziwne gospodarstwo wszechświata nie było nigdzie doskonale zrozumiane i pojęte. Człowiek więc, który nic sam nie zrobił pierwotnie, uznając to wszystko, musi uznać i wierzyć zarazem, iż istnieje Ten, który zna prawdę w całej jej doskonałości i że On to właśnie jest Twórcą wszystkiego.

Potrzeba nam więc tylko rozważać *działanie naszego umysłu* a przekonamy się, iż on ściśle jest związany z wyższą zasadą. To np. że dusza nasza czuje się zdolną rozumieć, twierdzić i zaprzeczać, to

nawet iż ona zna, jak wiele rzeczy dla niej jest zakrytych, że często się myli, że aby nie być w błąd wprowadzona, musi niekiedy swój sąd zawiesić i trwać w zwątpieniu, to samo, mówię, przekonywa ją, że ona ma w sobie zasadę dobrą, miarę prawdy a zarazem, iż znajduje się mądrość wyższa, od której ona zawisła, której ona winna swoje istnienie.

Jakoż widoczną jest rzeczą, iż doskonałość pierwój być musi niż niedoskonałość, że ta ostatnia każe się domyślać pierwszój, tak jak ilość mniejsza każe się domyślać ilości większój. której jest tylko zmniejszeniem, tak jak złe każe się domyślać dobra, pierwsze bowiem jest tylko brakiem drugiego. Skoro więc mądrość niedoskonała jak nasza, mogąca się mylić, wątpić i wielu rzeczy nie wiedzieć, istnieje, tymbardziej możemy przypuszczać, że istnieje mądrość doskonała a nasza jest tylko jój słabem odbiciem, gdyby bowiem tylko nasze intelligencyje istniały, my jedni warcibyśmy więcej byli, niż reszta świata i niepodobnaby zrozumieć jakim sposobem znalazła się w tój całości bezwiednój, cząstka pojnująca; w tój massie materyjalnój lub na wpół przebudzonój — istotna intelligencyja. Wówczas trzeba by przypuścić, iż dusza nasza ze swoją niedoskonałą intelligencyją, istnieje jednak sama przez się a zatem jest wieczna i niezależna, czego znów żaden człowiek przy zdrowych zmysłach utrzymywaćby nie mógł. Pozostaje mu więc uznać intelligencyją doskonałą ponad nim istniejącą, od której wszelka inna odbiera władzę i miarę pojmowania.

Możemy przeto sami własnym naszym rozumem a nawet naszą niedoskonałością dojść, że jest mądrość nieskończona, która się nie myli nigdy, nie wątpi o niczém, dla której nic nie jest zakrytém, bo ona posiada zupełne zrozumienie prawdy albo raczój ona jest prawdą samą.

Mądrość ta jest sama sobie prawidłem, tak iż nie może nigdy pobłądzić i do niej to zależy porządek wszech rzeczy. Nie ma nic bardziej bytującego i bardziej żyjącego jak Bóg, gdyż On jest i żyje wiecznie. Niepodobna, żeby nie był, On, który posiada pełność bytu albo raczój, który jest bytem samym. Podług tego jak mówi do Mojżesza: *Jestem Ten, który jest; Ten który jest* posłała mnie do was.

W obec Istoty tak wielkiej i doskonałej, dusza korzy się nie znajdując w sobie nic tak godnego szacunku jak ten dar, który otrzymała: poznania i kochania Boga. Przez to czuje, że jest stworzona dla Niego, bo jeżeli intelligencyja istnieje dla prawdy a miłość dla dobra, najpierwsza więc i najwyższa prawda, ma prawo zająć całą

naszą myśl a najwyższe dobro całą naszą miłość. Z téj zasady wychodząc, zaczynam się poznawać lepiej niż się dotąd znałem, uważając się w stosunku do Tego, od którego otrzymałem byt. Mojżesz, który mi powiedział, że jestem stworzony na obraz i podobieństwo Boga, więcej mnie nauczył w tych kilku słowach, niżby to mogły uczynić najuczciwsze książki i najbieglejsi filozofowie. Rozumiem i Bóg rozumie, Bóg rozumie, że jest i ja rozumiem, że Bóg jest i że ja jestem. Oto już pierwszy rys tego Boskiego podobieństwa.

Ale trzeba tu dobrze zauważyć, co to jest rozumienie u Boga a co jest rozumienie u mnie. Bóg jest prawdą samą i intelligencyją, prawdą nieskończoną i intelligencyją nieskończoną. Tak więc stosunek wzajemny, jaki zachodzi między prawdą i intelligencyją znajduje w Bogu swoje zupełne urzeczywistnienie. Ponieważ intelligencyja nieskończona obejmuje prawdę całą a prawda nieskończona obejmuje intelligencyją równą sobie, prawda więc i wiedza zlewają się tu w jedno i widzimy intelligencyją taką (to jest Boską), która będąc samą prawdą jest też dla siebie jedynym przedmiotem. Nie tak się dzieje ze stworzeniami, które Go rozumieją, bo chociaż rozumiem np. tę prawdę, że Bóg jest, prawda ta nie jest jednak tém samym, co moja intelligencyja a zatem myśl i przedmiot we mnie mogą być dwojgiem rzeczy; w Bogu są tylko zawsze jedném, bo On rozumie tylko siebie i rozumie wszystko inne w sobie, gdyż wszystko co istnieje a nie jest Nim, jest w Nim jako w swojej przyczynie. Ale to jest przyczyna mądra, czyniąca wszystko podług najwyższego rozumu i najwyższej sztuki; przyczyna, która ma w sobie samęj albo raczój jest sama ideą i powodem pierwotnym wszystkiego co jest, a rzeczy zewnątrz Boga istniejące mają byt i prawdę w sobie o tyle tylko, o ile są w stosunku z tą ideą wieczną i pierwotną.

Dla tego to wszystko jest prawdziwém w stworzeniach Boskich ponieważ wszystko odpowiada idei tego wiecznego architekta, który tworzy, co chce i jak chce a zawsze dobrze. I w tym to duchu Mojżesz sprowadza Go niejako na świat, który stworzył i mówi, iż „ujrzawszy swoje dzieło, znalazł go dobrém“ to jest, że znalazł go zgodném ze swoim zamiarem, czyli ze swoją ideą wieczną.

Ale ten Bóg, który uczynił dzieło tak rozumne i zdolne tak zadowolić wszystko, co rozumie i myśli, chciał, aby między Jego twórcami, znalazło się coś, co zrozumie i dzieło Jego i Jego samego. Stworzył więc natury rozumne a ja jestem w ich liczby, bo ja rozumiem, że jestem i że Bóg jest i że wiele innych rzeczy nie byłyby, gdyby Bóg nie był chciał, żebyśmy istnieli. Ztąd pochodzi, że rozumiem rzeczy, jakimi są i moja myśl staje się im podobną, bo

ich *mysle* takimi jakimi są. Taką więc jest moja natura, to jest, może ona być zgodną ze wszystkim czyli przyjmować wrażenie prawdy, jednym słowem *rozumieć* i w tém to widzę podobieństwo moje czyli uznaję, że jestem stworzony na obraz Boski, nie zupełnie i doskonale gdyż wówczas byłbym jak On prawdą samą ale zawsze zdolnym przyjmować wrażenie prawdy. I z kądże przychodzą umysłowi mojemu te prawidła niezienne, które rządzą rozumowaniem, tworzą obyczaje, te zasady, za pomocą których człowiek odkrywa tajne proporceje figur i ruchów. Z kądże pochodzą jednym słowem te wszystkie prawdy wieczne, o których tak dużo mówiliśmy? Istnieją gdzie na świecie lub po za światem te trójkąty i koła w doskonałości w jakiej je umysł mój pojmuje? a te prawidła rozumowania i obyczajów gdzie są i skąd mi udzielają pojęcia swęj niezmiennęj prawdy? Ach Ten, który rozsiał miarę, proporceję i prawdę na świecie wypiętnował w umyśle moim ideę pewną tego wszystkiego.“

L I S T VI.

Zatrzymałam się długo w przeszłym liście nad ogólnymi przedmiotami, tracąc prawie zupełnie z pamięci rzeczywiste życie i obowiązki jego, które mię tu przywołały ale bo też to tak miło krążyć w ogólnej sferze, rozważać, zasady, słowem pojmywać dobro i prawdę bez przeszkód praktycznych, bez tych łamań w zastosowaniu i dalszych wywodach, które nieraz całą piękność ideom odbierają!... (*) I trzeba żeby człowiek lubił takie abstrakcyjne pielgrzymki, takie ćwiczenia ducha, one bowiem wzmacniają go i podnoszą a dla czegożby kobiety miały być obce tym drogom, któremi wieki wychowywały ludzkość całą; katedry filozofii czyż próżnym są zbytkiem

(*) Zalecamy także czytelniczkom dzieło Consina *Le vrai, le bon et le beau*.

w społeczeństwie a myśl filozoficzna czy zepsuje harmoniją duszy kobiecój? Jednakże trzeba zejść, z tój wysokości, trzeba się zmierzyć z rzeczywistością, bo i na cóżby były te wszystkie duchowe szermierstwa, gdyby ona na tém nie zyskała, cóżby znaczyło to podniesienie myśli, gdyby czyny z niego wypływające, nie prowadziły do tój wysokości, która jest wyższą nad wszelką abstrakcją, nad wszelką filozofiją: do wysokości uświęcenia i zbawienia.

To też wróciłyśmy szybko do życia z moją kochaną Heleną, jeżeli tak nawet powiedzieć można, sądząc po ciągłym i nieustannym zajmowaniu się dziećmi i domem a czas był zaprawdę wrócić bo następowało nowe a bardzo przyjemne zajęcie dla mojej synowej, które przerwało na czas jakiś nasze prace: zapowiedziane przybycie jej rodziców na kilka tygodni. Przybyli niebawem i miałam sposobność zapoznać się lepiej z temi zacnymi ludźmi, którzy tak pięknie córkę swoją wychowali. Ojciec Heleny zajmuje wysokie miejsce w sądownictwie w stolicy, powszechnie szanowany i ceniony, spełnia swój zawód od lat kilkudziesiąt, będąc ciągle wzorem i powagą dla młodszych kolegów; żona jego, osoba około lat piędziesięciu, zdrowa, świeża jeszcze i prawie piękna nie młodością lub szczególnymi rysami ale tą pogodą i jednostajnością wyrazu, która tak przystoi poważnej matce. Widocznie musiało być szczęście w tém pożyciu, nie wyrwały się bowiem żadne ślady cierpień i strasznych prób na jej obliczu, cierpiała jednak, bo może być życie bez tego a mianowicie życie kobiety; cierpiała, bo kochała, bo się troszczyła o drogie istoty, bo kierowała rodziną, umie więc pojmować smutki drugich i pojmować je z miłością, tylko w tym udziale nie ma tego odcienia, który tak łatwo rozpozna oko znawcy, odcienia, mówię, mimowolnej niewiary w szczęście i prawie zwątpienia. To właśnie czyni ją tak miłą, ujmującą i młodą, jak powiedziałam. — Ale bo jakżeby też mogło wejść zwątpienie w serce tak kochane, trzeba tylko patrzeć na ich pożycie, aby się przekonać, że tam delikatność mężczyzny nie obraziła nigdy niewdzięcznością uczuć dobrej żony, więc jej nie potrzeba, to wystarczy kobiecie nieegzaltowanej a taką właśnie jest pani W. i tak wychowała córkę. Tak kochana Maryniu, Helena nie ulega tój słabości tak powszechnej, czyżby bowiem inaczej mogła dotąd zachować w sobie iluzyją co do usposobień męża, czyżby jej nie zniechęcił prosty, prawy i praktyczny Kazimierz? nie, ona równie jak jej matka umie czuć rozumnie i nie sądzić wymagająco drogich osób a jakież to szczęście dla niej, jak jej to Bóg obficie wynagradza. Gdyby taką nie była, wiele przymiotów męża uszłoby jej uwagi, kiedy przeciwnie w tém dobrém i spokojném ser-

cu każdy czyn szlachetny znajduje odbicie, każdy wywołuje nowe współczucie. Teraz na przykład chciałabym, żebyś widziała jak ona jest szczęśliwa z postępowania Kazimierza względem jej rodziców, jak mu wdzięczna za to, że on przemyśla ciągle nad uprzyjemnieniem ich pobytu na wsi! Codzień robimy nowo wycieczki, zwiedzamy pola, folwarki, staruszek napawa się powietrzem balsamizującym wśród łąk świeżo skoszonych lub w lasku przyległym, gdzie Kazimierz umyślnie kazał urządzić ławki i stoły, abyśmy tam wygodnie spożywać mogli nazbierane jagody przez dziatki pańskie i wiejskie. Czasem zbaczamy w sąsiedztwa, bo dla drogich swych gości Kazimierz zapomniał nawet o pracy, zwolnił systematyczność swoją w gospodarstwie i dnie całe prawie ma na ich usługi. Patrząc na tę jego gotowość, na to serce jaśniejące w czynach a niewymowne w słowach, utwierdziłam się jeszcze w przekonaniu, iż są ludzie których czucie rozpryska się na rzeczywistość jak światło w pryzmacie, szczęśliwa kobieta, która wie podobnie jak fizyk uczony, że te tęcze barwy, że ta wstęga dotykalna i wazka, to zawsze jeszcze słońce, to zawsze ognisko serca pocziwego! Jakże dziękuję Bogu, że Helena zdolną jest to rozumieć.

Słowa te naprowadzają mnie na bardzo pocieszającą uwagę, szczęśliwą więc jestem matką, droga Maryniu, z czworga bowiem moich dzieci, trojga los i swoboda zdają się zupełnie zapewnione, na czele naturalnie kładę Elżbietę z jej nieporównanym Władysławem, dalej zostawiam ci do wyboru, czy postawiłabyś Juliana z Anną, czy Helenę z Kazimierzem, ja tym ostatnim daję pierwszeństwo, może dlatego, że teraz na nich patrzę, może dla wysokości umysłu Heleny, który mi jest rękojmią ich spokoju, a może i to najpewniej dla dobrego i uczciwego serca Kazimierza, które się w prostocie swojej nie wyczerpie, ani też tak zachwieje, jak się zachwiało serce Juliana.... Ale i tam jest dobrze, odbieram częste listy od nich i mam coraz więcej powodów do pociechy. Karol pozostał z nimi, kupił majątek w ich okolicy i ma się żenić w sąsiedztwie z córką dobrych ich znajomych; ziarna rzucone macierzyńską moją ręką powschodziły szczęśliwie, Joanna ciągle kieruje wychowaniem dzieci i zapewne na długo im jeszcze wystarczy. Anna nie straciła gestu do czytania owszem o coraz nowych dziełach mi wspomina i bardzo trafny o nich sąd wydaje, muszę ci nawet wypisać kilka takowych, abyś miała wyobrażenie, jak się jej umysł wykształcił. Kółko też ich rodzinne widocznie się ożywiło od czasu przybycia Karola; to, co mi mówi o nim w listach Julian, dowodzi najwyraźniej, że się nie omyliłam, sądząc, iż wprowadził nowe cele i nowe widoki w ży-

cie mego syna. Razem prenumerują wszystkie pisma czasowe polskie. Karol sprowadził książki, które przywiózł z sobą z zagranicy i z radością spostrzegam w korespondencji Juliana prawdziwie nowy i naukowy pogląd na wszystkie kwestyje dobra ogólnego dotyczące. Nie waha on się mnie ich udzielać, bo wie, że taki postępowanie moje serce, że tego zawsze dla niego pragnęłam, silnie będąc przekonaną, iż człowiek nie może być szczęśliwy, póki wielkiej części jego myśli, nie zajmie dobro bliźnich a mianowicie dobro rodaków. A lubo nie jestem wcale za zupełnem, że tak powiem, uzeńtrznieniem siebie, lubo nie podzielam przekonania jednego z młodych naszych poetów, że tylko myśl społeczna ma przyszłość przed sobą, (*) uważam jednak życie publiczne i interes dla niego za konieczny element szczęścia i harmonii w człowieku, tym bardziej też w człowieku naszego stulecia. Instytucyje polityczne wymagając współudziału obywatela, wyrwują go od czasu do czasu z zacisza domowego, aby zatroszczył się o szczęście wielu i pojął trudności życia na szerszą skalę. Oby mój Julian rychło mógł znaleźć pole do takich zajęć, oby kształtąc obywatelskie uczucia, zatusknął do zacisza domowego, taka tęsknota bowiem daje uczuć lepiej szczęście rodzinne i odświeża niejako węzły domowe. Nim to nastąpi, wpływ Karola działa tak szczęśliwie, że prawie w części ten mój ideał spełnia się w Julianie, kiedy bowiem dzień cały na przemiany jezdzie mu z przyjacielem, to na praktycznem gospodarstwie, to na czytaniu dzieł głębokich, poważnej treści, mianowicie w ekonomii społecznej, która jest ulubioną nauką Karola, kiedy mówię, tak zapracują na spoczynek, wtedy mówi on sam w liście „z nową i powiększoną radością spotykają się wieczór wszyscy około stołu, przy którym już dziś zasiadają grzeczne dzieciaczki i przewodniczająca im panna Joanna a przedewszystkiem odrodzona niejako podniesieniem umysłu i zawsze jeszcze bardzo piękna Anna.“ Taki obraz kreśli mi Julian, on sam, a wiesz, że jest szczerzy, że chociaż może unikałby zasmucać mię, kolor jego myśli nie byłby nigdy tak swobodny, ani tak jasny, gdyby to co pisze, nie było rzeczywistą prawdą. W listach ich wzajemnie jak w zwierciadle przegląda ta swoboda a mnie pozostaje tylko skła-

(*) Sowiński.

dać dzięki Bogu za niepojęte Jego nad dziećmi moimi błogosławieństwo.

Ale zapominam, jest jedno nieszczęśliwe, jedno któremu wszystko jeszcze grozi i strata dziecięcia, i strata majątku, i strata na koniec ach, aż straszno wyrzec, że trzeba się lękać utraty *zastępienia*. Tak bo gdyby Aniela poznała swój los, upadłaby pod ciężarem takiej rzeczywistości, ale ja mam nadzieję, że tak nie będzie, że pierwój los ten się polepszy a cicha jej dusza nie zazna trucizny zwątpienia.

L I S T VII.

Niemylną była moja nadzieja, dziś właśnie odebrałam list dawno oczekiwany od stryja męża Anieli, silnie on uczuł postępki synowca i pragnie zapobiedz złemu, w tym celu prosi, abym przybyła do Warszawy, gdzie on też także zdąży dla ułożenia wspólnie interesów. Wkrótce więc opuszczę moje miłe przy Kazimierzu ustrońskie lubo z nadzieją rychłego do nich powrotu; zostawiam tu jeszcze sędzię z żoną, którzy chcieliby się jak najdłużej cieszyć i świeżem powietrzem i szczęściem córki. Babunia z *miasta*, jak ją tu dzieci nazwały dla rozróżnienia od Babuni *wiejskiej*, znalazła, że paniąki niedość są jeszcze biegle w robotach i dla tego postanowiła pokierować w tym względzie dziewczęta, zaczynając od najprostszj a najpraktyczniejszj roboty, to jest od pończochy a rozumie się z piętą i wszystkimi wymysłami i doskonałościami, jakich ta sztuka wymaga. Potem przyjdą inne roboty na drutach a na następne lato, Babunia obiecuje nauczyć szyć bieliznę. „Zawsze z tego względu, mówiła do mnie, miałam zatargi z Heleną, ona od książki oderwać się nie chciała, nauczyciele za jedną, dawali godzin kilka, tak ich zachwycała pilność uczeniicy a w końcu nawet widząc rzetelny pożytek i postęp w naukach, zaprzestałam walczyć z jej gustem; niemniej jednak przekonana jestem, iż roboty ręczne koniecznie wchodzić powinny w edukacyją kobiety i cieszę się mocno, że w wnuczkach moich, żadnego z tego względu oporu nie znajduję.“ Tak więc będzie miłe dla Sędziny zajęcie w godzinach wolnych od przejażdżek i przechadzek, nad którymi bezustannie przemysła Kazimierz a ja

tymczasem wybiegnę do miasta, aby o losie mojej książęcej sieroty stanowczo pomyśleć. Do tego listu dołączam ci kilka obiecanych ustępów z korespondencji Anny, abys się przekonała jaki gust i zdrowy sąd rozwinęły się w tej młodej kobiecie. Pisze mi ona, że czytała właśnie *Caprea* i *Roma* Kraszewskiego i taką robi uwagę: „Czytając to dzieło wysokiego znaczenia i znakomitej nauki naszego powieściopisarza, przyszło mi na myśl, droga Matko, to właśnie coś zwykła była mówić o perspektywie moralnej życia... obok całej wyższości tego utworu brakuje mu perspektywy, brakuje podziału na pierwszy i drugi plan, wszystkie osoby zarówno starannie obrazowane a żadnej nie ma głównej, żadnej takiej, do którejby się wszystko odnosiło, któraby górowała nad wszystkimi; boć przecie Tyberyusz nie może być żadną miarą tą jednością. Wielkie, straszne, uczące i uczone przesuwają się obrazy ale tylko obrazy; jakby tło, które czeka głównych bohaterów a jakżeby oni się wspaniale wydali w tej oprawie! Ale ich nie ma. Mówiliśmy nieraz, że tendencyjne powieści, psują piękność utworu, narzucając pewną niewolniczość na artystę ale bez tendencji szczególnej, może przecież być cel, cel wielki, obudzający w czytelniku silną miłość, inaczej bowiem dzieło nie ma znaczenia, pomimo największej piękności. Wszak nie w naturze nie jest bez celu a chociaż nieraz zdaje nam się, patrząc na różnobarwne i rozmaite twory, że w nich wielki mistrz tworzył sztukę dla sztuki, to przecież z pewnością nie ma z nich ani jednego, któryby nie posiadał osobnych cech i osobnego przeznaczenia... „Dalej jeszcze tak pisze o *Pamiętnikach Ktosia*.“ Tu znowu tę samą zrobiłabym uwagę, różni tu są ludzie, zbiór oryginałów mistrzowsko odmalowany, zbiór nieszczęść i dziwnych okoliczności ale jakież ztąd wnioszek moralny? ten chyba bardzo smutny, że cnotliwi są zawsze ofiarą złych i przewrotnych. Lecz czyż tak zwykle bywa i jeszcze w tém coś, coby budziło odwagę, meztwo do walki z życiem, wszak to czysty fatalizm a w końcu nawet zmieszany z bardzo brudnemi namiętnościami. A jednak talent tam jaśniej, talent wielbiony i niezaprzeczony, czemuż ten talent znakomitego powieściopisarza, wyradza się często w istotną, genialną swawolę? czemu ten dar tworzenia typów, charakterów, odwraca go niekiedy od drugiego warunku powieści: tworzenia sytuacji i rozwijania ich w kierunku *naprzód a głęboko pojętej myśli moralnej* mówię moralnej — nie tendencyjnej — gdyż wiem, że wyrażenie to uważasz za uchybiający sztuce prawdziwej, ale jest jedna wielka tendencyja duszy ludzkiej, której nigdy poświęcać nawet sztuce nie można. Ale ta uwaga odnosi się tylko do ostatniej epoki pism jego, zaczynając od

Syreny, poprzednie lubo nie zdradzają takiej pewności pióra, takiego wyrobienia pod względem artystycznym, były jednak systematyczniej rozwijane w duchu jednej wyższej myśli, jak na przykład *Świat i Poeta*, któryśmy razem czytały, *Sfinks*, *Kordecki* i śliczny obrazek *Jermola* poznane już później przeze mnie. Widzisz, droga Matko, zem skorzystała z rozmów twoich i pojęłam podług twojej teorii piśmiennictwo powieściowe ale też trzeba tu dodać, że te powieści czytałam z Juljanem i że uwagi moje są prawie streszczeniem moich z nim rozmów, pozostaje mi więc tylko zasługa dobrej pamięci. W innym znów miejscu rzuciła taką myśl o *Szandorze Kowaczu* i świeżo wstawiającym się jego autorze: „Talent to wielki, pewność siebie ogromna, cel obmyślany naprzód, ale czyż cel tylko, nie, to już tendencyja a tendencyja czy zupełnie bezstronna.... czy jest spokój w duszy autora, kiedy przystępuje kolejno do obrazowania uboższej i bogatszej warstwy narodu, czy głos jego podnosząc jedną nie lubuje się czasem w wybieraniu brzydszych stron drugiej. Ale sądzić należy, że te skazy znikną w dalszych pracach tego znakomitego autora, (*) tymczasem czytaliśmy *Szandora* z zajęciem. Karol tylko czasami westchnął i jego to właśnie uwagi streściłam kochanej Matce w powyższym ustępie. Tak pisze moja droga synowa a chociaż nie ma żadnej wątpliwości, że umysł jej cichy i nieśmiały nie trafiłby sam na te myśli, jakże ja się jednakiemż muszę, że u nich także toczą się rozmowy, skoro takie jest w rodzinnem kółku ożywienie, i że ona, niedawno martwa, w drobniakach zanurzona, umie podnosić się do tych idei, umie rozumieć wykształconego męża i jego przyjaciela. Od wielu umysłów niewieścich więcej żądać nie można, samodzielność ducha rzadkim jest darem a w wielu położeniach byłaby prawie darem niebezpiecznym. Jutro odjeżdżam, następny więc list odbierzesz kochana siostrze z Warszawy.

(*) Sąd ten Anny ziścił się zupełnie.

L I S T VIII.

Jestem od tygodnia w stolicy, książę przyjechał i wszystko układa się jak najlepij; o gdybym ja ci mogła uprzytomnić charakter tego człowieka! jestto coś tak szczególnego, uważając na ród i wychowanie że prawdziwie nawielbić się nie mogę. Wśród ogólnego upadku godności i obyczajów klasy tak zwanej wyższej, przywykliśmy już kontentować się w nich nawet najmniejszym dobrem; intelligencji i silnemu charakterowi przebaczymy n. p. pychę, bo zdaje nam się, że ona jest nieodłączną od takiego położenia, nawet niejaką rękojmnią, że cnoty wielkich pradziadów naśladowane będą usilnie. Książę nie ma téj słabości. Najczystszy pogląd na dzisiejsze społeczeństwo, na jego rozwój i nowe warunki, a obowiązek możnego pana zasada się w jego przekonaniu na tem właśnie, aby tym nowym warunkom, tym nowym potrzebom odpowiedział lepiej niż inni. Antagonizm z postępem społeczeństwa, uważa za występki, nie dzieląc bynajmniej przesądu wspólnego swéj klasie, jakoby ten antagonizm pielęgnował właśnie żywioły zachowawcze. Uważa on owszem, iż im więcej ta warstwa społeczna poda rękę rozwojowi wyobrażeń, zasad i instytucji nowoczesnych, tém one więcej z siebie wydadzą rzeczywście zachowawczych żywiołów. „Alboż ich nie ma, mówił do mnie wczoraj, w dzisiejszym świecie alboż to dla tego że *człowiek* zaczyna być uznany na wszystkich stopniach i uszanowany w swéj godności, ma zmniejszyć się cześć dla idei porządku, przełożenia i karności moralnej; nie, zaprawdę, tak nie jest, tak nie będzie. jeżeli zechcemy. Błądzą i bardzo błądzą ludzie, którzy mniemają, że tylko w pewnych instytucjach tkwi rękojmia bezpieczeństwa. Każda społeczność ma w sobie tę rękojmnię; aby tylko nie demoralizować ją niepotrzebnym oporem, który namiętne partyje wyradza i potęguje, ono się rozwinie podług zasad, jakie Bóg sam złożył w naturze społecznego życia. Nie zdołałabym ci, kochana siostró, wypowiedzieć wszystkich ważnych myśli, jakie on rzuca w każdej rozmowie, jakby mimo idąc; nie ma w nim nic przymuszonego i nadciągniętego, jestto szlachetna dusza, która tak mówi, jak myśli, a działa, jak mówi, nawet w formach,

w obejściu się zachowywa tę zasadę wierności potrzebom wieku, dla tego nie ma w nim tej grzeczności wyrobionej, sztucznej, która tak jednostajną i w pewnym sposobie estetyczną barwą cechuje *salon*. Jest prosty, szczerzy i rozmowny z każdym ale zarazem tak jak powiedziałam, *jest tylko lepiej i doskonałej tem czem chce wiek, żeby ludzie byli*, bo korzystał ze środków, jakie mu położenie podało, bo miał czas i możność rozmyślać swobodnie, nie troszcząc się o chleb powszedni, a tę możność właśnie głębokiego zastanowienia się nad rzeczami, jaką posiadają bogaci, ten tak zwany *loisir*, jaki w społeczeństwie jest podziałem bogatszych, uważa on za największy skarb swój i zarazem za powód większej odpowiedzialności przed ludźmi i Bogiem.

Teraz wystaw sobie, że taki człowiek jest stryjem mego zięcia i przystaje, *postanawia nawet* ratować go z upadku a upadek ten jest podwójny, bo naprzód moralny przez rozpustę i straszny nałóg gry a potem w następstwie pieniężny, gdyż jak się pokazało młody książę przegrał cały swój majątek. Stryj więc chce okupić jego dobra swoim, na nich zaś zahypotekować posag Anieli, tak aby synowiec niczem rozporządzać nie mógł, mając jednak w perspektywie, że wszystko po śmierci stryja do niego należeć będzie. Taka jest w istocie myśl tego szanownego starca a na teraz nie daje on żadnych zapewnień, chce przedewszystkiem poprawy i zasługi, i tego nawet nie zostawia słabiej woli synowca, lecz sam postanawia czuwać nad nim i kierować jego krokami. Czy mu się uda, ja nie wiem, ale ufał Bogu, który tak cudowną pomoc sprowadził mojemu dziecku. Tymczasem zaś, ja niby o niczem nie wiem, młody książę okazuje mi największe uszanowanie a układy między nim a stryjem są podług niego zupełną dla mnie tajemnicą. O to prosiłam starego księcia i przyrzekł mi, uznając słuszność mojej delikatności. Potrzeba tylko, żeby summa Anieli była zahypotekowana a to oni z największą przyjmują chęcią i w tych dniach ta rzecz ma się zrobić w mojej obecności przed rejentem. Szczęście jej moralne hypotekuję na charakterze stryja, na tych rzadkich przyniotach, które ci wylczyłam a przedewszystkiem na miłosierdziu Boskiem, które i w największem opuszczeniu ratować umie i wszystkie ludzkie opieki oraz rękojmię zastąpić zdoła. Obowiązkiem jednak matki jest czuwać nad losem dziecka a my kobiety tak często pomawiane o niepraktyczność nie powinnyśmy opuszczać żadnych gwarancyj społecznych aby i sobie nie mieć nic do wyrzucenia i światu nie dać powodu do niesłusznych oskarżeń.

Po ukończeniu interesów wyjeżdżam do Heleny, stanęło już na tem, że książe z synowcem pojedają pierwój do dóbr jego a ja przywiozę tam później Anielę, na pociechę zaś starego księcia, który wnuczki i synowy oczekuje, przesyłam mu list, opisujący stanowcze postępy w zdrowiu ukochanej przez niego dziewczynki. Teraz zajmuję się wyborem dzieł potrzebnych dla Heleny, równie dla edukacyi jój dzieci jak dla dalszego kształcenia jój samėj; na ten ostatni cel zostanie nam jeszcze cały miesiąc, Aniela bowiem nie wróci pierwój z wód, gdyż kuracyja podług zdania Władysława jak najdłużej trwać powinna. A jakże ja się cieszę na myśl tój pracy z moją kochaną i tak pojętną uczennicą. Ona sama nie może mi ukryć swojój niecierpliwości, rodzice jój bowiem już odjechali i wiele swobodnych chwil od domowych obowiązków pozostaje na czytanie. Co mnie zaś najwięcej cieszy to, że ona jeszcze nie odgadła rzeczywistego celu moich nauk, sądzi, jak pragnęłam, że czytamy dla wzajemnej naszej przyjemności, bez żadnego na jój przyszłość widoku. To właśnie zostawia zupełną swobodę naszym rozmowom, nie nadaje mi wcale charakteru pedantycznego mistrza, czyniąc jedynie starszą i doświadczeńszą przyjaciółką a dla niój samėj nie ma w tém żadnego niebezpieczeństwa, bo nie obudza się miłość własna, nie tworzą niepotrzebne nadzieje i cała ta nauka zostaje tém, czem być powinna, to jest naturalną i dobroczynną pomocą do życia pocziwego, karmią dla ducha, którój nikt pozbawionym być niepowinien.

L I S T IX.

Jestem więc znów u Kazimierza, siedzimy w pokoiku Heleny, ona w tej chwili kończy lekcję z dziećmi a ja korzystam z czasu żeby do ciebie pisać, po obiedzie bowiem rozpoczniemy znów naszą lekturę, która już trwa od tygodnia. Nie przerywając zaczętej nici rozumowań, rozpoczęłam z Heleną studyjowanie innego równie ważnego dzieła, to jest traktatu *o istnieniu Boga* przez Fenelona; dwie te księgi *Connaissance de Dieu* i traktat o którym mówię, mogą zastąpić wszystkie inne studyja w tym przedmiocie. Tam już włożyłam ci, jak tłumaczę jój stosunek tych wielkich prawd metafizycznych do wszystkiego co ją otacza, słowem do życia, teraz chcia-

łabym jeszcze umocnić jój przekonanie o tych prawdach, oprzeć na niewzruszonych zasadach, poznanie Boga, aby już nie jój umysłu zachwiać nie mogło. Dzieło to Fenelona odpowiada właśnie najdoskonalej temu celowi, jest najszczytniejszym wykładem *Teodycei*. Czytamy powoli, rozważnie tydzień już minął a jesteśmy dopiero przy końcu pierwszej części, przy każdym bowiem rozdziale tysiące pytań, tysiące uwag a sama wielkość dotkniętych tam kwestyi tak porusza człowieka, iż czasem słowa się zatrzymują, chciałoby się raczej wielbić niż mówić. Czyż nie miałam racyi utrzymywać, że taki tylko rodzaj nauki uzacnia człowieka, że dopóki wiedza tego szczytu nie dosięga, dopóki edukacyja nie otrzyma, że tak powiem, téj kopuły, dopóty budowa nieskończona; przyjdą wiatry i burze i nie znajdzie się schronienia w tym gmachu niedokończonym. Powiesz mi Maryniu, czyż wszystkie edukacyje mogą iść tak wysoko, czyż wszystkie umysły zdolne są tak pojmować, jak pojmuje Helena? Tak może nie, ale każda prawie zrozumiałaby te same prawdy, gdyby je podano w streszczeniu w popularnym wykładzie, nie chcę ja wcale robić wszystkie kobiety filozofkami ale dziś przy wyższém rozwinięciu w ogóle, każda powinna być myślącą a więc myślącą głęboko i gruntownie, do tego zaś nie potrzeba wielkiej erudycyi tylko przemydowania głębokiego prawd wyższych. Nie myśl, żebym radziła Helenie, aby czytała wiele dzieł filozoficznych, po poznaniu tych dwóch traktatów Bossueta i Fenelona tak pełnych spirytualizmu, tak wielką oddających sprawiedliwość rozumowi w czém oddaną mu być powinna, chciałabym tylko jeszcze przejść z Heleną jedno dzieło Leibnitza, które ja najwyżej cenię, to jest *Nouveaux Essais* gdyż tam znajduje się, jakby streszczenie tego wszystkiego, co wyłożyłam, a mianowicie w zastosowaniu do psychologii i metafizyki. Jak ukończymy tę pracę, co zapewne w końcu tego miesiąca nastąpi, zalecę Helenie, aby poprzestała na tych wiadomościach. Jest jedna wielka, nieprzerwana tradycyja filozoficzna, jest jedna prawdziwa nauka o Bogu i człowieku, którą powtórzyli wielcy mistrze od Platona aż do Leibnitza w głównych zasadach i na tém poprzestać można a cóż dopiero kobiecie. Były i będą osobne systemata, są śmiałe hipotezy, wiele już ich powstało i wiele jeszcze powstać może ale tu jest podstawa psychologiczno-metafizyczna, tu grunt potrzebny każdemu wykształconemu człowiekowi, czy on się nazywa mężczyzną, czy kobietą. Mój drogi Stanisław nie miał pokoju, dopóki nie wyrobił we mnie takiego poglądu a jak taka nauka działa na życie i szczęście, mogę sądzić z doświadczenia i dla tego tak śmiało przystąpiłam do dzie-

ła. Jednakże, czy zawsze tak być może, czy zawsze mąż jest w stanie tak pokierować ideami żony, podobno najczęściej przeciwnie się zdarza, dla tego to raz jeszcze wracam do uwag w innych listach rzuconych, że kobiety powinny odbierać wyższą i gruntowną edukację, że takie zebranie zasad, takie uwieńczenie gmachu, jakie ja dorywczo przedsięwzięłam dla Heleny, jest rzeczą niezbędną i przechodzić powinno *systematycznie* od pokolenia do pokolenia przez matki. Nie sądę nawet, żeby to było rzeczą tak trudną, edukacja bowiem niewieścia wysoko jest posunięta, dzięki światłym przewodniczkom pensyi, ona jedna była zawsze przedmiotem starań sumiennych, tak że czytając opisy zakładów żeńskich w zachodnich krajach, najwyżej w oświacie posuniętych, doznałem tój słodkiej pociechy, że o nas można powiedzieć to wszystko, co mówią o edukacji Angielek a nierównie więcej jak o edukacji Francuzek; ostatniego tylko, że tak powiem, rysu, w tym obrazie brakuje: jedności, jakiegoś streszczenia wyższych nauk, czy to w żywém nauczaniu, czy w dziele na to przeznaczoném, aby kobiety myślące znalazły tam niezachwiane podstawy swoich przekonań. Książka taka równie jak Katechizm obszerną być niepowinna, ale trzeba, żeby istniała, trzeba żeby się wcieliła w macierzyńską wiedzę, żeby się stała żywą nauką w rodzinach. Oh ileżby dobrego spłynęło nie tylko na córki ale i na syny i szczęśliwa jestem, że myśl ta moja zaczęła coraz więcej upowszechniać się na świecie, jakby na dowód, że jedność pojęć w rzeczach ducha i moralności jest niezbędnym warunkiem tego postępu, około którego ludzie tak burzliwie i pracowicie chodzą. (*) Królestwo Boże jest w was, mówi Chrystus a słowa stosowane przez Kościół do człowieka dałyby się również zastosować i do społeczeństwa, królestwo Boże leży wewnątrz usposobień moralnych ludzkości, narodu i wieku, królestwo Boże zanim się stanie dziedzictwem człowieka w wieczności, jest poznawaniem prawdy na ziemi a poznanie to, aby się rozrosło, musi się uorganizować, skupić w jedność, zostać teorią, nauką, filozofiją życia.

Jest jeszcze jeden rodzaj naukowości dla kobiet, do którego coraz większe otwiera się pole, naukowości fachowej; od zawodów najmniej umysłowych, rzemieślniczych, kupieckich, do najbardziej

(*) Wyższe klasy wprowadzone od kilku lat w zakłady żeńskie odpowiadają zupełnie mojej myśli a dzieło takie byłoby tylko jakby streszczeniem nauk tam pobieranych. Zapoczętkowanie jego stanowi pierwszy tom *Kursu nauk wyższych dla kobiet* wydany nakładem Adama Dzwonkowskiego.

umysłowych i artystycznych odkryły się pewne strony, pewne części, które kobiety z pożytkiem spełniać mogą. Wyjątki nawet zdobyły całe zawody, jak Elzbieta Blackwel i kilka jej podobnych które obrały zawód lekarski. Do arcyzmu od dawna pole stoi otwarte i coraz więcej śmiałych pracownic występuje; talent, zdolności są tu wprawdzie podstawą, ale jak tylko rozszerzy się wiara w możliwość fachowego udoskonalenia w kobietach, pojawią się i talenta, rozwiną śpiesznie zdolności.

Lecz to dążenie, które tysiączne korzyści społeczne i moralne sprawić może, którego rozciągłości nawet dziś jeszcze oznaczyć nie możemy, to dążenie, mówię, nie wyłącza ogólnego wykształcenia czyli tej uprawy wyższej, tej *haute éducation intellectuelle*, o której tak pięknie mówi biskup Orleanu w dziele o *Edukacyi* i do której sięgają się moje poprzednie uwagi.

To naprowadza mnie jeszcze na inne spostrzeżenie w listach moich mówiłam i mówię wyłącznie o sposobach uzupełnienia umysłowości kobiet dorosłych, żon matek, o tém co one same lub pod przewodnictwem światlejszych członków rodziny pobieżnie zrobić z siebie mogą. Lecz gdybym mówiła o edukacyi elementarnej, systematycznej, radziłabym wprowadzić część nauk męzkich w edukacyją kobiet, raz dla powodów, które zwykle cytują jako usprawiedliwienie tej nauki w edukacyi mężczyzn powtóre, dla zakosztowania pewnej części skarbów humanizmu, tak przeważnie na wykształcenie młodzi męzkiej wpływającego. Dalej chciałbym, żeby rozwijano wysoko rachunki, wykładano w sposobie gimnazyjalnym geometryją a ze zdatną bardzo uczennicą posuwano się nawet do wyższych części matematyki. Połowa życzeń moich już spełniona, gdyż w zakładach naszych część geometryi wprowadzoną została, ale w prywatnej edukacyi byłoby to łatwiejszem a radząc to, mam w myśli systematyczne, męzkie rozwinięcie umysłu, któreby tak korzystnie wpłynęło na chrakter, kobiet, następnie mam na celu fachowe uzdolnienie, którego podstawa byłaby odrazu położoną przez taką naukę.

L I S T X.

Jeszcze dalej zajmować cię będę opisem prac moich z Heleną, powiedziałam z początku że listy te będą jakby rachunkiem sumienia, mogeż więc przerwać ten rachunek w najważniejszej chwili. Nie,

choćby cię znudzić muszę opowiadać, muszę poddać pod sąd twój dzieło wychowania, które rozpoczęłam. Położywszy zasady metafizyki, psychologii i logiki za pomocą tych dwóch dzieł Bossueta i Fenelona, przeszłam do zastosowania, wykazałam Helenie stosunek tych nauk do Etyki czyli moralności, aby dobro nie było nigdy dla niej samym nakazem zewnętrznym albo uczuciem, lecz z natury rzeczy i z prawego rozumu wypływającą koniecznością. Zamiast tak zwanej *nauki moralności* wykładanej w szkołach i pensjach, która się składa z dowolnych i empirycznych przepisów i przykładów potrzebaby wprowadzić w wyższe klasy wykład Etyki rozumowej ściśle opartej na psychologii i logice, w niższych zaś przygotowywać do takiego wykładu, czytaniem moralnych opisów, zdań, żywotów znakomitych ludzi, czyniąc właściwe objaśnienia. Oprawa racjonalna niczem zastąpioną być nie może a empiryczny wykład raczej rozprasza niż utwierdza. Nawet moralne uwagi płynące z nauki religii i pedagogiki nie zastąpią Etyki, owszem, ta ostatnia powinna iść razem z Pedagogiką. W tym celu przeczytałyśmy krótki rys Etyki, skreślony własną ręką Stanisława, który uważam za skarb mój najdroższy a następnie czytałyśmy nowe dzieło księdza Bautain, najznakomitsze w tym przedmiocie *la Conscience*. Wszystko to odbyło się mimo idąc, jakby od niechcenia, jedna kwestyja wywoływała drugą, uwaga uczennicy mojej została całkiem podbitą. I była ona przez jakiś czas całkiem uczennicą, nie czując tego, nie tracąc stanowiska poufności, na jakim ją utrzymywać się starałem. Nie uwierzysz, droga siostró, jakiej pociechy doznałam, podniósłszy ją tak wysoko, jestto stanowisko, którego nic w życiu nie zastąpi nawet najwyższa wiara, bo ta ostatnia będzie tylko powagą, nie zaś przekonaniem, a trzeba jednego i drugiego. Dziś trudności życia są tak wielkie, iż tych dwóch podstaw cnoty człowieka nie nadto a mianowicie też tam gdzie edukacyja rozwinęła pewien stopień myślenia mogący równie do paradoksów jak do prawdy prowadzić, trzeba więc dać środki poznania prawdy. Tu się zatrzymałam, tu miło mi było się zatrzymać, aby się nacieszyć widokiem téj ślicznej postaci niewieściej, którą nauka gruntowna, żywotna, tak rozpromieniła, ugodniła. Ale właśnie im więcej wpatrywałam się w tę postać, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, iż niedość aby tak piękna dusza tylko dla siebie była doskonałą, czemuż by nie miała wpływać, nauczać, pisać a do takiego zawodu możnaż przystąpić dzisiaj bez poznania głównych zasad nauk społecznych. Nie jestto wprawdzie przedmiot, któryby dla niej mógł mieć najwięcej blasku, życie jej ciche, domowe nigdy jej na takie szermierstwa opinii nie narazi

ale nie ma położenia, nie ma nauki, z którąby się te kwestyje nie łączyły, zresztą Helena jest matką, powinna przekazać córkom swoim zdania zdrowe o wszystkiém a przytem jest i siostrą, bardzo wykształconego a nawet genialnego brata, który właśnie teraz kończy nauki w uniwersytecie, jakże mu miło będzie znaleźć siostrę, zdolną go rozumiéć. To wszystko więc spowodowało mnie do rozpoczęcia z Heleną krótkich chociaż studyi nad naukami społecznymi, w tym celu użyłam znów tej saméj metody jak do nauk filozoficznych, to jest obrałam jedno dzieło ogólne, nie mające żadnego związku ze współczesnością a jednak głębokie i prawie najsumienniejsze w swoim rodzaju. Ten sam autor posłużył mi znów za przewodnika, naprzód przeczytałyśmy z Heleną powoli, uważnie sposobem studyi wszystkie pisma polityczne Fenelona a mianowicie jego uwagi nad rządami francuzkim, które zawierają jakby w ziarnie wszystkie myśli, które późnjej rozwinęła społeczność w sposób gwałtowny i burzliwy.... O czemż łagodne i szlachetne dążenia tego wielkiego człowieka nie były wysłuchane. Wolność więc byłaby weszła zwolna w ogół bez gwałtu i bez zemsty, byłaby wytrysła z postanowienia szlachetnego a nie z wieku rozbioru i zepsucia, świat nie byłby ujrzał Wolterów, Diderotów, Helvetiusów, tych ludzi reakcyi, działających przeciwko przesądom kast i ciemnocie. Potężne te głowy byłyby się rozwinęły pod innym wpływem, byłyby pracowały ku budowaniu a nie ku zniszczeniu i gdyby śmierć nie była przecięła jego życia w samym kwiecie. Prace te więc jak traktat Bossueta, któryśmy pierwjej czytały, mają charakter *dydaktyczny*, a przez to niezmiernie odpowiadają zadaniu, jakie sobie założyłam. I my kobiety po królewsku, że tak powiem, uczyć się powinnyśmy, ogół rzeczy obejmować, znać zasady nauk, mieć silne ubezpieczenie przeciw sofistatom i paradoksom, kochać dobro i prawdę, dążąc do jój spełnienia wszędzie i zawsze; ale szczegółowa, professorska biegłość w szczegółach nie jest każdej z nas potrzebna i nie jest zawsze podobna; nauka nasza nie powinna nigdy być powierzchowną, ale też i nie koniecznie techniczną, że się tak wyrażę. Nauka mężczyzn inne ma przeznaczenie, ona musi być ogólną i szczególną zarazem, filozoficzną i realną a biada krajowi, w którym te dwa względy instrukcyi nie są objęte i zrozumiane. Teraz odczytujemy jeszcze po drugi raz te pisma Fenelona, przy nich dużo toczy się rozmów, rozstrzyga się kwestyi, następnie mam zamiar przeczytać z Heleną właśnie dopóki te teoryczne nauki tkwią w jój pamięci, dzieło bardzo zbliżone do stanowiska Fenelona a zbliżka nas obchodzące. Są to pisma pośmiertne króla Stanisława Leszczyńskiego a mianowicie jego *Głos wolny wolnego Obywatela*. Światły ten mąż

równie jak Fenelon nie chciał przeistaczać narodu, nie chciał pozba-
wić go właściwej i wiekami wyrobionej odrębności lecz radził tylko
naprawić rząd Rzeczypospolitej. Głosu jego nikt ze społecznych
nie usłuchał i nie zrozumiał, bo były to słowa skromnego mędrca,
który z godnością do rozumu i sumienia przemawiał. Król Stanis-
ław Leszczyński należał do najświetlejszych ludzi swojego czasu nie-
tylko w Polsce ale i w całej Europie. Wypędzony nieprzyjaznymi
okolicznościami z kraju, osadzony na obcym tronie pośród cudzych
i na cudzej ziemi, nie przestawał być wiernym synem swojego wieku,
zawsze myślał o Polsce i pisał dla niej. Jako wielki mąż stanu wi-
dział on wady rządu i Rzeczypospolitej, czuł potrzebę wzmocnie-
nia jego i dawał rady jak to zrobić, nie nadwierzając kardynał-
nych podstaw bytu narodowego. Głęboki i rozważny ten polityk
wiedział dobrze, że życie narodowe, posuwając się naprzód, wyma-
ga ciągłych i odpowiednich reform, ale wiedział także, że naród po-
winien rozwijać się samoistnie z zachowaniem jednak zawsze kardy-
nalnych podstaw społecznego związku. Te to podstawy przedewszys-
tkiem ja starałam się uprzytomnić mojej uczennicy, zbierając w po-
rządną treść wszystko cośmy przeczytały i przemyślały.

Na cóż to potrzebne kobiecie powie niejeden? och! zaklinam
was bracia wyrzeczcie się już raz tego przesądu, wy sami, którzy
to mówicie, ileż nieraz utopii słyszeliście z pięknych ust niewiasty,
ileż jednostronnych i gwałtownych dążeń, podała wam ten głos, który
wy tylko głosem chwilowego zachwytu chcecie uczynić. O nie myśl-
cie, żeby to był zawsze i koniecznie głos anioła, głos pieśni i poezyi,
głos miłości i zgody; Tony takie tylko myśl harmonijna nastroja;
kiedy w niej nie ma pokoju i gruntu, wiedzy i głos ten zamienić się
może na straszne hasło stronnictw, nawet na dźwięk terroryzmu.
Dla Heleny nie ma tego niebezpieczeństwa, dusza jej bowiem piękna
i spokojna, wyrobiona moralnym i religijnym wychowaniem, niezdolna
jest do takich zbroceń. Jabym chciała uczynić ją świadkiem rozum-
nym wszelkich przemian społecznych, działaczem poczciwym i umie-
jętnym w pracach około dobra ogółu, chciałabym ją uczynić światłą
obywatelką kraju swojego, wpływającą dobroczynnie na wszystko co
jego potrzeb dotyczy, a przedewszystkiem chciałabym ją widzieć my-
ślącą niewiastą.

Jednak nie myśl, droga moja, żebym ja się ludziła iż taka do-
rywczą nauka może dać dostateczne wykształcenie pod względem po-
jęć socialnych, Helena nie poprzestanie na tém, będzie ona czytać
dzieła poważne w tym przedmiocie, ale będzie czytać z pożytkiem,
ze zrozumieniem rzeczy. Wskazałam jej już nawet niektóre. Prze-

czytałyśmy też na początek kilka artykułów czasowych, w które tak obfituje *Revue de deux mondes* a której żaden oświecony człowiek pomijać nie powinien i uważałam z radością, że czytała z zapałem i rozumną krytyką. O czegóż więcej żądać można? Czyż wiele jest kobiet, któreby chętnie czytały w pismach peryodycznych naszych lub obcych, artykuły odnoszące się do filozofii lub społeczności? Zwykle tylko w miejscach powieści, rozcięte bywają kartki dzieł takich, leżących na ich biurkach a cóż dopiero mówić o dziełach poważnych, jak te, które zacytowałam powyżej. Niechby tylko do tego doszło, niechby poważna lektura stała się rozkoszą większej części kobiet a wszystko będzie zyskane. Do tego zaś potrzeba sposobienia w edukacji, przeczytania kilku dzieł tego rodzaju ze światłym przewodnikiem. Gdybym zaś o elementarnej edukacji mówić miała, radziłabym przejść systematyczny rys nauk społecznych, zasad ekonomii i prawa treściwie ale gruntownie, żeby miały klucz do tego rodzaju dzieł a nawet może i wyjątkowe z czasem zajęcie, jak to kilka znakomitych autorek w Ekonomii politycznej uczyniło.

Któż nie zna dorywczych i gorączkowych utopij, które opanowują niekiedy narody i ludzi. Zapewne że pod tym względem jedynie sumienna i gruntowna nauka mężczyzn, porządne studia uniwersyteckie, sumiennosc professorów, mogą stać się stanowczym ratunkiem, ale obok tych środków jakże ważne trzymałoby miejsce wykształcenie kobiet naukowe pod względem pojęć socyalnych, zaslaniające od lekkomyślności, od chwywania zdań pozornym świecących blaskiem i nadawania im nowego uroku poetycznym kolorytem wyobraźni niewieściej — tak, iż błąd odbijany w tysiącznych barwach rośnie w tysiączne widzenia, nie zdradzając bynajmniej gromów przewrotu i zniszczenia, jakie w sobie kryje.

L I S T XI.

Nie przewidywałam, iż tak prędko sprawdzi się moje zdanie co do stosunku kobiet z kwestjami społecznymi. Właśnie kończyłyśmy nasze studia z Heleną, kiedy przyjechał do nas gość zupełnie niespodziany chociaż pożądany, brat jej Hipolit. Po skończeniu nauk w uniwersytecie bawił ciągle za granicą, rodzice oczekiwali go

dopiero za lat dwa, taki bowiem zakres pracom swoim raznaczył, kiedy nagle ciężka choroba piersiowa przytłoczyła go niebezpiecznie i wolał wrócić do rodziny. Lekarze Warszawscy wskazali więc jako jedyny ratunek i dla tego zabawiwszy tylko parę tygodni w domu, przybył do Heleny. Ognista to i namiętna dusza, umysł bystry i prawie genialny ale pokoju i wyrobienia nie ma wcale, gwałtowne idee trawia wątłe jego ciało, jest niezmierną miłość poświęcenia ale nieoznaczone jeszcze pole, na którym ma działać to poświęcenie; przepaść dążeń i nadziei, co mówię nadziei, raczejby można powiedzieć zwątpienia, bo choć mało żył jeszcze, rzeczywistość już tyle iluzji jego rozbiła, iż prawie stracił wszelkie w nią zaufanie. To też niema dla niego prawie rzeczywistości, nie ma terażniejszości, jest tylko przyszłość gorącym sercem pojęta i w przestrzeni wieków zawieszona Po cóż potępiać powiesz może droga Maryniu, takie sny młodzieńcze, kiedyż właściwiej żywić się ideałem, jak w młodości, cóżby było ze społeczeństwem, któremuby takich indywiduów zabrakło. Nie rozumiesz mnie kochana siostrzo, jeżeli tak sądzisz, ja ideał kocham i nadzieję młodości szanuję zarówno, jak doświadczenie srebrnych włosów ale jak tym ostatnim nie wolno oceniać samych sprzedzeń i stagnacji, tak tamtych nie wolno pęgarzać rzeczywistością i doświadczeniem; chorobliwego stanu ducha nie lubię a takim jest stan Hipolita, sądzę nawet, że ten stan wywołał jego istotną chorobę, taka bowiem walka wewnętrzna nie może nie oddziaływać na zdrowie. Od kilku tygodni już jest u nas, dobry, serdeczny, kochający, tym boleśniej rani serce, że mu nic innego zarzucić nie można oprócz błędów, których sam jest najpierwszą ofiarą. Otoczyliśmy go najczulszemi staraniami i zdaje się nawet, że troskliwość ta nasza wraz z powietrzem wiejskiem wpływa dobroczynnie na niego, ale tu trzeba radykalnej kuracji, trzeba przedewszystkiem towarzystwa, któreby mężstwo jego podniosło. Rozmyślając nad tém, wpadłem na myśl bardzo naturalną a zarazem zdaje mi się możliwą sprowadzenia tu na kilka tygodni Władysława, aby świeży ten człowiek i zarazem wielki lekarz, rozpatrzył się w tém trudnym zadaniu. Nie weźmie on mi za złe tej mojej śmiałości, pojmie bowiem, iż to jest zadanie rodzinne, że dla swoich, między swemi najlepiej szukać lekarstwa a możeż się dziwić, że go szukam w nim, który tak potrafił wzbudzić moje zaufanie, takie dał dowody swęj poczciwości. Jutro więc wyjeżdża posłaniec z listem do niego, tymczasem staramy się uprzyjemnić jak możemy Hipolitowi pobyt na wsi. Kazimierz go nie zrozumie, on taki zdrów moralnie i fizycznie, tak prawy i sumienny w zakresie sobie właściwym, tak rozumny rozumem rzeczywistym

i praktycznym. Rozum ten dozwala mu tylko być wyrozumiałym na cierpienia brata, łagodnym i gościnnym, co znów więcej jeszcze przywiązuje do niego Helenę. Ta ostatnia prędzejby odpowiedziała potrzebom umysłu Hipolita a uzbrojenie naukowe, jakie jej dałam czyniłoby ją prawie oparciem dla burzliwej jego duszy. Ale ona jest nieśmiała, nie wywołuje nigdy poważnej rozmowy, ja zaś chociażbym może prędzej na to się odważyła, znam go jeszcze zamało a przytem na taki stan nie dość jest głosu kobiecego, tu trzeba powagi mężczyzny równego rozumem, starszego wiekiem, zasłużonego charakterem i czynami. Takim będzie mój Władysław i na niego oczekuję z ufnością. Dołączyłam też do próśby mojej i to przypomnienie, iż oddawna obiecał z Elżbietą odwiedzić brata, on wie, jak cenię stosunki rodzinne i podziela w tém zupełnie moje zdanie a przytem jako najstarszy w gronku dzieci moich i najpierw ożeniony, posiada zupełne ich zaufanie i szacunek, nie może więc wątpić, że z sercem i radością przyjątem będzie.

L I S T XII.

Przybyli więc a przybyli w sam czas, bo Hipolit coraz słabszy niknie widocznie a jednak ja nie tracę nadziei, jestto więcej choroba nerwów jak piersi, gorączki żadnej, tylko smutek i niepokonana niczem drażliwość. Choroba to duszy, powtarzam to sobie, a na tę chorobę jedyny środek myślenie zdrowe. „Marzyć nie jest to myśleć“ powiedziała niedawno jedna z wielkich autorek i nie można dość namedytować téj prawdy; pozytywność jest zła, dowodzi oziębłości i materyalizmu w charakterze ale i marzenie nieukrócone, głębokim rozumem, prowadzi do tego samego kresu, chociaż innemi drogami. . . . Ostateczności się spotykają, powiedziano oddawna a patrząc na tę bezwładność moralną, do jakiej egzaltacja doprowadza, przekonywamy się bardziej jeszcze o prawdzie tego twierdzenia. Jedno tylko mię pociesza i daje rękojmią zmiany, to jest, że Hipolit nie ma w sobie irnii, on jeszcze nie zwątpił tak, aby się śmiał tym śmiechem, który ja najwyższym stopniem choroby moralnej nazywam, taki śmiech pożera najpotężniejsze zdolności, ubezwładnia geniusze,

takie nawet jak Heine. Nie, Hipolit się nie śmieje, on jeszcze wierzy, jeszcze szuka, jeszcze ufa, jeżeli nie teraźniejszemu pokoleniu to przyszłości. Przyszłość to jego ideał, jego bóstwo, to jego religija. Zdaje się, że nie stoi na ziemi, rzeczywistość niczem go nie wiąże, że spadł z wysokości jak jakiś mieszkaniec sfer, w których *czas* nie panuje. Ale zapędziłam się daleko w charakteryzowaniu ci tego młodzieńca, obchodzi on mnie silnie dla tego, że jest bratem Heleny, synem tych poczciwych rodziców, którzy go całkiem nie rozumieją, a nakoniec ziomkiem moim, jednym z tych wielu, których takie usposobienie do grobu zawiodło, pozbawiając przedwcześnie kraj nasz pożytecznych obywateli. Myślisz może Maryniu, że uwagi te moje potrzebowałem zakomunikować Władysławowi, nie, od jednego rzutu oka poznał on stan chorego, dwa słowa, któreśmy zamienili z sobą, przekonały mię, iż jednego zupełnie ze mną jest zdania. Ale jakże działać będzie zapytasz pewnie, jakże ratować ciało, póki dusza tak chora, jakże podnosić duszę przy tak wątłym ciele. O ile sądzić mogę, Władysław przedsięwziął leczyć duszę i ciało razem, nie upadnie zapewne pod ciężarem zadania; kto pokój ma w sobie, udzielić go potrafi, sama obecność takiego człowieka wpływa skutecznie. Wziął on się bardzo nieznacznie do dzieła, nie okazał żadnych wyraźnych zamiarów, pocieszył tylko i zaspokoił co do stanu fizycznego, przepisał łagodne lekarstwa a resztę zostawia czasowi, przyjacielskiemu zapoznaniu się z chorym, potędze zaufania i wzajemnego szacunku. Takie węzły nie tworzą się od razu, nie trzeba nawet koniecznie dążyć do ich utworzenia, miłość je zrodzi sama jeżeli podobna a co nie będzie jój dziełem, do żadnego skutku nie doprowadzi... Nie dając więc poznać swoich zamiarów, Władysław korzysta z pobytu u braterstwa aby się zbliżyć do ich serc; obiega z Kazimierzem rozległe pola, słucha jego planów, podsuwa mu nieznacznie ważne i dobroczynne pomysły, wieczorami zaś wierny swoim rodzinnym przywyknięciom, dzieli z Elżbietą jój rozmowy z Heleną i dziewczynkami.

Hipolit rzadko się dotąd miesza do naszego towarzystwa, siedzi sam a najwięcej leży, bardziej jeszcze osłabiony niemocą moralną jak fizyczną. Ale od kilku dni coraz więcej godzin z nim przepędza. To było właśnie życzeniem mego kochanego doktora i widzę jak za każdym nowym wezwaniem, wyraz radości rozlewa się na jego twarzy, on wie czém jest przyjaźń w życiu człowieka, on zna, że to zwiastunka odrodzenia, chce więc zostać przyjacielem, aby mógł być lekarzem. Pobyt ten ukochanych moich dzieci obok wielkiej pociechy budził jednak z początku we mnie niejaką obawę, z którejj muszę ci się wypowiadać kochana siostrze; ja się

lękałam, żeby widok szczęścia Elzbiety nie otworzył oczu Heleny na smutny pod wielu względami niedostatek moralnego podziału w jej życiu. Ale myliłam się w tem bardzo, złote to serce nie umie żądać od drogich osób więcej niż one dać są zdolne; *porównywanie* to już dowód zubożenia i pierwszy krok na drodze nieszczęścia; ona *nieporównywa*, chociaż światła i myśląca, w dziedzinie serca bierze wszystko osobno i każdego przymioty ocenia w właściwój mierze. Dla czego jednak tak jest, mówiłam sobie, wprowadzie wiele można przypisać pięknej naturze Heleny ale wleż to najpiękniejszych usposobień nie potrafiłoby się tak utrzymać, a ponieważ w obec Władysława zwykle myślę głośno, rzuciłam mu raz to zapytanie: „Na moje zawsze wychodzi, rzekł śmiejąc się, kobieta przedewszystkiem chce być kochaną, ona czuje, kiedy nią jest, żadne opuszczenie dla praktycznych zajęć ją nie zraza, byle tylko zawsze pozostała główném szczęściem i główną pociechą mężczyzny. Umysłowa doskonałość nie jest warunkiem jej pomyślności w życiu domowém, przebaczy wiele, osłoni wiele, nie dostrzeże nawet, jeżeli tylko serce jęj zadowolone.“ O tak Władysław ma słusność, teraz rozumiem, nie będę sobie nawet przypisywać żadnej zasługi ze względu na pracę, jaką podjęłam nad wykształceniem Heleny, to uczyni ją wyższą kobietą, obywatelką, może użyteczną i myślącą autorką, ale szczęśliwą żoną czyni ją tylko dobry, uczciwy i szczerze kochający mąż.

L I S T XIII.

Nie pisałam do ciebie dawno, kochana siostrzo, gdyż miałyśmy ciężkie zmartwienie, wychodzimy z niego dopiero cokolwiek, zaledwie śmiejąc wierzyć szczęśliwój przemianie, Hipolit który zdawał się przychodzić do zdrowia, nagle zachorował. Byłoby rzechy można przesilenie, lubo w tego rodzaju chorobach kryzys się nie pojawia, to też raczej moralnem przesileniem nazwać to trzeba niż fizyczném, od zawiązania się bliższych między nimi stosunków, piękna ta dusza żyła ciągle na drodze walki, coraz więcej przeczuwając możność pogodzenia strasznych zagadnień a nie mogąc uchwycić ogniów, z których łańcuch prawdy złożony. Nakoniec myśl przemogła, pojęcia się rozjaśniły ale ciało nie mogło podolać takiej pracy i odrazu prawie

życie zagasło. Przez trzy tygodnie nie miałyśmy żadnej nadziei Władysław nawet nie śmiał nas cieszyć, działał ale działał bardzo powoli, mało rachując na siebie, najwięcej na młodą naturę pacjenta, jakoż ta ostatnia przemogła nakoniec. Jesteśmy znów uspokojeni, widocznie wraca do życia ale jeszcze bardzo powoli prawie dosłownie możnaby powiedzieć, że wychodzi z grobu, tak jego postać zmieniona i straszna.

Miałam sposobność podczas choroby Hipolita przypatrzeć się lepiej charakterowi Heleny, jakaż w niej pobożność, jaka nieudana wiara i prostota w tej wierze; rozwinięta i bystra jak prawdziwy myśliciel a pokorna i wierząca jak najprostsza chrześcianka. Nie gardzi pomocą rozumu, gdzie rozum pomódz może ale co przechodzi jego granice poddane jest Bogu z ufnością niczym niewtrząśnioną. W sercu prawej kobiety, jak w sercu wielkiego mędrca światło wiary ze światłem myśli na jednym płoną ołtarzu, jej żadne nauki choćby najgłębsze nie oderwą od cichej katolickiej praktyki, dla niej żadna forma nie jest martwą albo raczej nie ma dla niej formy, jak nie ma jej w istocie w Kościele w obec ducha, który wszystko przenika. Widok ten był dla mnie nspakającym równie jak drogim, nieraz bowiem wykładając jej śmiałe myśli mędrców, lękałam się, czy nie wstrząsnę zasad wiary, jakie ręka rodziców złożyła w jej sercu. Była to fałszywa obawa, czysta nauka nie wyradza nigdy skutków szkodliwych, a można znaleźć czystsza nad naukę tak wyłożoną. Na tém tle budujemy, na tę podstawę kładźmy szczegółowe rozwinięcia, ona je wszystkie przyjmie, uniesie, i tak dopiero powstanie budynek wiedzy ojczyściej, narodowej i powszechnej, filozoficznej i chrześcijańskiej.

L I S T XIV.

Ciągle jeszcze jesteśmy zajęci Hipolitem, powrót do zdrowia coraz bardziej stanowczy ale wyzdrowienie zupełne jeszcze bardzo dalekie, wszystkim nam już sił zabrakło, Kazimierz nawet, mój po-

czciwy Kazimierz, stracił dużo swęj czerstwości przez nocne przy bracie czuwanie. Ja podobno ze wszystkich najlepiej się trzymam, może dlatego że mnie dźwiga myśl, myśl tak wszechstronnie dobrem dzieci przejęta. Cel ten rzuca wielki urok na życie, we wszystkiém dozwala znaleźć pewiem wdzięk i oparcie, tego doświadczałam zawsze od najpierwszęj młodości, skoro tylko nauki ukochanęj matki dały mi poznać, co jest działanie dla bliźnich, ile można zrobić na świecie dobrą chęcią i uczciwą a sumienną rozwągą a przytem nie tylko własne działanie zajmuje człowieka, patrzeć na drugich, widziéć ich rozum, poświęcenie i szlachetność, to także szczęście, któremu nic wyrównać nie może. Takiego szczęścia, jak wiesz, ja zawsze doznaję w towarzystwie Władysława, jego rozum, charakter zawsze budzą we mnie podziw i uszanowanie, ale nigdy może nie miałam sposobności rozpatrzyć się tak bardzo w jego wyższém usposobieniu jak tym razem, bo też to niebyło działanie samego rozumu ale jeszcze wpływ serca, które starało się tak cieniować zadanie, by wprost i nieznanie przeniknęło do drugiego serca. A byłoto serce chore, jak wiesz, kochana siostró, serce przepelnione gwałtownością jaką umysł utopijami obłąkany obudza, słowem Władysław chciał podnieść i oświecić swego młodego pacyenta. O jakże mu się udało, jakie owoce dziś zbiera ze swęj pracy, pokój rozlał się na bładych policzkach, a wątłe siły ożywione wzniosłem przekonaniem, czekają tylko rozwoju, żeby działać użytecznie. Taki rezultat godzien jest uwagi, dlatego pozwolę sobie tutaj, kochana siostró, dać ci małeńką próbkę téj pracy Władysława, przytaczając jednę z wielu rozmów, jakie się między nimi toczyły a których obie nieraz z Heleną mogłyśmy być świadkami, jako ciche i niemieszające się do niczego pilnowaczki. Właśnie wówczas Władysław odebrał był świeże dzieło w przedmiocie lekarskim i zachwycał się postępem, jakiego sztuka ta w wielu swoich oddziałach widocznie dochodzi. W uniesieniu swoim, udzielił téj uwagi Hipolitowi, który już wówczas czuł się widocznie lepiej i do rozmowy z nim okazywał wielką ochotę.

— Cóż z tego, odrzekł smutnie, kiedy jeszcze tak wiele zmienić na świecie potrzeba, wszystko prawie wstrząsnąć, obalić, cały układ towarzyski na błędnych spoczywa podstawach, na nim nic nigdy budować niepodobna.

— Czy zastanowiłeś się kiedy, kochany Hipolicie, odrzekł spokojnie Władysław, kto ma być tym budownikiem w przyszłości.

— A któzby inny jeżeli nie człowiek, odpowiedział zdziwiony młodzieniec.

— A więc to zawsze ten sam robotnik i wielki i mały, zarazem i mocny i słaby, i pojmujący prawdę i uległy błędowi. Czyliż światło nie jaśniało także dla przeszłości, możnaż ją tak całkiem sądzić ogołoconą z wszelkiej pomocy, nie byłoż tam zarazem tych skarbów wewnętrznych, które każdy człowiek nosi w swoim sercu.

W jakimże to wieku ludzkość pozbawioną była indywidualności mających sumienie i rozum a naturalne stosunki rzeczy i ludzi między sobą, czyż w każdej epoce nie wskazywały dróg i zasad właściwych. Człowiek Hipolicie był zawsze i będzie człowiekiem a im więcej o tém pamiętać będziemy, im bardziej do idei człowieka odniesiemy wszystkie nasze myśli o ludzkości, tym wyraźniejszym węzłem połączy się dla nas przeszłość z teraźniejszością i teraźniejszość z przyszłością. Są zapewne stopnie, jest postęp, jest pochod ale to zawsze pochod człowieka; ani czci i szacunku temu co było odbierać zupełnie nie możemy, ani ubóstwiać tego, co będzie, nie mamy prawa.

Zamyślił się tu Hipolit, widać było wyraźnie, że ta uwaga Władysława o czci należnej wiekom przeszłym, uderzyła piękną jego duszę, ale po chwili odrzekł:

— Myśl twoja drogi Władysławie zdaje się *prawie* sprawiedliwą, ale jakże wytłomaczysz te ruiny, wśród których żyje jeszcze Europa, te instytucje tak dalekie od prawdziwej doskonałości — jakże to wytłomaczysz bez potępienia zupełnego tych, co przed nami byli.

— Ruiny! rzekł Władysław, wpatrując się spokojnie w twarz młodzieńca, drogi Hipolicie, zanadto cię pociąga smutna wyobraźnia, czyż w istocie same są tylko ruiny? Było złe to prawda, przyszły więc wstrząśnienia . . . zdawało się, że wszystko zniszczą a jednak mylą się ci, co sądzą, że po nich tylko biała karta została, zostały niewstrząśnione zasady życia towarzyskiego, nieustępne warunki związku społecznego i na nich to dalej opiera się rozwój ogólny, na nich żyją, rosną i postępują ludy i narody. Człowiek pozostał, powtarzam ci drogi Hipolicie, człowiek, ta *jedność niezmienna*, do której równie stosowali się prawodawcy Grecyi, jak stosować się muszą dzisiejsi.

— Właśnie w tém stosowaniu leży błąd, rzekł Hipolit, trzeba z gruntu wszystko przeniemić, człowiek powinien stosować się do prawd, nie prawdy do niego.

— Człowiek Hipolicie jest najpierwszą i najważniejszą prawdą, wszak i społeczność cała istnieje dla dobra człowieka a on nosi w sobie najnieomylniejszą miarę prawd społecznych. Wszystko co prze-

ciwne jego naturze, *moralnej naturze*, nie utrzyma się chociażby miało pozór największego dobra, tak jak z drugiej strony zasady z tej natury wypływające, przetrwają wszystkie burze i wszystkie utopije.

Powtórzyłam ci prawie co do słowa rozmowę dwóch ludzi tak nas mocno interesujących, dla tego, żebyś miała wyobrażenie, jakie to siły mierzą się niekiedy w rodzinie i jak zbawienny wpływ członkowie jęj wywierać mogą na siebie. Rozmów takich było wiele ale ta jedna streszcza w sobie prawie wszystkie inne; byłto temat, który rozwijał szlachetny lekarz coraz delikatniej, coraz szczegółowiej, z tą znajomością serca i umysłu ludzkiego, jaką tylko światły lekarz lub światły kapłan mieć mogą. Leczył też razem duszę i ciało, codziennie postępi sił jest większy, swoboda i ożywienie coraz widoczniejsze. Władysławowie zabawią tu parę dni, potem wracają do siebie, zabierając razem Hipolita, potrzebuje on bowiem jeszcze ciągłych starań. Rodzice nie wiedzą, że tak chorował niebezpiecznie a chcielibyśmy, żeby wrócił do nich istotnie pod każdym względem wyleczony. Wkrótce też i Aniela przybędzie, stary książę tęskni bardzo do powrotu wnuczki a młody i stryj jego, oczekują nas z nieudaną niecierpliwością. Wszystko tam dobrze idzie, książę Stefan, bo tak go będę nazywać dla odróżnienia od ojca mego zięcia, stał się istotnie uosobioną opatrnością dla całej rodziny, uczynił tak, jak obiecał, spłacając długi synowca, zaprowadzając gospodarstwo zamożne i na szerokie rozmiary. O szczegółach doniosę ci później, ztamtąd już bowiem odbierzesz następnym list odemnie.

L I S T XV.

Przywiozłam więc nakoniec moją książęcą sierotę, o ona jeszcze zawsze sierota, byt zapewniony nie stanowi przecież szczęścia, serce zaś nie tak łatwo odzyskać. Czyż to nawet jest podobne? takie rozbałamucenie, taka próżnia życia, czyż nie zabiła wszelkich żywiołów czułości, zepsucie czyż nie skaziło duszy. Książę Stefan zapewnia mnie, iż tak nie jest, on dużo pracował nad swoim synowcem podczas naszej nieobecności, zrazu zdawały mu się wszystkie strony ducha stępiały, żadna nie wydawała dźwięku prawdziwego a wielki to znawca serca ten książę Stefan, jego pozorem nie ujmie, obeznany z tak-

*

tyką salonów, formą się nie zadowolni. Otóż on mówi, że po długim badaniu, odrzucając wszystkie ułudy, napotkał jednak grunt zdrowy i na nim zaszczerpił swoje zasady. Ale czy dla żony znajdzie się tam jaka pociecha, czy doszedłszy do prawości obywatela, potrafi być jeszcze prawym i kochającym mężem! a sądząc po wszystkiem wnosiłby można, że młody książę nie ożenił się z przywiązania. Zaufana w charakterze jego mistrza i opiekuna, wyraziłam mu w tym względzie moją obawę i muszę tu powtórzyć ci jego odpowiedź, wydała mi się bowiem jako bardzo oryginalna i ucząca. Dla czego pani wątpisz, rzekł, charakter powinien przenikać wszystkie władze człowieka, on może władać równie sercem jak rozumem.

Wyraz ten rozum, przyznam się siostrze, zabrzmiał mi smutno i żałośnie. Młode dziecko moje, cicha ale jeszcze tak piękna i pocziwa Aniela, miałałby tylko być kochaną z powinności, rzekłam.

— I tu jest cokolwiek uprzedzenia, odpowiedział książę Stefan, nie gardź pani takiem źródłem uczucia, religija niedarmo wskazała nam to źródło jako najprawdziwsze, resztę zostawmy czasowi, wdziękom i przymiotom mojej miłej synowicy a przedewszystkiem łasce Boga, która nie opuszcza ludzi dobrej woli.

O! dobrą wolę ma ten człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu, za widzeniem kiedy opowiem ci jego działanie jako gospodarza, znakomite przemiany, jakie tu zaprowadził. Teraz dodam tylko, że stary książę, który o lat ośm jest starszy od brata i więcej domowych pociech potrzebuje, nie może się nacieszyć z wnuczką i synową. Dziewczynka biega tak swobodnie i wygląda tak czerstwo, jak gdyby nigdy nie chorowała. Malarz zostawił galeryję ślicznie uporzędkowaną, książę Stefan, wielki znawca, wielbi jego prace.

L I S T XVI.

Zostaje tu jeszcze kilka tygodni, chcę przypatrzeć się pożyciu moich nawo złączonych dzieci; im bardziej pragnę wrócić do ciebie, tym więcej potrzeba mi się ugruntować w przekonaniu, że na czas przynajmniej jakiś, zrobiłam w czterech kółkach rodzinnych, co tylko

zrobić było można. Przekonanie to będzie moją pociechą, moją siłą i dla tego tak starannie zdaje ci sprawę z moich czynności.

Sądząc po pozorach, zdawałoby się, że młody książę jest człowiekiem odrodzonym. Oby tak było prawdziwie! W tych dniach odebrałam list od Władysława,— niezmiernie też mi już potrzeba było wiadomości od niego, mianowicie troszczyłam się bardzo o Hipolita, troska moja jednak była zupełnie zbyteczną, on zdrowy i coraz swobodniejszy a do tój swobody przyłożyła się jedna okoliczność, o której z radością donosi Władysław. Przypominasz sobie jeszcze całą tę pocziwą rodzinę, ale czego nie wiesz, czego nie możesz sobie przypomnieć, bom ci o tём nie wspomniała, to że pomiędzy dziećmi młodszymi państwa R. była jedna śliczna dziewczynka nierównie piękniejsza od Zosi a bystrzejsza umysłem od najbystrzejszych dziewczynek, jakie kiedy widziałam. Otóż ta dziewczynka piętnastoletnia imieniem Klarka zwróciła uwagę Hipolita. „Po raz pierwszy, pisze Władysław, szalony i gwałtowny reformator znalazł coś, czego reformować nie pragnął, coś, co tak jest piękne i dobre, iż odpowiada jego ideałowi. Miłość weszła w to serce już na wpół prawie uleczone przez Władysława a miłość jest niezaprzeczenie wielką potęgą. Zbałamuceni ideałami wielkich poetów, nie pojmujemy tego uczucia inaczej, jak w oprawie Werterowskiej egzaltacyi, wiek nasz szczególnie, któremu dostały się w podziale dwa takie arcydzieła jak Werter i Korynna, nie pojmuję, rozkołysany obrazem strasznej namiętności, czém może być miłość, kiedy jest cicha prawdziwa i głęboka. Nikt mniej jak mój bohater nie był usposobiony poprowadzić uczucie na tę drogę, on tak nawykł do rozpacz i walki, że one mu się wydają koniecznym żywiołem wszelkiej myśli, wszelkiego stosunku na świecie. Dziwna rzecz jak człowiek ukochać może samą nawet truciznę! ale od czegoż doktor, żeby tój słabości w pacyencji nie pilnował; więc też nie dozwoliłem rozwijać się marzeniom, zatakowałem egzaltacyją w samym źródle. Dając za powód obowiązek prawości, rozmówiłem się z nim na seryo, co do uczuć jego dla Klary, i kiedy już sądzić mogłem, że one nie są wcale ulotnym marzeniem, po staropolsku (co się bardzo Panu R. podobało) oświadczyłem go naprzód rodzicom. Nie byliśmy odrzuceni, jak przewidujesz, kochana matko, ale odesłani uprzejmie do córki, bo w tём jest właśnie postęp naszych czasów, że bez tego zezwolenia, rodzice dziś nie decydują się. Pierwszeństwo jednak w oświadczeniu należy im się dziś, jak niegdyś od przyszłego zięcia. Czy nas Klara przyjęła, o tём nie potrzebuje powiedzieć, było to już tylko ostatnie słówko, słówko poważne, uroczyste, po tysiącnych innych zamienionych wzajemnie. Nasi młodzi

nie w niém nowego nie widzieli dla siebie, chociaż było ono im drogie, ale ja widziałem tam rękomią pokoju i uciszenia tych serc młodzieńczych a mianowicie Hipolita.

Odtąd wyobraźnia jego gwałtowna zupełnie inny wzięła kierunek. marzy ona jeszcze, ale już tylko na polu nadziei, buduje plany życia domowego, szczęścia bez granic i tak nawet ukołysał on swoje serce, tak skutkiem swojej namiętnej organizacyi, przeszedł w inną ostateczność, iż zdawałoby się, że ten człowiek nigdy nie wątpił o doskonałości społecznej Tu znów ujrzałem niebezpieczeństwo — taka zmiana mogłaby grozić nowym przewrotem, pierwszy zawód wprowadziłby na nowo w chorobę, z której tak cudownie wyprowadziła go Opatrzność.

— Jakże myliłem się, rzekł raz do mnie w swoim upojeuiu, są gotowe podstawy szczęścia — ludzkość nie ma co szukać, w sercu jest słowo zagadnienia wiekowego

— Powiedziałem ci już raz, odrzekłem smutnie drogi Hipolicie, że człowiek uczciwy nie powinien nigdy zupełnie potępiać przeszłości dla terażniejszości . . . sumienie twoje nie myliło się całkiem, kiedy troszczyło się namiętnie o los bliźnich.— Jest wiele, wiele. do zrobienia, wiele do przemyślenia, poświęcenia, tylko bez sceptyzmu, rozpacz i namiętności. Szczęście rodzinne życie, serca jestto oparcie, które pozostaje zawsze człowiekowi, serce kobiety to pieśń orzeźwiająca, ale niech ono nigdy zgubnej obojętności dla świata nie natchnie.

Odtąd czuwać ciągle nad moim szaleńcem, odrywając go często od lubych rozmów z Klarką, dla studyjowania wraz ze mną poważnych dzieł społecznych, gdyż rozum tylko a rozum głęboki i naukowy rozświetla prawdziwie zagadnienia. Jakże tutaj dadzą się zastosować głębokie słowa Arensa, które on na końcu swój Encyklopedyi prawa wypowiedział:

„Należałoby więcęć poświęcać uwagi państwowoprawnym i politycznym naukom w wykładach uniwersyteckich. Przy urządzeniu studyjów prawnych trzebaby przyjąć za ogólne, przewodniczące prawidło, że nauki społeczne i prawne, powinny być wykładane i studyjowane z trzech głównych stron: *filozoficznej, historycznej i praktycznej*; które to strony niepowinny być odosobniane, ale zawsze równoległe, i w związku z sobą rozwijane. Tém bardziej, że dawniejsze zasady powinnyby tu zostać znacznie sprostowanemi a nawet przekształconemi. Jeżeli nie obznajmiemy młodzieży z gruntowniejszemi teoryjami, będzie ona czerpać swą wiedzę z wielkiej masy bardzo dostępnych dzieł, które przy swój powierzchowności, są bardzo zrozu-

miale i schlebiają wielu błędem. Właśnie dla uniknienia błędnych kierunków wypadaloby pokonywać je naukowo.“

Naukowo, naukowo, to moje hasło i dziwne droga matko, mam ja w tém wyobrażenia, może trochę utopijne, lecz w części niezawodnie dające się zastosować a nawet coraz bardziej obowiązujące pokolenia Jahym sądził, że człowiek nie koniecznie potrzebuje przechodzić przez zwroty i burze pojęć, przez jakie przechodzi i jakie prawie za konieczne uznają, nawet myślący ludzi. Ja myślę, że to niby *malum necessarium*, dałoby się pokonać porządnie studjami;— a że to jest możliwe, świadczy znów ten głęboki Arens, (którego ciągle studjujemy z Hipolitem), mówiąc w końcu dzieła swego o reformie jaka zająć powinna w naukach prawnych i społecznych na korzyść pierwiastku filozoficznego.“

Oto są słowa Władysława, cytuje ci je w całości jako ważne— były one podwójnie dla mnie takimi, pojmujesz bowiem, jak się troszczyłam, czy biedna Helena i rodzice Hipolita, będą mogli uspokoić się o jego przyszłość. Nietylko z tobą dziele się tą radością, przeczytałam ten list także Księciu Stefanowi. Któż lepiej od niego potrafi ocenić dzieło Władysława, jego wielkie serce! A potrzebowałam tego, żeby ktoś uznał, uszanował czyn ten mego ukochanego zięcia. Westchnął smutnie Książę Stefan na słowa moje, jakimi uzupełniałam czytanie.

— Ah! szczęśliwa taka praca, rzekł, słodkie zadanie, kiedy tylko uspckając było potrzeba.

On widocznie miał w téj chwili w myśli swego synowca, który raczej obojętnością go zasmucał, mówię *zasmucał* w czasie przeszłym, gdyż istotnie przyznać muszę, że i dzieło szanownego starca coraz piękniej i zupełniej się dokonywa Dusza ludzka bogate ma zasoby, jeżeli tylko występek gruntu jój nie zepsuł, zawsze jest nadzieja odrodzenia, zawsze są sposoby ratunku.

L I S T XVII.

Już więc wyjeżdżam, wkrótce powitam moją ukochaną, wkrótce ujrzę ów kościół Maryacki z naszych okien, usłyszę jego dzwony i w miłej a poufnej rozmowie dokończę ci opowiadań moich.

Do widzenia więc, tęskno mi do naszej samotności, do naszych prac wspólnych, do naszych rozmów poufnych. Ty jedna kochasz mnie dziś na świecie *wyłącznie*, tobie jednej potrzebna jestem *niezbędnie* a bądź co bądź, to uczucie *wyłącznieści* pozostanie na zawsze najdroższém człowiekowi.

Czy spełniłam moje zadanie? Sądzę, że spełniłam o ile było podobna; każdy winien sobie to świadectwo, skoro pracował z dobrą wolą i sumieniem. Wszak to nie było wychowanie, tylko ciche i nieznamne modelowanie tego, co los zrobił przedemną. Była to praca na wpół z okolicznościami, usposobieniem i łaską Boga dokonana. Taką tylko może być praca matki u dzieci dorosłych. Czy zawsze taką być może? Czy tyle nawet pola dla każdej się znajdzie? Nie wątpię, jeżeli umiała obudzić uszanowanie i miłość w latach dziecinnych swego rodzinnego gronka, jeżeli ufano jej zdaniu, jeżeli rozwinęła w sobie przymioty potrzebne do działania na umysły światłe i uczciwe.

O! żadnej — żadnej nie znajdę w świecie.

Pieśń (z Geibla).

Jeszcze się gniewasz! . . . a ja daleko,
 Twój tylko obraz w mej duszy mam,
 I świat obwodząc tęskną powieką,
 Słucham, jak serce twe bije tam
 W dzień i noc myślą jestem u ciebie,
 W modre się oczy wpatruję twe, —
 O! żadna — żadna gwiazda na niebie
 Od ciebie jaśniej nie błyszczy — nie!

* * *

Jak pięknie świat nam wieńczył się w róże
 W on pełen złotych nadziei czas,
 Jak nam szumiało zielone wzgórze,
 Jak błądy księżyc osrebrzał nas!
 Jam cię całował za barwne kwiecie,
 Całował, piosnkę wesołą niósł:
 O! powiedz — powiedz, czy kiedy w świecie
 Piękniejszy kwiatek od ciebie wzrósł?

* * *

Dziś jestem jak ów sokół wzbujały
 Wolnemi skrzydły nad szczyty gór,
 Któremu świat ten wielki, wspaniały,
 Leży otworem z ziemi do chmur.
 Lecz sokół gniazdo ma swoje przecie,
 A ja spoczynek mieć będę gdzie?
 O! żadnej — żadnej nie znajdę w świecie,
 By szczerze jak ty kochała mnie.

Dniu nieszczęśliwy! czarna godzino!
 Co rozdzielacie na wieki nas
 Odtąd mi w smutku chmurne dni płyną,
 Znikł spokój z duszy, z nim złoty czas.
 Próżno spoczynku szukam po ziemi,
 Próżno go ścigam po głębiach mórz;
 O! żadnej — żadnej między pięknymi
 Od ciebie droższej nie znajdę już

POLNA RÓŻYCZKA.

z Goethego.

Ujrzał chłopiec z polnych wzgórz
 Różyczkę wśród żyta
 Młodą, lśknącą blaskiem zórz, —
 Pobiegnął szybko, stanął już,
 Z radością ją wita.
 Róża — róża czerwona,
 Różyczka wśród żyta!

Chłopiec rzecze: zerwę cię,
 Różyczko śród żyta!
 Róża rzecze: nie! o! nie,
 Ja klóć umiem, strzeż się mnie,
 Mnie się nikt nie chwytą.
 Róża — róża czerwona,
 Różyczka wśród żyta!

I rwie dziki chłopiec ją —
 Różyczkę śród żyta,
 Róża kłuć bronią swą
 Lecz choć kolce chłopca dra, —
 Cierpi też do syta
 Róża — róża czerwona,
 Różyczka śród żyta!

Józef Grajnerł.

Opis Wesela

w Mieście Jedlińsku.

Każde wesele w Jedlińsku odbywa się przyzwoicie — nie ma tu żadnych pijatyk, kłótni i awantur, lecz zawsze jest serdeczna, braterska szczerłość i polskie gościnne przyjęcie. Gdy młodzi poczują ku sobie wzajemną miłość — po odbyciu zaręczyn w domu rodziców panny młodej — dają na zapowiedzie. Po wyjściu zapowiedzi oznaczają dzień ślubu, (który się odbywa we Środę według rozporządzenia Władzy Dyecezalnej) a skoro ten czas nadejdzie, Państwo młodzi w towarzystwie družbów i druchen idą do Kościoła do Ś. spowiedzi, i tam po Wotywie, przystępują do Kommunii ś. Kiedy wrócą do domu druchny i družbowie tańczą. W południe dają im obiad; potem druchny same się bawią, a družbowie idą zapraszać na ślub, krewnych, przyjaciół i znajomych. Gdy się już wszyscy godownicy zejdą, przed wyjściem do kościoła do ślubu, panna młoda z wiankiem w ręku, stojąc obok narzeczonego, prosi gości o towarzyszenie jęj w tak ważnym obrzędzie — a starszy družba do Państwa młodych ma przemowę w następujący sposób:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

Jako jasna jutrzienka, co się rano zjawia,
Co blaskiem swoim świeci na niebios przestrzemi,
Tak piękna Panna młoda, wiankiem się zabawia,
Co się w jęj ręku, rutą i mirtem zieleni.
Ta korona jest znakiem Panieńskiej czystości,
Która dotąd jest miłą, póki niezwiędnieje,
Tak piękna panna młoda, gdy jest w niewinności,
To się do nięj cały świat, całe niebo śmieje.

Proszę o muzykę *(tu muzyka przegrywkę czyni)*
Jak i ty Panno młoda, jesteś wdzięczna, miła,
Bo niewinność rumieńcem Twoje lica zdobi,
Za to żeś łaski Boga dotąd niestraciła,
Bóg cię więc do małżeństwa godnego sposobi.

Zmieniasz swój stan paniński, na stan żony, matki,
 Bo taki jest los każdej kobiety mężatki,
 By była dobrą żoną, matką gospodynią.
 Bo te przymioty miłą, na świecie ją czynią.

Proszę o muzykę.

Lecz kiedy już masz zawrzeć związek dożywotnie,
 Trzeba ci się poradzić rozumu stokrotnie,
 Trzeba ci się rozpoznać dobrze na kwaterze,
 Poznać na jego sercu, jego charakterze,
 Jaki on jest i jakie jego obyczaje,
 Co mu chęci, ochoty do ciebie dodaje?
 Czy cię bierze z urody, lub czystej miłości,
 Czy z pracy, lub skromności, albo z pobożności.

Proszę o muzykę.

A jeśli się spodziewa od ciebie majątku,
 Lub od twoich rodziców jakowego wziętku.
 Wzgardź takim oblubieńcem, co szuka pieniędzy,
 Bobyś całe swe życie zostawała w nędzy.
 Boby ci wszystko stracił, wszystko przemarnował,
 Bo nie szanuje chleba, kto nań nie pracował.
 Bo komu lekko przyjdzie, to lekko odchodzi,
 A próżniakowi chleba dawać się niegodzi.

Proszę o muzykę.

Zastanów się i pomyśl, czy będziesz szczęśliwa,
 Z tym, któregoś wybrała, któremuś życzliwa?
 Poradź się swych rodziców, pierwszych przyjacieli,
 Niech ci ojciec i matka porady udzieli,
 Bo niewczas o tem myśleć, gdy się serce złączy,
 Którego nic nie zerwie i nikt nierozłączy; —
 Bo niewczas o tém myśleć, gdy stułą Kapłana,
 Ręką z ręką na zawsze będzie skrępowana.

Proszę o muzykę.

Ale Tyś już poznała jego duszy wdzięki,
 Poznałaś, że jest godzien twój paniński ręki,
 Nie smuć się więc, nie skrapiaj swój korony łzami,
 Ale bądźcie weseli, i my będziemy z wami.
 Nie oplakuj wianeczka swego tak drogiego,
 Ale już idź w obrządek stanu małżeńskiego,

Bo nazawsze niemożna żyć w panińskim stanie,
Trzeba zmienić stan panny, w inne powołanie.

Proszę o muzykę.

Lecz gdy już do kościoła kierujecie kroki,
Oddajcie swym Rodzicom, szacunek głęboki,
Bo dziecko nim opuści rodzicielskie progi,
Ucałować powinno Ojca, Matkę, w nogi.
Bo kto z błogosławieństwem rodziców wychodzi,
Temu żadne nieszczęście nigdy nie zaszkodzi,
Tego i Bóg wybawi z wszelkich nieszczęść toni,
I ojcowską opieką zawsze go osłoni.

Proszę o muzykę.

Dziękujcie przyjaciółom i całej rodzinie,
Którzy wam towarzyszą w tej słodkiej godzinie,
Bo kto ma przyjaźń z ludźmi, ten nie dozna straty,
Ten zawsze pomoc znajdzie, ten zawsze bogaty.
A teraz wam wszystkiego dobrego życzymy,
I drogę do Kościoła torować będziemy,
Abyście sobie łaskę u Boga zjednali,
Abyście się do zgonu, w swém życiu kochali.

Proszę o głos muzyki.

Albo mówi družba tę przemowę.

Zdobi Panno twoje skronie,
Z różnych kwiatów ślubny wieniec,
A przy serca twego stronie
Stoi przyszły Oblubieniec.
Ten młodzieniec, jak kwiat róży,
Bierze cię za żonę swoją,
On szczęście dla siebie wróży,
Gdy mu oddasz serce twoje.
Lecz to szczęście w Boga mocy,
Bo On jest Panem wszystkiego,
Jego błagajcie pomocy,
Bo wszystko macie od Niego.

Żyćcie w zgodzie i miłości,
 A Bóg wam pobłogosławi,
 Unikajcie wszelkiej złości,
 To i dusze wasze zbawi.

Pracujcie na chleb codzienny,
 Bo pracować ciągle trzeba,
 Bo to wasz los nieodmienny,
 Gdyż tak rozkazał Pan nieba.

Niech ubogi z waszój pracy,
 Dostanie choć okruszynę,
 Bo potrafią i żebracy,
 Zglądzić grzechów naszych winę.

Niech pijaństwo i swawola,
 W domu waszym nie postoi,
 Niech się pełni Boska wola,
 Niech się każdy Boga boi.

Proszę o muzykę.

Gdy was Bóg dobry, obdarzy dziatkami,
 Większój pociechy dla was niepotrzeba.
 Bądźcie dobrymi dla nich rodzicami,
 Wychowajcie je dla Boga i nieba.

Bo dzieci dobre, to ozdoba świata,
 Chłuba rodziców — szczęście ich jedyne,
 W nich każdy znajduje i siostrę i brata,
 I jakby swoją pocziwą rodzinę.

Tak postępujcie mili Państwo młodzi,
 Wam źle żyć z sobą, wcale się nie godzi,
 Ale żyć dobrze i w bojaźni Boga,
 Gdyż to najpierwsza jest do szczęścia droga.

Gdy opuszczacie ojca, matki progi,
 Ucałujcie im i ręce i nogi,

Dziękujcie za to, że was wychowali,
 Że tu niczego wam nie żalowali.

Pożegnaj Kasiu! tę Panien gromadę,
 Które ci służyć z duszy serca rade,
 Bo już paniński zdejmą ci wianeczek.
 A przyozdobią twą głowę w czepeczek.

Idźcie już z Bogiem — idźcie do kościoła,
 Gdzie was obrządek religijny woła,
 I proście Boga, by wam błogosławił,
 Aby po śmierci dusze wasze zbawił. Wiwat!

Alboliteż tę przemowę.

Stoisz Panno, strojna wieńcem,
Czysta, biała jak lilija,
A przy tobie jest Maryja,
Z swym Józefem Oblubieńcem.

Bo Maryja Twoja Matka,
Tę ci radość dzisiaj sprawi,
Ze ci Bóg pobłogosławi,
Z twoim mężem do ostatka.

Bo Maryja kocha szczerze,
Czyste Panny i niewinne,
Za córki je swoje bierze,
Śle im łaski dobroczynne.

Dziś w świętym Boga kościele,
Wyrzeczenie ślub miłości,
A Bóg da wam swych łask wiele,
Da wam życie w szczęśliwości.

Bo mówi Nowy Testament,
Że małżeństwo boskie dzieło,
Że w raju początek wzięło,
Że to jest wielki Sakrament.

Ten Sakrament z nieba wzięty,
Trwać będzie do końca świata,
Aby kościół Boga święty
Odradzał się w wieczne lata.

I takie małżeńskie gody,
Sam Jezus uswięcił cudem,
Gdy się ciesząc ze swym ludem,
Uczylił tam wino z wody.

Niech więc Kana—Galilejska,
Tkwi zawsze w waszej pamięci,
Abyście byli tak święci,
Jak ta para Izraelska.

I wam Bóg łask swych pomnoży
Gdy żyć będziecie cnotliwie,
I wam On niebo otworzy,
Gdy wiek spędzicie szczęśliwie.

Dziękujcie więc Bogu szczerze,
Za jego tu hojne dary;
Żyćcie stale w świętej wierze,
Składajcie Mu serc ofiary.

Dziękujcie waszym rodzicom,
 Tym miłym waszym dziadkom,
 Że was dobrze wychowali,
 I że na was pracowali.
 Nim opuścicie ich progi,
 Ucałujcie ręce, nogi,
 By was pobłogosławili,
 Byście w zdrowiu, w szczęściu żyli.
 I my wam szczęścia życzymy,
 I do kościoła pójdziemy,
 Błagać niebios, ziemi Pana,
 By wam była łaska dana.

Niech żyją!

Po ukończeniu przemowy, rodzice błogosławią swe dzieci, które im do nóg padają i dziękują za wychowanie, muzyka gra marsza i wychodzą do kościoła. Kościół jest wspaniale oświetlony, a zapalone świece w ręku wszystkich osób, które są w kościele, czyni a miły widok i budzą w sercu religijną radość. Wychodzi kapłan, ubrany w komżę stułę i kapę, błogosławi ten święty związek małżeński pomiędzy młodemi nowożeńcami, którzy z czasem mają powiększyć i grono członków Kościoła Ś-go i obywateli miasta. Po ślubie śpiewają antyfonę „Pod Twoją obronę“ młoda zaś para udaje się przed ołtarz Matki Boskiej, prosząc gorąco Tęj królowej nieba i ziemi, aby przez całe ich życie, miała ich w swęj macierzyńskiej opiece. Wyszędłszy z kościoła młodzi udają się na Plebanią i zwykle proszą Xiędza, aby zechciał zasiąść z godownikami do weselnego stołu. Kapłan według przykładu Jezusa Chrystusa, który się znajdował na weselu, w Kanie Galilejskiej, nieodmawia im swęj bytności, udaje się do ich domu, siada do stołu, i wszyscy, wspólnie, Pasterz i Owieczki, pożywają dary boże.

Przyjęcie jest szczerze — posiłek stosownie do możności, zdrowy i smaczny — przyzwoitość i trzeźwość godna pochwały. Po obiedzie podziękowawszy Bogu, rozpoczynają taniec starsi obywatele i tańczą aż do oczepin. Przed oczepinami Panna młoda tańczy ze wszystkimi Pannami kolejno — żegna ich serdecznie — a po oczepinach, młoda męzatka tańczy znów ze wszystkimi męzatkami — te zaś w końcu oddają Panią młodą jęj mężowi, który za to daje im poczęsne. Tańce trwają całą noc — nazajutrz starsze męzatki towarzyszą Pani młodęj, udającęj się na wywód do kościoła. Wesele takie kończy się zwykle we Czwartek w nocy.

X. Jan Kloczkowski *Proboszcz Jedlińsk.*

DWIE ELIZY.

Obrazek w II. Aktach.

„Worcetu! zwodziciela! Tyranie! Panie!
Za mój kwiat — bierz cię kat — Zdrada
przekieństwo! Miłość szaleństwo!”

(Treny Imci Panny Stroholównej w 65ym roku życia zwiedzzonej przez
Imci P. Worcela, Kapitana Wojsk cudzoziemskiego autoramentu J. K. M.
Augusta III).

OSOBY:

PAN ALFRED.

PANI ELIZA, jego żona.

PANNA ELIZA, daleka krewna.

PAN JAN, sąsiad.

Kassjer — pasażerowie — służba drogi żelaznej.

(Rzecz dzieje się w majątku Pana Alfreda przy stacji drogi żelaznej; — w drugim
akcie, po zmianie, w dworcu drogi żelaznej).

Pokój w mieszkaniu państwa Alfredów, drzwi w głębi, na lewo i na prawo drzwi do innych pokoi, okno;
na przodzie stolik z przyrządami do pisania.

SCENA I.

Alfred, Alfredowa.

ALFRED.

Ależ moja żonciu droga

ALFREDOWA.

Ależ drogi mój Alfredzie

ALFRED.

Cóż ci szkodzi? bój się Boga!

ALFREDOWA.

To się wcale nie powiedzie
Zresztą wyznam ci otwarcie
Wiele złości jest w tym żarcie.

ALFRED.

Widać pani się podoba,
Żeby miała jęj osoba
W Panu Janie wielbiciele,
Co tak ładnie oczkiem strzela?

ALFREDOWA.

Nie, nie powiem, nic przed nikim,
Że pan mąż jest zazdrośnikiem.

ALFRED.

Ja? zazdrosny? — a broń Boże!
Może względem Jasia?

ALFREDOWA.

Może!

ALFRED (*śmiejąc się*).

Ha ha ha ha! wyśmienicie!
Uśmiełem się moje życie!

ALFREDOWA.

Śmieję się sobie — ja jednakże
Zrywam wszystko.

ALFRED.

A to także
Myśl ci przyszła! — Dwa miesiące
Ja się męczę, pocę, trudzę,
Intryguje ich i łudzę,
I gdy wszystko płątam, macę,
By z tryunfem skończyć dzieło,
Wszystko idzie mi jak z płatką...
Czyż nie wytrwasz do ostatka?
A toż wszystko w łeb bywzięło!

ALFREDOWA.

Mój Alfredzie — powiem szczerze
 Mnie nad niemi litość bierze, —
 Jego karać zresztą można,
 Ale ona tak pobożna,
 Taka dobra kobiecina,
 Że nie młoda, czyż jej wina?

ALFRED.

Ja się nad nią nie lituję,
 Bo gdy siebie nie szanuje
 I pięćdziesiąt licząc latek,
 Zamiast smażyć swe powidła
 I pilnować swoich klatek,
 Myśli chłopcom stawiać sidła
 I podbijać świat oczyma;
 To litości dla niej nie ma!

ALFREDOWA.

Nie wiedziałam żeś złośliwy —
 Dziwi mnie, że się nie wstydzisz.

ALFRED.

Ale cóż tak złęgo widzisz?
 Plan mój przecież jest godziwy.

ALFREDOWA.

To wątpliwe.

ALFRED.

Moja droga,
 Nie wiem czemuś taka sroga --
 Bo nareszcie rozważ przecie:
 Wpewnej znanej nam kobiecie (*klaniając się*)
 Pełnej wdzięków i urody,
 Rozkochał się człowiek młody
 Do młodzieży liczon złotej,
 I na prawdę czy z pustoty,
 Śmiał napisać młodej damie,
 Wyrażając się ogniście
 Że ją

ALFREDOWA, (*przerywając*).

Mężu.

ALFRED.

Wszakże w liście

Napisane, więc nie kłamię.
 Wierna żonka list mężowi
 Doręczyła, — cóż miał zrobić?
 Zamiast wyzwać, zamiast pobić
 Tego co śmiał go obrazić,
 Poklask zjednać młodzikowi,
 Na śmiech ludzki się narazić,
 Mysł mu przyszła się pobawić,
 Wolność wszelką pozostawić,
 Listy puszczać do ostatka;
 Tylko zrobił zmianę małą,
 I co miała mieć mężatka
 (Co jest nonsens oczywisty)
 Wolnej pannie się dostało; —
 A że wszystkie tajne listy
 Jednakową brzmia dewizą,
 I na każdym: o! Elizo!
 Napisane jest na czele,
 Omylić się można śmieie.
 Dwie Elizy — to rzecz śliska!
 Gdy w adresie brak nazwiska. —

ALFREDOWA.

Ależ ona — twoja krewna

ALFRED.

Taka miła — czuła — rzewna
 Romansowo burych oczek!
 Pięćdziesiąty liczy roczek! —
 I cóż złego widzisz dla niej?
 Wszystkich mężczyzn wiecznie gani,
 Bo przed laty — wspomnieć miło!
 Trzech ją zwiodło, dwóch zdradziło. —
 Cóż więc złego dzisiaj będzie,
 Że na koszu znów osiedzie?

Będzie temat do rozmowy,
I wyborny powód nowy
By przeklinać w odwet kłęski, (*patetycznie*)
Ten obrzydły rodzaj męzki!

ALFREDOWA.

Jednak przyznaj się Alfredzie,
Choć intryga ci się wiedzie,
Nie szlachetną toczysz wojnę.

ALFRED.

O! sumienie mam spokojne,
Bo któż winien, że zawierza
Listom tego jej rycerza,
Które Józef do niej nosi?
A że oto błaga, prosi,
Więc ja za nią odpowiadam,
I jestem jej sekretarzem
Powiernikiem — a zarazem
I intrygą całą władam. —
Zresztą rozważ moja miła
Czemuż mnie się powierzyła,
A przed tobą listy chowa
I niemówi o tem słowa?

ALFREDOWA, (*zastanawiając się*).

Prawda, że to dosyć dziwne! —

ALFRED.

To nie dziwne — to naiwne!
Ona myśli że zazdrościsz,
Że pretensyc sobie rościsz
Współhubiegać z nią wdziękami!
I że swemi intrygami,
Możesz przywieść ją do zguby (*patetycznie*)
I rozerwać związek luby!

ALFREDOWA *śmiejąc się*.

Ha ha ha ha! doskonale!
Nie wiedziałam o tem wcale,
A tom szczerze się uśmieła.

ALFRED, *(patrząc za kulisy)*.

Ciszej duszko! — oto ona!
Odejdź — dzisiaj odebrała
Słodki liścik w upominku,
I szczęśliwa, ucieszona
Do mnie idzie...

(Alfredowa wybiega; przeciętymi drzwiami wchodzi Eliza w lokach na głowie, udając lekkosć i zgrabność młodej panienki),

SCENA II.

Alfred — Eliza.

ELIZA, *(wbiegając)*.

Ach kuzynku!

ALFRED.

Kuzyneczko!

ELIZA, *(rzucając się na krzesło)*.

Mglej! mglej!

Wody! wody!

ALFRED.

Cóż się dzieje?

Co się stało?

ELIZA.

Ach niepytaj!

(podając list) Patrz Kuzynku! czytaj, czytaj!

ALFRED.

Czy cię zdradza?

ELIZA.

Jeszcze gorzej!

Niech Kuzynec list otworzy.

ALFRED, *(czytając)*.

Niebiańska Elizo! najpiękniejsza z róż Edenu, czarodziejko czar-
nobrewa...

(*mówi*) I cóż złęgo, że cię chwali,
I że wdzięki twe opiewa?

ELIZA.

Ach Kuzynku — czytaj dalej!

ALFRED.

Nie gniewaj się przecież za to.

(*czyta*) Czarodziejko czarnobrewa . . .

(*na stronie*) Trochę tylko szpakowato . . .

(*czyta*) Bóstwo moje jeśli dzisiaj niewysłuchasz mojej prośby, padnę trupem u nóg twoich!

ELIZA.

Ach! ach! trupem! ach! zengleję!

ALFRED.

Cóż za miłość — on szaleje!

(*czyta*) Czemuż cię nigdy bez świadka widzieć niemogę, o ileżbym wolał ustnie wypowiedzieć zamiar w gorącej usnuty głowie! — Lecz sama mi nakazałaś bezwzględne milczenie — niewolnik twój słucha ciebie — i dla tego papierowi powierzam myśl, może szaloną, lecz bez spełnienia której dłużej żyć nie mogę. — Elizo! kochasz mnie? wszak sama wyznałaś: staraj się więc być dzisiaj o 11-jej godzinie bez światła w średnim pokoju, a jutro będziemy za granicą — innego niestety sposobu niema! — Paszporta mam gotowe. — Będę u was w południe — niech mi znów wasz służący wręczy odpowiedź — Twój do zgonu i po zgonie. Jan.

ELIZA, (*placząc*).

Twój do zgonu . . . i po zgonie!

ALFRED, (*na stronie*).

Gdy opowiem ten plan żonie

Ciekaw jestem co też powie?

(*głośno*) Cóż Kuzynka myśli o tém?

ELIZA.

Ach! przyznam się Kuzynkowi,

To niemałym jest kłopotem!

Niech Kuzynek co poradzi.

ALFRED.

A czy i on też nie zdradzi?

ELIZA, (z oburzeniem wstając z krzesła).

Kto? on? nigdy! on tak kocha
 Skromnie, cicho, rzewnie, czule,
 Nie tak jak ta młodzież płocha,
 Któręj miłość tkwi w szkatule.
 On, to weale co innego,
 Cnoty ceni a nie wdzięki
 I dla tego chce mej ręki!

ALFRED.

Jak Szambelan?

ELIZA.

Nic dobrego!

ALFRED.

Jak Podśódek?

ELIZA.

Ach! niecznośny.

ALFRED.

Jak Pan Major?

ELIZA.

Zdrajca sprośny!

ALFRED, (kierając smutnie głową).

Sześciu było.

ELIZA.

Nie tak wiele,
 Ale wszyscy zwodziciele!
 Och! mężczyźni! wierni, stali,
 Swe by życie za nas dali,
 A gdy ujmą nasze serce,
 Opuszczając nas morderce
 Tryumfują z naszej klęski:
 Och! obrzydły rodzaj mężkil!

ALFRED, (*poważnie*).

Lecz Kuzynko, mnie się zdaje,
 Że on ma złe obyczaje:
 Kiedy chce cię kraść tajemnie,
 Gdy kochany jest wzajemnie?

ELIZA.

Nie Kuzynku, być nie może,
 Oto wcale się nie trwożę:
 Lecz mu jakaś tajemnica
 Melancholją słoni lica.
 Może jaki tyran srogi
 Niepuszcza go — Boże drogi!
 Może robi mu przeszkody
 I rodziny jego liga,
 Jakaś zawiść lub intryga . . .
 Słowem musi mieć powody.

ALFRED, (*na stronie*).

Widać panny serce złote
 Dać się wykraść ma ochotę.

ELIZA.

Niech kuzynek z łaski swojej,
 Pisze . . .

ALFRED, (*przerywając*).

Że się panna boi,
 Lecz chciałaby . . .

ELIZA.

Ach, broń Boże!
 Że się gniewam, że się trwożę . . .
 Że . . . zupełnie niepozwałam . . .

ALFRED, (*siałajac przy stoliku*).

A, to pięknie, to pochwałam.

ELIZA, (*dyktuje powoli stojąc przy Alfredzie*).

Bardzo mnie to rozgniewało,
 Co pan pisze — jestem stałą . . .

Ale na to się niezgadzam . . .
 Niepozwalam i odradzam . . .
 Niech pan nawet się nieważy,
 W nocy wchodzić do ogrodu . . .
 Po pod okna... i z powodu
 Że tu złe psy są na straży . .
 Ach mój Boże, przez noc całą
 Chyba oka dziś niezmrużę,
 By co złego się nie stało...
 Bo zobaczyć mogą stróże!..
 Myśmy już tak wiele winni,
 Że mnie szarpia niepokoje...
 Ja się lękam... ja się boję...

ALFRED, (*pisząc — na stronie*).

Byś nie zawiódł, jako inni!

ELIZA, (*dyktując dalej*)

Niepozwalam — zakazuję...
 Ach! nieprzychodź — Twa na wieki.

ALFRED, (*składając list*).

Biedny tak się blizkim czuje
 Szczęścia, — a tak jest daleki! —
 (*słychać turkot*) Ktoś zajechał? —

ELIZA.

Serce bije!

ALFRED, (*patrząc w okno*).

To on!

ELIZA, (*padając na krzesło*).

Ach! ach! już nieżyję! —

ALFRED, (*podając list*).

No, Kuzynko!

ELIZA, (*jakby niesłyszając*).

Cóż on powie?

ALFRED.

Oddaj prędko Józefowi!

(*Eliza zrywa się porwać list i wybiega*).

SCENA III.

Alfred, (*sam*).

ALFRED.

Czekaj, czekaj, Panie Janie,
 Nowoczesny Donżuanie!
 Kto tak jak ty, zdraźnie, skrycie,
 Pod pozorem cnej przyjaźni,
 Depce honor, szczęście, życie,
 Podkopuje byt rodzinie:
 Ten się podli, hańbi, błaźni...
 Niéma kary równej winie!
 Ale trafił swój na swego,
 Zobaczysz co będzie z tego!
 Własną bronią cię pobije:
 A gdy cieszysz się nadzieją,
 Że śmiesznością się okryję...
 Jestem pewny jak Bóg w Niebie, —
 Wszyscy wprawdzie się pośmieją
 Śmiać się będą — ale z ciebie!

SCENA IV.

Alfred — Jan, (*mówi prędko, roztrzępanie*).

JAN.

Jak się miewasz mój Alfredzie,

ALFRED.

Witaj drogi mi sąsiedzic, (*ściskają się*).

JAN.

Cóż tu u was?

ALFRED.

Po staremu.

JAN.

Smutnys jakoś niewiem czemu?

ALFRED.

Owszem, owszem —

JAN.

Słowo daję!

ALFRED.

Tak ci tylko się wydaje.

JAN, (czule).

Wszak masz we mnie przyjaciela!

ALFRED, (na stronie).

On to mówić się ośmiela!

(głośno) O, w różowym być humorze,

To kawaler tylko może:

Ciągłe jakieś niespodzianki,

Bileciki od kochanki,

I siurpryzy i podarki.

A my biedni, gdy co kiedy,

Mamy dostać niespodzianie,

To rachunek od modniarki,

Albo pozew — owóż tedy

Bieda, bieda, Panie Janie.

(po chwili) Ot masz w ręku jakiś listek,

(śmiejąc się) Pewno słodki?

JAN, (chowając list do do kamizelki).

Jakiś świstek...

Czy rachunek — mniejsza o to...

Słowo daję!

ALFRED, (na stronie).

Ha! niecnoto!

Nie masz czasu go przeczytać?

(głośno) Ledwie zdążył cię przywitać

A już muszę się oddalić...

Tylko list na pocztę wysłę

JAN.

Owszem

ALFRED, *(na stronie, wychodząc)*.

O, i ja tak myślę,
Bo ciekawość musi palić.

SCENA V.

Jan, *(sam)*.

JAN.

Przecież wyszedł! chwała Bogu!
Ażem zadrzał, — słowo daję!
Ledwie wszedłem, w samym progu,
Józef mi ten list oddaje, —
Nawet czasu niemam schować,
Trzeba witać i całować:
Aż tu Alfred, pocziwił!
Dostrzegł, — pytać się zaczyna,
Czy nie liścik od kochanej?
I wyniósł się zaraz grzecznie.
A, wyborny, niezrównany!
Ci mężowie ślepi wiecznie,
Zaczynając od Adama. —
Lecz zobaczmy co jest w liście,
Co też pisze moja dama...

(otwiera list i czyta) Bardzo mnie to rozgniewało...

(mówi) Rozumie się — oczywiście,

To dla formy *(czyta dalej)* Jestem stałą...

(czyta dalej pocichu potem głośno) Niepozwalam *(mówi)* Któż się pyta?

(jak wyżej) Bo tu złe psy *(mówi)* Wyśmienita!

(jak wyżej) Ach nieprzychodź *(mówi)* lecz przyjechać

Pewnie wolno? Mam zaniechać,

Kiedy idzie mi jak z płatka?

O, nie, wytrwam do ostatka!

(czyta) Twa na wieki *(mówi)* To zadługo!

Na rok, na dwa, będę sługą,

Ale dłużej! — zobaczymy,

Potem o tem pomówimy.

(patrzac na list) Lecz o mężu ani wzmianki?

(mnąc i chowając) Wierżże sercu twój kochanki!

Kiedy w chwili przewinienia,

Opuszczając dach mężoski,
 Drży z bojaźni i od troski,
 Lecz w niej żalu ani cienia!
 Łącząc chytróść z złością węża,
 Gdy chorągiew wiatr odwróci,
 Bez łzy w oku, wnet porzuci
 Jutro ciebie, jak dziś męża!
 (patrząc za kulisy) Ktoś tu idzie... czy się zdaje?
 Ona!.. sama!.. słowo daję!..

SCENA VI.

Pan Jan — Pani Alfredowa.

ALFREDOWA.

Witam Pana.

JAN.

Witam Panią!

*(Siadają naprzeciw siebie).*JAN, *(chrząka mówiąc na str.)*.

Patrzy na mnie, a ja na nią!
 Co też myśli radbym wiedzieć?

ALFREDOWA, *(na str.)*.

Serio, trudno mi dosiedzieć,
 To prawdziwe są katusze,
 Lecz mąż prosi, a więc muszę. *(chwila milczenia).*

JAN, *(głośno)*.

Pani!

ALFREDOWA.

Panie!

JAN, *(na str.)*.

Słowo daję!

Jakoś mi się nie udaje:
Jak tu zacząć?

(odchrząknąwszy).

Pani!

ALFREDOWA.

Panie?

JAN, *(na str.)*.

(głośno) Wzrok surowy? — to udanie!
Co tam! już mi się sprzykrzyło!
Pierwszy raz mi się zdarzyło,
Mieć sposobność tak przyjemną...
Być sam na sam...

ALFREDOWA.

Jakto? zemną?

JAN.

Tak jest, z Panią *(na stronie)* Rzecz szczerą ególna!
Taka cicha i potulna,
Wiem że kocha i w to wierzę,
Jednak nieśmiem mówić szczerze!
(po chwili spoglądając) Ani mrugnie! oko w oko!
(z złością) Serce kobiet jest opoką,
Jest zagadką, jest otchłanią...
(miarkując się — głośno) Otóż chciałem mówić z Panią.

ALFREDOWA.

A więc słucham

JAN.

Choć surowo

Nakazane mam milczenie,
Rozkaz złamię, daję słowo,
Bo to straszne udręczenie,
Bo piekielna jest to męka,
Milczyć, kiedy serce pęka,
Ledwie z piersi nie wyskoczy...
(odwracając się, na str.). Ach! te oczy! ach te oczy!

(*głośno*) Daruj, że się dziś ośmielę,
 Jak przed Niebem i w Kościele,
 Wyznać ustnie i otwarcie,
 (*klękając*) Żeś mym bóstwem, mym aniołem!

ALFREDOWA, (*oburzona wstając*).

Co to znaczy? jakim czołem?
 Jeśli to żart, w takim żarcie...
 Jest zniewaga, — a więc wzgarda
 Słuszną karą! (*odchodzi z godnością*).

SCENA VII.

JAN sam, (*zwolna się podnosząc*)

Jaka harda!
 Proszę! proszę! — Więc niemożna
 Kochać ustnie? — Słowo daję,
 Że ma dziwne obyczaje,
 I zanadto jest ostrożna!
 Choć to prawda, że przypadkiem
 Mógłby nas kto zejść ukradkiem.
 Dobrze robi że mnie uczy
 Ostrożności...

(*Podczas słów ostatnich schodzi na palcach Eliza*).

SCENA VIII.

Jan — Eliza.

ELIZA, (*w lokach, kwiatkach i kokardach na str.*).

Cóż on mruczy?
 Może płacze? może szlocha?
 Ach! jak kocha! jak mnie kocha!

JAN, (*sposzregłszy, na str.*).

To nasz Argus! nieustanna
 Straż przyboczna, stara panna —
 Lecz być muszę dla niej grzeczny,
 Bo to świadek niebezpieczny.

ELIZA, (*zbliżając się na str.*).

Och! pocieszyć go potrzeba!

JAN, (*głośno z ukłonem*).

Jakaż dla mnie łaska Nieba,
(*z przesadą*) Skłoniła cię przyjść tu raczyć,
Bym cię Pani mógł zobaczyć,

(*z ręką na sercu kłania się głęboko*).

ELIZA, (*patetycznie*).

Ach! lzy otrzyj! skończ westchnienia!

Niech cię szczęście opromienia!

Więcej mówić nie mam siły...

(*z wzruszeniem*) List... uważaj za niebyły...

Niech twe troski się ukoją...

(*zakrywając twarz*) Dziś... Eliza... będzie twoją!...

Tak jak chciałeś!

JAN.

Czyż być może?

Tyle szczęścia...

ELIZA.

Ach! mój Boże.

JAN, (*w uniesieniu radości biegnąc do niej*).

A niechże cię ucałuję!

ELIZA, (*uciekając*).

Ach! z radości już warjuje!

SCENA IX.

Jan, (*sam*).

Słowo daję — to nowina!

Pierwszy raz mi się babina

Zdała ładną w swych kokardach,

Choć tak stara, a naiwna; —

Ale tamta — jaka dziwna!

Po tym gniewie, po tych wzgardach,

Gdy niechciała nawet słuchać...
 Byłem pewny, gdy czas minie,
 Że się musi udobruchać —
 Ale zaraz w tej godzinie —
 To tak jakoś niespodzianie,
 Że mnie cieszy! —

SCENA X.

Jan — Alfred, (*wchodzi spiesźnie*).

Drogi Janie!
 Sam tu jesteś? A mój Boże!
 A gospodarz cię odchodzi!

JAN.

Ale co tam! nie nieszkodzi,
 Był interes pilny może?

ALFRED.

I tak pilny, czy dasz wiarę?
 Że dziś, nawet zaraz jadę,
 Do Warszawy na radę.

JAN.

I na długo?

ALFRED.

Na dni parę,
 Ale może prędzej wrócę.

JAN.

Ja tembardziej się tém smucę,
 Bo mam jechać do Londynu.
 Więc się dzisiaj pożegnamy.

ALFRED.

Cheesz skosztować trochę spleenu?
 Ale gdzież są moje damy?
 Coś niewiadać mej jejmości —

(*wolując za kulisy*) Żonciu, żonciu! mamy gości —
 I kuzynka niechże raczy...

SCENA XI.

Cią — Alfredowa — Eliza.

JAN *zbliżając się do ALFREDOWEJ.*

Niechaj Pani mi wybaczy,
 Że w daleką jadąc drogę,
 Gdy się widzieć z Panią mogę,
 Pragnę złożyć pożegnanie...

ALFREDOWA, *(zimno i obojętnie).*

Żegnam Pana.

ALFRED.

Jakto Janie?

Już się żegnasz?

JAN.

Drogie chwile;
 Przed wyjazdem zajęć tyle,
 Mam załatwić to i owo —
 Nie mam czasu, daję słowo.
(kłaniając się) A więc zatem do widzenia!
(do Alfreda) Jeśli jakie masz zlecenia...

ALFRED.

No, skorzystam z twojej łaski,....
 Nie mam żadnej dobrej łaski,
 Na pamiątkę po twój drodze
 Kup mi bambus, lecz prawdziwy,
 Z Indji Wschodnich,

JAN,

Jam szczęśliwy,
 Że w czemkolwiek ci dogodzę —
(ściskając się na str.) Lecz w czem? nie masz podejrzenia!

*(podaje rękę Alfredowej i znacząco spogląda).*ALFREDOWA, *(zimno).*

Żegnam Pana,

ELIZA, (czule ściskając go za rękę).

Do widzenia!
(półgłosem) Psy śpią w budzie przy lamusie.

AKFRED (za odchodzącym).

A pamiętaj o bambusie!

Koniec Aktu I-go.

AKT II.

Inny mały pokój, w głębi dwa okna wychodzące na ogród — drzwi na lewo i na prawo — mały stoliczek na którym dwie świece się palą.

SCENA I.

Alfredowa — Eliza, (przy stoliczku zajęte robótkami).

ELIZA, (poziewając).

Wiesz co droga kuzyneczko
Że już późno — takam senna!
Kiedyż skończysz z tą czapeczką?

ALFREDOWA.

Jeszcze praca całodzienna,
Mi zostaje. Muszę spieszyć,
By Alfreda nią ucieszyć,
Niespodzianie.

ELIZA.

Wie Kuzyna
Że dziesiąta już godzina
Dawno biła.

ALFREDOWA.

Niewiedziałam.

ELIZA.

Przeszłej nocy mało spałam...

ALFREDOWA.

A przyczyną?

ELIZA.

Sen niemiły—

Jakieś łąki mi się sniły...
 Na nich róże i bławatki...
 Nucąc piosnki rwałam kwiatki
 I wplatałam w me warkocze...
 Wtem się ślizgam... z góry toczę...
 Lecę... leczę... leczę... leczę...

ALFREDOWA.

Bądź tak dobra przybliź świecę.
 I cóż potem?

ELIZA.

I nie potem!

Józef z wielkim wszedł łoskotem,
 Obudził mnie niespodzianie —

ALFREDOWA, (*śmiejąc się*).

Ja zaczęłam się już trwożyć
 Że ten bieg twój nieustanie.

ELIZA.

Wiesz co, idźmy się położyć!
 Takam senna!

ALFREDOWA.

Jeszcze chwilę—

Oto jeszcze (*pokazując*) tylko tyle.

ELIZA.

Aj! to dużo!

ALFREDOWA.

Jeszcze trochę.

ELIZA, (*niecierpliwie*).

Miałam cię za wielką śpiochę,
A dziś ciebie niepoznaję.

ALFREDOWA.

Jeszcze wiele mi zostaje —
A pojutrze imieniny
Mego męża.

ELIZA, (*czule*).

Z tej przyczyny
Śliczne oczki chcesz zmordować?
To na jutro lepiej schować,
Z bezsenności będziesz chora.

ALFREDOWA, (*śmiejąc się*).

A pamiętasz, dla majora
Gdyś kapciuszek haftowała
Toś trzy noce nie spała

ELIZA.

Ach! niewdzięcznik! ach ten zdrajca!

ALFREDOWA.

Czyż tak wielki winowajca?
Cóż on zrobił?

ELIZA.

Ach Kuzynko!
Z tak potulną skromną minką
Mnie podchlebiał bałamucić
I zaklinał i przysięgał,
A gdy serca już dosięgał,
(*placząc*) Zdradził, zawiódł i porzucił!
(*patetycznie*) Och płeć mężka jest przeklęta!
Biedne, biedne my dziewczęta!

ALFREDOWA.

A, mój Boże!

ELIZA.

Cóż się stało?

ALFREDOWA.

Na nic wszystko się niezdalo!
Muszę popsuć aż po brzegi —
(*pokazując*) Patrz jak krzywo idą ściegi!

ELIZA, (*ogładając*)

Prawda! (*po chwili*) ale wiesz co duszko,
Że już późno.

ALFREDOWA.

Chciałam szczerze
Skończyć, by mąż po podróży
Znalazł prezent pod poduszką,
Na wiązanie i w ofierze.

ELIZA.

Jutro skończysz, dzień tak duży!

ALFREDOWA.

Ależ może wcześniej wróci
I nie skończę — to mnie smuci!

ELIZA, (*ziewając*).

Sen zaczyna mnie już morzyć
Idźmy chyba się położyć.

ALFREDOWA, (*niezważając*).

Ale przypatrz się robocie
Czy nie ładna?

ELIZA, (*niespokojna, niepatrząc mówi*).

A, w istocie

Śliczna! —

ALFREDOWA.

Miłą będzie niespodzianka.

ELIZA, (*przecierając oczy*).

Ach jak mi się oczy kleją!

(*na str. zniecierpliwiona*) Będzie nudzić aż do ranka;

A tu blisko jedenasta!

ALFREDOWA, (*oglądając czapeczkę*).

Będzie pyszna — i bufiasta,
A do tego sznurek złoty!

ELIZA, (*na str.*).

Na mnie zimne biją poty!
Czy się dzisiaj niepołoży?
(*głośno*) Tylko co niewiadać zorzy,
Kury pieją!

ALFREDOWA.

Ależ przecie,
Jedenasta niedochodzi —

ELIZA, (*na str. zniecierpliwiona*).

Cóż się stało tój kobiecie!
(*głośno*) Ależ zdrowiu to zaszkodzi...
Miejże litość nad swém zdrowiem,
Bo mężowi to opowiem.

ALFREDOWA, (*śmiejąc się bierze jedną świecę*).

No już dobrze, idę, idę,
Dobranoc ci Kuzyneczko (*odchodzi na prawo*).

ELIZA, (*czule*).

Dobranoc ci kochaneczko!

SCENA II.

Eliza, (*sama*).

ELIZA.

To dopiero miałam biedę!
Mogło się już wszystko wydać.
Bo go tylko co niewiadać. —
(*patrząc na zegarek*) Jedenasta już godzina!
Serce mocniej bić zaczyna...
Wspierajże mnie mocny Boże!
Tak się lękam tak się trwożę...
(*otwiera okno*) Cisza... cisza uroczysta

Noc przesliczna i gwiazdzista...
 Nad strumykiem słowik śpiewa...
 A dokoła szumią drzewa...
 Jakby chciały mnie pożegnać...
 Smutne myśli: więc odegnąć
 Je potrzeba (*odchodzi od okna i zagląda do pokoju na lewo*) Mocny Boże!
 Oto me dziewicze łożo...
 Już go więcj nie zobaczę!
 Łóżko moje! patrz, ja płaczę!
 Ja cię żegnam me łózczo!

ALFREDOWA, (*z za kulis*).

Cóż to nie śpisz Kuzyneczko?

ELIZA, (*gasząc świecę*).

Rozbierałam się tu właśnie,
 Dobranoc ci! (*do siebie*) Nie śpi jeszcze
 (*podśluhuje, po chwili*) Lecz już cicho, nic nie szasnie
 (*po chwili idąc na palcach do okna*) Raz ostatni się popieszczę
 Choć z zamglonym łzami okiem
 Z lubym, drogiu mi widokiem...
 (*po chwili patrząc w okno*) Spi świat cały i nieżyje...
 Tylko serce w łonie bije...
 Cicho serce! już się stało,
 Już niebędziesz należało
 Więcej do mnie!

Ach! coś slychać?

Nieśmiem prawie już oddychać...
 (*slychać klasnięcie*) Klasnął! — a więc ani chwili...
 Żebyśmy się nie zdradzili...

(*bierze mantylę, kaptur i zastonę i szybko się ubiera*).

(*mówiąc*) Bo w tem jakaś tajemnica...
 Trza woalem zakryć lica...
 (*po chwili*) No, gotowam już do drogi...
 (*kładąc rękę na sercu*) Ale serce! Boże drogi,
 Jakże bije i kołacze!
 Ach! więc nigdy niezobaczę
 Mego łóżka, pokoiku,
 Firanczek z perkaliku,

I klteczki z kanarkami!
 Z bólem myślę i ze łzami;
 Zostawiam je bez opieki
 Kto wie może już na wieki! *(płacze)*
(po chwili) Czemuż tak się lękam, trwożę?
 Ja niedobrze robię może,
 Że nieumiem sobą władać
 I pozwalam się wykradać?
 Serce mi od żalu pęka,
 Wre w nim walka — ach! to męka!
(po chwili) Nie, nie, nigdy niepozwołę!
 Ja się zamknąć na klucz wołę!
 Za małżeńskie te słodycze
 Oddać serce me dziewicze?
 Niechęć... wołę umrzeć raczej!
 Może Pan Bóg mi przebaczy....
 Do wyraźnej dążę zguby...
 Bo wykradać czyż się godzi?
(słuchając) Już za późno! ktoś nadchodzi —
 Serce mówi że to luby! —

(zakrywa oczy — Jan wskakuje przez okno).

SCENA III.

Eliza — Jan.

JAN, *(mówi prędko z zapałem).*

Ach Elizo!

ELIZA, *(z cicha płacząc).*

Ach! ach! mgleję!

JAN.

Uwieńczone me nadzieje!...

ELIZA.

Ach ach!

JAN.

To niedopojęcia!

ELIZA.

Ach uch!

JAN.

W moje chodź objęcia
 Niech przycisnę cię do łona!
 Ach! Elizo ubóstwiona!

ELIZA, (*odpychając go*).

Ach ach!

JAN.

Jakto? więc odpychasz
 Twego sługę? — ciągle wzdychasz...

ELIZA.

Ach ach! ach ach!

JAN.

Pozwól rączkę
 Ucałować (*całuje w rękę*) Czuję drzączkę?
 Czy się boisz twego sługi?

ELIZA.

Ach ach!

JAN, (*biorąc za drugą rękę*).

Luba pozwól drugiej!

(*klęcząc, obiedwie ręce okrywa pocałunkami*).ELIZA, (*na str.*).

Ten to kocha powiem śmiecie!
 Tamci byli zwodziciele!
 Cóż za zapal! ach ach! mgleję!
 On szaleje! on szaleje.

JAN, (*wstając*).

Choć oderwać się niemogę
 Od nóg twoich, czas już w drogę

(przystawiając krzesło do okna) Bo niebawem pociąg stanie...
 (podając rękę) Wesprzyj się na moją rękę..
 (prowalząc czule) Życie całe ci poświęcę

ELIZA, (idąc).

Ach ach! ach ach! Panie Janie!

(Jan przeskakuje na drugą stronę okna).

ELIZA, (wchodząc na krzesło — na str.).

Boże! serce mi się kraje!

(Jan z drugiej strony okna pomaga jęć zejść).

JAN, (na str.).

A to ciężka słowo daję!
 Któżby sądził po jęć twarzy—
 Dwieście funtów z górą waży!—

(słychać krzyk Elizy już za oknem i łoskot upadku).

Z M I A N A.

Stacja Kolei Żelaznej — pokój pasażerski — przez otwarte drzwi w głębi widać snujących się ludzi po platformie — na prawo od widziw okienko na którym napis Kassa, na lewo kanapka, kilka krzesłek. — Lampa się pali nad Kassą — a latarnia na platformie — z resztą dosyć ciemno.

SCENA IV.

Eliza — Jan, (wchodzą) KASSIER (w okienku).

JAN, (sadzając Elizę na kanapie).

To wypadek nieszczęśliwy!
 Ach przeklęte te pokrzywy!
 Jak ten Alfred ścierpieć może
 By przy samym jego dworze
 Pokrzyw rosły całe krzaki!

(biorąc za rękę Elizy która ciągle trzyma chustkę przy twarzy).

A mój Boże, jakie znaki!

ELIZA.

Ach ach!

JAN, (pieszcząc rękę).

Strasznie boleć muszą?
 To okropną jest katuszą!

(*po chwili*) A, niezgrabność ma przeklęta...
Daj mi Pani te rączeta,
Niech przynajmniej je upieszczę...

ELIZA, (*wyrywając ręce*).

Ach ach.

JAN, (*przytrzymując i całując*).

Jeszcze, pozwól jeszcze! —
(*całując na str.*) A i mnie też diablo parzy
I po rękę i po twarz!

ELIZA, (*na str.*).

Ach mój Boże jakże ściska!

JAN, (*na str.*).

Te przeklęte pokrzywiska
Tak mi nogi poplątały,
Żem jak długi runął cały!

KASSIER, (*na str. w okienku*).

A to jakaś czuła para!

JAN, (*dobytując cygarniczki*).

Czy nie szkodzi dym cygara?

(*na znak Elizy —wstaje idzie do Kassy, z cygarem w rękę*).

KASSIER, (*podając zapalke*).

Służę Panu

JAN, (*zapalając cygaro*).

Ach dziękuję —
Niech się Pan niefatyguje.
(*odchodząc*) Czy też prędko pociąg stanie...

(*słychać sygnał*) KASSIER.

Otóż słychać już gwizdanie...
Za pięć minut.

ELIZA, (*na str.*).

Boże święty.

(*Jan siadając przy niej znów całuje w ręce*).

KASSIER, *(na str.)*.

A to emoka jak najęty! —

(ruch na platformie — widać jak niesą tłomoki — słychać dzwonienie i gear — kilku pasażerów w różnych kostiumach wpada po bilet).

SCENA V.

Ciż i Pasażerowie, *(tłocząc się i popychając — wołają prędko).*

1-szy PASAŻER.

Proszę bilet!

2-gi PASAŻER.

Dwa bilety!

3-ci *(odpychając).*

Nie tłocz się Pan tak do Kassy!

PASAŻERKA, *(pchając się).*

Mnie wprzód! grzeczność dla kobiety!

4-ty PASAŻER.

Proszę bilet trzeciej klasy!

3-ci PASAŻER, *(przy kassie).*

Do Granicy!

2-gi,

Do Dąbrowy!

1-szy.

Do Poraja!

PASAŻERKA, *(piskliwie).*

Do Częstochowy!

WSZYSCY.

Mnie! mnie! mnie! mnie!

1-den PASAŻER, *(rozgniewany).*

Cóż u diaska!

Sprzedać bilet to nie łaska!

1-szy PASAŻER.

Mnie wprzód!

PASAŻERKA,

Mnie wprzód!

KASSIER.

Zaraz, zara!

A to istna Boska kara!

PASAŻERKA, (*odpychając tłoczącego się*).

Niech Pan damy niepopycha!

PASAŻER.

Aj! aj! odcisk!

2-gi, (*z gniewem odpychając*).

Idź do licha!

4-ty.

Niepchaj się Pan!

1-den PASAŻER, (*rozgniewany*).

Cóż u czorta.

KILKU.

Dla mnie! dla mnie!

KASSIER.

Gdzież paszporta...

(po chwili). Nie mam drobnychPASAŻER, (*przy kassie*).

Jako nie ma?

KASSIER, (*zniecierpliwiony*).

A któż z wami tu wytrzyma!

Ogłaszamy razy tyle:

Zawsze na ostatnią chwilę

Przychodźcie tu do kassy!

WRZYSCY RAZEM.

Bilet! Bilet!

PASAŻERKA, (*przy kassie*).

Trzeciej Klasy!

Podczas tej sceny słychać parę razy gwizdanie, nareszcie widać pociąg nadchodzący i słychać głos na platformie.

GŁOS KONDUKTORA.

Stacja Baby! pół godziny!

PASAŻERKA, (*zalamując ręce*).

Pękła obręcz krynoliny!

Pasażerowie wysiadają — ruch się zwiększa — kupujący bileta pośpiesznie wybiegają, potrącając się na platformę — Jan podaje rękę Elizie lecz spostrzegłszy uchodzącego Alfreda — usuwa się przędko.

SCENA VI.

Ciż i Alfred.

*Podczas następnej sceny ruch się powoli zmniejsza, a w połowie całkiem ustaje.*ALFRED, (*idąc wesolo do Jana*).

A, jak się masz drogi Janie!

JAN, (*z mieszaną*).Toś się zjawił niespodzianie!
Ale jakże? jakim trafem?

ALFRED.

Znać mi dano telegrafem
Żebym zjechał do Warszawy
Dla dość ważnej dla mnie sprawy,
Lecz się wszystko załatwiło
Gładko, pięknie, że aż miło:
Bom się spotkał z adwokatem
I rozmówił — no, a zatem
Z pod samego prawie miasta,
Już niedbając o stolicę,
Nawróciłem się i basta!

JAN.

Ja dziś jadę za granicę
 Czego miałem chęć usilną,
 Lecz cię dłużej nie wstrzymuję...
 Żonka pewnie oczekuje
 Więc bywaj zdrów.

ALFRED.

Mnie nie pilno —
 Kilka minut później, wcześniej,
 Wszystko jedno. Jój się nie śni
 Bym już dzisiaj był z powrotem —
 Zresztą, co tam myśleć o tém,
 Gdy mnie czasu los udziela,
 (czule) By pożegnać przyjaciela
 Tak szczerego. (ściskają się)

JAN.

Lecz Alfredzie,
 Pociąg zaraz już odjedzie

ALFRED.

A mój Jasiu! diabełś prędko,
 Kilka minut do gawędki
 Przyjacielskiej nam zostaje.

JAN, (na str.).

A to kłopot — słowo daję!
 Zkąd mu się zachciało gadać
 Opółnocy, on przedziwny! (słychać dzwonek)
 (głośno) No, bywaj zdrów — muszę siadać
 Bo już dzwonią! —

ALFRED.

Jakżeś dziwny!
 Toż dwa razy dzwonić muszą
 Nim ze stacji téj wyruszą.

JAN, (na str. niespokojny).

A to mnie już niecierpliwi!

ALFRED.

Ci bezzenni są szczęśliwi:
 Ledwie przyjdzie myśl do głowy
 Już i projekt jest gotowy.
 Zostać w kraju nikt nie zmusza:
 Hulaj dusza bez kontusza!
 Kiedy młode służą lata
 W cztery znane części świata:
 Do Paryża, do Londynu,
 A po drodze do Pekinu!
 Póki pieniądz starczy w kiesie
 Na kraj świata cię poniesie
 Ta olbrzymia siła pary! —

JAN, *(rozstargniony jakby budząc się)*.

Pary? jakiej? nie mam pary!

ALFRED, *(śmiejąc się)*.

A wybornys! roztrzepany!

JAN.

Coś o parach mi mówiłeś?

ALFRED.

A! ty o czém innym śniłeś!

Widać żeś już zakochany.

(odprowadzając tajemniczo) Lecz w kim? powiedz? ja nikomu...

JAN, *(przerzywając)*.

Wiesz co? wracaj już do domu

Bo bezsenność zdrowiu szkodzi...

Pociąg zaraz już odchodzi...

ALFRED.

Za troskliwość ci dziękuję

(ściska go) Ach przyjaźni tyś obrazem!

(odprowadzając i grożąc z uśmiechem) Ej filucie! już pojmuje

Że z tą panią jedziesz razem...

Boście tylko wy zostali

(ogłędając się) I nikogo już na sali.

JAN, (zmieszany).

Z tą? z tą panią?.. słowo daje!
Nie... nie...

ALFRED, (przyglądając się Elizie).

Ale mi się zdaje...
Że mi znane to okrycie...
Ten kapturek...

JAN, (odprowadzając go).

Mój kochany!
Dajże pokój téj kobiécie!

ALFRED.

Czemuś taki pomieszany?

JAN.

Ale... bo tak nie patrz na nią!

ALFRED.

Przysięgłbym że znam tę panią!

JAN.

Zkądże znowu (*ciszéj odprowadzając*) ot ta dama
Do Paryża jedzie sama...
Tajemnicą się okrywa...
Ciągłe tylko łzy wylewa...
I byłoby niedyskretnie
Nawet powiem nieszlachetnie
Wypytywać mnie się o nią.

(*prędko ściskając za rękę*) Słowem... bądź zdrów, bo już dzwonią!

ALFRED.

Ależ tylko ci się zdaje
Nikt nie dzwoni.

JAN.

Słowo daje,
Bywaj zdrów, już idź do domu!—

ALFRED.

Słuchaj Jasiu — ja nikomu
 O tem wszystkim nic nie powiem —
 Lecz koniecznie niech się dowiem...
 Bo mam mocne podejrzenie,
 Że znam...

JAN, (*niecierpliwie*).

Dziwne masz zachcenie!
 (*na str.*) Słowo daję, co ja zrobię
 Z tym człowiekiem! (*głośno*) Mój Alfredzie
 Pociąg rusza, o — już jedzie!
 Bywaj zdrów — i idźże sobie!

ALFRED.

Jednak muszę się dowiedzieć...

JAN, (*zniecierpliwiony*).

Proszę przestań mnie już śledzić;
 Raz ostatni cię zaklinam!

ALFRED, (*posuwając się parę kroków ku Elizie*).

A!.. poznawać ją zaczynam...
 Jestem pewny...

JAN, (*zastępując mu, podnosi głos*).

Hola! hola!
 (*z gniewem*) Co to znowu za kontrola?
 Podejrzenia jakieś głupie...

ALFRED, (*obrażony*).

Panie!

JAN, (*wyzuwająco*).

Panie!

ALFRED, (*chcąc iść ku Elizie*).

To za wiele!
 Wiem kto ona!

JAN, (*zastępując i chwytając go za ramię*).

Nie tak śmieie!
Przejdiesz chyba po mym trupie!

ALFRED.

Mości Panie!

JAN.

Mości Panie!

ALFRED.

Broń, czas, miejsce!

JAN.

Ha! wyzwanie!
Od dziś więc za trzy miesiące
Na granicznej naszój łące
Niech rozstrzygną pistolety!—

ELIZA, (*zrywając się*).

Pistolety! ach! niestety! —

(*Staje między niemi — odkrywa woał — scena niema, w głębi kilku podróżnych i ludzie z tłumokami, na głos sprzeczki ieraz z Kassierem od kilku chwil przybyli*).

SCENA VII i OSTATNIA.

Alfred i Jan, — między niemi Eliza, z rozwartemi rękoma, za niemi
Kassier, Pasażerowie i t. p.

ELIZA.

Przebóg! cóż to za zawzięłość!

(*wskazując na Alfreda*) Tutaj przyjaźń! (*na Jana*) a tu miłość!

(*z rozpaczą*) Ach! na dwoje jam rozdarta!

Stójcie! stójcie! jam niewarta

Tak szczytnego poświęcenia!

Niechaj krew już nie popłynie.

(*do Alfreda*) Słuszne twoje po dejrzenia:

To ja jestem, patrz kuzynie!

(*do Jana*) A ty — czemuś pomieszany?

Alfred dobry i kochany

W niczem nam tu nie zawadzi
 I nie wyda i nie zdradzi --
 Ale luby przyjacielu,
 Gdyś szczytnego dopiął celu
 Przez tak straszne idąc męki,
 Niech się spełnią twe nadzieje
 Godny jesteś mojej ręki *(podaje uroczyście rękę do poca-*
łowania, ale on jej nie bierze, — słychać dzwonek.

JAN, *(dotąd stojący w osłupieniu wybiega wołając).*

Padam do nóg! — oszaleję! —

ALFRED, *(śmiejąc się woła za nim).*

A pamiętaj o bambusie!

ELIZA, *(biegnąc za Janem).*

Jasiu! Janciu! a cóż mu się
 To zrobiło! *(widać odchodzący pociąg)* Stójcie! Stójcie!
(z rozpaczą padając) Mglejcie! mglejcie! ach ratujcie!

Zasłona spada, koniec Aktu II-go i ostatniego.



Lit. W. Dunler

Odblito n. Lit. A. D. Deronkowskiego i Sp.

MILDE

ŻYCIORYS KSIĘDZA AUGUSTYNA MILDE.

Krajem rodzinnym Augustyna Milde są Czechy, gdzie w jednej z najpiękniejszych okolic, nad brzegiem Elby, w r. 1796 ujrzał światło dzienne. Rodzice pochodzili z dawniej szlachty, a ich przodkowie byli właścicielami dóbr ziemskich, tak w Czechach jak i w Łuczacy. Dobra te z powodu różnych okoliczności są dziś w obcych rękach. Nieprzywiązując wagi do swego szlachectwa i nie szukając związków ze znakomitemi domami, których blask uważał za znikomy, nie odrzucał jednak stosunków z rodzinami zacnymi. Prawdziwie niemieckie nazwisko Milde, znaczące *Łagodność*, którego początek z Szwajcaryi wywodzą, uważał zawsze jako dar nieba, wkładający na niego obowiązki. Czy ideę, swego nazwiska urzeczywistnił, niechaj życiorys wykaże. Wczesnie osierocony, dostał się w Wiedniu do domu wuja swego, Cesarsko-królewskiego Generała Feldzeugmajstra Barona de Rath. Chłopcem małym będąc, widział w Cesarskiej stolicy imponującą siłę wojskową, już to w szeregu stojącą, już rozmaite z ogniem wykonywającą obroty, rozkazom jednego posłuszną na oślepie. Zdawało mu się takie uorganizowanie, plagą ludzką, na owe zaś czasy pokoju niustannym, rzecby można, przymusem bez jakiegokolwiek skutecznej działalności. Wuj przecież jego, wytłómaczył mu, iż wojsko nieodzownie potrzebnem jest dla powściągnięcia w sposób prawy dzikich wybuchów nieporządku, lub odparcia możliwego najścia nieprzyjaciół. Najucywilizowańsze nawet narody długo się jeszcze bez niego nieobędą. Wuj był to człowiek, jak ze spiżu ulany, którego duch rycerski tylko w żołnierzu istotnego widział człowieka; i siostrzeńca więc swego, chcąc na żołnierza wykształcić, często go

z prawem militarném i obowiązkami tegoż oznajmiał. Jednakże jakiś głos wewnętrzny szeptał młodzieńcowi: iż i na inném polu odwagę swoją wykazać można." Młodzieńcza jego wyobraźnia często go unosila do progów innego świata. Widok pięknych kościołów Wiednia, wieże ich, jakby palce wskazujące ku niebu, budziły w nim uczucia, dążące zawsze do tego, co jest niewidzialném. Krzyż, to godło miłości, tak mu był drogim, iż nigdy nań bez wzruszenia patrzeć nie mógł. Zwykł on być mawiać: „Przez węzły chrześcijaństwa, stanowimy wszyscy jedną pokrewną rodzinę rozpostartą po wszystkich częściach świata." Nie mogli się oprzeć krewni wytrwałemu jego popędowi, by głosić kiedyś wielkość Boga, a w słowie i czynie rozszerzać naukę Chrystusa. Przeszedł więc wszystkie sześć łacińskich klas w Gimnazjum Austryjaickim, gdzie oprócz greczyzny i łaciny, nauki wówczas nie na wysokim jeszcze znajdowały się stopniu. Nie dbano o ćwiczenia cielesne, co jednak przyczynia się do rozwinięcia sił dwunastoletniego chłopca. A choć zakres wyobrażeń bardzo był wówczas szczupły i ograniczony, i w żadnym stosunku do żądy kształcenia się, nie brakło i tu jednak nagród, ni dobrych świadectw postępu w naukach.

Wydoskonalenie człowieka nie zasadza się przecież jedynie na wymaganiach szkolnych. Prywatna pilność ma w tym względzie daleko większe znaczenie. Z zaciekawieniem czytał młody Milde dzieje powszechnie Schrocka i odkrycia Portugalczyków w 15 i 16 stuleciu. Prócz tego najmilszém jego czytaniem, były rozprawy Cycerona o obowiązkach. Pamiętną mu jest jego cała młodość w Wiedniu przepędzona i popęd umysłowy wiedeńczyków, ku zabawie i rozkoszom skierowany. Przepych jaki się tam rozwijał, należał zaprawdę do kraju marzeń.

Było to w r. 1809 kiedy obchodzono uroczyste zrękowiny arcyksiężniczki Maryi-Ludwiki z cesarzem Napoleonem I, przyczem wysoka szlachta, z zamożném mieszczaństwem, rozwinięła przepych, niepamiętny od starych czasów Rzymu, a który całe znaczenie stolicy cesarzów na jaw wystawiał. Śród tego blasku ziemskiej wielkości, można było atoli uważać wyłączenie się wysokiej szlachty

jackiej. Były to niejako, nieustanne objawy przeciw drobnój szlachcie i stanowi miejskiemu, jakoby słowa będące na ustach: Wy nie jesteście jednak tém czém my jesteśmy.“ Ponieważ zaś arystokracja ciągle potrzebowała pieniędzy i niełatwo można się było obejść bez ludzi nauki, i urzędnictwa, widoczném było tedy zobopólne zbliżenie, które po nadanej obecnie konstytucyi jeszcze widoczniejszym się staje. Z Wiednia dostawszy się do Pragi, celem oddania się studiom filozofii, nad wszystko polubił system Kanta. Namiętne podziwianie tego wielkiego uczonego oddziało także na jego duszę. Odtąd niebyły mu téż obcemi wielkie utwory z niemieckiej i francuzkiej liiteratury. Miał on w Pradze sławnych nauczycieli, których chlubny wpływ na umysł nie mógł jak całego człowieka zająć; takim np. był Xiądz Bolzano, nieporównany professor filozoficznego oddziału. Milde pojał co może siła ludzka na polu uczoneści, kiedy wola jest po temu. Podobnie szukał i w nowych językach pomocy do kształcenia się wszech stronnego. Polska téż historia i literatura nie zrównany miały dla niego powab i dla tego słuchoł kilku w tym języku kolegiiów przy wszechnicy krakowskiej, w owym grodzie wielkiej przeszłości, gdzie można robić średniowieczne studia, w jego bowiem murach, mianowicie w obecnym i pięknym rynku znajdziem historyczne domy, na których to stosownym byłyby napis: „Sic transit gloria mundi.“ A jeżeli się udasz do katedry, do grobów królewskich, wtedy czujesz całą ciszę wielkich niegdyś dziejów. Tu jest niejako most do wyższych światów prowadzący. Jeżeli ztąd zwrócisz twe kroki ku budowlom uniwersyteckim, wtenczas oceniasz w myśli zasługi, jakie Jagiellonowie położyli w podaniu środków do kształcenia całych pokoleń. Mimowolnie zadajem sobie pytanie? Czyliż by to wszystko miało być tylko mylnem, i czy biogłosawieństwo nauki nie miałoby być przelanem i na dal-sze wieki? Czyż rozum, sprawiedliwość i mądrość, mało tylko na tym świecie mają pomódz? Samuela Bandtkie Bibliotekarza Uniwersytetu i Profesora Bibliografii, kanonika Markiewicza naukę pastoralną wykładającego, zachował nazawsze w pamięci. Po ukończeniu kursu filozoficznego dopiero Milde doszedł do pełnego przeświadczenia o swój małości i ostateczną wszystkiego przyczynę tylko w łonie samego Boga szukać począł. Jedna religia stała się dla niego tą mową powszechną, a moc zbawienia duszy nad wszystko teraz przekładał. Myśl wykonywania skrytych dróg Pańskich za pomocą objawienia, w ogóle głoszenie prawdy i miłosierdzia, były mu gwiazdą przewodniczą do studjów Teologii. Jakoż

się niepomylił... Sentencja Salomonowa: „Wszystko jest próżnością” skłoniła go do zgłębienia Pisma Świętego, a w szczególności Nowego Testamentu.

Czysto praktyczna osnowa mowy Zbawiciela na górze, mowa apostoła Pawła w Attenach, były dla niego najwyższym ideałem, podług którego się kształcił. Historia Religii, przykład misjonarzy w dalekich częściach świata, wreszcie męczeństwo działaniem ich wwołane, taki w nim zapał wzbudziły, iż odtąd tylko w winnicy pańskiej pracować postanowił. Najwyższym wzorem duchowym, słońcem wszelkiej mądrości nad wszystkie systemata filozoficzne od Arystotelesa aż do Kanta, był mu Chrystus; On stał się dla niego punktem wyjścia całej jego myśli, całych jego badań. Tem pełniony uczuciem przebył 40 letni kurs studiów teologicznych i w roku 1820 d. 6 Sierpnia uzyskał wyświęcenie kapłańskie z rąk księcia Arcybiskupa w Pradze. Na nowym polu działania jego w Dreźnie, gdzie już poprzednio był pożądanym, stawiono mu jako warunek przyjęcia, kazanie popisowe, do czego miano mu dać materiał. Jakkolwiek niemałe to przedstawia trudności mówienie z kazalnicy, jednakże wywiązał się z zadania ku zadowoleniu króla, Biskupa i licznej publiczności zapelniającej wspaniałą nawet wielkiego nadwornego kościoła, znanego każdemu choćby kilka godzin zatrzymującemu się w tym mieście. Jakoż mianowany został królewskim kapelanem i kaznodzieją niedzielnym, które to urzęda przez 14 lat sprawował, oprócz tego był spowiednikiem Księżnej Luisy macochy króla Saskiego i brata téjże księżnej, księcia panującego w Parmie, którego kraj przeszedł do rąk Wiktora Emanuela. Przy zmarłym królu Antonim był kapelanem i od niego to otrzymał dożywotną szczyplą pensyjkę, wynoszącą 400 tal. rocznie.

Atoli sługa Ewangelii nie tylko winien głosić słowo Boże z kazalnicy, lecz głównie nieść pociechę i otuchę wszędzie gdzie potrzeba. Dotyczyło to przedewszystkiem wielkiej liczby przejeżdżających przez to miasto, i szło oto, aby słowa wypowiedziane przez Zbawiciela na Górze w wykonanie wprowadzić. Milde poczytywał za zadanie życia swego z kazaniem łączyć też i czyny, co też spełniał wspólnie z kobietą wysokiego rodu, hrabiną Klaudyną z Działyńskich Potocką, którejby zaprawdę przydomek: serce anielskie nadać można i z wysoko wslawionym Lekarzem — Doktorem Hedenusem. Trzy te osoby pełniące obowiązek swego powołania, można było nazwać Triadą dobroczynności drezdeńskiej. Milde działał z wszelką bezinteresownością, bez względu na stan i imię pognębnego, wszędzie niosąc pociechę i pomoc, tak iż dziwić się przy-

chodziło, w jaki sposób z małemi stosunkowo środkami tyle dobrego zdziałaném zostało.

Nie można było wstrzymać objawów wdzięczności ze strony tylu uczestników. Umyślono ofiarować Dobrodziejowi puchar honorowy wartości 300 tal.

Klaudyna Potocka miała ten dar doręczyć. Milde przecież wartość jego przeznaczył na korzyść nieszczęśliwych, takie bowiem wsparcie było najmiłszem dla jego serca zadosyć uczynieniem. A jak jeden uczynek pociąga drugi za sobą, zwłaszcza jeżeli go poprzedza szlachetnych uczuć wspomnienie, tak też zdarzyło się, iż w r. 1849 gdy został do Drezna przysłany 19 pułk piechoty landwery pruskiej dla uśmierzenia niespokojności, dwie kompanie żołnierzy złożone z Polaków, z tego półku, w czasie wielkanocnym chciały zadosyć uczynić wewnętrznym popędem pobożności. Milde wszystkich pogodził z Panem, jeżdżąc do Budziszyna i Dirny gdzie im święte sakramenta udzielał, co powtórnie zrodziło myśl obdarzenia go srebrnym pucharem; lecz Milde oświadczył, iż pamięć dla uczuć jego również mu cenną pozostanie, choćby mu i szklanny kielich był ofiarowanym; co też i nastąpiło. W biegu ludzkich kolei nieobyło się bez tego, iż niejeden i niejedna dla pokrycia wewnętrznego rozdwojenia, lub zewnętrznego niedostatku, w Dreźnie szukali schronienia. Katolicyzm ma tę własność, iż obrzęd pojednania z największą odbywa się względnością i tajemnicą. Nikt niebywa odpychanym, jeśli szczerzy żal i skrucha wiodą jego kroki.

Nawet na zewnątrz nieodmówione mu wsparcie, by zwichnięta trzcina do reszty się nie złamała, i aby dusza człowieka śród niebezpieczeństw zawsze była świadomą swęj godności. Kapłan zachowuje jako świętą własność swego serca imiona tych, którzy pociechy szukali u niego i żadna potęga świata nie jest w stanie wydobyć podobnych tajemnic. Nie małą była liczba takich, którzy jasny obraz Pana chwilowo w sobie zapomnieli, lecz po nastąpieniem opamiętaniu wrócili znów na łono Przedwiecznego Ojca—żadnemu z nich nieodmówiono pomocy kapłana ni człowieka. Toż samo stosuje się do tylu chorobą złożonych i umarłych tu Polaków. Milde był pocieszycielem wielu tak za życia jak przy skonie. Więcej stu spoczywających na tutejszym cmentarzu ziomków, ucałowało wizerunek Zbawiciela w ostatniej chwili.

Pan Marylski który opisał Drezdeński cmentarz katolicki, nie małą znalazł pomoc ze strony tego szanownego kapłana, uzyskawszy od niego materiały, do wydania dzieła swego niezbędnie potrzebne, albowiem za pośrednictwem Mildego stanęła znaczna część pomni-

ków. Wojewoda Wodziński, hrabina Ożarowska, Marszałek szlachty Burba, hrabia Chodkiewicz, generał Wojczyński, generał Szweryn, Kazimierz Brodziński (poeta), Kościalkowska, Dominik Ciecierski, Antoni Jaroszyński, Szwejkowski, księżna Lubomirska, generałowa z Radziwiłów Laszkiewicz, Roman Dobrzański, pułkownik Wilson, ostatecznie Niepokojczycki b. Prezes Banku Polskiego, Kreszczynowski i Marjanna z Górskich Hr. Potocka wdowa po Stanisławie, której zwłoki następnie przewieziono na Cm. Powązkowski... oto znaczniejsze imiona którym udzielił błogosławieństwo na drogę wieczności. Lecz ze szczerem żalem nad stratą tylu dzielnych osobistości łączy się i radośne uczucie, że niejedną szczęśliwą parę przed ołtarzem w wieczny związek skojarzył. Z pomiędzy wielu ręką jego udzielonych, wspomnieć tu wypada ślub, który przez świetność swoją i obecność mnóstwa Niemców i Polaków powszechnie obudził zajęcie. Były to zaślubiny córki Andrzeja Zamojskiego z panem Żółtowskim. Po odbytych ślubie, goście zaproszeni udali się w pojazdach kwiatami ustrójonych do miejsca najpiękniej nad brzegami Elby położonego, do Willi Findleer i po sutą tamże biesiadzie popłynęło całe towarzystwo w strojnych gondolach Elbą aż do tarasu Brühlowskiego. Muzyka i transparenta po obu brzegach Elby nadawały uroczystości tej poetyczną barwę. I nie proszeni przyłączyli się w gondolach do tego świetnego orszaku, wszyscy jednym chórem wydawali okrzyki: „Niech żyją nowozaślubieni!”

Drugi ślub odbył się w skromnym kościółku w części miasta tutejszego zwaną Friedrichstadt, opodal od Cmentarza katolickiego położonej, między księciem Jerzym Lubomirskim z Galicyi a drugą córką An. Zamojskiego. Dwaj kapłani współ koledzy pana młodego dopełnili obrzędu a Milde miał mowę ślubną. Wreszcie nie można pominąć, przytaczając imiona powyższe, zaślubin owdowiałej hr. Fran. Potockiej Karoliny z szambelanem Januszem Rostworowskim, jak niemniej w dalszym swoim zawodzie, jakkolwiek już pensjonowany, Milde służył zawsze tak publicznie jak w cichości środkami zaufania we wszelkich stanach. W niejednych wzbudzał uczucie litości, jeśli szło o podanie ręki bliźniemu, lub o złagodzenie jego niedostatku; nie tylko katolicy są przedmiotem jego pieczołowitości, ale każdy potrzebny jakiegokolwiek wyznania. Zdanie Felelona, iż duchowny bez pieniędzy najlepszy, ciągle mu było przed oczyma. Dlatego też częściej miał tę pociechę, iż ile kroć szło o udzielenie komu pomocy, usiłowanie jego najświetniejszym było uwieńczone skutkiem. Ranni i okaleczeni Peschieri po obleżeniu w r. 1848 wzbudzili jego współczucie, w skutek czego wydał pismo pod tytu-

tem „Ratz und Peschiera, które wielki znalazło odbył i 500 guldenów austryjskich przyniosło, które inwalidom doreczone zostały, a cesarz Austryjski zaszczycił go dużym złotem medalem. Może też nie będzie bez interesu dowiedzieć się w jaki sposób spełnił czyn prawdziwej ludzkości, rzecby można nadmiar miłości chrześcijańskiej, otóż protestantowi z jednej z najznakomitszych familii saskich przyszedł w pomoc ze wspaniałym datkiem, uzyskanym za wyświadczoną usługę—z rąk pewnej ciężko nawiedzionej matki, na pamiątkę ran Chrystusowych 5000 złp. ofiarowane, oddał mu. Znane są ogromne przez niego zebrane składki pieniężne na budowę kościołów w Lipsku i Anraberger. Często jego imię było zaszczytnie w pismach publicznych wspomniane, a chociaż przytém wszystkim nie szczędził czasu, zdrowia i pieniędzy, nigdy sobie o jakiegokolwiek wdzięczności wspomnieć niepozwolił. Albowiem kapłan, który ślubował wyparcie się darów tego świata, bezustannie zwrócenie wzroku swego z padółu tój ziemi ku czemuś wyższemu, koronę wdzięczności znajduje w sobie samym, w głębi swego sumienia. Wszystko, — czemkolwiek tutaj udarowanym być może, zawsze jest tylko bardzo małym i nieznaczącym. Wszelako nie można tu zataić, ile mu zawsze miłą była życzliwość szlachetnych ludzi. Wielu nieszczęśliło mu pochwał, wzniesli nawet jego imię do najwyższego ziemskich łask rozdawcy. Na czele można tu postawić spoczywającego w Bogu Biskupa Drezdeńskiego Dietricha. Życie i czyny tego męża były prawdziwie wysokiego kapłana godne, tak on jak jego poprzednik używali Mildego do rozlicznych missyi kościelnych. Nie pieniędzmi ani urzędami wynagradzano mu jego dla Saxonii usługi, lecz odznaczeniem honorowem, jakie na niego ze Stolicy Apostolskiej spłynęło. Pius IX mianował go już w roku 1850, na mocy wydanego przez siebie Breve, domowym swym Prałatem. Wystarczało to dla jego bezinteresowanego życia, nadto bowiem było mu świadomem, iż im bardziej kapłan bywa wywyższony, tym surowiej, nań godzi opinja sądu publicznego. Mimo to jeszcze inne spotkały go honory których zaprawde nie przyjął Milde, bo je uważał za karm ku podsyceniu swój pychy, dla tego z pokorą złożył w ukryciu. W r. 1829 udzielone mu zostały ozdoby orderu ś. Stanisława klasy 2ej a pćzniej krzyż komandorski Konstantyna orderu ś. Jerzego Parmezańskiego, tudzież powyższej nadmieniony medal za kunszt i wiadomości. Kapituły: Metropolitalna Warszawska i Poznańska obdarzyły go swemi zaszczyty, przyjmując w poczet swych kanoników. Towarzystwo Dobroczynności Warszawskie i Lubelskie zaliczyło go do swego grona. Obok tych dowodów publicz-

nego poważania, usiłowania jego i poświęcenie kilkakrotnie mu najczarniejszą niewdzięcznością odplacone zostały.

Nie jest to winą ogółu, zwykły był mawiać, ale raczej jednostek, na wielkiej bowiem tego świata arenie, koniecznie ludzie zawadzać o siebie muszą — Do krzyżów honorowych przyłączono też i krzyże męczeńskie, doznawał różnych prześladowań i potwarzy; oprócz tego cała po bogobojnej matce spuścizna do ostatniego grosza zrabowana mu została. Było to w r. 1850, wtedy Milde nie tylko na zewnątrz ale i wewnętrznie boleśnie był dotknięty. Słusznie zamilcza Milde imię tego który go tak niegodnie oszukał. Człowiek ten pod przywłaszczonym tytułem hrabiowskim, zbieg, tułał się po Saksonii wypędzony już poprzednio z Francji i Pruss, wszędzie, jak ten kapłan opowiada, rozliczne popełniając oszustwa, o czém daleko później dowiedziano się z listów gończych. Milde zastosowywa tu słowa Pisma Świętego i mówi z Dawidem „Ten który chleb mój pożywa teraz mię nogami depcze“ i, dodał: „Niech Pan Bóg cię nawróci i przebaczy ci twoje występki, byś nie uległ pod robakiem sumienia, który nigdy nieumiera.“ Stratę jaką poniósł określa na 15000 talarów. Za czasów swój młodości podróżował a mianowicie: bawił 4 razy w Włoszech gdzie w Padui, Pawie, Pisie, Mediolanie i w Rzymie, zwiedzał prawie wszystkie zakłady naukowe i dobroczynne, zawierając stosunki z najznakomitszemi i zacnemi ludźmi. W Rzymie pozostawał ze sławnym Archiwistą księdzem Teynerem i z uczonemi archeologami, w literackich stosunkach. Wydał w niemieckim języku dzieło *Des Wanderers Minkbick nach der Sanct Paulus kirche in Rom*, drugie o oblężeniu fortecy w r. 1848 Peschieri o którym wyżej nadmienilem pod tytułem. Liczne niemieckie mowy przy różnych okolicznościach, tudzież polską z powodu ślubu Żółtowskiego, drukował, jak niemniej w r. 1865 wydał „*Gedenk-Blätter aus dem Leben des Bendikt Pociój v. Niepokojczycki* w Lipsku u Wolfganga Gerharda. Pozostawał w stosunkach duchownych i przyjaznych z znakomitemi rodzinami rossyjskimi i polskimi, s. p. Minister Stefan Grabowski, Karol Grabowski, prezes Kon. refer. Bieliński Wojewoda, R. S. Sumiński, A. Zamojski, Walerjan Krasiński, zmarły w Londynie, X. P. Sapiecha, Chodkiewicz, Generał Szwerzyn, Generałowa Dąbrowska wdowa, XX. Radziwiłłowie, Platerowie, Borkowie, Narzymski, Tarnowscy; jedném słowem kto go tylko zna daje mu dowody najszczerzego zaufania. Lecz oprócz świątłych i godnych mężów, szczyliło się wielu jego przyjaźnią, podupadłych nieszczęśliwych ze skromnym nazwiskiem, gdyż stroskanemu dawał radę i pomimo 70 roku życia, pomimo

chorób którym ulegał, pomimo zbliżania się do kresu życia, dusza jego skłonna jest zawsze do przebaczenia i czynienia dobrze. I tak przeczytawszy Kurjera Warszawskiego z d. 16 (28) Sierpnia 1859 r. o nowo zakładającej się ochronie małych dzieci w Cyrkule I. m. Warszawy, imienia X. Baudouina, (*) i uznając że to będzie pomnikiem dla tego wielkiego człowieka który był chwałą Francyi, a który zdziaławszy tyle dobrego złożył tu swe popioły; niebędąc nigdy w Warszawie napisał do mnie (**).

„Miałem zawsze w najszlachetniejszym sercu Ojca Baudouina, wzór postępowania, którego imie w Warszawie długo jeszcze z wdzięcznością i uwielbieniem od potomnych wspomnianem będzie. On to opuszczone na ulicach dzieci i narażone na niechybne zniszczenie, z ręki śmierci wydzierał i troskliwie opiekował się. Dla tego też ośmielałem się załączyć małą sumę i prosić aby na te biedne dzieci I. Cyrkułu była użyta, aby Towarzystwo było w możności w jak najpóźniejsze czasy, rozliczne potrzeby biednych zaspakajać i lzy nędzy osuszać, aby ich modły wdzięczności w tysiącznych głosach dziękczynienia wznosiły się ku Niebu.“

Oto są szczegóły życia opowiadane przez Niego, lub zebrane z wiarogodnych źródeł.

Jan Gautie.

(*) X. Gabryel Baudouin urodzony 1659 r. 5 Kwietnia w Arvern w Francyi, zmarł 1768 10 Lutego; pochowany w pieczarach ś. Krzyża. Wystawił Szpital Dzieciątka Jezus. Portrety tego kapłana znajdują się w tymże Klasztorze, i w powyższym Szpitalu, a nakoniec w Ochronie noszącej jego nazwę, istniejącej przy Ulicy Długiej Nr 592. (ostatni portret malował J. Czarnowski).

(**) List ten drukowany był w Kurjerze Warszawskim i pieniądze złożone tamże.

PIOSNKA KOPTYJSKA.

(z Goete'go).

Niech tam sobie mędrzy co chcą żywnie radzą —
Co błąd, a co prawda, jak chcą niech się sadzą —
Na jedno się godzą wszyscy mądrzy ziemi:

Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupieci!

Sam Merlin zgrzybiały, we swoim kurchanie
Cudownie olśnionym, kiedy go o zdanie
Pytałem, słowami odprawił mnie temi:

Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
Śmiejąc się z nich, głupców niechajcie głupieci!

W przybytkach Braminów na indyjskich górach,
 W piramid egipskich tajemniczych murach —
 Wszędy sąd brzmiał jeden, języki różnemi:
 Głupi, kto o głupców poprawie by marzył!
 Wy, których Bóg zdrowym rozumem obdarzył,
 Śmiejąc się z nich, głupców, niechajcie głupiem.

R. Z.

ULRYKA-LAND.

przez Józefa Korczaka.

I.

W jesieni 1863 roku, jadąc koleją żelazną z Hamburga do Berlina, zaraz przy wyruszeniu z miejsca, znalazłem się w wagonie z jednym tylko towarzyszem, co jest dość rzadkim wypadkiem na téj drodze mocno uczęszczanej i odznaczającemi się wygodami zao-

patronój. Do samego Berlina, prawie ciągle byliśmy tylko we dwóch, a choć niekiedy przybywały obce osoby, my czując wzajemny do siebie pociąg, nie rozłączaliśmy się wcale i nieprzerwaną rozmową wzmocnialiśmy przypadkową naszą znajomość. Z mojej strony pociąg do towarzysza nie był zadziwiający, gdyż teraz jeszcze, przypominając sobie te chwile, przyznaję że nie wydarzyło mi się w życiu, zbliżenie, do osobistości tyle pojętnej na pierwsze spotkanie i tak ciągle zwiększającej zajęcie w miarę bliższego jej poznawania. Towarzysz mój od razu przedstawił mi się jako człowiek wysoko w naukach wykształcony, obojętnością otwartego, szlachetnego, pełnego zapału a zarazem delikatności, co wszystko przekonywało o jego najstaranniejszym wychowaniu i o jego należeniu do części wyższej warstwy społeczeństwa, posiadającej niczem zastąpić się nie dającą ogładę zewnętrzną, a która, jeżeli połączona jest z wartością umysłową i moralną, tworzy taką całość przyjemną oku i sercu, jak ozdobny kwiat świeżością, wonią, zdrowiem i estetyczną postacią zalecający się. Wieku mógł mieć lat trzydzieści kilka; okazywał więc całą siłę życia i pełny rozwój władz człowieczych.

Włosy dość ciemne, lecz nie czarne, były dowodem że nie z południowych pochodził krajów. Oczy duże błękitne miały w sobie nieokreślony wyraz rozumu, i przenikliwości, obok łagodnego i głębokiego zatapiania się wzroku, w przedmioty, lub osoby, na które jasne rzucał promienie. Taki wzrok dowodzi posiadania wielkich przymiotów serca, nie dającego się jednak uwieść uludnym marzeniom. Zresztą rysy twarzy, prawie dokładnie regularne, choć nader ruchliwe, dodawały nieustannego życia tej postaci, łagodzonej tylko bogatym, lecz nie zanadto obfitym zarostem, z pod którego z prawdziwym wdziękiem wychylały się coraz nowe odcienia wyrazu rysów, wewnętrznymi uczuciami pobudzane i swobodnie słowem objawiane. Nie można się więc dziwić że szczęśliwy z takiego towarzystwa, skwapliwie korzystałem z chwil które z nieznanym spędzi mi przyszło. Zapewne nie uszło uwagi mojego towarzysza przyjemne wrażenie jakie na mnie sprawił, i to sądzę skłoniło go zrazu do okazania mi równiej ze swój strony przychylności, która nabrała większej siły, gdy z niewielu słów naszej początkowej rozmowy, okazało się że, mojem powołaniem, popartem przez szczere zamiłowanie, jest nauka inżynierji i łączne z nią badania mechaniki, fizyki, tudzież w ogólności nauk przyrodzonych i ścisłych. Na tém więc polu, ze wspólnem zajęciem, udzielaliśmy sobie nasze spostrzeżenia i uwagi... co przekonało mię łatwo że mam przed sobą nie tylko gorliwego miłośnika, ale i głębokiego znawcę tych umiejęt-

ści, stojącego na najwyższym szczeblu ich postępu. Rozmowa nasza szła w języku francuskim, którym towarzysz mój z największą władą łatwością — a gdy w myśli chciałem narodowość jego odkryć, błądziłem między mniemaniem że jest francuzem, anglikiem lub belgijczykiem. Dopiero gdy zapytany zkąd jedzie, odpowiedział iż przed kilku dniami opuścił Kopenhagę, jedną ze stolic swęj ukochanej Skandynawji... wątpliwość moja znikła, chociaż powtarzające się kilka razy wyrażenie Skandynawji, później dopiero dociec mi dozwoliło, że właściwa jego ojczyzną jest Szwecja i że łączenie w jego wyobrażeniu Danji ze Szwecją wypływało z niepohamowanego uczucia dla ogólnych wspomnień i przeznaczeń Skandynawskiego plemienia — uczucia, które w znacznej części ludności tych krajów nader silnie jest rozwinięte. Gdy w dalszej rozmowie, chętnie objawiliśmy nasze nazwiska, dowiedziałem się że mój towarzysz zowie się Eryk Bijörnstrom, że pochodzi z zasłużonej w swoim kraju rodziny, że posiada bardzo znaczny majątek i że nim sam włada, gdyż rodziców od niejakiego czasu utracił, a braci ani siostr nigdy nie miał. Co do celu podróży, objaśnił moją ciekawość, że się w Berlinie kilka dni zatrzyma dla ważnych interesów, że następnie na krótki czas pojedzie do Belgji dla tychże powodów, a ztamąd udaje się ile można najspieszniej do Neapolu. Odpowiedź taka nie zupełnie ciekawość moją zaspokoila. Odważyłem się więc na pytanie, czy podróż do Neapolu ma szczególnie jakie powody do pośpiechu go skłaniające.

— Tam moje życie, moje nadzieje, moja przyszłość,— odrzekł.

— Choćbym się wydał Panu zbyt natrętnym, odpowiedziałem, chciéj mnie bliżej wtajemniczyć w tę zupełną dotąd dla mnie zagadkę; chciałbym przelać w Pana przekonanie, że już teraz wszystko co Pana dotyczy, najwyższém przejmuję mnie zajęciem — i że pytania moje nie pochodzą z prostej ciekawości, lecz z chęci podzielenia z nim wszystkich uczuć i wrażeń jakie przez obcowanie z Panem, stają mi się z nim wspólne.

— Nie mam żadnego powodu ukrywania przed Panem, moich widoków i zamiarów, chociaż rzecz ta, jako czysto osobista, dla mnie tylko samego jest prawdziwie ważną. W Neapolu znajduje się najdroższa sercu memu istota, moja narzeczona, moja towarzyszka od lat dziecinnych, połowa nierozłączna mojęj duszy, mego rozu-
mu, wszystkich sił umysłu, pragnień, dążeń i zwrotów ducha. Już z tych nie wielu wyrazów które z sobą zamieniliśmy, mogłes Pan poznać że kierownikami mego życia są miłość nauki, miłość ziemi i plemienia gdzie mnie Opatrzność umieściła,— a jeżeli do tych

dwóch gorących namiętności, dodasz trzecią niemniej jasną i potężną, moją miłość do Ulryki, wtedy dopiero utworzyć sobie będziesz mógł tę trójcę zapалу, wylania, gorączkowej niemal działalności a wytrwałego i żywotnego rozwoju władz duszy i serca, jakie mnie dotąd ożywiały i spodziewam się do zgonu zasilać będą.

Rzadkie to zaiste zjawisko, zawołałem, aby trzy tak silne działacze w życiu ludzkim w równowadze utrzymać się mogły. Namiętność jest burzą nie mającą trwałości. Jeżeli wiele buduje, to więcęj niszczy. Łudzisz się więc szlachetny mój towarzyszu, sądząc — że jedna namiętność nie przemoże innych, że nie zostaniesz złamany natarczywością jednéj z ofiarą innych, a miłość sercowa dla ubóstwianéj istoty, jest zarazem i miłością siebie samego... kiedy urok nauk i poświęcenie dla kraju, przechodzą ten egoistyczny zakres i wchodzą w obszar całej ludzkości; i innych więcę, — podnieć potrzebują, — a te już są od naszéj istności dalsze, więcę i moc ich słabsza.

O nie! odrzekł Eryk, — jedna jest miłość wielka, ogólna, bezmierna; — jéj zwroty są tylko trojakié, zlewające się w jedność boską, wieczną. One wzajemnie się dopełniają; żadna z nich bez dwóch drugich nie jest zupełną; — kto więcę rozwinał w sobie pełną istność człowieka, z równą siłą rozwija takie jéj twórcze objawy; — a jeżeli każdą z miłości moich w trzech kierunkach promieniejącą, namiętnością nazwałem, — to tylko dla wyrażenia ognia jaki je podsyca, wiru jaki je unosi i niezachwianéj nadziei jaka je ogrzewa. Jeżeli żyję dla nauki, to przez Ulrykę; jeżeli w jednéj i drugiéj cele mojego istnienia, — to one się właśnie łączą w wspaniałéj przeszłości i przyszłości Skandynawji, gdyż Ulryka jako z Danji rodem, temi samemi uczuciami dla rodzinnego plemienia jest przejęta, a chlubą wieczną Skandynawji niech będzie postęp w wiedzy i olbrzymie odkrycia nauki.

Ta młodzieńcza gorącość Eryka nie zdołała mnie zrazu przekonać ani olśnić; lecz do najwyższego stopnia rozdrażniła we mnie chęć bliższego poznania szczegółów życia tyle zajmującej postaci.

A widząc go równie otwartym jak chętnym w udzielaniu się, nie opuszczałem go prawie na chwilę przez czas naszéj jazdy i pobytu w Berlinie, tak że zdołałem dowiedzieć się o całym przebiegu jego życia, — a objaśnienia te z wielu rozmów zaczerpnięte, podam czytelnikowi tak, jak mi się w ogólnym przedstawiły obrazie.

II.

Wiele przyjaznych warunków złożyło się na ułatwienie wykształcenia i położenia towarzyskiego Eryka. Ojciec jego minister Bijörnstrom długie i pożyteczne życie swoje spędził na posługach krajowych i na umiejętném kierowaniu znacznym spadkiem otrzymanym po przodkach, o wiele powiększonym przez bogate ożenienie. W życiu jego publiczném, służba dyplomatyczna najznakomitsze zajęła miejsce. Jako przedstawiciel króla Szwecji i Norwegji znajdował się przez czas niejaki przy kilku dworach Niemieckich — a najdłużej w Ameryce przy rządzie Stanów Zjednoczonych. Po dość wczesnej stracie, kochanej czule małżonki, pozostał mu tylko syn jedyny Eryk, którego wychowaniem najstaranniej się zajmował — i ile razy obowiązki urzędowe dozwalały, śpieszył do swego kraju, aby o postępach Eryka przekonywać się i nadawać szlachetny popęd jego dalszemu kształceniu się. Sam gruntownie oświecony i nauki miłujący, z pociechą spostrzegał ze Eryka od lat najmłodszych, obok widocznych i bystrych zdolności, z niezwykle zamięłowaniem przywiązywał się do nauk, mianowicie do badań w fizyce, w naukach przyrodzonych i matematyce. Ten kierunek stawił od razu Eryka w rzędzie silnych przedstawicieli oświeconej warstwy naszego wieku, w którym walka ludzkiego rozumu z przyrodą coraz nowemi a coraz świetniejszymi odznacza się zwycięztwy. Eryk przez czas nauk, aż do skończenia Upsalskiego uniwersytetu, lubo więcej pod dozorem, światłego i moralnego nauczyciela, jak pod okiem ojca, szczęśliwem i jasnym usposobieniem swoim, nabywał wszystkich przymiotów mocy, giętkości i prawości umysłu i serca, jakie oświeconego i szlachetnego młodzieńca znamionować winny. Później zwiedził wszystkie niemal kraje Europy i przyległe im krainy wschodnie, — a lat parę zatrzymał się przy ojcu, wówczas ministrze Szwedzkim w Waszyngtonie, — badając wszędzie w jakim sposobie krajowi swemu najużyteczniejszym stać się może, — i ubiegając się z nieudanym zapałem za stosunkami ze światem uczonym i za postępami nauk, szczególnie przez siebie upodobanych. Po śmierci ojca, w Ameryce zgasłego około roku 1850, powrócił do kraju rodzinnego,

i po uśmierzeniu bólu tyle dotkliwą stratą wywołanego, wszedł z odwagą jakby rozpoczynającego się dopiero życia, w szranki praktycznego działania, tudzież pożytecznych prac i gorliwych zajęć. Wtedy to w kolejach Eryka, zajęła także nierównie poważniejsze miejsce, miłość jego ku Ulryce, której pierwsze zawiązki tak mi opisywał, w rozmowach jeszcze w wagonie prowadzonych.

„Uporządkowanie interesów majątkowych, po powrocie z Ameryki czas mi niejaki zajęło; po czém poświęciłem lat kilka ciągłym i gorliwym, nader dla mnie ważnym badaniom naukowym.“

— Wszelako zajęcia te z wielką moją radością dozwoliły mi udać się w roku 1862 do Kopenhagi, na zjazd dawnych uczniów uniwersytetu Upsalskiego, z uczniami innych wszechnic Duńskich i Norweskich, gdzie Skandynawskie serca jedném biciem miały się zespolić i jednym chórem wielkość i przyszłą pomyślność Skandynawji opiewać. Miałem jeszcze, Panie Józefie, (gdyż poufałość nasza tak spieszne uczyniła postępy, żeśmy się już wzajemnie po imionach nazywali), miałem tém większą ponętę, do Kopenhagi mię pociągającą, iż tam spodziewałem się odnaleść moją Ulrykę, której już niejaki czas nie widziałem. Tam było jój miejsce pobytu z rodzicami, oddawna związanemi najściślejszą zażyłością z moją rodziną. Admirał Raskjold, ojciec Ulryki, należał do familji majątnych kupców, trudniących się obszernym zamorskim handlem i od samej młodości marynarce poświęciwszy się, w czasach wojen napoleońskich, zapisał swój młodzięczy i pozyskane już żeglarskie wiadomości poświęcił służbie morskiej w ojczystej flocie.

— Był naocznym świadkiem pamiętnego w r. 1807 bombardowania Kopenhagi przez Anglików i od tego czasu nie mógł ukryć swój odrazy do tego ludu, nazywając go narodem bogatych i zręcznych korsarzy, i nie opuszczając żadnej sposobności do wykazywania samolubnych i bezsercowych zabiegów rządu i ludu Wielkiej Brytanji. W późnym już dość wieku, pojawił w małżeństwo powabną i godnie szlachetnemu sercu jego odpowiadającą norwegiankę, tak że nasze dwie rodziny razem wzięte, najdokładniej przedstawiały ściśły związek całego Skandynawskiego plemienia. Pani Raskjold o wiele od męża młodsza, lecz już teraz w stateczniejszy wiek wchodząca, zachowała dotąd tę powagę i łagodność charakteru tudzież obejścia, które stanowią nieocenioną norwegianki zaletę. Starszy syn Olaus, i młodsza córka Ulryka zajmowali naprzemian — rozważny umysł ojca i pełne macierzyńskiego poświęcenia serce matki, staraniami około wykształcenia Olaus na znakomitego obywatela kraju, Ulryki na niewiastę gorącego serca

światłego rozumu i wzniosłej duszy. Nie mogę sobie przypomnieć początku związków między naszymi rodzinami.

— Jak myślą zasięgnąć zdołam, związki te zawsze były tak serdeczne i wzajemne, — że wielokrotnie admirał z żoną i dziećmi zjeżdżał do nas do Sztokholmu, — a my znowu do Kopenhagi udawaliśmy się — i chociaż później ojciec mój po większej części za granicą obowiązkami był zatrzymywany, dla mnie dom Raskjoldów został jakby rodzinnym, gdzie czas od nauki wolny zawsze prawie przepędzałem. Cóż ci powiem o Ulryce, którą znałem jeszcze dzieciątkiem, owianem w jasne bogate kędziory włosków i błyszczącym turkusowemi oczkami, — była dla wszystkich otaczających prawdziwym drogim klejnotem, co tęp więcej przyciąga i tęp bardziej wzrok zniewala, im częściej i dłużej się na niego patrzy. Uroczą i powiewną postać Ulryki, tak się stała nieodłączną od mojego istnienia, że nie spostrzegałem prawie zmian jakie w niej wiek i umysłowe wykształcenie codziennie sprawiały, chociaż codziennie dusza jej stawała mi się coraz jaśniejszą, coraz silniej na wszystkie moje władze promieniejącą.

— Ale ona, przerwałem, czy umiała twoje uczucia podzielić i gorące serce zrozumieć?

— Zaraz się dowiesz, Józefie, gdy ci tylko o dwóch zdarzeniach wspomnę. Jeszcze za życia mojego ojca, admirał z żoną i Ulryką znajdowali się u nas w Sztokholmie w lecie i pędziliśmy pogodne dni w pałacu naszym, mającym obszerny ogród dochodzący do samego jeziora Moelara, które jak wiesz pewnie, jest tak urocze i ozdobne rozmaitością pagórkowatych brzegów, estetycznością zagłębień łąki i bogatą roślinnością, że najpiękniejsze położenia południowych krajów, mogą Sztokholmowi zazdrościć hojności z jaką przyroda go uposażyła. Najprzyjemniejsze chwile w ogrodzie tym spędzaliśmy i nieraz czytając razem z Ulryką, naszych wzniosłych, śmiałych, gorących poetów, Heiberga, Andersona, Winthera, z pomiędzy Duńczyków, — Tegnera, Geyera, Nicandra ze szwedzkich poetów i wielu innych, — Najbardziej jednak lubiliśmy zagłębiać się w starożytne sagi i podania skandynawskie, pełne wzruszeń, silnych obrazów i głębokich poetycznych zarysów. I matka Ulryki chętnie należała do tych naszych umysłowych wycieczek, zajęta jaką rączną robotą lub domowemi sprawami... a nam czas ubiegał szybko i miło, tak jak wesołym drzewom życie płynie wśród odcieniającego wietrzyka, pożywniej rosy i ogrzewających promieni słonecznych. Razu jednego przebiegaliśmy najstarszą Eddę, jeszcze w 11ym wieku zebraną w języku islandzkim przez Saemunda Sigfussona, zwanego

Hin Frode tojest mędrzec, i tworzącą przeszło czterdzieści poematów, starannie wydanych przez uczonego Finse Magnusena w roku 1828. Zatrzymaliśmy się z uwagą nad poematem nazwanym Háva-Mál, obejmującym wzniosłą przemowę Odyna zawartą w zdaniach i allegorycznych urywkach wierszem wypowiedzianych. Czytałem właśnie ten piękny czterowiersz:

Drzewo samotne rzucone w pustynię
 Nie da owoców; — raczej smutne — zginie.
 — Ten kogo serce nie kocha niczyje,
 Podobny drzewu. I po cóż on żyje.

— Ty masz poco żyć, Eryku, zawołała Ulryka, zwracając na mnie wzrok swój czarowny i rumieniąc się nagle tém zachwycającém wzruszeniem, które w zaledwie piętnastoletniém dziewczęciu, zdradza mimowolnie pierwszy raz objawiające się dojrzałsze i głębsze uczucia.

Ten mały na pozór wypadek, był dla mnie samego nowém odkryciem, początkiem nowego życia, niezatamowaném już odtąd źródłem nowych rozkoszy i nadziei. Była jeszcze wtenczas Ulryka w całym rozwoju sił dziecinnych, nie prawie jeszcze nie zapowiadało osłabienia źródeł żywotnych, które niestety wkrótce rozwinąć się miało w uporczywy i zatrwajający sposób. Uważaliśmy tylko wszyscy że ustroj jęj był nadzwyczaj czuły na zimno — lecz tak rodzice jak i ja przypisywaliśmy nie dość rozwiniętemu delikatnemu organizmowi.

— W następnych latach chorobliwe to usposobienie coraz się rozwijało i rozliczne środki lekarskie, podróże do różnych wód uzdrawiających, nie przynosiły dostatecznej ulgi. Ten stan Ulryki, podobny do czułej niemocy promieni słońca szukającej, jeszcze silniej jeżeli być może do nięj mnie przywiązywał. W tym to czasie badałem gorliwie tajniki lekarskie, pragnąc wpaść na drogę szczęśliwego jakiego dla mojęj Ulryki odkrycia.

— Lecz poszukiwania moje były daremne, gdyż dla nięj potrzeba było zmienić atmosferę w której żyła, powietrze którym oddychała. Wszyscy téż najznakomitsi lekarze uznali, że dla Ulryki potrzeba niezbędnie cieplejszego klimatu i że w krajach skandynawskich bez widocznego niebezpieczeństwa żyć nie może. Wyrok ten był nadzwyczaj dla Ulryki zatrwajającym. Wspólnie ze mną nauczyła się od kolebki, całą swoją przyszłość łączyć z przyszłością kraju swego. Dla nas myśl porzucenia na zawsze Skandynawji

była niemal wyrokiem śmierci, — przez długi więc czas nie mogli rodzice wyjednać zgodzenia się Ulryki, na wyjazd do południowych krajów, — a ja z méj strony z coraz bardziej gorączkową zapalczywością, zagłębiałem się w tajemnice przyrody, pociągające mnie swoją właśnie tajemniczością. Zapał do nauki niepowściągnięty natotykaniami trudnościami, zdawał się nadzieją odnalezienia na tej drodze zbawienia dla Ulryki, — i nie zawiodły mnie te nadzieje, jak ci wkrótce opowiem; — lecz pierwój muszę wrócić do odpowiedzi na twoje pytanie co do wzajemności dla mnie Ulryki, gdyż jak wspomniałem, była droga okoliczność która mnie o tém szczęściu mojm przekonala.

Tu właśnie, najzwyczajniejsza okoliczność podróży po kolei żelaznej, to jest wysiadanie na dłuższy przystanek, rozmowę moją z Erykiem przerwała i mogliśmy do niej powrócić, dopiero znalazłszy się znowu razem w wagonie.

III.

Mówiłem ci tedy, ciągnął dalej Eryk, że w roku zeszłym 1862 udałem się do Kopenhagi, na obchód uniwersytecki i że tam odnalazłem moją Ulrykę, już wówczas ośmnaście lat liczącą i już w pełni posiadającą wykształcony rozum, rozwinięte serce i te wszystkie powaby które młodą kobietę czynią wszechmocną i wszechwładną. Za ujrzeniem jój, miłość moja, dotąd niby w ukryciu przedemną samym zostająca, nieogarnionym, rozległym wybuchła płomieniem.

— Lecz ona zdawała mi się więcej zesłabiona i głębokim przyciśnięta smutkiem. Była to też sama gorąca dusza, która mnie do prac naukowych nieustannie zachęcała i chętnie podzielać je chciała; — toż samo serce gotowe do najwznioślejszego wylania, — ten sam spokój i łagodność, też sama bystrość i przenikliwość umysłu. Ale owa na wpół dziecinna wesołość, ruchliwa ciekawość, najmilsza skłonność do żartów i śmiechu, — co mnie przy czytaniu Eddy w naszym ogrodzie Sztokolmskim tak zachwycaly, znikły, przybrawszy cechy smętnej powagi, widocznej z bladego lica, powolniejszych ruchów i mimowolnego strudzenia.

— Poznałem od razu, że ciągle nalegania rodziców, aby podała się przepisom lekarzy i zezwoliła na przeniesienie do Włoch, nużyło ją i męczyło; — że w nieustannéj zostawała walce, czy zdoła poświęcić przywiązanie swoje do krajów rodzinnych, potrzebie ratowania zdrowia i życia, — czy nie będzie to raczej skróceniem jéj dni, skoro się ujrzy oddzieloną na zawsze od Skandynawji i nieuleczoną przyciśniętą tęsknotą. Wiedziałem, że próżne byłyby moje czcze namowy i tłumaczenia, bo sam uczucia jéj podzielałem; — miałem też tylko jedyną nadzieję w moich badaniach i doświadczeniach naukowych, tak daleko już wówczas posuniętych, że posiadałem prawie pewność osiągnięcia celu. Lecz pragnąłem przede wszystkim powziąć niewątpliwe przekonanie o sercu Ulryki dla mnie, aby już wówczas pewną i nicém niezwalczoną drogą postępować do szczęścia jéj osiągnięcia. Przyjazd mój mocno ją wzruszył i lubo nie od razu dojrzeć mogłem spełnienie swoich nadziei, widziałem jednak, że w jéj uczuciach głęboko wryty jestem, i to mi nowéj dodało odwagi; a szczęśliwe okoliczności do rozstrzygnięcia losu mego przyczyniły się.

Zjazd dawnych uczniów uniwersytetów skandynawskich był liczny, i odnalazłem nie jednego z drogich mi współtowarzyszów, a z wielu innemi znajomości zabrałem. Z pociechą dojrzałem, że większość przejęta uczuciami prawdziwego dla wspólnego kraju dobra, — zajmowała się także z gorliwością naukami, i niektórych znalazłem prawdziwych i wytrwałych pracowników w różnych gałęziach wiedzy, — a z temi którzy kierunkiem badań do moich byli zbliżeni, podzielałem się wzajemnymi wypadkami spostrzeżeń i osiągniętych owoców.

— Najwięcej mnie jednak pociągał Olaus, brat Ulryki, z którym nieprzerwane ścisłe zachowywałem stosunki i który ciągle w moich zajęciach naukowych był rozumnym towarzyszem i serdeczną pomocą.

Pierwszy dzień zjazdu naszego był najuroczystszy, gdyż urządziliśmy wielki publiczny *festival*, przy najpiękniejszej pogodzie, na rozkosznej równinie rozciągającej się za miastem, nad kanałem Sortedams, do której wspaniałe wysadzone wiodą ulice. Całe miasto wyległo na to braterskie święto; piękne ubrania dam — urozmaicały tłum niezliczony widzów, a my, dawni uczniowie uniwersytetów skandynawskich, w uroczystym pochodzie, zebraliśmy się w przygotowanym na ten cel obrębie i wzniesiliśmy jednogłośnie znane pieśni miejscowe, które powtarzane przez wszystkich prawie obecnych, tworzyły ogromny chór, aż do wnętrza miasta przeciąga-

jący się. Naprzód zagrzmiała pieśń duńska o chorągwi Danebrogu, która podług dawnego podania, z nieba została Duńczykom zesłana.

Powiewaj dumnie nad Bałtyku tonią,
Krwawo-szkarłatny wznos się Danebrogu,
Cienie twojego blasku nie zatonią;
Gaśnij piorunie, — słaby jego wrogu!
Z nim bohaterzy padały olbrzymie:
Jego krzyż biały, sławi Danji imie.

Ty z nieba spadłeś, święte Danji znamię,
Prowadź na boje szlachetnych rycerzy....
Co męstwo zwalczy, — co skruszy ich ramię
Sława rozniesie, — choć świat nie uwierzy.
— Nie zamrze twoja wiekopomna sława,
Póki brzmieć będzie arfa Skandynawa.

Tęj duńskiej pieśni dano pierwszeństwo, jako zawdzięczenie gościnności przez Kopenhagę zebraniu udzielonej. Potem zaraz nastąpiła pieśń Norwewska, rozpoczynająca się następującymi wyrazami.

Starój Norwegji synowie,
Uderzcie w arfy dzwoniące;
Niech wspaniała pieśń wypowie,
Szlachetnych czynów tysiące.

Nakoniec z równym, jak poprzednio zapalem, wzniesiono pieśń Szwedzką znaną każdemu jój mieszkańcowi, której taki początek:

Zagrmijcie, o! Szwecji męże
Hymnami jednobrzmiennemi;
Niech każde serce przysięże,
Wierność królowi swój ziemi.

Po różnych przemowach do okoliczności zastosowanych, powtarzały się pieśni i cała zebrana ludność późno w wieczór dopiero się rozeszła.

— Rodzina Raskjoldów znajdowała się także na uroczystości i gdy po ukończeniu, do niej się udałem, zastałem Ulrykę niezwykajnie wzruszoną, z twarzą niemal zaognioną, iskrzącami od blasku

*

oczyrna i jakby ze szczególną niecierpliwością na mnie oczekującą. Przeraziłem się gdy na nią spojrzałem, — a ona z gorączkową powychwyciła mnie za rękę, — zawołała wysiłonym głosem.

— I oni chcą abym opuściła ziemię Skandynawską, której chwałę uszy moje napełnione, a przyszłością serce dumne.

— Nie pomną że ty Eryku Skandynawczyk i także ziemi mojej nie porzucisz.

— Więc razem na tej ziemi Ulryko pozostaniemy; — niech nasze losy, tak jak losy oddzielnych części Skandynawji, staną się jedne i wspólne. Wszak pamiętasz co nasze Sagi opiewają. Danja to radosne drzewo bukowe, o gęstym liściu, co daje chłód ożywczy; jego kształty, jasno zielony kolor, gałązki wdzięcznie wginane, na pierwszy rzut oka, dają obraz spokoju, sielanki. Szwecja to dąb, który jęj doliny napełnia; — nie przedstawia wprawdzie gładkości i uśmiechu buka, lecz w wyższym jeszcze stopniu posiada jego siłę; kształty potężne, silne ramiona, stanowią rękojmię bezpieczeństwa dla tych co się pod jego chronią konary; — dąb najlepiej wyobraża pieśń wojownika i żywioł rycerski. A wiesz także, że podług wiary Odyna, nie tylko Wingolf, siedlisko miłości, — ale i całe niebo, ocienione jest jednem najwspanialszém drzewem Ygdrazil, które w sobie piękności wszystkich drzew łączy. Niechże połączenie buku z dębem i do Wingolfu i do stóp Ygdrazilu nas doprowadzi; znajdziemy szczęście jaśniejsze od tego, jakie Odyn ulubieńcom swoim obiecywał.

— Wszystko dla tego szczęścia, nawet resztę wątłego życia mojego, gotowa jestem poświęcić, — odrzekła z niewymowną słodyczą Ulryka i oba do mnie ramiona, jakby chcąc się schronić przed grożącym jęj niebezpieczeństwem wyciągnęła.

— Nie — nie; — nie możesz sądzić Ulryko, smutną jęj myśl uprzedzając zawołałem, iż bym w tej chwili najwyższej szczęśliwości mojej, mógł zapomnieć o tém, że dla ciebie ciepłego potrzeba nieba: nie o skończeniu tego życia, lecz o rozpoczęciu życia szczęścia i rozkoszy mówić nam trzeba. Ziemi skandynawskiej opuścić nie możemy, — a ty żyć będziesz w zdrowiu i spokoju. Znasz wszystkie szczegóły doświadczeń moich naukowych, które mi już od niejakiego czasu uzasadniały nadzieję, — a teraz już pewność podają, — że na skandynawskiej ziemi znajdziesz kraj ciepłym ożywiony, woniący wszystkimi balsamami podzwrotnikowej roślinności. Nieco tylko jeszcze wytrwałości, — zaufania w owoce mojej nauki, — nadziei w niedaleką dobrą przyszłość, — a znajdziemy się u celu, nie

mówże już moich, lecz naszych życzeń. Wszakże, do skutecznego tego najdroższego dla mnie przedsięwzięcia czasu potrzeba.

Dalszy twój pobyt tutaj, skruszyłyby do reszty osłabione twoje siły. Nie odwlekaj więc już wyjazdu do Włoch; — niech tam wątłe twe zdrowie odzyska zapasy życia i czerstwości. Cztery lata z rodzicami we Włoszech spędzone przywróca ci te siły, — a dla mnie czas ten będzie dostateczny do przygotowania dla ciebie krainy, gdzie zamieszkując nie uczujesz różnicy od włoskiego nieba i gdzie będziemy mogli zziścić wszystkie nasze oczekiwania błogięj pomyślności.

— Jak ci nie wierzyć, najdroższy Eryku; choćby to co mówisz dla wszystkich zdawało się wątpliwem lub niewytłomaczonym, — dla mnie jest równie pewnem, jak to ciepło ożywcze słońca, które me siły ma wzmocnić i utrzymać.

Dalsza nasza rozmowa była już tylko owym zachwytem nie dającym się wypowiedzieć, co jest zrozumiałym jedynie dla tych, którzy nie ziemskimi wyrazy lecz niebiańskim przelewem uczuć, istności swe łączą.

Tegoż wieczora zaniósłem do rodziców Ulryki gorącą prośbę o jęj rękę i otrzymałem ten oto pierścień, będący zadatkiem jęj miłości, wraz z czułem zezwoleniem rodziców, którzy tém byli szczęśliwsi, że postanowiony natychmiastowy ich wyjazd z Ulryką do Włoch, na kilkoletni tam pobyt, usuwał nieustanną obawę o zgubny wpływ klimatu Danji lub Szwecji na zdrowie Ulryki.

Tu przerwałem powieść Eryka, której od niejakiego czasu z wzrastającym słuchałem zadziwieniem, — i objawiłem mu otwarcie, iż nie pojmuję zupełnie niektórych jego wyrażen, — a mianowicie nie rozumiem co znaczy przygotowanie w skandynawskich ziemiach, krainy podzwrotnikowego klimatu, gdzieby zdrowie Ulryki od niebezpieczeństwa zimna było ochronione.

— Jako, spojrzawszy na mnie jakby z niedowierzaniem, zawołał Eryk: jako? czyż nie widzisz, że zamierzylem na wielką stopę zastosować geotermją, w jednej z ziem skandynawskich.

— Wyznam szczerze, odrzekłem, że ten wyraz zupełnie mi nie znany, wcale wątpliwości mej nie usuwa.

— I mówisz że jesteś inżynierem, — a nie wiesz co jest geotermja. Wprawdzie już nie pierwszy raz tu na stałym lądzie, zdarza mi się spotkać z taką niewiadomością; — ale dość w tych krótkich chwilach poznaliśmy się wzajemnie, i za nadto dobrze dojrzałem twoje, Józefie, wykształcenie i zamiłowanie nauk, abym wątpił

iż ze spostrzeżeniami i doświadczeniami geotermicznymi jesteś w zupełności obznajomiony.

Pomimowolny wstyd zamknął mi na chwilę usta, gdy świst lokomotywy oznajmił iż stanęliśmy w Berlinie: ze złością prawie wyskoczyłem z wagonu, — z jaknajwiększym pośpiechem ułatwiłem odbiór pakunków — bacząc tylko najpilniej aby z oka nie spuścić Eryka, gdyż upokorzona moja miłość własna, pragnęła co prędzej przekonać się, czy nie jestem pastwą jakiego nauczyciela lub przedmiotem żartu; — z nim więc razem, który zwykłego spokojnego obejścia nie zmienił, — zajęchałem do hotelu Meischara, gdzie obadwa zajęliśmy mieszkania. Gdym zdołał na nowo mowę zwrócić na zagadkowy dla mnie przedmiot, Eryk w licznych rozmowach, któreśmy potem wiedli, takie udzielił mi objaśnienia.

IV.

Prawda że nauka i świetne wypadki geotermji są nader świeże i dla tego dostatecznie po świecie rozejść się nie mogły, a ja po części byłem tego umyślnym powodem.

— Prawda i to, że ja sam, — jak każdy niemal zapalony badacz nauki, nie mogłem oprzeć się zazdrości względem odkryć, które jako własny skarb dla szczęścia Ulryki wynaleziony uważałem.

— Bo ci trzeba widzieć Józefie, że odkładając na bok wszelkie niewczesne przechwałki, mogę się uważać nie tylko za pierwszego twórcę geotermji, — ale i za najszcześniejszego przedsiębiorcę, który jej zasady w obszerne zastosowanie wprowadził. Ale ponieważ poznaję, że nie masz najmniejszego o tej nauce wyobrażenia, — muszę ci ją w niewielu wyrazach od początku objaśnić.

Przebiegając różne kraje i strefy, — porównywając taką rozmaitość roślinności w różnych okolicach ziemi, z bogactwem lub widocznym ubóstwem rozwijającą się, badając wreszcie różne stopnie siły i kwitnienia życia zwierzęcego, dostrzegłem oddawna, — że ze trzech głównych czynników życia organicznego, to jest światła, ciepła i wilgoci, — najnierówniej na kuli ziemskiej rozłożone jest ciepło i ztąd pochodzą tak wielkie różnice stref i klimatów. Ogól-

ny łącznik organizmu, powietrze, prawie wszędzie okazuje nam się w zupełnie jednakowym składzie chemicznym; wszędzie więc podaje równe warunki życia. Wprawdzie wilgoć w niektórych szczególnych miejscowościach — a światło słoneczne w pewnych krańcowych położeniach geograficznych — przez pewne epoki roku okazują się słabsze, — lecz zawsze ich ogólna, jeżeli tak wyrazić się godzi, summa, jest dostateczną do zasilania życia istot organicznych — Sam tylko brak ciepła roznosi na około siebie śmierć i dotąd przewyciężony być nie mógł, skazując na wieczną niepłodność i na niezmiernie zamarte pustynie, przynajmniej trzecią część powierzchni kuli ziemskiej. A wszakże też sama kula ziemska, podług niewątpliwych i dawno znanych doświadczeń, posiada w łonie swoim, niezmierny zapas gorąca, który przechodzić się zdaje wszelkie dotychczas mierzone ciepło. Aby więc tylko przemysł ludzki zdołał się dostać do tego nigdy nie wyczerpanego źródła ciepła, — stanie się on od razu panem równej niemal siły, jak ogrzewające słońce i rozdzielacz zdoła wedle swéj woli, prądy ożywczego gorąca. Ta przygotawcza lecz zasadnicza uwaga, stała mi się niewątpliwą skazówką dalszych teorii i poszukiwań. Wiadomo ci jest pewnie, że zagłębiając się w ziemię, na każde sto stóp głębokości przybywa jeden stopień ciepła. Przypuścić można, że w głębi pierwszych stu stóp, otrzymuje się stałą temperaturę 10 stopni, — a następnie zwiększa się ciepło o jeden stopień na każde sto stóp. Doświadczenia dawniejsze, otrzymywane tak w kopalniach jako i w otworach świdrem wierconych, zupełnie to sprawdziły. I tak na przykład, woda wypływająca ze studni artezyjskiej Grenelskiej pogłębionej na 1900 stóp, — posiada 28 stopni ciepła; — zapuszczenie się zatem na 9000 do 10000 stóp, da nam temperaturę wody wrzącej; — nie potrzeba zaś jak tylko pogłębić otwór na półtora lub dwa razy więcej, aby otrzymać bardzo silne gorąco, i dalsze zagłębianie byłoby zbyt kosztowne, bo w głębokości 70000 stóp doszlibyśmy do gorąca, które zdolne byłoby roztopić wszystkie niemal metale i większą część kamieni i kruszców. Od czasu jak wyjaśniła mi się myśl szukania ciepła wewnątrz ziemi, poświęciłem nie mało czasu i pracy dla najdokładniejszego zbadania sposobów wiercenia studzien artezyjskich. Zwiedziłem wszystkie niemal miejsca gdzie je wykonywają ze szczególną dokładnością; wszedłem w stosunki z najznakomitszymi na tém polu pracownikami, — i po wielu usiłowaniach, doszedłem do wykrycia sposobów bardzo głębokiego zapuszczania otworów, — i to do takich głębokości, o jakich się dotąd prawie nikomu nie marzyło.

I w istocie, dotąd pogłębianie świdrem, mając za cel znalezienie warstwy wody dość silnie na wierzch tryskającej, — nie zadawało sobie pracy dalszego pogłębiania — kiedy moim zamiarem było poniesienie tych pogłębiań do nieskończenia dalszych granic.

— Te twoje usiłowania Eryku, przerwałem, — jeżeli jak powiadasz do tak świetnych doprowadziły wypadków, musiały być skutkiem nowych twych jakichś odkryć mnie wcale nie znanych; — gdyż wyznam ci iż nie pojmuję jak zdołałeś środkami powszechnie używanymi i dotąd wiele czasu, kosztu i trudu wymagającymi, osiągnąć tak dalece przewyższające wypadki.

— Mylisz się, Józefie, odrzekł Eryk. Przy pilnych spostrzeżeniach i kierowany najpewniejszymi danymi naukowymi, — zwiększyłem tylko siłę dotąd używanych środków. Zbyt długo byłoby wchodzić w szczegóły, które są bardzo rozległe i drobiazgowe i stanowią już teraz rozległą naukę, słusznie, zdaje mi się nazwaną geotermją, — gdyż zajmuje się wydobyciem ciepła ziemskiej kuli. Wspomnę ci tu tylko o kilku szczęśliwie przemennie obmyślonych i w wykonanie wprowadzonych zastosowaniach.

Wiesz pewnie że dotąd używano dwóch sposobów wiercenia otworów artezyjskich, — to jest za pomocą sztab żelaznych coraz dłużej jedne do drugich dośrubowywanych, lub też za pomocą liny, posiadającej tylko na końcu przyrząd do pogłębiania. Pierwszy sposób jest prawie powszechnie używany i uważany był za łatwiejszy i dokładniejszy. Największe powagi jak Kind, — Degonse, Mulot, Héricart de Thury i wielu innych, trzymali się sposobu sztabowego; — lecz już Beer najbieglejszy z nich może, przewidywał wielką przyszłość dla systemu linowego, a inni w tym systemacie ulepszenia wprowadzali. Od razu dojrzałem, iż tylko za pomocą liny, wielkich głębokości osiągnąć można. Tu przedewszystkiem zwróciłem uwagę na moc liny, — i przekonałem się, że użycie do niej włókna rośliny *Phormium tenax*, — z niejakiem wszakże domieszaniem najdoskonalszych konopi, zupełną siłę przedstawia i może być używane w nieskończonych długościach, — mających dopiero za granicę dojście do takiej temperatury, w której lina zajęłaby się płomieniem, — czemu jeszcze w największych głębokościach, zaradza się powlekaniem liny najmielszym proszkiem ceglanym, ochraniającym ją od zbytecznego rozgrzania.

Liny takie mają nadto tę nieocenioną własność, że dla znakomitęj sprężystości włókna, w długości swojej przez sam swój ciężar same się zawsze cokolwiek skręcają i odkręcają, a tym sposobem

działają prawie zawsze swém narzędziem wiercącym, jak świder siłą zewnętrzną obracany.

Użycie liny nie było w powszechności, przy robocie studni artezyjskich, głównie z powodu, że w pokładach miękkich, piaskowych, działanie okazywało się zbyt wolne, kiedy przeciwnie przebijanie kamienia szło daleko łatwiej. Zaradziłem tam bardzo prostym sposobem. Przez nietrudny mechanizm, urządziłem w takich piaskowych warstwach, spadanie stepla z bardzo małych wysokości, lecz niezmiernie szybko powtarzające się, przez co działanie lubo mniej na pozór silne, okazało się nazwyczaj skuteczne: zamiast 25 uderzeń na minutę, doszedłem do stu uderzeń, — ze zwyklemi co kilka minut przestankami.

Do powiększenia średnicy otworu, użyłem z najpomyślniejszym skutkiem stempli, opatrzonych silnemi stalowemi skrzydełkami, u dołu najmniejszych, — a ku górze w ślimakowatém ustawieniu coraz zwiększającemi się, aż do takiego rozmiaru jakiego wymaga zamierzona średnica otworu. Kiedy otwór studni artezyjskiej w Passy wynosi tylko 41½ cali średnicy, — ja doszedłem do dania moim otworom średnicy cali 72, co mi było niezbędne do wygodnego pomieszczenia w otworze systematu rur, dla moich celów potrzebnego.

Nie będę ci zresztą rozwijał ulepszeń wprowadzonych w przyrządach do naprężenia liny, — do jej zwijania i zapuszczania, — tudzież w rozlicznych narzędziach do kruszenia gruntu i skał, — do przełamywania zawad, — do wydobywania miału, — do przekraczania warstw wodnych, — do zapuszczania rur. Objaśnię tu tylko jak użytkuję gorąco wewnętrzne ziemi.

— Gdy wywiercenie otworu doszło do takiej głębokości, że otrzymane w niej gorąco jest dostateczne do użycia na zewnątrz, — zapuszczają się w otwór dwie rury, na samym spodzie z sobą po-przecznie połączone.

— Do jednej z nich zastosowuje się pompa tłocząca, poruszana siłą maszyny parowej, — która, znajdując się w najdalej po-głębionj części rury, gorące powietrze, — wypcha ciągle w drugą rurę i z niej bądź w wierzchniej warstwy ziemi, bądź na wolne po-wietrze, według potrzeby ciepło wpędza.

— Ta właśnie ostatnia czynność, odezwałem się, zdaje mi się najważniejszą, jeżeli zamierzony przez ciebie skutek ma być osią-gnięty.

— Masz zupełną słusność, odpowiedział Eryk, — to téż zużytkowanie i rozprowadzenie dobytego z ziemi gorąca, stanowi oddzielną część nauki geotermji, — jest niemal najkosztowniejszą

w wykonaniu i lubo już przezemie znacznie posunięta, jeszcze nie małym uledez może udoskonaleniom. Najpierwszą czynnością do zużytkowania gorąca ziemi, — jest odmrożenie i utrzymywanie gruntu w ciągłym cieple. To uskutecznia się przez rozprowadzenie całej sieci drenów czyli rur podziemnych, zwykle na dwa piętra przezemie urządzanych. Drugą czynnością nierównie jeszcze ważniejszą jest ogrzewanie atmosfery, — co się dzieje przez rozpołożenie rur nad ziemię dość wysoko wyprowadzonych, ciągle i nieustannie gorąco z siebie ziejących, — i przez rozmieszczanie w pewnych odległościach, budowli, stanowiących prawdziwe piece, ciągle ogrzewane wewnętrznem ciepłem ziemi, dochodzącem z rury w głębiach zapuszczonój, a przez nas nazywanój *Kanałem życia*. Te przyrządy i budowle stanowią nowy żywioł dla ozdoby i estetycznych upiększeń okolicy. W tym względzie dobry smak Ulryki nieraz przychodził mi w pomoc i niejedną godzinę strawiłszy nad układaniem i rysowaniem rozlicznych projektów, wysmukłych rur, — zaokrąglonych kształtów budowli ogrzewających, lub rozgałęzionych niby drzewa wież kruszcowych, gorąco na wszystkie strony roznoszących.

Z tego najkrótszego zarysu wypadków geotermji poznasz Józefie, — że środki są proste i wymagają tylko kapitału, tudzież pracy na nauce opartej.

— Muszę ci więc teraz dać lekki obraz tego, co na tém polu wykonałem i co obecnie wykonać zamierzam.

V.

Rok właśnie upływa od czasu zaręczyn moich z Ulryką w Kopenhadze i od jój wyjazdu z rodzicami do Neapolu; pozostaje mi więc jeszcze trzy lata do przysposobienia nowego dla niej pobytu i do naszego tak gorąco upragnionego połączenia. Rok ten nie był w pracach moich stracony, jak ci to zaraz opowiem; — lecz pierwój dawniejszego jeszcze czasu sięgnę i muszę dla przekonania cię, że już za ostatniem widzeniem się z Ulryką w Kopenhadze, mogłem jój dać zapewnienie urządzenia na ziemi skandynawskiej,

ciepłego ustronia, w dopełnienie czego, dzisiaj więcej jak kiedykolwiek w zupełności wierzę.

— Na kilka już lat przed epoką o której mówię, powzięta myśl stworzenia i zastosowania geotermji, dojrzewała w mej głowie i wszystkie prace tudzież podróże naukowe do tego celu były skierowane. Od samego początku znalazłem w Olausie, bracie mojej Ulryki, zapalonego współpracownika moich badań i doświadczeń; gdy nam się jakie nastroczały wątpliwości, rozdzielaliśmy się pracą, i póty ją wytrwale zdawaliśmy, póki każdy z nas nie zdołał przynieść korzystnego owocu swych starań. Tym sposobem daleko posunawszy teoretyczne dociekania, postanowiliśmy już przed pięcią lub sześcią laty zastosować je, choć w małym zakresie, do praktyki i obraliśmy na ten cel posiadłość, która od dawnych czasów pozostaje w rękę mojej rodziny, lecz która będąc pustynią wiecznemi niemal lodami pokrytą, żadnego mi nie czyniła dochodu, oprócz bardzo lekkiej daniny oddawanej w zwierzynie, przez rzadko rozrzuconą ludność lapońską. Miejscowość ta nosząca nazwę Tromroe, leży w najpółnocniejszej części Szwecji, niedaleko granicy Finmarku Norweskiego, pod 68 stopniem szerokości geograficznej, daleko jeszcze na północ od miasta Torneo.

Zamierzaliśmy odmrozić i rozgrzać nie większą przestrzeń jak 8 do 10 morgów kwadratowych, lubo pojmowaliśmy, że tak mały obszar łatwiej wystawiony na szkodliwe wpływy okolicznych puszczy lodowych, nie zdoła podać nam wypadki równie świetne, jak te, których spodziewać się godzi przy zamienianiu znacznej powierzchni, kilkudziesiąt lub kilkuset milowej, na grunt uprawny i ocieplony. Wielki majątek jaki posiadam dozwolił mi uczynić tę kosztownę próbę, do której i Olaus rozporządzałnemi swemi funduszami hojnie przykładał się. Założyliśmy jeden tylko kanał życia, czyli główny otwór w głębi ziemi. Przyznać muszę, że usiłowania nasze w początkach na wielkie napotykały trudności. Nie zbyt dalekie położenie posiadłości Tromroe od pasma gór Kiolen, będących przedłużeniem gór Dofryńskich, było zapewne powodem, że przy pogłębianiu kanału życia, kilkakrotnie, natrafialiśmy na silne prądy wody, z wielką mocą pędzone pomiędzy połamaniami i wznoszącemi się pokładami skał i gruntów w głębiach ziemi. Raz także otwór nasz napotkał głęboką jaskinię podziemną, z której płynął gaz wodorowęglowy, zupełnie przydatny do oświetlenia i do ogrzewania. Lecz zapuszczane przez nas żelazne rury, szczęśliwie pozwoliły przebyć wszystkie te zawady, a po dojściu do głębokości 15860 stóp, otrzymaliśmy temperaturę przeszło 150 stopni ciepła, które przy wyjściu

na zewnątrz dawały jeszcze blisko 120 stopni gorąca i wtedy osądziwszy że dalsze pogłębianie dla dokonania naszej próby jest zbyt ciężkie, — zajęliśmy się czynnością rozprowadzania otrzymanego ciepła, na zakreślonej przestrzeni.

Odmrożenie gruntu, tudzież jego ocieplenie, z najlepszym nam się skutkiem powiodło, — wszakże przyrządy do ogrzewania atmosfery mniej zadawalniające wypadki przedstawiały, z powodu łatwego jeszcze dostępu surowych wiatrów, pochodzącego, jak już wyżej rzekłem, z niewielkiego obrębu odmrożonego gruntu. Jednak staranne i gęste rozmieszczenie rur gorąco zięjących i pieców ciągle rozgrzanych, — dozwoliły nam urządzić uprawę rozlicznych roślin, wymagających nawet gorącego klimatu, jak trzciny cukrowej i krzewu kawy, — a zboża wszelkiego rodzaju najwyborniej się udały. W tym oto ostatnim roku, drzewa pomarańczowe trzeci rok w gruncie stojące, wydały obfity owoc, którego próby tu mam z sobą w skrzynce, wioząc ją Ulyce jako dowód, że pomarańcze z Tromroe w dojrzałości i słodczy Sycylijskim w niczym nie ustępują.

Na moją usilną prośbę otworzyliśmy skrzynię i podzieliśmy się jedną pomarańczą o cienkiej skórce i wytwornym smaku. Eryk zaś tak dalej ciągnął opowiadanie. Roboty w Tromroe pilnie doglądane były naprzemian przezemnie i przez Olausa, który, jako najserdeczniejszy brat i przyjaciel, podzielał wszystkie moje trudy i nadzieje, tudzież zarówno ze mną uczuwał głęboko niepowodzenia, jak cieszył się osiąganymi pomyślnymi wypadkami.

Lecz prace nasze staraliśmy się ukrywać ile możności w tajemnicy, — co nie było trudne, gdy roboty odbywały się w kraju zupełnie nie uczęszczanym i prawie nieznanym. Dopiero na pół roku przed moimi zaręczynami z Ulyką, cały owoc doświadczeń naszych wyszedł na jaw, gdy, posiadając już płody w Tromroe otrzymane, złożyliśmy je na wystawie publicznej rolniczej, odbytej w owym czasie w Sztokolmie. Przedstawiłem także jednocześnie Akademji Sztokolmskiej, najdokładniejsze sprawozdanie całego geotermicznego postępowania, dołączając opisy i rysunki wszystkich ważniejszych używanych przezemnie przyrządów i narzędzi, tudzież rozwijając teoretycznie zasady jakich się trzymałem.

— Upraszałem zarazem Akademią o zesłanie do Tromroe grona znawców, którzyby mogli na miejscu wszystkie szczegóły rozpoznać i bezstronną zdać o nich sprawę.

— Akademią przychyliła się do prośby mojej. Mieliśmy z Olaussem nieukrywaną przez nas przyjemność, wtajemniczając zesłanych do Tromroe uczonych we wszystkie trudności i zadania ja-

kie nas oddawna zajmowały. Wypadek badania delegacji Akademji był dla naszego przedsięwzięcia w zupełności przychylny, a nadto korzystaliśmy z gruntownych uwag jakie nam członkowie téj delegacji poczynili, — mianowicie zaś przewodniczący w niéj jeden z najuczestniejszych inżynierów skandynawskich, profesor fizyki i mechaniki w uniwersytecie w Lund, — za którego idąc radami, znacznie udoskonaliśmy przyrządy do przepuszczania ciepła w podziemne dreny, i do jego przeprowadzania w budowy rurowe i piecowe, nad powierzchnią gruntu działające.

— Gdy sprawozdanie delegowanych Akademji, zostało ogłoszone, i gdy nas obu i mnie i Olaus, Akademja do grona swego na członków przyjęła, — odkrycie nasze nabrało znakomitęj powagi. Wkrótce w Sztokholmie powstało tygodniowe pismo, Monitor geotermiczny, w którym części naukowéj doglądał Olaus. W Torneo niedługo także zaczęło wychodzić perjodyczne pismo geotermiczne, — a niedawno otrzymałem wiadomość, o ukazaniu się takiegoż pisma w Drontheimie w Norwegji. W takim położeniu rzeczy mogłem już myśleć o zastosowaniu geotermji na obszerną stopę i o zapewnieniu dla drogiej mi Skandynawji pierwszych wielkich jéj owoców, — a przez to także o zjściu nadziei umieszczenia najukochańszéj mojej Ulryki w krainie ciepła i ożywczego życia, wytworzonej na ziemi skandynawskiej. Dokonanie wielkiego tego przedsięwzięcia było główném mojem zajęciem w ciągu ubiegającego teraz roku. Potrzeba było utworzyć potężne kapitałem i odważne duchem przedsiębiorczym stowarzyszenie, mające za cel rozwinięcie działań geotermicznych na znacznej przestrzeni ziemi. Podane przezemnie projekta i obliczenia przekonały najdowodniéj, że zamienienie pustyni lodowéj, na kraj żyzny i urodzajny, nie tylko w niedługim przeciągu czasu koszta nakładowe zwróci, ale nadto zapewni znaczne i ciągle wzrastające dla akcjonariuszów dochody. Ucznie i kapitaliści nasi z którymi się znosiłem, najprzychylniéj myśli moje przyjmowali, — i przedewszystkiém zgodziliśmy się na to, aby, ile możliwości przedsięwzięcie nasze dokonać skandynawskimi siłami; dlatego unikaliśmy zbytecznego rozgłosu przedsięwzięcia, — chcąc szczególnéj zasłonić się od nieprzyjaznéj konkurencji angielskiej, jakaby usiłowała na swoją korzyść pierwsze owoce prac naszych wyzyskać; gdyż co do mnie podzielałem oddawna niechęć przyszłego mojego teścia admirała Raskjolda, do samolubnych dążeń angielskich przemysłowców i ten mój sposób widzenia rzeczy znalazł ogólny poklask między moimi współnikami. Przeciwnie Amerykanom udzieliliśmy cały nasz projekt i pozyskaliśmy między zamożne-

mi kapitalistami Stanów Zjednoczonych nader silne poparcie i czynny współdział. Dopuszczony także został do spółki jeden bogaty dom handlowy paryzki i dwaj bankierowie Hamburgscy. Z przedwstępnych narad między wspólnikami, odbywanych bądź w Sztokolmie bądź w Kopenhadze, — wynikło przyjęcie mojej myśli, aby przedsięwzięcie wzięło za pole swych działań Grenlandją jako posiadłość duńską, — gdyż tym sposobem jedno z państw skandynawskich będzie szczególnie interesowane do pomyślności naszego stowarzyszenia. Kapitał spółkowy ustanowiony został na 450 milionów franków, i podzielony na 4500 akcji po 100.000 fr. każda. Tak wysokie akcje oznaczyliśmy dla tego, aby ich nie puszczać w ręce małych kapitalistów i nie odwoływać się do publicznych w gazetach ogłoszeń. Domy bankierskie do spółki należące, same zajęły się umieszczeniem akcji między swojemi zaufanymi.

— Rządy zaś szwedzki i duński, chcąc okazać szczególną przychylność przedsiębiorstwu, — przystąpiły do Towarzystwa wprawdzie z niezbyt wielkimi stosunkowo summami, pierwszy na 50, drugi na 10 milionów franków, — lecz sobie nie zastrzegły żadnych wyższych przywilejów jak inni akcjonariusze. Podpisy na akcje w ciągu kilku miesięcy zostały zebrane i fundusz potrzebny zapewniony. Wtedy na ogólném zebraniu akcjonariuszów w Sztokolmie odbytem, wezwany zostałem o udanie się do Kopenhagi, jako pełnomocnik Towarzystwa i Naczelny Dyrektor całego przedsięwzięcia, dla pozyskania u króla Duńskiego komisji stosownej, gdyż na gruncie duńskim stowarzyszenie działać miało.

Właśnie teraz wracam z Kopenhagi, gdzie po miesięcznym pobycie, zupełny skutek próżby naszej pozyskałem. Zaraz pokażę ci papiery od rządu duńskiego otrzymane, któremi stowarzyszenie nasze jest zatwierdzone i do rozpoczęcia bezzwłocznie robót upoważnione.

Tu Eryk przyniósł mi tekę, z której wyjąwszy wzmiankowane papiery, dał mi je do odczytania, gdyż oprócz textu duńskiego dla mnie nie zrozumiałego, wszędzie znajdowało się tłumaczenie francuzkie.

Z dokumentów tych przekonałem się, że rząd duński upoważnia Towarzystwo geotermiczne w Grenlandji, do zastosowania i rozwinięcia działań geotermicznych we wschodniej części tego lodowatego lądu, poczynając od zatoki Saint-Olaf leżącej pod 67 stopniem szerokości a 40 długości geograficznej, dalej idąc na północ po linii tegoż południka do 40 stopnia. Na wschód komisja rozciąga prawa towarzystwa brzegiem wschodnim morza przez zatokę Scoresby, le-

zając już pod 70 stopniem szerokości a 36 długości geograficznej i dalej na północ po za wysokością wyspy Skannon, położonej pod 78 stopniami szerokości, — i wreszcie ograniczając w kierunku północnym powierzchnię linią równoleżnika pod stopniem 80 szerokości. Tym sposobem, mówił Eryk, kraina Towarzystwu ustąpiona wynosi przeszło 900 mil kwadratowych i na moją prośbę otrzymała nazwisko *Ulrykaland*, a to stało mi się najdroższą nagrodą mojej pracy, jako hołd ukochanej Ulryce oddany. Lecz i rząd duński pragnąc wynagrodzić niedostateczność pieniężnego zasiłku Towarzystwu udzielonego, tudzież szczególną dla mnie okazać względność, mianował mnie dożywotnim zarządcą Ulrykalandu, jako Dyrektora Towarzystwa geotermicznego Grenlandzkiego — i nadał mi obszerne prawa do zawiadywania tą przyszłą kolonją. Nie mogę ci opisać jak będę szczęśliwy, gdy wprowadzę tam Ulrykę, jakby królowę własnego jej państwa, udarowanego wszystkimi bogactwy przyrody.

VI.

Te objaśnienia Eryka i złożone mi dowody stwierdzające jego opowiadanie, w coraz większe wprawiały mnie zdumienie, lecz nie mogłem oczywiście odmówić uznania, — i coraz bliżej przedsięwzięcie Eryka rozważając, coraz téż silniej zajęty niém byłem, a przyszła chwila, w której okazało mi się ono tak świetném i pojętném, że powziąłem postanowienie ofiarowania Erykowi mojej pracy i współdziałania, pochlebając sobie, że wiadomości i doświadczenie w zawodzie moim inżynierskim nabyte, mogą być rzeczywiscie w działaniach geotermicznych przydatne. Dwa dni bawiliśmy już w Berlinie i Eryk drugie dwa dni miał jeszcze tamże pozostać, dla pokończenia wielkich obstalunków machin i narzędzi w fabryce Boersiga, zkąd już znakomity transport takichże przyrządów do Hamburga wysłał; — gdyż tam pozostał Olaus, dla przygotowania pierwszej wyprawy, składającej się z tysiąca różnych robotników i najpotrzebniejszych machin, tudzież zapasów.

— Drugiego dnia pobytu naszego, wieczorem, wyszedłem dla załatwienia spraw moich osobistych i późno w nocy do domu wró-

ciwszy, zaraz na spoczynek się udałem. Gdy nazajutrz rano wstałem, zabierając się do śniadania, ujrzałem na stole kartkę ręką Eryka pisaną, której poprzedniej nocy nie dostrzegłem, — a która zawierała te wyrazy: „Dziś w nocy odebrałem telegram z Neapolu, który mię do najprędszego przybycia wzywa. Wyjeżdżam więc rannym pociągami o godzinie 5tej, żalując, — że na teraz nie mogę dłużej, kochany towarzyszu, dzielić się z tobą silnemi wrażeniami radości i nadziei jakimi przyprowadzenie do skutku mojego przedsięwzięcia mnie napęlnia.“

— Nadzwyczaj zaniepokojony, ledwie dzwonek nie urwałem, chcąc powziąć bliższą o Eryku wiadomość, — choć byłbym od razu mógł znaleźć odpowiedź, gdybym był spojrział na zegarek wskazujący blisko 8 godzinę. Jakoż w istocie zapewniono mnie w hotelu, że Eryk jeszcze przed 5tą godziną wyjechał, wszystkie swoje rzeczy zabrawszy. Ten nagły wyjazd Eryka moje zamiary w niwecz obrócił.

— Nie wiedziałem o żadnych jego w Berlinie stosunkach; zapytania w fabryce Borsiga czynione, żadnych mi nie udzieliły objaśnień; — nie wiedziałem więc, — ani gdzie, ani jakim sposobem wejść z niem w listowne zniesienie się.

— Nikt z moich znajomych o przedsięwzięciu geotermicznem żadnej nie miał wiadomości, a lubo fabryka Borsiga poświadczala znakomite zakupy machin u nięj uczynione, lecz nie znała ich przeznaczenia. Potrzebowałem kilka dni czasu, dla uspokojenia się po gorączkowym wrażeniu, jakie sprawiło na mnie krótkie z Erykiem obcowanie; — wreszcie całe to zdarzenie przedstawiło mi się jako sen nadzwyczajny, — i party koniecznością myślenia o własnem położeniu tudzież obowiązkach mego zawodu, — zająłem się już spokojniej załatwieniem pozostałych czynności, — po czem wkrótce do Warszawy wróciłem.

Nie raz od tego czasu myśli moje zwracały się do Eryka, mając zawsze nadzieję, że pisma publiczne podadzą mi wkrótce wiadomość o stanie i postępach geotermji; — lecz poszukiwania moje były próżne i czas upływał bez zaspokojenia mojej ciekawości. Po bezskutecznej oczekiwaniu przeszło rocznie, przypomniałem sobie, iż Eryk nadmieniał mi o wychodzeniu w Sztokolmie pisma periodycznego, pod tytułem: Monitor geotermiczny.

— Postanowiłem więc — pismo to sobie zapisać... i z pomiędzy wszystkich księgarzy Warszawskich, przecie jednego znalazłem, który podjął się sprowadzenia żadanego przezemnie dziennika. Po blisko czteromiesięcznym oczekiwaniu, otrzymałem nareszcie w Li-

stopadzie roku zeszłego, cały zbiór Monitora geotermicznego z roku 1864 i z r. 1865 do miesiąca Października, — a gdy wynalazłem w Warszawie, co mi także nie łatwo przyszło, osobę język szwedzki posiadającą, zajęłem się rozpatrzeniem treści Monitora geotermicznego. Cały rok 1864 i pierwsze miesiące 1865 r. zajęte były rozprawami teoretycznymi do geotermji odnoszącemi się, opisaniem sposobów postępowania i objaśnieniami rysunków różnych machin i narzędzi. Dopiero w numerze z dnia 12 Września r. z. z największą moją radością, znalazłem ustęp noszący napis: „Ulrykaland;— wiadomości z Erykbörgu dnia 30 Lipca 1865 roku.“ Z niego powziąłem pierwszą wiadomość o założeniu Erykbörgu, jako stolicy Ulrykalandu, i o działaniach Towarzystwa geotermicznego zaciągnąłem następujące szczegóły.

„Wielkie nasze skandynawskie przedsięwzięcie, pisze dziennik, lubo nie dawno rozpoczęte, i zaledwie półtora roku działające, to jest połowę czasu jaki sobie do stanowczych wypadków zakresliło,— uczyniło już tak znakomite postępy, że dla znających naukę geotermji najświetniejszy skutek nie jest wcale wątpliwy. Temi powodowane widokami, Towarzystwo Ulrykalandzkie, upoważniło nas do dania krótkiej lecz autentycznej wiadomości o dotychczasowych swoich czynnościach, nie lękając się już szkodliwego niedowierzania lub współzawodnictwa. Sprawozdawca, Wice-Dyrektor Towarzystwa P. Olaus Raskjold zaczyna od doniesienia swoim współrodakom i wszystkim geotermją zajmującym się, że najtrudniejsze początki i najcięższa epoka działań geotermicznych w Ulrykalandzie szczęśliwie już przebyte zostały. Ubiegłe półtora roku, było prawdziwym czasem próby i dowodem wytrwałości przedsiębiorców. O niezmiernych trudnościach pomieszczenia i wyżywienia ludności robotniczej rozdzielonej na 49 miejscowości, po kilkadziesiąt robotników w każdym miejscu, ten tylko może mieć wyobrażenie, kto dokładnie obeznał się z opisami podróży podbiegunowych i zimowisk w tych pustyniach lodowej śmierci. Gdyby nie potężne siły funduszowe Towarzystwa i niezmordowana zabiegłość naszego szanownego Dyrektora wspieranego gorliwie przez Radę Towarzystwa, same zawiązki przedsięwzięcia na zgubę byłyby narażone.

— Najważniejsze trudności wspomniemy następujące. Pierwszą potrzebą było obmyślenie materiału opałowego, na który po głębokim namyśle, obrano naftę i wielką jej ilość ze Stanów Zjednoczonych przywieziono, ciągle zapas jej zasilając. Za pomocą przyrządów z Europy otrzymanych, nafta i do ogrzewania mieszkań

i do wprowadzenia w ruch machin parowych i do oświetlania jest używana.

— Przed trzema miesiącami w jednym z rozpoczynających się otworów ziemnych, w małej bardzo głębokości natrafiono na bogaty pokład węgla kamiennego i z kopalni tej już z wielką korzyścią jest dobywany. Drugą większą niemal przeszkodą w posuwaniu robót, dotąd w części tylko usuniętą, była niesłychana trudność transportów. W pierwszym roku działań, konie nie mogły znieść gwałtownego zimna; musiano się uciekać do posługi psów grenlandzkich do sani zaprzęganych, których utrzymanie w wielkich ilościach było nader kosztowne.

— Obecnie w niektórych miejscach, już geotermicznie ogrzanych, konie dobrze się chowają, lecz jeszcze brak dostatecznej dla nich paszy. Mieszkania z materiału drzewnego z Norwegji i Ameryki północnej przywożonego, dobrze się wszędzie trzymają; lecz i w tej mierze nie małe były trudności do przewyciężenia, gdyż początkowo w jamach śniegowych robotnicy i ich zwierchnicy chronić się musieli. Na założenie osady mającej być stolicą, nazwanej od Dyrektora Erykborgiem, obrano miejsce około 20 mil odległe na zachód od zatoki Swrevby, gdyż przekonano się iż tam płynie rzeka do tej zatoki wpadająca. Żywność dla wszystkich osad roboczych dostarczana, nie różniła się prawie w niczem odżywienia na okrętach używanego. Osad tych, jak wyżej nadmieniono, ustanowionych było początkowo 49, rozłożonych na przestrzeni około 100 mil kwadratowych wynoszącej, z zamiarem posuwania prac dalej, po ich dopełnieniu w tym pierwszym oddziale. Tyleż, to jest 49, przedsięwzięto urządzić kanałów życia, czyli głównych otworów w głębi ziemi. Rozłożono zaś je w ten sposób, aby od brzegów morza coraz głębiej w łód posuwać się. Ostrożność ta była konieczną aby zapewnić i ułatwić odpływ wód do morza, powstających z roztopienia lodów, które jak wiadomo, pokrywają całą Grenlandją skorupą niekiedy do kilkuset stóp grubości dochodzącą.

Przedsięwzięte na tych różnych punktach roboty, nie równe wydawały skutki, z powodu więcej lub mniej trudnego pogłębiania. Głębokości kanałów życia nigdzie nie przeszły 18,000 stóp, — a niekiedy na 13 do 14 tysięcy stóp okazały się dostateczne. Dotąd 28 kanałów życia, zupełnie ukończono, a od 15 wyprowadzono już większą część rur ogrzewających, tak że około 20 mil kwadratowych, już znacznie, lubo niedostatecznie jeszcze, są ocieplone i w tym roku spodziewane już są z nich znaczne dla osad pomoce.

— Śmiertelność w ludności była mało znacząca. Związek regularny z Europą odbywa się za pomocą 10 parostatków, co miesiąc przybywających i odpływających, — a z Ameryką Północną związek ten jest częstszy.“

To są mniej więcej najważniejsze wiadomości poczerpnięte z wrześnieowego numeru Monitora geotermicznego.

— Pojmują czytelnicy ze z podwojoném zaciekawieniem badałem każdy nowy zeszyt nadchodzącego pisma. Lecz znowu dość długo lekkie tylko wzmianki o Ulykałandzie znajdując, byłem w wielkiej niepewności dalszego powodzenia przedsięwzięcia, kiedy bardzo świeży numer z miesiąca Marca r. b. przyniósł mi dalszy ciąg sprawozdania doprowadzony do połowy Stycznia r. b. i przekonujący o nadspodziewanie świetnych wypadkach, które, jak słusznie dziennik uważa, wynagrodzą Danji w niedalekim czasie, przez posiadanie Ulykałandu straty poniesione z odpadnięcia Holstynu i Szlezewgu.

Z otworzonych 49 kanałów życia, już tylko 5 pozostaje do wykończenia. Rozprowadzenie gorąca i ogrzanie atmosfery dokonane w zupełności w 25 obwodach, a zatém w większej połowie przestrzeni obecnym działaniom poddanej. Każdy obwód oznaczony podług skazówek miejscowego położenia, — otrzymuje od strony północnej i zachodniej, — a w niektórych przypadkach i ze stron innych, — pas lasu sadzonego brzezina i sosnina, nie tylko dla utworzenia zapasów leśnych, ale głównie dla przecinania prądów wiatru. Najszcześnieściej położony i jakby przecuciem odgadnięty, okazał się obwód Erykborgski — gdzie i budowy zewnętrzne atmosferę ogrzewające najbardziej zadowolniające przedstawiły wypadki. To też Erykborg stanowczo stolicą Ulykałandu pozostanie. Towarzystwo było już w możności zawezwać osadników do zajęcia się uprawą gruntu w tym obwodzie — i pierwszy transport zamożnych kolonistów z Norwegji przybył w końcu Gruduia r. z. Już także sprowadzona jest dość znaczna ilość bydła i owiec. Pomijam inne mniej ważne doniesienia, — gdyż zapewne następne poszyty Monitora geotermicznego więcej jeszcze podadzą szczegółów. Lecz nie mogę przemilczyć, o tém co mnie najbardziej w ostatniem sprawozdaniu rozradowało to jest dokładniejsza wzmianka o Eryku, — a mianowicie iż już obrał miejsce na wystawienie ozdobnego i wygodnego budynku na własne mieszkanie z Ulyką, z którą spodziewa się za rok, już jaką swą z żoną do Erykborga powrócić. Ogród obszerny przy tém domu już założony i wszystko do budowy przygotowane.

— Donosi także toż sprawozdanie, że Dyrektor Towarzystwa udaje się na czas krótki do Europy dla widzenia się ze swą narzeczoną. Może téż szczęśliwa okoliczność pozwoli mi spotkać się z nim, — a w każdym razie zgłoszę się do Neapolu do Państwa Raskjoldów, prosząc ich o spieszne powiadomienie mnie, skoro tylko Eryk przybędzie, — i wtedy kto wie czy nie wznowię pierwotnego mojego projektu udania się na czas długi, może na zawsze, do Ulrykalandu.

Pisano w Maju 1866 r.

Przypowieść wschodnia.

DOBRA RADA.

Na wiernych swoich zastępów czole
Przeciw niewiernym Prorok ciągl w pole.
Dotęgłszy blisko wroga wieczorem,
Na noc swe wojsko kładzie toborem,
Nie bacząc na to, że w okolicy
Z niskałd strumienia ani krynicy.

Na to doń Arab przystąpi stary,
— „Dozwól się spytać, pochodnio wiary!
Czy w tém z rozkazu Boga poczynasz,
Że na tém miejscu tabór rozpinasz?”

— „Nie! Bóg mi o tém nic nie objawił,
Po własnem zdaniu wojskom tu sprawił.“

— „Skoro tak, rada tutaj nie grzechem.
Radząc więc: odnieś rozkaz z pospiechem,
I przenieś obóz, tam, gdzie w dolinie
Zdrój chłodnej wody obficie płynie.
Byś, skoro zagrzmi okrzyk: *do broni!*
Nie wiódł zwątlonych ludzi i koni.“

Uznawszy słuszność, Prorok wnet śpieszy
Nowe rozkazy wydać swój rzeszy.
Mądrym i możnym na pamięć wieczną
Dając tém przykład: jak użyteczną



Mal. Dromler

Głównie w Su. A. Dziwoniakowskiego i Sp.

KATARZYNA JAGIELLONKA

Lit. W. Sandomier

110

11 1202

(2)

<http://rcin.org.pl>

Radę ochoczo przyjąć się godzi,
 Z jak bądź poziomych ust ta pochodzi.
 W mądrości swojej Bóg to tak zrządził,
 W wyborze miejsca, że prorok zbłądził.
 Potomnym czasem na pokazanie:
 Że nawet boży mąż nie był w stanie
 Bez rady bliźnich ustrzedz się chyby —
 A jakoż grzeszni ludzie chcieli by?

R. Z.

WIEZIENIE KATARZYNY JAGIELONKI

obraz Simmlera.

Obraz ten nie wielkiego rozmiaru, przedstawia wnętrze smutnego więzienia w zamku Grypszholmskim, gdzie okrutny Eryk XIV król szwedzki, wtrącił był brata swego Jana księcia Finlandyi wraz z żoną jego Katarzyną, siostrą Zygmunta Augusta. Artysta uchwycił jeden z licznych momentów kilkoletnich katuszy. Katarzyna w staroświeckim krześle siedzi przy stole, na którym krucyfiks, rozłożona książka do nabożeństwa i różaniec. Na jej kolanach tuli się do piersi mały chłopczyna, przyszedł Zygmunt III, z takim wyrazem, jaki miewają dzieci, gdy w trwodze szukają ochrony przy macierzyńskiem sercu. W bladém, znękaném obliczu matki maluje się cierpienie, ale dziwnie opromienione spokojem wiary i słodyczą rezygnacyi. Oparty o wezłowie jej krzesła stoi mąż, Jan finlandzki; twarz jego ocieniona długą brodą, poorana zmarszczkami, zachmurzona wzrokiem nieubłaganéj nienawiści, jest jakby pobojewiskiem walk namiętych, gdzie się ściera upokorzenie z dumą fanatycznój zemsty, niemoc rozpaczliwego zwątpienia, z przelotnemi połyсками nadziei krwawego odwetu. Te dwa oblicza kontrastujące z sobą, noszą piętno dwóch odrębnych, a pełnych dramatyczności charakterów, z całą prawdą psychologiczną i historyczną oddanych. Arty-

sta tak je pojął i wyobraził, że patrzący dalsze ich dzieje może sam sobie dopełnić, gdy drzwi więzienia otworzą się dla nich, a prześladowca strącony, ustąpi im miejsca na tronie.

Kto wie? może to właśnie ta chwila, co ma zakończyć ich cierpienia, a może tylko je pomnożyć? Straż halabardników uchyła oponę i przypatruje się grupie dostojnych męczenników.

Widać że ktoś oczekiwany. Oczekiwanie to maluje się na obliczu Jana bolesnym upokorzeniem i gniewem; na obliczu Katarzyny pokornym poddaniem się woli Boskiej i przebaczeniem.

Może to Eryk sam wejdzie i katowskim nie bratniem sercem każe mu patrzeć przez okno, jak spadać będą głowy odcięte od poćwiertowanych ciał najwierniejszych jego domowników i przyjaciół?

A może też przyjdzie wysłaniec zwiastujący im wolność? Dalsze dzieje tej książęcej pary powiadają nam: że uwolnieni z więzienia przez Eryka, koronowanego szaleńca, widzieli w ciągu roku jak naród, stracił Eryka, a natomiast posadził na tronie Jana i Katarzynę. Rządy nowego króla były odwetem krzywd poniesionych. Zemsta Jana wyrównywałaby przyrodzonej dzikości i szaleństwu Eryka, gdyby Jagiełłoński anioł nie czuwał przy jego boku.

Katarzyna cierpliwa i słodka w nieszczęściu, była miłosierną i ludzką na tronie. Ona wypraszała potępionych od śmierci, ona otwierała drzwi więzień i wypuszczonych opatrywała z własnej szkatuły, mówiąc: „Idźcie i opowiadajcie przyjaciołom waszym, jak się z wami obeszła ta, którą nieprzyjaciółką zowiecie.“ Tak to artysta pędzlem uświetnił jedną z najpiękniejszych postaci niewieścich w naszej historii, a uświetnił wymownie, gdyż i pędzel ma swoją wymowę, co porywa i podbija, przekonywa i każe się kochać.

W tych rysach Jagiełłońskich, pełnych klasycznej harmonii i delikatności pańskiej, ileż on nie wlał miłości! tej miłości, co przechodząc przez wszystkie próby cierpienia, bolesnych zawodów, śmiertelnych obraz i krzywd, nigdy się nie wyczerpuje, nigdy nie daje sobie zaprzeczenia: bo ją ciągle podsyca wielkie źródło miłości Bożej! W twarzy przejrzystej, wycieńczonej, znać znękanie; ale z pełnego, pogodnego oka, patrzy dusza silna: bo zrezygnowana na wszystko, podniosła: bo myślami styka się z niebem, bo jak anioł niewinna. Tworzy ona kontrast z twarzą małżonka; ale ten kontrast nie jest bynajmniej wyszukany przez malarza, ażeby ję przymioty wydatnić, ale są to charaktery odrębne, jakie los łączy często w życiu, a jakie znalazły się w rzeczywistej historii tej pary.

Cóż powiemy o technice, co o wykonaniu? Oto, że jedno i drugie nie zostawia nic do życzenia. W każdym pędzla pociągu p. Simmlera znać ścisłość umiejętności i sumiennosc w oddaniu onej. Słowem kompozycya ta nietylko wolną jest od błędów, co nie jest jeszcze najwyższą zaletą utworu, ale ma te przymioty, które mu wyższą wartość nadają, jak: prostotę i naturalność w układzie figur i zgrupowaniu onych, wydatność i jasność pomysłu tłumaczącego się każdym rysem, grą fizyonomii, charakteru jēj, równie jak charakterem kostiumu; a nareszcie samą dramatycznością sceny, wyrażającj jakoby chwilę okropnego oczekiwania, lub rozstrzygnięcia losu nieszczęśliwěj rodziny. W obrazie tym głównie ściąga na siebie uwagę Katarzyna Jagielonka; bo też postać Katarzyny z chłopięciem jest najwznioślejszą częścią całości, nawet samą całością. Wszystko to nadało obrazowi tę piękną harmonię, która rodzi w patrzących tak miłe zadowolenie.

X.

Przypowieść wschodnia.

CZTERY OBOWIĄZKI.

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czią, przystąpi młodzian nieśmiały.
„Pomarli“ rzecze „rodzice moi,
Chciój mnie pocieszyć: czy więc ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?“

-- „O nie! zostały cztery — i wielkie
Do Boga wznosić modły za niemi;
Długi ich święcie spłacić na ziemi;
We czi zachować, co szanowali;
Strzedz od wypadku, co zbudowali.

R. Z.

MARYNIA.

I.

Było to w połowie Września 185. roku, Pora śliczna jak w jesieni zwykle bywa, a choć ściemniać się już zaczynało, można było łatwo jeszcze rozpoznać na obszernym Zacharowieckim dziedzińcu stary i nie według wszelkich reguł nowój architektury zbudowany dwór. Przed dworem piękne klomby,

dalej nowsza i gustowniejsza od dworu oficyna, od której ścieżką zwirem wysypaną, kroczył poważny i wcale już niemłody mężczyzna, widocznie obywatel — pan Marszałek nawet. Na dworskiej wspinałej wystawie czekała go niecierpliwie małżonka, także obywatelka i pani Marszałkowa.

— No cóż to? zapytał p. Marszałek, cóż to się stało iż wiedząc że jestem zajęty, i niemam czasu tracić na próżne rozmowy, dwa razy za mną przysyłałaś?

— Bo jest posłaniec z Ostapczyniec i spieszną odpowiedzi wymaga na list nad którym z Tobą chciałam się naradzić.

— Z Ostapczyniec? a więc Helena już wróciła? cóż... chce aby jej Marynię na dłuższą zostawić?

— Wróciła i Marynię za tydzień tu odeszle, ale chodź do mnie to Ci list pokażę.

I tak małżonkowie ci, on gniewny jeszcze że go z oficyn wywołano, ona zawsze spokojnie nawykła znosić ofuknienia męża, weszli do dużych sieni czyli przedpokoju, a otwierając drzwi na lewo i przeszedłszy kilka gustownie przybranych pokoi, weszli wreszcie do komnaty samej pani. Ta zamknawszy drzwi wchodowe, i przekonawszy się że w przyległym gabinecie też nikogo nie było, wzięła na biurku list i milcząc podała go mężowi.

— Czytaj sama a ja słuchać będę, bo wiesz że od lat tyłu ucząc się czytać charakteru Heleny, nigdy niemogłem dojść do tej perfekcyi.

Charakter p. Heleny Krzywińskiej, jak wszystkie prawie charaktery naszych dużo piszących Polek, nie był może zbyt foremny i czytelny, ale znowu nie tak hirolgiczny jak się to wydawało leniwemu i przywykłemu do usług żony Marszałkowi. Marszałkowa jednak ze zwykłym sobie w postępowaniu z mężem stoicyzmem, nic nieodpowiedziawszy, wyjęła pismo z koperty i głośno czytać zaczęła.

Kochani Braterstwo.

Przed trzema dniami wróciłam do domu. Marynia wasza zdrowa, i dobra, poczciwa jak zawsze. Ja także po swojemu, to jest ni zdrowa ni chora. Są bóle na które niema wód żadnych,

ani żadnych lekarzy! Bóg jeden tylko, wiara w Miłosierdzie jego i cierpliwość w znoszeniu ciężkiego krzyża. Ale pocóż siebie i was smucić? poco nowemi wspomnieniami budzić to co nie wróci, co już tylko dla Boga i cichych łez moich? Nic o swoim umarłem nic już z ludźmi niemającym wspólnego dziecięciu, ale o waszém żywém chcę tu z wami mówić.

Wracalam przez Warszawę, potem przez Wołyń gdzie u siostry nieboszczyka męża mojego, zabawiłam dłużej niż kiedykolwiek myślić mogłam, bo miesiąc cały. Co dzień wyjeżdżaliśmy, z dnia na dzień odwlekał się wyjazd i dla tego to ostatnie listy nasze z Krakowa jeszcze datowane. Przez ten czas, tak jakoś Bóg łaskawie zarządził, że to oczem nie miałam marzeć prawie, z Jego wolą i waszém kochani Braterstwo przyzwoleniem w rzeczywistość zamienić się może. Oleś siostrzeniec nieboszczyka Juliana, Oleś którego dzieckiem widywaliśmy u nas, jakby odgadując skryte życzenie moje, pokochał waszą Marynię, jest od niej kochany i czeka tylko waszego przyzwolenia. Czy mu prosić was o nią do Zacharówki pozwolicie przyjechać.

Kochani moi niewątpię, że jako rozsądni i zacni Rodzice, niebędziecie się związkowi temu sprzeciwiać, ja to tylko powiem, że od śmierci mojej Adelki w waszych dzieciach przyszłych spadkobierców moich widząc, o Olesiu dla jednej z córek waszych marzyłam. Podobała mu się Marynia, kto wie? może to nagroda za jój pocziwe dla mnie serce, a dla mnie wielka to pociecha. Bo tym sposobem i tym co po mnie należeć się będzie temu z dzieci waszych, które sobie obiorę i tym co z dożywocia po s. p. mężu powinno wrócić jego rodzinie, bez żadnego przymusu obdarzę dwoje tych wartych siebie dziełek: córkę brata mojego i syna ukochanej nieboszczyka Juliana siostry!

Wy drodzy moi nieważmiecie mi tego za złe. Rodzicom niewolno między dziećmi różnicy robić, ale ciotce prawa Boskie przynajmniej niezabronią tego, a i ludzkie pobłażliwemi będą. Sami duży macie majątek, po zamążpójściu Maryni, wyposażenie jój do mnie już należeć będzie, zostanie wam tylko Tadzio i Leonka. Tadzio mężczyzna dałby sobie radę i bez waszój pięknej Zacharówki, a Leonka taka ładna! z takim szczęściem do ludzi, że i z niewielkim posagiem rychło i dobrze za mąż ją wydacie!

Czekam waszój odpowiedzi, aby ją zaraz umyślnym niecierpliwemu Olesiowi przestać — a teraz obojga was i Leonkę najczulėj ściskam.

Wasza zawsze

Helena Krzywińska.

Marynia ręce wasze całuje... za tydzień odeszlę ją wam.

— No i cóż ty na to?

— No a cóż? odpowiedział Marszałek, nic niemam przeciw temu, partja ze wszech miar dobra.

— O tém się niemówi, ależ widzisz Helena jasno daje do zrozumienia, iż cały majątek tój skojarzonej przez nią parze chce oddać, krzywdząc tym sposobem resztę dzieci naszych.

— Hm! przy jój terażniejszym usposobieniu do nabożeństwa, jałmużn i t. d. to spokojniejszym będę jak jednemu z dzieci naszych odda wszystko, niżby miała Bóg wie jak i komu porozdawać.

— Bóg wie jak i komu? Helena jakkolwiek mantyczka tegoby niezrobiła, zanadto kocha rodzinę i dba o jój powodzenie. Niepojmuję tylko jak mogła wybrać Marynię. Miałam szłusznosc niechcieć tój podróży — dodała jakby sama do siebie mówiąc.

— To nietrzeba było pozwolić na to! Teraz gdy się rzecz stała przyjąc co Bóg zsyła i niewidzę nad czém się tu naradzać. Odpisz że dobrze i kwita.

Marszałkowi widocznie spieszo było do oficy gdzie mu interesującą przerwana z koniuszym rozmowę. Marszałkowa nieznacznie ruszyła ramionami, parę razy przeszła po pokoju.

— Więc odpiszesz sam?

— Nie, niemam czasu, odpisz w swoim i mojem imieniu. Wiesz że pisac nielubię!

Domawiając tych słów, był już za drzwiami i spieszniój niż przyszedł do oficy nazad podążył. Tam, prócz koniuszego zastał jeszcze dwóch leśniczych, ekonoma i kilku poberezników, z którymi tak do późna nie interesami gospodarskimi ale rozmową o koniach polowaniu i przyszłym Berdyczowskim jarmarku był zajęty iż kazał oświadczyć pani, że ani na herbatę ani na wieczerzę do dwo-

ru nie pójdzie; rozkazując prosto z kuchni dobrą porcję dla siebie przynieść.

Marszałkowa tymczasem długo po swym pokoju chodziła, zadzwoniła by świece podano; a zasiadłszy pisać, kilka nadpisanych ćwiartek papieru podarła, spaliła aż jedną wreszcie zapieczętowa-wszy, sama na dziedziniec Ostapczyńskiemu posłańcowi odniosła.

Potém, kazała podawać herbatę i poszła do jadalnej sali, gdzie zastała krzątające się koło stoła śliczne czarnookie osmnasto-letnie dziewczę, wesołe, dowcipne, figlarne jak wszystkie popsute dzieci. Leonka niepospolitęj była piękności, a przytém śmiała zbytnio może na swój wiek nawet. Nad wiek też przebiegła od razu zwykła poznawać co kto lubi. Marszałkowa też sama pod wielu innymi względami kobieta, tak się dała temu dziecięciu opanować, że niebyło u niej nad Leonkę.

Niepowiem już Marynia lecz i Tadzio nawet, najstarsze a ukochane Marszałkostwu dziecię, małe w matki sercu zajmował miejsce w porównaniu z tém w którém samowolnie panowała śliczna Leonka. Cicha Marynia, nieładna choć z miłym i rozumnym wyrazem twarzy, dobra ale bojaźliwa, powolna bo jęj od dzieciństwa żywą być niepozwolono, zaledwo znoszoną była. Dziwne zjawisko ale niestety! często u nas dające się widzieć, taka różnica dla dzieci w sercu nie potworu lecz kobiety i zacnej kobiety! Bo naprawdę, gdyby nie to w sercu matki chybienie niewytlómaczone niczém, Marszałkowa dobrą i więcéj niż pospolitą była kobietą.

Młoda, ładna i z zacnej ale niebogatej pochodząc rodziny, nie z miłości lecz z rady otaczających i własnego może wyrozumowania, poszła za p. Kajetana Modzyńskiego dzisiejszego Marszałka. Wielce to była niedobrana para i młoda p. Modzyńska podobno wkrótce spostrzegła że się omyliła. Lecz że już wszystko skończoném a przeto nieodwołalném było, usilnie starała się tę omyłkę przed najbliższymi nawet pokryć. Nietylko nigdy zacząć żoną być nieprzestała, ale czasem, nieznając jęj z blizka, można ją było nawet o czulsze niż miała dla p. Kajetana uczucie posądzić. Taką go otaczała pieczołowitością, staraniem, tak pokornie znosiła wszystkie jego kaprysy! Wprawdzie... był to jedyny klucz do rządzenia p. Marszałkiem. Ale bądź co bądź i im obojgu dobrze z tym było i ludzie najzłośliwsi nic przeciw temu powiedzieć niemogli i niemówili.

Niedłgie były pp. Modzyńskich miodowe miesiące, p. Kajetan wrócił wkrótce do dawnego kawalerskiego życia: jadł, pił, na jarmarki i polowania jeździł. Potém, postarawszy się trochę, i zro-

biwszy sobie siłą uścisków i obiadów nie tylko w powiecie lecz i w gubernii popularność, w tydzień prawie kompromisa sądził. Jedyna rzecz którą się w domu zajmował było piękne stado jedna z większych, jego słabości. O dom gospodarstwo i dzieci najzupełniej się nietroszczył, może przez wrodzone w sobie do tój gałęzi życia ludzkiego lenistwo, może przez pewność, że to czém się żona jego zajmie, to już jego oka potrzebować niemoże.

Rzeczywiście, wszystko szło dobrze. Majątku jeżeli nieprzybywało to przynajmniej niewiele było długów, bo choć sam pan nieogłędnie czasem tracił, pani oszczędnością swoją i skrętnością wszystko starała się poprawić. Edukacja dzieci szła najdoskonalej, a mając nauczycieli i nauczycielki i tём Marszałkowa głównie rozrządzała. W chwili gdy opis ten zaczynamy ostatnia ta a wielka dla matki praca, prawie ukończoną była. Tadeusz najstarszy syn od dwóch lat był już w uniwersytecie Kijowskim, a Marynia dziecioletnia i osmioletnia Leonka od roku skończyły nauki.

II.

W tydzień po rozmowie małżonków której świadkami byliśmy, Marynia wróciła do rodziców. Nieodwiozła jój ciotka gdyż była chora i zbyt zmęczona podróżą, lecz odesłała ją z daleką mieszkającą przy sobie krewną, niemłodą panną Anastazją Fachlińską.

Marszałek tylko co z powrotu po tygodniowym jarmarku, spiszący nazajutrz na również długi kompromis, pół czule, pół obojętnie przywitał córkę, pomówienie z nią o tём co p. Krzywińska pisała, żonie zostawując. Ta nie tylko obojętnie lecz nawet niechętnie przyjęła i tak już onieśmieloną dziewczynę. Leonka uściskała siostrę wesoło ale także tak jakby ją nie pić miesięcy, lecz wczoraj zaledwo widziała. Cicha Marynia czy rozczulona serdeczném kilkomiesięczném towarzystwém ciotki, czyli tём spodziewająca się jakiej burzy, wyglądała jak baranek, ofiarny spokojnie choć nie bez obawy oczekując stanowczej chwili. Widoczném było że prócz Marszałkostwa nikt, nawet Leonka nie wiedziała o zrodzonej w podróży miłości, a gdy wiedząca wszystko p. Anastazja w ciągu wieczoru coś o tём nieznacznie wspomniała p. Marszałkowej, ta, zbyła ją ni

tém ni owém, udając że nie pojęła do czego zmierza. Marynia przywiozła rodzicom i siostrze upominki... przyjęto je chłodno i wiecór cały dziwnie jakoś przeszedł dla obydwóch przybyłych. Marynia choć niemogła się spodziewać nadzwyczaj czulego przyjęcia nie rozumiała czém mogła zasłużyć sobie na większą niż zwykle obojętność. P. Anastazja znająca doskonale stosunki całej téj rodziny, niemniej uwiadomiona o nowo gotujących się wypadkach, dziwnie i ciekawie na wszystkich szczególnie na Marszałkową spoglądała. A ze zwykłą sobie ciekawością, starała się odgadnąć zarazem wątek i koniec, treść zawczasu we własnej snując głowie.

Wieczorem, gdy się rozejść miano, Marszałkowa wezwała Marynię do siebie i po takichże ostrożnościach jakie widzieliśmy przed rozmową z mężem, znowu przekonawszy się że nikt niemoże słów jéj słyszeć, tak odezwała się do zatrwożonej dziewczyny.

— Czytała ci zapewne ciotka odpowiedź moją na jéj odezwę, a że z powodu obowiązków jakie mamy dla siostry i chęci nie narażania jéj sobie, niemogłam jéj wypowiedzieć jasno co i jak myślimy, tobie to wszystko, zaraz na wstępie chcę wytłomaczyć. Dziewczyna w twoim wieku nawet pod okiem i opieką ciotki, nawet za jéj namową i zezwoleniem, nietylko żadnych oświadczeń przyjąć niéma prawa, ale nawet na żadne niarzenia pozwolić sobie niepowinna. Z kąd ci ta śmiałość przyszła? niewiem, tym mniej wiem z kąd taka łatwowierność w uczucie młodego i jak mówią pięknego i światowego młodzieńca. W przeciągu miesiąca zaledwo już mu uwierzyłaś i wzajemnością się odplacając wyznałaś że już tylko naszego przyzwolenia brakuje. Jeżeli ciotka podsunęła ci tę myśl, toście się obie bardzo omyliły, i gdyby nie obawa obrażenia siostry, na nic niezważając byłabym odrazu odmówiła. Niechcąc jéj sobie narażać, odpisałam tylko że owego p. Alexandra nieznamy, że wierzymy iż jest takim jakim go ona widzi, ale że za nim go przyjmujemy, chcielibyśmy go poznać osobiście, i choćby dla ochrony naszej rodzicielskiej miłości własnej, własnemi oczyma ocenić. Rozumiem tedy że jeżeliś miała niedorzeczność dawać mu jakąś nadzieję, ta odtąd o tyle będzie ważną, o ile my poznawszy tego pana ją uważamy. Zanim to nastąpi, potrzeba czasu a że jak widzę gotowaś bez taktu postępować, od dziś zapowiadam, aby o tym całym waszym projekcie, równie też jak i o tych tam uczuciach, nikt niewiedział. Mówiąc nikt, zaliczam do tego i Leonkę, niech ona przynajmniej niewie że można mając rodziców samowolnie sobą rozporządzać.

Po tych słowach, matka podała córce rękę do pocałowania i kazała iść spać. Marynia jakby przebita tą rozmową, poszła do siebie. Zastała siostrę już śpiącą, nierozbierając się rzuciła się na swoje łóżeczko i tam długo, długo w noc płakała, a nadedniem gdy zasnęła, takie ją jakieś sny dręczyły, jakby każda sylłaba z ust matki wyszła całą jej przyszłość potargać miała.

Nazajutrz śladu nawet niebyło że po kilkomiesięcznej niebytności, niedaléj jak wczoraj dziecię pod dach rodzicielski wróciło. Marszałek pojechał na kompromis, Marszałkowa zajęła się gospodarstwem. P. Anastazja odjechała do Ostapczyniec. Leonka tylko ciekawa szczegółów podróży za granicą, ciekawie siostrę o wszystko badała.

A gdy przepatrując przywiezione przez nią fotografie pokazała na jedną pytając kto to? wtedy Marynia poczerwieniała najpierw, pobladła później i lakonicznie odpowiedziała:

— To siostrzeniec nieboszczyka wuja Krzywińskiego, Alexander Wolicki.

Leonka, nadto roztrzepana by cokolwiek uważać, niespostrzegła nawet wzruszenia siostry, a powiedziawszy patrząc na fotografię, ładny chłopiec, daléj resztę z ciekawości przerzucała.

III.

Tymczasem p. Anastazja Fachlińska, tak rychło w Zacharówce pożegnana, po popasie w maleńkiej wśród drogi znajdującej się mieścinie, dojeżdżała do Ostapczyniec.

Śliczna to była wioska te Ostapczynce! każde najmniejsze włościńskie zabudowanie o zamożności włościń i porządku właścicielki świadczyło, a cóż dopiero gdy się w zabudowania dworskie wjechało!

Tam, wszystko nietylko porządkiem i zamożnością tchnęło, lecz niemniej było urządzone z elegancją i pewnym przepychem nawet. Sam dwór, rodzaj pałacyku, prawdziwe cacko wśród pięknego bardzo ogrodu, kaplica w ogrodzie niewielka ale śliczna... a nadewszystko droga dla właścicielki, bo zawierająca w sobie szczęście i żal całego jej życia, zwłoki ukochanego męża i córki jedynéj.

P. Anastazja w przedpokoju dowiedziawszy się od służby że pani była dnia tego przy to nawet w łóżku leżała, z powodu téj wiadomości, zaniedbawszy zwykłym sobie zyczajem do garderoby pospieszyć i tam o wszystkie szczegóły swéj niebytności wypytać, prosto podążyła do pokoju p. Krzywińskiej.

Zastała ją tak jak jéj powiedziano w łóżku i więcéj osłabioną niż zwykle, a na zapytanie — czy pani gorzej się czuje? słabym głosem odebrała odpowiedź.

— Nie droga moja, to nic, był tu dzisiaj wikary z Żabina, miał Mszę Śtą w kaplicy, trochę się spłakałam; a może mi trochę tęskno za Marynią. To nic, to przejdzie. Cóż dobrze dojechałyście? zastałyście w domu Kajetanowstwa, czy zdrowi?

— Wszyscy tam zdrowi tylko czegoś w niebardzo świątecznym humorze.

I panna Anastazja widocznie z Zachorowieckich mieszkańców niezadowolona, chciała szeroco rozwodzić się nad tém co widziała i co ztąd przypuszczać mogła, ale p. Krzewińska zapewne chcąc tego uniknąć, przerwała jéj.

— Musiało ci się coś przywidzieć. Zresztą cóż dziwnego? każdy ma swoje dolegliwości. Kajetan miał może ważne jakie zajęcia w sąsiedztwie lub gdzie nawet dalej jakto on zawsze. A Konstancja niewątpliwie jakieś kłopoty gospodarskie, o których i ja już wiem teraz jak czasem dokuczają! A Marynia cóż... kontenta że do domu wróciła?

— Marynia? Ach czyż pani niewiedziała jakie gorzkie lzy tłumiała ztąd wyjeżdżając? Płakała całą drogę, przyjechawszy cały wieczór jak nieswoja była. A nazajutrz jakem się z nią żegnać przyszła, taką zastałam ją bladą, pomieszaną, jakby ją nie uściskiem i radością ale połajaniem w domu przyjęto. Wprawdzie... niewiele tam było uścisków... nie wielka radość... a o połajaniu zaś mi napomniała służąca p. Marszałkowej, mówiąc jakoby gdyśmy się rozeszli p. Marszałkowa Marynię zawołała do siebie i wkrótce potem zapłakanéj odejść kazała.

— I to ci się przywidziało, a służąca coś skłamać lub dodać musiała jakto one zawsze umieją. Marynia poczciwa przywiązała się do mnie, moje zbolałe serce więcéj odpowiada jéj zbytnio może czulemu serduszku; wiedziała że mi za nią tęskno będzie i dla tego płakała i smutną była. A żeś niewiedziała pieszczot wielkich i to niepowinno cię dziwić. Są najzacniejsi ludzie nieumiejący się na nie zdobyć. S. p. mąż mój niewątpisz że kochał Adelkę, a czy wi-

działał aby ją pieścił kiedy jak inni ojcowie? Tak i Konstancja, i Kajetan także.

P. Anastazja chciała coś odpowiedzieć na to i w dalsze wdać się opowiadania, lecz widząc że niezbyt dobrze będzie przyjęta, wolała pójść do siebie, a później obejść przez dwa dni niewidziane gospodarstwo którym w Ostapczyńcach gorliwie się zajmowała.

P. Krzywińska godzin kilka myślała nadtem co jęj skwapliwie stara panna doniosła i nadtem może czego jęj donieść nie dała, a wśród tego rozmyślania twarz jęj smutniejszą jeszcze niż zwykle barwę przybrała.

Czém była p. Krzywińska? Szczególną bardzo kobietą! szczególnie na czas w którym się rodziła i na towarzystwo w którym od dzieciństwa do dziś żyła. Siostra rodzona p. Kajetana Wodzyńskiego, córka przeto takiego jak i on Marszałka i pocziwój sobie, ale prostej jak to dawniej bywało Marszałkowej, pozornie kształcona przez sprowadzoną z Paryża guwernantkę, widująca samych tylko Marszałkowstwa, Sędziostwa i Deputatostwa i paplające po francuzku ich córki. Wśród odrębnej tęg że się tak wyrażę kasty, cudem jakimś, dziwną łaską Bożą, od najmłodszych lat całkiem różną od nich była. Nadzwyczajne to było zjawisko, raz jeszcze powtarzam łaska Boża, której narzędziem było zapewne częścią same młodej Heleny serce, częścią wpływ i rady świętobliwego X. Piotra Lewińskiego, proboszcza parafii w której niegdyś mieszkali starzy pp. Wodzyńscy. Wyższość moralna i umysłowa panny Heleny, choć jęj nikt w okolicy ocenić nieumiał, dawała się przeczuć każdemu, a gdy panna doszła lat dwudziestu, nikt się niedziwił że zrobiła jedną z pierwszych Podolskich partyi. Dobrane i szczęśliwe małżeństwo kochające się nad wyraz, żyło lat kilkanaście otoczone szacunkiem ogólnym i miłością domowników i poddanych. Mieli jedyne dziecię, córkę śliczną, która kształcona przez matkę byłaby doskonałością prawdziwą i dla tego Bóg pozazdrościł ją światu. Adelka niemając lat szesnastu, prawdziwy aniołek z Nieba, do prawdziwej swojej ojczyzny wróciła.

Dobra, pobożna w szczęściu p. Krzywińska, w oczywistym blasku swęj cnoty w nieszczęściu dopiero się okazała. Choć nieprzywykła cierpieć jednakże mężnie cierpiała! A boleść jęj niewidzialną prawie dla obojętnych, za ledwo po bladej twarzy i cicho ukradkiem otartęj łzie poznać było można. Jakże pocieszała, jak podtrzymywała słabszego od siebie męża! A gdy p. Krzywiński złamany tą pierwszą a ciężką w dotąd tak szczęśliwem życiu boleścią, znieść jęj niemogąc, w rok niespełna za jędynaczką pospieszył,

biedna wdowa jego wtedy dopiero zdawała się upadać. Przez kilka miesięcy wątpiono o jęj życiu, lecz tam gdzie strona moralna silna i zdrowie choćby niezbyt tęgie niełatwo upada. Znękana, skolatana temi ciężkimi stratami p. Krzywińska odżyła dla sierot i poddanych, którym odtąd więcej jeszcze niż dotąd prawdziwą była Matką.

Za życia córki i męża jakkolwiek starannie utrzymując stosunki ze swoją rodziną, więcej liczyła się do mężowskich krewnych, szczególnie czule jak rodzoną siostrę kochała p. Wolicką. Zona Wołyniaka, wkrótce po zamążpójściu matka i wdowa i zajęta jedynym synkiem i licznymi interesami, rzadko kiedy bratową odwiedzać mogła. Lecz była to zacna choć inna i słabsza od P. Krzywińskiej dusza, niemogąc się często widywać pisywały do siebie jak najczęściej i jak się zdaje, za życia Adelki, obie matki były tam coś ułożyły między sobą względem dwojga swych jedynaków. A gdy Bóg odebrał Olesiovi mało jeszcze znaną narzeczoną, zostawił mu dwie czule i do zbytku go kochające matki. Więcej tedy p. Krzywińska węzłów łączyło z rodziną nieboszczyka męża, lecz zanadto była sprawiedliwą i dobrą, by się od swojej odsunąć zupełnie, szczęśliwa że od niejakiego czasu, oboje państwo Marszałkowstwo, sama pani mianowicie, dawali jęj tak wiele dowodów przywiązania i współczucia! „Nie—powiedziała wkrótce święta ta dusza, byłam niesprawiedliwą względem Konstancji, wyrzucam sobie dawne moje uprzedzenie, to dobra i zacna kobieta, a Kajetan taki z nią szczęśliwy! Nie wszystkim Bóg daje jedne usposobienia, nie wszyscy jednymi drogami do chwały jego dążą, a jak tylko wypełniają swe obowiązki i cieniu zgorzenia niedają, czyż to nie dosyć dla nas ludzi przynajmniej?“ Niższosc brata jasno pojmowała i tym więcej czuła się obowiązana dla pokrywającej ją bratowej. Jedną ją rzecz razić nieprzestawała, a to wielka różnica jaką pp. Marszałkostwo, sama pani szczególnie między dziećmi robiła, i obojętną będąc dla zarozumiałego i wietrznego Tadzia, niedając się olśnić nęcącym zaletom ulubionej w domu Leonki, najwidoczniej przywizała się do nielubionej Maryni i za towarzyszkę wybrała; a p. Marszałkowa nieprzywidując zapewne skutków tęj podróży, po krótkim wahaniu się pozwoliła Maryni ciotce towarzyszyć.

Z listu p. Krzywińskiej widzieliśmy co się potem stało i jak wiadomość o tęp nielaskawie w Zacharówce przyjętą została.

Tak więc nieladna, skromna Marynia, miałaby zostać jedyną sukcesorką bogatęj ciotki i żoną pięknego kawalera, syna jednęj z bogatszych i zacniejszych Wołyńskich rodzin? A Leonka dla któ-

rój matka Bóg wie jak świetne śniła rojenia, świetna i piękna Leonka, tylko dziedziczką czternastej części nie bez długów ojcowskiego majątku? Nie, to niewchodziło w plany wszystko rozumem rozbierającej Marszałkowej! Odpisała więc do siostry grzecznie, czule nawet, nie odmówiła ani też dała żadanego słowa, wszystko składając na obawę związania pospiesznego, młodego i zbytnio może wrażliwego Maryni serca, prosiła o czas... słowem tak wszystko obróciła, że p. Krzywińska uwierzyła naprawdę, że rzecz cała w tém tylko, iż Marszałkowstwo trochę obrażeni iż córka bez ich wiedzy pokochała i że siostra uważała się w prawie upoważnić to uczucie. Co prędzej tedy napisała do p. Wolickiej szczerze wypowiadając jej swe myśli i upraszając, aby Oleś jak najrychlej do niej przybywał i ztamtąd jechał do Zachorówki, nie jako już narzeczony, lecz jeszcze jako starający się o Marynię kawaler.

Niewątpiąc że wszystko według tak dobrze przez nią ułożonego planu pójdzie, niecierpliwie czekała przybycia siostrzana, a choć ją przywiezione przez p. Anastazję wieści, sama niewiedziała czego, niepokoily, wszystkie złe myśli co prędzej odpędzała, rozbierając ulubione swe marzenie i zawczasu układając jak dwoje tych przez nią ukochanych dzieci szczęśliwymi będą! Jaką dobrą panią po sobie zostawi ulubionym swoim Ostapczyńskim poddanym.

IV.

Niespełna we trzy tygodnie po przybyciu Maryni do Rodziców i powrocie p. Anastazji do Ostapczyńiec, pewnym wieczorem, gdy cały dwór Ostapczyńiecki do spoczynku zamyślał się udawać, a część jego katolicka pod przewodnictwem samej pani, po modlitwie wieczornej z kaplicy wracała, piękny kawalerski powóz czterema pocztowymi końmi wieziony, zatrzymał się u ganku i wyskoczył zeń śliczny, i słuszny, dwudziestokilkoletni blondyn. Zaledwo p. Krzywińska miała czas wykrzyknąć: „Oleś!“ siostrzeniec był już koło niej i całował ukochanej wujenki ręce.

— A jakżeż długo czekałam na ciebie dziecko drogie! aż mi straszno było myśląc, co to ci w tej podróży przeszkodzić mogło?

— To nie wujenka kochana, darmo się wujenka niepokoiła. Już też gdybym miał jakie powody do dłuższego opóźniania przybycia na Podole, tobym o tém dać znać nieomieszkał.

Ale oto rzecz cała: Mama, gdyśmy odprowadzali wujenkę do Dubna, trochę się przeziębiła i kilkanaście dni niezdrową była. Potém w gwałtownym a nie swoim interesie byłem do Żytomierza wezwany, z kądem zaledwo wróciwszy onegdaj, byłem już w drodze. Dzień i noc jechałem, toż spieszno mi być musiało!

— A no! o tém niewątpię, uśmiechając się odrzekła p. Krzywińska, i co prędzej kazawszy przygotować dla panien wieczerzę poszła z nim do swego pokoju.

Tam, usiadłszy na fotelu, drugi wskazawszy p. Alexandrowi, pomimo woli prawie podniosła oczy na olejny nad biurkiem wiszący swój jedynaczki portret. Ciężko westchnęła, łza jedna i druga po wybladłych policzkach szybko się potoczyła, widać dawne marzenia, dawne układy przyszły jej na myśl. Lecz wkrótce, wzrok zwróciła na stojący obok łózka ołtarzyk; na nim był duży czarny hebanowy krucyfiks, z pięknie rzeźbionym srebrnym Zbawicielem, a obok cudnego malowidła, niegdyś z Włoch przywieziona Matka Bolesna. Czy widok ten przypomniawszy największą na świecie gdyż Boską i ludzką zarazem boleść, dodał sił biednej matce, czy pokrzepił ją krótką wewnętrzną modlitwą? niewiem, lecz w jednej chwili dawny spokój i uśmiech nawet powrócił.

— Cóż! powiedzić ci co o Zachorówce może, nieprawdaż ładny mój chłopcze?

— Zapewne wujenka, ale najpierw dla czego panny Maryi niéma tutaj, spodziewałam się ją zastać?

— Domyśliłam się tego od razu po twojem staranném ubraniu... Tych włosów tak ładnie ułożonych, ani tych pięknych wąsików, stara wujenka na chwilę nawet dla siebie niewzięła. Ale zawiodłeś się mój chłopcze. Marynia w tydzień po naszym powrocie odjechała do Rodziców, gdzie jak to wam pisałam trochę krzywem okiem projekta nasze przyjęto. Trochęśmy się pośpieszyli, bratowa moja szczególnie, bardzo prawa kobieta, a przeto mająca prawo być surową w przestrzeganiu wszystkich obowiązków, choć mi tego otwarcie niepowiedziała, niekontenta żeśmy się bez niej rozporządzili. Ale to nic, rzecz w gruncie wcale niezachwiana, bo wiem że się im to nawet bardzo podoba. Potrzeba tylko form dopełnić kiedy tego wymagają koniecznie. Niéma się czego obawiać, a jeżeli cię mój list nabawił tym niepokojem którego ja sama nawet niewiem czemu w początku doznałam i mogłam go wam też zakomunikować, to się

uspokój teraz. Niedalój jak kilka dni temu byli u mnie oboje Kajetanostwo z córkami. Marynia zdrowa choć trochę smutna, onegdaj odjechała z ojcem do Zachorówki, a Konstancja z Leonką pojechały o parę mil ztąd do krewnych naszych. Jutro będą tędy wracać, jeżeli więc zaraz niezobaczysz narzeczoną, to poznasz wkrótce matkę jej i siostrę, a potem pospieszysz tam gdzie cię serce ciągnie.

Podano wieczerzę, p. Alexander z młodzieńczym apetytem zjadł ją smacznie i długo jeszcze i wesoło rozmawiał, aż późno spostrzegłszy że ciotka zbyt już zmęczona, udał się do przygotowanych dla siebie pokoi.

Nazajutrz, zaledwo wujenka z siostrzeńcem siedli do objadu, przyjechała p. Marszałkowa z Leonką. Matka zaraz w ładnym chłopcu domyśliła się pretendenta starszej córki, Leonka lekko pokraśniała poznawszy orginal widzianej u siostry fotografii. Po rekomendacji, zaczęła się rozmowa. P. Wodzyńska starała się pokazać że prócz chęci dopełnienia form nic przeciw projektom siostry nie miała. P. Alexander usiłował podbijać przyszłej matki względy, a jako Wołyniak nieobojętny dla ładnych czarnych oczek i siostrzyczce nadskakiwał. A dobra wujenka z boku przypatrując się temu, cieszyła się że jej planom przeszkodzić niemoże.

Na drugi dzień, pani Marszałkowa wstała z silnym bólem głowy, pomimo to, koniecznie wyjeżdżać chciała, tak że ją zaledwo uprzejma i troskliwa siostra zatrzymać zdołała. Nazajutrz była to znowu rocznica śmierci P. Krzywińskiego, Marszałkowa czuła się w obowiązku w dniu tym nieopuszczać siostry. Potém powóz się złamał, czy koń zachorował, czy furman się upił, czy niewiem już wreszcie co, ale okazało się jakieś nowe niepodobieństwo wyjazdu, i goście Ostapczyńce opuścili dopiero po kilkodniowym pobycie. Pan Alexander otrzymał uprzejme zaprosiny, zaraz nazajutrz przyrzekł stawić się w Zachorówce i karéta p. Marszałkowej szybko potoczyła się, unosząc dziwnie jakoś kontentą choć nieco niespokojną matkę i nietyle już co przedtym wesołą Leonkę.

Ni matka ni córka całą drogę słowa do siebie nierzekły, na popasie nic prawie nie jadły, a gdy wieczorem powóz zatrzymał się przed Zachorowiecką wystawą, bardzo się zdziwiły że podróż tak krótko trwała.

Błada, lękliwa jak zawsze Marynia, wybiegła na ich spotkanie, p. Marszałkowa czegoś się zmięszała i czulój niż zwykle do macierzyńskiej piersi przycisnęła córkę, Leonka także serdeczniej niż kiedy siostrę uściskała. Z kąd ta czułość matki? może wyrzut su-

mienia! Z kąd ta serdeczność siostry? Ach! czyż niewiecie ludzie że są chwile w których serce najzimniejsze tak pełne uczucia, że się ono wylewa pomimowoli na dotąd najobojętniejsze istoty, na duszy nawet!

Po wieczerzy, gdy siostry poszły do siebie, Leonka poprosiła Marynię o pokazanie fotografii p. Alexandra.

— Na co ci ona? czerwieniąc się zapytała Marynia.

— Chcę porównać z oryginałem, odrzekła Leonka.

Marynia więc jeszcze pokraśniała.

— Jakto z oryginałem?

— No tak, widziałam go w Ostapczyńcach, jest u cioci od kilku dni i jutro tu przyjedzie. Alboż niemówiłam ci tego zaraz przyjechawszy? I to mówiąc nieco się zmięszała.

Marynia zadrzała, pobladła i aby ukryć swe pomieszanie, udała że szuka czegoś w szufladzie.

— Ale nie tam, nie tam, wołała niecierpliwie Leonka, daj ja sama znajde. I wyjąwszy z rąk obozwładniałej prawie siostry, srebrny kluczyk, otworzyła nim małą hebanową szkatułkę i chwyciwszy fotografię pilnie jej przypatrywać się zaczęła. W szkatułce był jeszcze zeschnięty małeńki kwiatek, znać także pamiątka z podróży przywieziona, lecz tego Leonka fotografią zajęta niespostrzegła nawet i to.... zostało Maryni?

— Podobny, ale on ładniejszy, o daleko ładniejszy! moja Maryniu, czemu ty nigdy niemówiłaś mi że on taki ładny? No czemuż mów?

— Ależ moja Leonko.... cóż ja tobie mówić miałam.

— Co? a wiesz żeś zabawna! Przeszło cały miesiąc z nim była, odprowadzał ich do Dubna i nic o niem powiedzieć nie umi! Chyba piękniejszego Niemca gdzieś u wód widziałaś? Ah nie! Tobys przynajmniej o Niemcu mówiła, a to nie, mówiłaś tylko jak jaki wierszokleta o piękności widzianych krajobrazów, jak profesor historii o starożytnościach Krakowa, jak kronikarz gazeciarski o dziwactwie Anglików u wód spotykanych. A o p. Alexandrze nic! No! to mnie posłuchaj.

I w ślad za temi słowy, jak grad posypały się inne, bez liku, a każde jak szpilka nowa w serce Maryni się wciskało. Po długiej godzinie wiedziała już Marynia najdrobniejsze szczegóły poznania Leonki z Alexandrem, już razy kilka miała sobie powtórzone każde jego powiedzenie. Czy tegoż wieczora dowiedziała się także o stanie serca siostry? Być może—choć z dziecinną jeszcze najwnością po sobie drugich sądząc, niepojmowała takiego rodzaju miłości.

Gdy wreszcie Leonka skończywszy swe długie opowiadanie jak szalona rzuciła się na szyję siostry i na dobranoc ścisnąć ją poczęła, wówczas dopiero spostrzegła bladość Maryni, przelekło ją jój drzenie.

— Co tobie? czego ty drzysz cała, czyś chora?

— Niewiem, długo dziś byłam w ogrodzie, a febry panują, to febra zapewne.

— Ej nie! katar może! rozbierz się, połóż się w łóżko, zasniesz smacznie to i przejdzie. Tylko moja pani, proszę tam mamie o tém com ci opowiadała nie mówić. Miałaś porę, a że z niej niekorzystałaś, nie moja wina. Teraz Oleś mój! Wszak prawda? dodała obracając się do wchodzącej służącej, ale rychło pojmując całą niestosowność téj konfidencji pokryła ją zapytaniem.

— A tobie jak się podoba p. Wolicki?

— A cóż proszę pani, bardzo przystojny mężczyzna, a jakeśmy odjeżdżały, tak długo za p. Leontyną patrzałam... o! ja to dobrze widziałam.

— Słyszysz Maryniu, Julka mówi że patrzył za nami jakeśmy odjeżdżały, słyszysz?

Ale Marynia, obok łóżka ukląkłszy, głowę w dłonie schowawszy, tak zdawała się w modlitwie pogrążona, że już tych ostatnich słów niesłyszała wcale. Leonka gwarzyła jeszcze ze służącą, rozbierała się powoli, parę razy w lustro zajrzała, zadysponowała ładną na jutro suknię i krótko się pomodliwszy, prędko zasnęła.

Marynia długo klęczała. Czy była to modlitwa? czy rozmyślanie jakie? może jedno i drugie, to tylko pewno że oko jój było suche, ni śladu łezki powstała, jedno ale silne, ciężkie westchnienie. Potém cicho sama się rozebrała i poszła do łóżka, tylko niezasnęła jak jój to siostra radziła. Nazajutrz większa niż zazwyczaj bladość i duże pod oczami sińce, aż nadto o bezsenności świadczyły. Spostrzegła to matka gdy córki rano na śniadanie przyszły, ale niczém nie dawszy poznać że to widzi, równie tylko jak wczoraj łaskawiej starszą córkę traktowała.

Na obiad jak zawsze obie panny poszły się przebrać, Leonka przewdziała wczoraj zadysponowany ubiór i dobrze trafiła gdyż była ładniejszą jeszcze niż zwykle. Marynia, zwyczajną codzienną wzięła suknię, tylko inną wstążkę przypięła do kołnierzyka.

Nikt na to uwagi niezwrócił gdyż zwykła jój wstążka zbyt już była zmiętą i siostra tedy i służąca zmianę za naturalną uważały, czy tak było w istocie? zapewne, ale i to pewnie oczem ani

Leonka ani służąca niewiedziały, że nowa wstążka była właśnie ta którą Marynia w Dubnie z Alexandrem wybierała.

Po obiedzie przybyło kilka osób, jakaś sasiadka pani Deputatowa z córką i kilku panów wielbicieli Marszałka, których on najuprzejmiej przyjmował bo sławę jego obywatelską wszędzie głosili, a pani zносиła bo mąż tak chciał, a wiemy już że w takich niewielkich rzeczach dogadzając Marszałkowi, był to najlepszy i jedyny sposób robienia w większych co sama Marszałkowa chciała.

Całe to towarzystwo zebrane i gwarzące jak to u nas najczęściej bywa o plotkach sąsiedzkich, o wydatku zboża i t. d. zastał p. Alexander. Za wejściem jego pobladła Marynia, pokraśniała Leonka, mile się uśmiechnęła Marszałkowa, pompatycznie ku gościowi posunął Marszałek. Zblednienia Maryni nikt nie uważał gdyż Marynia najczęściej bładzą była. Rumieniec swój Leonka dość zgrabnie sama pokryła spiesząc z ziemi podnieść chustkę Deputatowej. Pani Marszałkowa zawsze gości miłym witała uśmiechem, ale Marszałka większa jeszcze niż zwykle uprzejmość, zawczasu panów sąsiadów dobrze dla nowego gościa usposobiła.

— Poznaje p. Marszałek?

— A jakżeż! a jakżeż! wprawdzie żona zapowiedziała mi pańską wizytę, bez tego kto wie? możebym i niepoznał. Wszak to już lat ze dwanaście gdy pana u siostry mojej widział. Obracając się do gości dodał — p. Alexander Wolicki siostrzeniec nieboszczyka szwagra mojego, moi sąsiedzi i przyjaciele (i tu Marszałek wymienił nazwiska i tytuły tych panów).

Potem Alexander zbliżył się do Marszałkowej, później pomieszany, jakby niewiedząc już, czy jeszcze od której zacząć obie panny jednym przyjętą ukłonem.

Wkrótce potem, p. Wolicki w Zachorówce był już jak u siebie, uprzejmości Marszałka pozbył się prosząc aby go jako siostrzeńca swjej siostry za krewnego uważając nie robił sobie z nim ceremonii żadnej i niezważając na jego obecność w niczem trybu życia niezmieniał. Z Leonką śmiał się swawolił, o swych podróżach i Wołyniu przyjemnie rozprawiał. Marszałkowa coraz weseliej się uśmiechała, dla Maryni coraz łaskawszą była, lecz ta pomimo to coraz jaśniej i ciemniej zarazem w przyszłość patrzała.

Czy p. Alexander kochał kiedy Marynię? By tę trudną zagadkę pokusić się odgadnąć, trzeba najpierw poznać czem był rzeczywiście p. Alexander. Był to sobie najlepszy w świecie chłopiec, jednak tylko, jednak wprawdzie przez złą wychowaną kobietę, ale przez kobietę, a przeto mający wszystkie wady dobrych lecz

pieszczonych jedynaków. Sprytny z natury choć się niewiele i niezbyt gruntownie uczył, później w świecie nieraził nieuctwem wielkiem, to czego mu brakło, jak mogąc sztukując.

Był pięknym, wiedział o tém i prócz matki i lustra niejedna kobieta już mu to powiedziała jeżeli nie słowy to wzrokiem, a czasem i jednym i drugim. Nim poznał Marynię, niekochał jeszcze nigdy prawdziwie, a jeżeli kiedy pobudzony zalotném jakim wejrzaniem powzdychał trochę do pięknej jakiej Basi, pomarzył o niej, za przybyciem wujenki z młodą towarzyszką, o wszystkich tych marzeniach prędko zapominał. Miła, wyrazista choć nie piękna twarz Maryni, jój przyjemne obejście się i niepospolite wykształcenie od razu panicza zajęły. A pochwała matki i otwarcie objawione jój p. Krzywińskiego życzenia prędzéj niż nakazywał rozsądek spowodowały wspólne uczucie wyznania. Marynia nieśmiała, zahukana w domu, w podróży odzyskała wesołość, właściwą wiekowi swemu swobody. Ktoby z sąsiedztwa Zachorówki zobaczył ją u wód z ciotką a więcéj jeszcze na Wołoni u p. Wolickiej, śmiało z całym zaufaniem grzeczności p. Alexandra przyjmującą, ten pewnoby niepoznał cichéj Zachorowieckiej Maryni. Czemuż p. Alexander nie zastał jój w Ostapczyńcach? Czemuż pierwéj niż ją powitał zaszła mu drogę Marszałkowa z biegłością wielkiego strategika plan swój kartująca? czemuż poznał na wstępie sliczną powabną Leonkę? czemuż wreszcie podobał się temu ukochanemu przez matkę dziewczęciu?

Te właśnie pytania, po dwu tygodniowém pobyciu w Zachorówce, późno w noc do swego pokoju przyszedłszy, walcząc już nie z sercem ale z sumieniem, zadawał sobie p. Alexander. Długo milczał aż nakoniec słowa: „Bóg tak chciał“ wyszły z ust jego. Zapewne była w tém wola Boża bo gdzież i kiedy jój niema, ale czy w tém nie było także i p. Alexandra winy?

W téjże saméj chwili, Marynia obiema rękami o stół oparta, także o tém wszystkim myślała. i ona téż milczała długo i jój usta także w końcu cichutko wyrzekły! „Bóg tak chciał“ Ale p. Alexander używszy tych słów jako zwyczajnéj uspokajającej formuły, zaczął potem nucić przed chwilą śpiewaną z Leonką piosnkę i wkrótce spokojnie usnął. Marynia po smutném, ciężkiem: „Bóg tak chciał“ powstała, zbliżyła się do łóżka śpiącój siostry, z pół godziny tam stała, a przez krótki ten czas twarz jój kilka razy wyraz zmieniła. Była chwilka, lecz chwilka tylko, podczas którój łagodne piwne jój oczy dziwnym blaskiem, straszną żądzą zemsty

zaiskrzyły; stopniowo wróciła im zwyczajna ich łagodność, nakoniec puścili się łyzy i Marynia ukłękła. Powstała, powoli już nawet nie patrząc w stronę Leonki wróciła do stołu, otworzyła szufladkę, wyjęła papier, i nakreśliwszy słowa: „Ojczy potrzebuję rady twojej bo czuję że słabnę i upaść mogę — „prędko list zapieczętowała, a napisawszy na kopercie — Xiędzu kanonikowi, Piotrowi Lewińskiemu, wzięła świecę i pocichu do garderoby poszła.

W garderobie wszyscy już spali prócz jednej panny służącej Julki, pracującej jeszcze koło jutrzejszego stroju Leonki. Julka była to zwyczajna nasza garderobiana: młodzianka, fertyczna, przebiegła ale dobra sobie w gruncie dziewczyna. Pochlebiała Leonce bo jej dobrze z tém było, lecz także z całego serca dobrą Marynię kochała i zanic w świecie nawet dla przypodobania się samą Marszałkowej, nie zdradziłaby starszej pani. Wiedziała o tém Marynia i choć nieśmiało, z pewnym zaufaniem rękę na ramieniu uchylonej nad robotę Julki położyła.

— A toż co? panno Marjo! czy pani chora broń Boże!

— Nie Julko, potrzebuję tylko zapytać ciebie czyś gotowa dać mi maleńki dowód twego przywiązania?

Cóż to proszę pani?

— Nic wielkiego moja kochana. Oto tylko obys ten list który ci daję, jutro jak najraniiej posłała do Robówki.

Wiem że tam jest teraz Xiędz Lewiński, niech posłaniec odda mu do rąk to pismo a mnie odpowiedź przywiezie. Tylko rozumiesz, niech nikt nie wie o tém. Zrób to dla mnie!

— O to nie wielka rzecz! i owszem, a ja już w tém że nikt nie wiedziéć niebędzie. Niech pani będzie spokojna, za kilka dni odдам pani odpowiedź.

— Dobrze moja kochana, tylko raz jeszcze proszę, moja Julko niech nikt o tém niewié!

— No, no, już niech się panna Marja na mnie spuści i spokojnie spać idzie. I wzięwszy od Maryni list, Julka pobiegła do ogrodu, tam zastała już czekającego na siebie p. Kawliniewicza pisarza gorzelnianego i po godzinném z kawalerem spacerze, obowiązała go posłać list do Rubówki, naturalnie nic niemówiąc że to od Maryni, a jako zapłatę obiecując drugi takiż spacer. Marynia wróciła do swego pokoju, znowu się pomodliła i wkrótce w całym Zachorowieckim dworze światelka żadnego niebyło.

V.

Xiądz Piotr Lewiński, ten sam co niegdyś będąc proboszczem w parafii gdzie mieszkali starzy pp. Wodzyńscy, rodzice p. Marszałka i p. Krzywiński, tak wpływem swoim zacie dopomógł téj ostatniej w kształceniu pięknej jój duszy, był to dziś starzec blisko siedmdziesiąt letni. Wysoki, nie zbyt chudy nie zbyt otyły, nadzwyczaj miłej pociągającej choć bardzo zarazem imponującej postawy, oczy błękitne niewielkie i wiekiem przyémione lecz rozumnego i łagodnego wyrazu, nos lekko zgarbiony, usta zawsze słodko uśmiechnięte, głowa prawie łysa okolona tylko koroną długich na sutannę spadających białych kosmyków. Kto go raz pierwszy obaczył, każdy powiedział że to prawdziwie na dygnitarza kościoła postać, a kto bliżej poznał i miał odwagę bez uprzedzenia sądzić, ten niemógł nieprzyznać że to był ostatni może typ prawdziwie staropolskiego kapłana.

Jak każda wyższość umysłowa i moralna, jak wszystko co piękne prawdziwie i Xiądz Piotr miał licznych przeciwników swoich. Miał ich znaczny zastęp wśród kleru najpierw i to było główną przyczyną że tak długo żył i umarł nakoniec z tytułem prostego kanonika tylko, niebrakło mu na nich i wśród światowców, co przy jego wielkiej prawości, przy zbytniej może trochę szorstkości i prawdomowności, aż nadto naturalném było. Ludzie prawdy ostrój, choćby najsprawiedliwiej wypowiedzianej nie lubią, to dobrze i dawno wiadomo. A Xiądz Lewiński zanadto Boga i prawdę miłował aby się choć w pozorną obłudę dla świata przystrajać.

Zdawszy pierwsze probostwo swoje młodszemu od siebie zastępcy, długo jako kanonik przebywał w jednym z pierwszych miast naszych, to, dla nienależących od siebie powodów zmuszony opuścić, niemiał czas jakiś stałego mieszkania i przebywał w kilku domach swych szczerych przyjaciół.

Pomimo że niewszyscy go koehali, niebyło prawie takiego któryby go szanować nie musiał i rady jego niewzywał. Ileż to małżeństw X. Piotr skojarzył! ileż innych pogodził! jak wielu nawrócił!

A wszędzie gdzie wpływ jego doszedł i święte słowa w sercach zamieszkały tam wszędzie jakby Boże przeszło błogosławieństwo.

Ludzie niemogąc już nic zarzucić samym prawdom przez zanego kapłana objawionym, czepiali się do formy w jakiej takowe wypowiadał, i tak: wyobraziwszy sobie że to dowcipnem będzie śmieli się że w jednej przedślubnej mowie X. Piotr obracając się do strojnej młodej pary powiedział: „Odtąd jak dwa woły w jedno jarzmo wprężone, ciągnąć będziecie ciężar wspólnych trosków waszych.“ Bóg wie jak te słowa przekręcali, najrozumniejsi nawet niechcieli widzieć jak w nich wiele piękna i prawdy było. a głupcy śmieli się, bo głupcy zawsze się śmieją! Trudnoby wyliczyć jak wiele zarzutów śmiesznych, śmieszni ci ludzie robili X. Piotrowi, lecz on na nic niezważając, dalej po swojemu dobre robił. Zbliżony do wielu rodzin, w największej z nimi poufałości żyjąc, posiadając zaufanie każdego i każdemu radząc, nigdy niemięszał się do żadnej najmniejszej intrygi, wszyscy mu wierzyli, bo wszystkim jasną powiedział prawdę. Niedowiarek nawet i największy duchowieństwa nieprzyjaciel, jeżeli niechętnie, to przynajmniej bez najmniejszej obawy w dom swój go przyjmował, spokojnie patrząc na zaufanie jakie w nim położyc mogła córka lub żona. Bo wpływ jego, rady, napomnienia, zawsze się do jednego ściągały. „Jeżeliś córką miej ślepe staropolskie dla rodziców posłuszeństwo, słuchaj czcuj, i szanuj męża jeżeli żoną jesteś, spełniaj swoje obowiązki, resztę Bogu polecaj on wszystko najlepiej zrobi!“

P. Krzywińską, mając zupełne prawo uważać za niejako dzieło własne, X. Lewiński często odwiedzał; tam poznał i ocenił Marynię. Dziewczyna osmielona ojcowskiem jego obejściem, przywiązała się do niego serdecznie jak to nielubione przez rodziców do obcych przywiązywać się umieją, jak nakoniec do X. Piotra przywiązywała się każda młoda łaknąca prawdy dusza.

Od dwóch lat był on jej spowiednikiem, i jeżeli srogie postępowanie matki, obojętność ojca, nieskrzywiły młodego Maryni serca, podobno temu X. Piotr najwięcej zapobiegł.

Niedziw tedy że w ciężkiem swoim strapieniu, bohaterka nasza tak zawsze lekliwa, odważyła się pomimo wiedzy matki wezwać pomocy duchownego swego przewodnika. Rychło jak jej to Julka obiecała, krótką jak jej własna odezwa odebrała odpowiedź: „Jutro ztąd wyjeżdżam, a choć mi to nie po drodze, wstąpię do Zachorówki i dowiem się co ci tak dolega dziecko moje drogie.“

W kilka dni rzeczywiście przyjechał X. Lewiński do Zachorówki. Niebardzo on kochał Marszałkostwa... samego za wielkie po-

czytując zero, w saméj zaś, choć jéj nieodmawiał należnego szacunku, raził go w niéj, (jak to bardzo zaufanym pod wielkiem mawiał sekretem) niezwykle w kobiecie brak serca, które w jego przekonaniu w mężczyźnie tylko wielka prawość charakteru jako tako zastąpić mogła. Marszałkostwo także niemieli dla niego wielkiéj przyjaźni, sam, bo musiał się żenować, sama bo przeczuwała że swojego sędziego ma w tym Xiędzu. Ale jak Xiądz ich znosił dla Maryni i pani Krzywińskiej, tak i oni wielką uprzejmością i szacunkiem witali doradzcę bogatéj siostry, nadskakiwali mu nawet. To téż zaledwo przyjechał już Marszałkowa posłała do kuchni by ulubione jego potrawy na stół podano, p. Marszałek stare węgierskie wino z piwnicy wydobyć kazał. Kanonik jadł pił nieszczędząc pochwał temu co ich godne było. O tém i o owém rozprawiając, wszystkiemu się pilnie przypatrywał i od razu bodaj czy niedomyślił się wielu rzeczy lub nie odgadł wszystkiego. Z Alexandrem wiele rozmawiał, znał go jeszcze dzieckiem, u pp. Krzywińskich widywał, wiedział o dawnych Matek względem jego i zmarléj Adelki projektach i te które niedawno powstały téż były mu wiadomymi. Długo choć nieznacznie wzrokiem badał Marynię, pilnie patrzył za każdym Leonki ruchem, ukradkiem gdy się ta najmniej tego spodziewała spojrział na Marszałkową. Wieczorem znać już mu dosyć tych badań było bo oświadczył że nazajutrz pragnie mieć Mszę stą w sąsiednim kościółku i pomimo nalegań Marszałkostwa by na noc został, kazał zaraz konie zakładać, przypisując swój pośpiech obawie zrobienia subiekcji proboszczowi zbyt późno do niego przyjeżdżając. Wtedy, Marynia nieśmiało do Matki przystąpiwszy, pocałowała ją w rękę i prosiła o pozwolenie spowiadania się u kanonika.

— I owszem, tylko ja mam tu ważne zajęcia i z domu rano odjechać mi niepodobna, pojedziesz tedy ze starą Rodwańską.

Rodwańska była to dawna jeszcze matki Marszałkowej służąca, później zajmowała się domem u Marszałkostwa, a dziś na łaskawym była u nich chlebie. Marynia uradowana pozwoleniem, znowu matki rękę ucałowała i pobiegła prosić Rodwańską by się rano wybrać mogła.

Xiądz Piotr tymczasem odjechał, odebrawszy od Marszałkostwa niezasłużone podziękowanie za swe odwiedziny.

VI.

Nazajutrz o siódměj z rana przed małym kościółkiem w Wachlowie stara Rodwańska i Marynia wysiadły z lekkiego Marszałkostwa powoziku. Xiądz Lewiński czekał już na młodziutką swą penitentkę, co ta spostrzegłszy, zostawując Rodwańską, wszystkie koronki i różańce przed ołtarzem klepiącą, po króciutkiej modlitwie zbliżyła się do konfesjonału i wszystkie wypadki myśli i uczucia swoje od czasu podróży za granicą opowiadać poczęła.

— Dziecię moje wezwałaś mnie mówiąc że cierpisz i upaść możesz, pospieszyłem i widzę żeś prawdę mówiła. Ty kochasz i cierpisz bo zazdrość cię męczy.

— Nie ojczu, bo mi moją własność chcą wydrzeć!

— Twoję własność! Cóż ci daje prawo tak nazywać tego wymuskanego panicza? Te krótkie chwile przepędzone z nim u jego matki, życzenia ciotki, to wreszcie uczucie które cię tak prędko a silnie ośwładnęło! Ach! gdybym ci mógł wyliczyć na ile ja podobnych uczuć patrzyłem, ile ich marnie przepadło druzgocząc słabe serca a tylko kalecząc prawdziwie hartowne dusze, takie dusze jaką ja chce aby twoja była. Rana długo się sączy, potem szram zostaje wprawdzie, lecz szram na sercu chrześciance to dziecko moje jak blizna na czole rycerza, świadcząca że był w boju, że się mężnie nieprzyjacielowi opierał i powinności dokonał!

Pokochałaś siostrzeńca ciotki ulubionego przez nią jak dziecię rodzone, z początku patrzyłaś może przez jęj zbyt dla niego pobłażliwe oczy; potem, już sama widziałaś w nim to co każda z was, najdoskonalsza nawet niestety! raz w życiu, w pospolitej często istocie upatrywać musi. Jakiś ideał w dziecinněj jeszcze i niepotrzebnie rozbujalěj imaginacji wypieszczony, ty drzysz, słabnieisz, upadasz i w straszną odchłań upaść możesz... bo ci się ten ideał wymyka, bo go druga takimże widziéć usiłuje.

Tą drugą któż jest? Rodzona twoja siostra, siostra którą otaaczałaś zawsze taką serdecznością, do której nigdy nie miałaś żalu, choć widziałaś jak wielką różnicę rodzice robili między wami. Niezazdrościłaś jęj miłości macierzyńskiej, a gotowaś ją znieawidzić

za miłość tego pana Alexandra, który, wierz mi staremu i doświadczonemu, prędeż dla niej niż dla ciebie stworzony. Ale dajmy temu pokój, a jakkolwiek to com widział i słyszał niemniej mię przeświadcza o tój jego niższości, niepokuszę się dzisiaj dowodzić ci tego. Przez ciebie wiem co jest Leonka: pieszczone, popsute ale dobre w gruncie dziecko to dotąd szło swobodnie, piękną, wesołą drogą, najmniejszej nigdzie nienapotykaając tamy i ciężko przeboleć może pierwszą większą przeszkodę.

Zruciwszy z siebie zwykłą tobie w rodzicielskim domu nieśmiałość, puściwszy wodze rozbujalym uczuciom, nieprzeczę że mogłabyś wiele zmienić. Ten młodzieniec o ile mu się przypatrzyłem, a dobrze patrzyłem, to słabizna wielka. Obudziłabyś w nim może jaką iskierkę niedogaśłą sympatji do ciebie, lub poruszyłabyś jego sumienie, lecz cóżby ci z tego przyszło? Kiedy ty którą miałem za silną tak blizką upadku jesteś, cóżby się stało z Leonką? To dopiero może prawdziwém wydarciem było, bo ona nieogłędnie tylko wzięła to co niezajętóm mniemała i czego pozwól to sobie powiedziéć zrazu wcale jój nie broniłaś. Zakłóciłabyś tę jedną z większych tu ziemskich świętości, spokój w rodzinie, siebie możebyś związała z człowiekiem do którego byś potém wieczny żal miała że cię do tego doprowadził. Słowem, postąpiłabyś jak widziałaś że postępywały urojone bohaterki owych książek, które pomimo rad moich czytałaś, ale nie jak chrześciana, nie jak ja chciałbym widziéć postępującą moją Marynię! Dziś dziecko moje niewymagam od ciebie żadnych przyrzeczeń... zanadto cierpisz, zanadto sam czuję boleść Twoją, ale cię proszę, zaklinam, zapamiętaj wszystkie słowa moje, rozpamiętywaj je w cichości i módl się aby cię Bóg natchnął, by ci święta Matka jego upaść niedała. Zaraz wyjdę ze Mszą ścią; odprawię ją na twoją intencję, przystąpisz do stołu świętego i może Duch święty wstąpi do duszy twojej.

W godzinę potém, gdy starzec z chlebem żywota w rękę do kłęczącój u stóp ołtarza Maryni zchodził, taka rezygnacja i silne postanowienie malowało się na dziewczyny twarzy, że dawno może kapłan tak prawdziwie chrześcijańskiej duszy świętój ofiary niepowierzał.

Po Mszy poszła Marynia do zakrystji pożegnać Xiędza Piotra. Była blada lecz spokojna, Xiędz łyzy miał w oku, pocałował ją w czoło i szepnął do ucha.

Dobrze dziecię moje, odwagi, a Bóg błogosławić i pomagać będzie!

Potém z pół godziny jeszcze rozmawiali, aż wreszcie kanonik odjechać kazał, na pamiątkę tylko z odbytej spowiedzi dając Maryni maleńką edycję święto Tomasza à Kempis.

VII.

Wjeżdżając w Zachorowiecki dziedziniec Marynia spostrzegła przed oficyną duży podróżny tarantas, z którego wynosił tłóмок barczysty choć młody jeszcze kozak. W kozaku tym poznała Wasylą służącego brata, a gdy powóz przed domem się zatrzymał, sam Tadzio pośpieszył drzwiczki otworzyć i pomógł siostrze spiesznie wysiąść. Uścisnęli się serdecznie.

— Co to Maryniu! czyś przypadkiem została babką kościelną, że w prostą sobie zwyczajną srodę, nie w żadne nawet święto kalendarzowe do kościoła jeździsz?

— Korzystałam z bytności kanonika Lewińskiego i jeździłam spowiadać się.

— Winszuję, winszuję ale niezazdroszczę, jak mówi pan Palewicz kiedy mu o czyjemś ożenieniu powiadają. To ty widać zawsze w tym swoim zatabaczonym kanoniku zakochana? wiesz że szczególne upodobanie, niedarowany upór.

— Mój drogi, ostatnią razą zrobiliśmy z sobą układ: obiecałeś mi dać pokój Xiędzu Lewińskiemu którego nielubisz bo ci prawdę mówię, ja przyrzekłam tobie niezaczepiać twój więcej dla mnie niewytłomaczonej przyjaźni dla twego kolegi Włodzimierza, który nie wiem dla czego koniecznie chce zwać się *Włodzimirem* jakby to niewszystko jedno było i nigdy się nieczesze i nieumywa; tym jednym chcąc dać ludziom o swój wyższości dowód.

— Aha! czcigodny kapłan jak widać za pokutę zemstę siostrzyczce mojej nakazał. Ale zmiłuj się niemoralizuj mnie na wstępie, mój Władimir, czy tam Włodzimierz jak tam sobie chcesz pojechał do krewnych na Litwę i nie zobaczysz go prędko; twój kanonik niech tam sobie objada proboszcza w Wachlowie i prawi kazania tym co go chcą słuchać, ty zaś ze swoimi daj mi pokój dzisiaj przynajmniej!

Papa zajęty z dwoma *moszurdziejami*, mama chora na ból głowy zasnęła i niekazała chodzić do siebie, Leonka z tym waszym wyperfumowanym gościem w salonie, chodźmy do waszego pokoju, tam nam najplepij będzie.

Marynia na ten raz kontenta była z pretekstu niewidzenia zaraz siostry i pana Alexandra, wzięwszy się tedy z Tadzkiem pod rękę zaprowadziła go do siebie.

Tam, student niezważając na swoje zabłocone bóty, z nogami usiadł na ładnej aksamitnej kozetce, a że siostry po jej powrocie od wód niewidział, zaczęła się rozmowa o tém co tam widziała, o wrażeniu jakie na niej zrobił Kraków, pytał czy nieprzywoziła z sobą fotografii której z zagranicznych znakomitości wielbionych przez młodzież uniwersytecką. Zaczepili trochę polityki, niektórych socjalnych kwestji i t. d. i t. d.

Tadzio do obydwóch sióstr będąc bardzo przywiązany, dla Maryni od dzieciństwa jeszcze serdeczniejsze niż dla Leonki miał uczucie—choć mierny a przeto zarozumiały, jej jednej słuchał chętniej niż innych. Ona też bardzo go kochała, a choć niemogła mieć go za orła lub orlika nawet, wiedziała że miał w gruncie poczciwe serce i z macierzyńską czułością czuwała nad słabym brata charakterem. Wprawdzie była to wielka praca ale Marynia nie łatwo dawała się zrażać, a pomimo że Tadzio za każdym powrotem z Kijowa coraz inne, w miarę w jakie tą razą wpadał kółko, przywoził idee, zawsze z Zachorówki odjeżdżał mniej więcej przynajmniej takim, jakim go Marynia widzieć chciała.

Z ostatnich kilku miesięcy pan Tadeusz przywiózł zwyczaj noszenia switki w miejscu surduta, dużych prostych dziegiowych bótów i tym podobnych oznak prostoty. Marynia zaraz spostrzegła nową tę słabostkę brata i z lekka żartować z niej poczęła.

— Oho! znowu morały! moja Maryniu kochana, tak zaraz od pierwszego dnia chcesz mię wziąć w kluby i czepiasz się do mojej switki poczciwój, już i mama mię za nią łajała. Tobie przynajmniej nic ona szkodzić niepowinna, ty nigdy niebyłaś za wielką elegancją, chyba was teraz wszystkich na elegantów poprzerabiał p. Wolicki. Powiedz mi moja droga czy on się stara o Leonkę, i czy będzie co z tego?

— Podobno że się stara—Leonce się podoba i rodzice są za tém.

— Wiesz że ja czegoś niemam do niego *przychapienia*?

— Dla tego że uczesany?

— Niewiem, może, ja nie lubię elegantów, to *moszurdzieje* laleczki. Ale żeby cię pocieszyć i przekonać żem sprawiedliwy nawet dla moszurdziejów, powiem ci żem poznał takie grafiatko.....

Ale to wyjątek... tak nawet nasz wyrocznia A..... zakończył moją z nim o tym chłopcu rozmowę. Poznasz go w tych dniach, obiecał przyjechać do mnie.

— Któż to taki?

— Adolf Przyrębski, stryjeczny brat jednego z moich kolegów, ten co to słyszałaś może, niedawno wrócił z zagranicy, mieszka w skwirskim powiecie, i na którego to Moszurdzieje krzyczą że zapalona głowa, bo nie powstaje na emancypację i żałuje żeśmy ję sami włościanom dawno niedali. Ale ty go widziałaś, mówił mi że was w przeszłym roku z cicią w Żabińskim kościele widział. Kontent był jak się dowiedział żem twoim bratem, czytywał później wszystkie twoje listy do mnie pisane i bardzo radby cię osobiście poznać. Niepamiętasz go?

— Jakże chcesz mój Taziu abym pamiętała kogoś, com w przeszłym roku w kościele widziała, to byłoby mi niepodobnym, gdybym nawet niebyła taką babką kościelną jak mnie widzisz.

— No bo wiesz że jego to można i zauważyć i zapamiętać, taki piękny choć brzydki na pozór, jak to o nim niedawno mi mówił Leonard S.....

Ze dwie godziny rozmawiali tak brat z siostrą, aż wreszcie wszedł uliberjowany lokaj z serwetą w rękę, dając znać że waza na stole.

Marszałkowa chora na migrenę kazała oznajmić że nie wyjdzie do stołu, a Marszałek z dwoma swoimi jak ich Tazio zwał *moszurdziejami*, był już w sali.

Zaczęto już obiad, Marynia bawiła obok nię siedzącego p. Sędziogo, pytała jego o zdrowie żony i córki, prosiła by się im kłaniał, Marszałek kończył dawniej widać rozpoczętą dysputę o sprawie Deputata z procesującym go sąsiadem, Leonka żartowała z p. Alexandrem, a zajmwszy miejsce gdzie zwykle siadywała matka, wyśmienicie gospodynię domu udawała. Tazio z politowaniem uśmiechał się patrząc nietylko na Sędziogo i Deputata ale i na samegoż papę dobrodzieja, jadł dobrze, razy kilka zawracał

półmisek, zawsze odzywając się do służącego. „*Śłuchaj no Tymku*“ jakby niewiedząc że w pokoju Marszałkostwo człowiekowi temu Tytusem zwać się kazali.

Po obiedzie przeszli wszyscy do salonu, tam Leonka zasiadła przy do fortepianu jakąś piękną Bethowena melodję grać poczęła. p. Alexander oparty o krzesło wpatrywał się w piękną twarzyczkę artystki, wszyscy słuchali, sędzia i deputat chwalili, a na dowód jak rzeczywistość znali się na muzyce i nią byli zajęci, zaledwo fortepian ucichł, zaczęli o przyszłych włościańskich urządzeniach jerejmady. Tadeusz milczący cały czas, téj widać oczekiwał tylko chwili, począł zaraz krzyczeć, rozprawiać, a choć w gruncie dowodził rzecz niezaprzeczenie sprawiedliwą, bo sprawę uciśnionych przeciw uciskającym. tak się zapalał, że często w wielkie wpadał absurda i jakby niebyło drogi tysiącznych a krzyczących o pomstę do Boga przykładów, cytował jakieś co nigdy nieegzystowały. Sędzia i Deputat czy dla tego że ich sprawa rzeczywistość złą była, czy dla tego że byli to sobie prości ludziska, zrazu ni to ni owo odpowiadali, potem milcząc to na studenta to na Marszałka spoglądać poczęli. Marszałek zadrzał aby mu synowskie przekonania popularności nieodebrały i zaproponowawszy gościom fajki, poprowadził ich do siebie, gdzie długo dowodził o tém że młodzież z początku musi przejść przez Bóg wie jakie fantazje, ale że jak tylko chłopiec siny kołnierz zruci, staje się takim zacnym jak wszyscy obywatelem. Zaledwo gospodarz z tymi panami wyszedł. Tadzio obawiając się zapewne wymówek starszej siostry za to niepotrzebne wystąpienie, wymknął się do siebie, po Leonkę przysłała matka, została sama tylko Marynia z Alexandrem.

Pierwszy to raz od przybycia młodzieńca Marynia sam na sam z nim była, postanowiła korzystać ze zręczności, tembardziej że się już zaczynało ściemniać i rachować przeto mogła że zmieszanie jój widoczném niebędzie. P. Alexander jak prawdziwy winowajca spuścił oczy i Bóg wie jak długie byłoby tych dwojga niedawno kochanków milczenie, gdyby pierwsza cichym głosem, nieprzerwała go Marynia.

— Pan mnie unikasz panie Alexandrze gdyż fałszywie masz mię za obrażoną, ja zaś szukałam chwili swobodnej, by panu powiedzieć że tak nie jest i oddawszy słowo narzeczonej, prosieć o.... przyjaźń braterską.

— Panno Marjo, Bogiem się świadczę...

— Ześ pan temu wszystkiemu niewinien, o! czyżbym o tém wątpić mogła ja, która téż dzisiaj przekonywam się, że dziecinne

może upodobanie za prawdziwe bicie serca biorąc, zbyt rychło i nieoględnie dałam obietnicę. Bądź pan spokojnym, kochasz pan Leonkę, i ona pana bardzo o bardzo kocha! prosz pan o nią rodziców, bądź dla niej zawsze takim jakim dziś jesteś, a we mnie panie Alexandre zawsze pan mieć będziesz siostrę.

To mówiąc, podała mu rękę i prędko chciała z pokoju uciec, gdy nadbiegła Leonka.

— A co to państwo tak po nocy siedzą i jeszcze w takiej czulój pozie?

— P. Alexander prosił mię abym mu jako dawniejsza znajoma ułatwiła sposobność pomówienia z Tobą i zastałaś właśnie, gdy mu dawała dobrą nadzieję, zostań więc tu, ja pójdę do mamy.

Wyszła z pokoju lecz nieposzła do Marszałkowej tylko do siebie i tam drzwi za sobą na klucz zamknęła. Po dwóch czy więcej godzinach, klęczącą przed obrazem Matki Najświętszej, ocknęło ją silne do drzwi stukanie.

— Panno Marjo, niech pani otwiera wołała znajoma już nam Julka, pani pannę prosi; -- Marynia powstała, świecę zapaliła, poprawiła włosy i jakby nigdy nic niebyło poszła do matki.

Wię pani, powiedziała jój w drodze gadatliwa Julka, pan Wolicki tylko co oświadczył się pannie Leontynie—byłam przy pani jak panna Leontyna z tym do niej przyszła, potem przyszedł sam pan z panem Wolickim i wszyscy tam są w pani pokoju, mnie kazano wyjść a potem posłali po pannę.

Rzeczywiście wszystkich Marynia zastała u matki. Wszedłszy do pokoju poszła wprost do siostry.

— Cóż Leonko, czy gniewasz się za figla com ci wyrządziła?

— Leonka rzuciła się na szyję siostry.

— A Mamę, dodała ta całując Marszałkową w rękę, czy już głowa nie boli?

— Nie dziecko moje — i Marszałkowa konwulsyjnie córkę do siebie przycisnęła, potem odepchnęła zlekka, jakby z tym uściśkiem ciężar jaki padł na jój sumienie—głowa mnie już nieboli, oto masz klucze, wyręcz dziś Leonkę w przyrządzeniu herbaty.

VIII.

Xiądz Lewiński po objedzie u proboszcza w Wachlowie, prosto wieść się kazał do Ostapczyniec, by według danego młodziej swjej przyjaciółce słowa, przysposobić panią Krzywińską do gotujących się a niespodziewanych dla niej wypadków.

Wiemy już iż kapłan ten nigdy do żadnej niemęszął się intrygi, miał jeszcze inną nie mniejszej wagi w stanie swoim cnotę, a to, że dbając szczególnie o spokój w rodzinach którym doradzał, gdy widział niechybne spełnienie się jakiego niepomyślnego dla kogo bądź z członków tój rodziny wypadku, niemogąc temu zapobiedz, tak jakos starał się ułożyć wszystko, aby jak najmniej nieporozumień a przeto zgorszenia wynikło. Tą razą i Marynia go o to prosiła, a niebyło rzeczy którójby dla tój ukochanej swjej duchownej córeczki niezrobił. Nazajutrz po spowiedzi Maryni, wcześniej jeszcze w Ostapczyńcach stanął. Pani Krzywińska powitała go radośnie jak zawsze, a dowiedziawszy się że był w Zachorówce, zapragnęła zaraz wiedzieć co się tam robi.

— Na miłość Boga Xięże kanoniku, proszę mi powiedziéć co się tam dzieje, zawoła skwapliwie — już pięć tygodni jak Oleś tam i ani on ani Kajetanostwo nic do mnie nie piszą?

— Ależ bo asani myślisz że z nich każde w takiój goracéj wodzie kąpane jak asani, co to na drodze dwoje dzieci łapiesz, zaręczasz i szlub gotowabyś im dać zaraz, nieprzekonawszy się czy są dla siebie stworzeni i czy im z tym dobrze będzie.

— Do czegoż to Xiądz kanonik zmierza? czy do Olesia i Maryni?

— A zapewne, bo przyznam się asani dobrodziejce, po niéj spodziewałem się więcéj rozwagi:

— Cóż to, Oleś niemiał szczęścia podobać się kanonikowi?

— Czy on podobał mi się czy nie, to mniejsza oto, ja nie panna na wydaniu i moje o nim zdanie nikomu niepotrzebne niech sobie przy mnie zostanie. Ale to pewne, że nasza Marynia warta była coś lepszego, co zresztą protegowany pani sam przeczul, adresuąc się do młodziej.

— Boże! cóż to się stało? krzyknęła p. Krzywińska... ależ nie ojciec, to ci się przewidzieć musiało!

— Pięknie się przewidziało, kiedy o ile uważałem, już tam tylko myślał jak pani o téj zmianie zwiastować!

— Ależ nie! Oles tak kochał Marynię!

— Zapewne że ją kochał! tak mu się zdawało, takeście mu obie asanie z matką powiedziały także. Dziś poznał Leonkę, ta mu się więcej podobała, on się jęj podobał także i teraz kocha Leonkę, a ja radzę pożęcie ich prędkiej, bo i tę gotów porzucić, a jak ożeni się to może się usatkuje i może będą szczęśliwi!

— Ależ Marynia. Marynia!

— Marynia? zrazu na jęj prośbę podjąłem się dowodzić asani dobrodziejce że ją te nowe układy cieszą, że niema najmniejszego żalu do narzeczonego i tym podobne bzdurstwa, którym przy twoim rozumie niewierzyłabyś pani i dla tego wolę szczerze z tobą o tém wszystkim pomówić. Marynia szczerze pokochała tego waszego Alexandra, Trafił on na ową niebezpieczną dla młodęj dziewczyny chwilę, kiedy serce rozmarzone, wyobraźnia rozbujała, z upragnieniem oczekują celu i znajdują go często tam, gdzieby znaleźć niepowinny bo lepszego warte. Ale to nic nieznaczy, są pewne dusze, które i taką nieszczęsną miłość przeboleć muszą i za jęj stratą jak za czém dobrém czasem całe lata przepłaczą. Niektóre słabe upadają, Marynia mam nadzieję że nieupadnie, o! bo Marynia to dopiero złoto! Kto to wie? może Bóg zesłał na nią tę próbę aby ją jeszcze lepszą, doskonalszą uczynić. I taką będzie wierz mi asani i to niech ciebie pociesza, żeś pomimowolnóm była narzędziem tego całego przejścia. Ona przezemnie cię prosi, abyś pobłażliwie na nowe Olesia projekta patrząc, teraz jak przedtém szczerze mu błogosławiła. Sprzeciwianie się pani nicby niepomogło, Marynia dawnego narzeczonego jużby nieprzyjęła, a pani która dotąd byłaś zawsze aniołem pokoju w rodzinie, darmo byś uporem swoim święty ten pokój zakłóciła. I zawsze powtarzam, to nie dla nięj, ona z nim niebyłaby długo szczęśliwą. Leonka już więcej dla niego, Leonka, i to sumiennie mówię gdyż wiem to od Maryni, nie o waszych pierwszych projektach niewiedziała.

— Ależ mój ojciec! pożnienie tych dwojga dzieci to było ostatnie moje drogie marzenie!

— I może też dla tego Bóg miłosierny i w tym chce próbować jak dalece go kochasz, jak pokornie świętą wolę Jego znosisz.

Tak do późna Marynia z acny kapłan z p. Krzywińską rozmawiał, Nazajutrz miał Mszę śtą w kaplicy, p. Krzywińska długo się spo-

wiałała i X. Piotr parę dni jeszcze w Ostapczyńcach zabawił. Przez cały ten czas, jak łatwo się domyslić, niebyło prawie innej rozmowy jak o Maryni Olesiu i Zachorówce całej.

Potrzeba było dla p. Krzywińskiej całego wpływu jaki na nią miał X. Lewiński, by spokojnie tę bolesną dla siebie zmianę przeżyła.

Choć miała już lat ze czterdzieści i wiele już w życiu swoim widziała, jak każda wyższa dusza, pomimo całego swego rozumu, niełatwo pojmowała intrygi i te wszystkie brudy świata naszego. Co jeszcze łatwiejszem będzie do zrozumienia, gdy się dowiemy że długo nadzwyczaj szczęśliwa, chociaż podkoniec ciężko woła Bożą dotknięta, od ludzkich smagań zawsze wolną była, a niedoświadczwszy ich na sobie, zanadto bliźnich kochała by opowiadanych o nich rzeczy za złośliwe wymysły niebrać. Była to jakaś szczególna wiara powie nie jeden, być może! lecz nienaturalna i świadcząca nadewszystko o wyjątkowej świętości posiadającej ją duszy. Gdy jednak rozmyślając wszystkie znajome sobie szczególne zaszłych wypadków, uderzyło p. Krzywińską tajemnicze dla niej dotąd postępowanie bratowej, tłumacząc sobie naocznie przykre uczucie przed dwoma miesiącami w czasie plotek p. Anastazji doznane, wahając się, jakby w obawie popełnienia oszustwa, powiedziała to kapłanowi.

— Moja Dobrodziejko odpowiedział jój ten widocznie z tego zwierzenia niekontent, Bóg zawsze używa ludzi za narzędzia woli swojej. I to też pewne, że gdy zetną się z sobą dwie kobiety, jedna z sercem i rozumem druga z rozumem tylko, to ta na świecie ostatnia prędzej zwycięży, i najczęściej zwycięża nawet. A ponieważ w sprawach ziemskich zimna krew i zimny rozsądek lepiej od serca stanowią, to może i lepiej! Zresztą na co nam rozbierać jak się stało, dosyć że się stało, a ja zawsze powtarzam, widzę w tém wolę Bożą i dla Maryni pewniejszą do zbawienia drogę. Dla tego też, tysięczny raz jeszcze powtarzam pani, popłacz sobie nad tém że ulubione dziecię cierpi ale nie rozpaczaj, bo lepiej będzie jakby miała być nieszczęśliwą, a odurzona chwilką powodzenia, później ocknąwszy się możeby wieczny do was żal miała. A na koniec, choć dziś wyższa ale w nieszczęściu niezahartowana, możeby jeszcze na wcale pospolitą istotę wyszedłszy, pomnożyła liczbę tej plagi towarzystwa, owych jak ich z francuzami nazywać chcemy: *femmes incomprises*. Siostrzeńca ożeń z Leonką, przekonasz się bliżej ją poznawszy że i to dobre dziecko, częścię ją widując, wpły-

wem swoim będziesz z niej mogła zrobić wcale porządną kobietę. Oleś zaś, niegniewaj się pani za to co ci powiem, Oleś to tegocześnie pan Kajetan, on będzie szczęśliwym i dobrym mężem nawet, ale z kobietą więcej do Marszałkowej niż do Maryni podobną. Do niego łatwiej rozumem niż sercem trafić można, a jeżeli już potrzebna guwernantka, to na nią więcej Leonka z Twoją pomocą niż Marynia, któraby prędzej później rozpoznała, że wyznaczony ideał uleciał i został tylko pan Alexander, taki jakim go dzisiaj widzieć niechce.

Potém kapłan wymógł na p. Krzywińskiej słowo, że z Marynią unikać będzie o tém wszystkiem rozmowy i odjechał choć nie-tyle spokojny jakim się w obec przyjaciółki udawał, ale kontent że mniej więcej spokojnie rzeczy dalej pójdą.

IX.

Pani Wodzyńska tymczasem w wielkim była kłopotcie. Pomimo całego swego rozumu, niemogła dotąd ułożyć planu jak p. Krzywińskiej oświadczyć Olesia Leonci oznajmić i jak tu nieodkryć tego, co myślała że przed zaną tą kobietą ukryte dotąd. W następną jednak niedzielę, dowiedziawszy się od proboszcza że X. Lewiński wprost od niego udał się do Ostapczyniec i odebrawszy od Maryni potwierdzenie téj wiadomości, jakoś się uspokoiła, niewątpiła bowiem że kanonik uprzedzić pojechał przyjaciółkę o tém co w Zachorówce widział — i choć go nie lubiła lecz wszelką oddając mu sprawiedliwość, pewną była, że wszystko w słabszych kolorach odmaluje i pomimo woli tą razą jej się przysłuży. Wdzieliśmy że zgadła, a że ta kobieta prócz przebiegłości miała jeszcze dozę niepospolitą moralnej odwagi, w kilka dni wybrała się do siostry — dwoje nowo narzeczonych wioząc jej przedstawić. W drodze, już sobie ułożyła mądry jakiś plan tłómaczeń, ale przyjechawszy przekonała się że to wcale niepotrzebne, gdyż p. Krzywińska choć smutna, ale łaskawie serdecznie wszystkich ich przyjęła. P. Wodzyńska pomyślała sobie w duchu: „Mój Boże! zkad o téj kobiecie mówią że ma rozum, a mnie się zdaje że najgłupsza byłaby domyślniejszą, ale chwała Bogu! łatwiej się wykręcę niż myślałam!

P. Alexander z razu nieśmiały coraz więcej nabierał odwagi i ośmielił się do reszty, gdy ciotka na chwilę zostawszy z nim sam na sam szepnęła mu do ucha: Dziecko moje nic niemam ci za złe, a jeżeli mam żal do kogo to do siebie samej, że mojemu życzeniem przyspieszyłam to, co gdyby się było odwlekło, wszystkim nam wieleby przykrości oszczędziło. Kiedy tu więcej szczęścia się spodziewasz, nie sprzeciwiam się temu, niech cię Bóg błogosławi i abyś zawsze trwał w tém przekonaniu żeś dobrze zrobił!"

Alexander zapłonał bo czuł się winnym i wołałby może by go sroższe spotkało przyjęcie. Leonka jedna wesoła i czule wszystko przyjmowała, bo niewiedząc o niczem wszystko uważała naturalnem.

Marynia wyprosiła się od podróży do Ostapczyniec i Matka radośnie pozwoliła jęj zostać, rada może, iż na dni kilka przynajmniej, pozbędzie się tego chodzącego wyrzutu sumienia.

Została tedy Marynia z ojcem i bratem i lęz jęj było może dla tego, że swobodnięj sobą być mogła, niepotrzebowała śmiać się gdy serce cierpiało, mówić gdy milczéć by wołała. Było to kilka dni wypoczynku po ciężkięj męczarni biednego jęj serca, kilka dni samotności, potrzebnej dla posilenia odwagi słabnącéj już ze zbyt wielkiego wysiłku.

Cały czas, niepowiem już od przyjazdu Olesia lecz od spowiedzi i oświadczyn Leonce, przeszedł dla naszęj bohaterki jak ciężki sen, zarazem duszę i ciało męzący. Była to stanowcza zbytnio może ciężka dla słabych jęj sił kryzys. Lecz kryzys z któręj zwyciężko choć nie bez rany młode jęj serce wyjść miało. Lękliwa, nieśmiała, kryjąca się prawie z pięknymi zasobami duszy i rozumu, Marynia, w niedługim tym czasie zmieniała się na dziewięć silną, bo, opromienioną aureolą poświęcenia i zachartowaną cierpieniem.

Czy czuła się zbrojną w swoje tak mężnie nabyte prawa, czy był to może jeszcze po prostu gorączkowy stan, dość że w obec Marszałkowęj nawet tak zawsze przestraszona Marynia, miała odwagę być tém czém była w istocie. Była nawet krótka chwila w któręj Marszałkowa, niezdolna pojąć wszystkiego co tylko samym rozumem objąć niemogła, przelękała się czy to nie manewr jaki dla połamania tak dobrze przez nią urządzonych szyków. Wkrótce jednak uspokoiła się z téj strony, poprostu tłómacząc sobie nowy sposób wzięcia Maryni za chęć pokrycia obrażonęj miłości własnéj. Serca nie mając, Pani Wodzyńska istnienie jego za myt uważać nawykała. Marszałek, zanadto leniwy by na cokolwiek prócz na siebie i swoje ulubione zajęcia uważał, niezwracał nawet uwagi na to co

się wkoło niego z najbliższymi działa. Tadzio zawsze wesoły, lekki, niespostrzegający tylko to co mu inni wskaza, spokojnie używał swobody Zachorowieckiej, na nic uwagi niezwracając. Dla siostry starszej zawsze równie był czuły. Jedna rzecz go uderzała a to unikanie jej w swoich z nim rozmowach wspomnienia o p. Alexandre — lecz po swojemu tłómaczył to sobie tém, że kawaler Leonki równie niepodobał się Maryni jak jemu i że dla tego niechciała o nié mówić.

Po wyjeździe matki i nowo zakochanej pary. Marynia najczęściej była u siebie bo tam najswobodniej popłakać mogła, na obiad i wieczorem przychodziła do bawialnych pokoi, gdzie jeżeli byli goście wyręczała przy nich matkę, lub téż rozmawiając z bratem, probowała czy z niedowarzonego tego piwa nieuda się jej człowieka zrobić.

Jednego takiego wieczoru, gdy brat z siostrą sami byli (gdyż Marszałek pisał coś u siebie) i Marynia dowodziła Tadeuszowi że jeżeli go czasem łaje, to nie aby potępiała myśli lecz formę pod jaką je objawia, na dziedzińcu dały się słyszeć dzwonki a Tadeusz skoczywszy do okna krzyknął.

— Aha to moi goście — i wybiegłszy z pokoju wrócił po chwili z dwoma panami. Jednym z tych panów był to młodzutki choć słuszny a śliczny szesnasto letni chłopak, zaledwo od wakacji na pierwszym zostający kursie, drugim, miernego wzrostu, do trzydziestu lat mający mężczyzna. Wzrost mierny, włosy ciemno blond nizko ostrzyżone, oczy siwe, niewielkie i z lekka przymróżone, rysy nieregularne i niepiękne zrazu, lecz wielką szczerością łagodnością i powagą nacechowane zarazem. strój staranny, elegancki nawet. Od pierwszego rzutu oka całą tę postać zaliczyć można było do tych, co to choć niepiękne, wśród najpiękniejszych uderzą i zapytać o siebie zmuszą.

— Maryniu, prędko zawołał Tadeusz, oto przedstawiam ci mojego nowego a kochanego koleżkę Adasia Przyrębskiego i brata jego Adolfa.

Marynia powstała, obaj przybyli skłonili się.

— Cóż panie Adolfe! ta sama coś widział w Żabińskim kościele?

Pan Adolf pomimo całej znajomości świata jaką posiadał, zmieszał się tém niespodziewaném wystąpieniem studenta — nic mu nieodpowiadając, obrócił się do Maryni.

— Poznawszy Tadzia odrazu uderzyło mnie wielkie podobieństwo rysów jego z rysami pani, którą przed rokiem spotkałem

w kościele, zapytałem go zaraz czy nie jest bratem pani i od téj pory Tazio z téj mojej pamięci żartuje i do dziś jak widzę zapomniać tego niemoże.

— Nieprzypominam sobie czy mi wspominał o tém, lecz od przyjazdu swego, wiele mi o panu mówił, a ja ciesząc się że brat mój poznał i umiał sobie pozyskać takiego przyjaciela, także jakby dawnego znajomego witam w panu. i na wstępie mu dziękuję za jego dobroć dla mojego pocziwego Tadzia.

P. Adolf chciał coś odpowiedzieć ale mu znowu Tadeusz przerwał:

— Już dosyć, mój drogi, wiem że za komplement komplementem chcesz się odplacić i godzinę całą gotowicie państwo pleść trzy po trzy, a ja wolałbym abyście sobie usiedli i mnie zostawując z Adasiem, aby mnie opowiedział co się tam u nas od mojego wyjazdu dzieje, sami kończyli przerwaną mi z siostrą rozmowę. Wiem z góry że się pogodzicie: bo wyobraź sobie Adolfinie! Marynia, tak jak to ty czasem umiesz, od tygodnia męczy mnie za to że tu kiedyś dwóch moszurdziejów z błotem zmieszasz. Ależ przynajmniej tęgo im dałem, ani słowa pod koniec pisnąć niemogli!

— Czy to dla tego że twoje argumenta były tak silne, czy dla tego żeś na nietęgich trafił przeciwników?

Tadeusz ruszył ramionami i do Adasia się obrócił. Marynia za niego odpowiedziała:

— Podobno zgadłeś pan, i to właśnie com przed chwilą bratu wymawiała, niebyło broń mnie Boże zarzutem przeciw świętej a tak u nas zaniedbanej sprawie niestety! ale właśnie żalem że tak piękną, tak szczytną dla naszej młodzieży myśl, samaż ta młodzież sponiewiera za lada zręcznością, jak niepotrzebny jaki towar narzucając ją wszystkim. Potem, wszystkie te słowa jak na wiatr rzucone, sarkając na winnych, w zapale i niewinnych dotykają.

— Najzupełniejszą słusność słowom pani przyznaję, jednakowoż, chociaż niebyłem przy scenie o której oboje państwo wspominaliście, ośmielę się zwrócić uwagę pani na to, że tak arbitralnie z jednego przykładu całą naszą młodzież sądzić niewypada. Ma ona swoje wady, o! i wielkie wady! wady szczególnym wypadkiem wynikłe zarazem z znacznych ich usposobień i ze złego pierwotnego wychowania. Cóż dziwnego że rozpieszczony, popsuty chłopak, późniejsz idąc za naturalnym wiekowi swemu popędem, chciwy prawdy, gdy ją usłyszy nie od tych którymby go tą prawdą od kolebki

karmić należało, ma żal do nich i wybac mi pani to słowo, potępia ich..... pogardza nimi niekiedy! Tak być nie powinno, prawda pani! Ah! ileż to rzeczy któreby dziać się niepowinny dzieją się i podobno długo dziać się będą jeszcze. Jest to jedna z tych kar Bożych których widzieć niechcemy, bo w dumie naszej nieczujemy się winnymi.

Nigdy ja nie bronię tych niektórych szczodrych na słowa młodzików, muszą być między nimi tacy co tylko zdania drugih powtarzają, są tacy co sami zanie choć zbyt może młodzieńczo rzeczy pojmując, za gorąco chcieliby własne myśli w innych przelać, a w dzieciństwie nawykli papie i mamie rozkazywać, niecierpliwą się że dziś dopiero gdy ludźni być zaczynają raz pierwszy słyszą słowa: „milczćć bo są starsi“ i to dla czego? dla tego że pocziwie myślą! Czemuż nigdy niesłyszał tego rozmazany chłopiec napierający się najniepodobniejszych rzeczy? Ale wierz mi pani są i tacy jakimi kraj żaden pochłubić się niemoże, z tego kruszcza nieoczysszonego jeszcze, może być jasny świecący diament—i grzeszą ciężko ci co tego niewidzą, co uporem swoim do ostateczności własne dzieci popychają, i niedaj Boże abym był prorokiem, na wieki wygubić je mogą!

Długo tak mówił przybyły, Marynia słuchała go chętnie, bo każde jego słowo choć przedtem nigdy niesłyszane jak echo prawdy odbijało się w zacnym jćj sercu, a myśli wszystkie, choćby niedość rozwinięte, rychło rozwijały się w niepróźnej dziewczęcía główce.

Tadeusz tymczasem po swojemu głośnie rozprawił z młodzieńtkim koleżką, a gdy w kilka godzin potćm wszedł Marszałek, córka przedstawiła mu Pana Adolfa jakby już dawno znajomego sobie.

Obaj goście kilka dni zabawili w Zachorówce, wróciła i Marszałkowa z Leonką (p. Alexander z Ostapczyniec do matki pojechał) a że szlub niedłuzćj jak w zapusty miał się odbyć, zaczęto ruszać się około wyprawy, którą pani Wodzyńska od razu zajęła się gorliwie. Rozmarzona, rozpłakana po odjeździe narzeczonego Leonka, ciągle siedziała u fortepianu przygrywając ulubione Alexandra kawałki, lub rodzicom, siostrze, bratu i służącym wreszcie, ustawicznie o swym lubym prawiąc. Niemogąc tedy żadnej mieć pomocy z tćj swojej zwykłej prawćj rćki, matka zawezwała Marynię do pomocy i wtedy dopiero odjechał p. Adolf, chętnie obiecując Marszałkowstwu i Tadezowi rychły swój powrót. Gdy zaszedł powóz i p. Adolf weń wskoczył, długo, długo się oglądał jakby w niedawno obcym sobie

Zachorowieckim dworze coś swojego zostawił; młodziutki Adaś razy kilka coś do milczącego brata chciał przemówić, lecz nieodbierając żadnej odpowiedzi, otworzył wziętą u Tadeusza książkę i czytać zaczął, p. Adolfa własnym a zajmującym zapewne myśłom zostawiając.

Konie szybko biegły, tegoż dnia jeszcze minęły ostatnie Podolskie wioski, a nazajutrz przejechawszy brudny błotnisty Lipowiec, nad wieczór podróżni stanęli w Skwirskim powiecie, w Kiryłkach, ładnym p. Adolfa majątku. Dom duży piękny choć stary, ogród pomimo spóźnionej pory świadczący o ładnym położeniu i starannym utrzymaniu; w przedpokoju siedział, na stariej modląc się książce, siwowłosy kredencierz. Na widok sędziwego sługi, smutny całą drogę p. Adolf pierwszy raz się uśmiechnął.

— Cóż pocziwy mój Janie, wszystko u nas dobrze?

— A dobrze z łaski Pana Boga, tylko nam tęskno było za naszym panem, jeszcześmy się pana onegdaj spodziewali.

— No cóż! widzisz mój Janie! nad spodziewanie dłużej niż miałem zabawiłem na Podolu.

— Posłać panu po rządcę?

— Nie mój kochany, powiedziéć mu tylko aby jutro rano tu przyszedł.

— P. Adolf otworzył drzwi do dużej lilaradowej sali, gdzie zostawiwszy Adasia wyciągającego się na sofie, sam przeszedł jeszcze parę mniejszych i większych salonów i długi korytarz, wyjął klucz z kieszeni i otworzył nim drzwi do swego pokoju. Wkrótce za panem pospieszył stary Jan ze świecami, a na nowo zapytawszy czy nie posłać po rządcę i znowu odebrawszy odmowną odpowiedź, napowrót do przedpokoju odszedł. P. Adolf zamknął na klucz drzwi za odchodzącym sługą, świece postawił na wielkim starodawnym mahoniowym biurze i prosto poszedł do waziotkiego żelaznego łóżka, nad którym obok krzyża wisiał olejny duży portret nie-młodogo już mężczyzny. Stanął, ręce na piersiach złożył i wzrok utkwiał w ukochane zmarłego ojca rysy, jakby w nich chciał szukać rady lub też już tylko pochwały, niedawno zrodzonym zamiarom. Całą godzinę tak stał, potem rękę położył na oczach, głowę spuścił, później znowu wzrok na malowidło podniósł i jakby modlitwę cicho wymówił słowa: „O tak ojcie! gdybyś ty sam żył, niemógł byś mi lepiej wybrać!”

Nazajutrz. zaledwo szarzeć zaczęło, już pan Adolf był na nogach. Przeszedł rządcą, przyszedli i inni officialści, zbiegło się też i немало włóścian, a każdego p. Adolf jak brata witał, każdego

raportu uważnie wysłuchał, łagodnie uwagi swe porobił i każdy jak zawsze od p. Adolfa zadowolonym odszedł.

X.

Widzieliśmy p. Adolfa wchodzącego po raz pierwszy w Zachorowieckie progi, wiemy tedy że już miał do lat trzydziestu, że nie był piękny lecz pomimo to niepospolitą postaci; słyszeliśmy kilka słów pierwszej rozmowy jego z Marynią, domyśliśmy się reszty; widzieliśmy go nareszcie po powrocie do Kiryłek — lecz to wszystko niedostateczne, możeby jeszcze dowiedzieć się co z przeszłości jego. Przeszłość ta choć jeszcze nie tak długa, nie zbyt obfita była w wypadki, z których każdy jednakowoż, wpłynął na zrobienie p. Adolfa takim jakim go odmalować chcemy.

Lat temu wiele, bo przeszło czterdzieści, piękny jeszcze i bardzo bogaty, choć już ze szczytkami tylko ogromnej niegdyś po przodkach oddziedziczonej fortuny, hrabia Władysław Przyrębski, po burzliwej i niezbyt może oględnie na przyszłość przepędzonej młodości, ożenił się z ładną i pełną niepospolitych zalet choć ubogą szlachcianką. Rodzina cała krzyczała na ten mezalians, ale to p. Władysława mało obchodziło. Od nikogo niezależny, dawno robił co mu się podobało; a kiedy krewni niebronili mu dotąd tracić majątek i zdrowie i wyrabiać tysiączne niedorzeczności, niepojmował dla czego mieliby prawo stawiać mu opór, gdy pierwszy raz o rozsądnym postępku zamyślał. Niezważając na nic i na nikogo, prócz na siebie i na własne uczucie, ożenił się i był bardzo szczęśliwym. Młoda hrabina Przyrębska z pod słomianej wzięta strzechy, nieznająca wielkiego świata, nadto zrażona okazywaną sobie niechęcią przez wszystkich mężowskich krewnych, od razu po szlubie zamknęła się w domu, i pomału i męża doń przyzwyczaiła. P. Władysław poznał wkrótce, że jeżeli zdawało mu się że zbytnio świat lubił, to nie dla tego aby tak w istocie było, lecz że takie odebrał wychowanie, w takie wpadł towarzystwo, że wreszcie potrzebując coś lubić a niemogąc znaleźć swego przedmiotu tam gdzie go szukał, próbując wszędzie, długo rzucić się musiał na wszystkie strony, aż wreszcie na swoją żonę natrafił. W przeciągu kilku lat mieli troje

dziątek, najstarsze z nich kończyło już lat dziewięć, gdy nagle w jednym tygodniu Bóg je wszystkie zabrał, pomarły na grasującą w okolicy szkarlatynę. Pani Przyrębska, spodziewająca się na ten czas czwartego dziecka, omal że od razu nieskonała nad tymi trzema trumienkami; miłość i starania męża, rady najbieglejszych lekarzy nie zdołały jej życia nad kilka miesięcy podtrzymać, a wydawszy na świat ledwo żywego synka, sama w godzinę potem za zmarłemi dziećmi pospieszyła. Hrabia Władysław wszystkie te straty przeniósł jak należało na chrześcianina i ojca, pamiętne go że go jeszcze choć mała latorośl z minionym szczęściem i życiem łączy.

W przeciągu kilku dni posiwał jak siedmdziesiąt letni starzec, choć zaledwo pół wieku liczył, lecz ani na żony ani na dziątek pogrzebie lzy jednej nieuronił, a ze spokojną choć bladą twarzą z ostatniego pogrzebu wróciwszy, zaraz jak najczulsza matka małym Adolfkiem się zajął. Przez kilka lat słabe i ciągle zapadające dziecię ustawicznie śmierci wyrwał. Najmądrzejsi lekarze utrzymywali że działa się to chyba cudem, bądź co bądź po wielu trudach i staraniach niemających, Adolfek znacznie zmęźniał i ojciec zajął się nową okolo umysłu jego pracą. W tém jak i w pierwszym obowiązku swoim nieadał się nikomu wyręczyć — od ożenienia mało gdzie bywał, po śmierci żony resztę pozostałych stosunków zerwał, od rodziny odstręczył się, bo miał żal do niej że jego Anny ocenić nieumiała, i Kiryłki na wielką wygodną pustelnię wyglądającą, za dojsciem Adolfka do siedmiu lat w prawdziwą szkołę zamienił.

Przyjął kilku nauczycieli, wziął kilkoro swych officialistów chłopaków, w jednym wieku z Adolfkiem będących, i wszystkiemu sam z największą pilnością przydując, po swojemu a dobrze jednaka kształcił. Adolfek pod okiem czulego, nad życie go kochającego lecz wcale niepobłażliwego ojca, wśród równych sobie wiekiem kolegów, zdolny i chętny (bo syn p. Przyrębskiego nieśmiał nawet przypuścić aby inaczej być mogło) szybko postępował w naukach, i w dwunastu leciech zdawszy egzamin do czwartej klasy, zawsze pod okiem ojca do szkół chodzić począł. Te chlubnie skończywszy, przeszedł do Uniwersytetu. I tam p. Przyrębski nieprzestawał nad jedynakiem czuwać, a po zupełnem skończeniu nauk, podał się o paszport i dla miłości dziecka, nieszczęściami wyrobiony w sobie wstręt do świata przewyciężając, wybierał się z Adolfem w podróż za granicę. Uważał to za ostatni swój obowiązek i pragnął go najrychlej dokonać, bo czuł że siły ubywają i wiek podeszły o zbli-

zeniu się śmierci przypominał. Lecz Bóg inaczej rozrządził. Na parę tygodni przed wyjazdem, gdy już wszystko do podróży gotowem było, zacny ojciec przeziębwszy się na polowaniu, gdzie jak wszędzie pomimo wieku synowi towarzyszył, dostał pleury i w kilka dni zakończył życie.

Do wyzionienia ducha największą zachował przytomność, na chwilę przed skonaniem, po przyjęciu świętych sakramentów błogosławił kłęczącego przy łożu jedynaka i ostatnie słowa jego były.

— Dziecię moje! wychowałem cię od pieluch jak mogłem i myślałem najlepij, mam w Bogu nadzieję że na tym i na tamym świecie wstydu mi nie zrobisz. Myślałem że będę mieć siły choć parę lat jeszcze czuwać nad tobą, lecz kiedy Bóg niechce tego, niech się dzieje święta wola Jego, a opatrność niech w przyszłości miejsce moje zajmie, i ufam że dobrze będzie. Proszę cię tylko synu: miej zawsze ufność w Miłosierdzie Boże! a błogosławieństw ojca zawsze gdziebyś niebył przy tobie będzie. Wychowałem cię daleko od świata i dziś żałuję tego, bo świat choć brudny, zawsze w nim do czasu żyć potrzeba. Poznaj, go tedy sam a duch mój w tój drodze zawsze ci towarzyszyć będzie. Żyj z ludźmi bo młodemu to przystoi, ale żyj z nimi nie dla nich, rozumiesz dziecko, — opinii świata nigdy nie ośmiel się lekceważyć, bo to nigdy bezkarnie nie ujdzie, lecz szanuj ją i dbaj o nią o tyle tylko, o ile to z twym sumieniem i ze wszystkimi obowiązkami Twymi zgodnem będzie!

Adolfa nieprzytomnego oderwał zaledwo od zwłok ojca stary sługa Jan. Długa i silna była rozpacz młodzieńca, jak wielka i silna była jego dla zmarłego ojca miłość. Czuły, potrzebujący i umiejący kochać, Adolf w ojcu tracił zarazem ojca najlepszego, matkę najczulszą, przyjaciela najserdeczniejszego. Gdy słaby, zaledwo żywy chłopaczek pierwszy raz zaprobował podnieść się z poduszek, pierwsza istota ludzka którą wzrok jego napotkał, był to ten nie wiekiem lecz boleścią posiwiwały starzec. Dotąd na chwilę niebył bez ojca, a teraz obcy wśród obcego mu świata zostawał sierotą, i czuł sieroctwo swoje! Ale był to godny syn pana Przyrębskiego, i miał umierający słuszność mówić, że się go na tym i na tamym świecie niepowstydzi.

Wiadomość o śmierci odludka dziwaka, hrabi Przyrębskiego, zaraz gruchnęła po okolicy, krewni i sądziedzi zaczęli się zbliżać do młodego sukcesora pięknych Kirgitek i niemałych jak mówiono

kapitałów. Młody, dziki, zapewne niedoświadczony (tak o nim mniemano) a więc tedy każdy zawczasu swój a odrębny plan układał. Rodzina chciała w nim odzyskać to co w ojcu straciła i poprobować, czy z tego z zaściankową krwią w żyłach panicza, nieuda się jój czystego hrabięgo sporządzić. Sąsiedzi każdy po swojemu różne robili projekta, ten chciał go z córką żenić, tamten w interesach doradzać i t. d. i t. d. Adolf każdego uprzejmie przyjmował, za radę dziękował, lecz miał już wtedy lat dwadzieścia trzy, był wychowancem ojca swego, synem zacnej, świętej choć nieznannej mu matki, dla niego poradą najlepszą było wspomnienie długich a mądrych z doświadczenym ojcem rozmów, wskazówką w postępowaniu ostatnie umierającego słowa.

Do rodziny ojcowskiej i do wszystkich jój wysokich koligacji, po obojgu rodzicach nieprzyzwyczajony niczém wstręt odziedziczył, a poznanie bliższe wszystkich tych ludzi, jeszcze go w dawnych przekonaniach lepiej utwierdziło. Raziło go w nich wszystko, zacząwszy od tego encyklopedycznego pół Polskiego pół Francuzkiego wychowania, skończywszy na zupełnym braku ducha, którego jedyna pozostała w nich isierka samolubstwem zwała się najczęścięj.

Jedna istota do której przynajmniej trochę mógł przylgnąć, była wdowa po stryju a matka jedynaka, znajomego już nam Adasia, i Adasia polubił serdecznie, a po powrocie z kilkoletniej za granicą podróży, niezastawszy już stryjenki, sierotą jój zajął się jak bratem rodzonym. Sam przygotował go do uniwersytetu, umieścił tam i jak mógł najczęścięj do Kijowa dojeżdżał, i jak niegdyś ojciec nad nim, tak on teraz nad stryjecznym bratem czuwał. Zagranicą i w kraju wszędzie jako bogata partja do najpierwszych towarzystw chwytny p. Adolf nigdzie tam nieznalazł swego przedmiotu. Zabiegi wszystkich tych lalek udających uczucie lub niezadawających sobie nawet tej pracy, niecierpliwiły go tylko i nabawiły do kobiet bodaj czy nie równym wstrętem temu, jakim w żywocie swoim jeszcze do arystokracji nakarmiła go matka, a choć pamiętał że mu ojciec mawiał iż najlepšíj za młodu się ożenić, niemiał do tego najmniejszej ochoty; byłyby przysiągł że zawsze kawalerem zostanie. Gdy jedną razą, w przejeździe przez miasteczko Żabin, wstąpiwszy do tamecznego kościołka ujrzał Marynię kłęzącą obok pani Krzywińskiej — zaraz zapytał ktoby to był taki i odtąd choć niepięknych rysów i skromna postać Maryni, jój oczy tak szczerze, serdecznie w ołtarz wpatrzone, niemogły zejść mu z myśli. W rok potem, z powodu umieszczenia Adasia w uniwersytecie częste mając stosunki

z uniwersytecką młodzieżą, poznał Tadeusza Wodzyńskiego. Uderzyło go jak to sam Maryni powiedział wielkie Tadzia z siostrą podobieństwo, potem miał zreczność czytania u niego piękne listy Maryni których treść już doskonale go dla dziewczyny usposobiła, i przeczuł że taką ale taką tylko mógłby kochać, i odebrawszy od Tadeusza zaprosiny do Zachorówki, jak widzieliśmy skwapliwie z takowych korzystał. Kilka dni przepędzonych u pp. Marszałkówny, rozmowy z Marynią, smutek rozlany na łagodnych i rozumnych jej rysach, dobroć jej tak ogólnie wszystkim okazywana, wreszcie ta jakaś niewytłómaczona sympatia którą od pierwszego często poznania czują do siebie dwie nieznajome sobie dotąd istoty, aż nadto wytłómaczyły p. Adolfowi dla czego tak dotąd dla wszystkich kobiet obojętny, nieprzyjazny nawet, Marynię raz ujrzawszy, zapamiętał. Dla czego zawiązał stosunki serdeczne z tak niższym od siebie a z twarzy do siostry podobnym Tadzciem, dlaczego wreszcie tak mu ciężko było z Zachorówki odjeżdżać i tak pragnął doń wrócić. Niedługo też zabawił w domu i przed zapustami jeszcze razy kilka powtórzył odwiedziny pp. Wodzyńskich. Oboje Marszałkówna za każdą razą witali go z największą uprzejmością: sama, bo od razu poznała jego zamiary i pochlebiało jej dumie że nielubiona nawet córka zostanie żoną bogatego hrabiego—sam, bo mu żona powiedziała że to potrzebne dla jej widoków, o które pan Kajetan nawet niepytał, tak był pewien że niebędą bez korzyści.

A Marynia? Marynię uderzyła od razu niepospolitość p. Adolfa, czuła dobrze iż podobnego jemu młodzieńca nigdy przedtem niespotkała. Gdyby na kilka miesięcy przedtem go poznała, byłaby może w nim odgadła prawdziwy swój ideał którego widzieć zapragnęła w miernym p. Alexandrze; lecz dziś było już zapóźno, dziś czuła Marynia że już dla innego mężczyzny choćby najwyższego, na inne prócz przyjaźni uczucie biedne jej serce niezdobędzie się nigdy. Grzeczności Adolfa przyjmowała spokojnie, uprzejmie, czule nawet, bo zawsze każdemu wdzięczną była za okazywaną sobie przychylność za którą tęskniła, bo tej nawet rodzice nieokazywali jej nigdy.

Lecz z razu ani pojmowała, aby w tej widocznej dla siebie kawalera życzliwości mogło być co innego nad braterską sympatię. Zdradzona przez kochankę któremu z całym młodzieńczym zapałem była uwierzyła, nieprzypuszczała nawet, aby kiedy mogła kogo natchnąć prawdziwą dla siebie miłością; bo miłość o jakiej Marynia czas jakiś marzyła, to było to święte nadziemskie jakieś uczucie, to wieczne a silne spojenie dwóch dusz, jakie na świecie niespotyka się często lub ... nigdy może!

Dla czego ta wyższa, anielska dusza, polubiła ładnego eleganta P. Alexandra? Na to odpowiedź trudna, znaleźć jęj w słowach niepodobna, a szukać chyba potrzeba w tych licznych choć niezrozumiałych dotąd przykładach, owych silnych i stałych uczuć tylu istot wyższych, dla często mniej niż niższych od siebie osobistości. Mówiąc z p. Krzywińską o Maryni i p. Alexandrze X. Lewiński powiedział: „Marynia bardzo pokochała tego waszego Olesia, natrafił on na ową niebezpieczną dla młodej dziewczyny chwilę kiedy serce rozmarzone, wyobraźnia rozbijała, z upragnieniem szukają celu i znajdują go często tam gdzieby znaleźć niepowinny, bo lepszego warte.“ A X. Lewiński jeżeli objawiał jakie zdanie, to zdanie na- byte pewno długiem i dobrém doświadczeniem.

XI.

Zbliżał się dzień szluby Leonki; wyprawa była ukończona, eleganckie powozy pana młodego od kilku dni przysły, goście licznie przez Marszałkostwa sproszeni zjeżdzać się poczynali, w ich liczbie naturalnie jednym z pierwszych p. Adolf. Czekano tylko na pana młodego i na jego matkę, a wiadano że już oboje są w Ostapczyńcach. P. Krzywińska pod pretextem że od śmierci córki i męża żałoby niezruciała i unikała wszelkich liczniejszych zebrani, pomimo nalegań braterstwa, odmówiła przyjazdu swego do Zachorówki. Leonce jako przyszłej siostrzenicy s. p. męża, przysłała wszystkie a piękne brylanty od niego niegdyś w darze otrzymane i błogosławieństwo szczere, serdeczne, jak każde słowo, każdy czyn zacnej tej kobiety. Leonka ucieszyła się brylantami, niemniej téż uradowały one Marszałkowie, radą w duchu że siostra mężowska, w sekrecie przez nią zwana nudną dewotką, niebędzie jęj swoją obecnością trudzić. Wigilją zapustnej niedzieli zaledwo zmierzchać się zaczynało, rześiste trzaskanie z bicia, nagły potem ruch w przedpokoju a nadewszystko rumieniec Leonki, zwiastowały wszystkim zebranyim że już i ostatni goście przybyli, a w chwilkę potem wszedł do salonu p. Alexander z matką. Pani Wolicka była to sobie bardzo dobra kobieta, siostra ukochanego przez p. Krzywińską męża, bar-

dzo lubiona od brata, a przeto serdecznie od bratowej kochana, lecz sobie kobieta jak wiele kobiet! a jak wszystkie prawie matki do zbytku do syna przywiązana. Dla niej, Oleś tego chce, Oleś tak zrobił a więc to dobrze — było całém prawem; p. Krzywińskiej za jęj przyjaźń odpłacała całą czułością miękiego swego serca. Po woli Olesia, pierwsze miejsce zajmowała u niej wola lub życzenie tylko bratowej, to téż radośnie przyjęła projekt ożenienia Olesia z Marynią, a gdy się to zerwało, uwierzywszy co do joty słowom p. Krzywińskiej, która niechciała przed nią całej prawdy odkrywać, w obawie zrażenia jęj do rodziny a szczególnie do matki przyszłej synowej, rada nadto że Oleś z téj zmiany kontent, sama się tém cieszyła, o nic więcej niepytając. Radośnie tedy powitana przez Marszałkostwa, narzeczonę syna uściskała czule, a Marynią, jakby nic więcej niepamiętając nadto że była jęj dawną znajomą, do serca przycisnęła.

Pan Alexander niemniej kontent i spokojny po bratersku przyszlęj siostrze rękę podał.

Zdaleka na całe to przywitanie, pilnie patrzył p. Adolf, znać doszły do niego niektóre podania wyszłe jak się zdaje z Ostapczyńnic od panny Anastazji, bo gdy p. Alexander zbliżył się do Maryni, przenikliwy wzrok pana Adolfa dostrzegł zapewne że się dziewczyna zmieszala. Zagryzł wargi, zmarszczył czoło i długo czegoś smutny chodził.

Nazajutrz przed bogato i gustownie przybranym ołtarzem, stanął Xiądz w stule a przed nim piękna Leonka z P. Alexandrem. Xiądz zaintonował *veni creator*: państwo młodzi, rodzice i przybyli ukłękli, a gdy wszyscy jak to zawsze bywa wpatrzyli się w ładną pannę młodą, p. Adolf znowu utkwiał swój wzrok w kłęzącej za Leonką Maryni, zdawało mu się że twarz jęj choć obiema rękami zakryta blada i że cała postać drżała nienaturalnie—i mocniej jeszcze niż wczoraj brwi zmarszczył i więcej posmutniał.

Po szluby nastąpił obiad, liczne zdrowia, wiwaty, potem tańce dla młodzieży, dla starszych karty i rozmowa. Wszystkie Zachorowieckie salony pełne były łaskawych (jak się wyrażał Marszałek). W dużej sali tańcowano, dalej znowu pełno było około kilku zielonych stolików, a wśród tego wszystkiego nietańczący ani grający, w grupy podzieleni, bawili się każdy wedle swego usposobienia? Tu kilku z możniejszych obywateli i mniejszej szlachty o gospodarstwie, urodzajach i niedawno odbytych wyborach gwarzyli. Tam małżonki tych panów krytykowały sąsiadek stroje, powtarzały sobie

skandaliczne ploteczki i miłosiernie kosztem bliźniego jak mogły się bawiły. Tam znowu w ostatnim niewielkim saloniku, zebrało się kilkunastu młodzieży i paląc doskonale cygara, jedni leżąc drudzy chodząc po pokoju, z zajęciem słuchali opowiadań zfrancuziałego jakiegoś panicza, który w lakierowanych bóciakach, z bródką ślicznie wymuskaną, paryzkim akcentem prawił o sukcesach za granicą jakiejś tam naszej piękności. W tymże saloniku lecz daleko od hołdującej lakierowanemu francuzowi grupy siedział p. Adolf, smutnie o polityce rozprawiając z niedawno zagranicy przybyłym poważnym obywatelem. Marynia czas jakiś została w sali gdzie tańczono, bawiła przybyłe panny, tańcowała gdyż Marszałkowa chciała tego, śmiała się nawet; potem matkę wyręczała w rozsyłaniu herbaty, lodów i cukrów; pod koniec dopiero mogła się wymknąć do siebie i tam swobodnie nad upłynionym dniem podumać.

Kilka dni luźno było w Zachorówce, aż wreszcie zaczęto się rozjeżdżać. PP. młodzi nawet pojechali do Ostapczyniec do ciotki, z kąd już prosto mieli się udać na Wołyń gdzie ich poprzedziła p. Wolicka. P. Wodzyńska bardzo płakała pierwszy raz rozstając się z ukochaną córką, młoda p. Wolicka płakała także, lecz zaledwo za bramę wyjechała, już w uścisku szczęśliwego męża niepamiętała o tylko co wylanych łzach własnych i pamięć żalu matki, jak przykre jakie wspomnienie, jak mogła daleko odpedzała od siebie.

XII.

Jak pierwszy przybył tak ostatni prawie odjechał p. Adolf, ciężko mu było oderwać się od Zachorówki, walczył z sobą razy kilka; chciał z Marynią pomówić lecz go zawsze wstrzymywały podczas wesela zrobione spostrzerzenia i odjechawszy, ze trzy miesiące wcale się w Zachorówce niepokazał. Aż nareszcie gdy się go nikt już niespodziewał, jednego pięknego wiosennego poranku, zjawił się niespodziewanie blady, widocznie długą zmęczony walką. Wszyscy cieszyli się jego przybyciem nawet Marynia, która w czasie wesela siostry nakoniec zaczęwszy się prawdy domyslać, znacznie go zimniej poczęła traktować.

Lecz długa kawalera niebytność wróciła jój dawne przekonanie że to przyjaźń tylko i tęskniła za rozmowami z Adolfem i smutno jój było bez niego. P. Adolf uradowany tym dobrym przyjęciem, dawną swobodę odzyskał a korzystając z pierwszej dobrej pory, zastawszy raz Marynię samą w ogrodzie, wynurzył jój swoje uczucie.

Marynia usłyszawszy nieoczekiwaną deklarację więcej się zdziwiła niż zmięszala — smutnie zwiesiła głowę na piersi, potem z cicha zapytała.

— Czy pan rozumiesz dobrze co to jest miłość?

— Gdybym tego nierozumiał niemówiłbym pani dzisiaj o mojem dla niej uczuciu.

— Wierzę panu, wierzę dla tego jedynie że od pierwszego widzenia zawsze panu wierzyła, że przeto ufam mu jak może niewielu tu na świecie ludziom. I dla tego właśnie powiem panu że i ja też pojmuję co to jest miłość. Jest to uczucie nieziemskie a przeto o tyle tylko święte, o ile dwoje łączących się dusz sobie bezwarunkowo są oddane, o ile przeszłość obojga czysta, bez żadnej skazy, bez żadnego innego wspomnienia prócz o ideale którego wspólne urzeczywistnienie wzajemnie oboje kochankowie widzą w sobie. Inaczej to nieuczucie, lecz świętokradztwo, podły rachunek czasem, lub oszukaństwo nakoniec! I dla tego panie Adolfe ja już pańskiej miłości przyjąć niemogę, bom niegodna jój odpowiedzieć, bo nim pana poznałam, kochałam innego, bo zdradzona później, już więcej kochać niezdolnam... a pan wart jesteś aby cię kochano! I Marynia uciekła do domu!

Adolf kilka dni jeszcze bawił w Zachorówce, kilka razy znowu błagał Marynię, lecz nic niepomogło. Na nic się zdały łzy jego, na nic prośby Tadeusza, nalegania namówionego przez żonę Marszałka, na nic wreszcie gniew Marszałkowej pragnącej bardzo pozbyć się Maryni — dziewczyna stała przy swoim uparciu i Adolf ostatecznie zawsze odmowną odebrawszy odpowiedź musiał odjechać. W kilka tygodni potem dowiedziano się, że wyrobiwszy sobie paszport wybrał się w podróż za granicę.

XIII.

Kilka lat minęło, w przeciągu tego czasu niemałe wśród wszystkich naszych znajomych zmiany zaszły. Marynia po odjeździe Adolfa jeszcze mniej niż przedtém od matki lubiona, najczęściej przebywała przy z dniem każdym słabszej ciotce. Niedługo jednak cieszyła się tém schronieniem, skolatana tyłu boleściami życia, p. Krzywińska opuściła ten świat, wszystkich żegnając, bo duszy jej spieszno było do Boga i ukochanych zmarłych którzy ją tam poprzedzili. Testamentu nie zrobiła żadnego, a rozporządziwszy tylko niektórymi mniejszymi kapitałami na rzecz sług starych i ubogich, cały majątek dostał się, nie jako dawniej być miało jednemu tylko z dzieci pp. Wodzyńskich i Alexandrowi, lecz Alexandrowi część po p. Krzywińskim, a po niej samej spadek zarówno odziedziczyli Tadeusz, Marynia i Leonka. Wkrótce za siostrą pospieszył także tak mało do niej podobny brat. Przeziębivszy się na jarmarku i dostawszy przytém niestrawności po jakimś kompromisowskim objędzie, zachorował Marszałek na gorączkę i w kilka dni niebyło już Marszałka, a tylko zwłoki jego, które rodzina uczciła świętym pogrzebem; a wielbiciele pamięć guberskiego koryfeusza szumnymi, po wszystkich gazetach rozsyłanymi nekrologami, potomności przekazali.

Państwo Wolicy po swojemu byli szczęśliwi, a choć p. Alexander za często trochę to do Żytomierza to do Kijowa jeździł i tam zbyt długo siadywał, Leonka umiała jakoś to sobie tłumaczyć, a wreszcie coraz robiąc się podobniejszą do matki czyż mogła dbać o podobne rzeczy? Tadeusz skończywszy uniwersytet i po śmierci ojca zacząwszy gospodarować w Zachorówce, jak dawniej kolegom tak teraz matce coraz więcej dawał się powodować, i kto wie? gdyby inne czasy, możeby wstępując w ślady ojca i sprawdzając jego o sobie przepowiednie, jak on zapragnął popularności; lecz jak to powiedzieliśmy nie te były już czasy. Pan Tadeusz poprzestawać musiał na gorliwém gospodarowaniu, zabezpieczeniu majątku od straty mogącej nastąpić z powodu nowych reform, stosując się do okoliczności głęboko zamysłał o płodozmianie i.... namawiany przez

matkę marzył o bogatém ożenieniu! Marynia jedna zawsze tą samą została, tylko więcéj jeszcze spoważniała, a dłużéj cierpiąc, z rokiem każdym doskonalszą była. P. Wodzyńskę w miejsce cieszyć gniewała ta wyższość starszój córki, przykre mi dla niej były znaczące westchnienia starój p. Wolickiej, gdy ta na Marynię patrząc widocznie porównywała ją w myśli z niebardzo już kochaną synową, niemniej raziły ją znaczące także wyrwywające się czasami lekkiemu Alexandrowi narzekania. Radaby była zbyć się Maryni, wydać ją bądź za kogo byle daleko!

O p. Adolfe długo niesłyszano w Zachorówce, aż wreszcie dowiedziano się że powrócił z zagranicy, a następnie, że jest w Kijowie.

Jednego wieczora, gdy Marszałkowa z Marynią obie robotą zajęte, milcząc jak zawsze gdy we dwie były, siedziały w salonie, wszedł p. Tadeusz z gościem, który nawiasem mówiąc był to ten sam sędzia z którego niegdys student tak się naśmiewał. Pan sędzia wracał właśnie z Kijowa i liczne z tamtąd przywoził wieści—p. Wodzyńska i Marynia skwapliwie o wszystko pytały:

— A cóż pani Marszałkovo Dobrodziejko, źle i basta: ale opuszczając rzeczy o których wszyscy wiemy — powiem tylko o jedném nieszczęściu, które mnie najmocniej udręczyło. Hr. Przyrębski — wspólny państwa i mój znajomy ociemniał zupełnie. Tam opuszczony w tak młodym jeszcze wieku, zacny ten człowiek, prawdziwe wzbudza politowanie.

— No i niema kogo co by się zajął nim, cóż rodzina? został kaleką nieuleczonym.

— Cóż rodzina? bliżkiéj bardzo niemiał, dalsza cała za granicą sobie spokojnie siedzi i nigdy tam niebyło wielkiéj serdeczności między nimi... bo to dziwak był ten Adolf! Jedyny z którym się kochał to był młody Adaś, ale i ten już nie żyje...

Sędzia daléj o innych opowiadał, lecz mileżąca Marynia nic już niesłyszwała, a gdy gość po wieczery odjechał, poszła do siebie. Tam odesławszy służącą długo po pokoju chodziła, biedna! nieśmiała się nawet kogo poradzić! kanonik Lewiński już nieżył, a wiemy że w ważniejszych razach on był jéj najlepszym ratunkiem. Pozostała jéj tylko modłitwa i wczasie znajomój nam spowiedzi, w upominku przez Xiędza dana małeńka o naśladowaniu Chrystusa książeczka. Na téj książeczce na okładkach, własnoręcznie X. Le-

wiński różne moralne zdania ponapisywał i te Marynia często odczytywała. I teraz zbliżywszy się do ołtarzyka, wzięła książkę i otwórzwszy, od razu natrafiła na ten piękny z pierścionków babuni wypis: „Życie kobiety mieści w sobie więcej uczuć niżli zdarzeń, więcej smutków niż rozkoszy, ona nieprzyszła na ziemię aby używać, lecz aby drugim napełniać kielichy wesela.“ Ukłękła potem, czas jakiś się modliła, zawołała służącą, a dowiedziawszy się od niej że Marszałkowa niespi jeszcze, śmiałym krokiem poszła do matki. Pierwszy raz może w życiu matka z córką tak długo rozmawiały, i pierwszy raz także po dłuższej z sobą rozprawie obie równie spokojnymi były. Nazajutrz Marynia napisała dwa długie listy—p. Wodzyńska przypisała się do obydwóch, i obydwaj w jedną kopertę włożone, umyślnym do Kijowa wyprawiono. Jednym z tych pism był list do młodej a krewniej Adolfa p. L. znajomej rodziny Wodzyńskich, drugim odezwa do samegoż Adolfa. We dwa tygodnie potem pani L. przyjechała do Zachorówki, po to, by Maryni osobiście od siebie i Adolfa oświadczyć odpowiedź. Długo, powiedziała, wzbraniał się Adolf, długo niemożna go było namówić na przyjęcie proponowanej ofiary, aż nareszcie naleganie pośredniczki przemogło, a może zawsze stałe uczucie.

Cóż więcej powiemy.....

Matka Maryni jak zawsze bardziej zajęta Leonką, która trzecciej właśnie spodziewała się słabości, nie mogła zawieźć ją do Kijowa — gdzie biedny Adolf złożony kalectwem oczekiwał wspaniałomyślniej przyjaciółki — pojechała więc zaraz z panią L. i w kilka tygodni potem święty węzeł połączył ją z nim na zawsze.

Śmierć to życie.

„Odstapcie, albowiem nie umarła dzie-
weczka, ale śpi.“ Św. Mat. IX 18, 26.

O! jam umarła, a na pogrzebie,
Grała mi cudnie fletnia pastusza,
Świeciło słonko na jasnym niebie,
Melodją, światłem płynęła dusza.
Przezystym dźwiękiem w niebo płynęła
Białym obłoczkiem do Bożej łaski,
Jak promień słońca w górę trysnęła
I wnet ją tęczy objęły blaski,
I była wielka radość na niebie!..
Ludzie płakali na mym pogrzebie,
A jam to wszystko czuła, widziała,
Jak nie umarła, jakbym tylko spała!..
O! jam konała, z wielkiej boleści,
Czy też z tęsknicy za niebem jasnym.
Co bólów i łez świat jeden mieści,
Jam przeboleła mém sercem własnym.
A... i konałam... U mego łoża
Stała rodzina, stroskana matka,
Stała przyjaciół wiernych gromadka,
Nad nami miłość czuwała Boża.

W zdętwiałą rękę gromnicę dali,
 Co jakoś smutnie, smutnie gorzała,
 I wszyscy ze mną rzewnie płakali,
 Że mi się dola krzyżem zламаła.
 Jam jedna tylko była wesola,
 Choć oczy zaszyły łez chmurą ciemną...
 O! bom ja czuła, w górze nademną,
 Czuła, widziała stróża anioła,
 Jako białemi skrzydły swojemi,
 Niesie do Boga duszę z tój ziemi!
 I tak mi było błogo i święto,
 Jak gdy bywało nosę ofiarę,
 Albo pokorą z niebios natchniętą,
 Chylę do ust mych goryczy czarę,
 I nie narzekam, w ciężkiej boleści,
 Dźwigam krzyż Pański dla Bożej cześci!..
 O! jam konała w wielkiej miłości,
 W wielkiej ufności, Boga litości!..

A był to cudny dzionek majowy,
 Słonko się kryło już na zachodzie,
 I po za wioski lasek brzoźowy,
 Jaśniało światło w liściach i chłodzie.
 Jam się prosiła: „okno otwórzcie,
 „Wpuście mi słońca, powietrza wpuście,
 „Tak mi tu duszno, niechaj ostatni
 „Raz, ujrzę jeszcze promyczek bratni.“
 Otwarto okna, blaski złotemi
 Błysnęło słońce nad oczy mémi;
 Błysnęło chwilę i poza chmurą
 Skryło się jakoś smutno, pcnuro.
 Dzwonek zajęczał, to na pacierze,
 Niech Bóg od złego ludzi ustrzeże!
 I dźwięczał dzwonek, jęczał nad wioską,
 Codziennym znojem, powszednią troską.
 Z promieniem słońca i dzwonu jękiem,
 Jam z krzyżem w dłoni śmiercią usypiała,
 Dusza w niebiosy uleciała dźwiękiem,
 A nad umarłą rodzina płakała,

O! jam umarła, a na pogrzebie,

Grała mi cudnie fletnia pastusza,
 Świeciło słońko na jasnym niebie,
 Melodją światłem płynęła dusza!...

Pogrzeb dziewicy, to jak wesele,
 Jakoby w święto na mszy w kościele
 Gwarno i tłumno... W sosnowej trumnie
 Złożono dziewczę. w białe ją suknie,
 Niby obłokiem ze mgły odziano,
 Zielony z myrtu wianeczek dano.
 W białe, wychudłe, skostniałe ręce
 Kładli jej krzyżyk, a gorejące
 W około trumny świece stawili.
 Wszyscy płakali, wszyscy się modlili.
 Wietrzyk przez okno lekko powiewał,
 To igrał z światłem, to szatę rozwiewał,
 Albo przynosił daleki, daleki...
 Śpiew ptasząt głośny, wesoly, z za rzeki...
 Że rozbrzmiewała od śpiewu brzezina —
 A jani to wszystko czuła i widziała,
 Jak nie umarła, jakbym tylko spała —
 Boć życie ducha śmiercią się poczyna!..

Trzy dni tak stałam w trumnie sosnowej,
 Wśród światła, pieśni i kwiatów woni,
 I w mój weselną koronę myrtowój,
 Czekałam chwili, gdy dzwonek zadzwoni,
 I przyjdą wszyscy godów weselnicy,
 Przybiegną družki, czarni żałobnicy.
 A przyszli wreszcie, wszedł i ojciec stary,
 Zbliżył się do mnie, całował me czoło,
 I rzekł mi prawie, och! prawie wesoło,
 Choć mu łzy rzewne, serdeczne się lały;
 „Zegnam cię dziecię, dziej się święta wola,
 „Nie moja Panie, lecz po wszech czas Twoja.“
 Przyszła i matka, nad trumną stanęła,
 I tak boleśnie, boleśnie jęknęła,
 Jakby tam w duszy rwały się jej struny —
 Zamknąć nie dała wieka mojej truny,
 Ale z rozpaczą siwe włosy rwała,
 Nic nie mówiła, lecz strasznie płakała!

I przyszedł brat mój, a brat ukochany,
 Dziś jak od burzy wichrem dąb złamany;
 Płakał i mówił: „siestro! módl się zamną,
 „Jakoś się tutaj modliła pieśniami.
 „Droga do nieba daleką i czarną,
 „A słońce chowa się za mgły chmurami.“
 I przyszły siostry, towarzyszki moje,
 Każda przyniosła podarek weselny,
 A trzy ich było, trzy boże dziewoje.
 Żał mnie za niemi ściszał tak niezmierny,
 I chociaż dusza czuła się szczęśliwą,
 Zrzuciwszy z siebie ciężkie życia pęta,
 Żał ję tam było za tą miłościwą,
 Rodziną swoją, co bólem przejęta
 Wiele cierpiała, a jam to widziała
 Jak nie umarła, jakbym tylko spała!..

Zabito trumnę i w dół ją spuszczone,
 Czarnym krzyżykiem miejsce naznaczone,
 Krzak polnej róży, jedna brzoza biała,
 Po nad mogiłą smutny cień rzuciła!..

Śmierć ach to życie, a życie w wieczności,
 Świętej i wielkiej, nieznannej miłości —
 Dusza gdy zbiegnie do nieba płomieniem,
 Czystej modlitwy, jakby Bożem tchnieniem,
 W tysiąc się dźwięków po śmierci rozleje,
 Jak z wieńca kwiatów listeczki rozwieje.
 Szczęśliwy stokroć! czyj wieniec bogaty,
 W same łzy bólu same białe kwiaty.
 Chociaż umarła, o! jam żyła jeszcze!
 Życie to było niezemskie, z za świata,
 Tęły w niem wszystkie jasne czucia wieszczę,
 Jakby je złała łezka z lilji kwiatu.
 I choć aniołów zwałam braćmi swemi,
 Czułam się w każdym kwiatku i roślinie,
 W kropelkach rosy i leśnej ptaszynie.
 I w sercach ludzi, gorzałam miłością,
 A wielką wiarą i wielką ufnością.
 Wszak nam to jasno, zdawna powiedziano:
 „Temu co kocha wiele będzie dano.“

A jam kochała ludzi tu, na ziemi
 Chociem aniołów zwała: „braćmi“ swemi.
 A dusza moja wieniec w Bożym ręku,
 Rozwiął listeczki, w świetle, kwiatach, dźwięku.

Kielce.

Liljana.

ŚMIERĆ WANDY.

Obraz Piotrowskiego.

Śmierć Wandy p. Piotrowskiego jest pierwszym obrazem, który Dyrekcja Krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych zakupiła do zbiorów swoich, z funduszu przeznaczonego na nabywanie lub zamawianie do Galerji Towarzystwa dzieł sztuki, treści pomnikowój. Zaszczyt jaki spotkał naszego Gdańskiego artystę powiększony został i tym jeszcze, że podług obrazu jego została zrobiona rycina na miedzi, której odbicie członkowie Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych jako premium za rok 1860 otrzymali; z fotografii tego obrazu pochodzą wszystkie kopje, tak drzeworytnicza w Tygodniku Illustrowanym, jak téż i nasza litografowana w obecnym Noworoczniku. Rycina jednak czarna choćby najdoskonalsza nie może dać dokładnego wyobrażenia o obrazie, szczególnie zaś o powabie kolorytu ożywiający go; najnowsze usiłowania zastosowania fotografii do otrzymywania palonych kwasami blach rytowniczych, obiecują nam wprawdzie matematycznie ścisłą dokładność kopji obrazów, nie będą mogły jednak dać nic więcéj nad czarną



Mal. Piotrowski

Odbito w Lit. A. Narvonkowskiego i S^z

Lit. W. Dämler

WANDA

rycinę, acz bardzo dokładną, niemniej przeto wymagającą dopełnienia kolorytu pamięcią na obraz, który się wprzód już oglądało.

Wykonanie Wandy, jako pomysłu pełnego natchnień wyższej poezji i wzniesłego uczucia, nie pozostawia nic do życzenia. W obliczu Wandy dziwnie piękną, a głęboko kobiecą, przemawia rzewny wyraz żalu za życiem i młodością, a razem i entuzjazm niezłomnego postanowienia, który przez spokój ruchów wysoko podniósł artysta. Nie jest to bynajmniej rozpacz Ofelii gorączkowa, obłąkana: lecz spełnienie żelaznego wyroku, który zapadł w głębi duszy. Widać, że co tylko pożegnała ulubione towarzyski, że ich zaklęcia i lzy rozbiły się o postanowienie: bo jedna bezsilnie unóg jej omdlewa z żalu; druga ostatnim uściskiem obejmując ją w pól, chce jeszcze zatrzymać choćby na chwilę; a trzecia odwraca oblicze, nie mogąc znieść widoku diademu i płaszcza książęcego, który umierająca rzuca jej w ręce. Rozdzierający dramat — a jaki prawdziwy! Patrząc nań, zdaje ci się, że każdej z nich włożyłbyś w usta te wyrazy, któremi serce twoje woła, aby wstrzymać dziewicę, ten kwiat młodości i wdzięku, co za chwilę ma zniknąć na zawsze w toniach Wisły. Przedewszystkiemi całą poetyczność uczuć wlał artysta w oblicze Wandy i zrobił je mówiącym, jakby te usta drgające wzruszeniem, smętne, dopiero wyrzuciły skargę na okrutną dolę, kiedy w oczach tryumf nad słabością, i ten promyk niebiańskiego szczęścia, który przeczuwa jakby nagrodę tam gdzieś w zaświatowej krainie.

Myśl, układ obrazu, wyraz w postaciach i twarzach, stanowią niezaprzeczenie najważniejszą zaletę artystycznego pomysłu, są wątkiem, na tle którego kolor promienieje swoją poezją, niewysłowioną i nieopisaną żadną mową, a pociąga urokiem sobie właściwego powabu — Tego uroku jakim Wanda olśniła kiedyś i Publiczność Krakowską i Dyrekcję Towarzystwa sędziami być nie możemy, ze współczesnych wiadomości tylko wnosić możemy że musiał być wielki, a tym gruntowniejszy, że i ta ważna jego podstawa jaką myśl, układ i rysunek w dziele sztuki obrazowej stanowią, jest właśnie silną stroną obrazu o którym mówimy — jak to rysunek tu podany uwydatnia.

Wypada nam więc żałować, że p. Piotrowski Warszawskiej wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych do tego czasu żadnym jeszcze obrazem swoim nie ozdobił. Z doniesień sprawozdawczych dowiadujemy się raz poraż, że obadwaj Gdańscy artyści; p. Piotrowski

i p. Stryjowski, to na Krakowską to na Drezdeńską wystawę nadsyłają prace, które, jak z treści ich wnosić można, dla nas byłyby równie zajmujące jak dla Krakowian, a stokroć bardziej ciekawe niż dla Saskiej Publiczności.

W. Gerson.

TĘSKNOTA.

Na świecie chmurno, dżdżysto i mgławo,
Słońce za chmury się skryło —
I w duszy mojej smutno i łzawo,
Jakby nadziei nie było.

Lecz tchnienie wiosny mgły te rozmiecie
I chmury zejdą ze słońca —
Jaż tylko muszę na biednym świecie
Tęsknić, i tęsknić bez końca?

Od urodzenia, gdy bez przestanku
Z chwil różnych wieniec się plecie...
Czemuż w tym moim młodzieńczym wianku
Częstsze są ciernie niż kwiecie?

Wśród obcych ludzi gdy los mnie rzuca
 I igra ze mną do woli —
 Nikt nie zrozumie co mnie zasmuca,
 Nikt nie zrozumie co boli!

A gdy się serce do serca garnie,
 W miłosnym płonie zapędzie,
 Próżne westchnienia, łzy leją marnie...
 Ona mnie kochać nie będzie!

Lecz gdy tém słowem żegnam nadzieję,
 Rozpacz nurtuje mą duszę...
 Czemuż więc kocham, czemu szaleję?
 Szaleję, kocham... bo muszę!

DO HRABINY W. P.

(Artykuł nadesłany).

Nie potrzeba przypominać téj prawdy, tyle razy powtarzanéj, i której nikt niezaprzecza — że sztuki piękne kształcą umysł i serce — wznoszą ducha — słowem uszlachetniają byt człowieka i jego ziemską pielgrzymkę — Jakoż nie mamy śladu w historii rodu ludzkiego, aby znakomity artysta, prawdziwym talentem obdarzony, stał się zbrodniarzem, lub nawet aby podłego dopuścił się czynu. Caravagio miał charakter popędliwy, mógł się dopuścić przestępstw, ale nigdy podłości.

Natura skąpą była w rozdzielaniu talentów, mało jest pod tyni względem wybranych, lecz wolno nam wszystkim być amatora-

mi, a popolsku miłośnikami sztuki, zamożniejsi zaś czuć powinni obowiązek protegowania — lecz aby być amatorem — i protektorem, trzebaż przecie posiadać jakąśkolwiek znajomość rzeczy. Nie chce tu mówić o muzyce, bo natłok na każdym koncercie, i skwapliwe oddawanie 40 groszówek Bilsemu, przekonywa mię, iż dosyć mamy i znawców i amatorów, tego pięknego i łechcącego uszy talentu — Zostawiam na boku snyderstwo i rzeźbę, jako rzadkie i mało komu przystępne, lecz artykuł ten poświęcam malarstwu. W tej gałęzi sztuki mało mamy prawdziwych znawców — jeszcze mniej amatorów takich, coby posiadając pełną szkatułę — otwierali ją chętnie dla nabycia dzieła, bądź dawnych mistrzów, przed wiekami zmarłych, bądź żyjących którzy na to zasługują.

Lecz bądźmy w sądzeniu o dziełach tego rodzaju oględni i wyrozumiali — nieżądajmy doskonałości we wszystkiem i od każdego, bo doskonałość ogólna nie jest udziałem człowieka — Aby być sędzią dzieła sztuki, nie dość jest pamiętać ze słyszenia kilku lub kilkunastu nazwisk sławnych mistrzów dawnych i nimi wojować — trzeba czytać, czytać i czytać, a dopiero mówić — słuchać i patrzeć. Owóż mamy w kraju i zagranicą mnóstwo tak zwanych półznawców, co owemi kilku nazwiskami wojują — co zobaczywszy pomiędzy staremi obrazami, wewnątrz karczny a w niej pijących i palących fajki, już zdaleka krzyczą szkoła flamandzka — pokazać im znowu familją świętą — lub madonnę z dzieciątkiem Jezus — już w ich ustach Rafael — a jeżeli jaki święty i to jeszcze męczennik, wyrokują à priori, że to szkoła włoska — Nie zawadzi przeto, przytoczyć tu, że nie taka jest różnica pomiędzy szkołą włoską i flamandzką. Różnica pomiędzy temi dwiema szkołami — polega głównie, na rodzaju malowania, a szczególnie na tém — że flamandczycy starali się naśladować naturę taką jaką ona jest, niepuszczali zasłony, na to co jest brzydkiem, owszem kopiowali oni człowieka z zupełną prawdą, nieunikając wcale jego ułomności ciała — zwyczajów lub nałogów. Uczniowie zaś szkoły włoskiej, szli tylko za tém co piękne, co wzniosłe — i jeszcze naturalne piękno, popędem swęj wyobraźni wznosili — dla tego też ich dzieła osobliwie religijne. noszą na sobie cechy natchnienia, a w madonnach Rafaela jakaś Boskość do serca przemawia. Pomimo to szkoła flamandzka, na której czele stoi wielki Rubens i nieśmiertelny Rembrandt, ma swoje cechy — ma swoją zasługę... są to ubarwione pomniki owęj epoki — i prócz historycznych faktów tym sposobem na wieki przechowanych, dają nam wyobrażenie o zwyczajach, obyczajach owczesnych; malują

nam wnętrza siedzib, a to zacząwszy od zamków i pałaców aż do najuboższej lepianki — malują ich ubiory i sprzęty.

Wracając do wojujących kilku nazwiskami dawnych mistrzów, nazwiska te wyliczyć muszę — są one mniej więcej następujące.

Rafaël — Rubens — Rembrandt — Michał anioł — Teniers — Dominiquin i t. d.

Lecz ci co te nazwiska powtarzają i każdy obraz, który zobaczą, jednemu z tych wielkich mężów przypisują — niewiedzą nawet w czym który celował, czym się który odznaczył — a Rubensa, ponieważ nigdy karczmy z fajkami nie zrobił, zaliczają do szkoły włoskiej — dla takich więc halb-kennerów powtórzyć tu muszę — co każdemu powinno być wiadomo — że Rafaël Sanzio d'Urbino — jest królem malarzy dawniej szkoły włoskiej — Rubens Xięciem flamandzką. Szkoła zaś włoska dzieliła się na różne pojedyncze szkoły, stosownie do miejsca i czasu — Najstarszą z nich była florencka, a założycielem onęj, wielki Leonardo da Vinci — i Michał Angelo Buonarotti — pierwszy z nich pełen zasług, i okryty sławą swego znakomitego talentu — drugi wielki rzeźbiarz i architekt, jako malarz w rysunku tylko celował — miernym zaś był w koloryci i expressyi. Szkoła ta wydała Andrzeja del Sarto — Piotra di Cortona — i wielu innych.

Założycielem szkoły rzymskiej, był Piotr Perugino, sławny swym uczniem Rafaelem, który stanowi epokę w malarstwie — przeszedł bowiem poprzedników, i dotąd nie ma sobie równego w rysunku i expressyi — Co do kolorytu i kompozycyi — niżej powiemy — Uczniami téj szkoły byli Julio Romano, Sasso Ferato, Carlo Maratto — i inni. Następuje szkoła Lombardzko-Bolońska — Dyrektorami jéj byli: Hannibal — Ludwik i Augustyn bracia Caracci. Ludwik z nich najstarszy wiekiem — położyłem jednak Hannibala na czele, bo choć starszeństwa za łyżkę soczewicy nie kupił — ale talentem przewyższył braci o wiele — byli oni następcami dawnego nie bez zalet mistrza Francesco Framia.

Do uczeni téj szkoły policzają się pomiędzy innymi — Michel Angelo Caravaggio — Schidone — Lanfranco — Barbieri — Salwator Rosa — Benedict Castiglione — a nawet Diego Velasquez Sevilla — i Bartholomäus Stephan Murillo — którzy obadwa następnie uformowali oddzielną szkołę Hiszpańską.

Szkoła wenecka — reprezentowaną jest przez Jerzego Barbarelli — Giorgione, zwanego — Na pochwałę téj szkoły, dość powiedzieć, że wydała Tycyana — Pawła Veronese — Palmę — Tyntoret-

ta — Sebastjana del Piombo. Wielkie to są wszystko imiona — a Tycjan pierwszym pomiędzy niemi.

Szkoła niderlandzka czyli flamandzka.

Początek téj szkoły datuje się od 14, i 15, wieku, a założycielami onéj byli bracia van Eyck, wynalazcy farb olejnych — oraz Hemmelink, którego dzieła dotąd i zawsze będą poszukiwane i cenione.

Na czele téj szkoły niezapreczenie stoi Rubens, niezmordowany w pracy, wielki w kompozycyi, wielki w kolorycie i expressyi — lecz mierny w rysunku. Za nim idzie excentryczny Rembrand, mistrz ustalonej sławy, wielki w kompozycyi i kolorycie, lecz nie dbający o rysunek — dalej Van Dyk elegancki, wykwintny, tylko kolorytem wyrównywał Rubensowi, niższym był od niego w innych warunkach, mianowicie: w kompozycyi, rysunku i ogólnej expressyi — trudnoby było wyliczać tu nazwiska sławniejszych szkoły téj uczniów, dość powiedzieć, że wydała bardzo wielu znakomitych artystów. Cechą téj szkoły jest prawda — naśladowanie natury we wszelkich jéj tajnikach — to pewnie sprawiło, że pomiędzy amatorami, większość oddając hołd estetycznym dziełom szkoły włoskiej, ugania się za dziełami flamandzkimi — (są nawet tacy, osobliwie, z wykształconym zawsze gustem, uczone i zamożne damy, co kolekcye swoje wyłącznie szkole flamandzkiej poświęcają).

Szkoła francuzka.

Odnacza się manierowanym rysunkiem i ma swoje tak dobitne cechy, że wprawne oko znawcy, prawie nigdy się mylić nie może — reprezentantami onéj, są: Le Sueur — Le Brun — obadwa Poussini — i czarodziejski Claude Lorrain, — pierwszy z pejzaży-

stów, który poprzedników przeszedł, następcom doścignąć się nie dał — bo wyższy nad wszelkie zarzuty. W nowszych czasach błyszczą na horyzoncie téj szkoły, Dawid, i Vernetowie, Józef i wnuk jego Horacy.

Szkoła niemiecka.

Początek bierze od 15 wieku. Pomijając dawniejszych mistrzów téj szkoły — wspomnę tylko, że za założycieli téj szkoły uważać wypada Alberta Dürer — Holbejna i Cranacha — po ich śmierci, szkoła ta doznała pewnej stagnacji. Z zaniedbania — wskrzesił ją później znakomity artysta Rafael Mengs — i odtąd kwitnie w całych Niemczech, i wydaje wielkich malarzy — zasłużonych światu mężów.

Wyżej nadmieniałem, że doskonałość nie jest udziałem czło-wieka — otóż nie należy mniemać, aby Rafael Santio, choć pierwszy z malarzy, był doskonałością pod każdym względem. W obrazie na cztery warunki zważać potrzeba — mianowicie na kompozycyą — na rysunek — koloryt i expressyą, czyli ogólne wrażenie, jakie obraz na widza wywiera — Otóż w kompozycyi wyższe miejsce trzyma od Rafaela Rubens i Guerchino — w kolorycie zaś Rubens — Van Dyk — Giorgione, a szczególniej Tycyan, który w tym przedmiocie był doskonałością. Rafael jedynie w rysunku i w expressyi nie miał sobie równego — za nim dopiero idzie Dominiquin — aby przeto pod tym względem dać lepsze wyobrazenie moim czytelniczkom, którebym chciał pobudzić do większego zajęcia się sztukami pięknymi — szczególniej téż malarstwem — gdyż jakże zachwycają-cém jest widzieć pędzel w drobnych rączkach niewieścich, jak miło słyszeć damę dystyngwowaną, gruntownie z historyą téj sztuki ob-znajmioną — owoż wracając do rzeczy, zamieszczam tu tabelkę uło-żoną na kształt cenzury szkolnej — Wiadomo że numer pierwszy, oznacza stopień prawie żaden, cokolwiek więcéj od zera. Numer 2, stopień mierny lub mały — 3, dostateczny — 4, bardzo dobry — 5, celujący, a rzymska V. doskonałość, to jest nec plus ultra.

Tabela porównawcza niektórych
słynniejszych malarzy wszystkich szkół.

Kompozycja
Rysunek
Koloryt
Expressya

	Kompozycja	Rysunek	Koloryt	Expressya
Albert Dürer	2	3	3	2
Le Brun	4	4	2	4
Hannibal Carache	4	5	4	4
Corregio Allegri	4	4	4	3
Dominiquino Zampieri	4	5	3	5
Giorgione	2	3	v	1
Guerchino	v	3	3	1
Guido Reni	0	4	3	3
Holbein	2	3	4	3
Julio Romano	4	4	1	4
Lanfranco	4	4	3	1
Leonardo da Vinci	4	4	1	4
Michał Anioł Buonaroti	3	v	1	2
Palma junior	3	3	4	2
Paul Veronese	4	3	5	1
Pietro Perugino	1	3	3	1
Poussin Nicolas	4	5	2	4
Raphael	5	v	4	v
Rembrand	4	2	5	3
Rubens	v	4	5	5
Le Sueur	4	4	1	4
Teniers Dawid syn	4	4	4	2
Tycyan Vecello	3	4	v	2
Van Dyk v. van Dajk	4	3	5	4

Nie mogę tu pominąć tój uwagi, że nieśmiertelny Corregio, ściśle biorąc, do żadnej szkoły zaliczyć się nie da — jest to samostny geniusz, który niepotrzebował wzorów — który się nigdy malarstwa nieuczył, a jednak dosięgnał szczytu sławy — jego tóż sposób malowania, razem z nim poszedł do grobu — nikt go naśladować niepotrafił.

Niektórzy autorowie przypisują mu założenie szkoły lombardzkiej, a braci Carrache za jego uczni podają — mylnie to są jednak przypuszczenia, jak to daty urodzenia i śmierci tych wielkich mężów okazują — mianowicie, że Corregio dawno już nie żył, kiedy bracia Carrache na świat przyszli — Nie miał więc ten wielki geniusz ani ucznia ani nauczyciela — nie brał znikąd i wzorów — ani razu nie był w Rzymie, a kiedy już przy schyłku życia, wpadł mu przypadkiem w ręce obraz Rafaela, chciwie mu się przyglądał — i wyrzekł te pamiętne słowa.

„Anch io sono pittore“ co znaczy: „i ja jestem malarzem“ Mieszkał on stale w małym miasteczku — żył i umarł w ubóstwie, niedomyślając się pewnie, że dzieła jego przyjdą kiedyś do cen, często nawet Rafaeloskie oryginały przewyższających — znakomity mistrza tego obraz, zwany *la notte* — znajduje się w galerji Dredeńskiej.

Wspomnieć tu także muszę o ulubionym malarzu Antonim Canale, Canaletto zwanym — urodził on się w Wenecyi i całe swoje życie tam przepędził, oddawszy się wyłącznie malowaniu widoków tego czarodziejskiego miasta — Ze był włochem i stale w kraju zamieszkałym, trzeba go zaliczyć do malarzy włoskich, choć nie wspólnego z tą szkołą nie miał — Kształcił on się przy swym ojcu Bernardzie, który robił dekoracye do teatru miejscowego, i rzecz naturalna że się u niego nic nauczyć nie mógł — obrał więc sobie drogę oryginalną własną — i do tego doszedł, że obrazy jego nigdy wielkie, ani małe, zawsze średniej wielkości, zawsze na płótnie, szersze od wysokości, są poszukiwane, i amatorowie kolekcye flamandzkich obrazków formujący, Canalettego zawsze mieć pragną. Żadnego autora tylu naśladowców niebyło, handlujący zaś, korzystają z nieświadomości amatorów i obrazy takie mierne, miernego pędzla, za oryginały tego mistrza sprzedają — Główną cechą Canalettego jest, że architekturę wykończał aż do zadziwienia — wody i fale morskie oddawał z zupełną prawdę — zaś gondole i figurki na nich, uważał za akcesoria i niedbale pędzlem dotykał, pomimo to, wszystko tam w harmonii z najdoskonalszym oddane efektem.

Już to w ogólności nie można być zanadto oględnym w nabywaniu dzieł dawnych — mnóstwo wkradło się podrobień że tak powiem zbrodniczych; jakoż, kto obraz podpisuje olejno chcąc mu nadać pewność od którego mistrza pochodzi — ten podług mnie dopuszcza się oszustwa, robi to bowiem celem skorzystania na jakim nowicjuszu — lecz są sposoby sprawdzenia takich podpisów... i gdy się fałszywymi okażą — obraz traci na autentyczności i przestaje nęcić nabywców. Dla uniknięcia podstępów — trzeba być bardzo obznajmionym ze zwyczajami dawnych autorów — i tak przytoczę na przykład — że sławny Wouwermans malował zawsze w formacie szerszym od wysokości — przeciwnie Franciszek Mieris, zawsze swoje obrazki perłami zwane, malował, na drzewie dębowem lub na miedzi, w formacie wyższym od szerokości — i nigdy na płótnie. Nieśmiertelny Rembrand, nie lubił miedzi — płótno i deska były materyałami które do wartości złota podnosić potrafił.

Takie i tym podobne wiadomości drobne na pozór, powinny być bardzo przez amatorów śledzone, bo ułatwiają sąd o malowidle i częstokroć — fabrykacją dowodzą.

Przed laty miała Warszawa wielu możnych amatorów — zasługuje przed innymi na wspomnienie kasztelan hr. Ossliński, który nie tylko że wielkim nakładem zgromadził mnóstwo rozmaitych obrazów, ale uformowawszy galerję w własnym pałacu na Tłomackiem, otworzył ją dla publiczności, dla uczących się młodych ludzi — część mu za to winniśmy. Dalej Stanisław hr. Potocki, i syn jego Alexander, uformowali w Willanowie galerję licznych malowideł — które choć oglądać wolno, z powodu oddalenia od Warszawy, nie mogą być wzorem dla młodzieży — te jednak obiedwie galerye, lubo mieściły w sobie znakomite dzieła — nieodznaczały się ani doborem ani gustem — i pod temi dwoma względami wyższą była galerya Xięcia Michała Radziwiłła w Nieborowie, później do Królikarni przeniesiona — i kolekcya Barona Mornheima w Warszawie, pełna elegancyi i gustu.

Galerya pierwsza rozprzedana na licytacji w drodze działów, rozeszła się po kraju i często jeszcze napotkać można jej ślady — lecz dwie ostatnie wyprowadzone za granicę — na zawsze dla nas zginęły. Jakże by to było miłym zajęciem odszukiwanie tych dzieł rozproszonych i nowe owych zgromadzenie — Mniej teraz amatorów, mniej zasobów — ależ i dziś są tacy co się na siłach czuć powinni. Mamy liczne salony — mamy wykwintne budoary dystyngwowanych dam — liczne tam wydano koszta, na tapicerskie roboty, na złociste

tapety — na lustra i terazniejsze kandelabry — ale sztuka w tych wydatkach mały a często żadnego udziału nie ma. Wiedz zatem dostojna czytelniczko, dla której artykuł ten poświęcam, że wrodzone wdzięki i powaby podwyższają się wśród nagromadzonych dzieł sztuki — tak jak bukiet kwiatów inaczej wygląda w Sewrskim wazonie, niż w glinianém naczyniu. Wszak tacy mistrzowie, jakeimi byli — Mieris — Gerard Dow — Schlingland — Van der Vert Schalken — Netscher, Miguard i inni — toż to są journałe mód — znaleźć w nich można najwykwintniejsze stroje ówczasowe — przedstawiają bowiem, zwykle, salony i budoary dystyngwowanych dam owój epoki — jak były przy toalecie — przy uczcie — przy śpiewie, jak się z swemi pieskami pieściły — ale pieski na obrazach flamanzkich zawsze były z rodzaju wyżełków angielskich.

Czyż może więcej co ozdobić budoar dzisiejszój damy dystyngwowanój, nad dzieła tego rodzaju — dodajmy do tego, parę pejzażów Ruizdela Wynzutsa — Van der Veldego i innych, batalijkę Hugtenborga — lub Querfurta — widok morza Bakhusena — lub Josefa Verueta — bukiety kwiatów Van Hujsuma — Drekslera lub Racheli Ruysch — jeżeli zaś nie chcemy szperać po antykwaryuszach, czyż nie będzie bliższyc nad kłęcznikiem Madonna, naszego Gersona, Zarzeckiego lub Zdzisława Suchodolskiego i innych — w braku Hugtenburga i Wouwermana zastąpią go godnie — Kossak Pillati — Sypniewski i inni... trudno o Peter-Necfsa — ale wnętrza naszego Zalewskiego i Gryglewskiego, tę samą sławę mieć będą — że już nie wspomnę o dziełach galeryjnych, Simlera — Matejki — Suchodolskiego — i któżby wszystkich wyliczył — jest na to wystawa i niezmordowany jój protektor Baron R.

Mamy świetne początki nowo założonój galeryi rządowój pod sterem znakomitego znawcy. Są téż i u nas talenta na uwagę zasługujące — już wielu wymieniłem, niepodobna wszystkich — chce jeszcze wspomnieć o krajobrazach Alfreda Schouppé i Breslauera, którym nic zarzucić nie można. Szkoda pewnie, że mało ożywione bywają ludźmi lub zwierzętami — lecz i to nie jest błędem. Wszak wielki pejzażysta Ruisdael, tylko krajobrazy malował, co do ludzi i zwierząt wolał się wyręczyć. dla tego to często spotykamy dzieła jego z figurami Vander Veldego — lub Wouwermana i innych — i dla tego co do ceny obrazu Ruizdaela daleko niżej stoją od nieporównanego Pottera — W Królikarni znajdował się kosztowny obraz Ruisdaela z figurami, mianowicie, z jeźdcami konnemi Wouwermana — był to zaprawdę jeden z najpiękniejszych i najkosztowniejszych

obrazów galeryę tę składających. Zaiste wywieziono te dzieła za granicę na sprzedaż; i pozbawiono nas tak pięknych wzorów.

Historya malarstwa daje nam dowody, że i pomiędzy pięć piękną, znakomite również znalazły się talenta — w przykładzie, wspomnę tu, że Angelika Kaufmann — i Luisa Elżbieta Le Brun wślawiły się obrazami historycznemi i portretami dotąd poszukiwanemi — Rachel Ruysch była sławną kwiaciarką — wszystkie były członkami rozmaitych uczonych towarzystw. Obecnie Rosa Bonheur zachwyca swym talentem, zyskała sławę Europejską i zaszczycona krzyżem legii honorowój. Zdaje mi się przeto, że i u nas, znalazłyby się podobne talenta — gdyby nie nieszczęsna manja — uczenia wszystkich bez wyjątku panien dorastających, muzyki — bez najmniejszej na to uwagi — czy uczennica okazuje jakowys talent lub przeciwnie. Koniecznością jest dla każdej panny mieć talent muzyczny — ztąd to pochodzi, że nie ma domu w Warszawie gdzieby kilku a może kilkunastu nie było fortepianów. Z braskiem jutrenki zaczynają się odzywać niefortunne gammy i trwają do późnej czasem nocy, bo jak się na jednem piętrze skończą, na drugim się zaczynają — i tak dalej idzie bez końca i bez miłosierdzia nad spokojnemi mieszkańcami sąsiednich lokali — co najczęściej umysłową zajęci pracą — a gdy panienka potrafi już zagrać walca lub poloneza, chwalona przez wszystkich z nadzwyczajnego talentu, już się sama od fortepianu prawie nieoddala — męcząc obluzowane częstém strojeniem klawisze — i kalęcząc uszy sąsiadom. Możeby nie jedna mama, obok najlepszych swych chęci, zamiast przymuszania swój córę do muzyki — pozwoliła jój uczyć się rysunków i malarstwa... możeby odkrył się talent — co na całe życie przyjemność a w razie potrzeby i chleb zapewnia i sąsiadom niezawadza — ale czuję że słowa moje są głosem wołającego na puszczy — gammy mnie zagłuszają.

J.

ZACHÓD SŁOŃCA.

(Z Hejnego).

Płomiennie krwawe słońce zstępuje
W daleko sumiące bałwanami
I srebrno szare morze...
Powiewne mgły, różowo jasne,
Mkną za niem — a naprzeciw,
Z pochmurnych, jesiennie obłocznych zasłon,
Wyziera — smutném, trupio bladem
Obliczem pełnia — i za nią
Niby świetlanne iskry, w mglistej dali,
Mrugają — gwiazdy.

Niegdyś na niebie tak lśniły
Jak małżeńskie stadło:
Pełnia — bogini i słońce — bóg —
A w około nich się roily
Gwiazdy, małe, niewinne dziatki...

Lecz złe języki rzuciły niezgodę...
I rozwiodło się zawistnie
To górne promienne małżeństwo.

I teraz w dzień, z jednakamą wspaniałością
 Chodzi po niebie słońce — bóg,
 Za pyszną swą jasność
 Uczzone, wychwalone,
 Przez pysznych i szczęściem bogatych śmiertelników.
 A w nocy... po niebie
 Tuła się pełnia.
 Biedna matka,
 Z gwiazdami, śerotami,
 Stroskana i niema, łśni.
 I zakochane dziewczęta i tkliwi poeci
 Poświęcają jej swe pieśni i łzy.

Słaba pełnia! ona jeszcze kocha...
 Kocha wciąż swego pięknego męża.
 Około wieczora — drżąca i blada,
 Spoziera z za przezrocznych obłoków.
 I smutnym wzrokiem ściga
 Zachodzące słońce
 I zdaje się, że chce zawołać: pójdź!
 Pójdź! dzieci cię wołają...
 Ale uparte słońce,
 Na widok bogini,
 Podwójną purpurą
 Gniewu i boleści — pała.
 I nieubłagane zstępuje znów,
 W swe zimne, wdowie łożo, do snów.

Złośliwe, sykające języki
 Zgubę i boleść posiały,
 Nawet wśród nieśmiertelnych bogów...
 I biedne bogi, tam w górze,
 Smutno się tułają...
 I umrzeć nie mogą.
 I włóczą wciąż za sobą
 Swą błyszczącą nędzę.





Минин и Мажаро

Садко и Лиса А. Девоншигге 1878

Лиса В. Дибнер

KAZANIE X. SKARGI.

Lecz ja — człowiek,
 Dziecię niziny, na śmierć przeznaczone,
 Ja... nie skarżę się dłużej.

Miron.

Piotr Skarga kazący w obec Zygmunta III w Katedrze Krakowskiej.

Obraz Jana Matejki.

Stanowisko jedno z najzaszczytniejszych, w gronie naszych malarzy, zajmuje bez zaprzeczenia Jan Matejko. Młody ten, a już tak sławny artysta, czerpiąc natchnienie do swych utworów z dziejów ojczystych, w krótkim czasie uczynił swe imie ulubioném dla publiczności naszéj. Każdy jego obraz, który się tylko ukazał na Wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, z sympatją zawsze przyjmowany, wzbudzał zajęcie i poklask nie tylko ogółu, ale i surowych znawców sztuki. Największą jednak sławę zjednał naszemu artyście obraz, *Piotr Skarga kazący w Katedrze Krakowskiej w obec Zygmunta III*, który wysłany do Paryża i z odznaczeniem szczególném przyjęty tam na wystawę obrazów, uczynił jego imie znaném i Europie.

Reprodukcje z niektórych obrazów Matejki, okazywanych w Warszawie, jak: *Otrucie Bony*, *Jan Kazimierz na Bielanach patrzący na pożar Krakowa*, wykonane wprawdzie na małą skalę, ale ze starannością i dokładnością o ile na to sztuka litograficzna u nas dozwalała, daliśmy w Noworocznikach dla Polek w latach upłynio-

nych. Dziś pragnąc przyozdobić i niniejszy Noworocznik przedstawiamy *Kazanie Skargi*, w nadziei, że starania nasze życzliwie ocenione zostaną.

W Nr 325 *Tygodnika ilustrowanego*, pisma tak starannie wydawanego i zasłużonego w literaturze krajowej, zamieszczony jest życiorys naszego genialnego artysty, z poglądem na jego utwory, skreślony przez W. Ł. a przytém obdarzoną została publiczność przeslicznym drzeworytem *Kazania Skargi*, własnoręcznie przez Matejkę narysowanego, a wyciętego na drzewie przez jednego z najbieglejszych drzeworytników, p. Pokornego. Wyjątkami z tego artykułu dzielimy się z naszymi czytelnikami.

Matejko urodził się w Krakowie d. 30 lipca 1838 roku, z ojca Franciszka Ksawerego, pochodzącego ze stariej czeskiej familji, i matki Karoliny z Rozbergów, obywateli krakowskich. Ojciec jego, muzyk z powołania, zdolny i pracowity nauczyciel, wychowywał dzieci w pobożności i pracy, matka odumarła je za młodu.

Gdybyśmy chcieli wykazywać wpływy zewnętrzne jakie działały na rozwinięcie przyszłych zdolności młodego Jana, rzeklibyśmy że tony muzyki, które słyssał ciągle, opowiadania ojca, który w młodości swój zaznał znakomite domy polskie, obudziły w nim wczesnie wrażliwość artystyczną. Oddany do szkół przez ojca, wkrótce objawił szczególniejsze zamiłowanie do rysunku i przeniósł się do szkoły sztuk pięknych. Młody chłopczyzna, wątły, ale z którego oczu świeciła pojętność, przybywszy do szkoły, znalazł się w gronie rówieśników swych, serdecznie z nimi związany. Nauka szła w krakowskiej szkole zwykłym akademji trybem, o ile dozwalały szczupłe środki; o wygodach wielkich dla sztuki nie można było i myśleć. A jednak było to jak rodzinne kółko, gdzie rozwijał się każdy talent swobodnie w swoim kierunku, a brniono mu tylko wchodząc na manowce, wskazując i tłumacząc naturę, którą tu jedynie za wzór przedstawiano. Była to epoka, kiedy tradycje stariej sztuki włoskiej, któremi szkoła dotąd się kierowała, ustąpiły na chwilę, a obrazy nadsyłane z Warszawy na właśnie co zawiązaną wystawę Tow. sztuk pięknych, pełne fantazyi, zwróciły młodzież ku sztuce swojskiej.

Młody Matejko nie należał do tak zwanych szkolnych talentów, zasadzających się najczęściej na tém, że młodzian posiada instynkt bezdusznego naśladowania wzoru; owszem, strona myśli od pierwszych już kroków w nim przeważała. Po za godzinami szkolnemi przedsiębrał nowe studia, studia pomników i pamiątek przeszłości,

a za ledwo nauczył się skreślić antykowe głowy, już ołówek jego przenośli daleko zrzęcznie j na papier oblicza i postacie przeszłości.

Niez mordowany w pracy, a przytém przenikliwy i łatwo pojmujący, szybko rozwijał w sobie zdolności wykonania. Nie wstrzymywali tóż nauczyciele zapału jego, i wkrótce wziął się do malowania swego pierwszego pomysłu. Była to scena „*Starowolski napominający Karola Gustawa przy grobie Łokietka*“, przedmiot doskonale obrany dla poety, mniej trafnie dla malarza. Namalowany obraz zwrócił uwagę znawców na wystawie szkolnej. Nie było jeszcze w nim tój swobody, jaka charakteryzuje dziś dzieła Matejki, ale prawda historyczna, przy pewnej sile wyrażenia, przy dobrze studyowanych niektórych częściach, świeciła z obrazu. Zaczny bibliotekarz wszechnicy jagiellońskiej s. p. Muczkowski, pokochał go za ten obraz i otworzył Matejce serce swe i wiadomości; artysta zaś, jakby odwdzięczając mu się, odmalował następnie drugi obraz: „*Król Zygmunt Stary, nadający szlachectwo profesorom akademji*“, który, jako owoc młodzieńczej pracy, zdobi salę biblioteki jagiellońskiej w Krakowie.

Przy końcu 1857 roku opuścił Matejko swą rodzinę i szkołę na czas dłuższy, wyjechał bowiem, jako stypendysta, dla dalszej nauki do Monachium. Poraz pierwszy miały mu tam przedstawić się arcydzieła malarstwa, o których dotąd zasłyszał tylko; dążył do stolicy sztuki dzisiejszej niemieckiej, gdzie hojność monarchy zgromadziła to właśnie, co stanowiło dotąd podstawę nauki, to jest wzory starożytne. Z początkiem 1848 roku przybył do Monachium i zapisał się do tamtejszej akademji sztuk pięknych. Wiemy to od towarzyszków jego pobytu tamże i z listów jakie pisał do przyjaciół w kraju, że nie został uderzony arcydziełami dzisiejszej sztuki, ani przywiązał się do którego z mistrzów; przesiadywał głównie w szkole i nad zbiorami rycin dawnych. Zrozumiał odrazu o co idzie w studyach i w krótkim czasie dostał medal akademicki za studjum olejne głowy.

Z czasu pobytu Matejki w Monachium mamy jego obraz „*Otrucie Bony*“, obraz który dokończył u siebie w domu. Obraz ten w ogólnym tonie, w traktowaniu pędzlem i w rysunku, ma już piętna celnych obrazów mistrzów dzisiejszej sztuki; surowe studia natury ucznia i badania archeologiczne miłośnika przeszłości, zwały się tu w obraz pełen dramatyczności i prawdy w wykonaniu. Dziś obraz ten znany jest wszystkim z reprodukcji Warszawskiego Tow. achęty sztuk pięknych. Zarzucano mu dość słusznie brak powie-

trza, ciasnotę, powiedzielibyśmy raczej brak praktyki w rozkładzie kompozycji; ale postacie są wybornie oddane, a figura doktora jest tak doskonałą, że Matejko dziśby ją jeszcze mógł podpisać.

Z obrazem tym łączy się smutna okoliczność w życiu Matejki. Malując go, przy ciągłej wysiłającej pracy, rozchorował się ciężko i tylko starania przyjaciół potrafiły go za Bożą pomocą ocalić. Przyszedszy do zdrowia, powrócił po roku do Krakowa, a następnie udał się do Wiednia, gdzie jako uczeń dyrektora Rubena, pracował w tak zwanéj Meisterschule i rozpoczął obraz równie znany powszechnie „*Jan Kazimierz na Bielanach*.” Śmiało rzucona na płótno myśl zadziwiła kolegów wiedeńskich; czy obudziła niechęć w sercu mistrza, trudno powiedzieć; dość że uwagi nauczyciela mniej zręcznie wypowiedziane, oburzyły serce młodzieńca: zaprzęsta chodzić do akademji i wkrótce z Wiednia wyjechał, czując się obrażonym, że mu zarzucano nieznamość własnych postaci. Przyszłość pokazała mylność tych zarzutów. bo obraz ogólnie zyskał powodzenie.

Kto miał sposobność poznania Matejki po powrocie z zagranicy, widział go skupiającego wszelkie swe myśli w chwytaniu prawdy na uczynku, w badaniu natury w rozmaitych fazach życia. To co widział około siebie, co spotykał na drodze, miało kiedyś wejść w jego obrazy, pod formą nieco odmienną przeszłości; czy w ruinach zamku, czy wśród walących się chat żydowskiego miasta, znajduje on sobie przyszłe tła obrazków. Niedziw więc, że pośród swojskiej natury, siły jego artystyczne nabrały wkrótce pewności, a za nią poszła łatwość wykonania. Przy takich usiłowaniach nie rozstawał się z ciągłym zbieraniem dawnych strojów; nieobcą mu była żadna praca literacka na polu historii, co więcej, jakby chcąc się przejrzeć w własnych swoich studyach, wydał wtedy swe nieoszacowane tablice dawnych ubiorów w Polsce, własnym nakładem i z niemałym trudem.

Kto wie co to jest dobrze urządzone pracownia francuzkiego naprzykład malarza historii, istne muzeum starożytności różnych wieków, urządzone z pewnym nieładem artystycznym, gdzie światło bije z góry i da się urządzić wedle potrzeby, ten może zrozumieć, na jakie przykrości narażonym jest u nas artysta rozpoczynający swój zawód. Trzeba było posiadać tyle wytrwałości w zdobywaniu sobie wszystkiego, ile miał Matejko, tyle spokoju i wiary co on, aby się nie zrazić i zacząć malować obrazy swoje. Ale zaraz po wystawieniu pierwszego, to jest „*śmierci Wapowskiego*,” przyjętego przez publiczność z zapalem, na który (co u nas zdarza się rzadko)

kilku znalazł amatorów, mógł już założyć pracownię, stosowną co do światła i koniecznych przyborów historycznego malarza.

Wtedy rozpoczęty w Wiedniu *Jan Kazimierz na Bielanach* znalazł się pod pędzlem artysty; za nim poszły obrazy: „*Urszulka*,” „*Stańczyk*,” tysiące pomysłów zostających w tekach artysty, niejeden portret, jak rektora Dietla, a na koniec niezrównany, wielkich rozmiarów obraz „*Skarga kazący w obec Zygmunta III i sejmu*.” W obrazie tym scena odbywa się w katedrze krakowskiej, która jest dokładnie odwzorowaną. Grupa środkowa przedstawia Janusza Radziwiła, Mikołaja Zebrzydowskiego i Stanisława Stadnickiego. Za fotelem króla stoi Mikołaj Wolski, starosta krzepicki. Na prawo siedzi kardynał Gaetano, nuncyusz papieżki; za nim postowie austryacki i szwedzki, przed nim Sapieha i Jerzy Mniszcz. W rogu na lewo klęczy Stanisław Karnkowski prymas; w stallach stoi Jan Łączyński; dalej siedzi wdowa po Herburcie i Anna Jagiellonka, z księżniczką Zofią Ostrogską.

Sama myśl zgromadzenia w jednym obrazie tylu i tak różnorodnych postaci, jest śmiałą; cóż dopiero, gdy powiemy, że wykonanie jej, przechodzące wszelkie oczekiwania, wprowadziło w niemały kłopot naszych krytyków, bo nie dostrzegli wad żadnych. Obraz ukazał się naprzód r. 1864 na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie, w lokalu zupełnie nie stosownym; później znalazł się dogodniejszy w sali Towarzystwa naukowego, z kąd zakupiono go za sumę niesłychaną w dziejach krajowej sztuki. W roku bieżącym, obraz Skargi wysłany został na wystawę obrazów do Paryża. Nasi znawcy i pseudo-znawcy niewielkie wróżyli mu powodzenie; tymczasem obraz, jednomyślnie przyjęty przez jury wystawy, umieszczony został w honorowym salonie, a twórca jego uzyskał medal złoty.

Ci co mieli sposobność być wtedy w Paryżu, nie mogą dosyć napisać entuzjazmu, z jakim Paryżanie oglądali obraz Matejki. Wszystkie dzienniki wyrażały się nadzwyczaj o nim pochlebnie, choć wykazała się przytęm i nieświadomość rzeczy, i sądy bywały liche. Powtarzać ich nie będziemy, ograniczając się na zacytowanie tego, co słynny francuzki krytyk dzieł sztuki, Teofil Gautier, wydrukował w Monitorze z d. 18 czerwca 1865 r. Oto są jego słowa, wyjęte z recenzji wystawy tegorocznej.

„Dzieje Polski mało znane są we Francyi, dla trudności jaką natłok obok siebie spółgłosek sprawia w wymówieniu nazwisk; ztąd też nikt u nas, chyba jaki uczony, nie zasłyszał o księdzu Skardze, treści obrazu p. Matejki, obrazu znakomitego, który trudnoby zro-

zumić, bez poradzenia się katalogu wystawy.“ W tém miejscu autor daje wypis z katalogu i mówi dalej: „Wypisaliśmy umyślnie te parę wierszy, dlatego, że przedstawiają dobrze oryginalność pomysłu czerpanego z historii, co nie służyła dotąd za treść do obrazów, a ma za czynniki nowe w sztuce typy, odziane szatą kroju i kolorytu dotąd nieużywanych. Piętno egzotyczne cechuje wszystkie postacie, zgrupowane znakomicie przez p. Matejkę. Postaci tych nie spotykało się dotąd na żadnym obrazie, ani w nich czuć naśladowania antyku, lub którego z wielkich mistrzów. Dla nakreślenia ich musiał się chyba artysta radzić jakich dawnych portretów, gdzieś starannie dotąd przechowanych. Książk Skarga szczupły, błąd wyniszczony entuzjazmem i ascetyzmem, przemawia z zapałem natchnionego, przed zgromadzeniem ludzi poruszonych rozmaitem uczuciem. Jedni z nich obrażają się, inni zdają się rozważać; ten opiera się sennie, tamten znów dzieli uczucia mówcy; ale każda głowa ma swoje właściwość, swój wyraz, charakter, swój obyczaj że tak powiem. Widać, że każda z tych osób jest czémś odrębnem i możnaby prawie wskazać jój nałogi. Obok mistrzowskiego pojęcia gry fizyognomji i mimiki, wszyscy przedstawieni na obrazie są na swém stanowisku, a na ich twarzach widać wrażenie wywołane przez mówcę, z odmianami wieku, płci i przesądów. Pan Matejko wciela, z większém nawet powodzeniem, ideały szukane przez Pawła Delarochę i Gallait'a, posiada niezmierną zręczność w traktowaniu i oddaje tak dobrze, jakby to mógł uczynić chyba Blazyusz Desgoffe materye, złoto, brzoń, drogie kamienie, złotogłowy. Jedyny zarzut jaki mu śmiemy uczynić, to panowanie w obrazie tonów czarnych i ezerwonych. Ton pochmurny zaciemnia obraz i nadaje pewną wybladość twarzom, szczególniej w światłach i t. d.“

Słowa te znakomitego krytyka paryzkiego nie potrzebują komentarza. Wypowiedziane w nich jest dobrze znaczenie wysokie obrazu, a szukanie błędu w ciemnym tonie obrazu, wynikłe może z sąsiedztwa z obrazami jaskrawo malowanemi, nie zdaje się być wielkiego znaczenia, bo i sama scena wymagać mogła tego tonu.

Takie powodzenie naszego artysty podniosło w nim jeszcze więcéj zapał do sztuki. W miejsce kazania Skargi, stanęło teraz w pracowni jego obszerniejszych jeszcze rozmiarów płótno, na pół skończony obraz wielce ruchliwego dramatu, obraz, jakiego pewno nie było u nas dotąd. Ale czyż wolno nam o tém mówić, co jeszcze pracowni kryją ściany? Raczej wspomnijmy tu jeszcze o *Wicie Stwoszu*, który właśnie teraz znajduje się na wystawie obrazów w Warszawie, że malował go Matejko po powrocie z Paryża, dokąd

się udał w r. z. wraz z młodą swą małżonką, z którą się przed rokiem połączył.

PIOSNKA CYGANÓW WĘGIERSKICH.

Za obłokiem obłok bieży,
Przez nie miesiąc świeci —
W szczerem połu do wieczery
Cygan ogień nieci.
Wesół buja jeleń w borze,
Łosoś pływa w toni;
Wesół orzeł wiatry porze —
I my tak, jak oni!
— „Pójdź, dziewczę, żyć ze mną w dworze;
Dam ci szaty drogic,
Stół wytworny, miękkie łóżę,
I służebne mnogie.“
Spróbuj! czy ci orzeł płowy
Włeci w klatkę złotą!
W złotą wodę koń stepowy
Czy da łeb z ochotą!...
Step zielony łożem, stołem,
Niebo za pokrycie;
Dni niezniękane mozołem —
To cygańskie życie!
Wesół buja jeleń w borze,
Łosoś pływa w toni;
Wesół orzeł wiatry porze —
I my tak, jak oni!

R. Z.

Zachwycenie.

Srebrzysta światłość miesiąca
Na Wisły upada tonie,
A fala cicha i drżąca
Galar unosi na łonie;
Wiosło leciuchno ją trąca
A wzrok flisaków w nięj tonie.
Nie pereł ani koralu
W modréj szukają głębinie,
Lecz woda czegoś się żali,
Skarg smutnych drżący szept płynie:
Może duch jaki na fali
W północnej wstaje godzinie,
I w ciche z sobą rozmowy
Chce dusze pociągnąć młode?...
Lecz wietrzyk wionął majowy
Przez srebrną przyleciał wodę,
Szumi głuź cichéj dąbrowy
W miesięcznej nocy pogodę.
I tęskne słowicze tony
Lękliwym budzą się śpiewem;
Mgła śnieżna rzuca festony,
Cień biały stoi pod drzewem,
Niby to rąbek zasłony
Z leciuchnym igra powiewem.



Mal. W. Garson

Wybita w Lit. A. Dzwonkowskiego i Sp.

Lit. W. Brämter

ZACHWYCENIE

Niby rozchwianych warkoczy
 Włos płynie jak struga złota,
 I słodkie patrzą się oczy
 Słodki w nich ogień migota,
 O cieniu gajów uroczy!
 Czyś ty rozkoszy tęsknota?
 I wzrok twój tkliwie się zarzy,
 W maków ubrałaś się wianki,
 Aby tych biednych zeglarzy,
 Od bladłej wykraść kochanki;
 Od téj, co smutna się skarży
 Po złotych świtów poranki?

Marja Ilnicka.

Dorota Daniłłowiczówna.

(Obrazek z przeszłości).

W klasztorze panien Benedyktynek we Lwowie, pobożne dzie-
 wice oplakiwały śmierć bogobojnej przewodniczki swojej ksieni
 Jukulanty, zgasłej przedwcześnie dla ich miłości i chwały bożej.
 W strapieniu swém zwróciły oczy na świętobliwą Agnieszkę, najlep-
 szą przyjaciółkę zmarłej, od niej tylko oczekując rady i pociechy.
 Zgromadziwszy się w wielkiej izbie posiedzeń iżby radzić o przy-
 szłości, niecierpliwie oczekiwały azali przybędzie, Agnieszka bowiem
 od zgonu Jukulanty, na modlitwie i rozmyślanu u stóp krzyża
 wszystek czas trawiła i nie łatwo było oderwać ją od tego w czém

jedynie znajdowała ukojenie żalości swojej. Rozwarły się wreszcie ciężkie drzwi dębowe i weszła poprzedzona furtjanką siostrą Klarą, która odszukała jój w kościele. Oczy Agnieszki pały jakimś dziwnie tajemniczym wyrazem, a na ustach jój igrał dawno niewidziany uśmiech; widoczném było że doznać musiała niebiańskiej pociechy którój z kolei siostrom udzielić miała.

— Oczekujemy na was wielebna matko, zabrała głos Johanna młoda zakonnica ulubione dziecię ksieni Jukulanty, radźcie jak osłodzić sieroctwo nasze gorzkie, zastąpcie nam tę która była tyle drogą waszemu sercu.

— Wszystkie pragniemy gorąco abyście jój miejsce zająć chcieli, ozwały się razem inne siostry, nieodmawiajcie próźbie naszój!

Matka Agnieszka uśmiechnęła się znów tym pięknym i tajemniczym uśmiechem, który tak rozpromieniał jój oblicze, a po chwili zastanowienia odrzekła:

— Zaufanie wasze miłe siostry, schlebia mi bez wątpienia, a jednakże uczynić nie mogę zadość życzeniu temu. Nie wspomnę już o nieudolności, o podeszłym wieku moim, lecz powiem tylko że Pan w jasnym widzeniu przyszłości, objawić mi raczył wolę swoją, gdym go błagała oto w modlitwie gorącej.

— A taż wola przeciwna pragnieniu naszemu? ozwała się smutnie Johanna.

— Tak nie inaczej siostro miła — spoczywająca w Bogu Jukulanta i po za grobem niezapomina córek swoich, ona to bezwątpienia sprawiła że Pan wysłuchał niegodnych modłów moich, a objawioném mi zostało, jako w samą godzinę jój śmierci, narodziła się dziewczeczka, która do lat doszedłszy przyjmie zakonną zasłonę i stanie się chlubą klasztoru tego — i całego zakonu śgo ojca Benedykta.

— Ależ przed tém wielebna matko, mówiły żalośnie zakonnice, które aczkolwiek przejęte podziwem i uszanowaniem, radować się niemogły tak daleką przyszłością, powiedzcie nam kto zastąpi Jukulantę za nim podrośnie dziewcze, którego rządów może już żadna z nas niedoczeką?

— Dopóki maluchna dziś Dorota nie dojdzie lat potrzebnych, dopóty wołą jest Bożą aby Johanna przewodniczyła domowi temu.

— Ach wielebna matko cóż wyrzekliście zawołała przerażona tą godnością dziewica, jażebym miała... o nie to być nie może... ja, gdy tyle jest starszych i zdolniejszych do dźwigania ciężaru zbyt silnego na słabe barki moje...

— *Brzemie moje jest lekkie a jarzmo słodkie* mówi Pan, jeżeli szczerem sercem spełnić zechcesz wolę Jego da ci moc po temu. Módl się i pracuj a wiele podolasz, więcej nawet aniżeli sądzić możesz.

Głos Agnieszki taką miał przewagę pomiędzy siostrami, że opierać mu się nieśmiały. Johanna tylko przestraszona niespodziewaném wyniesieniem swoim, chcąc niejako oddalić chwilę w której najwyższa władza w klasztorze uroczyscie jój przyznaną zostanie, zapytała jeszcze :

— Wolnoż nam wiedzieć gdzie jest ta dziecina, która niezwykłym blaskiem i chwałą przyświecać będzie zgromadzeniu naszemu?

Agnieszka spojrzała w niebo i zamilkła na chwilę, a potem jakby zaczerpnąwszy tam wieści które opowiadać miała, mówiła pełnym natchnionego dźwięku głosem :

— Ród jój z królów pochodzi i króla w nim ujrzą jeszcze w niedalekiej przyszłości. Daniel dziedzic halickiego berła dał za żonę synowicę swoją węgierskiemu hrabi Hujd, co Sasa miał w swym klejnocie i pierworodnego syna do chrztu mu trzymał. Potomek szlachetnego hrabi i krewnej królewskiej, nosił imię chrzestnego rodzica i od niego to rozrósł się rycerski dom Daniłowiczów, pan Daniłowicz i małżonka jego mają córkę Dorotę urodzoną kilka dni temu, w samą godzinę śmierci wielebnej matki Jukulanty.

Oczy moje nie ujrzą już dnia w którym ta nowa gołębicą Syonu rozwinie tutaj śnieżne skrzydła swoje, gdy pokrewny jój król tój ziemi, uchyli korne czoło w świątyni naszój i z jój błogosławieństwem wyruszy w zapasy z nieprzyjacielem, z których wyjdzie zwycięzko!

Skoro wieść o przepowiedni świętobliwój Agnieszki doszła uszu pani Daniłowiczowój, pobożna niewiasta natychmiast uroczyscie w kościele dzieweczke swą Dorotę poślubiła, Bogu, a gdy ta trzech lat wieku doszła, oddała ją na dalsze wychowanie do klasztoru Be-

nedyktynek we Lwowie. Agnieszka nie żyła już wtedy, lecz inne zakonnice uradowały się niezmiernie przybyciem *małej ksieni*, (tak ją bowiem przewano) i przywiązały się do niej wkrótce jak do własnego dziecięcia. Osobliwie też ksieni Johanna ukochała przyszlą zastępczynię swoją i na chwilę nawet nie rada była z nią się rozłączać. Dorota też zasługiwała na powszechną miłość. Bystrego dowcipu i bardzo wdzięcznej postaci, posiadała nadto wielką słodycz, łagodność i trafność w obejściu z drugimi. Gdy skończyła lat piętnaście wesołość jej i żywość tak się rozwinęła, że matka która nawiedzając ją często w klasztorze, sledziła azali niedopatrzy w niej czego, coby się sprzeciwiwało zakonnemu powołaniu, lękać się poczęła, czy w istocie niepospieszyła się zbyt, słubując oddać ją Bogu bez jej świadomości. Rozmyślając długo nad tem, za poradą spowiednika odebrała Dorotę z klasztoru, aby wypróbować ją lepiej pod bokiem swoim i w razie potrzeby powrócić światu.

Dorota trapiła się z początku niepomału rozdziałem z zakonnicami, do których już nawykła i przywiązała się bardzo, tęskniła też za nabożnymi zwyczajami których zaniechać musiała, za owemi uroczystościami kościelnymi, które teraz zaledwie kiedy niekiedy widywać mogła, lecz natomiast gwar i ruch licznego dworu rodziców wcale jej wstrętnym nie był zdawało się nawet że powoli nabierała w nim niejakiemu upodobania.

Właśnie pod ten czas siostra jej starsza przyrzeczoną została w małżeństwo i z tej przyczyny dwór rodzicielski nawiedzany był liczniej niż kiedy od sąsiadów. Dwie córki wojewody, jak dwie wonne róże pociągały ku sobie wszystkie oczy lubym wdziękiem. Tajemnicy uczuć Doroty nikt zbadać nie mógł, w wieczór spędzała na modlitwie długie godziny w samotnej komnacie swojej, lecz z gośćmi tak była zawsze żywą w ruchach i mowie, uśmiechniętą i wesołą, że można było mieć skrycie nadzieję że do klasztoru niepowróci.

Rodzice niewiedzieli także czy jeszcze trwa w dawnym postanowieniu swoim, czy też już odbiegła od niego daleko. Zdarzyło się właśnie wtedy że jeden z dworzaków zaślubiał ulubioną wychowaną wojewodziny, córek jej rówieśnicę. Huczne wesele wyprawiono młodej parze, którą zarówno jak wola starszych, zobopólna połączyła miłość. Wojewodzina uważała że Dorota zaszępiła się i westchnęła nie raz patrząc na pannę młodą. Serce matki ścisnęło się żalosiennie. Daruj mi o Panie rzekła z cicha, jeżeli nie spełnię ślubu

mego, ale w jakim sposób mogę oddawać to dziecię świętej służbie Twojej, jeżeli serce jego lgnie do świata i ziemskiego szczęścia pragnie?

Na trzeci dzień po ślubie państwo młodzi unosząc błogosławieństwa i życzenia przyjaciół, udali się do wioski wypuszczonej im w dzierżawę przez wojewodę. Było to w skwarny dzień letni, w godzinę więc może po ich odjeździe wybuchła sroga burza.

Obiegano dom cały z dzwonkiem Loretańskim, wojewodzina zegnała czarne chmury krzyżem świętym, a wojewoda wraz z domownikami spiewał *pod Twoją obronę* przed obrazem Matki Boskiej Sokalskiej, ubranym w wonne kwiecie i światło jarzące.

Po niejakiem czasie burza przemijać poczęła i kiedy niekiedy już tylko huk złowrogi poprzedzony błyskawicą, piorun zwiastował, gdy nagle drzwi się rozwarły i w podartej błotem i krwią obryzganęj szacie, blada jak gdyby ze śmiertelnej powstała pościeli, w biegła młoda oblubienica.

— Co ci to Basiu, zawołała przerażona wojewodzina chwytając jęj obie ręce, z kąd się wzięłaś tutaj, gdy sądziliśmy że dawno już jesteś w domu twoim?

Basia nic nieodpowiedziała wiodąc martwym wzrokiem po przytomnych, widocznie jakaś straszna przygoda chwilowo pomieściła jęj zmysły.

— Gdzie mąż twój? zapytał wojewoda.

Na te słowa oprzytomniała dopiero i wydawszy krzyk przeraźliwy padła zemglona załamując ręce z rozpaczą.

Rozesłano na wszystkie strony posłańców i wkrótce smutna tajemnica Basi wyjawioną została. Jednocześnie prawie gdy młoda kobieta powróciła do zmysłów, przywieziono zwłoki jęj męża które o pół mili blisko znaleziono w polu obok potłuczonego wózka i pokaleczonego woźnicy. Konie zestrachane wzięły na kiel i biedny młodzieniec zginął za nim jeszcze nacieszyć się mógł nowem życiem.

— A więc taka to jest pomyślność na świecie szeptała z cicha Dorota, pozostawszy sama wieczorem w swęj komnacie. Jedna chwila niszczy bezpowrotnie najmiłsze nadzieje przyszłości i kirem żałoby resztę dni powleka! O Basiu jeżeli ci pozazdrościłam szczęścia, to teraz poznaje jak znikomem i marnem jest wszystko co ludzie tutaj cenię zwykli jako radość najwyższą!

Nazajutrz rano Dorota przyszła do rodziców. Radzili jeszcze o smutnym wypadku dnia wczorajszego i dopiero gdy u nóg ich uklęknęła, spostrzegli że obcięła piękne długie włosy.

— Co to znaczy dziecko moje? rzekł łagodnie wojewoda tuląc do piersi jasną głowę córki.

— Oddajcie już Bogu dziewczeczkę waszą, bo dla niej jedynie szczęście w służbie Jego, mówiła Dorota, skłaniając się do nóg rozrzewnionej matki.

— Posłuubiłam cię zdawna Panu, odparła wojewodzina, ale w ostatnich czasach lekłam się azali przeznaczon ci żywot tak wysokięj doskonałości. Wyznaj więc szczerze, czy szczęścia ziemskiego nie pragniesz? jeszcze jesteś bardzo młodą i postanowienie obecne później żal wzbudzić może.

— O! nie, nigdy, matko! Od dnia wczorajszego utwierdziłam się w przekonaniu, że w Panu jedynie znaleźć można spokój i radość, Nie chcę dłużej sprzeciwiać się powołaniu, które mi zdawna przepowiedziały pobożne i wiarogodne usta.

Bogobojni rodzice nie wahali się dłużej, i wkrótce potem Dorota oblekła zakonną sukienkę.

Szybko mijały lata, i nadszedł wreszcie czas, w którym z ziściły się prorocze słowa świętobliwej Agnieszki.

Dorota została przełożoną klasztoru swego, a zarazem matką i opiekunką najtkliwszą siostr zakonnych. Życie jęj było jedném pasmem miłości i chrześcijańskiego miłosierdzia. Wszystkich ubogich i strapionych garnęła do siebie, a klasztor Benedyktynek Lwowskich, zbogacony jęj wianem, stał się skarbaicą, z której mieszkańcy okoliczni, bez różnicy wyznania, czerpali hojne jałmużny. Spełniła się także druga przepowiednia Agnieszki, że ród Daniłowiczów spokrewni się znów z tronem, gdy siostrzeniec Doroty, Jan Sobieski, zawiądnął polskiem berłem.

Dorota kochała szczególniej krewnego swego i on też odpłacał się jęj prawdziwie synowską miłością. Powodzenie swoje w bitwach przypisywał zawsze jęj modlitwom i przed każdą wyprawą prosił aby mu błogosławiła. Zdarzyło się jednego razu, że zniewolona jego prozbami, czas jakiś, za zezwoleniem duchownej władzy, przy nim zabawiła. Aby umartwić się wtedy i nie urosć w pychę na królewskim dworze, w nocy opuszczała przygotowane dla niej posłanie we wspaniałej komnacie i na twardej podłodze zasypiała.

Po czterdziestu siedmiu latach przewodnictwa w klasztorze, którego rzeczywiście stała się ozdobą i chlubą, zasnęła w Panu, z wielkim żalem rodziny, przyjaciół i nieszczęśliwych, którym była matką i opiekunką. Król Jan wyprawił jęj pogrzeb wspaniały, a Andrzej Załuski, biskup Kijowski, wypowiedział wtedy w pełnej namaszczenia mowie, wszystkie zasługi tego bogobojnego żywota.

Aby uniknąć wystawnego grobowca którym zwłoki jęj uczcić chciano, kazała pochować się w progu kościoła, tak, iżby każdy przechodzień deptał po jęj prochach.

Niepodobnaby wyliczyć wszystkich czynów jęj chrześcijańskięj pokory w życiu, równie jak czynów miłości i miłosierdzia; powiemy więc tylko, że piękna postać Doroty Daniłowiczównęj, po bliższem w nięj rozpatrzeniu, otoczona promienną światłością, jaśnieje wśród niebiańskięgo zastępu świętobliwych prababek naszych.

A. z Ch. Borkowska.

OBŁAKANA.

Siadło dziewczę po nad wodą,
 Rozpuściło włos,
 Załamało białe ręce,
 Zapłakało w głos —
 Potém listki dwa zerwało
 Z dwóch nadbrzeżnych drzew,
 I łkaniami przerywany
 Zanuciło śpiew.
 Ty mój pierwszy listku mały
 Nieś wiadomość tę...
 Ze z tęsknoty rozplynęły
 Moje oczy w łzę.
 Tu jęj z długich czarnych rzesów
 Brylant — łezka ściekł,
 I na listku, gdzieś za morze,
 Z prądem wody biegł.

Ty mój drugi listku mały
Bez ustanku mów,
Że na męki me serdeczne
Nie znajduję słów.
I tu ostrzem piers zadrasła,
Bez zmarszczenia brwi,
A na mały listek padły
Krople ciepłej krwi.
Wicher z szumem dziko wionął
W otchłań wodnych trąb —
I dwa listki te pochłonał
W modrą ciemną głąb.
Dziewczę z jękiem wyprężyło
Za listkami dłoń...
Bose nóżki nagle wpadły
W sfalowaną łoś.
Wicher w kielich nagle zwinął
Końce białych szat,
A bałwany zapluskaly
Slicznej lilii kwiat.

St. Giller.



lit. W. Dumler

wit. A. Dzwonkowskiego

R. ZIENTARSKI.

ROMUALD ZIENTARSKI.

Do najwięcej krzątających się w kraju naszym, około muzyki w różnych jej gałęziach, bez zaprzeczenia należy Romuald Zientarski. Z jego imieniem spotykamy się często na dziełach poważnej muzyki religijnej, — na pracach traktujących teorią muzyczną, także na kompozycjach czysto fortepianowych, organowych i do śpiewu w rozmaitym rodzaju, oraz na rzeczach przeznaczonych dla wielkiej i małej orkiestry. Słowem, nie ma gałęzi muzyki, którejby Zientarski w znacznej części nie poświęcił sił własnych. Najwięcej jednakże zamiłował muzykę kościelną; w dzieciennym bowiem jeszcze wieku, po przejściu pierwszych prawideł muzyki, wskazanych mu przez własnego ojca, wszechstronnie wykształconego artystę muzyka, począł śledzić księgi rytualne: już z nich przekładając melodyę na system terażniejszej muzyki, to znów harmonizując ją i udoskonalając, w późniejszych latach życia swojego.

Romuald Zientarski urodził się we wsi Wymyślinie, Gubernii Płockiej, dnia 10 Listopada 1829 roku. Pierwsze nauki pobierał w szkołach publicznych w Pułtusk; własne jednakże poczucie popchnęło go do kształcenia się w wyższych naukach, jakim się oddawał w celu przygotowania siebie do stanu duchownego. Stan ten bowiem, jako zawód życia, obrać sobie zamierzał, i czuł że usposobić go jedynie mogła ku temu, usilna i bezustanna praca. Dla téj to może przyczyny z takim zapalem zamiłował muzykę kościelną, na polu której tyle przysług oddaje krajowi, a która, niewątpliwy iż nazwajem, uturuje mu w téj gałęzi sztuki, wdzięczne i pełne zasługi wspomnienie.

Jednakże po wyjściu ze szkół i ukończeniu całkowitej edukacji, zamiary Zientarskiego, z powodu różnych od niego niezależnych okoliczności, zmianie uległy. Zmiana takowa musiała wpłynąć i na kierunek muzyki jego. Od tego czasu, a mianowicie od r. 1849, Zientarski wyłącznie oddał się zawodowi muzycznemu, czując zaś potrzebę specjalnego kształcenia się w tej sztuce, począł pracować najprzód pod przewodnictwem Tomasza Nideckiego, b. Dyrektora opery polskiej w Warszawie, następnie zaś, co do kontrapunktu i kompozycji, korzystał z rad Józefa Elsnera, b. Rektora konserwatorium Warszawskiego.

Zamiłowany jednak przez Zientarskiego ścisły styl muzyki, chwilowo był przezeń odłożony, z przyczyny doskonalenia się w technice fortepianowej, organowej i w śpiewie solowym. Dopiero w r. 1858, gdy Zientarski, zubożony doświadczeniem, wrócił z wycieczki artystycznej po Niemczech, oddał się nanowo ścisłszemu studjum; wkrótce zaś, przyswajając sobie równą w obu stylach łatwość, napisał rozliczne dzieła, w różnym rodzaju muzyki. Najważniejszym jednakże jego dziełem jest „*Muzyka kościelna, choralna i figuralna etc*“ która oprócz znacznej liczby własnych utworów, mieści w sobie wszystko, cokolwiek od wielu wieków obchodzić może z blizka prawowiernych kościoła Rzymsko-Katolickiego, oraz prawdziwych miłośników i znawców muzyki. Różne też gazety w kraju i za granicą wychodzące, od czasu ukazania się pierwszych zeszytów, tak znakomitej pracy, nie szczędziły jej największych pochwał. Między innymi: *Gazeta Polska* (z d. 18 Marca 1860 r.), i *Kuch muzyczny* z tegoż roku, dowodzą o użytku *Muzyki kościelnej R. Zientarskiego*. *France musicale* (z d. 25 Marca 1860 r.), pochwała czystość melodyi rytualnych. *Presse musicale* (z d. 13 Maja tegoż r.), o harmonizowaniu, preludjach — i zasadzie przyjętej w tém dziele. Słynny Fr. Liszt w Rzymie, i M. Brosig, najznakomitszy dziś organista, kompozytor i Dyrektor muzyki w Wrocławiu, pisząc zaszczytne listy do R. Zientarskiego, wieszowali mu dzieła będącego chlubą dla kraju, o czém nawet przed niedawnym czasem donosiły tutejsze gazety.

Oprócz pomienionego dzieła, R. Zientarski napisał kilka Wielkich Mszy, równających się Oratorjom, na chóry i orkiestrę, z których ostatnią (Es dur), napisaną dla Instytutu muzycznego, mamy nadzieję poznać za sprawą tegoż Instytutu. Jego *Pieniu religijne, ku ostatniej postudze chrześcijańskiej*, (wydane u F. Hösocka w Warszawie), a mianowicie: „*Miserere mei Deus*“ na dwa chóry skomplikowane i orkiestrę z dętych instrumentów ułożone, i „*Libera me Domine*“ niezaprzeczenie należą do najznakomitszych dzieł tego

autora — i do nieśmiertelnych utworów policzonemi być mogą. Lżejsze kompozycje kościelne, jak: Msze, Hymny, Mottety, Preludye, Fugi na Organ i t. p. — jako łatwiejsze do wykonania, większego mogą się spodziewać upowszechnienia, a ztąd i rozgłosu.

Z literatury muzycznej, oprócz wielu rozpraw o muzyce, Zientarski wypracował dwa ważniejsze dzieła naukowe. Z tych pierwsze: *Szkola na fortepian teoretyczno-praktyczna*, wydana jest nakładem księgarni K. Bernstejna w Warszawie; drugie zaś, *Szkola dla organistów*, przygotowana do druku, obejmuje wszelkie wiadomości, tyżące się zasad muzyki terażniejszej i dawniejszej, oraz naukę harmonii, generalbasu, kontrapunktu i t. d. Dzieło to, wielce może-bydź użytecznem, nie tylko dla samych organistów, ale i dla każdego, kto wszechstronnie z muzyką i wyższą grą na organach, obeznać się zapragnie. Tak więc R. Zientarski, zarówno jest literatem, jako i biegłym harmonistą-praktykiem, co wszakże u nas jest rzeczą niezwykłą i tylko do rzadkich znakomitości liczyć się mogącą.

Oprócz znacznej liczby różnych kompozycyi na fortepian, Zientarski napisał wiele śpiewów, dorabiając muzykę do słów *Gillera*, *Pola*, *Syrokomli* i innych. Z tych niektóre, wyszły już z druku, inne zaś, mianowicie większe, znane są w manuskryptach, lub z upodobaniem słuchane na jego własnych koncertach w kraju. Że świeżość melodyi, oryginalność myśli, dramatyczność, oraz powaga stylu i niezwykle władanie kontrapunktem, są cechami wielu instrumentalno-wokalnych kompozycyi Zientarskiego, ztąd wnosić nam wypada, że i Oratorjum obecnie przez niego pisane, z którego mieliśmy już sposobność słyszenia niektórych ustępów, zaciekawi w swoim czasie niejednego ze znawców.

Zamieściwszy tu w krótkości rys życia i prac Zientarskiego mieliśmy na celu zapoznać bliżej publiczność naszą z współrodakiem, którego niezwykle zamiłowanie i wytrwałość w pracy, oraz siła wieku, każą nam się spodziewać iż nie jednem jeszcze dziełem większej wagi przysłuży się muzyce krajowej; wykończone zaś kompozycje postara się ogłosić drukiem i wykonać publicznie, abyśmy ich wartość ocenili i należny hołd skromnemu oddać mogli artyście — kompozytorowi.

L. M.

SZLAFROCZEK I SUKNIA BALOWA.

Bajka.

Na bal wyjeżdżała panienska,
Jak z mgły rannéj lekka sukienka,
Strój cały jak słońcem promienny;
W kąć rzuciła szlafroczek codzienny.

Nie tego się biedak spodziewał!
On ją codzien odziewał, ogrzewał,
Tak lgnął do niéj, tak miétko ją tulił!

Strasznie się nieborak rozczulił,
Łzy nań w plamach wybiły od żalu.

A panienska tymczasem na balu,
Cała w gazach, jak ptaszek w obłokach,
Jak on zda się ulatać w poskokach.

Młodzieź się dobija jéj ręki;
Widzi, czuje, jak wielbią jéj wdzięki,
Słyszy nawet pochwały sukienki.

Ona sama nie spuszcza z niéj oka,
Taka długa, i taka szeroka!

A co spójrzy w zwierciadło, to czuje,
Że jak siebie, tak ją admiruje.

A Szlafroczek tymczasem jak cudzy
Leży w kącie.

Bez Pani, i słudzy

Wyszli z domu; — a w pośród téj ciszy,
 Hajże pace, i szczury i myszy
 Hulać po nim! Nie uszedł ich oczek
 Rzucony na ziemię szlafroczek,
 Ciepły, gładki, mięciuchny, więc łatwy
 Do zgryzienia na gniazda dla dziatwy.
 Nuż więc gryźć: wszystkie razem wespół,
 Ten rękawa, ten stanik, ten poły;
 Nikt nie broni — ząb ostry, noc wielka,
 Ze szlafrocza została frendzelka...

A panience na balu tak błogo!
 Mazurkuje — wtém tancerz jój nogą
 Jak przytupnie kraj sukni — niestety!
 Oddał pas, w szerz przez całe dwa brety.
 Ot ci suknia z ogonem! ot skutki!
 „O! bodajto szlafroczek mój krótki!“
 Pomyślała: — lecz z małą fatygą,
 Złe się dało naprawić fastrygą.

Wnoszą lody—chce wziąć, lecz się strzeże.
 Zgadli myśl dwaj uprzejmi tancerze,
 I na wyścig do jednéj posługi
 Nuż w skok razem! — wtém jeden o drugi
 Spodek jakoś w ich ręku jak stuknie,
 Lody z obu wypadły na suknię.

„Ach!“ z przestraczem krzyknęły w krąg damy,
 Ale mniejsza o przestracach — lecz plamy!
 Chciano zamyć — lecz zachód daremny.
 „O! bodajto szlafroczek mój ciemny!“
 Myśli znów, połykając łyżę żalu,
 Boć już z plamą nie tańczyć na balu!
 A bal grzmi — chwila jeszcze nie późna —
 Ach! a trzeba wracać! —

Noc mroźna.

Łzy na twarzy i ręce zakrzepły.
 „O! kochany szlafrocze mój ciepły!
 „Jak cię włożyę“ — i nagle pociecha
 Już się w myśli przez łyżę jój uśmiecha.
 Nie przeczuwa jak straszny cios nowy.

Strój co prędzej zrzuciła balowy,
 O szlafrocze swój pyta, posyła,
 Zapomniała że w kącie go rzuciła.

Szuka sama: „Szlafroczku mój, gdzie ty?“
 W tém postrzegła, porwała — niestety!
 Cóż żeń? same dziury a szmatki!

Tu już w płacz, i ze skruchą do matki.
 Matka mądra, nie laje, nie fuka,
 Rzekła tylko: „No, niechże nauka,
 „Dziecię moje, przyjdzie ci ztąd,
 „Byś nigdy w ką
 „Nie rzucała płochu dla nowych
 „Ponęt lub uroków światowych,
 „Cnót rodzinnych, przyjaciół domowych.“

A. E. Odyniec.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W NOWOROCZNIKU ILLUSTROWANYM

na rok 1866 i 1867.

	strona.
Kilka słów do portretu M. Ilnickiej	I
Kto winien — obrazek dramatyczny M. Ilnickiej	II
<hr/>	
Słówko o teatrze — J. Kraszewskiego	1
Do oddalanej — wiersz J. Grajnera	10
Kilka słów o słowcach—R. Zmorskiego	11
Seperacyja — monodram A. Ładnowskiego	18
Mulaci — obrazek z życia Amerykanów p. E. K.	27
Bratki — wiersz J. Grajnera	77
Rodzina p. El. Ziemięką	81
O! żadnej w świecie — wiersz J. Grajnera	169
Polna różyczka — wiersz J. Grajnera	170

	strona.
Opis wesela w mieście Jedlińsku p. J. K.	171
Dwie Elizy — obrazek sceniczny	177
Życiorys X. Mildego p. J. Gautie	215
Piosnka Koptyjska p. R. Zmorskiego	224
Ulrykaland przez Józefa Korczaka	225
Dobra rada — wiersz R. Zmorskiego	252
Więzienie Katarzyny Jagiellonki	253
Cztery obowiązki — wiersz R. Zmorskiego	256
Marynia — powieść	256
Śmierć to życie — wiersz p. Liljanę	306
Śmierć Wandy p. W. Gersona	310
Tęsknota — wiersz	312
Do Hrabiny W. P. — o malarstwie	313
Zachód słońca — wiersz p. Mironą	323
Piotr skarga każący w obec Zygmunta III w Katedrze Kra- kowskiej	325
Piosnka cyganów węgierskich — p. R. Z.	331
Zachwycenie — wiersz M. Ilnickiej	332
Dorota Daniłowiczówna p. A. z Ch. Borkowską	333
Obłąkana — wiersz p. A. Gillera	339
Romuald Zientarski p. L. M.	341
Szlafroczek i suknia balowa — wiersz p. A. E. O.	344

SPROSTOWANIE.

W artykule pod tytułem: „Ulrykaland“ str. 225 zaszyły po-
myłki:

strona	wiersz	zamiast	ma być
228	21	takie	także
231	38	odcieniającego	odświeżającego
232	28	niemocy	mimozy
235	5	zatonią	zasłonią
237	1	mówże	mówię
238	8	nauczyciela	marzyciela
238	10	Meischarda	Meinharda
240	24	Degonsej	Degousée
241	3	wpowszechności	upowszechnione
242	29	sięgnę i	sięgnąć
245	30	ucznie	uczeni
246	24	komisyj	koncessyj
246	40	do 40o	do 80o
250	20	Svrevby	Scoresby

UWAGA. „Cena Noworocznika ilustrowanego na rok 1866 i 1867“ oznacza się Rs. 1 za egzemplarz broszurowany. Egzemplarz oprawny z dodatkiem muzycznym kompozycyi R. Zientarskiego, kosztuje Rs. 1 kop. 50. Egzemplarze oprawne, ze złożonemi brzegami, sprzedają się po Rs. 3 do 4, stosownie do piękności rycin i dobroci materiału. Cena zeszytów rocznych Noworoczników dla Polek (na r. 1861, 1862, 1863, 1864 i 1865) jest Rs. 3 dla kupujących je razem—pojedynczo każdy tom kosztuje 75 Kop.

ZAWIADOMIENIE Z GŁÓWNEGO SKŁADU

HERBATY

POD



KOPERNIKIEM.

Zatrudniając się sprzedażą *Herbaty* od lat trzydziestu *pochlubić się mogę znajomością tego towaru*, tem samem *wybór gatunków* przezemnie dokonany niezawiedzie *Szanownych Znaczców i Zwolenników*. *Wyraźnie powtarzam, że Ceny Herbaty od lat kilku o połowę niżylem* i po tych cenach sprzedaż *w pięciu moich Składach* w Warszawie skuteczniam. *Zawistne sarkazmy na tak znacznie obniżone Ceny*, jako i *dodawane przezemnie dodatki* nie osiągają zamierzonego celu. *Pochlebić sobie mogę tylko, że jednają mi nowych kundmanów*, co udowadnia z dniem każdym powiększająca się u mnie sprzedaż, tak na tutejsze Miasto jako też *Prowincję*, oraz *poblizsze Gubernje Cesarstwa*. Mam więc nadzieję, że *Szanowna Publiczność* zaszczycić mnie raczy i nadal swoim zaufaniem.

Leon Krupecki.

SKŁAD HERBATY

pod firmą

I. KACZKOWSKI

*w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście
wprost Dobroczynności i Resursy Obywatelskiej pod Nr. 439.*

Zaopatrzony został w jak najlepsze i najświeższe gatunki *Herbat*, które sprzedaje po cenach o połowę tańszych od cen dawniej praktykowanych.

Nie achwała towaru szumnemi ogłoszeniami, dobroć herbaty w tym handlu sprzedawanej, od lat tylu Szanowna Publiczność sama ocenia, dając tego najlepszy dowód ciągłym wzrastającym odbytem. Dla tego też nie czepiam się handlu innymi towarami, wyłącznie bowiem trudnie się sprzedają i sprowadzeniem herbat, bym mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom.

NOWO OTWORZONY
SKŁAD
HERBATY CHIŃSKIEJ
POD
Mandarynką.

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu W. Reszkiego Nr. 428 obok Hotelu Saskiego, otworzonym został Magazyn Herbaty Chińskiej, który zaopatrzony jest we wszystkie wyborowe i najświeższe gatunki Herbat, jakie tylko Cesarstwo Chińskie nam dostarcza. Nie zachwalam towaru mego szumnemi anonsami, bo sama publiczność w ciągu istnienia tego handlu przekonała się najlepiej o dobroci gatunków sprzedawanéj herbaty, a z każdym dniem, wzrastającym odbytem i jednaniem nowych kundmanów tak w Mieście jak na prowincji, przekonany jestem o zupełném zadowoleniu kupujących. Jak obecnie tak i w przyszłości usilnością tego handlu jest: ażeby wszelkim wymaganiom znawców i amatorów dobrych Herbat, zadosyć uczynić.

Kommissant

A. RUSZKOWSKI.

NIEKTÓRE DZIEŁA NAKŁADOWE
KSIĘGARNI POLSKIEJ
ADAMA DZWONKOWSKIEGO

Biblioteka Teatralna. Pod tym tytułem wychodzi od czasu do czasu wybór sztuk tak oryginalnych jak tłumaczonych, na scenach obu teatrów warszawskich przedstawianych. Biblioteka ozdobiona będzie portretami najznakomitszych naszych artystów, kompozytorów i artystów dramatycznych. W każdym zeszytcie jeden portret rysowany z natury i najstaranniej wykonany.

Ogłasza się niniejszém prenumerata na 10 zeszytów. Cena prenumeraryjna na całe 10 zeszytów, wynosi złp. 20 (rsr. 3), bez względu na cenę pojedynczych zeszytów, których cena stosownie do objętości każdego zeszytu oznaczoną będzie i przy sztukach większej objętości, do złp. 6 gr. 20 (rsr. 1) dochodzić może.

Numer 1-szy: zawiera komedję w 3-ch aktach, pod tytułem: *Odrodzony*, przez *Karola Pieńkowskiego*, z portretem *Jana Chęcińskiego*. Nabyć go można oddzielnie za złp. 3 (kop. 45).

Numer 2-gi: *Scena za sceną* tegoż autora, szkic dramatyczny w 4 aktach, z portretem *Jana Królikowskiego*. Cena złp. 4 (kop. 60).

Numer 2-ci zawiera: *We dworcu*, utwór sceniczny w jednym akcie, przez *Wł. Wolskiego*. Kosztuje złp. 2 (kop. 30), ozdobiony jest portretem autora.

Numer 4-ty: *Werbel domowy*, obrazek wiejski ze śpiewami, w jednej odsłonie oryginalnie napisany, z portretem *Mich. Chomińskiego*, cena złp. 2 (kop. 30).

Numer 5-ty: *Jarek z pod Ojcową*, obrazek wiejski ze śpiewami, w jednej odsłonie, z portretem *Ludwika Panczykowskiego*, Cena złp. 2 (kop. 30).

Numer 6-ty: *Otton Łuczniczka*, opera w 5 aktach, libretto *Jana Chęcińskiego*, z portretem kompozytora, muzyka *Adama Münchhejmara*. Cena złp. 2 (kop. 30).

Numer 7-my: *W chacie i we dworze*, dramat *Karola Pieńkowskiego*, w 4-ch aktach, z portretem *pani Rakiewiczowej*. Cena złp. 3 gr. 10 (kop. 50).

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY
HELENY BARTKIEWICZ,

przy ulicy Senatorskiej Nr. 460.

wykonywa fotografamy wszelkich rozmiarów, od mikroskopijnych do brosz i pierścionków, aż do naturalnej wielkości, zdejmuje kopje z obrazów widoki krajobrazów, gmachów i t. p. Zakład zaopatrzony jest w najlepszego gatunku preparaty i aparaty, polecane roboty wykonywa z wszelką starannością i sumiennością, po cenach jak najumiarkowańszych. Mianowicie tuzin. biletów wizytowych po 4 rs., pół tuzina 2 i pół rs.; inne roboty po cenie odpowiedniej do rozmiarów i kosztu wykończenia. Fotografować się można bez względu na pogody latem od godz. 9 rano 6d o wieczór a zimą do 4-ej.

K.P.T. 694

1866/7